

# Pieśń Łuków

Cornwell Bernard



calibre 0.9.27

**Bernard Cornwell**

**Pieśń  
Łuków  
Azincourt**

*Azincourt*

tłumaczył Tomasz Tesznar

**Esprit**

*Książkę mniejszą dedykuję  
mojej wnuczce,  
Esme Cornwell,  
z wyrazami miłości.*





# *Spis treści*

## Spis treści 4

graph-definition>

## Prolog 6

graph-definition>

## *Część pierwsza Œwięty Kryspin i œwięty Kryspinian 32*

graph-definition>

## *Część druga Normandia 110*

graph-definition>

## *Część trzecia Ku rzece mieczy 241*

graph-definition>

## *Część czwarta Dzień œwiętego Kryspina 292*

graph-definition>

## Epilog 371

graph-definition>



Azincourt to jedno z najżywiej oddziałujących na naszą wyobraźnię epickich wydarzeń w dziejach Anglii. [...] Jest to tryumf słabego nad silnym, zwycięstwo prostego żołnierza nad dosiadającym konia rycerzem i stanowczości nad pychą. [...] Jest to również opowieść o prawdziwej rzezi i okrucieństwie.

Sir John Keegan, *The Face of Battle*

I mnóstwo poległych, i moc trupów, i bez końca ciał martwych... tak że o zwłoki ich się potykają\*.





# *Prolog*

W pewien zimowy dzień, tuż przed Bożym Narodzeniem roku Pańskiego 1413. Nicholas Hook postanowił popełnić morderstwo.

Dzień był zimny. Przez całą noc trzymał siarczasty mróz i południowe słońce nie zdołało stopić pokrywającej trawę warstwy bieli. Nie było wiatru, więc cały świat zdawał się siny, zamarznięty i zastygły w bezruchu, kiedy Hook spostrzegł Toma Perrilla na biegnącym dnem płytkiego jaru gościńcu, wiodącym od porastającego wzgórze lasu ku młyńskim pastwiskom.

Dziewiętnastoletni Nick Hook poruszał się jak duch. Był leśniczym i nawet w taki dzień, kiedy najłżejszy odgłos ludzkich kroków mógł zabrzmieć niczym głuchy trzask pękającej kry na rzece, potrafił przemieszczać się bezszelestnie. Teraz szedł pod wiatr w stronę gościńca, na którym Perrill zaprzął jednego z pociągowych koni lorda Slaytona do ściętego pnia wiązu. Perrill ciągnął drzewo do młyna, aby móc zrobić z niego nowe łopatki do młyńskiego koła. Pracował samotnie, co było dość niezwykle, ponieważ Tom Perrill rzadko oddalał się od domu bez swego brata lub innego towarzysza, a w dodatku Hook nigdy nie widział go tak daleko od wioski bez łuku zawieszzonego na ramieniu.

Nick Hook zatrzymał się na skraju lasu, w miejscu gdzie osłaniały go jeszcze zarośla ostrokrzewu. Zaledwie sto kroków dzieliło go teraz od Perrilla, który przeklinał w głos, ponieważ koleiny na gościńcu zamarzyły na dobre i olbrzymi pień wiązu ciągle zahaczał o nie na nierównej drodze, a koń się narowił. Perrill wysmagał go już do krwi, ale nic to nie pomogło i stał teraz z batem w ręku, przeklinając nieszczęsne zwierzę.

Hook wyjął strzałę z torby zawieszanej u boku i upewnił się, że to ta, której chciał użyć. Był to głęboko osadzony myśliwski grot, z ostrzem przystosowanym do tego, by przebić ciało jelenia; pocisk zrobiony po to, by rozerwać tętnice, aby zwierzę wykrwawiło się na śmierć, gdyby Hook nie trafił prosto w serce, co jednak rzadko mu się zdarzało. Gdy miał osiemnaście lat, wygrał zawody strzeleckie trzech hrabstw, pokonując starszych od siebie łuczników, słynnych na pół Anglii, i z odległości stu kroków nie chybiał nigdy.

Położył strzałę na łączysku. Przez cały czas nie spuszczał Perrilla z oka, gdyż nie musiał przy tym patrzeć ani na pocisk, ani na łuk. Przytrzymał strzałę kciukiem lewej ręki, prawą napinając nieco cięciwę, aby weszła we wzmocniony rogiem rowek w pierzastym końcu drzewca. Potem uniósł broń do strzału, wciąż obserwując najstarszego syna młynarza.

Napiął łuk bez najmniejszego wysiłku, choć większość mężczyzn, którzy nie byli łucznikami, nie dałaby rady naciągnąć cięciwy nawet do połowy. Hook tymczasem przyciągnął ją aż do swego prawego ucha.

Perrill odwrócił się i spoglądał poprzez młyńskie pastwiska na rzekę, wijącą się niczym srebrna wstęga pod bezlistnymi, zimowymi wierzbnami. Miał na sobie wysokie buty, spodnie, kaftan oraz irchowy płaszcz i zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że tylko kilka sekund dzieli go od śmierci.

Hook zwolnił cięciwę. Zrobił to bardzo delikatnie i konopna lina nawet nie zadrżała, gdy wypuszczał ją spomiędzy kciuka i dwóch palców prawej ręki.

Strzała mknęła wprost do celu. Hook śledził wzrokiem jej szare pióra, patrząc, jak stożkowate, jesionowe drzewce zakończone stalowym ostrzem sunie prosto w samo serce Perrilla. Wcześniej naostrzył klinowaty grot strzały i wiedział, że przesyje irchowy płaszcz jak pajęczynę.

Nick Hook nienawidził Perrillów, tak jak Perrillowie nienawidzili Hooków. Ta wojna pomiędzy dwiema rodzinami zaczęła się dwa pokolenia temu, kiedy to dziadek Toma Perrilla zabił dziadka Hooka w wiejskiej gospodzie, dźgnąwszy go w oko pogrzebaczem. Stary lord Slayton oświadczył, że stało się to w uczciwej walce, i nie chciał ukarać młynarza. Od tego czasu rodzina Hooków usiłowała się zemścić.

Nigdy im się to nie udało. Ojciec Nicka został skopany na śmierć podczas dorocznego meczu piłki nożnej i nikt nie zdołał nigdy zdemaskować zabójców, chociaż wszyscy wiedzieli, że musieli to być Perrillowie. Piłka wpadła w sitowie za dworskim sadem i pognało za nią dwunastu ludzi, lecz wróciło tylko jedenastu. Nowy lord Slayton wyśmiał sam pomysł nazwania tej śmierci morderstwem. „Gdyby wieszalo się człowieka za to, że zabił kogoś podczas gry w piłkę – powiedział – trzeba by powywieszać pół Anglii!”

Ojciec Hooka był pasterzem. Zostawił dwóch synów i ciężarną wdowę, która zmarła niespełna dwa miesiące po nim, wydawszy na świat martwą córeczkę. Umarła w dzień świętego Mikołaja, kiedy wypadały trzynaste urodziny Nicka, i jego babka stwierdziła, iż zbieżność ta dowodzi, że chłopak jest przeklęty. Usiłowała więc zdjąć klątwę, używając swych czarów. Dźgnęła go strzałą, wbijając mu ostrze głęboko w udo, a potem kazała chłopcu zabić tą samą strzałą jelenia, mówiąc, że wówczas klątwa ustąpi. Hook wytopił jedną z łań lorda Slaytona i zabił ją tą zakrwawioną strzałą, ale klątwa pozostała. Perrillowie wciąż żyli i wojna pomiędzy dwiema rodzinami trwała nadal. Kiedy w ogrodzie babki Nicka uschła dorodna jabłoń, babka upierała się, że to stara matka Perrillów ją zauroczyła. „Ci Perrillowie zawsze byli śmierdzącymi, parszywymi draniami” – mówiła. Rzuciła więc urok na Toma Perrilla i jego młodszego brata, Roberta, ale ich matka musiała widocznie go odczynić, bo żaden z nich nie zachorował. Znikły za to dwa kozły, które Hook trzymał na wspólnym

pastwisku, i cała wieś mówiła, że pewnie zjadły je wilki, lecz Nick wiedział, że to sprawka Perrillów. Żeby się zemścić, zabił ich krowę, lecz to nie było tym samym, co pozbawienie życia jej właścicieli. „To ty masz ich pozabijać!” – powtarzała mu uparcie babka, ale jakoś nigdy nie znalazł okazji. „Niech diabeł sprawi, żebyś plwał łajnem! – przeklinała go zatem. – A potem niech cię zabierze do piekła!”. Kiedy miał szesnaście lat, wyrzuciła go ze swego domu. „Wynoś się stąd, ty bękarcie, i zdychaj z głodu pod płotem!” – warknęła. Wówczas już zaczynała jej się mącić w głowie i nie było sensu się z nią spierać, więc Nick Hook opuścił rodzinny dom i mógłby rzeczywiście umrzeć z głodu, gdyby nie to, że tamtego roku zajął pierwsze miejsce w zawodach strzeleckich dla łuczników z sześciu sąsiednich wiosek, posyłając strzałę za strzałą w sam środek odległej tarczy.

Lord Slayton mianował go swoim leśniczym, co oznaczało, że musiał dbać o to, by stół jego lordowskiej mości wręcz uginał się od dziczyzny. „Lepiej, żebyś polował w majestacie prawa – stwierdził przy tym lord Slayton – niż wisiał za kłusownictwo”.

A dziś, w dniu świętego Winebalda, tuż przed Bożym Narodzeniem, Nick Hook patrzył, jak jego strzała mknie ku Tomowi Perrillowi.

Wiedział, że przyniesie mu śmierć.

Sunęła wprost do celu, lekko obniżając lot pomiędzy wysokimi, roziskrzonymi od szronu żywopłotami. Tom Perrill nie miał pojęcia, że jest coraz bliżej. Nick Hook uśmiechnął się do siebie.

I wtedy strzała zatrzepotała w powietrzu.

Opadło jedno z piór. Musiały puścić spoiwo i oprawa i pocisk skręcił w lewo, by rozerwać bok konia i utkwic pod jego łopatką. Zwierzę zarżało żałośnie, stanęło dęba, a potem rzuciło się przed siebie, wrywając przy tym wielki pień wiązu z zamarzniętych kolein.

Tom Perrill odwrócił się i spojrzał w stronę lasu, po czym zdał sobie sprawę, że w ślad za pierwszą strzałą może nadlecieć druga, więc obrócił się raz jeszcze i pobiegł za zranionym i przerażonym koniem.

Nick Hook znowu zawiódł. Zaiste, był przeklęty.

Lord Slayton opadł na fotel. Ten zgorzkniały mężczyzna po czterdziestce został niegdyś okaleczony w bitwie pod Shrewsbury, gdzie otrzymał cios mieczem w kręgosłup, i nigdy więcej nie miał już stanąć do walki. Teraz spojrzał gniewnie na Hooka.

– Gdzie byłeś w dzień świętego Winebalda?

– A kiedy to było, panie? – spytał Nick niewinnym tonem.

– Ty draniu! – lord Slayton splunął, a jego rządcą uderzył Hooka z tyłu kościaną rękojęcią końskiego bata.

– Nie wiem, kiedy to było, panie! – powtórzył uparcie młody leśniczy.

– Dwa dni temu! – rzekł sir Martin. Był on szwagrem lorda Slaytona i kapłanem pełniącym posługę w wiosce i we dworze. Rycerz był z niego mniej więcej taki jak z Hooka, ale lord Slayton nalegał, aby zwracać się doń „sir”, z uwagi na jego szlacheckie pochodzenie.

– Aha! – Hook udał, że nagle wraca mu pamięć. – Przycinałem jesionowy zagajnik pod Żebraczym Wzgórzem, panie.

– Kłamiesz! – stwierdził stanowczo lord Slayton. William Snoball, dworski rządcą i dowódca łuczników jego lordowskiej mości, uderzył Nicka raz jeszcze, rozcinając końcem bata skórę na czaszce leśniczego. Po głowie Hooka pociekła krew.

– Klnę się na mój honor, panie! – łągał zapamiętałe Hook.

– Na honor całej rodziny Hooków – rzekł oschle lord Slayton, po czym spojrzał na młodszego brata Nicka, siedemnastoletniego Michaela. – A ty gdzie wtedy byłeś?

– Kryłem strzechą kościelną kruchtę, panie – odparł Michael.

– To prawda – potwierdził sir Martin. Kapłan, kościsty i niezgrabny w swej poplamionej sutannie, obdarzył przy tym młodszego brata Nicka grymasem, który miał przypominać uśmiech. Zresztą Michaela lubili wszyscy. Wydawało się, że nawet Perrillowie nie czują doń tej nienawiści, jaką darzyli całą resztę rodziny Hooków. Michael był blondynem, podczas gdy Nick brunetem, a w dodatku miał pogodne usposobienie, w przeciwieństwie do swego ponurego brata.

Obok obydwu Hooków stali teraz bracia Perrillowie. Thomas i Robert byli wysocy, szczupli i nieproporcjonalnie zbudowani. Mieli głęboko osadzone oczy, długie nosy i wystające podbródki. Ich podobieństwo do sir Martina było wręcz uderzające, więc cała wieś, z szacunkiem należnym szlachetnie urodzonemu duchownemu, przyjęła do wiadomości, że obaj są synami młynarza, a mimo tego traktowała ich z niezwykłym poważaniem. Rodzina Perrillów cieszyła się przy tym niepisanymi przywilejami, ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę, że bracia mogli zwrócić się o pomoc do sir Martina, kiedy tylko poczuli się zagrożeni.

Zaś tym razem Tom Perrill nie tylko poczuł się zagrożony, lecz omal nie został zabity. Szaropióra strzała, która leżała teraz na stole w zamkowej sali, minęła go ledwie o szerokość dłoni. Lord Slayton wskazał ją ręką i skinął na swego rządcę, by zbliżył się do stołu.

– To nie nasza strzała, panie – rzekł William Snoball, przyjrzawszy się pociskowi.

– Chodzi ci o te szare pióra? – spytał lord Slayton.

– Nikt w tych stronach nie używa piór szarej gęsi – rzekł z ociąganiem Snoball, złowieszczo łypiąc okiem na Hooka. – Na pewno nie do wyrobu strzał. W ogóle zresztą do niczego!

Lord Slayton spojrział na Nicka Hooka. Znał całą prawdę. Zнали ją wszyscy obecni, być może z wyjątkiem Michaela, który był ufny i naiwny.

– Każ go wychłostać! – zaproponował sir Martin.

Hook wpatrywał się w gobelin wiszący pod galerią zamkowej sali. Przedstawiał on odzianego jedynie w przepaskę biodrową i hełm mężczyznę, wbijającego włócznię w brzuch ogromnego niedźwiedzia. Myśliwemu przyglądała się kobieta, która nie miała na sobie nic, prócz wstęgi z półprzezroczystej tkaniny. Wspierające galerię stuletnie dębowe belki poczerniały były od dymu z paleniska.

– Każ go wychłostać – powtórzył ksiądz – albo obetnij mu uszy.

Hook zniżył wzrok, by spojrzeć na lorda Slaytona, i bodaj tysięczny już raz zaczął się zastanawiać, czy czasem nie ma przed oczyma własnego ojca. Nick miał twarz Slaytonów, z wystającymi kośćmi policzkowymi; to samo zachmurzone czoło, te same szerokie usta, takie same czarne włosy i ciemne oczy. Był identycznego wzrostu i posiadał taką samą fizyczną siłę, jaką szczycił się sam lord, nim miecz buntownika przetrącił mu grzbiet i zmusił go do używania obitych skórą kul, które stały teraz oparte o jego fotel. Jego lordowska mość odwzajemnił to spojrzenie, niczego jednak nie dając po sobie poznać.

– Ta wasza wojna ma się skończyć! – rzekł w końcu, wciąż spoglądając na Hooka. – Rozumiesz? Nie będzie więcej trupów. – Wskazał palcem na Nicka. – Jeśli zginie ktoś z rodziny Perrillów, Hook, ja zabiję ciebie i twojego brata. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak, panie.

– A jeśli umrze któryś z Hooków – rzekł jego lordowska mość, spoglądając teraz na Toma Perrilla – ty i twój brat zawiśniecie na dębie.

– Tak, panie – przytaknął Perrill.

– Morderstwo trzeba by najpierw udowodnić – wtrącił się sir Martin. Odezwał się raptownie i nieoczekiwanie, a w jego głosie słychać było oburzenie. Często zdawało się, że niezdarny kapłan żyje w innym świecie, a jego myśli krążą gdzieś daleko. Potem nagle na powrót zaczynał poświęcać uwagę swemu otoczeniu, pospiesznie wyrzucając z siebie cały potok słów, jakby chciał nadrobić stracony czas. – Udowodnić! – powtórzył. – Tak jest, udowodnić, mówię!

– Nie! – uciszył swego szwagra lord Slayton i aby podkreślić, że się z nim nie zgadza, uderzył dłonią w drewnianą poręcz swego fotela. – Jeżeli którykolwiek z was czterech zginie, powieszę całą resztę! Co mi tam! Jeśli któryś z was pośliźnie się, wpadnie do młynówki i utonie, ja uznam to za morderstwo. Zrozumiano? Nie zniosę tej waszej wojny ani chwili dłużej!

– Nie będzie żadnych morderstw, panie – rzekł pokornie Tom Perrill.

Lord Slayton znów spojrzał na Hooka, czekając na podobne zapewnienie z jego strony, ale Nick milczał.

– Chłosta nauczy go posłuszeństwa, panie – zasugerował Snoball.

– On już dostał baty! – odparł lord Slayton. – Kiedy to ostatnio wzięłeś w skórę, Hook?

– Na świętego Michała, panie.

– I czego cię to nauczyło?

– Tego, że ręka pana Snoballa coraz bardziej słabnie, panie – wypalił Hook.

Stłumiony śmiech sprawił, że Hook spojrzał w górę i ujrzał jaśniepanią, która przyglądała się całej scenie, ukryta w cieniu galerii. Żona lorda Slaytona nie miała dzieci. Jej brat, ksiądz, płodził bękarta za bękartem, a pani Slayton była bezpłodna i zgorzkniała. Hook wiedział, że potajemnie odwiedzała jego babkę, szukając jakiegoś lekarstwa, ale przynajmniej ten jeden raz czary staruszki nie doprowadziły do narodzin dziecka.

Snoball mruknął tylko coś gniewnie na takie zuchwalstwo Hooka, ale lord Slayton zdradził swe rozbawienie przelotnym, acz szerokim uśmiechem.

– Precz! – rozkazał teraz. – Wyńście się stąd wszyscy, oprócz ciebie, Hook. Ty zostajesz.

Lady Slayton patrzyła jeszcze, jak pozostali mężczyźni opuszczają zamkową salę, po czym odwróciła się i znikła w jednej z komnat znajdujących się w głębi, za galerią. Jej małżonek dłuższą chwilę wpatrywał się bez słowa w Nicka Hooka, aż wreszcie rzekł, wskazując ręką szaropiórą strzałę leżącą wciąż na dębowym stole.

– Skąd ją wzięłeś, Hook?

– Pierwszy raz ją widzę, panie.

– Jesteś kłamcą, Hook. Kłamcą, złodziejem, oszustem i łotrem, a nie wątpię, że także i mordercą. Snoball ma rację. Powiniennem kazać cię chłostać aż do kości. A może powiniennem po prostu cię powiesić. Świat byłby wtedy lepszy, co? Taki świat bez Hooka.

Nick nie odezwał się na to ani słowem. Spoglądał tylko na lorda Slaytona. W palenisku pękła jakaś kłoda, rozsypując wokół deszcz iskier.

– Tylko że jesteś też, cholera, najlepszym łucznikiem, jakiego w życiu widziałem – dodał po chwili wahania lord Slayton. – Daj mi tę strzałę.

Hook podniósł szaropióry pocisk i podał go jego lordowskiej mości.

– Mówisz, że pióro odpadło w locie? – spytał lord Slayton.

– Na to wygląda, panie.

– Nie znasz się na robieniu strzał, co, Hook?

– Cóż, panie, nie tak dobrze, jakbym chciał. Nie umiem nadać drzewcom odpowiedniego kształtu.

– Do tego potrzebny jest porządny strug – rzekł lord Slayton, sprawdzając wytrzymałość pozostałych piór. – To skąd masz tę strzałę? – spytał. – Od jakiegoś kłusownika?

– Zabiłem jednego w zeszłym tygodniu, panie – rzekł ostrożnie Nick.

– Nie jesteś od tego, by ich zabijać, Hook, tylko od tego, żeby przyprowadzać ich do mnie, abym to ja mógł ich osądzić i zabić.

– Drań ustrzelił łanię w Drozdowym Lesie – wyjaśnił Hook – i uciekał, więc wpakowałem mu w plecy myśliwski grot i pochowałem go pod Wzgórzem Cassella.

– Kto to był?

– Jakiś włóczęga, panie. Pewnie przechodził tylko przez te okolice. Nie miał przy sobie nic prócz łuku.

– Łuku i kołczanu pełnego szaropiórych strzał – dodał jego lordowska mość. – Masz szczęście, że koń mi nie padł. Wtedy kazałbym cię powiesić.

– Cezara ledwie drasnęło, panie – rzekł lekceważąco Hook. – To tylko małe rozcięcie skóry.

– Skąd możesz wiedzieć, skoro nie widziałeś?

– Słucham, co ludzie we wsi gadają, panie – odparł leśniczy.

– Ja też mam uszy, Hook, i słyszę niejedno! – zaczął lord Slayton. – Masz zostawić Perrillów w spokoju! Słyszysz mnie? Daj im święty spokój!

Nick nie wierzył może w nazbyt wiele rzeczy, ale w jakiś sposób zdołał sam siebie przekonać, że ciężąca na nim klątwa zostanie zdjęta, jeśli tylko uda mu się zabić obu braci Perrillów. Nie był jedynie pewien, na czym klątwa ta polega, chyba że chodziło o to niepokojące przeświadczenie, iż życie nie kończy się na tym, co ma mu do zaoferowania tutejszy dwór. Kiedy jednak myślał o tym,



żeby porzucić służbę u lorda Slaytona i uciec, zaczynało go nękać ponure przeczucie, iż czeka go jakieś niewidzialne i niepojęte nieszczęście. Na tym właśnie polegała najwyraźniej jego klątwa, której nie umiał zdjąć inaczej, jak tylko popełniając morderstwo. Pomimo to posłusznie skinął teraz głową.

– Słucham, panie.

– Masz słuchać i zrobić, co mówię! – rzekł jego lordowska mość, po czym cisnął strzałę w ogień, gdzie leżała przez moment, aż wreszcie zapłonęła jasnym płomieniem. „Szkoda porządnego grotu” – pomyślał Hook. – Sir Martin cię nie lubi, Hook – ciągnął dalej lord Slayton, nieco ściszone głosem. Znacząco uniósł przy tym wzrok ku górze i Hook pojął, że jego lordowska mość chce wiedzieć, czy jego małżonka wciąż jeszcze stoi na galerii. Nick w ledwie dostrzegalny sposób potrząsnął głową. – Wiesz, dlaczego on cię tak nienawidzi? – spytał lord Slayton.

– Nie jestem pewien, czy on w ogóle kogoś lubi, panie – odparł wymijająco Hook.

Lord Slayton przypatrywał mu się przez chwilę w zadumie.

– A co do Willa Snoballa, to masz rację – rzekł wreszcie. – Rzeczywiście jest coraz słabszy. Wszyscy się starzejemy, Hook, i niedługo będę potrzebował nowego setnika. Rozumiesz, co mówię?

Setnik przewodził kompanii łuczników, a odkąd tylko Hook sięgał pamięcią, funkcję tę pełnił William Snoball. Był on też dworskim rządcą i te dwa stanowiska uczyniły zeń najbogatszego człowieka w służbie lorda Slaytona. Hook skinął więc głową.

– Rozumiem, panie – wymamrotał.

– Sir Martin uważa, że moim nowym setnikiem powinien być Tom Perrill. A przy tym boi się, że mianuję ciebie, Hook. Nie mam pojęcia, skąd mu to przyszło do głowy. Może ty wiesz?

Hook spojrział w twarz jego lordowskiej mości. Kusiło go, żeby spytać o swoją matkę, i o to, jak dobrze lord Slayton ją znał, ale się powstrzymał.

– Nie, panie – rzekł zamiast tego z pokorą.

– Zatem miej się na baczności, Hook, kiedy pojedziesz do Londynu. Sir Martin będzie ci towarzyszył.

– Do Londynu?!

– Dostałem taki rozkaz – wyjaśnił lord Slayton. – Kazał mi wysłać moich łuczników do Londynu. Byłeś tam kiedyś?

– Nie, panie.

– No to pojedziesz. Nie wiem tylko po co, bo w liście nie ma o tym ani słowa. Lecz moi

łucznicy udadzą się do Londynu, ponieważ król tak sobie życzy. Może będzie wojna? Sam nie wiem. Ale jeśli będzie wojna, Hook, to nie chcę, żeby moi ludzie pozabijali się nawzajem. Na miłość boską, Hook, nie zmuszaj mnie, żebym cię powiesił!

– Postaram się, panie.

– A teraz idź już. Powiedz Snoballowi, żeby do mnie przyszedł. No już, idź!

Hook wyszedł z sali.

Był styczniowy dzień. Wciąż dokuczał ziąb. Chmury wisały nisko i panował półmrok, choć minęła ledwie połowa poranka. O świcie szalała śnieżycą, ale potem śnieg stopniał. Kryte strzechą dachy pobielił szron, a na nielicznych kałużach, które nie zostały jeszcze wdeptane w błoto, lśniła cieniutka warstwa lodu. Nick Hook, długonogi, barczysty, ciemnowłosa i pochmurny, siedział przed wejściem do gospody wraz z siedmioma towarzyszami, wśród których był jego brat i obaj Perrillowie. Miał na sobie sięgające kolan buty z ostrogami, dwie pary spodni dla ochrony przed zimnem, wełnianą koszulę, podszyty skórą kaftan i krótką lnianą opończę przyozdobioną herbem lorda Slaytona: złotym półksiężycem i trzema gwiazdami tej samej barwy. Cała ósemka nosiła skórzane pasy z przytroczonymi sakiewkami, długimi sztyletami i mieczami oraz to samo godło, choć ktoś obcy musiałby dobrze im się przyjrzeć, aby dostrzec księżyc i gwiazdy, gdyż kolory były wyblakłe, a opończe brudne.

Nikt jednak im się nie przyglądał, ponieważ uzbrojeni ludzie z herbami na piersiach oznaczali kłopoty. W dodatku tych ośmiu było łucznikami. Nie mieli ze sobą ani łuków, ani kołczanów, ale już sama szerokość ich barów zdradzała, że to mężczyźni, którzy są w stanie napiąć cięciwę bojowego łuku, sprawiając przy tym, że wyda się to igraszką. Ci łucznicy stanowili jedną z przyczyn strachu, który zapanował dziś na ulicach Londynu. Strach ten był tak dojmujący jak fetor miejskich rynsztoków i wszechobecny jak zapach palonego drewna. Drzwi domów pozamykano. Nawet żebracy gdzieś znikli, a ci nieliczni ludzie pojawiający się w mieście, którzy sami wywoływali ów strach, też woleli mijać ośmiu łuczników, przechodząc drugą stronę ulicy.

– Jezu Chryste! – przerwał ciszę Nick Hook.

– Jak chcesz się modlić, to idź do kościoła, dupku! – rzekł Tom Perrill.

– Prędzej narobię na pysk twojej matce – odburknął Hook.

– Wy dwaj! – wtrącił się William Snoball – Siedźcie cicho!

– Nie powinniśmy tu przyjeżdżać – mruknął Hook. – Londyn to nie miejsce dla nas.

– Ale już tu jesteś – rzekł William Snoball – więc przestań jęczeć.

Gospoda mieściła się na rogu wąskiej ulicy wiodącej na obszerny plac targowy. Jej godło – malowany drewniany byk – zawieszono było na potężnej belce przymocowanej do szczytu dachu i sięgającej aż do solidnego słupa wkopanego w ziemię na targowisku. Wokół placu widać było jeszcze więcej łuczników, noszących rozmaite barwy. Wszyscy oni zostali przysłani do Londynu przez swych panów, choć żaden z nich nie wiedział, gdzie ci panowie teraz są. Dwóch księży, niosących zwoje pergaminu, przechodziło pospiesznie drugą stroną ulicy. Gdzieś w głębi miasta odezwał się dzwon. Jeden z księży spojrział ukradkiem na łuczników noszących półksiężyc i trzy gwiazdy, po czym omal się nie potknął, kiedy Tom Perrill splunął.

– Na miłość boską, co my tutaj robimy? – spytał Robert Perrill.

– Bóg nam tego nie powie – odparł cierpko Snoball – ale jestem pewien, że spełniamy dzieło boże.

Dzieło boże polegało na pilnowaniu wylotu ulicy wiodącej na targowisko i łucznicy dostali rozkaz, by nie przepuszczać nikogo, bez względu na płeć, ani w jedną, ani w drugą stronę. Rozkaz ten nie dotyczył jednak księży ani konnej szlachty, a jedynie prostych ludzi, którzy sami mieli dość rozumu, aby siedzieć w domach. Przepuścili już co prawda siedem ręcznych wózków, ciągniętych przez obdartych mężczyzn i wyładowanych chrustem, beczkami, kamieniami i długimi drewnianymi balami, ale obdartusom tym towarzyszyli zbrojni jeźdźcy w królewskich barwach, więc łucznicy pozwolili im przejechać, zachowując ciszę i spokój.

Z gospody wyszła pulchna dziewczyna o twarzy pokrytej bliznami i przyniosła im dzban piwa. Napełniała łucznikom kufle, a jej oblicze pozostało niewzruszone, gdy Snoball wsadził rękę pod ciężkie fałdy jej spódnicy. Czekwała, aż skończy, po czym wyciągnęła dłoń w wymownym geście.

– O nie, moja kochana – odrzekł Snoball. – Zrobiłem ci przyjemność, więc to ty powinnaś mnie jakoś wynagrodzić.

Dziewczyna odwróciła się i znikła w drzwiach gospody. Michael, młodszy brat Nicka Hooka, spuścił wzrok i gapił się w blat stołu, a Tom Perrill uśmiechnął się szyderczo, widząc jego zakłopotanie, ale nie odezwał się ani słowem. Michael był zbyt poczciwy, by się obrażać, więc droczenie się z nim nie dawało żadnej satysfakcji.

Starszy z braci Hooków obserwował tymczasem zbrojnych w królewskich barwach, którzy zatrzymali wózki na środku targowiska, gdzie w dwóch wielkich beczkach ustawili pionowo dwa długie pale. Teraz właśnie mocowali je na swoim miejscu, napełniając beczki żwirem i kamieniami. Jeden ze zbrojnych sprawdził jeszcze, czy pale trzymają się jak należy, usiłując go przechylić lub ruszyć z miejsca, ale najwyraźniej zadanie zostało wykonane jak trzeba, gdyż nie był w stanie przesunąć

wysokiej belki ani o cal. Zeskoczył więc na ziemię, a robotnicy zaczęli układać wokół obydwu beczek wiązki chrustu.

– Chrust jego królewskiej mości pali się jaśniejszym płomieniem – oświadczył Snoball.

– Naprawdę? – spytał Michael Hook. Skłonny był uwierzyć we wszystko, co mu się mówiło, i teraz również niecierpliwie czekał na odpowiedź, lecz pozostali zignorowali jego pytanie.

– No nareszcie! – rzekł zamiast tego Tom Perrill i Hook ujrzał niewielki tłumek, wyłaniający się z kościoła, stojącego po przeciwnej stronie targowiska. Składał się on z ludzi o zupełnie zwyczajnym, przeciętnym wyglądzie, ale otaczali go żołnierze, mnisi oraz kapłani, a jeden z tych ostatnich skierował się teraz ku gospodzie zwanej „Pod Bykiem”.

– Jest i sir Martin – rzekł Snoball, jak gdyby jego towarzysze mieli nie rozpoznać księdza, który zbliżając się do nich, uśmiechnął się szeroko. Hooka przeszył dreszcz nienawiści na widok węgorzowatej postaci sir Martina, sunącego ku nim swym rozkołysanym krokiem, z wykrzywioną twarzą i dziwnymi, pełnymi napięcia oczyma, według niektórych spoglądającymi już na inny świat, choć zdania były podzielone co do tego, czy kapłan oglądał nimi niebo czy też piekło. Babka Hooka nie miała w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. „Ukąsiła go piekielna bestia – mawiała często – i gdyby nie urodził się szlachcicem, już dawno by wisiał”.

Kiedy ksiądz podszedł bliżej, łucznicy, choć z ociąganiem, wstali jednak na znak szacunku.

– Czeka was dzieło boże, chłopcy – rzekł na powitanie. Jego ciemne włosy przyprószone były na skroniach siwizną i mocno przerzedzone na czubku głowy. Nie golił się od kilku dni i jego długi podbródek pokrywała biaława szczecina, przypominająca Hookowi szron. – Potrzebujemy drabiny – rzekł sir Martin – a sir Edward przyniesie sznur. Miło popatrzeć, jak szlachta pracuje, co? Potrzebna nam długa drabina. Musi tutaj jakaś być.

– Drabina? – spytał Will Snoball takim tonem, jakby nigdy o czymś podobnym nie słyszał.

– Owszem, i to długa – odparł sir Martin. – Tak długa, żeby sięgnęła tej belki – dodał, wskazując ruchem głowy wiszące ponad nimi godło gospody. – Długa, bardzo długa – zakończył z roztargnionym wyrazem twarzy, jakby już zapominał, co właściwie miał zrobić.

– Poszukajcie drabiny – rozkazał Will Snoball dwóm spośród łuczników. – Tylko długiej!

– Krótkie drabiny są na nic, gdy chodzi o dzieło boże – rzekł sir Martin, wracając myślami do rzeczywistości. Zacierając swe kościste dłonie, wykrzywił twarz w dziwnym grymasie i przyjrzał się Hookowi. – Wyglądasz, jakbyś był chory, Hook – dodał z satysfakcją, jakby miał nadzieję, że Nick jest już umierający.

– To piwo jakoś dziwnie smakuje – odrzekł Hook.

– To dlatego, że dzisiaj mamy piątek – stwierdził ksiądz – a w środy i piątki powinieneś się

powstrzymywać od picia piwa. Twój patron, błogosławiony Mikołaj, w środy i piątki nie chciał nawet ssać piersi swojej matki i z tej historii płynie dla nas morał! Nie możesz wtedy używać żadnych przyjemności, Hook. Żadnego piwka, żadnych radości i żadnych cycków w środy i piątki, taki już twój los po wieczne czasy! A dlaczego, Hook? Co? Dlaczego? – sir Martin przerwał na chwilę, a jego podłużną twarz wykrzywił złośliwy grymas. – Dlatego, że ssalesz przed snem obwisłe cycki złej kobiety! „Dzieciom jej nie okażę litości, mówi Pismo, matka ich bowiem uprawiała nierząd”<sup>\*</sup>.

Tom Perrill zachichotał.

– Co będziemy robić, ojcze? – spytał znużonym tonem Will Snoball.

– Spełniać dzieło boże, panie Snoball. Święte dzieło boże. Do roboty!

Drabina znalazła się właśnie wtedy, kiedy sir Edward Derwent przemierzył targowisko z czterema kawałkami sznura oplecionymi wokół swych szerokich ramion. Sir Edward był rycerzem i nosił te same barwy co łucznicy, choć jego opończa była czystsza, a widniejące na niej kolory jaśniejsze. Był to przysadzisty mężczyzna o potężnych barach i twarzy zeszpeconej w bitwie pod Shrewsbury, gdzie cios dwuręcznego topora rozplątał mu hełm, strzaskał kość policzkową i odrąbał ucho.

– To sznury od kościelnych dzwonów – wyjaśnił, ciskając na ziemię ciężkie zwoje liny. – Trzeba je przywiązać do tej belki, ale ja nie będę włąził na żadną drabinę.

Sir Edward dowodził ludźmi lorda Slaytona i budził tyleż szacunku, co strachu.

– Zajmij się tym, Hook – rozkazał.

Hook wspiął się na drabinę i przywiązał sznury od kościelnych dzwonów do poprzecznej belki. Używał przy tym tego samego węzła, którym mocowałby konopną cięciwę w nacięciu łączyska, mimo iż tak grubymi linami znacznie trudniej było manipulować. Kiedy skończył, zjechał na ziemię po ostatnim ze sznurów, aby pokazać, że jest porządnie zawiązany.

– Załatwmy to i tyle – rzekł cierpko sir Edward – a może wtedy będziemy mogli opuścić to przeklęte miejsce. Czyje to piwo?

– Moje, sir Edwardzie – odrzekł Robert Perrill.

– Teraz już moje – stwierdził sir Edward i opróżnił kufel. Miał na sobie kolczugę nałożoną na skórzany kaftan, a na wierzchu nosił jeszcze opończę z półksiężycem i gwiazdami. U jego boku wisiał miecz. Broń ta nie miała w sobie nic szczególnego. Hook wiedział, że ostrze pozbawione było jakichkolwiek zdobień, jelec wykonano z żelaza, a rękojeść stanowiły dwa kawałki drzewa orzechowego przymocowane do trzpienia. Miecz stanowił dla sir Edwarda narzędzie pracy i właśnie nim powalił buntownika, którego topór pozbawił go połowy twarzy.

Tymczasem niewielki tłumek zapędzony został przez żołnierzy i kapłanów na środek targowiska, gdzie większość uklękła i zaczęła się modlić. Tworzyli go zarówno mężczyźni, jak i kobiety, w różnym zresztą wieku. W sumie było tam może około sześćdziesięciu osób.

– Nie damy rady spalić ich wszystkich – rzekł z żalem sir Martin – więc większość wyślemy do piekła prosto ze stryczka.

– Jeśli to heretycy – mruknął sir Edward – to wszyscy powinni spłonąć na stosie.

– Gdyby Bóg tego pragnął – rzekł z nutką pewnej surowości w głosie sir Martin – to zadbałby o to, abyśmy mieli dosyć chrustu.

Na ulicach pojawiała się teraz coraz więcej osób. Strach spowijał wciąż miasto, ale ludzie w jakiś sposób wyczuli, że chwila największego zagrożenia już minęła, więc schodzili się na targowisko, a sir Martin kazał łucznikom ich przepuszczać.

– Powinni sobie na to popatrzeć – wyjaśniał przy tym.

Tłum zbierający się na targowisku był ponury, a jego sympatia wyraźnie zwracała się ku więźniom, a nie ich strażnikom, choć tu i ówdzie jakiś ksiądz lub braciszek wygłaszał już improwizowane, płomienne kazanie, mające objaśnić przybyłym sens wydarzeń, których byli świadkami. Skazani – tłumaczyli kaznodzieje – to wrogowie Chrystusa. Są niczym chwasty pośród łąki dorodnej pszenicy. Dano im szansę okazania skruchy, lecz oni odrzucili ten gest miłosierdzia, więc muszą teraz stanąć wobec swego wieczystego przeznaczenia.

– Co to za jedni? – spytał Hook.

– To lollardowie – wyjaśnił sir Edward.

– A kto to jest lollard?

– Heretyk, ty przygłupie! – stwierdził z zadowoleniem Snoball. – Ci dranie mieli się tutaj spotkać i podnieść bunt przeciwko naszemu miłociwemu królowi, ale zamiast tego trafią prosto do piekła.

– Nie wyglądają na buntowników – rzekł Hook. Większość więźniów stanowili ludzie w średnim wieku; było też kilka osób starszych i garstka bardzo młodych. Znajdowały się wśród nich także kobiety i dziewczęta.

– Nieważne, jak wyglądają – odparł Snoball. – To heretycy i muszą umrzeć.

– Taka jest wola Boga – potwierdził sir Martin.

– Ale dlaczego to heretycy? – dopytywał się Hook.

– Ależ jesteśmy dzisiaj ciekawscy! – rzekł szorstko kapłan.

– Ja też chciałbym to wiedzieć – wtrącił się Michael.

– Ponieważ Kościół mówi, że są heretykami – warknął sir Martin, po czym dodał, nieco łagodniejszym już tonem: – Czy wierzysz, Michaelu Hooku, że kiedy unoszę w górę hostię, to ona przemienia się w najświętsze, umiłowane i mistyczne ciało naszego Pana, Jezusa Chrystusa?

– Pewnie, że wierzę, ojcze!

– No widzisz! A oni nie wierzą – rzekł ksiądz, wskazując ruchem głowy klęczących w błocie targowiska lollardów. – Wierzą, że chleb nadal pozostaje chlebem, co czyni z nich durniów, którzy mają kloakę zamiast mózgu. A czy wierzysz w to, że nasz błogosławiony Ojciec Święty jest namiestnikiem Chrystusa na ziemi?

– Tak, ojcze – odrzekł Michael.

– Podziękuj za to Chrystusowi, bo w przeciwnym razie ciebie też musiałbym spalić.

– Myślałem, że papieży jest dwóch – wtrącił Snoball, lecz sir Martin zupełnie go zignorował.

– Widziałeś kiedyś, jak grzesznik płonie na stosie, Michaelu Hooku? – spytał.

– Nie, ojcze.

Sir Martin uśmiechnął się szeroko na samą myśl o tym.

– Widzisz, młody Hooku, oni wtedy ryczą jak kastrowane niedźwiedzie. Naprawdę! – rzekł sir Martin, po czym obrócił się gwałtownie, wtykając swój długi, kościsty palec prosto w pierś Nicka Hooka. – Ty też powinieneś posłuchać ich wrzasków, Nicholasie Hooku, gdyż są one prawdziwą liturgią piekieł. Zaś ciebie – ciągnął dalej, wciąż dźgając Hooka palcem – niechybnie piekło czeka – skończył i okręcił się wokół własnej osi z szeroko rozpostartymi ramionami, przez co wydał się Nickowi podobny do wielkiego, ciemnoskrzydłego ptaka. – Strzeżcie się piekła, chłopcy! – zawołał, pełen zapału. – Strzeżcie się, mówię! Żadnych cycków we środy i piątki, a na co dzień spełniajcie pilnie dzieło boże!

Na innych belkach na całym targowisku zawieszono już znacznie więcej stryczków, a teraz żołnierze podzielili skazańców na mniej więcej równe grupy, które popędzili ku tym prowizorycznym szubienicom. Jeden z więźniów zaczął krzyczeć do swych towarzyszy, zachęcając ich, by pokładali w Bogu nadzieję, i zapewniając, że dziś jeszcze wszyscy będą w niebie, i zamilkł dopiero wtedy, gdy żołnierz w królewskich barwach złamał mu szczękę pięścią w kolczej rękawicy. Był to jeden z dwóch lollardów, których postanowiono spalić na stosie, i Hook, stojąc z dala od swych towarzyszy, patrzył, jak wciągano go na wypełnioną żwirem i kamieniami beczkę i przywiązywano do pala. Potem u jego stóp ułożono jeszcze warstwę chrustu.

– Daj spokój, Hook, przestań marzyć – mruknął Snoball.

Gęstniejący tłum był wciąż ponury. Kilka osób wyglądało na zadowolone, lecz większość przyglądała się tym przygotowaniom z oburzeniem, ignorując głoszących swe kazania księży i ostentacyjnie odwracając się plecami do grupki mnichów w brunatnych habitach, którzy wzniesli dziękczynną pieśń za radosne wydarzenia tego dnia.

– Do góry z tym starym! – zawołał Snoball do Hooka. – Mamy załatwić dziesięciu heretyków, więc uwińmy się z tym prędko!

Pod belkę ze stryczkami podstawiono jeden z pustych już teraz wózków, którymi przywieziono na plac drewno, i Hook musiał podnieść skazańca i postawić go na łożu wózka. Pozostała szóstka więźniów, w tym czterej mężczyźni i dwie kobiety, czekała na swoją kolej. Jedna z kobiet kurczowo przywarła do swego męża, podczas gdy druga odwróciła się plecami i uklękła, zatopiona w modlitwie. Na wozie stało już czterech mężczyzn. Jeden z nich był w takim wieku, że mógłby być dziadkiem Hooka.

– Wybaczam ci, synu – rzekł starzec, gdy Hook oplatał jego kark grubą liną. – Jesteś łucznikiem, prawda? – spytał lollard, ale Hook wciąż milczał. – Ja byłem pod Homildon – ciągnął dalej skazaniec, unosząc wzrok ku górze i spoglądając na szare chmury, gdy Hook zaciskał pętlę – i też napinałem łuk dla mojego króla. Stałem tam na wzgórzu, chłopcze, i słałem strzałę za strzałą prosto w ciżbę Szkotów. Mocno naciągałem cięciwę i gwałtownie ją zwalniałem, i niech mi Bóg wybaczy, ale tamtego dnia byłem naprawdę dobry – dodał i spojrzał Hookowi prosto w oczy. – Tak, ja też byłem łucznikiem.

Niewiele rzeczy było Hookowi drogich, jeśli nie liczyć jego brata i wszelkich uczuć, jakie mógł żywić wobec dziewczyny, którą miał akurat w ramionach, lecz łucznicy stanowili odrębne, szczególne zjawisko. Uważał ich za swoich bohaterów. Zdaniem Nicka, Anglii nie strzegli wcale rycerze w lśniących zbrojach, dosiadający koni ze strojnym rzędem, lecz właśnie łucznicy – prości ludzie, którzy budowali domy, orali ziemię i płodzili dzieci, a przy tym potrafili napiąć cisowy, bojowy łuk i posłać strzałę na odległość dwustu kroków, trafiając w cel wielkości dłoni dorosłego mężczyzny. Hook spojrzał więc w oczy skazańca i dostrzegł w nich nie tyle szaleństwo heretyka, co dumę i siłę łucznika. Ujrzał w nich samego siebie. Nagle zdał sobie sprawę, że mógłby polubić tego starca, i świadomość ta sprawiła, że jego dłonie zastygły w bezruchu.

– Nic na to nie poradzisz, chłopcze – rzekł łagodnie starzec. – Walczyłem za starego króla, a jego syn chce teraz mojej śmierci, więc mocno zaciśnij pętlę. Słyszysz? Mocno! A kiedy już odejdę, chłopcze, zrób coś dla mnie.

Hook nieznacznie skinął głową. Mogło to równie dobrze znaczyć, że usłyszał prośbę starca, jak i to, że zgadza się zrobić wszystko, o cokolwiek ten może go poprosić.

– Widzisz tę dziewczynę, która się modli? – spytał starzec. – To moja wnuczka, Sara. Tak właśnie ma na imię – Sara. Zabierz ją stąd. Zrób to dla mnie. Jest jeszcze za młoda, żeby iść do nieba, więc ją stąd wyprowadź. Jesteś młody i silny, chłopcze, i możesz ją stąd zabrać.



„Tylko jak?” – pomyślał Hook i z pasją zaciągnął koniec liny, tak że pętla zacisnęła się mocno na szyi starca, po czym zeskoczył z wozu i omal się nie potknął, lądując w błocie. Snoball i Robert Perrill, którzy zakładali pętle pozostałym skazańcom, byli już na ziemi.

– To przecież tacy prości ludzie! – perorował właśnie sir Martin. – Prości ludzie, którzy myślą, że wiedzą lepiej niż katolicki Kościół, ich Święta Matka, więc trzeba dać im nauczkę, żeby inni nie poszli za ich przykładem i nie wkroczyli na drogę błędu i występku. Nie litujcie się nad nimi, ponieważ udzielamy im właśnie bożego miłosierdzia! Bezgranicznego bożego miłosierdzia!

Bezgranicznego miłosierdzia bożego udzielono teraz skazańcom poprzez gwałtowne wyszarpięcie ręcznego wózka spod nóg czterech mężczyzn. Ich ciała najpierw nieco opadły, a potem zaczęły się szarpać i wykręcać. Hook obserwował starca, przez cały czas dostrzegając jedynie szerokie bary łuczника. Skazaniec dusił się. Jego nogi podkurczyły się najpierw, potem zaczęły drżeć i gwałtownie się wyprostowały, aby znowu podciągnąć się ku górze. Jednak nawet w chwili agonii łucznik spoglądał na Hooka wytrzeszczonymi oczyma, jakby oczekiwał, że młodzieniec ocali jego Sarę i zabierze ją jak najdalej od tego targowiska.

– Mamy czekać, aż umrą – spytał William Snoball sir Edwarda – czy pociągnąć ich za kostki?

Sir Edward zdawał się nie słyszeć pytania. Znowu był myślami gdzieś daleko i patrzył przed siebie bez celu, choć wydawał się nie odrywać oczu od mężczyzny przywiązanego do pala na bliższym ze stosów. Lollarda ze złamaną szczęką pouczał jeszcze jakiś ksiądz, a stojący obok zbrojny, o twarzy ocienionej hełmem, trzymał już w pogotowiu płonąca pochodnię.

– W takim razie pozwolę im się pohuścić, sir – rzekł Snoball, ponownie nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

– O rany! – sir Martin zdawał się nagle budzić z odrętwienia, a jego głos był pełen nabożnej czci. Takim samym tonem odprawiał msze w kościele w wiosce. – Nie do wiary! Nie do wiary! Spójrzcie tylko na tę małą piękność!

Kapłan spoglądał na Sarę, która podniosła się z kolan i z wyrazem śmiertelnego przerażenia na twarzy śledziła agonię swego dziadka.

– Nie do wiary! Bóg jest wielki! – zawołał ksiądz pełnym szacunku tonem.

Nicholas Hook często zastanawiał się, jak wyglądają anioły. Co prawda namalowano je na ścianach wiejskiego kościoła, ale było to zapewne kiepskie malowidło, gdyż zamiast twarzy miały niewyraźne plamy, a w dodatku ich szaty i skrzydła pożółkły i pokryły się smugami od wilgoci, sączącej się przez tynk nawy, lecz pomimo tego Hook zakładał, że anioły są stworzeniami o niebiańskiej wręcz urodzie. Myślał, że mają skrzydła podobne do skrzydeł czapli, tylko dużo większe i złożone z piór, które świecą jak słońce przebijające się przez poranną mgłę. Podejrzewał też, że anioły mają złote włosy i długie, nieskazitelnie czyste szaty z najbielszego lnu. Wiedział, że to istoty niezwykle i święte; lecz w jego snach przybierały one również postać pięknych dziewcząt, jakie zwykły nawiedzać myśli młodych chłopców. Były uskrzydłonym wcieleniem wdzięku i piękna. Były

po prostu aniołami.

A ta młoda heretyczka wyglądała właśnie tak pięknie, jak anioły z jego snów. Nie miała rzecz jasna skrzydeł, a jej prosta koszula była cała ubłocona, zaś usta otwarły się z przerażenia na widok rozgrywających się na jej oczach scen. Na jej twarzy wyraźnie malował się strach oraz świadomość, że ją również czeka stryczek, a mimo tego nadal była piękna. Miała niebieskie oczy i jasne włosy, wysokie kości policzkowe i skórę nietkniętą przez ospę. Zaiste, ta dziewczyna mogła nawiedzać senne marzenia chłopca, a nawet, skoro już o tym mowa, zaprzętać myśli kapłana.

– Widzisz tę bramę, Michaelu Hooku? – spytał pozornie obojętnym tonem sir Martin. Wcześniej ksiądz rozglądał się za braćmi Perrillami, aby to oni spełnili jego rozkaz, ale byli zbyt daleko, więc wybrał najbliższego z łuczników. – Weź ją i wyprowadź za tę bramę, a potem zamknij tam w stajni i pilnuj.

Młodszy brat Nicka Hooka wydawał się zmieszany.

– Mam ją wziąć? – spytał nieśmiało.

– Ależ nie, ty ptasi mózdzku! Nie ty, zasmarkany głupcze! Zabierz ją tylko do stajni na tyłach gospody! Chcę się tam z nią pomodlić.

– Aha, pomodlić się! – odrzekł z uśmiechem Michael.

– Chce się z nią ojciec pomodlić? – spytał Snoball i zaśmiał się znacząco.

– Jeśli okaże skrucę, ocali swe życie – rzekł wielce pobożnym tonem sir Martin. Cały przy tym dygotał, a Hook był pewien, że bynajmniej nie z zimna. – Chrystus w swym bezgranicznym miłosierdziu zezwala na to – dodał sir Martin, przenosząc wzrok z dziewczyny na Snoballa – więc zobaczmy, czy zdołamy nakłonić ją do tego, by żałowała za swe grzechy. Sir Edwardzie?

– Tak, ojcze?

– Będę się modlił z tą dziewczyną! – zawołał kapłan, a sir Edward nic nie odpowiedział. Nadal wpatrywał się w najbliższy stos, którego wciąż jeszcze nie podpalono. Przywódca lollardów, nie zwracając najmniejszej uwagi na pouczającego go kaznodzieję, spoglądał w górę, ku niebu.

– Zabierz ją do stajni, młody Hooku – rozkazał sir Martin.

Nick patrzył, jak jego brat ujmuje Sarę pod ramię. Michael był niemal tak silny jak on, lecz miał w sobie delikatność i prostotę, które pozwoliły mu teraz przezwyciężyć nawet jej lęk.

– Chodźmy stąd, dziewczyno – rzekł do niej łagodnym tonem. – Ten dobry ojczulek chce się z tobą pomodlić w stajni. Pozwól, że cię tam zaprowadzę. Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Snoball głośno chichotał, gdy Michael wyprowadzał posłuszną już dziewczynę przez bramę od

podwórza gospody i wiódł ją do stajni, w której stały konie łuczników. W środku było zimno i brudno, a w powietrzu unosił się kurz oraz zapach siana i końskiego nawozu. Nick Hook ruszył w ślad za nimi. Powtarzał sobie, że robi to tylko po to, by móc chronić swego młodszego brata, lecz tak naprawdę skłoniły go do tego ostatnie słowa umierającego łucznika. Kiedy stanął w drzwiach stajni, spojrzął w górę i ujrzał okno w przeciwległym szczycie dachu i nagle, nie wiedzieć skąd, w jego głowie zabrzmiał głos. „Zabierz ją stąd” – powiedział. Był to męski głos, ale Nick nie był w stanie go zidentyfikować. „Zabierz ją stąd – usłyszał raz jeszcze – a będziesz w raju”.

– W raju? – powtórzył bezwiednie Hook.

– Mówiłeś coś, Nick?

Michael, wciąż trzymając dziewczynę pod ramię, odwrócił się do swego starszego brata, lecz Nick Hook nadal wpatrywał się w to wysokie, jasne okno.

„Tylko ocal tę dziewczynę!” – mówił doń tajemniczy głos. W stajni nie było nikogo oprócz braci i Sary, lecz głos wydawał się tak bardzo rzeczywisty, że Hooka przeszył dreszcz. Gdyby tylko mógł ją ocalić! Gdybyż mógł ją stąd zabrać! Nigdy dotąd nie czuł czegoś podobnego. Zawsze uważał, iż jest przeklęty, i myślał, że gardzi nim nawet jego święty patron, lecz teraz nagle nabrał pewności, że jeśli zdoła ocalić tę dziewczynę, Bóg go pokocha i wybaczy mu wszystko to, za co święty Mikołaj mógł go tak znienawidzić. Hookowi oferowano właśnie zbawienie. Odkupienie było tam, za tym oknem, i niosło z sobą obietnicę nowego życia. Nie będzie już więcej przeklętym Nickiem Hookiem. Był pewien, że tak właśnie jest, lecz nie wiedział, jak ma się zachować.

– A ty co tutaj robisz, na miłość boską? – warknął sir Martin.

Nick nie odpowiedział. Patrzył na wiszące za oknem chmury. Jego koń, siwek, poruszył się i stuknął podkówną o ziemię. Czyj był ten głos, który usłyszał?

Sir Martin przecisnął się w końcu obok niego, by przyjrzeć się dziewczynie. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Witaj, młoda damo! – zawołał ochryple, po czym zwrócił się do Michaela. – Rozbierz ją – rozkazał zwięźle.

– Mam ją rozebrać? – spytał Michael, marszcząc czoło.

– Musi stanąć naga przed obliczem swojego Boga – wyjaśnił kapłan – aby nasz Pan i Zbawiciel mógł osądzić ją taką, jaka jest naprawdę. W nagości bowiem tkwi prawda. Tak właśnie mówi Pismo: „W nagości spoczywa cała prawda o nas”.

W całym Piśmie świętym nie ma co prawda fragmentu, który by o tym wspominał, ale sir Martin już wiele razy się przekonał, że ten wymyślony przez niego cytat może być wielce użyteczny.

– Ale przecież... – Michael wciąż marszczył brwi. Młodszy brat Nicka słyszał z tego, że nie

grzeszył szczególną bystrością umysłu, lecz teraz nawet on zdawał sobie sprawę, że w zimnej stajni dzieje się coś złego.

– Rób, co mówię! – warknął ksiądz.

– To nie w porządku – obstawał przy swoim Michael.

– Och, na litość boską! – rzekł gniewnie sir Martin, odpychając młodzieńca na bok i chwytając dziewczynę za kołnierz. Sara wydała z siebie krótki, rozpaczliwy skowyt, który nawet nie był krzykiem, i próbowała się wyrwać. Oniemiały z przerażenia Michael tylko się temu przyglądał, lecz w głowie Nicholasa Hooka wciąż rozbrzmiewało echo tajemniczego głosu, a przed jego oczyma nadal stała wizja raju, więc zrobił jeden szybki krok naprzód i wpakował pięść prosto w brzuch kapłana z taką siłą, że sir Martin zgiął się wpół z pełnym bólu i zdumienia jękiem.

– Nick?! – krzyknął Michael, osłupiały na widok tego, co zrobił jego brat.

Hook wziął dziewczynę pod ramię i już niemal odwrócił się w stronę swego okna.

– Pomocy! – zawołał sir Martin. Wciąż brakowało mu tchu i jego głos drżał jeszcze z bólu. – Na pomoc!

Hook odwrócił się, aby go uciszyć, lecz wtedy Michael stanął pomiędzy nim a kapłanem.

– Co robisz, Nick?! – krzyknął raz jeszcze jego młodszy brat i właśnie wtedy nadbiegli obydwaj Perrillowie.

– Podniósł na mnie rękę! – rzekł ojciec Martin tonem bezgranicznego zdumienia. Tom Perrill uśmiechnął się szeroko, podczas gdy jego młodszy brat, Robert, wyglądał na równie zmieszanego jak Michael. – Trzymajcie go! – rozkazał ksiądz, prostując się z wyrazem bólu na swej podłużnej twarzy. – Trzymajcie tego łotra! – skrzeczał na wpół zduszonym głosem, wciąż usiłując złapać oddech. – Wyprowadźcie go stąd – dodał, dysząc jeszcze – i dobrze pilnujcie.

Hook pozwolił się wyprowadzić na podwórze. Jego brat poszedł za nim i stał obok z żalną miną, patrząc na skazańców wiszących tuż za otwartą bramą, przez którą na tle nieba widać było, że zaczął zacinać drobny, lodowaty deszcz. Nick Hook nagle ochłonął. Podniósł rękę na kapłana, i to szlachetnie urodzonego kapłana, a przy tym krewniaka samego lorda Slaytona. Bracia Perrillowie szydzili teraz z niego, lecz ich słowa nie docierały w ogóle do Hooka, który słyszał jedynie trzask rozdzieranej sukni Sary i jej krzyk. Słyszał też, jak krzyk ten został stłumiony, a potem dobiegał go już tylko szelest siana, pomrukiwania sir Martina i płaczliwe westchnienia Sary. Spojrzał na wiszące nisko chmury i na równie gęsty i ciężki obłok dymu, unoszący się nad miastem i wiedział, że właśnie sprawił zawód samemu Bogu. Przez całe życie wszyscy wmawiali mu, że jest przeklęty, aż tu nagle, w tym ponurym miejscu kaźni, Bóg poprosił go, by zrobił jedną jedyną rzecz, a on i tak Go zawiódł. Wtem od strony targowiska dobiegło go głośnie westchnienie tłumu i domyślił się, że podpalono właśnie jeden ze stosów, aby posłać heretyka wprost do piekła, gdzie będzie się smażył w jeszcze straszliwszym ogniu piekielnym. Ogarnął go strach, że sam też tam trafi, ponieważ nawet nie kiwnął

palcem, aby ocalić niebieskookiego anioła przed bezdusznym księdzem, ale potem powiedział sobie, że dziewczyna jest heretyczką, i zaczął się zastanawiać, czy to czasem nie diabeł odezwał się w jego głowie. Ze stodoły słychać było teraz ciężki oddech Sary, który wkrótce przeszedł w szloch. Hook podniósł głowę i wystawił twarz na wiatr i lodowatą mżawkę.

Ze stodoły wyszedł sir Martin, uśmiechnięty i szczęśliwy jak nakarmione prosię. Sutannę miał podkasaną do pasa, ale zaraz ją opuścił.

– Widzicie? – rzekł. – Nie trwało to zbyt długo. Chcesz ją, Tom? – zwrócił się do starszego z braci Perrillów. – Jest twoja, jeśli chcesz. Ależ z niej mała diablica! Jak już z nią skończysz, poderżnij jej gardło.

– Nie będziemy jej wieszać, ojczy? – spytał Tom Perrill.

– Po prostu zabij tę sukę – powiedział ksiądz. – Sam bym to zrobił, gdyby nie to, że Kościół nie morduje ludzi. Przekazujemy ich tylko władzy świeckiej, którą reprezentujesz tutaj ty, Tom. Więc idź i wychędoż tę heretycką dziwkę, a potem poderżnij jej gardło. A ty, Robercie, pilnuj Hooka. Odejdź stąd, Michaelu! Ty nie masz z tym nic wspólnego, więc idź sobie!

Michael się zawahał.

– Idź! – rzekł znużonym tonem jego brat. – Po prostu stąd odejdz!

Robert Perrill przytrzymał na plecach złożone ręce Hooka. Nick mógłby się z łatwością uwolnić, ale wciąż jeszcze wstrząśnięty był tym, że usłyszał jakiś głos w swojej głowie, oraz własną głupotą, która kazała mu uderzyć sir Martina. Groził mu za to stryzyk, lecz sir Martinowi nie wystarczała jego śmierć, więc podczas gdy Robert Perrill nadal trzymał Hooka, kapłan zaczął okładać go pięściami. Nie był może zbyt silny, nie posiadał potężnych mięśni łuczника, ale miał za to w sobie mnóstwo nienawiści, a także ostre, kościste kłykcie, które raz za razem wbijał z pasją Hookowi w twarz.

– Ty kurewski pomiole! Ty kupo gówna! – sir Martin splunął i uderzył raz jeszcze, usiłując podbić Hookowi oko. – Jesteś już trupem, Hook! – wrzeszczał przy tym. – Już ja zadbam o to, żebyś też tak wyglądał! – warknął, wskazując najbliższy stos. Pal spowity był co prawda chmurą dymu, lecz płomienie pełgały na razie tylko u stóp stosu i poprzez ten szary obłok widać było ludzką postać, wyprężoną jak napięty łuk. – Ty draniu! – wrzasnął sir Martin, zadając kolejny cios. – Twoja matka była zwykłą kurwą, która nie umiała trzymać nóg razem, i wysrała cię na ten świat, jak przystało na taką dziwkę!

Raz jeszcze uderzył Hooka, a wtedy przez spowijającą stos chmurę dymu przebił się pierwszy jęzor jasnego płomienia i na targowisku rozległ się wrzask przypominający ryk kastrowanego niedźwiedzia.

– Cóż tu się, na Boga, dzieje? – spytał sir Edward, który usłyszał gniewne okrzyki księdza i przyszedł na podwórze stajni, żeby poznać ich przyczynę.

Kapłan wciąż jeszcze trząsał się ze złości. Kłykcie miał zakrwawione. Zdołał porozcinać Hookowi wargi i puścić trochę krwi z nosa, ale nic więcej nie wskórał. Jego szeroko otwarte oczy nadal pełne były gniewu i oburzenia, lecz Hookowi zdawało się, że w ich głębi dostrzega obłęd i opętanie.

– Hook podniósł na mnie rękę – wyjaśnił sir Martin – i ma za to wisieć.

Sir Edward przeniósł spojrzenie z oburzonego księdza na zakrwawionego łucznika.

– O tym już zadecyduje lord Slayton – rzekł.

– Na pewno każe go powiesić, nieprawdaż? – warknął sir Martin.

– Uderzyłeś sir Martina? – spytał Hooka sir Edward.

Nick tylko skinął głową. Wciąż jeszcze się zastanawiał, czy tam, w stajni, przemówił do niego Bóg czy diabeł.

– Uderzył mnie! – rzekł sir Martin, a potem w nagłym przypływie gniewu rozerwał na pół opończę na piersi Hooka, oddzielając zarazem półksiężyc od gwiazd. – Nie jest godzien tego nosić! – zawołał ksiądz, ciskając podartą opończę wprost w błoto. – Znajdź jakiś sznur – rozkazał Robertowi Perrillow. – Sznur albo cięciwę, a potem zwiąż mu ręce! I odbierz mu miecz!

– Miecz wezmę ja – rzekł sir Edward. Wyjął z pochwy broń Hooka, będącą własnością lorda Slaytona. – Zostaw go mnie, Perrill – rozkazał, po czym odciągnął Nicka na bok, do bramy wiodącej na podwórze. – Co tu się stało?

– On chciał zgwałcić tę dziewczynę, sir Edwardzie – powiedział Hook. – W końcu i tak to zrobił!

– No pewnie, że ją zgwałcił – odrzekł sir Edward zniecierpliwionym tonem. – Taki już jest nasz wielebny sir Martin.

– A do mnie przemówił Bóg... – wypalił Nick.

– Co takiego? – sir Edward spojrzał na Hooka w taki sposób, jakby łucznik właśnie stwierdził, że niebo zmieniło się w maślanekę.

– Bóg do mnie przemówił – wybąkał Hook z żalną miną. Bynajmniej nie brzmiał przy tym przekonująco.

Sir Edward nie odezwał się ani słowem. Przypatrywał się Hookowi jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się, by spojrzeć na targowisko, na którym ucichły już krzyki palonego na stosie heretyka. Teraz zwiślał on z pala, a jego włosy na krótką chwilę zapłonęły jeszcze jaskrawym płomieniem. Potem przepaliły się liny, którymi był przywiązany do słupa, i jego spowite ogniem

ciało spadło na ziemię. Dwaj zbrojni chwycili za widły i wepchnęli tłące się zwłoki na powrót w morze płomieni.

– Usłyszałem jakiś głos – obstawał przy swoim Hook.

Sir Edward lekceważąco skinął głową, jak gdyby dając do zrozumienia, że już to do niego dotarło, ale nie ma ochoty słuchać dalej.

– Gdzie twój łuk? – spytał nagle, wciąż patrząc na spowitą dymem, płonąca postać.

– W głównej izbie gospody, sir Edwardzie, tam gdzie wszystkie.

Sir Edward odwrócił się w stronę bramy wiodącej na podwórze gospody, na którym pojawił się właśnie uśmiechnięty od ucha do ucha Tom Perrill, z przedramieniem ubabranym krwią.

– W takim razie rozkazuję ci tam pójść – rzekł ściszym głosem sir Edward – i czekać. Będziesz na nas czekał, żebyśmy mogli związać ci ręce i zabrać cię do domu, by tam postawić cię przed dworskim sądem, a potem powiesić na dębie przed kuźnią.

– Tak jest, sir Edwardzie – przytaknął ponurym tonem Hook.

– Nie wolno ci natomiast wyjść przez główne drzwi gospody – kontynuował sir Edward, wciąż cicho, lecz jakby dobitniej. – Nie udasz się też do samego centrum miasta, Hook, i nie odnajdziesz ulicy, która nazywa się Cheapside, ani nie będziesz szukał gospody „Pod Dwoma Żurawiami”. Nie wejdiesz tam i nie zapytasz o człowieka, którego zważ Henrykiem z Calais. Słyszysz, co do ciebie mówię, Hook?

– Tak, sir Edwardzie.

– Henryk z Calais werbuje łuczników – rzekł sir Edward. Człowiek w barwach królewskich zbliżał się właśnie z płonąca szczapą ku drugiemu ze stosów, gdzie czekał na śmierć drugi przywódca lollardów przywiązany do wysokiego pala. – W Pikardii potrzebują teraz łuczników – dodał sir Edward – i płacą im całkiem dobre pieniądze.

– W Pikardii... – Hook powtórzył obojętnym tonem tę obco brzmiącą nazwę. Pomyślał, że to pewnie jakieś miasto w innej części Anglii.

– Zarób sobie trochę pieniędzy w Pikardii, Hook – rzekł sir Edward – ponieważ Bóg jeden wie, jak bardzo będą ci potrzebne.

Hook wahał się przez chwilę.

– Czy jestem banitą? – spytał z niepokojem w głosie.

– Jesteś już trupem, Hook – odparł sir Edward – a martwi są poza prawem. Jesteś już trupem, ponieważ ja rozkazuję ci czekać w gospodzie, skąd zostaniesz zabrany do domu i postawiony przed

dworskim sądem, a wtedy lord Slayton nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko kazać cię powiesić. Idź więc i zrób, co ci przed chwilą powiedziałem.

Zanim jednak Hook zdążył się oddalić, na najbliższym rogu ulicy podniosła się jakaś wrzawa.

– Czapki z głów! – słychać było raz za razem. – Czapki z głów!

Te okrzyki i tętent kopyt obwieściły przybycie kilkunastu jeźdźców, którzy wjechali na obszerne targowisko, gdzie ich konie ustawiły się w wachlarz, zatańczyły w miejscu, a po chwili się uspokoiły. Para buchała zwierzętom z nozdrzy, gdy tak stały, grzebiąc kopytami w bloku targowiska. Kobiety i mężczyźni pospiesznie zrywali nakrycia głowy i klękali gdzie popadło.

– Na kolana, chłopcze – rzekł sir Edward do Hooka.

Dowódca oddziału jeźdźców był młody, niewiele starszy od Hooka, lecz z jego długonosego oblicza emanowała pogodna ufność i pewność siebie, gdy omiół swym zimnym spojrzeniem całe targowisko. Twarz miał pociągłą, oczy ciemne, a na jego ustach o cienkich wargach gościła zawziętość. Był starannie ogolony i wydawało się, że brzytwa pozostawiła na jego skórze otarcia aż do krwi. Jeździec ten dosiadał czarnego rumaka z bogatym rzędem z wypolerowanej skóry i lśniącego srebra. Miał na sobie czarne buty, czarne spodnie i czarną opończę oraz podszyty futrem płaszcz z ciemnopurpurowego materiału. Jego kapelusz z czarnego aksamitu ozdobiło czarne pióro, a u boku zawieszony miał miecz w czarnej pochwie. Potoczył wzrokiem dokoła, po czym popędził konia przed siebie, aby przyrzeć się kobiecie i trzem mężczyznom, którzy kurczyli się akurat i podrygiwali, zwisając na linach od kościelnych dzwonów, przewieszonych przez belkę nad wejściem do gospody „Pod Bykiem”. Nagły podmuch wiatru skierował obłok dymu i deszcz iskier prosto ku jego ogierowi, który zarżał i cofnął się, spłoszony. Jeździec uspokoił go, poklepując zwierzę po karku dłonią w czarnej rękawiczce. Hook zdołał przy tym dostrzec, że młodzieniec nosił na rękawiczkach pierścienie ze szlachetnymi kamieniami.

– Czy dano im szansę okazać skruchę? – spytał głośno jeździec.

– Nawet niejedną, miłościwy panie – odparł obłudnie sir Martin. Ksiądz wybiegł przed chwilą z podwórza gospody i przykląkł na jedno kolano. Zrobił znak krzyża, a jego wychudła twarz miała niemal świątobliwy wyraz, jak gdyby cierpiał przez wzgląd na swego Boga. Sir Martin potrafił przybrać taki wygląd, a wtedy jego oczy, w których majaczyło opętanie i jad piekielnej bestii, stawały się nagle pełne bólu, wyrozumiałości i współczucia.

– Zatem ich śmierć – oświadczył szorstkim tonem młody człowiek – podoba się Bogu, a także i mnie. Anglia zostanie oczyszczona z herezji! – zawołał. Spojrzenie jego inteligentnych, brązowych oczu spoczęło na moment na Nicku Hooku, który natychmiast spuścił wzrok i wpatrywał się w błoto aż do chwili, gdy odziany na czarno jeździec spiął konia ostrogami i podjechał do drugiego stosu, który niedawno został podpalony. Lecz zanim Hook pochylił głowę, zdołał dojrzeć na twarzy młodzieńca bliznę. Była to pamiątka po jakiejś bitwie, ślad po strzale, która utkwiała w kącie pomiędzy okiem a nasadą nosa. Powinna go zabić, lecz widocznie Bóg chciał, aby ten człowiek



przeżył.

– Wiesz, kto to jest, Hook? – spytał cicho sir Edward.

Hook nie miał pewności, choć nietrudno było się domyślić, że właśnie spotkał po raz pierwszy w życiu hrabiego Chester, księcia Akwitanii i władcę Irlandii. Na własne oczy ujrzał właśnie Henryka, z bożej łaski króla Anglii.

A także, zdaniem wszystkich tych, którzy szczyli się znajomością poplątanej genealogii królewskich rodów, prawowitego króla Francji.

Płomienie dosięgły właśnie drugiego z lollardów, który zaczął przeraźliwie krzyczeć. Henryk, piąty król Anglii o tym imieniu, spokojnie patrzył, jak dusza heretyka idzie prosto do piekła.

– Idź już, Hook – rzekł cicho sir Edward.

– Dlaczego, sir Edwardzie? – spytał jeszcze Hook.

– Dlatego, że lord Slayton nie chce twojej śmierci – odparł sir Edward. – Zresztą może rzeczywiście przemówił do ciebie Bóg, a wszyscy potrzebujemy Jego łaski, zwłaszcza w takim dniu, jak dziś. Idź już więc.

Zatem Nicholas Hook, łucznik i banita, poszedł, gdzie mu kazano.

*Część pierwsza*  
*Święty Kryspin*  
*i święty Kryspinian*

Przez rozległą dolinę, otoczoną niskimi, zalesionymi wzgórzami, wiała się leniwie rzeka Aisne. Była wiosna i zieleń świeżych liści drzew wręcz raziła w oczy. Tam gdzie rzeka wielkim zakolem oplatała miasto Soissons, w wodzie kołysały się wysokie zielska.

W otoczonym murami obronnymi mieście była katedra i zamek. Forteca ta strzegła traktu do Flandrii, wiodącego z Paryża na północ, lecz teraz znajdowała się w rękach wrogów Francji. Żołnierze garnizonu nosili na opończach sękaty czerwony krzyż burgundzki, zaś ponad zamkiem powiewał dumny sztandar Burgundii, podzielony na cztery pola, w których widniały na przemian królewski herb Francji oraz żółto-niebieskie pasy, a na środku chorągwi znajdował się wspięty lew.

Lew ten był właśnie w stanie wojny z francuskimi liliami, a Nicholas Hook nic z tego nie rozumiał.

– Nie musisz niczego rozumieć – powiedział mu w Londynie Henryk z Calais – choćby dlatego, że to nie twój cholerny interes. To ci przekłęci Francuzi poróżnili się pomiędzy sobą i to wszystko, co powinienes wiedzieć. Jedna ze stron płaci nam za to, żebyśmy dla niej walczyli, a ja najmuję łuczników i wysyłam ich do Francji, aby zabijali tam każdego, kogo im się zabić każe. Umiesz strzelać?

– Umiem.

– Może się o tym przekonamy, co?

Nicholas Hook rzeczywiście umiał strzelać z łuku, więc był teraz w Soissons, pod sztandarem z żółto-niebieskimi pasami, liliami i lwem. Nie miał pojęcia, gdzie leży Burgundia, wiedział jedynie, że włada nią książę zwany Janem bez Trwogi, a książę ten to stryjeczny brat króla Francji.

– A on jest szalony, ten ich król – powiedział Hookowi w Anglii Henryk z Calais. – Szurnięty jak kulawa tchórzofretka. Dureń myśli, że jest ze szkła. Boi się, że ktoś poklepie go po ramieniu, a on rozsypie się na tysiąc kawałków. Prawda jest taka, że ma kapuściany głąb zamiast mózgu, ot co, i walczy z księciem, który głupi nie jest. O tak, ten ma głowę na karku!

– Czemu ze sobą walczą?

– A skądże, na Boga, ja mam to wiedzieć? I co mnie to w ogóle obchodzi? Obchodzi mnie

jedynie to, synu, żeby bankierzy dostarczali mi na czas książęce pieniądze. Masz – rzekł i cisnął na stół w tawernie kilka srebrnych monet. Nieco wcześniej tamtego dnia Hook poszedł na pola przy szpitalu za londyńską Bramą Biskupią i posłał szesnaście strzał do worka słomy zawieszzonego na uschniętym drzewie w odległości stu pięćdziesięciu kroków. Strzelał tak szybko, że pomiędzy kolejnymi grotami trudno byłoby doliczyć do pięciu, ale i tak dwanaście spośród szesnastu strzał przeszło worek, podczas gdy pozostałe cztery lekko go musnęły.

– Nadasz się – orzekł z zazdrością Henryk z Calais, kiedy powiedziano mu o tym wyczynie.

Srebrne monety skończyły się jednak, nim jeszcze Hook opuścił Londyn. Nigdy nie czuł się taki samotny i nie był tak daleko od swej rodzinnej wioski, więc pieniądze poszły na piwo, karczemne dziwki i parę wysokich butów, które rozleciały się jeszcze na długo, zanim dotarł do Soissons. W czasie tej podróży po raz pierwszy ujrzał morze i nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom. Nadal zresztą usiłował sobie czasami przypomnieć, jak wyglądało. Wyobrażał sobie wówczas jezioro, ale takie jezioro, które nie miało drugiego brzegu i było bardziej wzburzone niż jakikolwiek akwen wodny, jaki dotychczas widział. Podróżował z dwunastoma innymi łucznikami, na których czekał już w Calais tuzin zbrojnych noszących barwy Burgundii, i Hook pamiętał, jak pomyślał, że muszą to być Anglicy, bo mieli na opończach żółte lilie, takie same, jak te, które widział na królewskich w Londynie. Jednak ludzie ci mówili dziwnym językiem, którego nie rozumiał ani on sam, ani jego towarzysze. Potem musieli iść pieszo aż do Soissons, ponieważ nie było pieniędzy, żeby kupić konie, podczas gdy w Anglii każdy łucznik oczekiwał, że dostanie wierzchowca od swego pana. W marszu towarzyszyły im dwa konne wozy, wyładowane zapasowymi łączyskami i grubymi, grzechoczącymi pękami strzał.

Jak na łuczników stanowili dość niecodzienną zbieraninę. Niektórzy z nich byli już starzy, kilku kulało od odniesionych przed laty ran, a większość piła na umór.

– Ja tam już ledwie zipię – powiedział Hookowi Henryk z Calais, nim jeszcze wypłynęli z Anglii – ale ty wyglądasz młodo, chłopcze. Co takiego przeskrobałeś?

– Przeskrobałem?

– Przecież jesteś tutaj nie bez powodu, nieprawdaż? Jesteś banitą?

Hook skinął głową.

– Tak myślę – rzekł.

– Tam myślisz?! Albo jesteś banitą, albo nie. Więc co takiego przeskrobałeś?

– Podniosłem rękę na księdza.

– Naprawdę? – Henryk, tęgi, łysy mężczyzna o zgorzkniałym i nieprzeniknionym obliczu, przez chwilę wydawał się zainteresowany, lecz potem wzruszył tylko ramionami.

– Ostatnio lepiej być ostrożnym wobec Kościoła, chłopcze. Klechy skłonne są za byle co posłać człowieka na stos. Zresztą tak jak król. Twardy drań z naszego małego Henryka. Widziałeś go kiedyś?

– Jeden raz – odrzekł Hook.

– A tę bliznę na jego twarzy? Ugodziła go tam strzała, w sam policzek, ale i tak go nie zabiła! Od tego czasu jest przekonany, że Bóg jest jego najlepszym przyjacielem, a teraz uparł się, że będzie palił jego nieprzyjaciół. No dobrze, jutro pomożesz przynieść strzały z zamku, a potem popłyniecie do Calais.

Tak oto Nicholas Hook, łucznik i banita, wyruszył do Soissons, gdzie nosił sękaty czerwony krzyż burgundzki i przechadzał się po wysokich murach obronnych miasta. Należał do angielskiego kontyngentu wynajętego przez księcia Burgundii i dowodzonego przez pewnego wyniosłego rycerza nazwiskiem sir Roger Pallaire. Hook jednak rzadko widywał swego dowódcę, gdyż rozkazy wydawał mu zazwyczaj setnik Smithson, który przesiadywał w tawernie zwanej *L'Oie* – „Pod Gęsią”.

– Wszyscy nas tutaj nienawidzą – rzekł Smithson na powitanie swych nowo przybyłych żołnierzy – więc nie włóczcie się nocą po mieście, chyba że chcecie dostać nożem w plecy.

Garnizon składał się z Burgundczyków, lecz mieszkańcy Soissons byli wierni swemu obłąkanemu władcy, Karolowi VI, królowi Francji. Nawet po trzech miesiącach spędzonych w tym warownym mieście Hook nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego Burgundczycy i Francuzi tak się nienawidzą, gdyż jemu wydawali się wręcz nie do odróżnienia. Mówili tym samym językiem, a w dodatku, jak mu powiedziano, księżę Burgundii był nie tylko kuzynem szalonego króla, lecz także teściem delfina Francji.

– Kłótnia rodzinna, chłopcze – powiedział mu John Wilkinson – czyli najgorsza awantura, jaka może się człowiekowi przydarzyć.

Wilkinson był starym człowiekiem, liczącym sobie co najmniej czterdzieści lat, i wyrabiał łuki i strzały dla angielskich łuczników wynajętych przez burgundzki garnizon. Mieszkał w stajniach oberży „Pod Gęsią”, gdzie na ścianie wisiały w nienagannym porządku wszystkie jego pilniki, piły, strugi, dłuta i ciesielskie topory. Wilkinson poprosił Smithsona, żeby dał mu kogoś do pomocy, więc wybrano Hooka jako najmłodszego z nowo przybyłych.

– Ty przynajmniej znasz się na rzeczy – rzucił mu niechętnie pierwszy komplement Wilkinson. – A tu trafiają przeważnie śmiecie. Zarówno ludzie, jak i broń. Same śmiecie. Uważają się za łuczników, ale połowa z nich nie potrafi nawet z pięćdziesięciu kroków trafić w beczkę. A ten cały sir Roger? – Starzec splunął z obrzydzeniem. – Jest tutaj tylko dla pieniędzy. W kraju wszystko stracił. Słyszałem, że ma ponad pięćset funtów długu! Pięćset funtów! Potrafisz sobie w ogóle wyobrazić taką sumę? – Wilkinson wziął do ręki jedną ze strzał i pokręcił swą siwą głową. – I my musimy walczyć dla sir Rogera takim szmelcem!

– Strzały były od króla – zachnął się Hook. W końcu sam pomógł wynosić je z podziemi londyńskiego zamku.

Wilkinson tylko uśmiechnął się szeroko.

– W takim razie Henryk, oby Bóg ocalił jego duszę, znalazł widocznie trochę strzał z czasów starego króla Edwarda. „Wiem, co z nimi zrobię – powiedział sobie pod nosem. – Sprzedam te beużyteczne strzały Burgundczykowi!” – rzekł Wilkinson, po czym cisnął trzymaną w dłoni strzałę w kierunku Hooka. – Spójrz tylko!

Strzała, wykonana z jesionowego drewna i dłuższa od ramienia Nicka, była wykrzywiona.

– Krzywa – orzekł Hook.

– Krzywa?! Garbata jak biskup! Tym się nie da strzelać! Chyba że zza węgła!

W stajni Wilkinsona było gorąco. W okrągłym ceglany palenisku, na którym stał dymiący kocioł wrzątku, ciągle tlił się ogień. Starzec wziął od Hooka skrzywioną strzałę i położył ją wraz z tuzinem innych na kotle, po czym ostrożnie ułożył na jesionowych drzewcach grubo złożony kawałek tkaniny i obciążył go na środku kamieniem.

– Trzymam je chwilę nad parą, chłopcze – wyjaśnił Wilkinson – potem trochę je obciążam i przy odrobinie szczęścia udaje mi się je wyprostować. A potem, pod działaniem pary, odpadają im lotki. Zresztą połowa i tak nie jest nawet opierzona!

Pod drugim, nieco mniejszym kotłem, z którego cuchnęło klejem kostnym, płonął koksia. Wilkinson używał tego kleju, przyklejając na powrót gęsie pióra.

– W dodatku nie ma jedwabiu – skarżył się – więc muszę używać zwierzęcych ścięgien.

Ścięgnami mocował pióra do ogona strzały, wzmacniając klej.

– Ale ścięgna są do niczego – sarkał wciąż Wilkinson. – Wysychają, kurczą się, a w końcu kruszą. Powiedziałem sir Rogerowi, że potrzebna nam jedwabna nić, ale on tego nie rozumie. Myśli, że strzała to po prostu strzała, i tyle, ale wcale tak nie jest.

Zawiązał ścięgno na węzeł, po czym obrócił strzałę, żeby przyjrzeć się wycięciu z tyłu drzewca, w które przy strzale miała wejść cięciwa. Szczelina ta wzmocniona była kawałkiem rogu, zapobiegającym rozszczepieniu jesionowego drzewca na dwoje przez konopną cięciwę łuku. Rogowa płytki ani drgnęła, gdy Wilkinson usiłował ją poluzować, więc mruknął tylko z niejakim zadowoleniem, po czym wyjął kolejną strzałę z usztywnionego skórzanego dysku. Dwa takie dyski z wycięciami na krawędziach zawierały po dwa tuziny strzał, trzymając je zarazem tak daleko od siebie, żeby delikatne lotki z gęsich piór nie połamały się podczas transportu.

– Pióra i róg, jesion i jedwab, stal i pokost – rzekł łagodnie Wilkinson. – Możesz mieć nawet

najlepszy łuk i równie dobrego strzelca, ale jeśli brak ci tego wszystkiego – piór i rogu, jesionowego drewna i jedwabiu, stali i pokostu, to możesz równie dobrze pluć w stronę wroga. Zabiłeś kiedyś człowieka, Hook?

– Tak.

Wilkinson wychwycił w jego głosie buńczuczny ton i uśmiechnął się szeroko.

– To było morderstwo czy bitwa? Zabiłeś kiedyś człowieka w bitwie?

– Nie – przyznał Hook.

– A zabiłeś kiedyś człowieka z łuku?

– Jednego, kłusownika.

– Strzelał do ciebie?

– Nie.

– Więc nie jesteś jeszcze łucznikiem, co? Zabij człowieka w bitwie, Hook, a będziesz mógł mówić, że jesteś łucznikiem. W jaki sposób ostatnio zabiłeś człowieka?

– Powiesiłem go.

– A dlaczego to zrobiłeś?

– Bo on był heretykiem – wyjaśnił Hook.

Wilkinson przecesał dłonią swe rzadziejące, siwe włosy. Był chudy jak szczapa, a w jego ponurym obliczu tkwiło dwoje przenikliwych oczu, które wpatrywały się teraz wyzywająco w Hooka.

– Powiesiłeś więc heretyka? – spytał. – Widocznie ostatnio w Anglii brakuje im już chrustu, co? A kiedyż to dokonałeś tego odważnego czynu?

– Zeszłej zimy.

– Więc to był lollard, prawda? – spytał Wilkinson, po czym uśmiechnął się z politowaniem, kiedy Hook potwierdził skinieniem głowy. – Powiesiłeś więc człowieka, ponieważ nie zgadzał się z Kościołem w kwestii kawałka chleba? „Jam jest chlebem żywym, który zstąpił z nieba” – mówi Pan. Nie rzekł ani słowa o tym, żeby miał być martwym chlebem na księżej patenie, nieprawdaż? Nie powiedział też, że jest spleśniałym chlebem, prawda? Nie. Powiedział, że jest chlebem żywym, synu, ale ty na pewno wiedziałeś lepiej od Niego, co masz zrobić.

Hook usłyszał wyzywający ton w słowach starca, ale nie czuł się na siłach, by podjąć to

wyzwanie, więc nie odezwał się ani słowem. Nigdy dotąd nie troszczył się zanedo o religię i Boga, przynajmniej do chwili, kiedy usłyszał głos w swojej głowie, a zresztą teraz zastanawiał się czasami, czy rzeczywiście słyszał ów głos. Pamiętał dziewczynę w stajniach londyńskiej oberży, to, jak błagała go wzrokiem o pomoc, i to, że ją zwiódł. Pamiętał też smród palonych ciał i dym, ścielący się nisko na łagodnym wietrze i wirujący wokół lilii i lampartów na angielskim herbie. I pamiętał też zawzięty i bezlitosny wyraz naznaczonej blizną twarzy młodego króla.

– Przynajmniej z tej możemy zrobić porządnego zabójcę – rzekł Wilkinson, biorąc do ręki strzałę z wykrzywionym grotem. – W sam raz, żeby posłać do piekła duszę jakiegoś szlachcica – dodał.

Położył strzałę na drewnianym kłocu i wybrał jeden ze swych noży, sprawdzając na paznokciu kciuka, czy jest dostatecznie ostry. Jednym szybkim ruchem odciął pierwsze sześć cali drzewca, po czym cisnął w stronę Hooka.

– Zajmij się czymś, chłopcze, i zdejmij ten grot.

Grot strzały był wąskim kawałkiem stali, nieco dłuższym od środkowego palca Hooka, trójgraniastym i ostro zakończonym, ale pozbawionym zadziórów. Był ponadto cięższy od większości żeleziec, ponieważ wykonano go z myślą o przebijaniu pancerza i wystrzelony z niewielkiej odległości z jednego z tych olbrzymich łuków, jakie napiąć potrafił jedynie mężczyzna umięśniony niczym Herkules, przebiłby z łatwością nawet najlepszą płytową zbroję. Jednym słowem, ten kawałek metalu był prawdziwym postrachem rycerzy. Hook szarpał się z nim dopóty, dopóki spoiwo w tulejce nie puściło, uwalniając ostrze.

– Wiesz, jak się utwardza takie groty? – spytał Wilkinson.

– Nie – odparł Nick.

Wilkinson wciąż pochylony był nad kikutem strzały. Przy pomocy małej piły, o ostrzu nie dłuższym od jego małego palca, wykonywał teraz w odciętym końcu głębokie nacięcie w kształcie klina.

– Robi się to tak – rzekł, nie odrywając wzroku od swego zajęcia – że przy wytopie żelaza rzuca się na palenisko kości. Tak, chłopcze, kości. Wysznięte, martwe kości. Dlaczego w takim razie kości na płonących węglach miałyby zmieniać żelazo w stal?

– Nie wiem.

– Ja też nie, ale tak właśnie się dzieje. Kości i węgiel – rzekł Wilkinson. Uniósł do góry naciętą już strzałę, wydmuchał ze szczeliny resztki pyłu i z zadowoleniem skinął głową. – Znałem jednego człowieka z Kent, który używał do tego ludzkich kości. Uważał, że najlepszą stal daje dziecięca czaszka, i może nawet miał rację. Łajdak wykopywał je z grobów na cmentarzach, łamał na kawałki i palił nimi w swoim palenisku. Dziecięcymi czaszkami i węglem! Ależ to był popapraniec! Ale te jego strzały rzeczywiście potrafiły zabijać, nie ma co! One nie przebijały zbroi, tylko

przechodziły przez nią jak szept! – To mówiąc, Wilkinson wybrał sześciocalowe ostrze z dębowego drzewa. Jeden z końców miał już kształt klina, który dopasował teraz do nacięcia w jesionowym drzewcu. – Spójrz na to – rzekł z dumą, unosząc w górę powstały w ten sposób pocisk. – Pasuje idealnie. Zbyt długo już się tym zajmuję! – Wyciągnął rękę po grot, który zamocował na dębowym ostrzu strzały. – Teraz jeszcze to wszystko skleję – rzekł – i będziesz mógł nią kogoś zabić. – Przez chwilę przyglądał się strzale z podziwem. Dębowe drewno sprawiało, że ostrze było jeszcze cięższe, a ciężar stali i drewna miał ułatwić strzale przebicie płytowej zbroi. – Wierz mi, chłopcze – ciągnął dalej ponurym tonem – że już niedługo będziesz musiał zabijać.

– Tak?

Wilkinson parsknął ponurym śmiechem.

– Król Francji może sobie być szalony, ale nie pozwoli, żeby księżę Burgundii odebrał mu Soissons. Jesteśmy zbyt blisko Paryża! Już wkrótce będą tu ludzie króla, a jeśli wedrą się do miasta, chłopcze, uciekaj na zamek. A jeśli i tam się dostaną, to lepiej ze sobą skończ. Francuzi nie przepadają za Anglikami, a już angielskich łuczników szczerze nienawidzą, i jeśli cię złapią, chłopcze, to będziesz umierał z wrzaskiem – rzekł Wilkinson i podniósł wzrok na Hooka. – Mówię poważnie, młody Hooku. Lepiej poderżnąć sobie gardło, niż dać się złapać Francuzom.

– Jeśli nadejdą, to ich przegonimy – oświadczył Nick.

– Przegonimy ich? Na pewno? – spytał z cierpkim uśmiechem Wilkinson. – Módl się, żeby to armia księcia nadeszła wcześniej, bo jeśli pierwsi przyjdą Francuzi, młody Hooku, znajdziemy się w pułapce, jak szczury w maślnicy.

Tak więc każdego ranka Hook stawał na murach ponad bramą i spoglądał na drogę wiodącą wzdłuż rzeki Aisne w kierunku Gompiegne. Jeszcze więcej czasu spędzał jednak, gapiąc się na podwórze jednego z wielu domostw wzniesionych za murami. Był to dom farbiarza, stojący tuż przy fosie, i codziennie rudowłosa dziewczyna rozwieszała tam na długim sznurku świeżo barwione tkaniny, aby wyschły, podnosząc przy tym czasami wzrok i machając do Hooka lub do innych łuczników, którzy gwizdali na nią w odpowiedzi. Pewnego dnia starsza kobieta spostrzegła, jak dziewczyna do nich macha, i wymierzyła jej siarczysty policzek za to, że spoufala się ze zniechęconymi cudzoziemskimi najemnikami, ale nazajutrz rudowłosa znów kręciła tyłkiem ku uciesze widzów. A kiedy się nie pokazywała, Hook wypatrywał na drodze odbłasków słońca na pancierzach lub nagłego pojawienia się jaskrawych sztandarów, które obwieściłoby nadejście armii księcia lub, co gorsza, nieprzyjacielskiego wojska, ale jedynymi żołnierzami, jakich zdołał dostrzec, byli Burgundczycy z miejskiego garnizonu, zwożący do miasta żywność. Czasami tym oddziałom aprowizacyjnym towarzyszyli angielscy łucznicy, ale nie napotykali wrogów, jeśli nie liczyć okolicznych mieszkańców, którym kradli ziarno i żywy inwentarz. Gdy nadchodzili Burgundczycy, chłopci chowali się po lasach, lecz mieszkańcy Soissons nie mieli gdzie się ukryć, kiedy żołnierze przetrząsali ich domy w poszukiwaniu żywności. Pan Enguerrand de Bournonville, burgundzki dowódca, spodziewał się nadejścia Francuzów z początkiem lata i zamierzał przetrwać długie oblężenie, więc gromadził w katedrze ziarno i solone mięsiwo, aby mieć czym żywić garnizon i



mieszczan.

Nick Hook pomagał znosić żywność do katedry, w której już niebawem zaczął się unosić zapach ziarna, choć nawet przez ten intensywny aromat przebijała zawsze woń wyprawionej skóry, ponieważ Soissons słynęło z wyrobów swych szewców, siodlarzy i garbarzy. Doły do farbowania znajdowały się na południe od miasta i kiedy wiał ciepły wiatr, powietrze przenikał smród uryny, w której moczono skóry. Hook często przechadzał się po katedrze, gapiąc się na jej malowane ściany lub bogate ołtarze, zdobione srebrem, złotem, emalią i pięknie wyszywanymi jedwabiami i lnianymi obrusami. Nigdy wcześniej nie był w katedrze i jej ogrom, cienie pełzające po wysokich sklepieniach oraz panująca wśród kamieni cisza budziły w nim pełne niepokoju przecucie, że życie to coś więcej niż tylko łuk, strzały i mięśnie niezbędne do tego, aby ich używać. Nie był pewien, o co dokładnie chodziło, ale świadomość ta narodziła się w nim jeszcze w Londynie, gdy przemówił doń pewien starszy mężczyzna, łucznik, i kiedy w jego głowie zabrzmiał tajemniczy głos. Pewnego dnia, odczuwając jakiś niepokój, ukląkł przed figurą Matki Boskiej i zaczął błagać ją o przebaczenie za to, że w Londynie nie zrobił tego, co zrobić należało. Podniósł wzrok na jej zasmuconą nieco twarz i wydało mu się, że jej oczy, błyszczące od białej i niebieskiej farby, wpatrują się w niego z wyrzutem. „Przemów do mnie” – szeptał, ale w jego głowie nie odezwał się żaden głos. „Nie będzie przebaczenia za śmierć Sary” – pomyślał. Zawiódł samego Boga. Zaiste, był przeklęty.

– Myślisz, że ona może ci pomóc? – wyrwał go z modlitewnego skupienia czyjś cierpki głos. Hook odwrócił się i ujrzał Wilkinsona.

– Jeśli nie ona, to kto? – zapytał.

– Może jej syn? – podsunął nieco uszczypliwie Wilkinson. Starzec rozejrzał się chyłkiem dokoła. Pół tuzina księży odprawiało msze przy bocznych ołtarzach, lecz oprócz nich w katedrze były jedynie zakonnice, przechodzące pospieszenie w poprzek szerokiej nawy głównej pod czujnym okiem towarzyszących im kapłanów. – Biedactwa! – rzekł Wilkinson.

– Biedactwa?

– Myślisz, że one chcą być zakonnicami? Umieścili je tutaj ich rodzice, żeby oszczędzić im kłopotów. To bękartki bogaczy, chłopcze, zamknięte w klasztorze po to, żeby same nie mogły rodzić bękartów. Chodź za mną, chcę ci coś pokazać – rzekł Wilkinson i nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę głównego ołtarza katedry, który wznosił się, złoty i lśniący, pod zachwycającymi rzędami sklepionych okien w półkoliście zakończonym prezbiterium po wschodniej stronie świątyni. Wilkinson ukląkł przy ołtarzu i z nabożną czcią pochylił głowę.

– Zajrzyj do tych skrzynek, chłopcze – rozkazał Hookowi.

Nick wspiał się po stopniach ołtarza, na którym, po obydwu stronach złotego krucyfiks, stały srebrne i złote relikwiarze. Większość z nich miała wieka z kryształu i przez te zniekształcające nieco widok okna Hook dojrzał w nich skrawki skóry.

– Co to takiego? – spytał.

– Buty, chłopcze – odparł przytłumionym głosem Wilkinson, wciąż klęcząc z pochyloną głową.

– Buty?

– Takie coś, co zakładasz na stopy, młody Hooku, żeby ci błoto między palce nie włożyło.

Skóra wyglądała na starą, była szerniała i wysuszona. W jednym z relikwiarzy przechowywano pomarszczony bucik, tak mały, że Hook uznał, iż musi to być chyba dziecięcy trzewik.

– Ale dlaczego buty? – spytał.

– Słyszałeś o świętym Kryspinie i świętym Kryspinianie?

– Nie.

– To patroni szewców i rymarzy, chłopcze. Te buty to ich robota, a przynajmniej tak się mówi. Obaj mieszkali w tym mieście i prawdopodobnie też tutaj ich zabito. Zginęli męczeńską śmiercią, chłopcze, jak ten starzec, którego spaliłeś w Londynie.

– Ależ on był...

– ...heretykiem, tak, wiem. Już mówiłeś. Ale każdy męczennik, i każda męczennica, zginęli dlatego, że ktoś silniejszy nie zgadzał się z tym, w co oni wierzyli. Nawet sam Chrystus, chłopcze, nawet nasz Pan Jezus, ukrzyżowany został za herezję! Jak myślisz, z jakiego innego powodu przybili Go do krzyża? – rzekł Wilkinson. – Kobiety też tam zabijałeś? – spytał po chwili.

– Nie – odparł z niepokojem Nick.

– Ale były tam też kobiety? – spytał Wilkinson, spoglądając na Hooka. Wyczytał odpowiedź na jego obliczu i skrzywił się. – Och, jestem pewien, że Bóg był zachwycony tym, co się wtedy działo! – Starzec pokręcił głową ze wstrętem, po czym sięgnął do wiszącej u pasa sakiewki. Wyjął z niej garść czegoś, co Hook uznał za monety, i wrzucił je do stojącej przy ołtarzu wielkiej miedzianej puszki na ofiary od pielgrzymów. Jakiś ksiądz przypatrywał się dotąd podejrzliwie dwóm angielskim łucznikom, lecz na dźwięk metalu podzwaniającego o metal wyraźnie się uspokoił. – To tylko groty – wyjaśnił Wilkinson, szczerząc zęby w uśmiechu. – Stare, porzewiałe myśliwskie groty, które już na nic się nie przydadzą. To może teraz uklęknieš i pomodlisz się do Kryspina i Kryspiniana?

Hook się zawahał. Był pewien, że Bóg musiał widzieć, jak Wilkinson wrzuca do puszki bezwartościowe groty zamiast monet, i nagle groźba ogni piekielnych wydała mu się bardzo bliska, więc pośpiesznie wyjął monetę z własnej sakiewki i wrzucił ją do miedzianej puszki.

– Grzeczny chłopczyk! – pochwalił go Wilkinson. – Biskup na pewno się ucieszy. Wystarczy mu chyba na kufel piwa, co?

– Dlaczego mam się modlić do Kryspina i Kryspiniana? – spytał Hook.

– Ponieważ to tutejsi święci, chłopcze. To właśnie ich zadanie: wysłuchiwać modlitw z Soissons, więc to najlepsi święci, do jakich możesz się tutaj modlić.

Hook zatem ukląkł i zaczął modlić się do świętego Kryspina i świętego Kryspiniana, aby wybłagali mu przebaczenie za grzech, jaki popełnił w Londynie, i prosił, aby mieli go w swej opiece w tym mieście, w którym ponieśli męczeńską śmierć, i pozwolili mu wrócić cało do Anglii. Modlitwa nie wydawała mu się co prawda tak żarliwa jak te, które kierował wcześniej do matki Chrystusa, lecz i tak uznał, że warto pomodlić się do tych dwóch świętych, gdyż to ich miasto, i z pewnością będą w sposób szczególny czuwać nad kimś, kto modli się do nich w Soissons.

– Ja już skończyłem, chłopcze – oświadczył radośnie Wilkinson. Upychał właśnie coś do kieszeni, a Hook, podchodząc z boku do ołtarza, ujrzał, że koniec obrusa, który zwisał na ziemię, jest wystrzępiony i poszarpany, ponieważ ktoś bezceremonialnie wyciął zeń wielki kwadrat materii. Starzec uśmiechnął się szeroko. – Jedwab, chłopcze, jedwab! Potrzebna mi jedwabna nić do wyrobu strzał, więc właśnie ją sobie ukradłem.

– Samemu Bogu sprzed ołtarza?

– Jeśli Boga nie stać na kilka jedwabnych nitek, chłopcze, to rzeczywiście jest w nie lada tarapatach. A ty powinieneś się cieszyć. Chcesz zabijać Francuzów, młody Hooku? Módl się zatem, żebym miał dość jedwabnej nici do wiązania lotek twoich strzał.

Lecz Hook nie miał już okazji pomodlić się w tej intencji, gdyż nazajutrz, w promieniach wschodzącego słońca, nadeszli Francuzi.

Garnizon wiedział, że się zbliżają. W mieście słyszano już o kapitulacji Compiègne, kolejnej warowni opanowanej przez Burgundczyków, i teraz Soissons było jedyną fortecą, która zagradzała Francuzom drogę w głąb Flandrii, gdzie rozłożyły się obozem główne siły burgundzkiej armii. Do miasta docierały meldunki o tym, że francuskie wojska posuwają się na wschód wzdłuż rzeki Aisne.

A potem, nagle, w słoneczny letni poranek, Francuzi stanęli pod murami Soissons.

Hook obserwował ich przybycie z szanców po zachodniej stronie miasta. Najpierw pojawili się jeźdźcy. Mieli na sobie zbroje i jaskrawe opończe, a kilku zagalopowało się aż pod mury, jakby chcieli sprowokować stojących na nich łuczników do strzału. Niektórzy kusznicy posłali nawet ku nim kilka bełtów, lecz nie trafili żadnego jeźdźca ani konia.

– Oszczędzajcie strzały! – nakazał angielskim łucznikom setnik Smithson. Przechodząc obok, pstryknął palcem w napięty już łuk Hooka. – Nie strzelaj, chłopcze – rzekł. – Zmarnujesz tylko strzałę. – Setnik przyszedł na mury wprost ze swej oberży „Pod Gęsią”, a teraz, mrużąc oczy, przypatrywał się harcownikom, krzyczącym coś w kierunku szanców, na których żołnierze wieszali właśnie burgundzką flagę obok proporca dowódcy garnizonu, pana de Bournonville. Na mury wylegli też niektórzy mieszkańcy miasta i także spoglądali na przybyłych właśnie jeźdźców. – Spójrzcie tylko na tych łajdaków – mruknął Smithson, wskazując na mieszczan. – Chcieliby nas zdradzić. Powinniśmy byli wybić ich co do jednego. Powinniśmy byli poderżnąć im te przekłete francuskie gardziołka – rzekł, po czym splunął. – Przez pierwszy dzień nic się nie wydarzy. Można równie dobrze pójść napić się piwa, póki jeszcze jest – stwierdził i odszedł, pozostawiając na murach Hooka i pół tuzina angielskich łuczników.

Przez cały dzień nadchodziły kolejne francuskie oddziały. Była to głównie piechota i jej żołnierze otoczyli Soissons i zaczęli ścinać drzewa na niewielkich wzniesieniach na południe od miasta. Na wykarczowanej ziemi rozbito namioty, a obok nich zatknięto jaskrawe proporce francuskiej szlachty, połyskujące całą feerią barw: czerwienią, błękitem, złotem i srebrem. Rzeką przy płynęły sterowane gigantycznej wielkości wiosłami barki, przywożąc na pokładach cztery mangonele, ogromne maszyny oblężnicze, potrafiące miotać wielkie głazy wprost w mury obronne. Tego dnia ściągnięto na brzeg tylko jedną z tych potężnych katapult i Enguerrand de Bournonville, chcąc zepchnąć ją z powrotem do rzeki, poprowadził wypad z zachodniej bramy z udziałem dwustu

konnych, lecz Francuzi spodziewali się ataku i wysłali Burgundczykom naprzeciw dwa razy tyle jeźdźców. Obie strony ściągnęły wodze, trzymając kopie pionowo, i po chwili Burgundczycy zawrócili, żegnani szyderczymi okrzykami Francuzów. Tego popołudnia nad miastem zaczął unosić się gęstniejący dym, gdyż oblegające miasto francuskie wojska podpaliły domy stojące tuż za murami Soissons. Hook patrzył, jak rudowłosa dziewczyna zmierza z tobołkiem w rękę w stronę nowego francuskiego obozowiska. Żaden z uciekinierów nie poprosił o to, by wpuszczono go do miasta. Zamiast tego wszyscy podążyli ku liniom wroga. Dziewczyna odwróciła się jeszcze, by w kłębach gęstniejącego dymu pomachać łucznikom na pożegnanie. Po chwili w tym samym miejscu pojawili się pierwsi nieprzyjacielscy kusznicy. Każdego strzelca osłaniał jego towarzysz, niosący solidną pawęż, tarczę dostatecznie wielką, by chronić człowieka, który mozolnie przeładowywał kuszę po każdym wystrzale. Ciężkie belty uderzały głucho w mury lub przelatywały ze świstem nad głowami obrońców, by spaść gdzieś w mieście.

Potem, kiedy słońce zaczęło nachylać się nad monstrualną katapultą stojącą na brzegu rzeki, rozległ się dźwięk trąbki. Trzy razy popłynęła ta sama melodia, a jej tony brzmiały ostro i donośnie w przymglonym od dymu powietrzu. Kiedy już ucichła na dobre, kusznicy przestali strzelać. W górę wzbił się jeszcze nagły snop iskier, kiedy zawalił się słomiany dach płonącego domu, a wzdłuż drogi do Compiègne, na której Hook dojrzał dwóch zbliżających się do miasta jeźdźców, kłębił się gęsty dym.

Żaden z nich nie miał na sobie zbroi. Zamiast tego obaj nosili jaskrawe opończe, a ich jedyną bronią były smukłe białe laski, które unosili wysoko w górę, kiedy ich konie stąpały delikatnie po poranym koleinami trakcie. Pan de Bournonville widocznie się ich spodziewał, ponieważ zachodnia brama nagle się otwarła i dowódca garnizonu wyjechał z jednym tylko towarzyszem na spotkanie zbliżających się jeźdźców.

– To parlamentariusze – rzekł Jack Dancy. Dancy pochodził z hrabstwa Hereford i był o kilka lat starszy od Hooka. Zaciągnął się do służby pod sztandarami Burgundii, ponieważ w Anglii przyłapano go na kradzieży. „Miałem do wyboru albo dać się powiesić w kraju, albo dać się zabić tutaj” – powiedział Hookowi pewnej nocy. – Przekonują, żebyśmy się poddali – rzekł teraz – i miejmy nadzieję, że tak właśnie zrobimy.

– I damy się pojmać Francuzom? – spytał Hook.

– Nie, nie. To porządny człowiek – odrzekł Dancy, wskazując skinieniem głowy de Bournonville'a – i zadba o to, żeby nie stała nam się żadna krzywda. Jeśli miasto się podda, pozwolą nam odejść.

– Niby dokąd?

– Tam, gdzie będziemy im potrzebni – odparł wymijająco Dancy.

Parlamentariusze, za którymi w pewnej odległości jechali dwaj chorążowie i trębacz, spotkali się z de Bournonvillem niedaleko bramy. Hook patrzył, jak czterej jeźdźcy wymienili ukłony, siedząc

w siodłach. Po raz pierwszy widział parlamentariuszy, lecz wiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno ich atakować. Taki poseł był oczami swego pana, człowiekiem, który bacznie się rozglądał i donosił mu potem o tym, co widział, i należało traktować go z szacunkiem. Parlamentariusze mieli również pełnomocnictwa do prowadzenia rozmów w imieniu swych władców, a tych wysłał widocznie sam król Francji, gdyż jedną z flag był francuski sztandar, wielki kwadrat błękitnego jedwabiu, na którym widniały trzy złote lilie. Druga chorągiew była purpurowa z białym krzyżem pośrodku i Dancy powiedział Nickowi, że to sztandar świętego Dionizego, patrona Francji. Hook zastanawiał się teraz, czy Dionizy ma w niebie większe wpływy niż Kryspin i Kryspinian. Ciekawe, czy święci przedstawiają swoje sprawy przed obliczem Boga jak dwaj prawnicy w dworskim sądzie? – pomyślał Hook i dotknął drewnianego krzyżyka zawieszzonego na szyi.

Czterej jeźdźcy tymczasem rozmawiali przez krótką chwilę, po czym wymienili ukłony i dwaj królewscy parlamentariusze zawrócili swe siwki i odjechali. Pan de Bournonville obserwował ich jeszcze przez moment, po czym również zawrócił wierzchowca. Pogalopował w stronę miasta, zatrzymując się obok płonącego domu farbiarza, skąd zaczął krzyczeć w kierunku murów. Mówił po francusku, a Hook nie rozumiał jeszcze zbyt dobrze tego języka, lecz potem dodał kilka słów po angielsku.

– Będziemy walczyć! Nie oddamy Francji tej twierdzy! Będziemy walczyć i pokonamy wroga!

To donośne oświadczenie powitała absolutna cisza, gdyż zarówno Burgundczycy, jak i Anglicy pozwolili jego słowom wybrzmieć do końca, nie podchwyciwszy buńczucznych wezwania do walki, rzuconego przez ich dowódcę. Dancy westchnął, ale nie odezwał się ani słowem, i nagle bełt z kuszy zafurkotał im nad głowami, by spaść, grzechocząc, na jednej z pobliskich ulic. De Bournonville czekał na reakcję swoich ludzi stojących na murach, lecz nie doczekawszy się odzewu, pomknął do bramy i po chwili Hook usłyszał zgrzyt jej wielkich zawiasów, huk, z jakim zamknęły się drewniane wrota, i głucho uderzenie, oznajmiające, że potężna zasuwą opadła właśnie na swoje miejsce.

Lekko zamglone słońce rzucało teraz czerwono-złote, jaskrawe promienie poprzez rzadniejący z wolna dym, pod osłoną którego grupa nieprzyjacielskich jeźdźców przemieszczała się równolegle do murów obronnych. Byli to rycerze w zbrojach i hełmach, a jeden z nich, dosiadający ogromnego czarnego konia, dzierżył dziwaczny sztandar, który powiewał za nim na wietrze. Na sztandarze tym nie widniał żaden znak. Był to tylko długi proporzec z najjaskrawszej, czerwonej tkaniny, falująca wstęga jedwabnej krwi, którą zdawało się przeświecać niemal na wylot spowite oparami słońce, świecące w oddali, lecz na sam jej widok stojący na murach ludzie zegnali się znakiem krzyża.

– To oriflamme – rzekł cicho Dancy.

– Oriflamme?

– Sztandar wojenny Francuzów – wyjaśnił Hookowi starszy łucznik. Dotknął środkowym palcem języka i przeżegnał się raz jeszcze. – To oznacza, że nie będą brali jeńców – dodał ponurym tonem. – Chcą nas wszystkich pozabijać – rzekł i przewrócił się na wznak.

Przez ułamek sekundy Hook nie wiedział, co się stało. Potem pomyślał, że Dancy musiał się potknąć i instynktownie wyciągnął rękę, aby pomóc mu się podnieść, i właśnie wtedy dostrzegł pierzasty bełt, sterczący ze środka czoła łuczника. Prawie nie było widać krwi. Kilka maleńkich kropel spryskało mu twarz, która wydawała się spokojna, i Hook przyklęknął na jedno kolano i przypatrywał się śmiercionośnemu pociskowi o grubym drzewcu. Z czoła jego towarzysza wystawało go nieco mniej niż na szerokość dłoni. Reszta tkwiła głęboko w mózgu łuczника z hrabstwa Hereford, i Dancy zginął, nie wydawszy nawet dźwięku, jeśli nie liczyć przypominającego cios rzeźnickiego tasaka młaśnięcia, z jakim bełt francuskiego kusznika wbił mu się w czaszkę.

– Jack? – rzucił jeszcze Hook.

– Nie warto już do niego gadać, Nick – rzekł jeden z pozostałych łuczników. – On już tam sobie z diabłem gawędzi.

Hook wstał i odwrócił się. Potem właściwie nie pamiętał, co się tak naprawdę stało ani dlaczego tak się zachował. Nie chodziło o to, żeby Jack Dancy był jego bliskim przyjacielem, gdyż Nick nie miał w Soissons takich przyjaciół, z wyjątkiem, być może, Johna Wilkinsona. Lecz nagle wezbrał w nim gniew. Dancy był Anglikiem, a w Soissons Anglicy czuli się zagrożeni zarówno przez swych sprzymierzeńców, jak i przez przeciwnika, i teraz Dancy leżał obok martwy, więc Hook wyjął nasmarowaną pokostem strzałę ze swego białego, płóciennego kołczanu, wiszącego u jego prawego boku.

Odwrócił się i przechylił łuk, tak że leżał teraz przed nim poziomo, i położył strzałę na łączysku, przytrzymując drzewce kciukiem lewej dłoni, gdy nakładał pocisk na cięciwę. Następnie ustawił długi łuk pionowo, chwytając prawą ręką pierzasty koniec strzały i ciągnąc go wraz z cięciwą w tył.

– Mieliśmy nie strzelać – rzekł jeden z łuczników.

– Nie marnuj strzał! – wtrącił drugi.

Hook miał już cięciwę przy prawym uchu. Przeczesał wzrokiem spowity dymem teren za murami miasta i nagle dojrzał kusznika wychylającego się zza pawęży ozdobionej wizerunkiem skrzyżowanych toporów.

– Nie możesz strzelać z takiej odległości jak oni – ostrzegł go znowu pierwszy łucznik.

Lecz Hook uczył się strzelać z łuku już od dzieciństwa. Przez cały czas nabierał sił, aż wreszcie był w stanie napiąć cięciwę największych nawet bojowych łuków, a przy tym przekonał się, że łucznik wcale nie celuje okiem, lecz umysłem. Widzisz cel, a potem siłą woli kierujesz ku niemu strzałę, a ręce instynktownie napinają się, odpowiednio ustawiając łuk. Tymczasem kusznik uniósł do góry swą ciężką broń, a dwa bełty rozdarły wieczorne powietrze tuż obok głowy Hooka.

Nick nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Czuł się tak, jak w tym momencie, gdy wśród zieleni lasu na ułamek sekundy pojawiał się jelen, a wówczas strzała mknęła ku niemu, nim jeszcze

łucznik zorientował się, że spuścił cięciwę. „To wszystko jest w twojej głowie, chłopcze – powiedział mu pewien wieśniak przed wieloma laty. – Tylko w twojej głowie. Z łuku się nie celuje. Myślisz o tym, gdzie ma trafić strzała, i ona tam właśnie leci”. Hook zwolnił cięciwę.

– Ty przeklęty głupcze! – rzucił jeden z łuczników, a Nick patrzył już, jak białe pióra gęsi trzepoczą wśród unoszących się w powietrzu kłębow dymu. Widział, jak strzała zaczyna pikować w dół, szybciej od polującego jastrzębia, niczym zakończona stalowym ostrzem, związana jedwabną nicią i wystrugana z jesionowego drzewa pierzasta śmierć, szybująca w wieczornej ciszy.

– Dobry Boże! – rzekł półgłosem pierwszy łucznik.

Kusznik nie umarł tak szybko jak Dancy. Wystrzelona przez Hooka strzała przeszła mu gardło i Francuz obrócił się wokół własnej osi. Jego kusza wystrzeliła sama, zawiadacko posyłając belt wysoko w górę, podczas gdy jej właściciel zaczął upadać na wznak, wciąż jeszcze obracając się przy tym, by wreszcie zważyć się ciężko na ziemię, trzymając się oburącz za gardło, w którym tkwił ból jak płynny ogień. Gasnącymi oczyma patrzył w spowite dymem, krwistoczerwone niebo, rozświetlone łunami ognisk i pożarów i rozpalone od wieczornej agonii słońca.

„To była dobra strzała” – pomyślał Hook. Miała proste drzewce i porządne lotki, których wszystkie pióra pochodziły ze skrzydła jednej gęsi. Mknęła do celu jak należy. Utkwiła tam, gdzie chciał ją skierować siłą swej woli, i zabił wreszcie człowieka w bitwie. Mógł więc w końcu powiedzieć, że jest prawdziwym łucznikiem.

Wieczorem drugiego dnia oblężenia Hook myślał, że właśnie nadszedł koniec świata.

Był to wieczór ciepły i czysty jak kryształ. Powietrze stało się przejrzyste, a rzeka wiała się łagodnie między ukwieconymi brzegami, na których rosły wierzby i olchy. Sztandary Francuzów wisiały nieruchomo nad ich namiotami. Ze spalonych domów unosiły się jeszcze wątle smużki dymu, wznosząc się wolno w wieczornym powietrzu i niknąc wysoko na tle bezchmurnego nieba. Pod murami miasta polowały jaskółki i drozdy, wirując w powietrzu i niekiedy pikując.

Nicholas Hook stał wsparty o mur. Nienaciągnięty łuk oparty był tuż obok łucznika, którego myśli poszybowały z powrotem ku Anglii, dworowi i łąkom za długą stodołą, gdzie pewnie nadchodziła już niemal pora na sianokosy. W wysokiej trawie harcują zapewne zajęce, w strumieniu skaczą pstrągi, a wieczorami słychać śpiew skowronków. Nick myślał też o rozpadającej się oborze, stojącej na polu zwanym przez miejscowych „krótką łąką”; o oborze z gnijącą strzechą i żywopłotem z wiciokrzewu, za którą spotykała się z nim Neil, młoda żona Williama Snoballa, aby bez słowa kochać się z nim dziko i namiętnie. Zastanawiał się też, kto przycina teraz las Trzech Guzików, a także, po tysięczny już bodaj raz, skąd wzięła się ta jego nazwa. Oberża w wiosce również nazywała się „Pod Trzema Guzikami” i nikt nie wiedział dlaczego, nawet lord Slayton, który czasami pojawiał się w niej, kuśtykając o kulach, i rzucał na ladę srebrne monety, stawiając kolejkę wszystkim obecnym. Potem Hook pomyślał o swych wszechobecnych wrogach, Perrillach. Nie dane mu będzie wrócić do domu ani teraz, ani już nigdy, gdyż jest banitą. Perrillowie mogliby go zabić i nie byłoby to morderstwo ani nawet zabójstwo, ponieważ banity nie chroniło prawo. Przypomniał sobie okno w



londyńskiej stajni i wiedział, że Bóg kazał mu zabrać Sarę i uciec z nią stamtąd, lecz on zawiódł, i pomyślał, że pewnie na zawsze już odcięty będzie od niebiańskiego światła, które świeciło za tym oknem. Sara. Często wymawiał na głos jej imię, jakby powtarzanie go mogło mu przynieść wybaczenie.

Nagle spokój wieczoru przepadł w jednej chwili pośród straszliwego ryku.

Najpierw jednak pojawiło się światło. Mroczne światło – myślał potem Hook – rozbłysk mrocznego światła, czerwonego płomienia okolonego czernią, które rozbłysło niczym język piekielnego węża w okopie, jaki Francuzi zrobili w pobliżu jednej ze swych katapult. Złowieszczy jęzor płomienia widoczny był przez moment, nim zniknął w burzowej chmurze gęstego, czarnego dymu, która wzniosła się nagle w powietrze. A potem nadszedł dźwięk, rozdzierający uszy huk, który wstrząsnął niebiosami, a po nim nastąpił kolejny, niemal równie donośny łoskot, gdy coś uderzyło nagle w mur obronny miasta.

Mur zadrżał w posadach. Łuk Hooka przewrócił się i, klekocząc, upadł na kamienie. Ptaki z wrzaskiem uciekały jak najdalej od płomienia, dymu i niosącego się jeszcze echem w powietrzu łoskotu. Słońce znikło, zasłonięte czarną chmurą, a Hook spoglądał tylko przed siebie i był przekonany, przynajmniej przez moment, że oto otwarła się ziemia i ognie piekielne rozlały się po jej powierzchni.

– Słodki Jezu! – rzekł jeden z łuczników, zdjęty grozą.

– Zastanawiałem się właśnie, kiedy to nastąpi – stwierdził z odrazą inny. – To armata – wyjaśnił temu pierwszemu. – Nigdy nie widziałeś armaty?

– Nie.

– To teraz się na nie napatrzysz – odrzekł złowróźnie tamten.

Hook też nigdy dotąd nie widział armaty i wzdrygnął się, kiedy drugie działo dało ognia, wzbijając w letnie niebo kolejny obłok paskudnego dymu. Następnego dnia przyłączyły się do nich jeszcze cztery armaty i sześć francuskich dział wyrządzało obrońcom znacznie więcej szkód niż cztery wielkie drewniane maszyny oblężnicze. Katapulty miały kiepską celność, a ich pociski – nieociosane gązdy – często przelatywały nad murami i spadały na miasto, burząc domy, które stawały w płomieniach, gdy rozpadały się ich kuchenne paleniska. Za to pociski dział stopniowo wgryzały się w miejskie mury, które już i tak były w kiepskim stanie. Wystarczyły ledwie dwa dni, by zewnętrzna warstwa muru zwała się do szerokiej i cuchnącej fosy, a potem francuscy kanonierzy systematycznie poszerzali wyłom, podczas gdy Burgundczycy starali się temu zaradzić, wznosząc półkolistą barykadę za walącym się odcinkiem muru.

Każde z dział dawało ognia trzy razy dziennie, z regularnością klasztornych dzwonów, wzywających wiernych na modlitwę. Burgundczycy też mieli swoją armatę, którą umieszczono na południowym bastionie, spodziewając się, że Francuzi zaatakują od strony paryskiego traktu, i trzeba było aż dwóch dni, żeby przeciągnąć działo na zachodnie szańce, gdzie wciągnięto je na dach wieży

bramnej. Hooka fascynowała lufa armaty, dwa razy dłuższa od łączyska jego łuku i pękata jak kufel piwa. Lufa, tak jak spinające ją obręcze, zrobiona była z ciemnego, szmelcowanego żelaza i spoczywała na przysadzistej, drewnianej lawecie. Armatę obsługiwali Holendrzy, którzy spędzili mnóstwo czasu, obserwując nieprzyjacielskie działa, i wreszcie wycelowali swą groźną broń ku jednemu z nich, po czym zajęli się niezwykle pracochłonnym zadaniem, jakim było jej załadowanie. Najpierw szuflą o długim stylisku napchali do wnętrza lufy prochu, który ubili potem owiniętym w szmaty kafarem. Później przyszła kolej na miękką glinę. Rozrobiono ją w szerokim drewnianym wiadrze i nałożono jej warstwę na proch, ubijając ją solidnie. Czekając, aż wyschnie, kanonierzy usiedli w kółku i zagrali partyjkę w kości. Pocisk armatni – gład ociosany do rozmiarów nieregularnej kuli – spoczywał obok lufy aż do chwili, gdy ich dowódca, korpulentny mężczyzna z rozwidloną brodą, uznał, że glina jest już dostatecznie sucha, i dopiero wtedy wepchnięto go do długiej, pękatej lufy. Później wpakowano jeszcze do środka drewniany klin, dobijając go młotem, aby gład ciasno przylegał do gliny i prochu. Ksiądz pokropił działo święconą wodą i zmówił nad nim modlitwę, podczas gdy Holendrzy długimi lewarami wprowadzali ostatnie poprawki, nakierowując lufę na cel.

– Odsuń się, chłopcze – rzekł do Hooka sierżant Smithson. Setnik raczył opuścić oberżę „Pod Gęsią”, aby popatrzeć, jak Holendrzy dają ognia ze swego działa. Oprócz niego przyszło jeszcze około dwudziestu ludzi, w tym sam pan de Bournonville, który pokrzykiwał na kanonierów, dodając im animuszu. Żaden z widzów nie stał jednak zbyt blisko działa, spoglądając na nie z bezpiecznej odległości takim wzrokiem, jakby było dziką bestią, której nie można ufać. – Dzień dobry, sir Rogerze – rzekł Smithson, pochylając głowę i przykładając dłoń do czoła na widok wysokiego i chudego jak strzała mężczyzny. Sir Roger Pallaire, dowódca angielskiego kontyngentu, zignorował to powitanie. Miał pociągłe oblicze, haczykowaty nos, wystający podbródek i ciemne włosy, a przy tym, przynajmniej w obecności swych łuczników, wyraz twarzy człowieka zmuszonego znosić smród latryny.

Korpulentny Holender poczekał, aż ksiądz zmówił modlitwę, po czym wetknął związaną rzemykami tulejkę w niewielki otwór wywiercony w zamku armaty. Potem, używając miedzianego lejka, napełnił tulejkę prochem, raz jeszcze zerknął, czy działo jest wycelowane jak należy, po czym odsunął się nieco na bok i wyciągnął rękę po długi, żarzący się lont. Ksiądz, jedyny oprócz kanonierów człowiek stojący teraz blisko działa, zrobił znak krzyża i odmówił krótkie błogosławieństwo, po czym dowódca obsługi armaty przytknął płomień do wypełnionej prochem tulejki.

Nastąpił wybuch.

Zamiast z hukiem posłać swój pocisk ku okopom oblegających miasto Francuzów, armata znikła w chmurze czarnego dymu, z której wyleciały jedynie kawałki żelastwa i strzępki ludzkich ciał. Pięciu kanonierów i ksiądz zginęli na miejscu, stając się krwistoczerwoną mgiełką i pasemkami mięsa. Jeden ze zbrojnych wrzasnął i zaczął zwijać się z bólu, gdyż kawałek rozgrzanego do czerwoności metalu wbił mu się w brzuch. Sir Roger, który stał dotąd obok niego, teraz ze wstrętem się odsunął, krzywiąc się na widok krwi, która pochlapała herb na jego opończy. Przedstawiał on trzy jastrzębie na zielonym polu.

– Dziś wieczorem, Smithson – odezwał się sir Roger pośród kłębow krwawego dymu, które spowiły szaniec – masz się spotkać ze mną po zachodzie słońca w kościele świętego Antoniego Padewskiego. Ty i cała twoja kompania.

– Tak jest, sir – odrzekł ledwie słyszalnym głosem Smithson. – Oczywiście, sir Rogerze.

Sierżant gapił się na zniszczoną armatę. Na długości pierwszych trzech metrów lufa była przechylona i rozdarta, a rozerwany eksplozją zamek wyglądał jak bezużyteczna kupa dymiącego żelastwa. Kawał żelaznej obręczy i czyjaś ręka leżała pod nogami Hooka, zaś z kanonierów, wynajętych za grube pieniądze, pozostały tylko okaleczone szczątki. Pan de Bournonville, z kaftanem poplamionym krwią i kawałkami ludzkiego mięsa, przeżegnał się, a od strony francuskich okopów dały się słyszeć szydercze okrzyki.

– Musimy poczynić pewne plany na wypadek szturm – rzekł sir Roger, niepomny z pozoru na krwawą jatkę, jaka rozegrała się kilka kroków od niego.

– Bardzo słusznie, sir Rogerze – odparł Smithson, strzepując ze swego pasa galaretowatą papkę. – Mózg jakiegoś przekłętego Holendra! – rzekł z obrzydzeniem, spluwając w kierunku sir Rogera, który już się odwrócił i teraz pospiesznie się oddalał.

Tuż po zachodzie słońca sir Roger, w towarzystwie trzech zbrojnych noszących jego herb z trzema jastrzębiami, przybył na spotkanie z angielskimi i walijskimi łucznikami z garnizonu Soissons do kościoła świętego Antoniego Padewskiego. Jego opończa była już wyprana, choć na zielonym płótnie wciąż jeszcze majaczyły ślady po plamach krwi. Stanął przed ołtarzem, oświetlonym przez ociekające woskiem świece z knotami z sitowia, palące się niemrawo w świecznikach przytwierdzonych do filarów kościoła, a na jego obliczu nadal widniał pełen dystansu grymas człowieka, który z niechęcią znosi towarzystwo, na jakie jest obecnie skazany.

– Wasze zadanie – rzekł bez słowa wstępu, kiedy już osiemdziesięciu dziewięciu łuczników usadowiło się na posadzce kościelnej nawy – będzie polegało na bronieniu wyłomu. Nie potrafię wam powiedzieć, kiedy nieprzyjaciel ruszy do szturm, ale mogę was zapewnić, że nastąpi to już niebawem. Ufam, że odeprzecie wszelkie próby wdarcia się do miasta.

– Ależ oczywiście, sir Rogerze – wtrącił się usłużnie Smithson. – Możesz na to liczyć, panie!

Na te słowa na podłużnej twarzy sir Rogera pojawił się na moment wyraz niezadowolenia. Krążące pośród angielskiego kontyngentu plotki mówiły, że dowódca pożyczył pieniądze od włoskich bankierów w nadziei, iż odziedziczy posiadłość po wuju, lecz zamiast tego ziemia trafiła w ręce jakiegoś kuzyna, a sir Roger skończył jako dłużnik pamiętliwych Lombardczyków, którym w dodatku winien był prawdziwą fortunę. Jedyłą szansą na spłacenie długu było schwywanie jakiegoś bogatego francuskiego rycerza i wzięcie zań okupu, i prawdopodobnie właśnie dlatego sir Roger sprzedał swe usługi księciu Burgundii.

– Gdyby jednak nie udało wam się powstrzymać nieprzyjaciela – rzekł – macie się zebrać tutaj, w tym kościele.

Ostatnie słowa wywołały niejaki poruszenie, a łucznicy z dezaprobatą marszczyli brwi i spoglądali po sobie. Wszyscy spodziewali się raczej, że gdyby nie zdołali obronić wyłomu i musieli opuścić przebiegającą za nim nową linię obrony, mają wycofać się na zamek.

– Tutaj, sir Rogerze? – odezwał się w końcu Smithson.

– Nie prosiłem o pytania – odparł sir Roger.

– Z całym szacunkiem, panie – nalegał Smithson, przykładając dłoń do czoła – czy nie byłibyśmy bezpieczniejsi w zamku?

– Macie się zgromadzić tutaj, w tym kościele! – rzekł stanowczym tonem sir Roger.

– Czemu nie na zamku? – dopytywał się wyzywającym tonem łucznik siedzący obok Hooka.

Sir Roger zamilkł, spoglądając w głąb pogrążonej w półmroku nawy w poszukiwaniu tego, kto się właśnie odezwał. Nie zdołał odkryć, kto zadał to pytanie, ale i tak raczył udzielić odpowiedzi.

– Tutejsi mieszczanie nas nienawidzą – odezwał się wreszcie. – Jeśli będziecie próbowali dotrzeć na zamek, zaatakują was na ulicach. Ten kościół stoi znacznie bliżej wyłomu, więc po prostu przyjdźcie tutaj – rzekł i znów przerwał na chwilę. – Postaram się zagwarantować wam wolność.

Zapadła pełna niepokoju cisza. Wyjaśnienie sir Rogera brzmiało w miarę sensownie. Łucznicy zdawali sobie sprawę, że większość mieszczan rzeczywiście ich nienawidzi. Mieszkańcy Soissons byli Francuzami, którzy popierali swego króla i nie znosili Burgundczyków, ale jeszcze bardziej nienawidzili Anglików, i wydawało się więcej niż prawdopodobne, że zaatakują łuczników wycofujących się do zamku.

– Wolność? – rzekł z powątpiewaniem Smithson.

– Francuzi mają porachunki z Burgundczykami, a nie z nami – odrzekł sir Roger.

– Czy i ty tutaj do nas dołączysz, panie? – spytał głośno jeden z łuczników.

– Oczywiście – odparł dowódca, po czym zamilkł, ale nikt inny się nie odezwał. – Walczcie dzielnie – rzekł roztargnionym głosem – i pamiętajcie, że jesteście Anglikami!

– Walijczykami! – wtrącił jeden z łuczników.

Sir Roger wyraźnie się skrzywił, po czym bez słowa opuścił świątynię wraz z trzema zbrojnymi z jego herbem na opończach. Gdy wyszedł, dały się słyszeć liczne głosy sprzeciwu. Kamienny kościół świętego Antoniego Padewskiego nieźle nadawał się do obrony, ale nie było w nim aż tak bezpiecznie jak na zamku. Z drugiej strony zamek znajdował się na przeciwnym końcu miasta, i Hook zastanawiał się, czy łatwo byłoby im doń dotrzeć, gdyby mieszkańcy zablokowali ulice, a francuscy żołnierze z krzykiem wdzierali się do miasta przez sforsowane już umocnienia.

Podniósł wzrok i spojrzął na malowidło na ścianie, przedstawiające mężczyzn, kobiety i dzieci wpadające w piekielną otchłań. Wśród skazanych na potępienie byli też księża, a nawet biskupi, a cały ten tłum ludzkich postaci spadał wśród wrzasków do jeziora płomieni, gdzie czarne diabły z trójzębnymi widłami już czekały, uśmiechając się złowieszczo.

– Jak cię złapią Francuziki, będziesz marzył o tym, żeby już być w piekle – rzekł Smithson, widząc, że Hook przypatruje się malowidłu. – Wszyscy będziecie błagać o rozkosze piekieł, jeśli te francuskie łotry was dorwą – dodał znacznie głośniej. – Wszyscy zatem pamiętajcie! Walczymy przy barykadzie, a potem, jeśli wszystko szlag trafi, zbieramy się tutaj.

– Dlaczego tutaj? – zawołał któryś z łuczników.

– Dlatego, że sir Roger wie, co robi – odrzekł Smithson tonem, który nie sugerował bynajmniej, że jest pewien tego, co mówi. – A jeśli macie tutaj swoje sikoreczki – kontynuował, puszczając oko do swych żołnierzy – zadbajcie o to, żeby te ślicznotki przyszły tutaj z wami – rzekł, kołyszając biodrami w przód i w tył. – Nie chcecie przecież, żeby zostały na ulicach, gdzie wychędoży je połowa francuskiej armii, prawda?

Nazajutrz, tak jak każdego ranka, Hook spoglądał na północ, za rzekę, na niskie zalesione pagórki, gdzie oblężony garnizon miał nadzieję ujrzeć idącą mu na odsiecz burgundzką armię. Nie pojawił się jednak ani jeden żołnierz. Wielkie głązy wystrzeliwane z francuskich armat z jękiem przelatywały pomiędzy resztkami spalonych domostw i wgryzały w walący się mur, wzbijając przy tym obłoki dymu, które unosiły się nad rzeką, dryfując w stronę morza jak bladozielone plamy na wodzie. Każdego dnia Hook wstawał wcześniej, zanim jeszcze robiło się jasno, i chodził do katedry, gdzie padał na kolana i się modlił. Ostrzegano go, żeby nie włóczył się po ulicach w pojedynkę, ale mieszkańcy Soissons go nie zaczepiali, może z uwagi na jego wzrost i posturę, a może dlatego, iż wiedzieli, że to ten jeden jedyny łucznik, który regularnie modli się w ich katedrze, i przez to go tolerowali. Nick przestał się już modlić do świętego Kryspina i świętego Kryspiniana, ponieważ uznał, że otaczają oni opieką przede wszystkim mieszczan z Soissons, mieszkańców swego rodzinnego miasta, i zamiast tego kierował modlitwy do matki Chrystusa, ponieważ jego matka też miała na imię Maria. Błagał Najświętszą Panią o wybaczenie za to, że nie zdołał ocalić od śmierci pewnej dziewczyny w Londynie. W jeden z takich właśnie poranków ukląkł obok niego jakiś ksiądz. Hook postanowił nie zwracać na niego uwagi.

– Ty jesteś tym Anglikiem, który się modli – rzekł kapłan po angielsku, z trudem wymawiając obce słowa. Hook nadal milczał. – One wszystkie zastanawiają się dlaczego – kontynuował ksiądz, wskazując skinieniem głowy kobiety, klęczące przed innymi posągami i ołtarzami.

Instynkt podpowiadał mu, że powinien nadal ignorować tego człowieka, lecz ksiądz miał przyjazne oblicze i łagodny głos.

– Po prostu się modlę – odrzekł Nick nieco gburowato.

– A czy modlisz się za siebie?

– Tak – odparł Hook. Modlił się o to, aby Bóg mu przebaczył i zdjął klątwę, która, o czym był przekonany, niszczyła mu życie.

– W takim razie poproś o coś dla kogoś innego – zasugerował łagodnym tonem ksiądz. – Sądzę, że Bóg chętniej wysłuchuje takich modlitw i jeśli pomodlisz się za kogoś innego, to spełni także i twoją prośbę – dodał, po czym uśmiechnął się i wstał, lekko dotykając ramienia Hooka. – I pomódl się do naszych świętych, Kryspina i Kryspiniana. Myślę, że nie są tak bardzo zajęci jak Najświętsza Panienska. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Angliku.

Ksiądz odszedł, a Hook postanowił posłuchać jego rady i znów pomodlić się do dwóch miejscowych świętych, więc przeszedł przed ołtarz z malowidłem przedstawiającym dwóch męczenników i tam modlił się za duszę Sary, której życia nie zdołał ocalić w Londynie. Klęcząc tak, wpatrywał się w malowidło. Dwaj święci stali na zielonej łące upstrzonej złotymi gwiazdami, na wzgórzu ponad miastem otoczonym białymi murami. Spoglądali na Hooka poważnie i ze smutkiem. Wcale nie wyglądali przy tym na szweców. Odziani byli w białe szaty, Kryspin miał w rękę pasterską laskę, zaś Kryspinian trzymał wiklinową tacę pełną jabłek i gruszek. Pod spodem namalowano ich imiona i Hook, choć nie umiał czytać, potrafił ich rozróżnić, ponieważ jedno z nich było dłuższe od drugiego. Kryspinian wydawał się znacznie bardziej przyjazny. Miał bardziej krągłą twarz i niebieskie oczy, a na jego obliczu błąkał się dobrotliwy uśmiech, podczas gdy święty Kryspin wyglądał na człowieka znacznie bardziej surowego i odwrócony był niemal bokiem, jakby nie miał czasu dla widzów i zamierzał właśnie zejść ze wzgórza i udać się do miasta. Hook nabrał więc zwyczaju modlenia się każdego ranka do Kryspiniana, choć zawsze przy tym pozdrawiał także świętego Kryspina. Za każdym razem wrzucał też dwa pensy do miedzianej puszeki na datki.

– Tak na pierwszy rzut oka – rzekł pewnego wieczoru John Wilkinson – nie wziąłbym cię za pobożnego człowieka.

– Bo nim nie byłem – odrzekł Hook. – Przynajmniej jeszcze do niedawna.

– Boisz się o swoją duszę? – spytał stary łucznik.

Nick się zawahał. Obwiązywał właśnie lotki strzały jedwabiem wykradzionym z obrusa na ołtarzu katedry.

– Usłyszałem głos – wypalił nagle.

– Jaki głos? – spytał Wilkinson. Hook milczał. – Głos Boga? – dopytywał się starszy mężczyzna.

– To było jeszcze w Londynie – rzekł Nick.

Było mu głupio, że się do tego przyznał, ale Wilkinson potraktował go poważnie. Przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę, po czym nagle skinął głową.

– Szczęściarz z ciebie, Nicholasiu Hooku – rzekł.

– Czyżby?

– Jeśli Bóg do ciebie przemówił, to musi mieć dla ciebie jakieś zadanie. To oznacza, że może uda ci się przeżyć to oblężenie.

– Jeśli to rzeczywiście Bóg do mnie przemówił – rzekł zakłopotany Hook.

– A czemuż nie miałby tego zrobić? Musi mówić prosto do ludzi, skoro Kościół go nie słucha.

– Jak to nie słucha?

Wilkinson splunął.

– Kościołowi chodzi o pieniądze, chłopcze, tylko o pieniądze. Księża mają być pasterzami, prawda? Mają niby zajmować się swoimi owieczkami, ale wszyscy siedzą we dworach i opychają się smakołykami, więc owieczki muszą same o siebie zadbać – rzekł, wskazując końcem strzały Hooka. – A jeśli Francuzi wedrą się do miasta, Hook, nie idź do kościoła świętego Antoniego! Idź na zamek!

– Ale sir Roger... – zaczął Nick.

– Sir Roger chce naszej śmierci! – rzucił gniewnie Wilkinson.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ nie ma ani grosza, a tkwi po uszy w długach, chłopcze, więc zawsze może go kupić ten, kto ma większą sakiewkę. I dlatego, że nie jest prawdziwym Anglikiem. Jego rodzina przybyła do Anglii z Normanami i on nienawidzi ludzi takich jak ja i ty, bo jesteśmy Anglosasami. I jeszcze dlatego, że aż po czubek głowy pełen jest normańskiego łajna, ot co. Idź więc na zamek, chłopcze! Zrób, co ci mówię.

Następne noce były ciemne, a ubywający księżyc połyskiwał w mroku niczym ostrze rzeźmieszka. Pan de Bournonville obawiał się nocnego szturm Francuzów, więc rozkazał poprzywiązywać psy pośród ruin spalonych domów pod murami. Powiedział, że jeśli psy zaczną szczekać, należy zacząć bić w dzwon alarmowy nad zachodnią bramą. Psy faktycznie szczekały, toteż bito w dzwon, lecz ani jeden Francuz nie próbował sforsować wylomu w murze. Zamiast tego, kiedy nad rzeką migotała jeszcze poranna mgła, napastnicy wystrzelili z katapult do miasta zwłoki psów. Zwierzęta wykastrowano, a na dodatek podeźnięto im gardła. Miała to być przestroga dla stawiającego wciąż opór garnizonu.

Minął już dzień świętego Abdy, a odsiecz nadal nie nadchodziła. Potem przeszedł dzień świętego Posydusza, a po nim przypadła uroczystość siedmiu świętych dziewic, więc Hook pomodlił się do każdej z nich, a nazajutrz skierował swą prośbę do świętego Dunstana, Anglika, w dniu jego święta, a dzień później do świętego Ethelberta, który był niegdyś królem Anglii. Przez cały czas modlił się także do Kryspiniana i Kryspina, prosząc ich o opiekę, i już następnego dnia, gdy

przypadało wspomnienie świętego Hospicjusza, jego modły zostały wysłuchane, kiedy Francuzi, którzy tymczasem modlili się do świętego Dionizego, przypuścili szturm na miasto Soissons.

Pierwszą rzeczą, która uświadomiła Hookowi, że zaczął się szturm, był dźwięk dzwonów kościelnych w całym mieście, które były w szaleńczym pośpiechu i straszliwym bezładzie. Panowały jeszcze ciemności i przez moment Nick poczuł się zdezorientowany. Spał na słomie na tyłach warsztatu Johna Wilkinsona, a przebudziwszy się, dostrzegł blask bijących w górę płomieni, gdy starzec dorzucił nieco drewna do kosiaka, żeby zapewnić sobie trochę światła.

– Nie wylegaj się tam jak prośna maciora, chłopcze! – krzyknął Wilkinson. – Francuzi już tu są!

– Matko Boska! – Hook poczuł nagły przyływ paniki, który niczym lodowata woda przeszedł przez jego ciało.

– Mam przecucie, że jej jest wszystko jedno, czy oni, czy my – rzekł Wilkinson. Zakładał właśnie kolczugę, z wysiłkiem unosząc ciężki pancerz nad głowę. – Przy drzwiach jest kołczan pełen porządnym, prostym strzał – kontynuował głosem stłumionym nieco przez pancerz. – Zostawiłem go specjalnie dla ciebie. Idź chłopcze, zabij paru łajdaków!

– A ty? – spytał Hook, zakładając swe nowe buty, wykonane przez jednego ze słynnych szweców z Soissons.

– Zaraz cię dogonię! Załóż cięciwę, synu, i idź!

Hook przypiął pas z mieczem, nałożył cięciwę na swój łuk, porwał kołczan, potem wziął jeszcze ten drugi spod drzwi i wybiegł na podwórze gospody. Słyszał wrzaski i pokrzykiwania, lecz nie potrafił stwierdzić, skąd dochodzą. Na podwórze wybiegali już kolejni łucznicy i Nick instynktownie podążył za nimi ku nowej barykadzie za wyłomem w murach. Kościelne dzwony wciąż wypełniały nocne niebo swym chaotycznym biciem. Słyszać było też szczekanie i wycie psów.

Hook nie miał żadnego pancerza, jeśli nie liczyć wyglądającego na jego głowie jak miska wiekowego już hełmu, który dał mu Wilkinson. Jego jedyną ochroną był watowany kaftan, mogący



zatrzymać słaby cios miecza. Inni łucznicy nosili krótkie kolczugi i dopasowane hełmy, ale wszyscy mieli na wierzchu krótkie burgundzkie opończe z herbem przedstawiającym sękaty czerwony krzyż, i Hook zobaczył teraz, że ludzie w takich właśnie barwach stoją wzdłuż nowego szańca, zrobionego z wiklinowych koszy wypełnionych ziemią. Żaden z łuczników jeszcze nie strzelał. Wszyscy spoglądali tylko w stronę wylomu, w którym nagle zrobiło się jasno, gdy burgundzcy żołnierze cisnęli nasączone smołą pochodnie w wyrwę w murze zniszczonym przez ogień armatni.

Przy nowej barykadzie stało blisko pięćdziesięciu zbrojnych, lecz w wylomie nie było jak dotąd widać ani śladu nieprzyjaciół. Dzwony jednak nadal biły jak oszalałe, ostrzegając przed atakiem Francuzów, więc Hook rozejrzał się wokoło i ujrzał na niebie łunę nad dachami domów w południowej części miasta; łunę, która odbijała się złowieszczo na wieży katedry, co dowodziło, że gdzieś w pobliżu bramy paryskiej płonęły zabudowania. Czyżby to tam właśnie zaatakowali Francuzi? Obroną bramy paryskiej dowodził sir Roger Pallaire, stojący na czele oddziału angielskich żołnierzy, i Hook zastanawiał się, zresztą już nie po raz pierwszy, dlaczego sir Roger nie zażądał, aby do załogi tej właśnie bramy dołączyli także angielscy łucznicy.

Zamiast tego łucznicy czekali teraz przy wylomie w murze od strony zachodniej, skąd nadal nie było widać nieprzyjaciela. Smithson, setnik, zaczynał się denerwować. Cały czas obracał w palcach srebrny łańcuch będący oznaką jego rangi i spoglądał to na łunę nad południową częścią miasta, to znów na oświetlony pochodniami wylom.

– Diabelski pomiot! – zaklął pod nosem, w żaden sposób nie sugerując, kogo ma na myśli.

– Co się dzieje? – dopytywał się jeden z łuczników.

– A skąd ja mam, na miłość boską, wiedzieć? – odburknął Smithson.

– Myślę, że oni są już w mieście – rzekł łagodnie John Wilkinson. Przyniósł tuzin pęków zapasowych strzał, które położył teraz za plecami stojących przy barykadzie łuczników. Krzyki rzeczywiście zdawały się dobiegać gdzieś ze środka miasta, a obok Hooka przebiegł oddział burgundzkich kuszników, porzucając wylom i kierując się w stronę bramy paryskiej. Po chwili ruszyła za nimi także część zbrojnych.

– Jeśli Francuzi są już w mieście – rzekł niepewnym tonem Smithson – to powinniśmy iść do kościoła świętego Antoniego.

– A nie na zamek? – zapytał ktoś.

– Myślę, że pójdziemy do kościoła – powtórzył Smithson – tak jak nam nakazał sir Roger. To w końcu szlachcic, no nie? Na pewno wie, co robi.

– No jasne. A na wierzbach rosną gruszki – podsumował zgryźliwie Wilkinson.

– To co, idziemy? – zapytał któryś z łuczników. – Już teraz?

Smithson jednak milczał. Nerwowo szarpał swój srebrny łańcuch i rozglądał się w prawo i w lewo.

Hook wpatrywał się uważnie w wyłom. Serce waliło mu mocno i oddech miał płytki, a do tego prawa noga mu drżała. „Dopomóż mi, Boże – modlił się. – Słodki Jezu, chroń mnie”. Tym razem jednak modlitwa nie podniosła go na duchu. Nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że wróg jest już w Soissons lub szturmuje właśnie miasto, a on nie wie, co się dzieje, i czuje się bezradny i bezbronny. W jego głowie rozbrzmiewało wciąż donośne bicie dzwonów, nie pozwalając mu skupić myśli. Szeroki wyłom pogrążony był teraz w mroku, jeśli nie liczyć wątych płomieni dogasających już pochodni, lecz z wolna Hook zdał sobie sprawę, że poruszają się w nim także inne światła, migotliwe i srebrnoszare, jak dym w świetle księżycy lub jak duchy, które wracają na ziemię w wigilię Wszystkich Świętych. Nick uznał, że światła te są piękne, gdyż w otaczających je ciemnościach wydawały się przezroczyste i ulotne. Nadal wpatrywał się w mrok, zastanawiając się, czym są te świetliste kształty, a wtem srebrnoszare widma stały się czerwone i Hook z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to ludzie, a on widział po prostu światło pochodni odbijające się w ich płytowych zbrojach.

– Sierzancie! – zawołał.

– Co takiego? – odburknął Smithson.

– Ci dranie już tu są! – krzyknął Hook i tak właśnie było.

Francuzi zbliżali się do wyłomu. Ich płytowe pancerze były wypolerowane do połysku, więc odbijały się w nich dogasające płomienie pochodni, i posuwali się naprzód pod błękitnym sztandarem, na którym widniały złote lilie. Przyłbice mieli opuszczone, a ostrza ich długich mieczy migotały w świetle pochodni. Teraz już nie wydawali się bynajmniej zwiewni i ulotni. Przypominali raczej postaci z płonącej stali, zjawy z koszmarów o piekle lub śmierć, zakradającą się pod osłoną nocnych ciemności do Soissons. Było ich tak wielu, że Hook nie był w stanie ich zliczyć.

– Niech to wszyscy diabli! – krzyknął zdjęty nagle paniką Smithson. – Powstrzymajcie ich!

Hook zrobił, co mu kazano. Wrócił na barykadę, wyjął strzałę z płóciennego kołczanu i położył ją na łączysku. Strach nagle go opuścił, albo raczej ustąpił wobec niezachwianej pewności co do tego, co ma teraz zrobić, i Nick napiął cięciwę.

Większość dorosłych mężczyzn w sile wieku nie była w stanie dociągnąć cięciwy bojowego łuku aż do prawego ucha. Także większość zbrojnych, mimo że wojna i ciągłe ćwiczenia w fechtunku czyniły z nich ludzi twardych i krzepkich, potrafiła napiąć konopną cięciwę tylko do połowy, lecz dla Hooka była to dziecinna igraszka. Jego ramię pomknęło więc w tył, a oczy szukały celu dla połyskującego w ciemnościach grotu, a gdy już go znalazły, Nick bez chwili zastanowienia zwolnił cięciwę. Sięgał już po następną strzałę, gdy ta pierwsza, z ostrzem osadzonym na ciężkim, dębowym drzewcu, przebiła napierśnik z lśniącej stali, odrzucając jednego ze zbrojnych wprost na francuskiego chorążego.

Hook zaś posłał wciźbę napastników kolejną strzałę, nie zastanawiając się nad tym, co ma robić, i pamiętając jedynie, że kazano mu powstrzymać nieprzyjacielski atak. Strzelał tak raz za razem. Napinał cięciwę aż do prawego ucha i nawet nie był świadom nieznaczących ruchów, jakie wykonywała jego lewa ręka, posyłając białopióre pociski w ich niedługą drogę od cięciwy do ciała kolejnej ofiary. Nie był świadom, iż sieje śmierć i zadaje rany, ani nie zwracał uwagi na to, że niektóre strzały ześlizgują się po pancerzach i, już nieszkodliwe, lecą gdzieś w bok. Takich strzał było zresztą niewiele. Z tak niewielkiej odległości ich długie groty przebijały pancerz z łatwością, a w dodatku Nick był silniejszy od większości łuczników, którzy z kolei przewyższali siłą większość mężczyzn, i miał sprężysty, ciężki łuk. Kiedy John Wilkinson poznał Hooka, wziął do ręki jego łączyisko, lecz nie zdołał dociągnąć cięciwy dalej niż do podbródka, a potem spojrzął na Nicka z niekłamanym podziwem. Teraz zaś ten długi, mocno wybrzuszony łuk, zrobiony z pnia cisu ściętego w dalekim Sawy, siał spustoszenie wśród nieprzyjaciół w nocnych ciemnościach, pośród bicia kościelnych dzwonów. Lecz Hook widział jedynie tych nieprzyjaciół, którzy przechodzili przez sam środek wyłomu, gdzie dopalały się nasączone smołą pochodnie, a nie zauważał zbrojnych, wlewających się do miasta mrocznymi strugami po obydwu stronach wyrwy w jego murach i usiłujących właśnie rozebrać szaniec z wiklinowych koszy. Wtem część barykady zawaliła się z łoskotem i dopiero ten dźwięk sprawił, że Hook rozejrzał się dokoła i spostrzegł, że jest jedynym łucznikiem, jaki broni jeszcze straconej już pozycji. Zaś w wyłomie, mimo licznych rozciągniętych na ziemi trupów i wielu rannych, którzy tam pełzali, pełno było wrzeszczących żołnierzy. Nocne ciemności rozświetlały pożary i czerwony odblask płomieni, a pośród obłoków dymu rozlegały się wojenne okrzyki. Wówczas Hook zdał sobie sprawę, że już wcześniej John Wilkinson krzyczał, żeby uciekał, ale w bitewnym zapamiętaniu to ostrzeżenie w ogóle do niego nie dotarło.

Teraz jednak było inaczej. Nick porwał tylko kołczan i pognał do miasta.

Słyszał za sobą tryumfalne okrzyki Francuzów, którzy zaczęli wdzierać się do miasta przez resztki zdobytej barykady.

Hook zrozumiał teraz, co czuje jeleń, kiedy gończe psy są już w każdej kępie zarośli, myśliwi przeczesują poszycie, a między listowiem świszczą strzały. Kiedyś często się zastanawiał, czy zwierzęta wiedzą, co to śmierć. Z pewnością znały strach i umiały walczyć o życie, lecz po strachu i oporze nadchodziła paraliżująca panika ostatnich chwil życia, kiedy myśliwi są coraz bliżej i serce zaczyna bić jak oszalałe, a umysł miota się jak opętany. Hooka ogarnęła teraz taka właśnie panika i umykał, co sił w nogach. Początkowo po prostu biegł przed siebie. Wciąż słychać było donośne bicie dzwonów, a zewsząd rozlegało się wycie psów, bitewne okrzyki i nawoływania wojennych rogów. Hook wpadł na niewielki plac, na którym handlarze skór wystawiali zazwyczaj swe towary. Teraz jednak nie było tutaj widać ani żywego ducha, lecz w tym momencie Nick usłyszał trzask zasuw i zrozumiał, że mieszkańcy miasta pochowali się po domach i zaryglowują właśnie drzwi. Głuche dudnienie wskazywało z kolei, gdzie znajdowali się żołnierze, którzy kopali w nie lub walili toporami. „Idź na zamek” – pomyślał Hook i pobiegł w tamtym kierunku, lecz wybiegłszy zza jakiegoś rogu spostrzegł, że obszerny plac przed katedrą pełen jest ludzi w obcych barwach, których opończe widoczne były w świetle niesionych przez nich pochodni. Zawrócił więc czym prędzej, jak jeleń umykający przed ogarami. Postanowił pójść do kościoła świętego Antoniego Padewskiego i pobiegł w jeden z bocznych zaułków, skręcił w kolejny i pędem pokonał otwartą przestrzeń przed

największym żeńskim klasztorem w mieście, po czym wpadł w uliczkę, przy której mieściła się gospoda „Pod Gęsią” i ujrzał jeszcze więcej żołnierzy w nieznanych mu barwach, którzy w dodatku zablokowali mu drogę do kościoła. Oni również go spostrzegli i wznieśli gniewny okrzyk, który przedzierzgnął się w tryumfalne wycie, gdy puścili się za nim pędem, więc Hook, zdesperowany jak każde przeczuwające nadchodzącą śmierć zwierzę, dał drapaka w jakiś zaułek, wdrapał się na zamykający jego wylot mur i zeskoczył na niewielkie podwórko, na którym cuchnęło nieczystościami, po czym wygramolił się na następny mur i tam, otoczony zewsząd okrzykami swych prześladowców i drżący ze strachu, przycupnął w najciemniejszym kącie i czekał na swój nieuchronny koniec.

Tak właśnie zachowywał się ścigany jeleń. Kiedy nie widział już możliwości ucieczki, zastygał w bezruchu i, drżąc, czekał na śmierć, którą musiał przeczuwać. Lecz tym razem to Hook trząsał się ze strachu. „Lepiej poderznąć sobie gardło – powiedział mu kiedyś John Wilkinson – niż dać się złapać Francuzom” i Hook sięgnął po nóż, lecz zabrakło mu odwagi, aby go użyć. Nie potrafił sam ze sobą skończyć, więc czekał, aż zabiją go inni.

Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że jego prześladowcy najwyraźniej przestali go ścigać. W Soissons czekało na nich jeszcze tyle łupów i tak wiele ofiar, że jeden uciekinier nie był w stanie na dłużej ich zainteresować, i Hook, powoli odzyskując zmysły, uświadomił sobie, że przynajmniej na chwilę znalazł bezpieczną kryjówkę. Znajdował się na jednym z podwórek na tyłach gospody „Pod Gęsią”, gdzie myto i reperowano beczki z browaru. Nagle otworzyły się drzwi oberży, a drewniane kozły, baryłki i kadzie zalał blask pochodni. Na podwórze wyjrzał jakiś człowiek, powiedział coś uspokajającym tonem i wrócił do wnętrza gospody, z którego dobiegał krzyk kobiety.

Hook wciąż tkwił w swej kryjówce. Nie miał odwagi się ruszyć. W całym mieście słychać było teraz krzyki kobiet, chrapliwy śmiech mężczyzn i płacz dzieci. Obok Nicka przemknął kot. Dźwięk dzwonów dawno już umilkł. Hook wiedział, że nie może tu zostać. Z pewnością znaleźliby go tutaj o świcie. „O Boże, Boże mój, Boże – modlił się, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. – Bądź przy mnie teraz i w godzinę mojej śmierci!”. Przeszył go dreszcz. Na ulicy za murem podwórza browaru rozległ się tętent kopyt, a potem zaśmiał się jakiś mężczyzna. Po chwili dał się słyszeć płaczliwy skowyt kobiety. Na tle księżycy sunęły pospiesznie chmury i, nie wiedząc czemu, Nickowi przyszły do głowy borsuki na Żebraczym Wzgórzu i ta myśl o rodzinnych stronach pozwoliła mu się uspokoić.

Hook wstał. Może jednak jest jeszcze szansa, żeby przedostać się do kościoła? Kościół świętego Antoniego znajdował się znacznie bliżej stąd niż zamek, a sir Roger obiecał przecież, że postara się ocalić łucznikom życie. Choć był to zaledwie nikły promyk nadziei, tylko to przychodziło mu teraz do głowy, więc podciągnął się oburącz i ostrożnie wysunął głowę ponad krawędź muru, aby się rozejrzeć. Tuż obok znajdowały się stajnie gospody „Pod Gęsią”. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk i Nick wspiął się na mur, skąd mógł wejść bezpośrednio na stajenny dach, który zadrżał pod jego ciężarem. Jednak trzymając się środka dachu i stąpając po kalenicy, był w stanie wolno posuwać się naprzód, aż doszedł do przeciwległego szczytu, po czym zeskoczył w jakiś mroczny zaułek. Znowu trząsał się ze strachu, wiedząc, że tutaj nie jest już tak bezpiecznie. Poruszał się cicho i powoli, aż wreszcie dotarł do rogu ulicy, z którego widać było kościół.

Wyrzwał zza węgła i przekonał się, że nie ma ucieczki.

Kościół świętego Antoniego Padewskiego strzegli nieprzyjacielscy żołnierze. Na niewielkim placu przed wejściem do świątyni było ponad trzydziestu zbrojnych i tuzin kuszników. Wszyscy nosili barwy, jakich Hook nigdy wcześniej nie widział. Jeśli Smithson i pozostali łucznicy znajdowali się we wnętrzu świątyni, mogli czuć się stosunkowo bezpiecznie, gdyż byli w stanie bronić drzwi. Nickowi wydawało się jednak oczywiste, że żołnierze nieprzyjaciela muszą być tutaj po to, żeby nie pozwolić im się wymknąć. Zakładał również, że zatrzymają każdego samotnego i zabłąkanego łuczника, który spróbuje dostać się do kościoła. Przyszło mu na myśl, żeby co sił w nogach pobiec do drzwi, lecz domyślał się, że pewnie będą zamknięte, a podczas gdy on będzie walił w ciężkie drewniane wrota, kusznicy zrobią sobie z niego tarczę.

Lecz wrogowie nie tylko strzegli kościoła. Wynieśli beczki z jakiejś gospody i raczyli się piwem. Rozebrali też do naga dwie dziewczyny i przywiązali je do beczek, szeroko rozkładając im nogi, a teraz kolejno podciągali kolczugi i gwałcili swe ofiary, które leżały w milczeniu, jakby już zabrakło im jęków i łez. W całym mieście rozlegały się zresztą kobiece krzyki i ich dźwięk rozbrzmiewał w świadomości Hooka jak zgrzyt grotu strzały ostrzonego na kamieniu, i może dlatego nawet się nie ruszył, a tylko stał na rogu jak zwierzę, które nie ma dokąd uciec, ani gdzie się ukryć. Zastanawiał się, czy dziewczyny nie są czasem martwe, gdyż leżały tak spokojnie i nieruchomo, lecz wtedy ta bliżej niego odwróciła głowę i Hook przypomniał sobie Sarę, i wzdrygnął się z poczuciem winy. Dziewczyna, która wyglądała na nie więcej niż dwanaście lub trzynaście lat, wpatrywała się obojętnym wzrokiem w mrok, podczas gdy leżący na niej mężczyzna stękał i podrygiwał.

Nagle w zaułku otwarły się drzwi i strumień światła zalał Hooka, który odwrócił się i ujrzał, jak jakiś zbrojny chwiejnym krokiem wychodzi na błoto ulicy. Człowiek ten miał na sobie opończę z herbem przedstawiającym snopek pszenicy na zielonym polu. Upadł na kolana i zaczął wymiotować, podczas gdy do drzwi podszedł drugi żołnierz w tych samych barwach i zaśmiał się głośno. To właśnie ten drugi mężczyzna dostrzegł Hooka i rozpoznał wielki bojowy łuk, więc położył dłoń na rękojeści miecza.

Hook w przyпіływie paniki dźgnął go łukiem. W jego głowie rozlegał się przeraźliwy wrzask i nie był w stanie myśleć, lecz włożył w ten cios całą swoją siłę łuczника i wzmocnione rogiem zakończenie łuku przebiło gardło tamtego, zanim jeszcze zdołał choćby do połowy wydobyć miecz z pochwy. Żołnierz zalał się ciemnoczerwoną krwią, lecz Hook nadal nań napierał, aż łuk przebił tchawicę i mięśnie, skórę i ścięgna, i uderzył o odrzwia. Klęczący żołnierz w tym czasie ryczał w niebogłosy i, rozpryskując wokół wymiociny, usiłował chwycić Nicka za nogę. Łucznik, wciąż zdjęty śmiertelną trwogą, wydał z siebie rozpaczliwy dźwięk podobny do kociego miauczenia, puścił łuk i chwycił za głowę nowego napastnika. Czuł, jak jego palce miażdżą gałki oczne, klęczący mężczyzna zaczął przeraźliwie krzyczeć, a Hook po chwili zdał sobie sprawę, że strażnicy sprzed kościoła biegną już w jego kierunku, więc wskoczył w otwarte drzwi, omal nie potykając się o pierwszego z żołnierzy, który leżał w progu, resztkami sił próbując wydobyć łączysko z rozprutego gardła. Nick przebiegł przez izbę, minął jakieś drzwi, potem korytarz, aż wreszcie wybiegł na podwórze i bez chwili namysłu przeskoczył przez mur, potem przez jeszcze jeden. Za nim i dokoła niego słychać było krzyki i nawoływania i teraz już na dobre ogarnęło go śmiertelne przerażenie. Stracił swój wielki,

cisowy łuk i porzucił po drodze kołczany, ale nadal miał przy sobie miecz. Problem jednak w tym, że Hook nigdy dotąd go nie używał. Wciąż miał też na sobie sękaty czerwony krzyż burgundzki i teraz zaczął targać na sobie opończę, aby się go pozbyć, rozpaczliwie szukając zarazem jakiejś – jakiegokolwiek – drogi ucieczki. Wreszcie przeskoczył kamienny mur i znalazł się w wąskim zaułku, ocienionym przez wysokie domy. W ciemnościach dojrzał otwarte drzwi i pobiegł ku nim.

Drzwi prowadziły do przestronnej, pustej izby, gdzie w świetle ociekającej woskiem latarni ujrzał martwego mężczyznę, rozciągniętego na wyłożonej miękkimi poduszkami drewnianej ławie. Jego krew zalała kamienną posadzkę. Na ścianie wisiał gobelin, a w izbie były kredensy i długi stół, na którym leżało liczydło i arkusze pergaminu nadziane na wysoki szpikulec. Hook uznał, że zabity mężczyzna musiał pewnie być kupcem. W jednym z rogów izby stała drabina wiodąca na piętro, więc Nick szybko wspiął się po niej i znalazł się w pokoju o gipsowych ścianach, gdzie stało drewniane łóżko, a na nim leżał siennik i koce. Kolejna drabina prowadziła stąd na strych, więc Hook wdrapał się na górę, po czym wciągnął ją na poddasze, przeklinając samego siebie za to, że wcześniej nie zrobił tak samo. Teraz jednak było już za późno. Nie miał odwagi zeskoczyć z powrotem do mieszkania, więc przycupnął tylko pośród odchodów nietoperzy pod strzechą. Wciąż jeszcze cały się trząsał. W domach pod nim krzyczeli jacyś ludzie i przez pewien czas wydawało się, że muszą odkryć jego kryjówkę; moment ten zdawał się już bliski, kiedy ktoś wspiął się po drabinie do izby, w której stało łóżko. Lecz mężczyzna ten rozejrzał się tylko pobieżnie i wrócił na dół, a reszta prześladowców Hooka znudziła się pościgiem lub znalazła sobie inne łupy czy ofiary, gdyż po pewnym czasie ich pełne podekscytowania okrzyki ucichły. Nie milkły natomiast przeraźliwe wrzaski, stawały się wręcz coraz głośniejsze i Hookowi, przysłuchującemu się im ze zdumieniem, zdawało się, że tuż przed domem musi być cała grupa żałośnie krzyczących kobiet, i wzdrygnął się na dźwięk tego krzyku. Pomyślał o Sarze w dalekim Londynie, o sir Martinie i o widzianych przed chwilą mężczyznach, którzy wydawali się tak znudzeni, gdy gwałcili swe milczące ofiary.

Kobiece krzyki przeszły w szloch przerywany jedynie śmiechem mężczyzn. Hook cały się trząsał, bynajmniej nie z zimna, lecz ze strachu i poczucia winy, a potem skulił się jeszcze bardziej w niewielkiej przestrzeni pod spadzistymi krokwiemi dachu, ponieważ izbę poniżej zalało nagle światło latarni. Światło to przesączało się przez szczeliny między deskami podłogi strychu, luźno ułożonymi wprost na nieociosanych belkach. Na piętro wspiął się jakiś mężczyzna i krzychał coś teraz do swych towarzyszy na dole. Potem rozległ się krzyk kobiety i odgłos policzka.

– Ślicznotka z ciebie – rzekł mężczyzna, a Hook był tak przerażony, że nawet nie zwrócił uwagi, iż człowiek ten mówił po angielsku.

– *Non!* – błagała płaczliwie kobieta.

– Jesteś zbyt piękna, żeby się tobą dzielić. Będziesz tylko dla mnie, dziewczyno.

Hook zerknął na dół przez szparę w podłodze. Ujrzał hełm o szerokim rondzie, na wpół zasłaniający barki mężczyzny, a potem spostrzegł, że kobieta była zakonnicą w białym habicie, która skuliła się w kącie izby i skamlała tylko płaczliwym tonem.

– *Jésus!* – szlochala – *Marie, mère de Dieu!*

Ostatnie słowo przeszło w krzyk, gdy mężczyzna dobył noża.

– *Non!* – krzyknęła znowu. – *Non, non, non...*

Człowiek w hełmie uderzył ją otwartą dłonią na tyle mocno, że zamilkła. Potem uniósł ją do góry i przyłożył jej nóż do szyi, po czym jednym cięciem rozplatał jej habit do połowy. Ciął dalej i mimo że usiłowała stawiać opór, zdarł z niej strzępy białej szaty i zaczął rozcinać bieliznę. Następnie cisnął jej poszarpane ubranie na dół, do izby na parterze, a kiedy już była zupełnie naga, pchnął ją na siennik, gdzie znowu zwinęła się w kłębek i załkała.

„Och, jestem pewien, że Bóg był zachwycony tym, co się wtedy działo!” – zabrzmiały nagle słowa, choć nikt nic nie powiedział głośno, gdyż głos ten odezwał się w głowie Hooka. Było to dokładnie to samo zdanie, które usłyszał kiedyś z ust Wilkinsona w katedrze, lecz tym razem głos nie należał do starego łucznika. Był wdzięczniejszy i głębszy, pełen ciepła, i Nick nagle ujrzał przed oczyma wyobraźni odzianego w białe szaty, uśmiechniętego mężczyznę z tacą pełną jabłek i gruszek. Był to Kryspinian, święty, do którego Hook kierował większość swych modlitw w Soissons, i teraz właśnie w jego głowie pojawiła się odpowiedź na wszystkie te modły. W jego głowie Kryspinian spojrzał nań ze smutkiem, a Hook od razu pojął, że oto niebiosy dały mu szansę, by się poprawił. Zakonnica w izbie poniżej wzywała przed chwilą matkę Chrystusa i widocznie Najświętsza Panienka rozmawiała ze świętymi męczennikami z Soissons, którzy teraz z kolei przemówili do Hooka. Lecz łucznik był przerażony. Znow słyszał głosy. Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, lecz padł właśnie na kolana. I nic dziwnego. Oto Bóg przemawiał doń ustami świętego Kryspiniana.

A Nicholas Hook, łucznik i banita, nie wiedział, co robić, kiedy Bóg do niego przemawiał. Przepelniał go lęk.

Mężczyzna w izbie poniżej zdjął hełm i cisnął go na podłogę. Odpiął pas z mieczem i odrzucił na bok, po czym burknął coś do dziewczyny i zaczął zdejmować przez głowę kolczugę i opończę. Hook, zerkając pomiędzy nieociosane deski podłogi, stwierdził ze zdumieniem, że godło na opończy to herb sir Rogera Pallaire'a: trzy jastrzębie na zielonym tle. Skąd zatem wziął się tutaj ten znak? Przecież to zwycięscy Francuzi, a niepokonany garnizon miasta gwałcił kobiety i plądrował Soissons, a jednak Nick niewątpliwie miał przed oczyma trzy jastrzębie z herbu sir Rogera.

– Teraz! – rzekł święty Kryspinian.

Hook nawet nie drgnął.

– No już! – warknął w jego głowie święty Kryspin. Święty Kryspin nie był taki łagodny jak Kryspinian i Hook wzdrygnął się na dźwięk jego słów.

Tymczasem mężczyzna na dole – Hook nie był pewien, czy był to sam sir Roger czy któryś z jego żołnierzy – wciąż jeszcze zmagał się z ciężką, obszytą skórą kolczugą, która w połowie już przeszła przez głowę i krępowała mu teraz ruchy ramion.

- Na miłość boską! – błagał Hooka święty Kryspinian.
- Do dzieła, chłopcze! – rzucił szorstkim tonem święty Kryspin.
- Ratuj swoją duszę, Nicholasie! – rzekł łagodnie święty Kryspinian.

I Hook wreszcie go posłuchał.

Zeskoczył na dół przez dziurę w podłodze. Zapomniał o mieczu, dobywając zamiast niego swego noża o szerokim ostrzu, którym patroszył dawniej martwe jelenie. Spadł na ziemię tuż za plecami mężczyzny, który w tej chwili nic nie widział, gdyż miał na głowie kolczugę. Usłyszał jednak dźwięk, jaki towarzyszył lądowaniu Hooka na drewnianej podłodze, i odwrócił się w tej właśnie chwili, gdy łucznik wbił mu ostrze w brzuch. Tym razem Nicholas Hook wypatroszył swym nożem człowieka. Pchnięcie miało w sobie moc prawego ramienia łucznika i ostrze weszło na tyle głęboko, że wnętrzności wypłynęły z brzucha niczym mokre węgorze z saka, a mężczyzna wydał z siebie zduszony krzyk, który stłumiła w dodatku ciężka kolczuga na jego głowie. Krzyknął raz jeszcze, gdy dostał kolejny cios, tym razem skierowany ku górze, gdyż Hook wsadził dłoń z ostrzem głęboko do jego rozprutego brzucha, aby zadać pchnięcie pod żebra, które znajdzie i przekłuje serce niedoszłego gwałciciela.

Mężczyzna upadł na wznak na łóżko i wyzionął ducha, nim jeszcze opadł na siennik.

Zaś Hook, z ręką unurzaną we krwi aż po łokieć, spoglądał na swoją ofiarę.

Dopiero później zdał sobie sprawę, że wypełniony pierzem siennik ocalił mu życie, gdyż wsiąkła weń krew zabitego, która inaczej zaczęłaby kapać przez szpary w podłodze i zaalarmowałaby ludzi znajdujących się w dolnej izbie. Było ich dwóch i obaj mieli na sobie barwy sir Rogera, lecz Hook, stając z lękiem nad swą ofiarą, zwrócił uwagę, że opończa zabitego wykonana była z cienko tkanego płótna, dużo lepszego gatunkowo niż zwykle, tanie opończe. Nick odsunął się teraz od wjazdu w podłodze. Dwaj mężczyźni na dole przetrząsali właśnie jeden z kredensów i zdawali się zupełnie nie zwracać uwagi na to, że tuż nad ich głowami zabito przed chwilą ich towarzysza.

Kolczuga zabitego była gęsta, starannie wypolerowana i nabijana klamrami, które przytrzymały wcześniej płytową zbroję. Hook pochylił się i ściągnął ją z głowy trupa, by przekonać się, że zabił właśnie samego sir Rogera Pallaire'a. A zatem człowiek ten, będący rzekomo sprzymierzeńcem Burgundczyków, nie tylko pozostał przy życiu, ale nawet mógł gwałcić i rabować wraz ze zwycięskimi Francuzami, co oznaczało z pewnością, że już dawno potajemnie przeszedł na ich stronę. Hook usiłował jakoś dojść do ładu z tym aktem haniebnej zdrady, podczas gdy naga dziewczyna gapiała się na niego z szeroko otwartymi oczyma i ustami. Wydawała się przerażona i Hook obawiał się, że zaraz zacznie krzyczeć, więc położył palec na ustach, lecz ona pokręciła tylko głową i nagle poczęła wydawać z siebie krótkie, urywane i pełne rozpacz dźwięki, ni to jęki, ni to westchnienia. Hook zrazu zmarszczył brwi, lecz potem zrozumiał, że cisza byłaby bardziej podejrzana niż takie odgłosy jej niedoli. „Sprytna jest” – pomyślał. Skinął więc głową, po czym



odciął przesiąkniętą krwią sakiewkę przywiązaną do pasa sir Rogera. Zdjął również z kolczugi jego opończę i cisnął wraz z sakiewką na strych, po czym uniósł ręce w górę i chwycił się jednej z belek. Podciągnął się na poddasze i wyciągnął prawe ramię do dziewczyny.

Ta jednak odwróciła się i Hook syknął na nią, pokazując, żeby doń dołączyła, ale dziewczyna doskonale wiedziała, czego chce. Napluła na ciało sir Rogera, po czym splunęła raz jeszcze, nim wreszcie podała Nickowi rękę. Wciągnął ją na górę równie łatwo, jak naciągał cięciwę łuku. Wskazał jej gestem opończę i sakiewkę, a ona je zabrała, po czym podążyła za nim w głąb poddasza. Hook bez trudu przedarł się przez liche przepierzenie z plecionki, oddzielające od siebie poddasza, i wprowadził ją na strych sąsiedniego domostwa. Stąpał ostrożnie, gdyż było tutaj coraz ciemniej. Doszedł w ten sposób do samego końca szeregu zabudowań, trzy domy od miejsca, gdzie zabił sir Rogera, i znów skinął na dziewczynę, pokazując jej, by przycupnęła przy jednym ze szczytów, a potem, pracując powoli, aby robić jak najmniej hałasu, zaczął zdejmować pokrywającą dach strzechę.

Zajął mu to jakąś godzinę. Nie tylko ściągnął strzechę, lecz także wyrwał kilka krokwi z kalenicy, a kiedy skończył, uznał, że wygląda to tak, jakby dach się zawalił. Potem wraz z dziewczyną przycupnął pod osłoną ze strzechy i belek. Hook przygotował im kryjówkę jak się patrzy.

Teraz jednak mógł tylko czekać. Dziewczyna odzywała się czasami, lecz Hook w Soissons nauczył się bardzo niewiele francuskich słów i nie rozumiał, co mówiła. Uciszał ją więc, a ona po chwili przytuliła się do niego i zasnęła, choć czasami budziła się i mówiła coś płaczliwym głosem, a Hook niezdarnie próbował ją pocieszyć. Nadal miała na sobie opończę sir Rogera, wciąż mokrą od jego krwi. Nick rozsypał sakiewkę i ujrzał złote i srebrne monety. Jak podejrzewał, była to zapłata za zdradę sir Rogera.

Ranek wstał szary od dymów. Jeszcze przed wschodem słońca znaleziono wypatroszone zwłoki sir Rogera i podniósł się wielki rwetes. Hook słyszał, jak jacyś ludzie przetrząsają szereg domów pod nimi, lecz jego kryjówka była zrobiona bardzo sprytnie i nikomu nie przyszło do głowy, by szukać pod płataniną strzechy i belek. Dziewczyna przebudziła się wówczas i Hook przytknął palec do ust, a ona przywarła doń, drżąc na całym ciele. Hook też jeszcze się bał, ale jego strach przeszedł już w obojętność, a towarzystwo dziewczyny w pewien sposób dawało mu nadzieję, której nie było w jego duszy poprzedniego wieczora. A może to dwaj święci z Soissons nad nim czuwają – pomyślał i przeżegnał się, po czym wzniósł dziękczynną modlitwę do Kryspina i Kryspiniana. Obaj co prawda teraz milczeli, lecz przecież zrobił, co mu nakazali. Nick zaczął się nawet zastanawiać, czy to Kryspinian przemówił doń w Londynie. Wydawało się to mało prawdopodobne. Lecz w takim razie kto to był? Bóg? Pytanie to wydawało się jednak bez znaczenia wobec budującej świadomości, iż tym razem zrobił to, na co nie odważył się w Londynie. Oczyma duszy dojrzał iskierkę nadziei. Była to ledwie iskierka, światełko tak nikłe, jak płomień świecy na wietrze, ale jednak oznaczała nadzieję.

Kiedy zbliżał się świt, miasto nieco ucichło, lecz gdy słońce wzniosło się ponad wieżę katedry, w Soissons znowu zaczął się ruch. Słyszać było krzyki, jęki i płacz. W płataninie zmierzwionej strzechy i oderwanych belek była szczelina, przez którą Hook mógł obserwować niewielki plac przed kościołem świętego Antoniego Padewskiego. Dwie dziewczyny, przywiązane wcześniej do

beczek już znikły, lecz zbrojni i kusznicy wciąż jeszcze tam stali. Jakiś nakrapiany pies obwąchiwał zwłoki zakonniczy, która leżała z głową w kałuży ciemnoczerwonej krwi i habitem podkasany powyżej talii. Przez skwer przejechał jeździec w zbroi, z nagą dziewczyną przerzuconą przez siodło. Obiema rękami zaczął klepać ją po tyłku, jakby grał na bębnie, a przyglądający mu się mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Hook wciąż czekał. Strasznie chciało mu się sikać, ale nie miał odwagi się ruszyć, więc zmoczył spodnie. Dziewczyna poczuła woń moczu i skrzywiła się z obrzydzeniem, ale chwilę później sama musiała się zsikać. Zaczęła cichutko popłakiwać i Nick musiał mocno ją przytulać, nim przestały jej lecieć łzy. Mruknęła coś do niego cichutko, on coś odmruknął i choć jedno drugiego nie rozumiało, oboje znaleźli w tym pociechę.

Nagle odgłos kopyt większej ilości koni kazał Hookowi się odwrócić i zerknąć przez szparę w strzesze. Spojrzał w dół na plac przed kościołem, gdzie pojawiło się właśnie około dwudziestu jeźdźców. Jeden z nich dzierżył chorągiew ze złotymi liliami na błękitnym tle, obszytą czerwoną lamówką w białe kropki. Jeźdźcy byli w zbrojach, chociaż żaden nie miał na głowie hełmu. W ślad za nimi przyszli pieszo zakuci w pancerze zbrojni.

Jeden z przybyłych właśnie jeźdźców miał na sobie opończę z trzema jastrzębiami na zielonym tle i Hook zdał sobie sprawę, że musi to być Anglik na służbie sir Rogera. I to właśnie ów człowiek podjechał konno do wrót kościoła i, wychylając się z siodła, zaczął walić krótką kopią w drzwi. Coś przy tym krzyczał, lecz Hook był zbyt daleko, by usłyszeć jego słowa. Widocznie jednak musiał zapewnić łuczników, że nic im nie grozi, bo w chwilę później drzwi kościoła otworzyły się i wyjrzał przez nie sierżant Smithson.

Mężczyźni zamienili kilka słów, po czym Smithson na powrót znikł za drzwiami i nastąpiła dłuższa chwila oczekiwania. Hook przypatrywał się temu, zastanawiając się, co się dzieje, gdy wtem wrota kościoła otworzyły się na oścież i Anglicy, wolno i ostrożnie, wyszli gęsiego na zalany słońcem plac. Wydawało się, że sir Roger dotrzymał danego słowa, i Hook, obserwując całą tę scenę spod zawalonego dachu, zastanawiał się, czy jest szansa, aby dołączyć do łuczników, którzy zgromadzili się przed angielskim jeźdźcem. Sir Roger musiał widocznie uzgodnić z Francuzami, że darują im życie, gdyż zwycięzcy zdawali się witać ich życzliwie. Ludzie Smithsona odłożyli łuki, kołczany i miecze na stos przy drzwiach kościoła, a potem, jeden po drugim, przyklękali przed jeźdźcem dosiadającym wspaniałego ogiera w czapraku ze złotymi liliami na błękitnym tle. Jeździec ten miał na głowie złoty diadem i nosił lśniącą, wypolerowaną do połysku zbroję, a teraz uniósł rękę w geście, który zdawał się być dobrotliwym błogosławieństwem. Tylko John Wilkinson trzymał się jeszcze blisko drzwi kościoła.

„Jeśli uda mi się wydostać na ulicę – pomyślał Hook – będę mógł tam pobiec i dołączyć do moich rodaków.”

– Nie – szepnął nagle w jego głowie święty Kryspinian. Nick aż się wzdrygnął na dźwięk jego głosu. Dziewczyna chwyciła go kurczowo za rękę.

– Nie? – szepnął Hook.

– Nie! – powtórzył święty Kryspinian, bardzo stanowczym tonem.

Dziewczyna o coś go spytała, ale ją uciszył.

– Nie mówiłem do ciebie, mała – szepnął.

Jeździec w złocie i błękicie na kilka sekund uniósł w górę swą opancerzoną dłoń, a potem gwałtownie ją opuścił.

I wtedy zaczęła się jatka.

Spieszeni zbrojni dobyli mieczy i rzucili się na klęczących łuczników. Pierwsi z nich zginęli w okamgnieniu, ponieważ nie byli na to przygotowani, lecz pozostali zdążyli dobyć swych sztyletów i stawić opór, ale Francuzi zakuci byli w płytowe zbroje i uzbrojeni w miecze, a w dodatku natarli na nich ze wszystkich stron. Zbrojni w barwach sir Rogera tylko się temu przyglądali. John Wilkinson zdążył chwycić jakiś miecz ze stosu broni przy drzwiach kościoła, lecz jeden z napastników przebił go krótką kopią, a drugi Francuz ciął go w kark. Krew Wilkinsona bluznęła aż na kamienne sklepienie kościelnych drzwi, na którym były rzeźbione ryby i postaci aniołów. Niektórych łuczników wzięto żywcem, powaliwszy ich na ziemię. Pilnowali ich teraz zbrojni, uśmiechając się złowieszczo.

Człowiek w złotym diademie zawrócił konia i odjechał wraz ze swym chorążym, giermkim, paziem i całym konnym poczem. Anglik noszący herb z trzema jastrzębiami oddalił się wraz z nimi, nie zwracając najmniejszej uwagi na ocalałych łuczników, głośno błagających o litość. Błagania te miały okazać się jednak daremne.

Francuzi pamiętali całe pasmo klęsk i szczerze nienawidzili ludzi, którzy napinali długie, bojowe łuki. Pod Crécy Francuzi mieli przewagę liczebną, a w dodatku schwyтали Anglików w pułapkę, po czym ruszyli do szarży poprzez łagodną dolinę, aby uwolnić świat od zuchwałych najeźdźców. Wtedy to właśnie łuczniczy zadali im klęskę, zsyłając na nich z nieba pierzastą śmierć i dziesiątkując szlachetnych rycerzy strzałami o długich grotach. Potem, pod Poitiers, łuczniczy wybili kwiat francuskiego rycerstwa, a gdy ów krwawy dzień dobiegł końca, król Francji był jeńcem zwycięskich Anglików. Wszystkie te rany i zniewagi nadal bolały, więc nie miało być żadnej litości dla angielskich łuczników.

Hook i dziewczyna, chcąc nie chcąc, musieli się wszystkiemu przysłuchiwać. Przy życiu pozostało jeszcze trzydziestu czy czterdziestu łuczników i oprawcy najpierw obcięli każdemu z nich dwa palce u prawej dłoni, żeby już nigdy nie byli w stanie napiąć łuku. Brzuchaty Francuz, uśmiechnięty od ucha do ucha, odrąbywał je przy pomocy przecinaka i pobijaka. Niektórzy z łuczników znosili te męczarnie w milczeniu, lecz innych trzeba było przywlec siłą do beczki, na której rozczapierzano im dłonie. Hook myślał, taka zemsta usatysfakcjonuje Francuzów, ale to był dopiero początek. Zwycięzcy chcieli czegoś znacznie więcej niż tylko łuczniczych palców: chcieli bólu i śmierci.

Każni łuczników przyglądał się wysoki mężczyzna, dosiadający potężnego rumaka. Miał długie, czarne włosy opadające poniżej jego zakutych w pancerz barków i Hook, który miał sokoli wzrok, widział wyraźnie przystojne, ogorzałe od słońca oblicze tego człowieka, jego prosty niczym ostrze miecza nos, wydatne usta i wystającą szczękę z kilkudniowym zarostem. Na zbroi jeździec ten nosił jaskrawą opończę ozdobioną wizerunkiem złotego słońca, wypuszczającego proste i faliste promienie, na którego tle widniała głowa orła. Dziewczyna nie widziała tego mężczyzny, gdyż twarz miała przez cały czas wtuloną w ramiona Hooka. Słyszała przeraźliwe wrzaski torturowanych łuczników, ale nie chciała przyglądać się tej jatce. Wzdychała tylko płacząco za każdym razem, gdy któryś z Anglików krzyczał z przeszywającego bólu, jaki zadawali mu w akcie zemsty Francuzi.

Hook natomiast patrzył przez cały czas. Sądził, że wysoki mężczyzna z głową orła na tle złotego słońca mógłby położyć kres torturom i rzezi, ale ten nie kiwnął nawet palcem. Siedział tylko w siodle i przyglądał się beznamiętnie, jak Francuzi rozebrali pozostałych przy życiu łuczników do naga, a potem wyłupili im oczy ostrzami swych sztyletów. Potem szydzili z oślepionych i czyścili im oczodoły ostrymi klingami. Jeden z Francuzów udał, że zjada gałkę oczną, a pozostali wybuchnęli śmiechem. Długowłosa mężczyzna nawet się nie uśmiechnął, tylko przyglądał się wszystkiemu w milczeniu, a na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, kiedy oślepionych łuczników rozciągnięto na ulicznym bruku, aby ich wykastrować. Ich przeraźliwe wrzaski wypełniły całe miasto, które już i tak pełne było krzyku. Dopiero wówczas, gdy ostatni z Anglików został wykastrowany, przystojny mężczyzna na dorodnym, bojowym rumaku opuścił skwer. Francuzi zaś pozostawili oślepionych łuczników pod letnim niebem, aby wykrwawili się na śmierć. Umierali jednak długo w straszliwych męczarniach i Hooka przeszył dreszcz, mimo iż było gorąco. Święty Kryspinian milczał. Pośród dogorywających łuczników upadła na bruk zakrwawiona, naga kobieta z odciętymi piersiami i zanosila się od płaczu, dopóki pewien Francuz, znużony jej szlochem, od niechcenia nie zmiażdżył jej czaszki berdyszem. Umierających Anglików obwąchiwały psy.

Grabież miasta trwała przez cały dzień. Splądrowano katedrę, kościoły parafialne i wszystkie męskie czy żeńskie klasztory. Do znudzenia gwałcono przy tym kobiety i dzieci, których mężów i ojców wcześniej wymordowano, a Bóg odwrócił swe oblicze od Soissons. Stracony został również pan de Bournonville, ale miał przynajmniej tyle szczęścia, że przed śmiercią nie poddano go torturom. Zamek, mający być schronieniem dla obrońców, poddał się bez walki, kiedy Francuzi, wpuszczeni do miasta przez zdrajcę sir Rogera, zastali otwartą bramę i podniesioną kratę. Zgładzono wszystkich Burgundczyków i jedynie ludziom sir Rogera, współnikom swego zabitego dowódcy, darowano życie, gdy całe miasto wydano pod miecz. Jego mieszkańcy nienawidzili burgundzkiego garnizonu i ani na chwilę nie przestali być wierni królowi Francji, lecz teraz, w krwiożerczym szale, pośród gwałtów i kradzieży, Francuzi wynagrodzili tę ich lojalność straszliwą rzezią.

– *Je suis Melisande* – powtarzała w kółko dziewczyna i Hook początkowo nie rozumiał, o co jej chodzi, ale wreszcie uświadomił sobie, że podaje mu swoje imię.

– Melisanda? – zapytał.

– *Oui* – przytaknęła.

– Nicholas.

– *Nicholas* – powtórzyła. – Albo Nick – rzekł Hook.

– *Albonik?* – dopytywała się Melisanda.

– Nick.

– *Nick.*

Rozmawiali tylko szeptem, czekając, słuchając wrzasków z całego miasta i wdychając wszechobecny zapach piwa i krwi.

– Nie wiem, jak się stąd wydostaniemy – powiedział Hook do Melisandy, która nie zrozumiała ani słowa. I tak skinęła głową, po czym zapadła w sen, z głową na jego ramieniu, a Nick zamknął oczy i zaczął się modlić do świętego Kryspiniana. „Pomóż nam wydostać się z tego miasta – błagał – i pomóż mi wrócić do domu. Tylko że banita nie ma domu” – pomyślał w nagłym przypiływie rozpaczy.

– Wrócisz do domu – rzekł doń święty Kryspinian.

Hook zamilkł, zastanawiając się po raz kolejny, jak to możliwe, że święty w ogóle z nim rozmawia. Czyżby ten głos był wytworem jego wyobraźni? Lecz wydawał się rzeczywisty, równie rzeczywisty jak przeraźliwe wrzaski, które towarzyszyły agonii łuczników. Potem zaczął myśleć o tym, jak uciec z miasta, skoro Francuzi z pewnością rozstawili już strażę przy wszystkich bramach.

– To może przez wyłom? – zasugerował łagodnie święty Kryspinian.

– Wyjdziemy przez wyłom w murach – rzekł Hook do Melisandy, ale dziewczyna wciąż jeszcze spała.

Kiedy zapadła noc, Hook patrzył, jak świnie, najwyraźniej wypuszczone z chlewów na tyłach domostw, ucztowały na okaleczonych zwłokach łuczników. W mieście było teraz spokojniej, gdyż zwycięzcy nasycili swoje żądze i apetyty kobietami, piwem i winem. Wszedł księżyc, lecz Bóg zesłał wysokie chmury, które najpierw spowiły mgłą, a potem zakryły jego srebrne oblicze, i pod osłoną ciemności Hook i Melisanda opuścili swą kryjówkę i zeszli na cuchnącą ulicę. Był środek nocy i zdobywcy chrapali w najlepsze w splądrowanych domach. Nikt nawet nie pilnował wyłomu. Dziewczyna, wciąż owinięta zakrwawioną opończę sir Rogera, trzymała Nicka za rękę, gdy z trudem brnęli przez resztki zburzonego muru i kiedy potem pokonywali niewielką nieckę, w której mieściły się śmierdzące doły farbiarzy, by w końcu ruszyć pod górę i, mijając opuszczony obóz Francuzów, dotrzeć do położonych powyżej lasów, gdzie nie było wreszcie zapachu krwi i woni rozkładających się trupów.

Soissons było martwe, lecz Hook i Melisanda żyli.

– Przemawiają do mnie wasi święci – oznajmił Melisandzie Hook w promieniach wschodzącego słońca – a w każdym razie Kryspinian. Ten drugi jest bardziej surowy. Czasem też się odzywa, ale nie mówi zbyt wiele.

– Kryspinian? – powtórzyła Melisanda i wydawała się zadowolona z tego, że zrozumiała choć jedno słowo.

– Wydaje się życzliwy – rzekł Hook – i czuwa nade mną. Zresztą teraz chyba także nad tobą! – powiedział i uśmiechnął się do dziewczyny, odzyskując nagle pewność siebie. – Musimy ci znaleźć odpowiednie ubranie, mała. W tym wyglądasz dość dziwnie, nie ma co.

Lecz jeśli nawet Melisanda wyglądała dziwnie, to była przy tym prześliczna. Hook zwrócił na to uwagę dopiero o świcie pierwszego dnia w lesie, gdy słońce wypuściło miliony strzał z zielonkawego złota, które przebiły się przez liście i gałęzie, wydobywając z mroku delikatną twarz o wysokich kościach policzkowych, okoloną burzą włosów czarnych jak noc. Dziewczyna miała szare oczy, blade jak światło księżyca, i długi nos, a jej podbródek zdradzał upór i – jak Hook miał się niebawem przekonać – odzwierciedlał jej charakter. Była żałośnie chuda, ale jej ciało miało w sobie sprężystość, siłę i pogardę dla słabości. Jej usta, wydatne i pełne wyrazu, prawie się nie zamykały. Nick miał się z czasem dowiedzieć, że była nowicjuską w zgromadzeniu sióstr, w którym obowiązywała reguła milczenia, i przez te pierwsze spędzone wspólnie dni wydawało się, że Melisanda musi sobie jakoś powetować długie miesiące wymuszonej ciszy. Hook kompletnie nic nie rozumiał, ale słuchał z zachwytem jej nieustannego szczebiotu.

Pierwszy dzień spędzili w lesie. Od czasu do czasu w dolinie pod bukami pojawiali się jeźdźcy. Byli to zdobywcy Soissons, ale nie mieli na sobie zbroi. Niektórzy polowali z sokołami, inni zdawali się po prostu jeździć po okolicy dla przyjemności i ani jedni, ani drudzy nie interesowali się garstką uciekinierów, którzy zdołali wydostać się z miasta i zmierzali teraz na południe. Mimo to Hook nie chciał ryzykować spotkania z jakimś Francuzem, więc ukrywał się w lesie aż do zmroku. Postanowił skierować się na zachód, ku Anglii, choć wiedział, że jako banita nie będzie mógł się tam czuć bezpieczniej niż we Francji. Nie wiedział jednak, dokąd miałby się udać, jeśli nie w stronę ojczystego kraju. Wraz z Melisandą szli nocami, a drogę oświetlał im księżyc. Pożywienie musieli kraść i zwykle było nim jagnię, które Hook porywał pod osłoną nocy. Bał się owczarków, strzegących stad, ale może to święty Kryspinian ze swoją pasterską laską miał go w swej opiece, gdyż psy nigdy nawet się nie poruszyły, gdy Hook podrzynał zwierzęciu gardło. Potem unosił niewielką zdobycz w głąb lasu, gdzie rozpałał ognisko i gotował mięso.

– Możesz odejść, jeśli tylko chcesz – powiedział Melisandzie pewnego ranka.

– Odejść? – spytała, marszcząc czoło i nie rozumiejąc, co Nick ma na myśli.

– Jeśli tylko chcesz, mała. Możesz sobie iść! – powtórzył i machnął ręką w kierunku południowym. W odpowiedzi zobaczył groźną minę i wysłuchał potoku niezrozumiałej dlań francuszczyzny, który uznał za odmowę i deklarację, że Melisanda chce z nim zostać. Została więc, a jej obecność była dlań zarazem pociechą, jak i powodem do zmartwień. Hook nie był pewien, czy zdoła wydostać się z Francji, a gdyby nawet mu się to udało, to i tak nie widział przed sobą przyszłości. Modlił się do świętego Kryspiniana i miał nadzieję, że męczennik zechce mu pomóc, kiedy już dotrze do Anglii – jeśli w ogóle tam dotrze, lecz święty Kryspinian milczał.

Lecz chociaż nic nie mówił, to przecież zesłał Hookowi i Melisandzie księdza, który był proboszczem parafii leżącej nad brzegami rzeki Oise. Kapłan znalazł dwoje uciekinierów śpiących pod zwaloną wierzbą w gęstym, olchowym zagajniku i zabrał ich do swego domu, gdzie jego kobieta dała im jeść. Ojciec Michel był zgorzkniały i posępny, lecz się nad nimi zlitował. Mówił trochę po angielsku, gdyż nauczył się języka, będąc kapelanem pewnego francuskiego wielmoży, który przetrzymywał u siebie angielskiego więźnia. Jego kapelańska posługa sprawiła również, że ojciec Michel nienawidził wszystkich, którzy mieli w swych rękach władzę, bez różnicy, czy chodziło o króla, biskupa czy wielkiego pana, i ta nienawiść wystarczyła, żeby zgodził się pomóc angielskiemu łucznikowi.

– Pójdiesz do Calais – oświadczył Hookowi.

– Jestem banitą, ojczu.

– Banitą? – powtórzył ksiądz. Po chwili zrozumiał, w czym rzecz, ale rozproszył obawy Nicka. – *Proscrit*, co? Ale Anglia to twój dom. To duża wyspa, prawda? Więc jedź do domu i trzymaj się z dala od miejsca, gdzieś nagrzeszył. A czym zawiniłeś?

– Podniosłem rękę na duchownego.

Ojciec Michel zaśmiał się i poklepał Hooka po plecach.

– Doba robota! Mam nadzieję, że to był biskup, co?

– Tylko zwyczajny ksiądz.

– Następnym razem przyłóż biskupowi, dobrze?

Hook odwdzieczył się za gościnę na plebanii. Rąbał drzewo na opał, czyścił rowy odwadniające na polach i pomógł ojcu Michelowi wymienić strzechę w oborze, a Melisanda gotowała, prała i szyla wraz z jego gospodynią.

– Wieśniacy was nie wydadzą – zapewnił Hooka kapłan.

– Dlaczego, ojczec?

– Bo się mnie boją. Przecież mogę ich wszystkich wysłać do piekła! – odrzekł ponuro ksiądz. Lubił rozmawiać z Nickiem, żeby doskonalić swój angielski, i pewnego dnia, kiedy Hook przycinał grusze za domem, miał okazję usłyszeć, jak łucznik z ociąganiem wyznaje, że słyszy głosy. Ojciec Michel się przeżegnał.

– Czy to może być głos Szatana? – zasugerował.

– To mnie właśnie martwi – przyznał Hook.

– Ale ja sędzę, że to jednak nie Szatan – odparł łagodnie ojciec Michel. – Strasznie ogołociłeś tę gruszę!

– Bo rozrasta się jak szalona, ojczec. Trzeba ją było przyciąć zeszłej zimy, ale teraz też jej nie zaszkodzi. Chce ojciec doczekać się paru gruszek? W takim razie nie można jej pozwolić zdziczeć. Niech mi ojciec zaufa. Trzeba przycinać i przycinać! A kiedy człowiek myśli, że obciął już zbyt wiele gałęzi, należy ściąć jeszcze drugie tyle!

– Nic tylko przycinać, co? Jeśli w przyszłym roku nie będę miał ani jednej gruszki, przynajmniej będę wiedział, że to diabeł cię tu przysłał.

– To święty Kryspinian do mnie przemawia – rzekł Hook, ścinając kolejną gałąź.

– Ale tylko pod warunkiem, że Bóg mu na to pozwala – powiedział ksiądz i uczynił znak krzyża – a to znaczy, że przemawia do ciebie sam Wszechmogący. Cieszę się, że do mnie nie gadają żadni święci.

– Cieszy się ojciec?

– A co myśleć o tych, co słyszą głosy? Albo sami są już święci, albo nadają się tylko na stos.

– Żaden tam ze mnie święty – odparł Hook.

– Ale widocznie Bóg cię wybrał. Czasem dokonuje bardzo dziwnych wyborów – stwierdził ojciec Michel, po czym się zaśmiał.

*Père Michel* rozmawiał także z Melisandą, więc Hook dowiedział się w końcu czegoś o dziewczynie. Jak mu powiedział ksiądz, jej ojcem był wielki pan, zwany *le Seigneur d'Enfer*, a matka była służebną dziewczką.

– Zatem twoja Melisanda jest kolejnym szlacheckim bękartem, zrodzonym tylko po to, by zaznać niedoli – rzekł ojciec Michel. Jej szlachetny rodzic zadbał o to, by trafiła do klasztoru w Soissons jako nowicjuszka i pomoc kuchenna dla siostr. – Tak właśnie wielcy tego świata ukrywają swoje grzeszki: pakują swe nieślubne dzieci do więzienia – wyjaśnił z goryczą ojciec Michel.



– Do więzienia?

– Przecież dziewczyna nie chciała być zakonnica. Wiesz, jak ona ma na imię?

– Melisanda.

– Melisanda była królową Jerozolimy – oświadczył z uśmiechem ojciec Michel. – A ta Melisanda cię kocha – dodał.

Hook nie odezwał się na to ani słowem.

– Dbaj o nią – rzekł surowym tonem ojciec Michel, kiedy wyruszyli już w dalszą drogę.

Poszli dalej w przebraniu. Niełatwo było ukryć posturę Hooka, ale ojciec Michel dał mu białą pokutną szatę i kołatkę, jakiej używali trędowaci, zrobioną z trzech kawałków drewna połączonych skórzanymi paskami, a Melisanda, w takim samym odzieniu i ze ściętymi na krótko czarnymi włosami w rozmyślnym nieładzie, powiodła go na północny zachód. Wyglądali więc na pielgrzymów, szukających dla Hooka uzdrowienia. Żyli z jałmużny, jaką rzucali im ludzie, którzy nie chcieli zbliżyć się do trędowatego, obwieszczającego swą obecność głośnym stukotem kołatki. Mimo tego nadal posuwali się naprzód ostrożnie, starając się przechodzić opłotkami większych miejscowości i nakładając kawał drogi, aby ominąć wielką chmurę dymu, jaka znaczyła miejsce, gdzie leżało miasto Amiens. Spali po lasach albo w szopach i stogach siana, a ich ciała splukiwał deszcz i suszyło słońce i pewnego dnia, nad brzegiem rzeki Canche, zostali kochankami. Melisanda była potem milcząca, ale tuliła się do Hooka, a on zmówił dziękczynną modlitwę do świętego Kryspiniana, który go tym razem zignorował.

Następnego dnia podążyli na północ drogą, która wiodła przez rozległe pole pomiędzy dwoma lasami. Na zachód od gościńca stał niewielki zamek, ledwie widoczny za drzewami. Zatrzymali się na odpoczynek w lesie po wschodniej stronie traktu, obok zawalonej chaty leśniczego, której strzechę porastała gruba warstwa mchu. Na rozległym polu rósł jęczmień, a jego kłosa falowały wdzięcznie w lekkich podmuchach wiatru. Nad ich głowami rojło się od skowronków, których śpiew oboje ukołysał, i zarówno Hook, jak i Melisanda zapadli w drzemkę w upalny dzień u schyłku lata.

– Co tutaj robicie? – zabrzmiał nad nimi nagle czyjś szorstki głos. Ze skraju lasu przyglądał im się jeździec w bogatym stroju i z zakapturzonym sokołem usadowionym na nadgarstku.

Melisanda uklękła pokornie i pochyliła głowę.

– Prowadzę brata do Saint-Omer, jaśnie panie – odrzekła.

Jeździec, który mógł, ale nie musiał być jaśniepanem, dostrzegł kołatkę Hooka i cofnął wierzchowca.

– Czego tam szukacie? – zapytał władczo.

– Chcemy uzyskać błogosławieństwo świętego Otmara, panie – rzekła Melisanda. Ojciec Michel powiedział im, że Saint-Omer leży niedaleko Calais i wielu ludzi szuka uzdrowienia w tamtejszym sanktuarium świętego Otmara. Dodał przy tym, że znacznie bezpieczniej będzie mówić, że tam właśnie zmierzają, niż przyznawać, że kierują się do angielskiej enklawy wokół Calais.

– Niechaj Bóg da wam bezpieczną podróż – rzekł niechętnie jeździec i cisnął monetę pomiędzy mchy i liście.

– Panie! – zawołała Melisanda.

Jeździec zawrócił konia.

– Tak?

– Gdzie jesteśmy, panie? I jak daleko stąd do Saint-Omer?

– Cały, długi dzień drogi – odrzekł mężczyzna, ściągając wodze. – A czemu chcesz wiedzieć, jak nazywa się to miejsce? Na pewno o nim nie słyszałaś.

– Zapewne nie, panie – przyznała Melisanda.

Mężczyzna przypatrywał jej się przez moment, po czym nagle się opanował.

– Ten zamek zowie się Azincourt – rzekł, wskazując skinieniem głowy blanki, widoczne ponad drzewami po zachodniej stronie gościńca. – Mam nadzieję, że twój brat dostąpi łaski uzdrowienia – rzekł, po czym ujął wodze i skierował wierzchowca wprost w pole jęczmienia.

Upłynęły jeszcze cztery dni, nim dotarli do bagien wokół Calais. Poruszali się ostrożnie, unikając francuskich patroli, krążących wokół znajdującego się w rękach Anglików miasta. Była noc, kiedy dotarli do mostu w Nieulay, prowadzącego na groblę wiodącą do miasta. Tam zatrzymały ich strażę.

– Jestem Anglikiem! – zawołał Hook, po czym, trzymając za rękę Melisandę, wszedł powoli w krąg światła pochodni, płonących przy mostowej bramie.

– Skąd się tu wzięłaś, chłopcze? – zapytał siwobrody żołnierz w dopasowanym hełmie.

– Idziemy ze Soissons – odparł Hook.

– Ze Soissons?! – mężczyzna zrobił krok naprzód, by przyjrzeć się Hookowi i jego towarzysze. – Rany boskie! Wchodźcie, szybko!

Nick przeszedł więc przez furtę w wielkich wrotach i w ten sposób wraz z Melisandą znalazł się na terytorium Anglii, gdzie był człowiekiem wyjętym spod prawa.

Lecz święty Kryspinian dotrzymał słowa i Hook wrócił do domu.

Nawet latem w wielkiej sali zamku w Calais panował chłód. Grube, kamienne mury doskonale chroniły przed upałem, więc w kominku buzował wielki ogień, zaś przed paleniskiem leżał szeroki dywan, na którym stały dwie sofy, a obok spało sześć ogarów. Sala wyłożona była kamienną posadzką. Na całej długości jednej ze ścian wisały miecze, a na drewnianych kozłach spoczywały kopie o żelaznych grotach. Pod belkowaniem powały przelatywały wróble. Okiennice od strony zachodniej były otwarte i Hook słyszał nieustanny ruch morskich fal.

Dowódca garnizonu i jego wytworna żona rozsiedli się na jednej z sof. Hookowi wprawdzie ich przedstawiono, lecz ich imiona wpadły mu jednym uchem, a drugim wypadły, i nie wiedział teraz, z kim ma do czynienia. Za sofą stało sześciu zbrojnych, którzy przyglądali się Hookowi i Melisandzie sceptycznie i niemal wrogo, a na samym skraju dywanu zajmował miejsce ksiądz, przypatrujący się badawczo dwojgu uciekinierów klęczących na kamiennej posadzce.

– Nadal nie rozumiem – rzekł kapłan nosowym i nieprzyjemnym głosem – dlaczego opuściłeś służbę u lorda Slaytona.

– Ponieważ nie chciałem zabić pewnej dziewczyny, ojciec – wyjaśnił Hook.

– A lord Slayton pragnął jej śmierci?

– Nie on, lecz jego kapelan, panie.

– Syn sir Gilesa Fallowby'ego – wtrącił siedzący na sofie mężczyzna, a ton jego głosu zdradzał, że nie przepadał za sir Martinem.

– A zatem sługa boży pragnął jej śmierci – kontynuował ksiądz, nie zwracając uwagi na ton dowódcy garnizonu – ale ty miałeś swoje zdanie?

W jego głosie brzmiała wyraźna groźba.

– To była tylko młoda dziewczyna – odparł Hook.

– To właśnie przez kobietę na świecie pojawił się grzech – podchwycił skwapliwie kapłan.

Wytworna dama na sofie przyłożyła swą smukłą, bladą dłoń do ust, jak gdyby chciała ukryć ziewnięcie. Drugą ręką głaskała po głowie maleńkiego psa, siedzącego na jej kolanach. Zwierzak wyglądał jak kłębuszek białego futra, w którym błyszcząły zawadiackie ślepie.

– Zaczynam się nudzić – rzekła, pozornie do siebie.

Zapadła dłuższa chwila milczenia. Jeden z ogarów zaskamlał przez sen i siedzący na sofie mężczyzna pochylił się i poklepał go po łbie. Dowódca garnizonu był dobrze zbudowany i nosił czarną brodę. Teraz wykonał pełen zniecierpliwienia gest w kierunku Hooka.

– Niech go ojciec wypyta o Soissons – nakazał.

– Właśnie miałem do tego przejść, sir Williamie – odparł ksiądz.

– Zatem przechodź, księżę, byle szybko – rzekła szorstko kobieta.

– Czy jesteś wyjęty spod prawa? – spytał zamiast tego kapłan, a kiedy łucznik nie odpowiedział, powtórzył pytanie, tylko nieco głośniej. Hook jednak nadal milczał.

– Odpowiedz mi! – warknął sir William.

– Moim zdaniem jego milczenie było aż nadto wymowne – stwierdziła jego małżonka. – Wypytaj go o Soissons – nakazała.

Ksiądz skrzywił się nieco, słysząc jej władczy ton, lecz tym razem usłuchał.

– Opowiedz nam, co się wydarzyło w Soissons – rozkazał i Hook raz jeszcze powtórzył swoją opowieść o tym, jak Francuzi wdarli się do miasta przez południową bramę, a potem gwałcili i mordowali, a także o tym, jak sir Roger Pallaire zdradził angielskich łuczników.

– I tylko ty jeden zdołałeś się uratować? – spytał cierpko kapłan.

– Święty Kryspinian mi pomógł – rzekł Hook.

– Doprawdy?! Sam święty Kryspinian? – spytał ksiądz, unosząc brew. – Jakże to miło z jego strony! – Jeden ze zbrojnych parsknął zduszonym śmiechem, a pozostali przypatrywali się z niechęcią klęczącemu wciąż łucznikowi. Ciemna chmura nieufności unosiła się w wielkiej sali zamczyska niczym dym, wydobywający się przez szeroki otwór kominka. Inny ze zbrojnych przez cały czas nie odrywał oczu od Melisandy, a teraz nachylił się do swego sąsiada i szepnął mu do ucha coś, co sprawiło, iż tamten się zaśmiał. – A może to Francuzi puścili cię wolno? – zapytał oschle ksiądz.

– Nie, panie! – zaprzeczył Hook.

– I może wypuścili cię nie bez powodu!

– Nie!

– Nawet prosty łucznik potrafi policzyć żołnierzy – rzekł ksiądz – a jeśli nasz władca, jego wysokość król Anglii, zbierze armię, Francuzi będą chcieli znać jej liczebność.

– Nie, panie! – zaprzeczył ponownie Hook.

– Zatem puścili cię wolno i przekupili cię tą dziwką? – zasugerował kapłan.

– Ona nie jest żadną dziwką! – zaprotestował Hook, a zbrojni zaczęli chichotać.

Melisanda jeszcze nawet się nie odezwała. Zdawała się dotąd onieśmielona obecnością postawnych mężczyzn w kolczugach i wyniosłego księdza, jak również znużonej damy rozciągniętej na wyłożonej poduszkami sofie. Teraz jednak nagle odzyskała mowę. Może i nie zrozumiała, że ksiądz ją obraził, ale bezbłędnie rozpoznała ton jego głosu, więc nagle wyprostowała się i zaczęła mówić, gwałtownie i wyzywająco. Mówiła po francusku i to tak szybko, że Hook nie rozumiał nawet jednego słowa na sto, lecz pozostali władali tym językiem i wszyscy słuchali z uwagą jej opowieści. Ona zaś przemawiała z pasją i wzburzeniem i ani dowódca garnizonu, ani kapłan nie odważyli się jej przerwać. Hook wiedział tylko, że dziewczyna opowiada o upadku Soissons, i po chwili w jej oczach błysnęły łzy, które spłynęły jej po policzkach, podczas gdy ona, coraz bardziej podnosząc głos, wyraźnie adresowała swą opowieść do księdza. Nagle zabrakło jej słów, wskazała jeszcze na Hooka, po czym opuściła głowę i zaczęła szlochać.

Przez krótką chwilę panowała cisza. Jakiś sierżant w kolczudze otworzył z łoskotem drzwi wielkiej sali, lecz przekonawszy się, że jest zajęta, wyszedł, zamykając je za sobą równie głośno. Sir William spojrział badawczo na Hooka.

– Więc to ty zamordowałeś sir Rogera Pallaire'a? – spytał szorstkim tonem.

– To ja go zabiłem, panie.

– To zaiste szlachetny czyn, jak na banitę – stwierdziła stanowczo małżonka sir Williama – o ile dziewczyna mówiła prawdę.

– O ile – wtrącił kapłan.

– Ja jej wierzę – rzekła kobieta, po czym podniosła się z sofy, wzięła pod pachę małego pieska i podeszła na skraj dywanu, gdzie się zatrzymała i uniosła Melisandę za łokieć. Przemówiła do niej łagodnie po francusku, po czym powiodła ją na drugi koniec zamkowej sali i znikła wraz z nią w jakimś zasłoniętym kotarą przejściu.

Sir William poczekał, aż jego małżonka wyjdzie, a potem wstał.

– Wierzę, że on mówi prawdę, ojciec – oświadczył stanowczo.

– Być może – zgodził się niechętnie ksiądz.

– Wierzę, że tak właśnie jest – powtórzył sir William.

– Może powinniśmy poddać go próbie? – zasugerował kapłan z ledwie skrywanym zapalem.

– Chciałby go ojciec wydać na tortury? – spytał wstrząśnięty sir William.

– Prawda to rzecz święta, mój panie – odparł kapłan z lekkim ukłonem. – *Et cognoscetis veritatem et veritas liberabit vos!* – wyrecytował, po czym przeżegnał się znakiem krzyża. – To oznacza, panie, „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”.

– Ja tam jestem wolny – burknął czarnobrody mężczyzna – a nie nasza to rzecz wydobywać prawdę torturami z jakiegoś biednego łuczника. Zostawimy to innym.

– Oczywiście, mój panie – odrzekł ksiądz, z trudem skrywając swe rozczarowanie.

– Wiesz już zatem, dokąd ten człowiek musi się udać.

– Zaiste, panie.

– A więc zajmij się tym – rzekł sir William, po czym podszedł do Hooka i wskazał mu gestem, iż ma wstać. – Zabiłeś tam paru francuskich łotrów? – spytał.

– Całe mnóstwo, mój panie – odparł Nick, przypominając sobie strzały mknące w pogrążony w półmroku wyłom w murze obronnym Soissons.

– Dobrze! – rzekł sir William. – Lecz zabiłeś także sir Rogera Pallaire'a. Jesteś więc albo bohaterem, albo mordercą – dodał surowym tonem.

– Jestem łucznikiem – powtórzył uparcie Hook.

– I to łucznikiem, którego opowieści będą musieli wysłuchać po drugiej stronie Kanału – orzekł sir William, wręczając Hookowi srebrną monetę. – Dotarły już do nas pogłoski o tym, co działo się w Soissons – kontynuował ponurym tonem – ale ty pierwszy je potwierdziłeś.

– O ile w ogóle tam był – wtrącił uszczypliwie kapłan.

– Słyszał ojciec tę dziewczynę – warknął sir William na kapłana, a ten wreszcie zamilkł na dobre. Dowódca garnizonu zwrócił się znów do Hooka. – Opowiedz o wszystkim w kraju.

– W Anglii jestem banitą, panie – rzekł niepewnie Hook.

– Zrobisz, co ci każę – odburknął sir William – i udasz się do Anglii.

W ten sposób Hook i Melisanda znaleźli się na pokładzie statku płynącego do Anglii. Potem w

dalszą drogę ruszyli wraz z kurierem, wiozącym wieści do Londynu. Człowiek ten miał pieniądze, którymi płacił w podróży za piwo i jadło. Melisanda była wreszcie odziana jak należy, w strój, jaki podarowała jej lady Bardolf, małżonka sir Williama, i dosiadała niewielkiej klaczy, której kurier specjalnie dla niej zażądał w stajniach zamku w Dover. Dziewczyna miała otarcia od siodła, zanim dotarli do Londynu, gdzie przejechawszy przez zwodzony most, oddali swe konie stajennym w stołecznym zamku.

– Macie tutaj czekać – rozkazał im kurier i nie chciał powiedzieć Hookowi nic więcej, więc wraz z Melisandą znaleźli sobie kąt do spania w jakiejś oborze. Wydawało się, że nikt w wielkiej fortecy nie ma pojęcia, dlaczego ich tutaj wezwano.

– Nie jesteście więźniami – powiedział im jakiś sierżant łuczników.

– Ale nie wolno nam stąd wyjść – odparł Hook.

– Owszem, nie wolno wam wyjść – przyznał dwudziestnik – ale więźniami nie jesteście. Gdybyście było inaczej, chłopcze, to na pewno nie przytulałbyś tej małej każdej nocy – dodał, uśmiechając się szeroko. – Gdzie twój łuk?

– Przepadł we Francji.

– W takim razie znajdziemy ci nowy – rzekł dwudziestnik. Nazywał się Venables i walczył za starego króla pod Shrewsbury, gdzie strzała ugodziła go w nogę. Pamiątką po tamtej ranie było to, że lekko utykał. Zaprowadził Hooka do podziemi wielkiej warownej wieży, gdzie stały szerokie drewniane kozły, a na nich leżały setki nowiuteńkich łuków. – Wybierz sobie któryś – rzekł.

W piwnicy panował półmrok, a łączyska, z których każde wyższe było od dorosłego mężczyzny, leżały bardzo blisko siebie. Nie miały jeszcze cięciw, lecz wszystkie posiadały na obydwu końcach wzmocnione rogiem nacięcia, gotowe, by je założyć. Hook wyjmował je kolejno i przesuwał po nich dłonią. Uznał, że zrobiono je, jak należy. Niektóre były nieco chropowate tam, gdzie rzemieślnik wolał pozostawić sterczący sęk, niż osłabić drewno, i większość zdawała się tłustawa w dotyku, ponieważ powleczono je mieszanką wosku i sadła. Było też trochę niepowleczonych łączysk, których drewno wciąż jeszcze schło, ale te nie nadawały się jeszcze do użycia, więc Hook nie zwracał na nie uwagi.

– Większość zrobiono w hrabstwie Kent – oświadczył Venables – ale niektóre pochodzą z samego Londynu. W tych stronach nie trafiają się może dobrzy łucznicy, chłopcze, ale robi się tutaj naprawdę wyśmienite łuki.

– Owszem – przytaknął Hook. Zdjął właśnie ze stojaka jedno z najdłuższych łączysk. Drewno miało odpowiedni kształt i Nick chwycił je w połowie lewą ręką, prawą dłonią wyginając nieco jego górne ramię. Potem podszedł z łączyskiem do miejsca, gdzie przez okienko z pordzewiałą kratą wpadało do piwnicy nieco słonecznego światła.

– To łączysko to piękna robota – stwierdził Hook. Cis, z którego pnia wyrzeźbiono ten łuk,

musiał zostać ścięty gdzieś na południu, gdzie słońce świeci jaśniej. Drewno miało gęste słoje i pozbawione było sęków. Nick przeciągnął dłonią po łączysku, by zbadać, jak się wygina, wyczuwając pod palcami nieznaczne, płaskie krawędzie, jakie pozostawił po sobie pilnik rzemieślnika, strug, który ukształtował tę broń. Widać było, że łączysko jest nowe, ponieważ podkorowa warstwa drzewa, tworząca jego grzbiet, była wciąż niemal biała. Hook wiedział, że z czasem nabierze koloru miodu, lecz na razie grzbiet łuku, który miał być od niego najdalej, gdy będzie napinał cięciwę, miał odcień piersi Melisandy. Brzusiec, wykonany z twardzieli, warstwy drzewa ze środka pnia, był zaś ciemnobrązowy, w kolorze opalonej twarzy dziewczyny, i całość zdawała się doskonałym połączeniem dwóch drewnianych listewek, białej i brązowej, choć tak naprawdę łączysko było jednym kawałkiem pięknie rzeźbionego drzewa, wyciętym z miejsca, gdzie w cisowym pniu stykają się ze sobą biel i twardziel.

„Bóg stworzył łuk – powiedział kiedyś pewien ksiądz w kościele w rodzinnej wiosce Hooka – tak jak stworzył mężczyznę i niewiastę”. Rekolekcjonista miał na myśli to, że Bóg złączył ze sobą biel i twardziel i właśnie to połączenie sprawiało, że wielki bojowy łuk stanowił śmiertelnie niebezpieczną broń. Ciemna twardziel brzuśca była sztywna i nieustępliwa. Stawiała opór przy próbie zginania, podczas gdy jaśniejsza biel, tworząca grzbiet łączyska, nie miała nic przeciwko temu, by wyginać ją w pałąk, choć – tak jak drewno ze środka pnia – chciała się potem wyprostować i miała w sobie sprężystość, dzięki której tuż po zwolnieniu napięcia błyskawicznie przywracała łączysku jego pierwotny kształt. I tak oto giętki grzbiet ciągnął, a sztywny brzusiec pchał i długa, pierzasta strzała mknęła do celu.

– Trzeba dużo siły, żeby napiąć to łączysko – rzekł z niejakim powątpiewaniem Venables. – Bóg jeden wie, co sobie wyobrażał ten, kto je zrobił. Może myślał, że Goliat będzie potrzebował łączyska, co?

– Po prostu nie chciał go przycinać – zasugerował Hook – ponieważ jest idealne.

– Jeśli sądzisz, że zdołasz je napiąć, chłopcze, to jest twoje. Weź sobie jeszcze ochraniacz – rzekł Venables, wskazując gestem stos wzmocnionych rogami karwaszy – i cięciwę – dodał, machnąwszy ręką w stronę baryłki z cięciwami.

Cięciwy były nieco lepkie w dotyku, ponieważ konopie pokryto klejem kostnym dla ochrony przed wilgocią. Hook wybrał z nich dwie długie i zawiązał na końcu jednej węzeł, który zahaczył następnie o wzmocnione rogiem wycięcie w dolnym ramieniu łuku. Potem, używając całej swej siły, wygiął łączysko, aby ocenić wymaganą długość cięciwy, po czym zawiązał węzeł na jej drugim końcu i ponownie naciskając z całej mocy, wygiął łuk i wetknął ten nowy węzeł w rogowe nacięcie w górnym ramieniu łączyska. Środkowy odcinek cięciwy, na którym miały spoczywać rogowe płytki w osadzie strzały, obwiązany został dodatkowymi konopnymi nićmi, aby chronić cięciwę przed przetarciem.

– Wypróbuj go – zaproponował Venables. Dwudziestnik był mężczyzną w średnim wieku, który służył teraz u kasztelana londyńskiego zamku. Będąc człowiekiem przyjaznym i życzliwym, lubił spędzać całe dni na gawędach z każdym, kto tylko chciał słuchać jego opowieści o bitwach i



potyczkach sprzed lat. Wziął kołczan pełen strzał i wyszedł wraz z Hookiem na niewielką, grząską i porośniętą trawą łąkę, która rozciągała się za murami wieży. Kiedy cisnął go na ziemię, rozległ się grzechot pierzastych pocisków. Nick założył ochraniacz na lewe przedramię, zawiązując jego sprzączki w taki sposób, by rogowa powierzchnia znajdowała się po wewnętrznej stronie nadgarstka i chroniła skórę przed uderzeniami cięciwy. Nagle rozległ się krótki, urywany wrzask. – To braciszek Bailey – rzekł Venables tonem wyjaśnienia.

– Braciszek Bailey? A kto to taki? – spytał Hook.

– Braciszek Bailey jest benedyktynem – odrzekł Venables – a także mistrzem tortur naszego króla. Właśnie wydobywa prawdę z ust jakiegoś nieszczęśnika.

– Mnie też chcieli wziąć na tortury w Calais – rzekł Nick.

– Naprawdę? Kto?

– Jakiś ksiądz.

– Tym zawsze spieszo przykręcić człowiekowi korbkę, co? Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć! Najpierw ci mówią, że Bóg jest miłością, a potem wywracają ci bebechy na lewą stronę. No cóż, chłopcze, jeśli już będą cię przesłuchiwać, powiedz im prawdę.

– Tak właśnie zrobiłem.

– Pamiętaj też, że to nie zawsze pomaga – dodał Venables. Ponownie rozległ się zduszony, urywany krzyk i dwudziestnik skinął głową w stronę, skąd ów dźwięk dochodził. – Ten biedak prawdopodobnie także powiedział prawdę, ale braciszek Bailey, jak mało kto, lubi mieć stuprocentową pewność. Przekonajmy się zatem, jak strzela to łączysko, dobrze?

Hook wbił w grząską ziemię, ostrzami w dół, jakieś dwadzieścia strzał. Wyblakłą i mocno już podziurawioną tarczę oparto o stóg gnijącego siana na przeciwległym skraju niewielkiej łąki. Odległość wynosiła niewiele, najwyżej sto kroków, a tarcza była dwa razy szersza od człowieka i normalnie Nick mógłby się spodziewać, że za każdym razem trafi w tak łatwy cel. Tym razem jednak podejrzewał, że jego pierwsze strzały polecą Bóg wie gdzie.

Łuk był już poddany pewnemu napięciu, lecz teraz Nick musiał go nauczyć porządnie się wyginać. Za pierwszym razem nieznacznie tylko napiął łączysko i strzała ledwie doleciała do celu. Następnie naciągnął cięciwę nieco mocniej, by potem już za każdym razem przyciągać ją coraz bliżej twarzy, nigdy jednak nie napinając łuku do granic możliwości. Wypuszczał strzałę za strzałą, przez cały czas oswajając się ze swą nową bronią, a łuk uczył się ulegać sile jego mięśni. W ten sposób minęła calutka godzina, nim Hook napiął wreszcie cięciwę aż do ucha i posłał do celu pierwszą strzałę z całą mocą łączyska.

Nawet nie zdawał sobie z tego spawy, ale przez cały czas miał uśmiech na twarzy. Było bowiem coś pięknego w tym połączeniu cisowego drewna i konopi, jedwabiu i piór, stali i

jesionowych drzewc, człowieka i jego broni, czystej, fizycznej siły i narowistego napięcia łuku, zwalnianego palcami otartymi do czerwoności przez szorstkie konopie, które sprawiało, że świszczący pocisk mknął do celu, trafiając weń z głuchym łoskotem. Ostatnia strzała przeszła na wylot przez sam środek podziurawionej jak rzeszoto tarczy i zagrzebała się aż po lotki w kopcu siana.

– Widać, że już to kiedyś robiłeś – stwierdził z uśmiechem Venables.

– Owszem – przytaknął Hook – ale miałem zbyt długą przerwę. Otarłem sobie palce!

– Szybko stwardnieją na nowo, chłopcze – rzekł Venables – a jeśli nie pošlę cię na tortury ani cię nie uśmiercą, to może pomyślisz o tym, żeby do nas przystać? Życie na zamku nie jest takie złe. Masz pod dostatkiem dobrej strawy i nie za wiele obowiązków.

– Chciałbym – odrzekł roztargnionym tonem Hook. Wciąż zaprzątnięty był swym nowym łukiem. Myślał, że tygodnie spędzone w podróży mogły odebrać mu siłę i przytępić łucznicze umiejętności, lecz wciąż napinał łuk z łatwością, płynnie spuszczał cięciwę i dobrze celował. Czuł co prawda lekki ból w prawym ramieniu i plecach, a opuszki dwóch palców prawej dłoni otarte miały do czerwoności, ale to wszystko. A w dodatku nagle uświadomił sobie, że jest szczęśliwy. Myśl ta sprawiła, że zastygł w bezruchu, ze zdumieniem wpatrując się w tarczę. Święty Kryspinian przywiódł go tutaj, gdzie świeciło słońce, i dał mu Melisandę. Po chwili jednak jego serce napęliło się goryczą, gdy przypomniał sobie, że przecież wciąż jest banitą. Jeśli sir Martin lub lord Slayton odkryją, że Nicholas Hook żyje i przebywa w Anglii, upomną się o niego i pewnie go powieszają.

– A teraz zobaczmy, jaki jesteś szybki – zasugerował Venables.

Hook wbił w miękkie podłoże kolejną garść strzał i przypomniał sobie noc pełną gryzącego dymu i przeraźliwych wrzasków, kiedy migotliwe, zakute w stal postaci pojawiły się w wyłomie w murach obronnych Soissons, a on strzelał raz za razem, nie namyślając się, nie celując i pozwalając, by łuk robił swoje. Zaś to nowe łączysko było silniejsze i jeszcze bardziej niebezpieczne, ale równie szybkie. Nie zastanawiał się więc, tylko napinał i spuszczał cięciwę, po czym chwycił następną strzałę, zakładał na konopny sznur, unosił łączysko, naciągał cięciwę i znowu ją zwalniał. Nad łąką przemknął ze świstem tuzin pierzastych pocisków, a każdy nieodmiennie trafiał w cel. Gdyby na czarnym kole w samym środku tarczy rozłożona była dłoń dorosłego mężczyzny, przeszłyby ją każda z jego strzał.

– Dwanaście! – usłyszał nagle za sobą pogodny głos. – Po jednej dla każdego z uczniów. – Hook odwrócił się i spostrzegł, że przypatruje mu się jakiś ksiądz. Człowiek ten, o okrągłym, pogodnym obliczu okolonym rzadkimi, bieluteńkimi już włosami, w jednej ręce niósł wielką skórzaną torbę, zaś drugą trzymał mocno za łokieć Melisandę. – To ty musisz być paniczem Hookiem! – zawołał. – Pewnie, że tak! Jestem ojciec Ralph. Pozwolisz, że też spróbuję swych sił? – spytał, po czym położył swą torbę na ziemi, puścił rękę Melisandy i wyciągnął dłoń po łuk. – Daj mi sobie trochę postrzelać – poprosił. – Za młodu też byłem łucznikiem!

Hook dał mu łuk i patrzył, jak ojciec Ralph próbuje napiąć cięciwę. Kapłan był solidnie zbudowanym mężczyzną, choć przytyło mu się nieco wskutek dostatniego życia, lecz pomimo tego zdołał jedynie odciągnąć cięciwę mniej więcej na długość ręki, gdy łączysko zaczęło drgać, zdradzając włożony w to wysiłek. Ojciec Ralph pokręcił głową.

– Nie jestem już tak silny jak dawniej! – rzekł, po czym oddał Hookowi łuk i patrzył, jak łucznik, na pozór bez wysiłku, zgiał łączysko, aby zdjąć cięciwę. – Pora, abyśmy sobie porozmawiali we troje – oświadczył radośnie ojciec Ralph. – Miłego dnia życzę, sierzancie Venables! Jak się miewacie?

– Dobrze, ojcze, nawet bardzo dobrze! – odparł z uśmiechem Venables, schylając nieco głowę i przykładając dłoń do czoła. – Noga za bardzo nie dokucza, jeśli tylko nie wieje ze wschodu.

– W takim razie będę prosił Boga, żeby zsyłał wam tylko zachodni wiatr! – odrzekł pogodnie ojciec Ralph. – Wyłącznie zachodni! Chodźmy, paniczu Hooku! Rozjaśnij wreszcie mroki mej niewiedzy! Oświeć mnie!

Ksiądz, podniósłszy po drodze swoją torbę, zaprowadził Hooka i Melisandę do izb przylegających do ściany kurtynowej londyńskiego zamku. W komnacie, którą wybrał, niewielkiej i wyłożonej rzeźbionymi belkami, był stół i dwa krzesła, ale ojciec Ralph uparł się, że sam znajdzie sobie trzecie.

– Siadźcie sobie – powiedział. – No już, siadajcie!

Chciał znać całą prawdę o Soissons, więc Hook i Melisanda, po angielsku i po francusku, raz jeszcze powtórzyli swoją opowieść. Opisali szturm, gwałty i rzezie, a pióro ojca Ralpha ani na chwilę nie przestawało skrzypieć. W torbie miał arkusze pergaminu, butelkę inkaustu i pióra i pisał bez ustanku, od czasu do czasu zadając tylko jakieś pytanie. Najwięcej mówiła Melisanda, a w jej głosie słychać było wzburzenie, gdy raz jeszcze przypominała sobie straszliwe wydarzenia tamtej koszmarnej nocy.

– Opowiedz mi o zakonnicach – rzekł w swym ojczystym języku ojciec Ralph, po czym zatrzepotał rękoma, jakby popełnił jakąś gafę, i powtórzył pytanie po francusku.

W głosie Melisandy narastało wzburzenie, gdy mówiła, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w ojca Ralpha, który w końcu kazał jej na chwilę zamilknąć, aby jego pióro mogło nadażyć za wezbranym potokiem jej słów.

Na zewnątrz dał się słyszeć tętent kopyt, a kilka minut później rozległ się szczeł mieczy. Podczas gdy Melisanda kontynuowała swoją opowieść, Hook zerknął przez otwarte okno i ujrzał zbrojnych, ćwiczących się we władaniu mieczem na łące, na której przed chwilą strzelał z łuku. Wszyscy mieli na sobie pełne płytowe zbroje, które wydawały głuchy dźwięk pod ciosami miecza. Jeden z nich, zakuty w charakterystyczną, czarną zbroję, odpierał właśnie ataki dwóch przeciwników. Bronił się zręcznie i umiejętnie, choć Hook miał wrażenie, że tamci dwaj walczyli dość zachowawczo i nie wykorzystywali pełni swych możliwości. Tę nierówną walkę oklaskiwało głośno

około dwudziestu innych zbrojnych.

– *Et gladius diaboli repletus est sanguine* – ojciec Ralph przeczytał na głos zdanie, które właśnie skończył. – Dobrze! Och, ten fragment jest najlepszy!

– Czy to po łacinie, ojczy? – zapytał Hook.

– Ależ tak! Tak jest! W rzeczy samej, to właśnie łacina. Język Boga! A może zresztą Bóg mówi po hebrajsku? Przypuszczam, że to bardziej prawdopodobne, ale przez to będzie nam się trochę trudniej żyło w niebie, nieprawdaż? Chyba że nagle, gdy znajdziemy się już na niebiańskich pastwiskach, okaże się, że wszyscy mówimy tym językiem płynnie i ze swadą. Przed chwilą powiedziałem, że miecz Szatana nasycił się niewinną krwią – wyjaśnił i zachichotał na myśl o swym literackim talencie, po czym poprosił Melisandę, by kontynuowała swoją opowieść. Sam znów zaczął pisać, a jego pióro mknęło po pergaminie niczym pierzasta strzała. Na zewnątrz dał się słyszeć donośny męski śmiech. Na łące walczyło teraz dwóch innych zbrojnych, a ich miecze migotały w promieniach słońca. – Pewnie się zastanawiacie, po co zapisuję waszą opowieść po łacinie? – spytał ojciec Ralph, zapisawszy kolejną stronę.

– Owszem, ojczy.

– Po to, żeby cały chrześcijański świat dowiedział się, jakie z tych Francuzów krwiożercze bestie! Przepiszemy tę opowieść ze sto razy i wyślemy do każdego biskupa, opata, króla i księcia w całym chrześcijaństwie. Niech poznają prawdę o Soissons! Niechaj wiedzą, jak Francuzi traktują swych własnych poddanych! Niech dowiedzą się wreszcie, że królestwo Francji to siedlisko Szatana, czy nie tak? – spytał, po czym się uśmiechnął.

– Szatan rzeczywiście zamieszkał we Francji – zabrzmiał nagle szorstki głos za plecami Hooka – i trzeba go stamtąd wypędzić!

Nick obrócił się na krześle i ujrzał, że w progu izby stoi rycerz w czarnej zbroi. Mężczyzna zdjął już hełm, lecz na jego sklejonych od potu ciemnych włosach widać było jeszcze ślad uszala. Był młody i Hookowi zdawało się, iż skądś go zna, choć nie potrafił stwierdzić skąd. Nagle spostrzegł jednak głęboką bliznę obok jego długiego nosa i omal nie wyrócił krzesła, padając na kolana przed swym królem. Serce biło mu mocno, a jego przerażenie było tak wielkie, jak wówczas, kiedy wyczekiwał nieprzyjaciela przy wyłomie w murach Soissons. Król! – Nick nie był teraz w stanie myśleć o niczym innym i klęczał pokornie u stóp swego władcy.

Henryk wykonał pełen poirytowania gest, dając do zrozumienia, że Hook ma wstać, lecz łucznik nie ośmielił się usłuchać tego rozkazu. Król wcisnął się pomiędzy stół a ścianę, aby zerknąć na to, co zanotował ojciec Ralph.

– Moja łacina daleka jest od doskonałości – rzekł – lecz istota rzeczy wydaje się aż nadto jasna.

– To potwierdza wszystkie plotki, które słyszeliśmy, miłościwy panie – powiedział ojciec

Ralph.

– A sir Roger Pallaire?

– Zginął z rąk tego oto młodzieńca, panie – oznajmił ojciec Ralph, wskazując na Hooka.

– Rzeczywiście był zdrajcą – stwierdził lodowatym tonem król. – Potwierdzili to już nasi agenci we Francji.

– Smaży się teraz w piekle, panie – rzekł ojciec Ralph – a jego wrzasków nie uciszy nawet koniec świata.

– I dobrze mu tak – uciął krótko Henryk i zaczął przeglądać zapiski księdza. – Zakonnice? Toż to chyba niemożliwe?

– A jednak, królu – odparł duchowny. – Oblubienice Chrystusa zostały zniewolone i zamordowane. Oderwano je od ich modłów, by stały się igraszką dla francuskiego żołdactwa. Słyszeliśmy o tym wcześniej, lecz nie śmieliśmy w to uwierzyć, ale ta młoda dama to potwierdza.

Spojrzenie króla spoczęło na Melisandzie, która, podobnie jak Hook, padła na kolana i tak jak on trzęsła się ze zdenerwowania.

– Wstań – rzekł do niej Henryk, po czym spojrzał na wiszący na ścianie krucyfik. Zmarszczył czoło i przygryzł dolną wargę. – Dlaczego Bóg do tego dopuścił, ojcze? – spytał po chwili milczenia, a w jego głosie słychać było zarówno ból, jak i zdumienie. – Zakonnice? Przecież Bóg powinien był ich bronić. Powinien zesłać swych aniołów, aby ich strzegli!

– Być może Bóg chciał, aby ich los stał się symbolem – zasugerował ojciec Ralph.

– Symbolem?

– Symbolem niegodziwości Francuzów, panie, a zarazem słuszności twych praw do korony tego nieszczęsnego królestwa.

– Zatem moim zadaniem jest pomścić ich śmierć – stwierdził Henryk.

– Masz przed sobą wiele zadań, najjaśniejszy panie – odparł pokornie ojciec Ralph – ale to z pewnością jest jedno z nich.

Henryk spoglądał na Hooka i Melisandę, bębniąc po stole palcami w koleczej rękawicy. Nick ośmielił się na moment podnieść wzrok i dostrzegł niepokój na pociągłej twarzy monarchy. Zdumiało go to, gdyż zawsze przypuszczał, że król to ktoś, kto nie miewa rozterek i nie zadaje sobie pytań, co jest słuszne, a co nie. Teraz jednak widać było wyraźnie, że ten monarcha martwił się tym, że sam musi odkryć, jaka jest wola Boga.

– Więc tych dwoje mówi prawdę? – rzekł Henryk, nadal przypatrując się Hookowi i

Melisandzie.

– Byłbym gotów na to przysiąc, panie – rzekł z zapałem ojciec Ralph.

Król popatrzył na Melisandę, a jego twarz nie zdradzała przy tym żadnych emocji. Potem spojrzenie zimnych oczu padło na Nicka.

– Dlaczego tylko ty jeden ocalałeś? – zapytał Henryk nadspodziewanie surowym tonem.

– Modliłem się, panie – odrzekł z pokorą Hook.

– A inni nie? – spytał szorstko król.

– Niektórzy też się modlili, panie.

– Lecz Bóg zechciał wysłuchać akurat twoich modłów?

– Modliłem się do świętego Kryspiniana, najjaśniejszy panie – powiedział Nick, po czym po krótkiej chwili milczenia wypalił: – A on do mnie przemówił.

Znowu zapadła cisza. Na zewnątrz rozległo się krakanie kruka, a z zamkowej wieży niósł się echem szcęk mieczy. Potem król Anglii wyciągnął swą dłoń w żelaznej rękawicy i uniósł w górę twarz klęczącego wciąż Hooka, aby móc spojrzeć mu w oczy.

– Przemówił do ciebie? – spytał król.

Nick się zawahał. Czuł się tak, jakby serce biło mu gdzieś u podstawy krtani. Potem postanowił wyznać całą prawdę, nie zważając na to, że może ona zabrzmieć dość nieprawdopodobnie.

– Święty Kryspinian przemówił do mnie, najjaśniejszy panie – powtórzył. – Usłyszałem jego głos w mojej głowie.

Król nadal wpatrywał się w twarz Hooka. Ojciec Ralph otworzył usta, jakby miał zamiar coś powiedzieć, lecz królewska dłoń w kolczej rękawicy nakazała mu milczenie, a Henryk, król Anglii, wciąż spoglądał na Nicka takim wzrokiem, że łucznik czuł, jak strach pełźnie w górę jego kręgosłupa niczym lodowaty wąż.

– Gorąco tutaj – rzekł nagle król. – Porozmawiamy sobie na zewnątrz.

Przez moment Nick sądził, że Henryk pewnie miał na myśli ojca Ralpha, ale to właśnie z nim chciał rozmawiać król, więc Nicholas Hook wyszedł z izby w słoneczne popołudnie i kroczył u boku swego władcy. Zbroja Henryka poskrzypywała z cicha, ocierając się o natłuszczony skórzany kaftan. Kiedy tylko pojawił się na dziedzińcu, zbrojni odruchowo ruszyli w jego kierunku, lecz odprawił ich ruchem ręki.

– Opowiedz mi o tym, jak Kryspinian do ciebie przemówił – rzekł w końcu Henryk.

Nick opowiedział więc, jak objawili mu się obaj święci i jak obaj doń przemawiali, dodając przy tym jednak, że to Kryspinian zawsze wydawał się bardziej przyjazny i życzliwy. Czuł się nieco zażenowany, opisując swoje rozmowy z nimi, ale Henryk potraktował wszystko poważnie. Nagle zatrzymał się i stanął twarzą w twarz z Hookiem. Był o pół głowy niższy od łuczника, więc musiał podnieść wzrok, aby przyjrzeć się badawczo jego obliczu, lecz wydawało się, że to, co na nim wyczytał, bardzo mu się spodobało.

– Jesteś błogosławiony – oznajmił król. – Bardzo pragnąłbym, aby święci zechcieli przemówić i do mnie – rzekł w zadumie. – Z pewnością ocalałeś nie bez powodu – orzekł stanowczo.

– Jestem tylko zwykłym leśniczym, najjaśniejszy panie – wybąkał niezdarnie Hook. Przez moment korciło go, by wyznać całą prawdę i dodać jeszcze, że jest banitą, lecz ostrożność kazała mu ugryźć się w język.

– Ależ nie, jesteś łucznikiem – upierał się król – i to w naszym królestwie Francji ci dwaj święci służyli ci pomocą. Jesteś narzędziem Boga.

Hook nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc nie odezwał się ani słowem.

– Bóg oddał mi we władanie trony Anglii i Francji – rzekł szorstko król – i jeśli taka jest Jego wola, odzyskamy francuską koronę – stwierdził, a jego opancerzona pięść nagle się zacisnęła. – Jeśli rzeczywiście tak postanowimy – podjął po chwili – będę potrzebował ludzi, których obdarzają swymi łaskami francuscy święci. Dobry z ciebie łucznik?

– Sądzę, że tak, najjaśniejszy panie – rzekł niepewnie Nick.

– Venables! – zawołał król, a dwudziestnik przykuśtykał pospiesznie poprzez łąkę i padł na kolana. – Czy on potrafi strzelać z łuku? – spytał Henryk, wskazując na Hooka.

Twarz Venablesa rozjaśnił promienny uśmiech.

– Równie dobrze jak każdy człowiek, którego tutaj widziałem, miłościwy panie. Tak dobrze jak ten, którego strzała utkwiała w twym policzku.

Król najwyraźniej lubił dwudziestnika, gdyż tylko uśmiechnął się na to małe zuchwalstwo, po czym dotknął opancerzonym palcem głębokiej blizny obok swego nosa.

– Gdyby tamten strzelał trochę lepiej, Venables, miałbyś dziś innego króla.

– W takim razie tamtego dnia Bóg zrobił dobry uczynek, że cię ocalił, panie, i Bogu niechaj będą dzięki za tę wielką łaskę.

– Amen – zakończył Henryk i zaszczyił Hooka przelotnym uśmiechem. – Strzała odbiła się od czyjegoś hełmu – wyjaśnił – i straciła impet, ale i tak utkwiała głęboko.

– Powinieneś być mieć opuszczoną przyłbicę, miłościwy panie – rzekł z wyrzutem w głosie Venables.

– W ogniu walki ludzie powinni widzieć twarz swego księcia – odparł stanowczo Henryk, po czym ponownie zwrócił się do Hooka. – Znajdziemy ci odpowiedniego pana.

– Jestem wyjęty spod prawa, wasza wysokość – wypalił Nick, nie mogąc już dłużej ukrywać prawdy. – Przykro mi, najjaśniejszy panie.

– Wyjęty spod prawa? – spytał szorstko król. – A to za jaką zbrodnię?

Hook znowu padł na kolana.

– Za to, że podniosłem rękę na księdza, panie.

Król milczał, a Nick nie ośmielił się podnieść wzroku. Spodziewał się kary, lecz zamiast tego, ku jego zdumieniu, król tylko zachichotał.

– Wygląda na to, że święty Kryspinian wybaczył ci to ciężkie przewinienie, więc kimże ja jestem, żeby cię potępiać? Zaś w tym królestwie – ciągnął dalej Henryk nieco bardziej stanowczym tonem – to ja decyduję o tym, kim jest człowiek. Ja zaś mówię, że jesteś łucznikiem, i znajdziemy ci nowego pana – skończył, po czym bez słowa odszedł do swych towarzyszy, a Hook wydał z siebie długie westchnienie ulgi.

Sierżant Venables wstał z kolan, krzywiąc się z bólu w zranionej przed laty nodze.

– Trochę sobie z tobą pogawędził, co?

– Owszem, sierżancie.

– On to lubi, inaczej niż jego ojciec. Tamten był prawdziwym ponurakiem, ale nasz Henio wcale nie uważa się za tak wielkiego pana, żeby nie zamienić paru słów ze zwykłym łajdakiem, takim jak ty czy ja – rzekł z entuzjazmem Venables. – A więc znajdzie ci nowego pana?

– Tak powiedział.

– Cóż, miejmy tylko nadzieję, że nie będzie nim sir John.

– Sir John?

– To dopiero szaleniec, nie ma co! – rzekł Venables. – Stuknięty i na dodatek zły. Służąc u niego, zginiesz w okamgnieniu! – Venables zachichotał, po czym skinął głową w stronę budynków przylegających do kurtynowej ściany zamku. – Ojciec Ralph cię szuka.

Rzeczywiście, ksiądz przywoływał go palcem, stojąc w progu. Hook poszedł więc dokończyć swą opowieść.



– Jezu Chryste! Ty kulawy wypierdku! Skrzyżuj go! Skrzyżuj, mówię! Nie klep jak sflaczała kuśka! W poprzek! A potem na mnie! – burczał na Nicka sir John Cornewaille.

Zadał kolejny cios, na wysokości pasa Hooka, ale tym razem łucznik zdołał skrzyżować z nim własną klingę, by sparować uderzenie, a gdy już to zrobił, rzucił się do przodu tylko po to, by osadził go w miejscu cios opancerzonej rękawicy przeciwnika.

– Dalej, atakuj! – popędzał go sir John. – Dąż do zwania, powal mnie na ziemię, a potem mnie wykończ!

Zamiast tego Hook zrobił krok do tyłu i uniósł miecz w górę, by odbić kolejny zamach jego klingi.

– Co z tobą, na miłość boską!? – ryczał rozwścieczony sir John. – Tak cię wymęczyła ta twoja francuska kurewka? Ta bezpierzna szczapa, ta parszywa i koścista młódka? Na litość boską, chłopie, znajdź sobie prawdziwą kobietę! Goddington! – sir John zerknął na swego setnika. – Może rozłożysz chude nóżki tej parszywej kurewki i sprawdzisz, czy w ogóle da się ją chędożyć?

Hook poczuł teraz nagły przyływ gniewu, który ogarnął go niczym czerwona, oślepiająca mgła i kazał mu rzucić się wściekle wprost na klingę sir Johna, lecz starszy mężczyzna wykonał zwinny unik, a przy tym tak zręcznie zakręcił mieczem, że huknął Nicka płazem w potylicę. Łucznik odwrócił się i wziął szeroki zamach mieczem, lecz jego przeciwnik z łatwością odparował cios. Sir John był w pełnej zbroi, lecz poruszał się lekko, niczym tancerz. Teraz sam zaatakował Hooka, lecz tym razem łucznik pamiętał o jego radach i odparował cios do boku, po czym rzucił się na napastnika, wkładając całą swą siłę i przewagę wzrostu w to, by wytrącić go z równowagi. Wiedział, że zaraz powali sir Johna na ziemię i stłucze go na miazgę, lecz zamiast tego nagle poczuł tylko głucho uderzenie w tył głowy. W oczach mu pociemniało, świat wokół zawirował, a kolejny druzgocący cios, zadany ciężką gałką miecza sir Johna, sprawił, że upadł na twarz wprost na wczesnozimowe ściernisko.

Nie słyszał zbyt wiele z tego, co mówił do niego sir John w ciągu kilku następnych minut. Kręciło mu się w głowie i czuł w niej straszliwy ból, lecz odzyskując stopniowo zmysły, zdołał jeszcze wychwycić końcówkę pogardliwej perory przeciwnika.

– Gniew możesz sobie czuć przed bitwą, ale nie podczas walki! Nie trać tej swojej cholерnej głowy! Gniew sprawi, że łatwo dasz się zabić – kontynuował sir John, krążąc wokół Hooka. –

Wstawaj! Masz brudną kolczugę. Wyczyść ją! A na ostrzu twojego miecza jest rdza! Jeśli nie zniknie przed zachodem słońca, każę cię wychłostać!

– Nie zrobi tego – powiedział Hookowi tego wieczora Goddington, setnik sir Johna. – Stłucze cię na kwaśne jabłko, może cię zadraśnie czy nawet połamie ci kości, ale tylko w uczciwej walce.

– To ja mu połamię kości! – rzekł mściwie Nick.

Goddington się zaśmiał.

– Hook, w ciągu ostatnich dziesięciu lat tylko jeden człowiek, powtarzam: tylko jeden, dotrzymał mu pola w pojedynku. Sir John wygrał wszystkie turnieje w całej Europie. Nie pokonasz go, a nawet nie zdołasz mu dorównać. To prawdziwy szermierz.

– Prawdziwy drań! – krzyknął Hook. Włosy z tyłu głowy miał wciąż zlepione krwią. Melisanda czyściła mu kolczugę, a Nick zeszkrobywał kamieniem rdzę z ostrza swego miecza. Zarówno kolczugę, jak i miecz dostał od sir Johna Cornewaille'a.

– Tylko cię prowokował, chłopcze, nie miał nic złego na myśli – zapewnił go setnik. – On już taki jest, że wszystkich obraża, ale jeśli należysz do jego ludzi, a przecież wkrótce będziesz, to w razie potrzeby będzie walczył i za ciebie, i za twoją kobietę.

Następnego dnia Hook patrzył, jak sir John kolejno powala na ziemię swoich łuczników. Gdy przyszła jego kolej, aby się z nim zmierzyć, zdołał wymienić tuzin ciosów, nim przeciwnik okręcił go dookoła, wytrącił z równowagi i zwałił z nóg. Potem cofnął się z wyrazem pogardy na pooranej bliznami twarzy, który to wyraz sprawił, że Hook poderwał się na równe nogi i rzucił do szaleńczej szarży, próbując zadać mieczem pełen wściekłości cios. Sir John z łatwością sparował uderzenie, po czym znów powalił Nicka na ziemię.

– Znowu ten twój gniew, Hook – warknął sir John. – Jeśli nad nim nie zapanujesz, łatwo dasz się zabić, a mnie martwy łucznik na nic. Walcz z zimną krwią. Walcz twardo i z wyrachowaniem. Walcz sprytnie! – zawołał, po czym, ku zaskoczeniu Nicka, wyciągnął rękę i pomógł mu stanąć na nogach. – Ale jesteś szybki, Hook – rzekł przy tym. – Jesteś szybki, a to bardzo dobrze!

Sir John wyglądał na człowieka dobiegającego czterdziestki, lecz nadal siał postrach wśród wszystkich rycerzy na turniejach w całej Europie. Był przysadzistym, barczystym mężczyzną, z nogami wykrzywionymi od lat spędzonych w siodle. Miał najbardziej błyszczące błękitne oczy, jakie Hook widział w całym swoim życiu, a na jego spłaszczonej twarzy o złamanym nosie widniały blizny po wielu bitwach i potyczkach, już to z buntownikami lub Francuzami, już to z jakimiś awanturnikami w tawernach lub przeciwnikami na turniejach. Teraz, spodziewając się wojny z Francją, zbierał kompanię łuczników i kompanię zbrojnych, choć między jednymi a drugimi nie było dlań większej różnicy.

– Jesteśmy jedną drużyną! – krzyczał do łuczników. – Zarówno rycerze, jak i łucznicy. Walczymy za siebie nawzajem! Jeśli ktoś skrzywdzi któregokolwiek z nas, nie może mu to ująć

płazem! – zawołał, po czym odwrócił się i wbił Hookowi w pierś opancerzony palec. – Jeszcze będą z ciebie ludzie, Hook. Daj mu opończę, Goddington.

Peter Goddington przyniósł mu zatem opończę z białego lnu, na której widniał herb sir Johna: ryczący, wspięty lew ze złotą gwiazdą na barku i także koroną na głowie.

– Witaj w naszej kompanii – rzekł sir John – i weź się do swych nowych obowiązków. Na czym polegają twoje nowe obowiązki, Hook?

– Mam ci służyć, panie.

– Nie! Od tego mam służbę. Twoje zadanie, Hook, polega na tym, by uwolnić ten padół od każdego, kto mi się nie spodoba! Zatem raz jeszcze: jakie masz teraz obowiązki?

– Uwolnić ten padół od każdego, kto się tobie nie spodoba, sir Johnie!

Było przy tym bardzo prawdopodobne, iż będzie chodziło o znaczną część ludzkości. Sir John Cornewaille miłował bowiem swego króla, czcił swą starszą od siebie żonę i zarazem ciotkę władcy, uwielbiał kobiety, z którymi spółdził bękarty, i był szczerze oddany swym ludziom, lecz niemal cała reszta świata składała się jego zdaniem z samych przeklętych szumowin, zasługujących jedynie na śmierć. Swych rodaków Anglików jeszcze jakoś tolerował, ale już Walińczycy byli dlań krasnalami srającymi ze strachu w kapuście, Szkoci – parszywymi dupkami, a Francuzi – zeschniętymi plackami krowiego łajna.

– Wiesz, co się robi z zeschniętymi plackami krowiego łajna, Hook?

– Zabija się ich, sir Johnie.

– Podchodzisz do nich bardzo blisko i dopiero wtedy ich zabijasz – rzekł sir John. – Sprawiasz, że zdychając, czują twój oddech. Że widzą, jak się uśmiechasz, kiedy wypruwasz im flaki. Najpierw zadajesz im ból, Hook, a potem ich zabijasz. Czy dobrze mówię, wielbny ojcze?

– Przemawiasz zaiste językiem aniołów, sir Johnie – rzekł z nutką ironii ojciec Krzysztof. Był on spowiednikiem Cornewaille'a, lecz teraz, podobnie jak cała kompania łuczników zgromadzona na łące, miał na sobie kolczugę, wysokie buty i dopasowany hełm. Nic w jego powierzchowności nie wskazywało na to, iż jest księdzem, lecz gdyby było inaczej, zapewne nie służyłby u sir Johna, który potrzebował tylko żołnierzy.

– Nie jesteście łucznikami! – wrzeszczał sir John na swych ludzi stojących na oszronionym polu. – Strzelacie z łuków tylko dopóty, dopóki ci śmierdzący dranie nie siądą wam na karkach, a wówczas zabijacie ich jak zwykli zbrojni! Jeśli potrafcie tylko strzelać, żaden z was dla mnie pożytek! Chcę, żebyście byli tak blisko tych łajdaków, abyście czuli, jak srają w gacie, kiedy będą zdychać! Zabiłeś kiedyś człowieka z tak bliska, Hook, że mógłbyś go równie dobrze pocałować?

– Owszem, panie.

Sir John uśmiechnął się szeroko.

– Opowiedz mi o tym ostatnim. Jak to zrobiłeś?

– Nożem, panie.

– Pytałem: jak, a nie: czym! Więc jak?

– Rozplątałem mu brzuch, sir Johnie – rzekł Nick – od samego dołu aż po mostek.

– Ubrałeś sobie ręce w jego krwi, Hook?

– Po łokcie, panie.

– Ubrałeś się we krwi Francuza, co?

– To był angielski rycerz, sir Johnie.

– Mniejsza o te bzdury, Hook, ale już mi się podobasz! – zawołał Cornewaille. – Właśnie tak się to robi! – krzyknął do łuczników. – Macie wypruć im flaki, wykluwać oczy, podrzynać gardła, obcinać jaja, dźgać mieczami w zadki, rozrywać tchawice, wrywać wątroby i dziurawić nerki. Nie obchodzi mnie zresztą, jak to zrobicie, ale macie ich pozabijać! Czy dobrze mówię, ojczy Krzysztofie?

– Nawet sam nasz Pan i Zbawiciel nie ująłby tego bardziej wymownie, sir Johnie.

– A w przyszłym roku – powiedział sir John, spoglądając groźnie na swych łuczników – być może wyruszymy na wojnę! Nasz Henryk, niechaj Bóg go błogosławi, jest prawowitym królem Francji, lecz Francuzi nie chcą mu oddać jego tronu, i jeśli Bóg zrobi, co do niego należy, pozwoli nam najechać Francję! A jeśli do tego dojdzie, będziemy gotowi!

Nikt nie był pewien, czy rzeczywiście będzie wojna. Francuzi wciąż stali posłów do króla Henryka, który z kolei wysyłał swych emisariuszy do Francji, a przez cały kraj przebiegały co rusz sprzeczne informacje i pogłoski, niczym zimowe deszcze, które przynosił zachodni wiatr. Lecz sir John był przekonany, że wojna jednak wybuchnie i, podobnie jak dziesiątki innych lordów, zawarł z królem stosowną umowę. Kontrakt ten zobowiązywał go do oddania na rok pod rozkazy króla trzydziestu zbrojnych i dziewięćdziesięciu łuczników, za co władca obiecywał wypłacać żołd sir Johnowi i jego ludziom. Umowa została spisana w Londynie i Hook znalazł się wśród dziesięciu ludzi, którzy udali się do Westminsteru, gdy Cornewaille złożył na niej swój podpis i odcisnął w wosku pieczęć z lwem. Królewski urzędnik czekał, aż wosk zastygnie, po czym ostrożnie przeciął pergamin na dwie nierówne części, lecz bynajmniej nie prosto, a prowadząc swe ostrze zygzakiem przez całą długość dokumentu. Jedną część włożył potem do białej, płóciennej torby, drugą zaś wręczył sir Johnowi. Gdyby teraz ktokolwiek chciał podważyć autentyczność umowy, można było złożyć z sobą jej dwie części, a żadna ze stron nie była w stanie podrobić tego dokumentu i liczyć, że fałszerstwo nie zostanie odkryte.

– Królewski skarbnik będzie przekazywać ci stosowne fundusze, sir Johnie – oświadczył urzędnik.

Król pozyskiwał gotówkę z podatków i pożyczek, a także oddając w zastaw swe kosztowności. Sir John otrzymał więc worek monet i drugi, zawierający nieco klejnotów, złotą broszę i ciężką srebrną szkatułkę. Było to jednak wciąż za mało, więc Cornewaille zapożyczył się jeszcze u pewnego włoskiego bankiera w Londynie.

Gotówka była mu potrzebna, by opłacić ludzi, a także kupić konie, pancerze i broń. Sam sir John wraz ze swymi paziami, giermkami i służbą potrzebował ponad pięćdziesięciu wierzchowców. Każdy rycerz powinien posiadać co najmniej trzy konie, w tym odpowiednio wyszkolonego bojowego rumaka, a w dodatku sir John zobowiązał się zapewnić wierzchowca każdemu z łuczników. Aby wykarmić wszystkie te zwierzęta, trzeba było kupować siano, przynajmniej dopóty, dopóki wiosenne deszcze nie zazielenią pastwisk. Rycerze mieli własne zbroje i broń, ale sir John i tak zamówił sto krótkich kopii dla spieszonych zbrojnych. Zaopatrzył również swych dziewięćdziesięciu łuczników w kolczugi, hełmy, porządne buty i broń, jakiej używać mieli w zwarcu, kiedy ich łuki stawały się już bezużyteczne.

– Miecze na niewiele wam się zdadzą w ciżbie na polu bitwy – powiedział łucznikom. – Wasi wrogowie będą w płytowej zbroi, a tej nie przebijecie mieczem. Używajcie zatem dwuręcznych toporów! Powalcie parszywego dupka na ziemię, a potem przyklęknijcie draniowi na piersiach, podnieście przyłbicę i wpakujcie mu nóż w kaprawe oko!

– Chyba że jest bogaty – wtrącił usłużnie ojciec Krzysztof. Liczący ponad czterdzieści lat ksiądz był najstarszym mężczyzną w całej drużynie sir Johna. Miał okrągłe, pogodne oblicze, przebiegły uśmiech, siwe włosy i oczy, których spojrzenie było zarówno przenikliwe, jak i łobuzerskie.

– Chyba że taki parszywy dupek jest bogaty – przytaknął sir John. – W takim wypadku bierzecie go do niewoli i w ten sposób pozwalacie i mnie się wzbogacić!

Sir John kazał zrobić sto dwuręcznych toporów dla swych łuczników. Hook, który wiedział, jak nadać drewnu odpowiedni kształt, pomagał wycinać długie, jesionowe toporzyska, podczas gdy kowale wykuwali żeleźca. Po jednej stronie każdego z nich znajdował się potężny obuch, obciążony ołowiem młot, którym można było zdruzgotać płytową zbroję lub w najgorszym wypadku wytrącić z równowagi odzianego w nią człowieka. Po przeciwnej stronie znajdowało się ostrze topora, które w rękach mocarnego łucznika mogło rozplatać stalowy hełm, jakby był zrobiony z pergaminu. Zaś na końcu toporzyska było szydło, szpikulec tak cienki, aby dało się go wbić w szczeliny rycerskiej przyłbicy. Górna część rękojeści każdego topora okuta była żelazem, aby przeciwnik nie mógł przeciąć toporzyska.

– Piękna robota! – rzekł sir John, gdy dostarczono mu pierwszą partię broni. Poglądził pieszczotliwie okutą żelazem rękojeść, jakby był to kobiecy brzuch. – Naprawdę piękna!

Późną wiosną nadeszła wieść, że Bóg zrobił, co do niego należało, i przekonał króla, by najechał Francję, więc drużyna sir Johna Cornewaille'a pomaszerowała na południe gośćmi, obramowanymi białym kwieciami kwitnącego właśnie głogu. Sir John był wesoły i podekscytowany perspektywą czekającej go wojny. Jechał na czele kolumny, a za nim jego paziowie, giermek i chorąży, dzierżący sztandar z czerwonym lwem w koronie i ze złotą gwiazdą na barku. Trzy wozy wiozły zapasy żywności, krótkie kopie, zbroje, zapasowe łączyska i pęki strzał. Droga na południe wiodła przez lasy porośnięte kobiercem błękitnych dzwonków i przez pola, na których w długich rzędach schło właśnie siano po pierwszych wiosennych sianokosach. Świeżo ostrzyżone owce na pastwiskach wydawały się dziwnie nagie i wychudzone. Na gościńcu pojawiały się wciąż nowe oddziały. Wszyscy jechali konno i nosili obce barwy, wszyscy też zmierzali ku południowemu wybrzeżu, dokąd król wezwał ludzi, którzy podpisali z nim przecięte zygzakiem umowy. Jak zauważył Hook, zdecydowaną większość jeźdźców stanowili łucznicy, których było trzy razy więcej niż rycerzy. Długie łuki spoczywały w skórzanych łubach, zawieszonych na plecach swych właścicieli.

Nick był szczęśliwy. Należał teraz do kompanii sir Johna. Peter Goddington, setnik, był człowiekiem sprawiedliwym, twardym wobec opieszczałców, lecz serdecznym wobec tych, którzy dzielali jego marzenie o stworzeniu najlepszej kompanii łuczników w całej Anglii. Jego zastępca Thomas Evelgold podobnie jak Goddington był już starszym mężczyzną, liczącym prawie trzydzieści lat. Poważny i może nie tak bystry jak setnik, potrafił być jednak pomocny dla młodszych łuczników, wśród których Hook znalazł już bliskich przyjaciół. Byli nimi bliźniacy Thomas i Mateusz Scarlet, obaj o rok młodszy od Nicka, oraz William z Doliny, który potrafił rozśmieszyć całą kompanię do łez, udając sir Johna. We czwórkę więc jedli i pili, dowcipkowali i rywalizowali pomiędzy sobą, choć wszyscy łucznicy twierdzili zgodnie, że żaden z nich nie strzela lepiej od Nicholasa Hooka. Przez całą zimę uprawiali się we władaniu bronią, a teraz czekała ich kampania we Francji, w której sam Bóg był po ich stronie. Ojciec Krzysztof zapewnił ich o tym w kazaniu wygłoszonym w przeddzień wymarszu.

– W konflikcie z Francuzami słuszość jest po stronie naszego pana i władcy, króla Anglii – oświadczył niezwykle poważnym tonem – i nasz Bóg go nie opuści. Wyruszamy na wojnę, by naprawić krzywdę, i niebieskie zastępy walczyć będą z nami ramię w ramię!

Hook nie rozumiał, na czym polega cały ten spór, jeśli nie liczyć tego, że ktoś z przodków króla zawarł kiedyś małżeństwo, które otwierało Henrykowi drogę do francuskiego tronu, i być może był on prawowitym królem Francji, a może nie, ale Nick i tak o to nie dbał. Był szczęśliwy, mogąc nosić na opończy godło Cornewaille'a: lwa i gwiazdę.

Shczęśliwy był także z tego powodu, że Melisanda znalazła się wśród kobiet, które miały wyruszyć na wojnę wraz z całą drużyną. Miała niewielką, zgrabną klacz, będącą własnością małżonki sir Johna, siostry zmarłego króla, i dosiadała jej teraz umiejętnie.

– Musimy zabrać z sobą kobiety – wyjaśnił przed wymarszem sir John.

– Bogu niech będą dzięki! – mruknął ojciec Krzysztof.

– Nie możemy przecież sami prac naszych ubrań! – kontynuował Cornewaille. – Nie możemy zajmować się szyciem i cerowaniem! Albo gotowaniem! W obozie muszą być kobiety! Czasem potrafią być użyteczne. Nie chcemy chyba być tacy jak Francuzi, którzy chędożą się nawzajem, jak im nie stanie owiec, więc zabierzemy z sobą kobiety.

Sir John lubił, gdy Melisanda jechała u jego boku i gawędził z nią po francusku, sprawiając, że co chwilę się śmiała.

– On tak naprawdę wcale nie darzy Francuzów nienawiścią – powiedziała Hookowi dziewczyna pewnego wieczoru, kiedy zatrzymali się pod miastem, w którym znajdowało się spore opactwo. Klasztorny dzwon wzywał właśnie wiernych na modlitwę, ale Hook nawet nie drgnął. Siedzieli wraz z Melisandą nad brzegiem niewielkiej rzeczki, płynącej leniwie pośród soczystych i bujnych podmokłych łąk. Po drugiej stronie rzeki, dwie miedze dalej, inna drużyna złożona z łuczników i zbrojnych rozbijała właśnie obóz. Ludzie sir Johna rozpalili już ogniska, spowijając dymem widok na las i odległą wieżę opactwa. – Po prostu lubi wyrażać się o nich po grubiańsku – rzekła Melisanda.

– Nie tylko o nich.

– W głębi serca jest dobry – powiedziała dziewczyna, po czym położyła się, kładąc głowę na piersi Hooka. Kiedy stała, sięgała mu ledwie do ramienia. Nick uwielbiał tę jej delikatność, choć zarazem wiedział, że jej wiotki wygląd był mylący, gdyż nauczył się już, że Melisanda miała w sobie sprężystą siłę łączyska i, niczym łuk, który zbyt długo był napięty i wygiął się na dobre, zachowując swój kształt nawet bez cięciwy, miała swoje zdanie i potrafiła zaciekle go bronić. Hook uwielbiał to w niej, lecz zarazem bał się o Melisandę.

– Może nie powinnaś z nami jechać – rzekł.

– Dlaczego? Bo to niebezpieczne?

– Tak.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Myślę, że we Francji bezpieczniej jest być Francuzem niż Anglikiem. Jeśli Francuzi złapią Alicję lub Matyldę, to je zgwałcą – stwierdziła. Alicja i Matylda były jej najbliższymi przyjaciółkami.

– A ciebie nie? – spytał Hook.

Melisanda przez chwilę milczała, być może myśląc o Soissons.

– Ale ja chcę pojechać – rzekła w końcu.

– Dlaczego?

– Żeby być przy tobie – odparła takim tonem, jakby odpowiedź była oczywista. – Kto to jest setnik?

– Ktoś taki jak nasz Peter Goddington? Po prostu człowiek, który dowodzi łucznikami.

– A dwudziestnik?

– Widzisz, setnik ma pod swoimi rozkazami całe mnóstwo ludzi, nawet i setkę. A dwudziestnik odpowiada za mniej więcej dwudziestu łuczników. Obaj są tylko sierżantami.

Melisanda przez kilka sekund zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

– Powinieneś zostać dwudziestnikiem, Nick.

Hook się uśmiechnął, ale nie rzekł ani słowa. Rzeka toczyła swe krystalicznie czyste wody po piaszczystym dnie, a na jej powierzchni kołysały się nartniki i rukiew wodna. W powietrzu tańczyły ważki, a od czasu do czasu plusk zdradzał polującego pstrąga. Wzdłuż przeciwnego brzegu przepływała para łabędzi z czterema małymi i kiedy Hook im się przypatrywał, dostrzegł poruszający się pod powierzchnią wody olbrzymi cień.

– Nie ruszaj się – ostrzegł Melisandę i bardzo powoli zdjął z ramienia tkwiący w łubach łuk.

– Sir John zna mojego ojca – rzekła nagle dziewczyna.

– Naprawdę? – spytał zdumiony Nick. Rozwiązał skórzany pokrowiec i ostrożnie wydobyl zeń łuk.

– Ghillebert – wypowiedziała wolno imię swego ojca Melisanda, jakby było dla niej obce. – Seigneur de Lanferelle.

Jeszcze we Francji ojciec Michel powiedział, że człowiek ten nazywa się Seigneur d'Enfer, lecz Hook przypuszczał, że po prostu się przesłyszał.

– I jest wielkim panem, co? – rzucił Nick.

– Tacy jak on mają wiele dzieci – stwierdziła Melisanda – *et je suis une batarde*.

Hook nic nie odpowiedział. Oparł łęczysko o pień jesionu i zgiął cisowy łuk, aby założyć cięciwę.

– Jestem bękartem – powtórzyła z goryczą Melisanda. – Właśnie dlatego oddał mnie do klasztoru.

– Żeby cię ukryć – dorzucił Hook.

– Myślę, że także po to, żeby mnie chronić – odparła dziewczyna. – Dawał pieniądze



przeoryszy. Płacił za jadło i nocleg. Powiedział, że będę tam bezpieczna.

– Bezpieczna, ale jako służebna dziewczka?

– Moja matka była służącą, więc czemu nie ja? A pewnego dnia zostałabym zakonnica.

– Nie jesteś żadną służącą, tylko córką wielkiego pana – rzekł Hook. Wyjął z kołczanu strzałę, wybierając pocisk z długim, ostrym i ciężkim grotem. Łuk trzymał poziomo na kolanach, a teraz położył strzałę na łączysku i założył jej pierzasty koniec na cięciwę. Cień w wodzie poruszył się. – Jak dobrze znasz swego ojca? – spytał Nick.

– Widziałam go tylko dwa razy – odrzekła Melisanda. – Raz kiedy byłam mała i nie pamiętam tego zbyt dobrze, a potem zanim trafiłam do klasztoru. Lubiłam go – przerwała, szukając odpowiednich angielskich słów. – Przynajmniej na początku go lubiłam.

– A on lubił ciebie? – spytał beztrąsko Hook, skupiając swoją uwagę raczej na cieniu w wodzie niż na Melisandzie. Napinał teraz łuk, nadal trzymając go poziomo i nie chcąc unieść broni do pionu, w obawie, że ruch mógłby sprawić, iż cień pomknie w górę rzeki.

– On był taki... – zaczęła dziewczyna i urwała, szukając znów odpowiedniego słowa – *beau*. Wysoki. I herb też ma śliczny. Nosi wielkie żółte słońce ze złotymi promieniami. A na tle słońca jest głowa...

– ...orła – wtrącił Hook.

– *Un faucon* – dokończyła Melisanda.

– Czyli sokoła – rzekł Nick i przypomniał sobie długowłosego mężczyznę, który przed kościołem świętego Antoniego Padewskiego przyglądał się beznamiętnie kaźni angielskich łuczników. – Twój ojciec był w Soissons – oświadczył szorstkim tonem. Zastygł w bezruchu, z napiętym do połowy łukiem. Cień dryfował z prądem i Hook myślał już, że lada chwila pomknie z biegiem rzeki, lecz potem wielka ryba machnęła ogonem i zawróciła pod przeciwległy brzeg.

Melisanda uniosła głowę i spojrzała Nickowi w oczy.

– Był tam?

– Długie, czarne włosy – rzekł Hook. – Ja go nie widziałam!

– Prawie przez cały czas twarz miałaś wtuloną w moje ramię – stwierdził Nick. – Nie chciałaś na to patrzeć. Torturowali tam ludzi, wydlubowali im oczy i kastrowali ich.

Melisanda milczała dłuższą chwilę. Hook uniosł nieco łuk, a wtedy dziewczyna znów się odezwała, choć nieco ciszej.

– Mojego ojca nazywają też jakoś inaczej – rzekła. – *Le Seigneur d'Enfer*.

– Tak właśnie słyszałem – potwierdził Hook.

– Le Seigneur d'Enfer – powtórzyła Melisanda – czyli „Pan Piekieł”. To dlatego, że Lanferelle brzmi jak *l'enfer*, a *l'enfer* to piekło. Ale może nosi taki przydomek przez to, że jest taki srogi w walce. Myślę, że posłał wielu ludzi do piekła. I pewnie też nie ma do nieba.

Nad wodą przemykały szybko jaskółki i Hook kątem oka dostrzegł błękitny odbłask przelatującego zimorodka. Cień w wodzie znowu zastygł w bezruchu. Łucznik naciągnął cięciwę nieco mocniej, nie będąc w stanie napiąć jej do końca, ponieważ krępowało mu ruchy wiotkie ciało Melisandy. Lecz nawet naciągnięty tylko do połowy wielki bojowy łuk był straszliwie groźną bronią.

– On nie jest złym człowiekiem – powiedziała Melisanda, jakby próbowała przekonać o tym samą siebie.

– Nie zabrzmiało to nazbyt przekonująco – zauważył Hook.

– To mój ojciec.

– Który zamknął cię w klasztorze.

– Wcale nie chciałam tam iść! – zawołała dziewczyna z zapalem. – Mówiłam mu! Nie chcę, nie chcę!

Nick się uśmiechnął.

– Nie chciałaś być zakonnica, co?

– Znałam te siostry. Matka mnie do nich zabierała. Przynosiłyśmy im... – przerwała, znów daremnie szukając odpowiednich angielskich słów – *les prunes de damas, abricots et coings* – Wzruszyła bezradnie ramionami. – Nie wiem, jak się to nazywa. Owoce? Dawaliśmy zakonnicom owoce, ale one zawsze były dla nas niemiłe. Były wręcz okropne!

– Ale twój ojciec i tak posłał cię do klasztoru – zakończył Hook.

– Powiedział, że mam się za niego modlić. To był mój obowiązek. Ale wiesz, o co się modliłam w zamian? O to, żeby przyjechał po mnie pewnego dnia – rzekła w zadumie – żeby przejechał na swym wielkim rumaku przez bramę klasztoru i mnie stamtąd zabrał.

– Czy to właśnie ze względu na niego chcesz pojechać do Francji?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Chcę być przy tobie.

– Twój ojciec raczej mnie nie polubi.

Melisanda wzruszyła tylko ramionami w odpowiedzi.

– Czemu miałyby nas w ogóle znowu spotkać?

Hook wycelował tuż poniżej cienia, choć nie myślał w tej chwili o swym celu. Zamiast tego rozmyślał teraz o pewnym wysokim mężczyźnie z długimi, czarnymi włosami, który nie kiwnął nawet palcem, aby powstrzymać okrutne męczarnie i krwawą kaźń. Myślał o Panu Piekieł.

– Kolacja! – rzekł szorstko, po czym zwolnił cięciwę.

Strzała pomknęła do celu, a jej białe pióra zamigotały jasno w promieniach zachodzącego słońca. Ze świstem rozcięła taflę rzeki, a pod powierzchnią wody coś zaczęło się szamotać i powstał pienisty wir, który sprawił, że pstrągi błyskawicznie umknęły w górę rzeki. Wielka ryba nadal wściekle biła ogonem, kiedy Hook wskakiwał do wody.

Strzała przebiła szczupaka na wylot i przyszpiliła go do przeciwległego brzegu, a Hook musiał ciągnąć z całych sił, żeby uwolnić drzewce. Potem wyciągnął rybę z wody. Szczupak ciągle się szamotał i nawet próbował go ugryźć, lecz kiedy Nick znalazł się z powrotem na zachodnim brzegu rzeki, zdruzgotał mu czaszkę ręką noża i wielki drapieżnik natychmiast wyzionął ducha. Szczupak był niemal tak długi jak łączysko bojowego łuku: wielki, ponury mroczny łowca z ogromnymi zębiskami.

– *Un brochet!* – zawołała zachwycona Melisanda.

– Szczupak – rzekł Hook – to ryba, którą można sobie dobrze podjąć. – Wypatroszył zdobycz na brzegu rzeki, wrzucając odpadki z powrotem do wody.

Nazajutrz sir John, na czele oddziału zbrojnych i łuczników, wyruszył na zachód, aby kupić ziarno, suszoną fasolę i wędzone mięso, a Hookowi wyznaczył łatwe zadanie polegające na tym, że miał zostać w wiosce u stóp wzgórz i strzec worków i beczek, które układano na wozie, stojącym przed gospodą o nazwie „Pod Myszką i Serkiem”. Ciągące go konie uwiązane były na wiejskim pastwisku. Łuk Hooka, bez cięciwy, spoczywał na stole przed wejściem do oberży, obok kufla piwa, który przyniósł mu karczmarz, a sam Hook stał na wozie i ubijał właśnie mąkę w jednej z beczek. Ojciec Krzysztof, odziany w koszulę, spodnie i wysokie buty, kręcił się bez celu, zaglądając do chałup, głaskając koty i nagabując kobiety, które prały ubrania w strumieniu płynącym wzdłuż jedynej ulicy w wiosce. Wreszcie wrócił do gospody i cisnął na stół małą sakiewkę srebrnych monet. Zadaniem księdza było płacić za wszelką żywność, jaką zechciał im sprzedać jakiś rolnik czy wieśniak.

– Czemuż tak okładasz tę biedną mąkę, młody Hooku? – spytał kapłan.

– Chcę ją porządnie ubić do samego spodu. Sól, leszczynę i mąkę!

Ojciec Krzysztof skrzywił się z udawanym niesmakiem.

– To znaczy, że solisz mąkę?

– Na dnie beczki jest warstwa soli – wyjaśnił Nick, żeby mąka nie zawilgła, a leszczynę dodaję po to, żeby zachowała świeżość – dodał, pokazując ojcu Krzysztofowi kilka gałązek, które zerwał z żywopłotu i oberwał z liści.

– I to działa? – spytał kapłan.

– Pewnie, że tak! Nigdy nie woził ojciec mąki z młyna?

– Ależ Hooku! – zaprotestował ksiądz. – Jestem osobą duchowną. My tak naprawdę nie pracujemy! – dodał ze śmiechem.

Nick cisnął do beczki jeszcze dwie gałązki, po czym wyprostował się i otrzepał ręce z mąki.

– No, to był kawał dobrej roboty! – stwierdził, kiwając głową nad beczką.

Ojciec Krzysztof uśmiechnął się dobrotliwie, po czym rozparł się wygodnie na ławie i spojrzał na zalane słońcem lasy porastające wzgórza widoczne ponad krytymi strzechą dachami.

– Boże, uwielbiam Anglię! – rzekł. – I Bóg jeden wie, po co naszemu Heniowi jakaś tam Francja.

– Może dlatego, że jest jej królem – podsunął Hook.

Ojciec Krzysztof wzruszył ramionami.

– Ma jakieś prawa do jej korony, ale nie on jeden. Gdybym to ja był królem Anglii, nigdzie bym się stąd nie ruszał. Czy to twoje piwo?

– Tak, ojcze.

– Bądź więc dobrym chrześcijaninem i daj mi się napić – rzekł ojciec Krzysztof, po czym uniósł kufel w jego stronę i przyłożył go do ust. – Niemniej jednak popłyniemy do Francji, no i pewnie zwyciężymy.

– Wygramy tę wojnę?

– Bóg jeden wie, Hooku – odrzekł ojciec Krzysztof poważnym tonem. – Francuzów jest całe mnóstwo! A co będzie, jeśli przestaną kłócić się pomiędzy sobą i zwrócą się przeciwko nam? Z drugiej strony my mamy te cacka, a oni nie – dodał, poklepując łuk Nicka.

– Czy mogę cię o coś spytać, ojcze? – rzekł Hook, schodząc z wozu i siadając obok księdza.

– Och, tylko na rany Chrystusa nie pytaj mnie, po czyjej stronie jest Bóg.

– Powiedział nam ojciec, że po naszej!

– Owszem, Hooku, tak powiedziałem, ale tysiące francuskich księży mówią dokładnie to samo Francuzom! – ojciec Krzysztof uśmiechnął się szeroko. – Pozwól, że udzielę ci pewnej duszpasterskiej porady. Zaufaj swemu cisowemu łukowi, mój chłopcze, a nie słowom jakiegoś tam księdza.

Hook dotknął łączyska, wyczuwając pod palcami gładkie sadło, które własnoręcznie weń wtarł.

– Co wiesz o świętym Kryspinianie, ojczy?

– Oho, egzamin z teologii! – zawołał ojciec Krzysztof. Dopił piwo Hooka, po czym uderzył kuflem o stół na znak, że chce więcej. – Nie jestem pewien, czy wiele pamiętam! W Oksfordzie tak naprawdę nie studiowałem jak należy. Było tam zbyt wiele dziewcząt, które lubiłem! – Na jego twarzy na chwilę zagościł uśmiech. – Był tam też burdel, Hooku, w którym wszystkie dziewczyny przebrane były za zakonnice. Trudno było wcisnąć się do środka, tyłu tam było księży! Co najmniej pół tuzina razy spotkałem tam biskupa Oksfordu. To były dobre czasy! – westchnął i uśmiechnął się do Hooka z ukosa. – Co zatem wiem? No cóż, Kryspinian miał brata imieniem Kryspin, chociaż nie wszyscy twierdzą, że oni byli braćmi. Jedni mówią, że byli szlachetnie urodzeni, a drudzy, że wcale nie. Możliwe, że byli szewcami, a to nie wygląda na zajęcie godne szlachty, nieprawdaż? Z pewnością byli Rzymianami. Żyli mniej więcej tysiąc lat temu i oczywiście zginęli męczeńską śmiercią.

– Więc Kryspinian jest w niebie – stwierdził Hook.

– Wraz ze swym bratem stoi po prawicy Boga Ojca – przytaknął ojciec Krzysztof – gdzie, mam nadzieję, obsługuje się ich szybciej niż mnie tutaj! – zawołał, po czym raz jeszcze walnął kuflem w stół, a wtedy z gospody wybiegła jakaś dziewczyna, którą powitał szerokim, dobrodusznym uśmiechem. – Nalej jeszcze piwa, moja kochana – rzekł, potoczywszy po stole jedną z monet od sir Johna. – Dwa kufle, słodziutka – dodał i uśmiechnął się znowu, po czym westchnął ciężko, gdy dziewczyna już poszła. – Och, chciałbym znowu być młody!

– Ależ ojciec wciąż jest młody!

– Dobry Boże, mam czterdzieści trzy lata! Niedługo umrę! Będę martwy jak ten Kryspinian, chociaż tego akurat niełatwo było zabić.

– Naprawdę?

Ojciec Krzysztof zmarszczył czoło.

– Właśnie usiłuję sobie przypomnieć. On i Kryspin byli torturowani ze względu na swoją wiarę. Łamano ich kołem, wbijano im gwoździe pod paznokcie i darto z nich pasy, a oni i tak wciąż żyli! W dodatku przez cały czas śpiewali katom pieśni na chwałę Pana! Nie jestem pewien, czy

zdobyłbym się na taką odwagę. – Przeżegnał się znakiem krzyża, po czym uśmiechnął się, kiedy dziewczyna postawiła przed nim piwo, i beztróskim gestem kazał jej sobie zachować drobne, które przyniosła jako resztę. – Więc tak ich torturowano i torturowano – ciągnął dalej swoją opowieść, która najwyraźniej zaczynała go bawić – aż wreszcie kat postanowił raz na zawsze z nimi skończyć, może dlatego, że miał już dosyć tych śpiewów, więc uwiązał im do szyi kamienie młyńskie i wrzucił ich do rzeki. Jednakże to też na nic się nie zdało, ponieważ kamienie młyńskie zaczęły unosić się na wodzie! Tak więc kat kazał ich wyciągnąć z wody i wrzucić do ognia! Jednak nawet ogień nie dał im rady. Dalej śpiewali, a płomienie w ogóle się ich nie imały. Aż wreszcie Bóg przepelnił serce kata rozpaczą i nieszczęśnik sam rzucił się w ogień. Spłonął, rzecz jasna, a dwaj święci nadal żyli.

U wylotu ulicy w wiosce pojawiła się niewielka grupka jeźdźców. Nick zerknął w ich kierunku, ale żaden z nich nie był w barwach sir Johna Cornewaille'a, więc odwrócił się ponownie do swego rozmówcy.

– Bóg ocalił zatem braci przed torturami, wodą i ogniem – rzekł ojciec Krzysztof – ale z jakiegoś powodu i tak pozwolił im w końcu umrzeć. Cesarz kazał obciąć im głowy, a wtedy przestali już śpiewać. Chyba nic w tym dziwnego, nieprawdaż?

– Ale i tak to był cud! – rzekł zdumiony Hook.

– Cudem było to, że tak długo utrzymali się przy życiu – zgodził się z nim ojciec Krzysztof. – Ale czemu tak cię interesuje święty Kryspinian? To przecież francuski święty, a nie nasz. On i jego brat udali się do Francji, żeby spełniać dzieło boże.

Nick zawahał się, nie mając pewności, czy chce się przyznać, że przemówił doń bezgłowy święty, lecz zanim zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, usłyszał czyjś szydery głos:

– A niech mnie! Spójrzcie tylko, kogo tutaj mamy! Panicz Nicholas Hook we własnej osobie!

Hook podniósł wzrok i ujrzał sir Martina spoglądającego nań z siodła z wyrazem tryumfu na twarzy. Jeźdźców było ośmiu i wszyscy z wyjątkiem sir Martina nosili księżyc i gwiazdy lorda Slaytona. Byli wśród nich również Thomas Perrill i jego brat Robert, a także setnik lorda Slaytona, William Snoball. Nick znał zresztą wszystkich.

– To twoi przyjaciele? – spytał ojciec Krzysztof.

– Myślałem, że nie żyjesz, Hook – rzekł sir Martin. Podkasał sutannę wysoko, aby swymi chudymi nogami objąć koński grzbiet, a choć duchownym nie było wolno nosić broni siecznej, miał staromodny miecz z rękojeścią o szerokim jelcu. – To znaczy, miałem nadzieję, że nie żyjesz – dodał. – Że jesteś przeklęty, potępiony i martwy! – zawołał, a jego twarz wykrzywił grymas, który można by wziąć uznać za uśmiech.

– Jak widać, jednak żyję – odrzekł krótko Nick.

– I nosisz barwy innego pana – rzekł sir Martin. – Nieładnie, Hook, bardzo nieładnie z twojej

strony. Jest to sprzeczne z prawem i nakazami Pisma świętego, a w dodatku nie spodoba się lordowi Slaytonowi. Czy to twoje? – spytał na koniec, wskazując palcem wóz.

– Nasze – odparł życzliwie ojciec Krzysztof.

Wydawało się, że sir Martin dopiero teraz zauważył jego obecność. Przez moment przyglądał się bacznie siwowłosemu mężczyźnie, po czym pokręcił głową.

– Nie znam cię – rzekł – i nie mam ochoty zawierać znajomości. Potrzebuję żywności. Właśnie po to przyjechaliśmy, no i proszę! – wskazał kościstym palcem wóz. – Oto i nasza żywność! Prawdziwa manna z nieba! Tak jak Bóg zesłał kruki, aby karmiły Eliasza Tesbitczyka, tak nam zesłał Hooka. – Ubawiło go to porównanie i zaśmiał się do siebie, a w śmiechu tym pobrzmiwała nutka szaleństwa.

– Ale ta żywność jest nasza – rzekł ojciec Krzysztof takim tonem, jakby usiłował wytłumaczyć coś małemu dziecku.

– Za to on – rzekł sir Martin, wskazując na Hooka – on, on, on – powtarzał, za każdym razem dźgając palcem w stronę łucznika – ta kupa gówna obok ciebie, to człowiek lorda Slaytona. A w dodatku banita.

Ojciec Krzysztof zwrócił w stronę Hooka swe pełne zdumienia oblicze.

– To prawda? – spytał.

Nick bez słowa skinął głową.

– Proszę, proszę! – rzekł łagodnie ojciec Krzysztof.

– Jak mówi Pismo, banita nie może posiadać niczego – wycedził sir Martin – więc ta żywność należy do nas.

– Sądzę, że jednak nie – odparł spokojnie ojciec Krzysztof, nie przestając się uśmiechać.

– Możesz sobie myśleć, co tylko chcesz – rzekł nagle porywczo sir Martin – ponieważ i tak ją zabieramy. I jego też – dodał, skinąwszy w stronę Hooka.

– Poznajesz ten herb? – spytał łagodnym tonem ojciec Krzysztof, wskazując na opończę Nicka.

– Banita nie może nosić niczyjego herbu – stwierdził sir Martin. Wydawał się zadowolony na samą myśl o tym, ile przyjemności sprawi mu rychła śmierć Hooka. – Tom! – odwrócił się w siodle, aby spojrzeć na starszego z braci Perrillów. – Zedrzyj z niego tę opończę, zwiąż mu ręce i przyprowadź go tutaj.

William Snoball miał już strzałę na cięciwie. Reszta łuczników lorda Slaytona poszła za jego przykładem i po chwili w Hooka wycelowanych było pół tuzina pierzastych pocisków, podczas gdy

Tom Perrill ześliznął się z siodła.

– Długo na to czekałem – rzekł. Jego twarz o długim nosie i wystającej szczęce, łudząco podobną do oblicza sir Martina, rozjaśnił szeroki uśmiech. – Powiesimy go na miejscu, sir Martinie?

– Lord Slayton nie musiałby wówczas się fatygować i przeprowadzać procesu, nieprawdaż? – odrzekł ksiądz. – A zarazem nie kusiłoby jego lordowskiej mości, aby okazać mu łaskę – dodał i znów zachichotał.

Ojciec Krzysztof uniósł ostrzegawczo swą szczupłą dłoń, lecz Tom Perrill zignorował ten gest. Podszedł do stołu i wyciągał właśnie ręce po Hooka, kiedy dźwięk dobywanego właśnie miecza sprawił, że zastygł w bezruchu.

Sir Martin obejrzał się za siebie.

Całej scenie przypatrywał się samotny jeździec, stojący na skraju wsi. Za nim podążali inni, ale teraz najwyraźniej kazano im się zatrzymać.

– Naprawdę radziłbym wam zdjąć te strzały z waszych cięciw – rzekł bardzo łagodnym tonem ojciec Krzysztof.

Żaden z łuczników jednak go nie posłuchał. Spoglądali tylko niespokojnie na sir Martina, lecz ten najwyraźniej sam nie wiedział, co zrobić, a wtedy właśnie samotny jeździec dotknął ostrogami boków swego ogiera.

– Sir Martinie! – William Snoball zwrócił się do księdza po jakieś rozkazy.

Kapłan jednak nadal milczał. Patrzył tylko, jak rycerz pędzi prosto na nich, a podkowy jego ogiera wzbijają na drodze obłoki kurzu. Rycerz uniósł ramię z mieczem i mijając grupkę łuczników na koniach opuścił je jeden jedyny raz.

Uderzył płazem w głowę Roberta Perrilla. Łucznik, wybrany zupełnie przypadkowo, zsunął się wolno z siodła i upadł ciężko na ulicę. Strzała, wypuszczona przez pozbawione czucia ręce, wbiła się z hukiem w ścianę oberży, przebijając ją niemal na wylot. Minęła przy tym Nicka ledwie o kilka cali. Tom Perrill ruszył, aby pomóc bratu, który podrygiwał tylko jak pijany, leżąc w ulicznym pyłe, po czym zamarł w bezruchu, gdy sir John Cornewaille zawrócił wierzchowca. Znów tknął go ostrogami, lecz tym razem łucznicy sir Martina co prędzej zdjęli strzały z cięciw. Sir John zwolnił i wreszcie wstrzymał konia.

– Witaj, sir Johnie! – rzekł radośnie ojciec Krzysztof.

– Co się tutaj dzieje? – spytał szorstkim tonem Cornewaille.

Robert Perrill z trudem stanął na nogach. Prawą stronę głowy miał całą we krwi. Tom Perrill zastygł w bezruchu, z oczyma utkwionymi w ostrzu miecza, który powalił przed chwilą jego brata.



Ojciec Krzysztof łyknął piwa, po czym otarł usta.

– Ci ludzie, sir Johnie – machnął ręką w kierunku sir Martina i jego łuczników – wyrazili chęć zabrania naszej żywności. Szczerze odradzałem im taki uczynek, lecz oni powtarzali z uporem, że zapasy należą do nich, gdyż znajdują się pod opieką obecnego tutaj młodego Nicholasa Hooka, który, jak twierdzi ten wielebny kapłan, jest banitą.

– Tak właśnie jest! – krzyknął sir Martin, który nagle odzyskał mowę. – To człowiek wyjęty spod prawa, a zatem skazany na śmierć!

– Wiem, że jest banitą – rzekł oschle sir John. – Wiedział o tym także król, kiedy oddawał go mnie. Czy chcesz powiedzieć, że nasz pan i władca popełnił błąd?

Sir Martin zerknął ze zdumieniem na Hooka, ale nie spuścił z tonu.

– Ten człowiek to banita – powtórzył – i należy do lorda Slaytona.

– Ten człowiek należy do mnie! – stwierdził sir John.

– On jest... – zaczął sir Martin, lecz umilkł, zgromiony spojrzeniem Cornewaille'a.

– To mój człowiek – rzekł raz jeszcze sir John, tym razem groźnym już tonem – i walczy za mnie, a to oznacza, że i ja walczę za niego. Wiesz, kim jestem? – spytał i czekał na odpowiedź księdza, lecz wzrok sir Martina zmętniał już i kapłan wpatrywał się teraz w niebo, jakby obcował właśnie z aniołami. – Powiedz jego lordowskiej mości – kontynuował sir John – żeby omówił tę sprawę ze mną.

– Powiemy, panie, oczywiście, że powiemy – odparł William Snoball, zerknąwszy uprzednio na sir Martina.

– Eliasz Tesbitczyk – odezwał się nagle tamten – jadał chleb i mięso nad potokiem Kerit. Wiedziałaś o tym? – Pytanie to skierowane było zupełnie serio do sir Johna, który spoglądał tylko na sir Martina w niemym osłupieniu. – Nad brzegami potoku Kerit – mówił kapłan takim tonem, jakby zdradzał właśnie wielki sekret – człowiek może znaleźć schronienie.

– Słodki Jezu! – zawołał zdumiony sir John.

– To u niego normalne – westchnął ojciec Krzysztof. Potem łagodnie uniósł w górę łączyisko Hooka i grzmotnął nim mocno o stół. Nagły hałas wystraszył konie, lecz zarazem sprawił, że oczy sir Martina zaczęły na powrót dostrzegać otaczającą go rzeczywistość. – Zapomniałem wspomnieć – rzekł wówczas ojciec Krzysztof, uśmiechając się słodko jak anioł do sir Martina – że też jestem kapłanem. Pozwól zatem, bracie, że cię pobłogosławię. – Wyjął na wierzch złoty krucyfiks, ukryty dotąd pod koszulą, i wyciągnął go w stronę ludzi lorda Slaytona. – Niechaj pokój i łaska naszego Pana, Jezusa Chrystusa, będzie dla was pociechą i oparciem, gdy będziecie zabierać wasze wszawe ryje i śmierdzące dupska sprzed naszych oczu – rzekł, po czym nakreślił w powietrzu niedbały znak

krzyża. – A zatem żegnajcie!

Tom Perrill spojrzał na Hooka. Przez moment wydawało się, że jego nienawiść weźmie górę nad rozważą, lecz w końcu odwrócił się i pomógł bratu na powrót dosiąść konia. Sir Martin, znów z nieobecny wyrazem twarzy, pozwolił Williamowi Snoballowi złapać swego konia za cugle i go zawrócić. Pozostali ruszyli w ślad za nimi.

Sir John zeskoczył z siodła, chwycił kufel Nicka i osuszył go jednym haustem.

– Przypomnij mi, Hook, za co to zostałeś wyjęty spod prawa?

– Za to, że podniosłem rękę na księdza, panie – przyznał łucznik.

– Na tego księdza? – spytał Cornewaille, wskazując kciukiem ku oddalającym się jeźdźcom.

– Tak, panie.

Sir John pokręcił głową.

– Źle zrobiłeś, Hook, naprawdę bardzo źle. Nie powinieneś był go uderzyć.

– Nie powinienem, panie – odrzekł pokornie Nick.

– Powinieneś był wypruć flaki temu przekłętemu łajdakowi i wyrwać mu serce przez ten jego śmierdzący zadek – stwierdził sir John, przypatrując się ojcu Krzysztofowi, jakby w nadziei, że jego słowa mogą urazić kapłana, lecz ten tylko się uśmiechnął. – Czy ten łotr jest obłąkany?

– I to jak! – rzekł ojciec Krzysztof. – Ale tak samo było z połową świętych i większością proroków. Nie sądzę, panie, byś chciał wybrać się na polowanie z sokołami z takim, powiedzmy, Jeremiaszem?

– Niech diabli wezmą Jeremiasza! – zaklął sir John. – I niech diabli wezmą ten przekłety Londyn! Znowu mnie tam wzywają, ojciec. Król domaga się mojej obecności.

– Niech zatem Bóg ci błogosławi, panie, i niechaj da ci spokojną podróż do stolicy, jako i bezpieczny powrót.

– Jeśli król Henryk nie zawrze pokoju – rzekł sir John – to wrócę szybko, nawet bardzo szybko.

– Nie będzie żadnego pokoju – stwierdził z przekonaniem ojciec Krzysztof. – Łuk jest już napięty, a strzała aż rwie się do lotu.

– Miejmy nadzieję, że jest tak, jak mówisz. Potrzebuję pieniędzy, jakie może nam przynieść zwycięska wojna.

– Będę się zatem modlił o to, by wojna wybuchła – rzekł beztrąsko ojciec Krzysztof.

– Już od miesiący nie modłę się o nic innego – przyznał sir John.

„I teraz jego prośby zostaną wysłuchane” – pomyślał Hook. Bowiem już niebawem, naprawdę lada dzień, wypłyną w morze, aby znów zagrać w tę szatańską grę. Pożeglują do Francji i tam zmierzą się z wrogiem.

*Część druga*  
*Normandia*

Nick Hook nie mógł wprost uwierzyć, że na świecie może być aż tyle okrętów. Pierwszy raz ujrzał na własne oczy ogromną angielską flotę, gdy ludzie sir Johna ustawili się do przeglądu nad brzegiem zatoki w Southampton, aby królewscy oficerowie mogli przeliczyć drużynę. Zgodnie z umową Cornewaille zobowiązał się dostarczyć dziewięćdziesięciu łuczników i trzydziestu zbrojnych, a król zgodził się zapłacić mu resztę pieniędzy, jakie był mu winien z tego tytułu, kiedy armia się zaokrętuje. Najpierw jednak musiano sprawdzić i zatwierdzić liczbę i stan jego drużyny. Hook, stojąc w szeregu ze swymi towarzyszami, spoglądał z podziwem na angielską flotę. Jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem, stały zakotwiczone okręty. Było ich tak wiele, że ich kadłuby przesłaniały lustro wody. Już wcześniej Peter Goddington, setnik, twierdził, że zebrano aż półtora tysiąca statków, aby przewieźć armię króla Henryka do Francji, a Hook nie chciał uwierzyć, że w ogóle może istnieć tak wiele okrętów. Teraz jednak miał je wszystkie przed oczyma.

Królewski inspektor, leciwy mnich o okrągłym obliczu i rękach poplamionych inkaustem, przeszedł wzdłuż szeregu żołnierzy, aby się upewnić, że sir John nie wynajął kalek, chłopców ani starców. Towarzyszył mu rycerz o surowym wyrazie twarzy, noszący na opończy królewski herb. Miał on za zadanie dokonać inspekcji broni i uzbrojenia kompanii. Nie dopatrzył się w tym

względnie żadnych uchybień, ale też nie spodziewał się odkryć jakichś niedociągnięć w wojennych przygotowaniach sir Johna Cornewaille'a.

– Umowa z sir Johnem opiewa na dziewięćdziesięciu łuczników – rzekł z dezaprobatą mnich, dotarwszy do końca szeregu.

– Owszem – przytaknął ochoczo ojciec Krzysztof. Sir John przebywał w Londynie, u króla, i to właśnie jego kapelan zarządzał całą drużyną pod jego nieobecność.

– Ale łuczników jest dziewięćdziesięciu dwóch! – zawołał mnich z udaną surowością.

– Po drodze sir John wyrzuci za burtę dwóch najsłabszych – odrzekł ojciec Krzysztof.

– To co innego! W takim razie wszystko w porządku! – rzekł braciszek. Zerknął na swego ponurego towarzysza, który skinął tylko głową na znak, że zadowolilo go to, co zobaczył. – Pieniądze zostaną wam dostarczone jeszcze tego popołudnia – zapewnił mnich ojca Krzysztofa. – Niech Bóg błogosławi ciebie i was wszystkich! – zawołał, dosiadając konia, po czym udał się do kolejnych drużyn, oczekujących na przegląd. Jego kanceliści, dzierżący torby pełne arkuszy pergaminu, popędzili za nim.

Okręt Hooka, *Czapla*, był przysadzistym, okrągłodennym statkiem handlowym z prostopadłym dziobem, kwadratową rufą i solidnym masztem, na którym powiewała bandera sir Johna Cornewaille'a. Bardzo blisko niego, wznosząc się wysoko ponad *Czaplą*, stał okręt flagowy samego króla, *Trinity Royal*. Był wielki jak opactwo, a wydawał się jeszcze potężniejszy z uwagi na wyniosłe drewniane kasztele na dziobie i rufie. Nadbudówki te, pomalowane na kolor czerwony, niebieski i złoty i obwieszane królewskimi chorągwiami, sprawiały, że okręt wydawał się mieć środek ciężkości u góry, jak chłopski wóz wyładowany zbyt dużą ilością snopków zżętego zboża. Jego nadburcia przyozdobiono białymi tarczami, na których wymalowane były czerwone krzyże, podczas gdy wysoko w górze powiewały nad nim trzy ogromne chorągwie. Na dziobie, na krótkim maszcie sterczącym z wdzięcznego bukszprytu, znajdowała się czerwona bandera z czterema białymi okręgami, połączonymi banderolami, na których widniały czarne litery.

– Ta flaga na dziobie, Hook – wyjaśnił ojciec Krzysztof – to chorągiew Trójcy Świętej.

Nick spojrział bez słowa we wskazanym kierunku.

– Można by pomyśleć – ciągnął dalej ojciec Krzysztof przebiegłym tonem – że dla Świętej Trójcy potrzeba aż trzech flag, lecz w niebiosach panuje umiar i jedna chorągiew wystarczy w zupełności. Wiesz, co oznacza ta flaga, Hook?

– Nie, ojcze.

– W takim razie rozświetlę mroki twej niewiedzy. Te zewnętrzne okręgi symbolizują Ojca, Syna i Ducha Świętego i połączone są banderolami, na których napisano: *non est*. Wiesz, co to znaczy, Hook?

– Nie jest – wtrąciła pospiesznie Melisanda.

– Dobry Boże, ona jest równie mądra, co śliczna! – rzekł pogodnie ojciec Krzysztof. Zmierzył Melisandę od stóp do głów długim i pełnym uznania spojrzeniem. Dziewczyna miała na sobie suknię z cienkiego lnu, przyozdobioną herbem sir Johna – czerwonym lwem, choć w tym przypadku kapłana nie interesowały raczej zawilosci heraldyki. – Tak więc – rzekł wolno, znów omiatając ją wzrokiem, tym razem od dołu do góry – Ojciec nie jest Synem, który nie jest Duchem Świętym, który z kolei nie jest też Ojcem. Lecz te trzy zewnętrzne okręgi połączone są z kręgiem środkowym, oznaczającym Boga, a na łączących je z nim banderolach widnieje słowo *est*. Tak więc Ojciec jest Bogiem, Syn jest Bogiem i Bogiem jest także Duch Święty, choć wszyscy trzej nie są sobą nawzajem. W gruncie rzeczy to bardzo proste.

Hook zmarszczył brwi.

– Wcale nie wydaje mi się to proste – rzekł.

Ojciec Krzysztof uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, że to wcale nie jest takie proste! Nie sędzę, by ktokolwiek rozumiał tajemnicę Trójcy Świętej, no, może z wyjątkiem papieża, tylko pozostaje jeszcze pytanie, którego papieża, co? Mamy ich teraz dwóch, a powinniśmy przecież mieć tylko jednego! Grzegorz *non est* Benedyktem, a Benedykt *non est* Grzegorzem, więc pozostaje mieć nadzieję, że Bóg dobrze wie, który *est* który. Na Boga, ale z ciebie ślicznotka, Melisando! Aż szkoda cię dla takiego Hooka, nie ma co – Dziewczyna skrzywiła się na te słowa kapłana, który tylko się zaśmiał, pocałował opuszki swych palców i przesłał jej całusa. – Dbaj o nią, Hook – dodał.

– Cały czas o nią dbam, ojczu.

Ojciec Krzysztof zdołał wreszcie oderwać wzrok od Melisandy i spojrział w stronę królewskiego okrętu flagowego, który właśnie zaopatrywał tuzin niewielkich szalup, trących dziobami o jego burtę, niczym prosięta ssące wymiona maciory. Z małych łodzi wciągano na wielki statek ogromne pakunki. Na rufie okrętu, na kolejnym krótkim maszcie, powiewała angielska flaga, z czerwonym krzyżem świętego Jerzego na białym tle. Każdy żołnierz w armii króla Henryka otrzymał dwa płócienne, czerwone krzyże, które trzeba było przyszyć do kaftana lub opończy na przedzie i z tyłu, przysłaniając herb swego pana. Jak wyjaśnił sir John, na wojnie spotkać można było zbyt wiele herbów, zbyt dużo zwierząt, ptaków i barw, lecz jeśli wszyscy Anglicy nosić będą to samo godło – godło świętego Jerzego – to w bitewnym zgiełku i chaosie będą mogli rozpoznać swych rodaków.

Na najwyższym maszcie *Trinity Rayal* powiewała największa flaga: wielki sztandar królewski, podzielony na cztery pola, z których dwa przedstawiały złote lamparty Anglii, a dwa – francuskie złote lilie. Henryk uważał się za władcę obydwu tych krajów, przez co jego chorągiew tak właśnie wyglądała, a wielka armada wypełniająca zatokę w pobliżu portu w Southampton miała przewieźć do Francji armię, która sprawi, że buńczuczna deklaracja na królewskim sztandarze stanie się faktem. Jak powiedział swoim ludziom sir John Cornewaille wieczorem przed swym wyjazdem do Londynu,

była to najpotężniejsza armia, jaka kiedykolwiek wyruszyła na wojnę z Anglii.

– Nasz król dobrze się spisał! – rzekł wówczas z dumą. – Naprawdę jesteśmy silni! – zawołał i uśmiechnął się złowieszczo. – Jego wysokość, nasz pan i władca, wydał sporo grosza! Zastawił nawet swe królewskie klejnoty! Wystawił za to najlepszą armię, jaką kiedykolwiek widziała poczciwa Anglia, a my też jesteśmy jej częścią! I to częścią nie byle jaką, tylko najlepszą! Nie sprawimy zawodu królowi! Nawet Bóg jest po naszej stronie, nieprawdaż, ojciec Krzysztofie?

– O, tak! Bóg wprost nie cierpi Francuzów – potwierdził z pełnym przekonaniem kapłan, jakby znał wszystkie najskrytsze myśli Wszechmogącego.

– To dlatego, że Bóg ma głowę na karku – ciągnął dalej sir John – i wie, że popełnił błąd, stwarzając Francuzów, więc teraz posyła nas do Francji, abyśmy ten błąd naprawili! Jesteśmy narzędziem Boga i skończymy z tym diabelskim pomiotem!

Półtora tysiąca okrętów miało zatem przewieźć przez kanał La Manche dwanaście tysięcy ludzi i co najmniej dwa razy tyle koni. Armia ta składała się w większości z Anglików, lecz byli w niej także Walijszczyki, a nawet kilkudziesięciu rycerzy z posiadłości Henryka w Akwitanii. Hookowi z trudem przychodziło wyobrazić sobie dwanaście tysięcy ludzi, gdyż była to liczba tak ogromna, lecz ojciec Krzysztof, wsparłszy się o nadburcie *Czapli*, raz jeszcze powtórzył słowa przestrogi, jakie padły już przed gospodą „Pod Myszką i Serkiem” przed spotkaniem z sir Martinem.

– Francuzi mogą wystawić trzy razy tyle ludzi, co my – rzekł w zadumie – a może nawet jeszcze więcej. Jeśli dojdzie do bitwy, Hook, twój łuk będzie nam potrzebny.

– Tylko że oni wcale nie będą chcieli z nami walczyć – wtrącił jeden z rycerzy sir Johna, usłyszawszy słowa kapłana.

– Owszem, Francuzi nie lubią z nami walczyć w otwartym polu – przytaknął ojciec Krzysztof. Ksiądz miał na sobie koszulkę kolczą, a u jego boku zwisał miecz. – To już nie to samo, co stare dobre czasy – dodał.

Rycerz, młody i rumiany, uśmiechnął się szeroko.

– Jak pod Crécy i Poitiers?

– Taka bitwa to byłoby coś wspaniałego! – rzekł rozmarzonym tonem ojciec Krzysztof. – Wyobrażasz sobie, jakby to było walczyć pod Poitiers? Wziąć do niewoli francuskiego króla? Tym razem to się nie powtórzy.

– Skąd ta pewność, ojciec? – spytał Nick.

– Francuzi nabrali respektu wobec naszych łuczników, Hook. Teraz trzymają się od nas z daleka. Zamykają się na cztery spusty w swoich miastach i zamkach i czekają, aż się nam znudzi wojaczka. Możemy z tuzin razy obejść Francję dookoła, a oni nie wychylą nosa ze swych fortec, żeby

stanać z nami do walki. Lecz jeśli nie zdołamy wdrzeć się do ich zamków, to po co włóczyć się po Francji?

– To dlaczego sami nie wystawiają do walki łuczników? – zapytał Nick, lecz w tej samej chwili znał już odpowiedź, gdyż był nią on sam. Trzeba było aż dziesięciu lat, żeby zrobić z Nicholasa Hooka prawdziwego łuczника. Zaczął strzelać w wieku siedmiu lat, gdy ojciec dał mu mały łuk i kazał codziennie ćwiczyć. Potem co roku, aż do śmierci ojca, Nick dostawał coraz większe łączyiska i coraz mocniej je napinał, a przy tym nauczył się naciągać cięciwę całym swym ciałem, a nie tylko ramionami. „Przyłóż się do łuku, ty mały gnojku” – powtarzał w kółko ojciec, za każdym razem tłukąc go po plecach swym wielkim łączyiskiem, i tak Hook nauczył się napinać łuk jak należy, a przy tym stawał się coraz silniejszy. W dniu śmierci ojca wziął jego wielkie łączyisko i dalej ćwiczył się w strzelaniu, pakując strzałę za strzałą w pniaki na cmentarzu. Groty ostrzył na ościeżnicy cmentarnej bramy i z czasem w kamieniu powstały głębokie rowki od nieustannego skrobania. Nick Hook przelewał swój gniew w te pierzaste pociski i strzelał czasem do późna, kiedy w zapadających ciemnościach już prawie nic nie było widać. „Nie szarp tak tej cięciwy!” – powtarzał mu raz za razem kowal Pearce, aż wreszcie Nick nauczył się spuszczać ją niemal bezszelestnie, pozwalając, by konopie wyslizgiwały się spomiędzy opuszków jego palców, które stały się twarde jak skórzane ochraniacze. A kiedy tak napinał i zwalniał cięciwę, i znów napinał i zwalniał, rok po roku, rozrastały się mięśnie na jego grzbiecie, piersi i ramionach. To właśnie był jeden z warunków, które musiał spełnić prawdziwy łuczник: mieć potężne mięśnie, niezbędne do tego, aby napiąć łuk. Lecz drugim, trudniejszym do spełnienia warunkiem, było to, aby zapomnieć o celowaniu.

Kiedy jako chłopiec zaczynał się uczyć strzelać z łuku, Hook zwykł naciągać cięciwę do policzka i celować, patrząc wzdłuż drzewca strzały, co jednak odbierało łukowi pełnię jego mocy. Jeśli bowiem grot miał przebić płytowy pancerz, musiał mieć w sobie całą siłę cisowego łączyiska, a to oznaczało, że cięciwę trzeba było napiąć aż do ucha. Wówczas z kolei strzała układała się ukośnie do oka, więc Hookowi zajęło całe lata, nim nauczył się kierować strzałą do celu własną myślą. Nie potrafił tego wytłumaczyć, podobnie zresztą jak każdy łuczник. Wiedział jedynie, że kiedy naciągał cięciwę, patrzył na swój cel i strzała mknęła ku niemu, ponieważ on tego chciał, a nie dlatego, że celując, zestawiał w jednej linii oko, grot strzały i tarczę. Właśnie dlatego Francuzi nie mieli w ogóle łuczników, jeśli nie liczyć garstki myśliwych. Nie mieli po prostu ludzi, którzy spędzili całe lata, ucząc się tego, jak sprawić, by kawał cisowego drewna i konopna cięciwa stały się częścią człowieka.

Na północ od *Czapli*, gdzieś w gęstwinie stojących na kotwicy okrętów, zapalił się jakiś statek i w letnie niebo wzbił się gęsty pióropusz dymu. Krążyły plotki, że wszczęto bunt przeciwko królowi i że rebelianci zamierzali spalić całą flotę. Ojciec Krzysztof przyznał tylko, że rzeczywiście znaleźli się jacyś buntownicy, w dodatku sami lordowie, lecz teraz już nie żyli.

– Wszyscy zostali ścięci – powiedział. Jego zdaniem pożar tamtego statku był po prostu nieszczęśliwym wypadkiem. – *Czapli* nikt nie podpali – zapewnił przy tym łuczników i rzeczywiście nikt nawet nie próbował. Także na północ od ich okrętu zakotwiczona była *Lady of Falmouth*, na którą załadowywano właśnie konie, spławiając je do burty statku, a potem wciągając je na pokład na szerokich, skórzanych pasach. Ociekające wodą zwierzęta unosiły się nad powierzchnią morza,



bezradnie machając w powietrzu nogami i wywracając białka oczu z przerażenia, po czym powoli opuszczano je do wymoszczonych słomą przegródek w ładowni okrętu. Hook widział, jak unoszono z wody jego czarnego wałacha, Pazura, a potem małą, srokatą klacz Melisandy, Dolinkę. Pomiędzy koźmi pływali ludzie, zręcznie mocując skórzane pasy. Wielki bojowy rumak sir Johna, czarny ogier imieniem Lucyfer, spoglądał groźnie dokoła siebie, kiedy wyciągano go z morza.

Następnego dnia wrócił z Londynu sir John Cornewaille wraz z królem. Francuzi w ostatniej chwili przysłali najwyraźniej jeszcze jedno poselstwo, ale ich warunki zostały odrzucone, i flota miała wyruszyć w drogę. Sir Johna przewieziono na *Czapłę* małą wiosłową łodzią i zanim jeszcze na dobre wdrapał się na pokład, zaczął donośnym głosem wydawać rozkazy i witać się hałaśliwie. W chwilę później na *Trinity Royal* zabrzmiały trąby, gdy błękitno-złota barka o białych wiosłach z królem na pokładzie podpłynęła do burty jego wielkiego flagowego okrętu. Henryk był w pełnej płytowej zbroi, wyczyszczonej i wypolerowanej tak solidnie, że odbijała promienie słońca, rozsyłając wokół oślepiające błyski, lecz mimo tego wspinał się po trapie ze zwinnością chłopca okrętowego, podczas gdy trębacze na rufowym kasztelu raz jeszcze unieśli swe instrumenty i zagrali jeszcze jedną fanfarę. Z pokładu *Trinity Royal* rozległy się głośnie wiwaty, a po chwili podchwyciły je następne okręty i niebawem radosne okrzyki rozbrzmiewały już na pokładach półtora tysiąca jednostek tworzących wielką angielską armadę.

Tego samego popołudnia, gdy dął nieprzerwanie zachodni wiatr, nad angielską flotą przeleciała para łabędzi. W nagrzanym powietrzu wyraźnie słychać było głośnie uderzenia ich skrzydeł. Łabędzie poleciały na południe, a sir John na ten widok walnął pięścią w nadburcie i wydał radosny okrzyk.

– To dlatego, że łabędź – wyjaśnił ojciec Krzysztof zdumionym nieco łucznikom – jest prywatnym herbem naszego króla!

Henryk widocznie także widział ten znak, gdyż w chwilę po tym, jak ptaki przeleciały nad jego okrętem, na maszt *Trinity Royal* wciągnięto żagiel w królewskich barwach: czerwieni, błękicie i złocie. Kiedy podniesiono go do połowy, wiatr wydał zwisające z długiej rei płótno, a jego donośny łopot dotarł nawet do *Czapli*, gdy nagle żagiel flagowego okrętu znów opadł. Był to sygnał, że flota ma wyruszyć w drogę, i angielskie statki jeden po drugim zaczęły podnosić kotwice i stawiać żagle. Wiał ciągle sprzyjający wiatr w stronę francuskiego wybrzeża.

Wiatr ten miał pchnąć Anglię ku wojnie.

Nikt nie wiedział, w której części Francji mają wylądować. Jedni mówili, że flota popłynie na południe, do Akwitanii. Inni sądzili, że skieruje się do Calais, a większość nie miała zielonego

pojęcia, dokąd pożegluje angielska armada. Niektórym było zresztą wszystko jedno, gdyż tylko wychylali się za burtę i wymiotowali.

Przez dwa dni i dwie noce armada żeglowała pod niebem usianym małymi, białymi obłokami, które sunęły na wschód, i pod gwiazdami, błyszczącymi jak drogocenne kamienie. Na pokładzie *Czapli* ojciec Krzysztof snuł najprzeróżniejsze opowieści, a Hooka zafascynowała historia o Jonaszu i wielorybie i przeczesywał wzrokiem lśniąca od słońca toń morza w poszukiwaniu podobnego monstrum, lecz żadnego nie zdołał dostrzec. Jak okiem sięgnąć widział jedynie rozrzuconą na powierzchni rozkołysanych wód angielską flotę, przypominającą stado owiec wypuszczonych na zielone, letnie pastwisko.

O świcie drugiego dnia podróży Hook stanął tak blisko dziobu, jak tylko się dało z uwagi na panujący na pokładzie tłok i znów obserwował powierzchnię morza w nadziei, że uda mu się dostrzec rybę zdolną połknąć człowieka, kiedy bez słowa dołączył doń sir John. Hook pospiesznie przyłożył dłoń do czoła, a Cornewaille przyjaźnie skinął głową. Melisanda spała na pokładzie, osłonięta od wiatru mnóstwem baryłek i zawinięta w płaszcz Hooka, i sir John uśmiechnął się, spojrzawszy w jej kierunku.

– To dobra dziewczyna, Hook – rzekł.

– Wiem o tym, panie.

– Pewnie zabierzemy z sobą do domu dziesiątki takich Francuzek jako nowe żony! Widzisz te chmury? – spytał sir John, patrząc wprost przed siebie, w miejsce gdzie nad horyzontem unosiła się lawica obłoków. – To Normandia, chłopcze.

Hook wyteżył wzrok, lecz nie mógł niczego dostrzec pod zwałami chmur, jeśli nie liczyć czołowych okrętów angielskiej armady.

– Sir Johnie? – zaczął niepewnie Nick, lecz napotkał zachęcające spojrzenie Cornewaille'a. – Czy wiesz coś, panie – tu znów przerwał na chwilę – o człowieku, którego zwą Seigneur d'Enfer – dokończył, z trudem wymawiając francuskie słowa.

– O Lanferelle'u? Chodzi ci o ojca Melisandy? – upewniał się sir John.

– Opowiadała ci o nim, panie? – spytał zaskoczony Hook.

– Pewnie, że tak! – odrzekł z uśmiechem Cornewaille. – Rzeczywiście, opowiadała mi co nieco. A czemu o niego pytasz?

– Z ciekawości – odparł Nick.

– Martwisz się, że ona jest córką wielkiego pana? – odgadł sir John.

– Owszem – przyznał Hook.

Cornewaille uśmiechnął się, po czym wskazał ręką hen, przed dziób *Czapli*.

– Widzisz te maleńkie statki? – spytał. Daleko przed angielską flotą była kolejna armada, znacznie mniejsza i złożona z samych niewielkich jednostek, przypominająca ławicę rozproszonych po powierzchni morza maciupieńkich, brunatnych żagli. – To francuscy rybacy – rzekł ponuro sir John. – Płyną do swych macierzystych portów z wieścią o tym, że się zbliżamy. Módlmy się, żeby ci dranie nie odgadli, gdzie mamy zamiar wylądować, bo to dla nich szansa, żeby nas pozabijać! Właśnie wtedy, gdy będziemy schodzić na ląd, Hook. Wiedzą już, że nadchodzimy! Wystarczy tylko, żeby mieli dwustu zbrojnych, którzy będą czekać na nas na plaży, a nigdy nie uda nam się postawić stopy na francuskiej ziemi.

Hook przyglądał się małym żaglom, które zdawały się stać w miejscu wśród bezkresu morza. Na zachodzie niebo wciąż pogrążone było w mroku, lecz na wschodzie zaczynało już jaśnieć. Nick zaczął się zastanawiać, skąd angielscy żeglarze mogą w ogóle wiedzieć, w którą stronę mają płynąć. Myślał też o tym, czy święty Kryspinian jeszcze kiedyś do niego przemówi.

– Spójrz! – rzekł łagodnie sir John. Wydawało się, że postanowił zignorować pytanie Hooka o Pana Piekiel, i zamiast udzielić jakiejś odpowiedzi, wskazywał palcem wprost przed siebie.

I rzeczywiście. Dało się dostrzec już wybrzeże Normandii. Na razie było zaledwie cieniastą plamą, wąskim skrawkiem stałego lądu widocznym w miejscu, gdzie chmury stykały się z powierzchnią morza.

– Rozmawiałem z lordem Slaytonem – rzekł sir John. Hook nie odezwał się na to ani słowem. – Sam nie może oczywiście udać się do Francji, z pewnością nie w jego stanie, ale przybył do Londynu, aby życzyć królowi powodzenia. Mówi, że jest z ciebie pożytek w walce.

Nick nadal milczał. Jedyne walki z jego udziałem, o których mógł wiedzieć lord Slayton, były to zwykłe bójki i burdy w gospodzie we wsi. Zdarzały się w nich i trupy, ale to wszak nie to samo co bitwa.

– Lord Slayton też był dzielnym wojownikiem – powiedział sir John – zanim przetrącili mu kręgosłup. Pamiętam, że zawsze trochę za wolno parował ciosy na dolną część ciała. Wznoszenie miecza powyżej ramienia zawsze jest ryzykowne, Hook.

– Tak jest, panie – odparł z szacunkiem Nick.

– Potwierdził też, że skazał cię na banicję – ciągnął dalej sir John – ale to teraz bez znaczenia. Płyniesz do Francji, Hook, a tam żadnym banitą nie jesteś. Bez względu na to, o jakie zbrodnie oskarżono cię w Anglii, we Francji one się nie liczą. Zresztą nawet to nic nie znaczy, bo jesteś teraz moim człowiekiem.

– Jestem, panie – przytaknął ponownie Hook.

– Jesteś moim człowiekiem – rzekł stanowczo Cornewaille – i lord Slayton się na to zgodził. Ale wciąż jeszcze masz z kimś na pieńku. Tamten ksiądz chce twojej śmierci, a lord Slayton mówił, że są także inni, którzy chętnie obdarliby cię ze skóry.

Hook od razu pomyślał o braciach Perrillach.

– Owszem – przyznał.

– Lord Slayton opowiadał mi o tobie jeszcze inne rzeczy – kontynuował sir John. – Powiedział, że jesteś mordercą, kłamcą i złodziejem.

Hook przez chwilę czuł, jak znów ogarnia go gniew, lecz wkrótce uspokoił się i złość zniknęła bez śladu, jak spienione grzywy fal.

– Kiedyś tak było – odparł ostrożnie.

– Mówił też, że jesteś kompetentny – rzekł sir John – czyli taki, jak le Seigneur d'Enfer, Hook. Ghillebert, pan de Lanferelle, też zna się na rzeczy. Łotr z niego, ale potrafi też być czarujący, a przy tym jest bystry i przebiegły. W dodatku mówi po angielsku! – dodał takim tonem, jakby chodziło o jakieś niesamowite osiągnięcie. – Kiedyś dostał się do niewoli w Akwitanii – wyjaśnił – i przebywał jako więzień w Suffolk, dopóki nie zapłacono zań okupu. Trwało to trzy lata. Odzyskał wolność przed dziesięcioma laty i śmiem twierdzić, że teraz tam w Suffolk dorasta całe mnóstwo dzieci z jego długim nosem. To jedyny człowiek, którego nigdy nie pokonałem w turnieju.

– Ludzie mówią, że nigdy nie przegrałeś, panie! – rzekł z zapalem Hook.

– On także mnie nie pokonał – odparł z uśmiechem sir John. – Pojedynek trwał tak długo, że obaj nie mieliśmy już sił do dalszej walki. Mówiłem ci, on zna się na rzeczy. Ale udało mi się go powalić na ziemię.

– Naprawdę? – spytał zaintrygowany Nick.

– Myślę jednak, że po prostu się potknął. Cofnąłem się więc i dałem mu czas, by się podniósł.

– Dlaczego, panie? – spytał Hook.

Sir John się zaśmiał.

– Na turnieju, Hook, musisz zachowywać się, jak przystało na rycerza. Dobre maniery są tam równie ważne, jak szermierskie umiejętności. Co innego w prawdziwej walce. Więc jeśli zobaczysz Lanferelle'a na polu bitwy, zostaw go mnie.

– Albo jakiejś strzale – rzekł Nick.

– Stać go na najlepszy pancerz, Hook. Będzie miał na sobie mediolańską zbroję i twoja strzała pewnie się na niej tylko stępi. Potem on cię zabije i nawet nie zauważy, że w ogóle z tobą walczył.

Zostaw go mnie, mówię.

Hook usłyszał w głosie Cornewaille'a coś zbliżonego do podziwu.

– Lubisz go, panie?

Sir John skinął głową.

– Lubię, ale to mnie nie powstrzyma przed tym, żeby go zabić. A jeśli chodzi o to, że jest ojcem Melisandy, to i cóż z tego? We Francji pewnie aż się roi od jego bękartów. Moje nieślubne dzieci nie są żadnymi lordami i jego bękarty też nie.

Hook skinął głową, zmarszczywszy czoło.

– W Soissons... – zaczął, lecz zaraz urwał.

– Mów dalej.

– Przyglądał się tylko, jak torturowano naszych łuczników! – rzekł z oburzeniem Nick.

Sir John oparł się od nadburcie.

– Dużo mówimy o rycerskości, Hook, a nawet bywamy rycerzcy. Oddajemy honory naszym wrogom, z gracją przyjmujemy ich kapitulację, przystrajamy naszą nienawiść w jedwabie i drogie płótna, gdyż jesteśmy rycerstwem chrześcijaństwa – rzekł z kwaśną miną, po czym spojrzał na Nicka swymi niezwykle jasnymi, niebieskimi oczyma. – Ale w ogniu bitwy, Hook, jest już tylko krew, furia i trupy. Sam Bóg odwraca wtedy od nas swe oblicze.

– Ale to było już po bitwie – stwierdził Hook.

– Z bitewną furią jest jak z pijaństwem: nieprędko mija. Ojciec twojej dziewczyny to wróg, wróg niepozbowiony wprawdzie pewnego uroku, ale równie niebezpieczny jak ja sam – rzekł sir John, po czym uśmiechnął się szeroko i lekko uderzył łuczника w ramię. – Zostaw go mnie, Hook. Ja go zabiję. A jego czaszkę zawieszę sobie w największej sali mojego zamku.

Słońce ukazało się już w całej swej okazałości, rozpędzając resztki mroku nocy, a wybrzeże Normandii przybliżyło się, ukazując linię białych klifów, zwieńczonych zielenią. Przez cały dzień angielska flota podążała na południe, gnana wiatrem, który zmienił kierunek i teraz wydymał żagle, i wznosił wysoko w górę białe grzywy fal. Sir John się niecierpliwił. Przez cały dzień wpatrywał się w odległy brzeg i nalegał, aby kapitan statku podpłynął bliżej.

– Tam są skały, panie – odpowiadał wciąż lakonicznie żeglarz.

– Nie ma tu żadnych skał! Podpłyn bliżej! Bliżej brzegu! – krzyczał Cornewaille. Wpatrywał jakichś dowodów na to, że nieprzyjaciel śledzi ruch floty ze szczytów skał, ale nie było widać żadnych jeźdźców podążających na południe, by dotrzymać kroku wolno poruszającej się

armadzie. Tylko rybackie łodzie, rozrzucone po powierzchni morza, pierzchały przed angielskimi okrętami, które teraz jeden po drugim okrążyły rozległy przylądek z białych, kredowych skał, wpływając do zatoki, gdzie ustawiały się pod wiatr i rzucały kotwice.

Zatoka była szeroka i niezbyt dobrze osłonięta. Od zachodu nadciągały potężne fale, kołysząc *Czaplą* i sprawiając, że niemal stawała dęba na kotwicy. W tym miejscu brzeg znajdował się blisko, w odległości zaledwie dwóch strzałów z łuku, ale widać było tylko plażę, na której załamywały się fale o spienionych, białych grzbietach, a dalej trzęsawisko i wznoszące się za nim strome wzgórze, porośnięte gęstym lasem. Ktoś powiedział, że znajdują się u ujścia Sekwany, która toczyła swe wody przez znaczną część Francji, lecz Hook nie był w stanie dostrzec ani śladu żadnej rzeki. Daleko na południu majaczyło jakieś inne wybrzeże, zbyt odległe jednak, aby można było widzieć je wyraźnie. Kolejne zapóźnione statki okrążyły wielki cypel i wkrótce w zatoce zrobiło się aż gęsto od zakotwiczonych okrętów.

– *Normandie* – rzekła Melisanda, spoglądając na wybrzeże.

– Francja – stwierdził Hook.

– *Normandie* – powtórzyła z uporem dziewczyna, jakby różnica ta miała jakieś znaczenie.

Nick obserwował tymczasem skraj lasu, zastanawiając się, kiedy pojawi się tam jakiś francuski oddział. Wydawało się oczywiste, że angielska armia zamierza zejść na ląd właśnie w tej zatoce, będącej właściwie tylko z lekka osłoniętym skrawkiem kamienistego wybrzeża, więc dlaczego Francuzi nie próbowali powstrzymać inwazji na plaży? A jednak na skraju lasu nadal nie było widać ani śladu ludzi czy koni. Samotny jastrząb kołował w górę zbocza, a nad załamującymi się grzbietami morskich fal przelatywały mewy. Hook spostrzegł nagle, że sir John na pokładzie niewielkiej, wiosłowej łodzi zdąża w kierunku *Trinity Royal*. Marynarze na królewskim okręcie flagowym zajęci byli teraz dekorowaniem nadburcia białymi tarczami z krzyżem świętego Jerzego. W stronę statku zmierzały też inne łodzie, wiozące wielmożów na naradę wojenną.

– Co teraz z nami będzie? – spytała Melisanda.

– Nie wiem – przyznał Hook, ale też zresztą nie martwił się tym zbytnio. Wyruszał właśnie na wojnę w gronie ludzi, z którymi łączyły go już więzi przyjaźni, i miał u swego boku Melisandę, którą kochał, choć zastanawiał się, czy dziewczyna, znalazłszy się na powrót w swym ojczystym kraju, nie zechce go porzucić. – Ty wrócisz do domu – rzekł, pragnąc zarazem, aby zaprzeczyła.

Melisanda milczała jednak przez dłuższą chwilę, spoglądając jedynie na drzewa, plażę i mokradła.

– *Maman* była moim domem – odparła w końcu. – Nie wiem, gdzie jest teraz mój dom.

– Przy mnie – powiedział Hook z zakłopotaniem.

– Dom jest tam, gdzie człowiek czuje się bezpiecznie – odrzekła Melisanda. Jej oczy były szare

jak czapla, która przeleciała właśnie nad kamienną plażą, by wylądować wśród bagien. Na pokładzie okrętu giermkowie czyścili na klęczkach płytowe zbroje swych rycerzy. Każdą część pancerza trzeba było wyszorować piaskiem z octem, aby wypolerować stal do połysku, usuwając wszelkie ślady rdzy, a następnie przetrzeć lanoliną. Peter Goddington kazał otworzyć garniec pszczelego wosku, którym łucznicy nasączyli wełniane szmaty, a teraz wcierali go w łączyzka.

– Czy twoja matka była dla ciebie surowa? – spytał Hook Melisandę, nacierając woskiem swój potężny łuk.

– Surowa? – spytała Melisanda, nieco zmieszana. – Czemu miałyby być dla mnie surowa?

– Niektóre matki takie są – rzekł Nick z myślą o swojej babce.

– Moja była kochana – stwierdziła Melisanda.

– Mój ojciec był dla mnie surowy – powiedział Hook.

– Więc ty nie możesz być taki dla swoich dzieci – powiedziała Melisanda. Potem zmarszczyła czoło, najwyraźniej nad czymś się zastanawiając.

– O co chodzi?

Dziewczyna się wzdrygnęła.

– Nie pamiętam, czy to było, kiedy trafiłam do klasztoru... A może wcześniej? – zaczęła i urwała.

– Co takiego? – spytał Hook.

– Mój ojciec... Wezwał mnie do siebie. Miałam wtedy jakieś trzynaście lat, a może czternaście – rzekła, zniżając głos. – Kazał mi zdjąć całe ubranie – ciągnęła dalej, spoglądając na Hooka – aż stanęłam tam przed nim zupełnie *nue*. Chodził dookoła mnie i w końcu powiedział, że nie może mnie mieć żaden mężczyzna – przerwała. – Już myślałam, że sam ma zamiar mnie...

– Ale tego nie zrobił?

– Nie – rzuciła pospiesznie. – Poglaskał mnie tylko po *épaule* – zawahała się, szukając angielskiego słowa – po ramieniu. A przy tym, jak się to mówi? *Frissonnant* – wyciągnęła ręce i zaczęła nimi potrząsać.

– Cały się trząsał? – podsunął Hook.

Dziewczyna gwałtownie skinęła głową.

– Potem odesłał mnie do klasztoru. Błagałam go, żeby tego nie robił. Mówiłam, że nie cierpię tych zakonnic, ale on powiedział, że muszę się za niego modlić. Takie miały być moje obowiązki:

ciężko pracować i modlić się za mojego ojca.

– I modliłaś się?

– Codziennie – odrzekła. – Prosiłam też Boga, żeby ojciec po mnie przyjechał, ale nigdy się nie pojawił.

Słońce już zachodziło, kiedy sir John powrócił na pokład *Czapli*. Na brzegu nadal nie było widać ani śladu francuskich żołnierzy, ale w lesie za kamienistą plażą mogłaby ukryć się cała armia. Nad wzgórzem na wschód od zatoki wznosił się dym, który dowodził, że są tam jacyś ludzie, lecz nie sposób było stwierdzić, kim są i ilu ich jest. Sir John wdrapał się na pokład, a teraz chodził pomiędzy swymi żołnierzami, od czasu do czasu wskazując palcem któregoś z rycerzy i łuczników. Wybrał także i Hooka.

– Ty! – mówił tylko, po czym szedł dalej. Wreszcie odwrócił się i zawołał: – Wszyscy, których wskazałem, jeszcze tej nocy zjedzą ze mną na ląd! Ruszamy po zmroku. Reszta ma być gotowa o świcie. Jeśli przeżyjemy, dołączycie do nas. Zaś ci, którzy schodzą na ląd, mają włożyć zbroje i zabrać broń! Nie będziemy z tym łajdakami tańczyć! Będziemy ich zabijać!

Tej nocy księżyc w trzeciej kwadrze posrebrzył morze. Gdy Hook wdziewał swój bitewny strój, brzeg pogrążony był w mroku. Nick włożył swe wysokie buty, skórzane spodnie i kaftan, kolczugę i hełm. Na lewe przedramię założył wzmocniony rogiem karwasz, nie tyle nawet po to, by chronić rękę przed uderzeniami cięciwy, gdyż to zrobiłaby już kolczuga, ile raczej po to, by konopna cięciwa nie wystrzępiła się na łączeniach pancerza. Przypasał też swój krótki miecz, przez plecy przewiesił dwuręczny topór, a u prawego boku zawiesił płócienny kołczan, z którego sterczały pióra dwudziestu czterech strzał. Wraz z sir Johnem na ląd schodziło pięciu rycerzy i dwudziestu łuczników i teraz wszyscy zsunęli się po trapie do wiosłowej łodzi, którą marynarze skierowali ku majaczącemu w ciemnościach brzegowi. Do plaży zbliżały się także szalupy z innych okrętów. Nikt nie odzywał się ani słowem, choć czasami z któregoś z zakotwiczonych okrętów dawał się słyszeć stłumiony głos, który życzył im powodzenia. Jeśli Francuzi są między drzewami – pomyślał Hook – to zobaczą podpływające do plaży łodzie. Może właśnie w tej chwili dobywają mieczy i naciągają grube cięciwy stalowych kusz.

Blisko brzegu, gdzie fale były większe i bardziej strome, łódka zaczęła kołysać się nieco gwałtowniej. Szum morza stał się głośniejszy i złowieszczy. Marynarze zanurzaliby wiosła głęboko w wodzie, usiłując pokonać wirujące i załamujące się fale. Nagle zaczęło się wydawać, że szalupa przyspieszyła i sunie szybko naprzód, a powierzchnia morza wokół nich, biała od księżycowego światła, stała się skłębiona i dzika, aż wreszcie łódź opadła ciężko jak kamień i dało się słyszeć szuranie stępki o żwir na morskim dnie. Szalupa obróciła się, a fala spieniła się jeszcze wokół jej kadłuba, po czym wchłonęło ją na powrót szumiące morze.

– Wychodzić, szybko! – syknął sir John. – Wszyscy na brzeg!

Na plaży osiadały ciężko kolejne łodki, z których wyskakiwali ludzie z dobytymi mieczami, z



trudem brnąc ku pokrytemu żwiru brzegowi. Zgromadzili się powyżej znaczącej zasięg przypiływu wyraźnie widocznej linii, jaką tworzyły wyrzucone na brzeg wodorosty i połamane drzewa. Plaża usiana była wielkimi głazami, których osłonięte przed światłem księżyca boki wydawały się teraz czarne. Hook spodziewał się, że to sir John dowodzić będzie rozpoznawczym oddziałem, lecz okazało się, że na jego czele stał pewien znacznie młodszy mężczyzna, który czekał, aż wszystkie łodzie wysadziły na ląd swych pasażerów. Marynarze odbili wówczas szalupy od brzegu, by zatrzymać się tuż za strefą spienionych, przybrzeżnych fal. Jeśli Francuzi na nich czekali i byli w pogotowiu, łodzie mogły w każdej chwili wrócić po zwiadowców, lecz Hook nie sądził, by wielu z nich udało się wówczas uratować. Zamiast tego ich krew wsiąkłaby wówczas w grząski żwir.

– Trzymamy się razem! – rzekł stłumionym głosem młody człowiek dowodzący desantem. – Łucznicy na prawo!

– Słyszeliście, co powiedział sir John! – syknął Cornewaille. Młodzieniec nazywał się sir John Holland i był jego pasierbem, a zarazem kuzynem króla. – Goddington!

– Tak, panie?

– Poprowadź swoich łuczników na tyle daleko w bok, żebyście mogli nam zapewnić osłonę z flanki!

Wydawało się, że tak naprawdę ich poczynaniami kieruje jednak starszy sir John, pozostawiając tylko nominalną komendę w rękach pasierba.

– Naprzód! – zawołał młodszy sir John i szereg ludzi, złożony z czterdziestu zbrojnych po lewej i czterdziestu łuczników po prawej stronie, ruszył w głąb plaży w poszukiwaniu francuskich umocnień.

Początkowo Hook sądził, że zbliża się do wysokiego nasypu na skraju kamienistej plaży, lecz gdy podszedł bliżej, przekonał się, iż był to wykonany ręką człowieka szaniec, przed którym znajdowała się jeszcze fosa. Z wykopanej ziemi usypano wał obronny, zaopatrzony nie tylko w fosę, lecz także w bastiony, wysunięte na skraj żwirowej plaży, z których kusznicy mogli razić ze skrzydła posuwających się w głąb lądu napastników. Umocnienia te, niemal nietknięte jeszcze przez wiatr i deszcz, ciągnęły się na całej szerokości zatoki i Hook pomyślał, jak trudno byłoby atakować je od czoła, gdyby zbrojni siekli mieczami ze szczytu nasypu, a z boków nadlatywały śmiertcionośne bełty kusz. Na szczęście mógł to sobie jedynie wyobrażać, ponieważ szaniec, którego budowa zajęła zapewne wiele dni, był opuszczony.

– Nieźle się tutaj napociły te małe wypierdki, co? – zauważył zjadliwie sir John Cornewaille, po czym kopnął w szczyt szanca. – Po co w ogóle budować umocnienia, skoro się ich potem nawet nie obsadza?

– Czyżby wiedzieli, że właśnie tutaj wylądujemy? – zasugerował ostrożnie sir John Holland.

– Więc czemu się nie zjawili, żeby godnie nas powitać? – spytał sir John. – Pewnie wznieśli

takie szańce na każdym skrawku plaży w Normandii! Dranie szczają tylko po gaciach i kopią dołki. Łucznicy! – zawołał. – Wszyscy umiecie gwizdać, co?

Łucznicy milczeli. Większość była zanadto zaskoczona tym pytaniem, aby zdobyć się na jakąś reakcję.

– Pytam, czy wszyscy umiecie gwizdać? – powtórzył sir John. – Dobrze! A czy wszyscy znacie *Lament po Robinie Hoodzie*? – zapytał. Melodię tę znał na pamięć każdy łucznik. Było wręcz nie do pomyślenia, aby mogło być inaczej, gdyż Robin Hood był ich bohaterem jako łucznik, który wystąpił przeciwko angielskim lordom, książętom i szeryfom. – W porządku! – oświadczył sir John. – Wejdziemy teraz na to wzgórze! Zbrojni na ścieżkę, a łucznicy do lasu! Przeczeszemy teren aż do samego szczytu. Jeśli kogoś usłyszycie lub zobaczycie, macie wrócić i zameldować mi o tym. Tylko gwizdźcie przy tym *Lament po Robinie Hoodzie*, żebym wiedział, że nadchodzi Anglik, a nie jakiś ssący kuśkę Francuz! Ruszamy!

Zanim jednak mogli zacząć wspinać się na wzgórze, musieli pokonać posepnie wyglądające w świetle księżyca trzęsawisko, jakie rozciągało się za potężnym szańcem z ziemi i żwiru na skraju plaży. Wiodła przez nie co prawda wąska i kręta ścieżka, lecz sir John Cornewaille nalegał, aby łucznicy rozproszyli się po obydwu jej stronach, aby na wypadek zasadzki mogli wspierać zbrojnych ze skrzydeł. Peter Goddington klął na czym świat stoi, brodząc pomiędzy kępami traw.

– Chce, żeby nas wszystkich pozabijali! – mruczał, gdy obudzone nagle ptaki unosiły się z krzykiem nad bagnem, wypełniając nocne ciemności głośnymi uderzeniami skrzydeł. Łucznicy słyszeli wciąż szum przybrzeżnych fal.

Trzęsawisko ciągnęło się na odległość jednego strzału z łuku, czyli niewiele więcej, niż na dwieście kroków. Hook potrafił co prawda posłać strzałę jeszcze dalej, ale to samo mógł zrobić każdy francuski kusznik, więc brnąc w kierunku pogrążonych w mroku drzew, dochodzących niemal do samego bagna, bacznie obserwował skraj lasu, obawiając się nagłego świstu bełtu z kuszy. Francuzi wiedzieli przecież, że Anglicy się zbliżają. Na pewno mieli swoich szpiegów, którzy skrzętnie przeliczyli flotę w zatoce w Southampton, zaś rybacy przynieśli im wiadomość, że wielka armada odbiła już od wybrzeży Anglii. A w dodatku zadali sobie tyle trudu, aby zabezpieczyć nawet tę niewielką zatoczkę przy pomocy skomplikowanych ziemnych fortyfikacji, więc dlaczego w ogóle ich nie obsadzili? Ponieważ czekają na nas w lesie – pomyślał Hook. Ponieważ chcą wybić cały oddział zwiadowców, gdy będzie przekraczał trzęsawisko.

– Hook! Tom i Mat! Will! – zawołał Goddington, wskazując czterem łucznikom ruchem ręki, że mają skierować się ku wschodniej części bagniska. – A potem na wzgórze!

Nick odskoczył więc w prawo, a bliźniacy i William z Doliny poszli w jego ślady. Za nimi, na ścieżce, zgromadzili się zbrojni. Każdy członek oddziału, czy to lord, czy łucznik, miał na opończy herb świętego Jerzego. Nogi rycerzy zakute były w płytowy pancerz, który jasno i wyraźnie odbijał światło księżyca, a ich nagie miecze wyglądały jak smugi najczystsze srebro. Z lasu nie pomknął ku nim ani jeden bełt. Jeśli Francuzi rzeczywiście na nich czekali, to musieli być jeszcze wyżej.

Hook wspiął się na niewielkie, osypujące się zbocze na północnym skraju trzęsawiska. Odwrócił się i ujrzał angielską flotę, unoszącą się na połyskującej od księżycowego światła tafli morza. Na okrętach, których wysokie maszty przypominały gęsty las, płonęło bladoczerwonym światłem kilka latarni. Na niebie jasno świeciły gwiazdy. Nick odwrócił się ponownie ku skrajowi lasu, czarnemu jak piekielna otchłań.

– Łuki na nic nam się nie zdadzą w gęstym lesie – rzekł do swych towarzyszy. Zdjął cięciwę i wsunął łączysko do pokrowca z końskiej skóry, który miał dotąd złożony i zatknięty za pasem. Jeśli trzymało się łuk naprężony przez zbyt długi czas, zaczynał ulegać cięciwie i wyginał się na dobre, tracąc przy tym swą siłę. Lepiej było przechowywać łączysko wyprostowane, więc zawiesił na ramieniu skórzaną pętlicę pokrowca i dobył krótkiego miecza. Trzej jego towarzysze zrobili to samo, po czym ruszyli za nim w las.

Między drzewami nie czaił się żaden Francuz. Hooka nie powitał nagły cios miecza, z ciemności nie pofrunął ku nim ani jeden bełt. Słysząc było jedynie szum morza, a pod dachem z listowia panowała nieprzenikniona ciemność i rozlegały się tylko nieznaczące dźwięki, jakie słysząc nocą w lesie.

Pomiędzy drzewami, nawet tymi drzewami w obcym kraju, Hook czuł się jak u siebie w domu. Thomas i Mat Scarlet jako synowie folusznika wychowali się w blecharskim młynie, w którym wielkie, napędzane wodą stęporęby wbijały glinę w tkaninę, uwalniając tłuszcz z wełny. William z Doliny był z kolei stolarzem. Zatem Hook, jako leśniczy i myśliwy, instynktownie objął teraz dowodzenie. Po swojej lewej stronie słyszał skradających się ludzi i nie chcąc, aby przez pomyłkę wzięli go za Francuza, skierował się bardziej na prawo. Wyczuwał bliskość niedźwiedzia i przypomniał sobie pewien zimowy świt, kiedy to wpakował pięć strzał, z których każda mogła z łatwością zabić człowieka, w wielkiego samca z ogromnymi kłami i maleńkimi oczkami płonącymi od gniewu. Zwierz jednak nadal nań szarżował, grzechocząc tkwiącymi w boku strzałami, i Hooka ocaliło jedynie to, że wdrapał się na dąb. Niedźwiedź w końcu padł, rozgrzebując łapami poszycie przesiąknięte krwią, wraz z którą wolno uchodziło z niego życie.

– Dokąd idziemy? – spytał Thomas Scarlet.

– Na szczyt wzgórza – odparł zwięźle Nick.

– I co potem?

– Potem będziemy czekać – odrzekł Hook. Tak naprawdę nie wiedział, co będzie potem. Czuł teraz wyraźnie zapach palonego drzewa, co dowodziło, że gdzieś w pobliżu byli ludzie. Zastanawiał się, czy w lesie znajduje się chatka węglarza, gdyż to mogłoby wyjaśniać, skąd brała się ta woń. A kto wie, może przy niewidocznym wciąż ognisku grzeją się francuscy kusznicy, czekając, aż na szczycie wzgórza pojawią się Anglicy?

– Będziemy zabijać tych parszywych łotrów! – rzekł William z Doliny, głosem, który do złudzenia przypominał sir Johna. Mat Scarlet się zaśmiał.

– Cisza! – ofuknął ich Nick. – I ruszajcie się szybciej!

Jeśli rzeczywiście czekali na nich francuscy kusznicy, lepiej było poruszać się szybko, niż stać się łatwym celem, lecz instynkt Hooka mówił mu, że pomiędzy drzewami nie ma nieprzyjaciela. Las wydawał się opuszczony. Kiedy polował na kłusowników zabijających jelenie na ziemi lorda Slaytona, zawsze wyczuwał ich obecność. Ta świadomość nie opierała się na świadectwie wzroku, powonienia czy słuchu: był to po prostu instynkt. Nick sądził więc, że w lesie nikogo nie ma, lecz ciągle czuł zapach palonego drewna. Instynkt mógł go zawodzić.

Zbocze stało się nieco łagodniejsze, a drzewa się przerzedziły. Hook nadal prowadził towarzyszy na wschód, pragnąc zachować bezpieczny dystans od jakiegoś zbyt nerwowego angielskiego łuczniaka. Nagle znalazł się na szczycie wzgórza i tu las się skończył, ukazując biegnący w niewielkim parowie gościniec, wiodący wzdłuż krawędzi pagórka.

– Łuki! – krzyknął do towarzyszy, choć sam nie wyjął jeszcze z łubu własnego łączyska. Przed chwilą usłyszał jakiś dźwięk po lewej stronie. Był to odgłos, którego nie mógł wydawać żaden z ludzi sir Johna. Teraz słyszał już wyraźnie tętent kopyt.

Czterej łucznicy przyczaili się między drzewami na skraju gościńca. Tętent kopyt stawał się coraz głośniejszy, ale wciąż nikogo nie było widać. Sądząc z odgłosów, Hook uznał, że to jakiś samotny jeździec i nagle ujrzał konia i jeźdźca, zmierzającego na wschód. Człowieka tego spowijały ciemności, jakby miał na sobie czarny płaszcz, ale Nick nie mógł dojrzeć przy nim żadnej broni.

– Nie strzelać! – powiedział półgłosem do towarzyszy. – On jest mój!

Hook czekał, aż jeździec znalazł się niemal na wysokości jego kryjówki, po czym wskoczył do parowu i chwycił konia za uzdę. Zwierzę zakreśliło się w miejscu i stanęło dęba. Nick sięgnął wolną ręką w górę, chwycił jeźdźca za fałdy płaszcza i ściągnął go z wierzchowca. Koń zarżał, lecz w końcu usłuchał Hooka, podczas gdy jeździec z przeciągłym jękiem zwałił się ciężko na gościniec. Usiłował odczołgać się na bok, ale łuczniak kopnął go mocno w brzuch, a wtedy Thomas, Mat i William zjawili się obok niego i podnieśli jeńca na nogi.

– To mnich! – zawołał William z Doliny.

– Jechał sprowadzić pomoc – rzekł Hook. Było to tylko przypuszczenie, choć prawie na pewno miał rację.

Mnich zaczął protestować, lecz przemawiał zbyt szybko, aby Hook zdołał cokolwiek zrozumieć. W dodatku mówił bardzo głośno.

– Stul pysk! – rozkazał mu Hook, na co mnich zaczął protestować jeszcze głośniejszym głosem, więc Nick przywalił mu raz a dobrze, i głowa braciszka odskoczyła do tyłu, a z nosa puściła mu się krew i natychmiast zamilkł. Był to młody człowiek, który teraz wydawał się śmiertelnie przerażony.

– Mówiłem ci, żebyś się zamknął – rzekł Nick. – Gwiżdżcie, chłopaki! Gwiżdżcie, byle głośno!

– rozkazał towarzyszom.

William, Mat i Thomas zaczęli więc gwizdać *Lament po Robinie Hoodzie*, a Hook prowadził jeńca i konia w stronę reszty angielskiego oddziału, idąc gościńcem, biegnącym przez las dnem niezbyt głębokiego parowu. Nagle droga skręciła ostro w lewo, ukazując wielką, kamienną budowlę zwieńczoną wieżą. Na pierwszy rzut oka budynek ten przypominał kościół.

– *Une église?* – zapytał mnicha Hook.

– *Un monastère* – odparł ponuro tamten.

– Gwizdźcie dalej! – rzucił Hook.

– Co on powiedział? – spytał Tom Scarlet.

– Że to klasztor. A teraz gwizdźcie!

Z klasztornego komina wydobywał się dym. Wyjaśniało to, skąd pochodziła woń palonego drewna, która nie dawała Hookowi spokoju, kiedy jeszcze pieli się w górę zbocza. Nie było jeszcze widać nikogo z angielskiego oddziału, lecz kiedy Hook poprowadził swą niewielką grupkę w stronę budynku, otwarła się klasztorna brama i w świetle latarni ukazała się grupka stojących w niej mnichów.

– Strzały na cięciwy! – rzucił Hook. – I na miłość boską, nie przestawajcie gwizdać tej cholernej melodii!

Od strony klasztornej bramy zbliżał się do nich wysoki i szczupły, siwowłosy mężczyzna w czarnym habicie.

– *Je suis le prieur* – przedstawił się, podchodząc bliżej.

– Co on powiedział? – spytał Tom Scarlet.

– Że jest przeorem tego klasztoru – wyjaśnił Hook. – Nie przestawajcie gwizdać!

Przeor wyciągnął rękę, jakby chciał zabrać zakrwawionego mnicha, ale Hook zrobił krok w jego kierunku i wysoki braciszek co prędzej się cofnął. Pozostali mnisi zaczęli protestować, ale wówczas z lasu wyszli kolejni łucznicy; a zza węgła klasztornego muru wyłonili się sir John Holland i jego ojczym w otoczeniu zbrojnych.

– Dobra robota, Hook! – zawołał Cornewaille. – Złapałeś wierzchowca!

– A na dodatek jakiegoś mnicha, sir Johnie – rzekł Nick. – Jechał po pomoc, a przynajmniej tak myślę.

Sir John podbiegł do Hooka. Przeor uczynił znak krzyża, kiedy na gościńcu przed klasztorem

zaroilo się od zbrojnych, po czym podszedł do sir Johna i złożył potoczystą skargę, co rusz wskazując przy tym na Hooka i krwawiącego wciąż mnicha. Sir John uniósł do góry twarz poturbowanego, by w świetle księżyca obejrzeć jego złamany nos.

– Musieli wysłać kogoś z ostrzeżeniem o naszym przybyciu jeszcze wczoraj – rzekł – więc ten człowiek najwyraźniej został wysłany po to, żeby donieść komuś, że schodzimy na ląd. Uderzyłeś go, Hook?

– Ja miałbym go uderzyć, panie? – spytał Nick, udając niewinnego. Jednocześnie zastanawiał się, jaka odpowiedź najlepiej mu się przysłuży.

– Przeor twierdzi, że go uderzyłeś – rzekł oskarżycielskim tonem sir John.

Instynkt podpowiadał Hookowi, że powinien skłamać, jak zawsze, gdy stawał w obliczu tego rodzaju oskarżeń, ale nie chciał zaczynać służby u Cornewaille'a od kłamstwa, więc w końcu skinął głową.

– Owszem, panie. Uderzyłem go.

Na twarzy Cornewaille'a pojawił się przelotny uśmiech.

– To wielka szkoda, Hook. Nasz król zapowiedział, że powiesi każdego, kto skrzywdzi księdza, zakonnicę albo mnicha. Doprawdy, bardzo pobożny jest ten nasz Henryk, więc chciałbym, żebyś bardzo starannie przemyślał odpowiedź. Zatem uderzyłeś go, Hook?

– Ależ skąd, panie – odrzekł Hook. – Nigdy by mi to do głowy nie przyszło!

– No pewnie, że nie – rzekł sir John. – Braciszek po prostu wypadł z siodła, nieprawdaż? I upadł tak niefortunnie, że złamał sobie nos – dodał, po czym szyderczym tonem powtórzył tę wersję przeorowi, delikatnie popychając mnicha z zakrwawionym nosem w kierunku jego współbraci. – Łucznicy! – zawołał. – Chcę was wszystkich widzieć na szczycie tego wzgórza – rzekł, wskazując pagórek na wschód od klasztoru. – Macie strzec gościńca. Daj mi tego konia, Hook.

Łucznicy czekali więc na drodze, która zaczynała opadać tuż przed nimi, by znów wznieść się na kolejny porośnięty drzewami pagórek. Gwiazdy zaczynały już blednąć, a na wschodzie pojawiła się poranna zorza. Peter Goddington pozwolił niektórym się zdrzemnąć, podczas gdy pozostali czuwali, więc Hook przygotował sobie posłanie na niewielkim, porośniętym mchem pagórku i przespał pewnie z godzinę, nim obudził go tętent wielu kopyt. Było już jasno i promienie słońca przebijały się przez wiosenne listowie. Na gościńcu pojawiło się kilkunastu jeźdźców, a wśród nich sir John Cornewaille. Ich konie wciąż jeszcze drżały i wydawały się przestraszone, więc Hook odgadł, że dopiero co spławiono je na brzeg i nadal niepewnie stapały po stałym lądzie.

– Naprzód, na następne wzgórze! – krzyknął do łuczników sir John i Nick pospiesznie chwycił kołczan i tkwiący jeszcze w łubach łuk. Pobiegł za pozostałymi na wschód, zaś zbrojni, bez widocznego pośpiechu, pojechali za nimi.

Z następnego wzgórza rozciągał się niesamowity widok. Na prawo od Hooka morze zwężało się u ujścia Sekwany. Na południowym brzegu rzeki ciągnęły się niskie, zalesione pagórki. Także na północy wznosiły się łagodne wzgórza, lecz na wprost Nicka, połyskując w świetle poranka, droga opadała poprzez lasy i pola w stronę miasta i portu. Przystań była niewielka, zatłoczona okrętami i osłonięta ze wszystkich stron murami miasta, w których pozostawiono jedynie wąskie przejście, wiodące do niezbyt szerokiego i krętego kanału, prowadzącego do morza. Za portem widniało samo miasto, a wszystkie jego dachy i kościoły otaczał potężny, kamienny mur, który przesłaniały gdzieś domostwa, zbudowane już za jego obwodem. Jednak domy te, przylegające do miasta niemal ze wszystkich stron, nie mogły ukryć przed wzrokiem Nicka wyniosłych baszt, którymi naszpikowane były mury obronne. Hook naliczył ich dwadzieścia cztery. Na wieżach i na murach powiewały chorągwie. Łucznicy byli jeszcze zdecydowanie za daleko, by dostrzec, co przedstawiały, lecz ich wymowa była aż nadto oczywista: w mieście wiedziano, że Anglicy wylądowali nieopodal, dawano im do zrozumienia, że napotkają opór.

– To Harfleur – poinformował łuczników sir John. – Gniazdo przeklętych piratów! Mieszkają tu sami łajdacy, chłopcy! Napadają na angielskie statki, pustoszą nasze wybrzeże, więc teraz my przegonimy ich stąd jak szczury ze spichrza!

Hook miał teraz przed sobą jeszcze piękniejszą panoramę. Widział rzekę, wijącą się wśród pól na północ od Harfleur. Najwyraźniej toczyła ona wody przez sam środek miasta, przepływając przez wielki, sklepiony otwór w murach i wpadając do przystani. Lecz mieszkańcy Harfleur, ostrzeżeni poprzedniego dnia o nadejściu Anglików, musieli zatamować ten otwór, gdyż rzeka wystąpiła z brzegów, tworząc wielkie rozlewisko po północnej i zachodniej stronie miasta. W promieniach porannego słońca Harfleur wyglądało więc jak otoczona murami wyspa.

Nad głowami Anglików zafurkotał nagle bełt z kuszy. Hook dostrzegł odbłask słońca w miejscu, skąd padł strzał. Było to nieco poniżej i w lewo od miejsca, gdzie się właśnie znajdował, co oznaczało, że strzelec musiał być w lesie po północnej stronie gościńca. Bełt spadł gdzieś między drzewami za plecami Nicka.

– Ktoś nas chyba nie lubi – rzekł beztrósco jeden z rycerzy na koniu.

– Czy któryś z was widział, skąd padł strzał? – zapytał szorstkim tonem inny.

Hook i pół tuzina innych łuczników wskazało zgodnie na ten sam zagajnik gęstych drzew i poszycia. Droga schodziła w tym miejscu w dół, po czym biegła płasko na dystansie około stu kroków, aż do skraju kolejnego pagórka, by znów opaść w stronę otoczonego wodami rozlanej rzeki miasta. Kusznik ukrywał się gdzieś na tym szerokim, zalesionym płaskowyzu.

– Nie sądzę, żeby dał nam spokój – zauważył łagodnym tonem sir John Cornewaille.

– Może jest ich tam więcej? – zasugerował ktoś inny.

– Sądzę, że drań jest sam – odrzekł sir John. – Hook! Zechcesz przyprowadzić do mnie tego nieszczęśnika?

Nick pomknął w lewo i wpadł pomiędzy drzewa, po czym skierował się w dół niewielkiego zbocza. Dotarł do szerokiego płaskowyzu, gdzie posuwał się naprzód nieco wolniej, starając się stąpać tak, by nie robić hałasu. Tymczasem założył cięciwę na łączysko. W leśnej gęstwinie łuk był mało przydatną bronią, ale Hook i tak nie chciał natknąć się na francuskiego kusznika, nie mając strzały na cięciwie.

Las składał się z dębów, jesionów i klonów. Poszycie tworzyły krzaki głogu i jałowca, a wysoko na dębach rosła jemiola, na co Hook od razu zwrócił uwagę, gdyż w Anglii zdarzało się to bardzo rzadko. Jego babka bardzo sobie ceniła jemiolę rosnącą na dębie i używała jej do wyrobu dziesiątków swych leczniczych mikstur, jakie sporządzała dla mieszkańców wioski, a nawet dla samego lorda Slaytona, gdy trawiła go gorączka. Stosowała ją jednak przede wszystkim w leczeniu bezpłodności u kobiet. Ucierała wówczas leśne jagody wraz z korzeniem mandragory i zwilżała wszystko uryną kobiety, która powiła już zdrowe dziecko. Była wówczas w wiosce niezwykle płodna kobieta, nazwiskiem Mary Carter, matka piętnaściorga dorodnych bobasów, i babka często wysyłała Hooka z garnkiem po jej mocz. Raz nawet oberwało mu się za to, że wrócił z pustymi rękoma, gdyż starucha nie chciała uwierzyć, że Mary Carter nie było akurat w domu. Następnym razem Nick sam nasikał więc do garnka, a babka w ogóle nie zauważyła różnicy.

Hook myślał właśnie o tym wszystkim i zastanawiał się, czy Melisanda zajdzie w ciążę, kiedy nagle usłyszał krótki świst wystrzeliwanego z kuszy bełtu. Strzelec musiał być bardzo blisko. Padł na ziemię, podczołgał się kilka metrów i wreszcie ujrzał kusznika. Był to mały chłopiec, dwunasto-, może trzynastoletni, który teraz postękiwał z cicha, obracając mozolnie kołowrót, aby ponownie napiąć swą broń. Na przedzie łoża kuszy znajdowało się strzemie, w które młodzian włożył stopę, a na jego końcu było gniazdo, w którym umieścił dwie korbki, służące do naciągania cięciwy. Jednak niełatwo było je obracać i na twarzy chłopca pojawił się grymas wysiłku, gdy gruba cięciwa cał po calu pięła się w górę łoża kuszy. Był tak dalece pochłonięty tą czynnością, że zauważył Hooka dopiero wtedy, gdy łucznik uniósł go do góry, chwytając za fałdy płaszcza na karku. Wówczas zaczął okładać go pięściami, po czym zawył z bólu, gdy Hook lekko pacnął go w głowę.

– Bogacz z ciebie, co? – rzekł Nick. Płaszcz chłopca, którego kołnierz Hook miał właśnie w rękę, uszyty był z delikatnej, wełnianej tkaniny. Poza tym dzieciak miał na sobie drogie spodnie i buty, a jego kusza, którą Nick złapał prawą ręką, wyglądała tak, jakby została zrobiona specjalnie dla niego, gdyż była znacznie mniejsza niż normalnie. Wykonane z orzechowego drewna łożo inkrustowane było płaskorzeźbami ze srebra i kości słoniowej, przedstawiającymi scenę polowania na jelenia. – Pewnie cię powieszają, mały – rzekł wesoło Hook i wyszedł na drogę, trzymając chłopca pod pachą lewej ręki, a w prawej dzierżąc swój łuk i cenną kuszę. Wspiął się z powrotem na wzgórze, na którego szczycie stał szereg uśmiechniętych od ucha do ucha łuczników, podczas gdy konni rycerze blokowali gościniec. – Oto nasz przeciwnik, sir Johnie! – zawołał radośnie Hook, stawiając chłopca na ziemi obok wierzchowca Cornewaille'a.

– Bardzo odważny przeciwnik – stwierdził z uznaniem jeden z jeźdźców, a Nick, podniósłszy wzrok, rozpoznał w nim króla. Henryk był w płytowej zbroi, a na jego opończy widniał królewski herb. Na głowie miał hełm ze złotym diademem, lecz przyłbicę miał uniesioną i widać było jego twarz o długim nosie i z głęboką, ciemną blizną na policzku. Hook padł na kolana, pociągając za sobą



chłopca.

– *Votre nom?* – spytał władcym tonem król. Malec nie odpowiedział i tylko spoglądał groźnie na Henryka. Nick raz jeszcze pacnął go w głowę.

– Filip – rzekł ponurym tonem dzieciak.

– Filip? – spytał Henryk. – A dalej?

– Filip de Rouelles – odrzekł chłopiec z dumą w głosie.

– Wygląda na to, że panicz Filip jest jedynym mężczyzną w całej Francji, który ma odwagę stawić nam czoła! – rzekł król na tyle głośno, aby usłyszeli go wszyscy obecni na wzgórzu. – Odważnie posyła w naszą stronę dwa bełty z kuszy! Właśnie próbowałeś zabić swojego króla, chłopcze – ciągnął dalej Henryk, przechodząc znów na francuski – gdyż ja jestem prawowitym władcą tego kraju. Jestem królem Normandii, Akwitanii, Pikardii i całej Francji. Jestem więc twoim królem – rzekł, po czym zwinnie przerzucił prawą nogę przez siodło i zeskoczył na trawę. Natychmiast przybiegł jeden z giermków, aby chwycić wodze królewskiego rumaka, podczas gdy Henryk postąpił dwa kroki naprzód i stanął nad klęczącym Filipem de Rouelles. – Próbowałeś zabić swojego króla – powtórzył, dobywając miecza. Ostrze zaświstało, gdy wyjmował je z pochwy. – A co się robi z chłopcem, który usiłuje zabić króla? – spytał głośno Henryk.

– Skraca się go o głowę, najjaśniejszy panie! – ryknął jeden z konnych.

Ostrze królewskiego miecza uniosło się w górę. Filip cały się trząsł, a w oczach błyszczały mu łzy, lecz jego twarz wciąż miała ten sam uparty i wyniosły wyraz. Skulił się tylko, gdy błyszcząca klinga opadła ze świstem.

Zatrzymała się jednak zaledwie o cal od jego ramienia. Henryk uśmiechnął się. Lekko uderzył ostrzem w lewe ramię chłopca, a potem w prawe.

– Jesteś dzielnym poddanym – rzekł łagodnie. – Powstań, sir Filipie – rzekł. Rycerze wybuchnęli śmiechem, gdy Hook postawił na nogi oniemiałego ze zdumienia chłopca.

Henryk miał na szyi złoty łańcuch, na którym dyndał pokaźnych rozmiarów wisior z kości słoniowej, ozdobiony motywem antylopy z gagatu. Antylopa była bowiem kolejnym prywatnym herbem monarchy. Hook nie znał jednak tego zwierzęcia ani też nie wiedział, że należy ono do insygniów króla. Teraz Henryk zdjął łańcuch i zawiesił go na szyi Filipa.

– To na pamiątkę dnia, w którym powinieneś być zginąć, chłopcze – rzekł przy tym. Filip nie powiedział ani słowa i tylko spoglądał to na ów hojny dar, to znowu na człowieka, który mu go wręczył. – Czy pan de Rouelles to twój ojciec?

– Tak, panie – odparł niemal szeptem młodzian.

– Powiedz zatem swemu ojcu, że przybył jego prawowity władca, który jest miłosierny. A teraz odejdz, sir Filipie – zakończył, po czym wetknął miecz z powrotem do jego czarnej pochwy. Chłopiec zerknął na kuszę, którą Nick wciąż trzymał w ręce. – Co to, to nie – rzekł król. – Zatrzymamy sobie twoją broń. Niechaj twój ojciec wymierzy ci stosowną karę za jej utratę. Puść go – rozkazał Hookowi król. Wydawał się nie rozpoznawać łuczника, z którym rozmawiał na londyńskim zamku.

Henryk patrzył przez chwilę, jak chłopiec zbiega ze wzgórza, po czym ponownie wspiał się na siodło.

– Francuzi posyłają podrostka, żeby za nich nadstawiał karku! – rzekł cierpkim tonem.

– Lecz kiedy on dorośnie, najjaśniejszy panie – stwierdził z nie mniejszą goryczą sir John – będziemy zmuszeni go zabić.

– Ten chłopiec jest naszym poddanym! – oznajmił donośnym głosem król. – A to jest nasza ziemia! Ci ludzie należą do nas! – zawołał, po czym przez dłuższą chwilę spoglądał na Harfleur. W świetle prawa Harfleur mogło należeć do niego, lecz ukryci za jego murami mieszkańcy byli innego zdania. Bramy zamknięto, mury obwieszono wojennymi chorągwiami, a podejścia do miasta zalano. Wszystko wskazywało na to, że Harfleur ma zamiar się bronić.

– Wysadźmy armię na ląd – rzekł wreszcie Henryk.

I tak rozpoczęły się zmagania o Francję.

Armia zaczęła schodzić na ląd w czwartek, piętnastego sierpnia, w dzień świętego Alipiego, lecz dopiero w sobotę, w uroczystość świętego Agapetusa, zdołano wysadzić na usianą wielkimi głazami plażę ostatniego człowieka, konia, działo i pakunek z zapasami. Konie stąpały niepewnie, kiedy spławiono je na brzeg. Rżały i wyrywały się przerażone, połyskując przy tym białkami oczu, dopóki nie uspokoili ich parobkowie stajenni. Łucznicy wykarczowali nieco szerszą drogę, która wiodła teraz z plaży do klasztoru, gdzie stanął kwatery król. Henryk spędzał całe godziny na plaży, popędzając i zachęcając wszystkich do wysiłku. Czasami udawał się też na szczyt pagórka, gdzie Filip de Rouelles usiłował go zabić i spoglądał stamtąd na wschód, w kierunku Harfleur. Szczytu wzgórza pilnowali ludzie sir Johna Cornewaille'a, ale nie pojawił się tam żaden Francuz, by zepchnąć Anglików z powrotem do morza. Od czasu do czasu z bram miasta wyjeżdżali co prawda jacyś jeźdźcy, ale trzymali się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem angielskich łuków, spoglądając jedynie na nieprzyjaciół na szczycie pagórka.

Spiętrzona rzeka rozlewała się szeroko wokół Harfleur. Niektóre z domów zbudowanych poza murami zostały kompletnie zalane, tak że z wody wystawały jedynie ich kalenice, lecz w wielkiej niecce, w której leżało miasto, pozostały jeszcze dwa podejścia do jego murów. Najbliższy pas suchego lądu wiódł do jednej z trzech miejskich bram i ze swego punktu obserwacyjnego wysoko na wzgórzu Hook widział, jak nieprzyjaciel kończy prace przy budowie strzegącej bramy potężnego bastionu. Przypominał on niewielki zamek wzniesiony w poprzek prowadzącej do miasta drogi, tak że chcąc przypuścić szturm na bramę, trzeba było najpierw zająć tę nową, solidną fortyfikację.

W piątek po południu, w dzień świętego Hiacynta, Hook wraz z tuzinem ludzi posłany został na plażę, by przyprowadzić ostatnie konie sir Johna, które spławiano właśnie na brzeg z pokładu *Lady of Falmouth*. Zwierzęta grzęzły i potykały się na nadmorskim żwirze i łucznicy przeciągnęli liny przez ich uzdy, aby nie rozbiegały się po plaży. Melisanda poszła wraz z Hookiem i gładziła teraz nozdrza Dolinki, swej małej, srokatej klaczy, będącej podarunkiem od małżonki sir Johna. Szeptala przy tym do zwierzęcia, usiłując je uspokoić.

– Ona nie rozumie po francusku, Melisando! – rzekł Mat Scarlet. – To porządna, angielska klacz!

– Ale właśnie uczy się francuskiego – odcięła się Melisanda.

– Toż to język samego diabła! – rzekł William z Doliny, naśladując głos sir Johna i pozostali łucznicy się roześmiali. Mat Scarlet, jeden z bliźniaków, wiódł właśnie na brzeg Lucyfera, wielkiego bojowego rumaka sir Johna, kiedy wierzchovec mu się wyrwał. Jeden z parobków Cornewaille'a natychmiast przybiegł łucznikowi z pomocą. Hook prowadził na linie osiem koni i skierował się w stronę Melisandy, zamierzając doczepić także i Dolinkę. Zawołał dziewczynę po imieniu, ale Melisanda spoglądała gdzieś w górę plaży ze zmarszczonym czołem i Nick spojrział w tym samym kierunku, aby przekonać się, co też przykuło jej uwagę.

Na kamienistej plaży klęczała grupa zbrojnych, a przed nimi modlił się ksiądz i Hook przez chwilę sądził, że właśnie ta scena zwróciła jej uwagę, lecz nagle, tuż za jednym z wielkich głazów, dostrzegł drugiego kapłana. Był to sir Martin, a obok niego stali bracia Perrillowie, i wszyscy trzej spoglądali na Melisandę. Hook miał wrażenie, jedynie wrażenie, że wykonywali w jej kierunku jakieś obsceniczne gesty.

– Melisando! – zawołał i dziewczyna odwróciła się do niego.

Sir Martin uśmiechnął się szeroko. Spojrzał teraz na Hooka i powoli unióśł prawą dłoń, po czym zacisnął palce, tak że w górę sterczał jedynie środkowy, a następnie, równie wolno, nasunął na wystający palec zaciśniętą pięść lewej ręki i złożonymi w ten sposób dłońmi nakreślił w powietrzu znak krzyża w kierunku Hooka i Melisandy.

– Łajdak! – rzekł cicho Nick.

– Kto to jest? – spytała dziewczyna.

– Moi wrogowie – odrzekł Hook. Bracia Perrillowie właśnie głośno się śmiali.

Tom i Mat Scarlet podeszli do Nicka i dziewczyny i stanęli obok.

– Znasz ich? – spytał Tom.

– Znam.

Sir Martin raz jeszcze nakreślił w powietrzu znak krzyża, po czym odwrócił się, gdyż widocznie ktoś go zawołał.

– On jest księdzem? – spytał z niedowierzaniem Tom Scarlet.

– Księdzem – odrzekł Hook – a także lubieżnikiem, i to w dodatku szlachetnie urodzonym. Ale ukąsiła go piekielna bestia i potrafi być niebezpieczny.

– I ty go znasz?

– Owszem, znam go – odrzekł Nick, po czym dodał z prośbą w głosie, zwracając się do bliźniaków: – Miejcie obaj oko na Melisandę.

– Cały czas jej pilnujemy – odrzekł Mat Scarlet. – Przecież wiesz o tym.

– Czego chciał ten ksiądz? – spytała dziewczyna.

– Ciebie – odparł Hook i jeszcze tej nocy podarował jej małą kuszę, wraz z całym kołczanem bełtów. – Naucz się strzelać z tego cacka – przykazał.

Następnego dnia, w uroczystość świętego Agapetusa, wciągnięto z plaży na wzgórze osiem potężnych dział. Aby wywlec na górę jedno z nich, zwane *Królewską Córką*, trzeba było złączyć ze sobą dwa wozy, na których można było wreszcie umieścić jego masywną, pękatą lufę, dłuższą niż trzy łączyska. W wielkim, rozdziawionym pysku armaty bez trudu zmieściłaby się beczka piwa. Pozostałe działa były mniejsze, ale i tak do każdego z nich potrzebowano zaprzęgu z ponad dwudziestu koni, żeby wywlec je na szczyt wzgórza.

Na północ wysłano konne patrole, by zdobyć żywność i rekwirować chłopskie wozy drabiniaste do transportu zapasów, namiotów, strzał i pni ściętych właśnie dębów, które miały zostać odpowiednio przycięte i wyprofilowane, aby dało się zrobić z nich katapulty. Machiny te miały bowiem zrzucać na miasto potężne pociski, dołączając do armat, zasypujących je ociosanymi głazami, które również trzeba było wywieźć na wzgórze za pomocą kolejnych furmanek. Wreszcie jednak cała armia, wraz ze wszystkimi końmi i całym zapasami, znalazła się na brzegu i w promieniach jasnego, popołudniowego słońca załadowane po brzegi i nieruchawe wozy stanęły w szeregu na gościńcu obok klasztoru. Po obu stronach drogi, pod powiewającymi na wietrze

sztandarami, ustawiła się cała angielska armia. W promieniach popołudniowego słońca stało dziewięć tysięcy łuczników i trzy tysiące zbrojnych, a wszyscy konno. Obok zgromadzili się paziowie, giermkowie, kobiety, służba i kapelani oraz parobkowie, trzymający liczne luźne wierzchowce. Jaskrawe chorągwie łopotały na wietrze, gdy król, na śnieżnobiałym wałachu, przejechał przed frontem swych żołnierzy, z których każdy miał na sobie krzyż świętego Jerzego. Promienie słońca odbijały się od diademu, wieńczącego hełm Henryka. Król zatrzymał się na skraju wzgórza, górującego nad miastem, i spoglądał przez kilka minut na Harfleur, po czym skinął na sir Johna Hollanda, któremu przypadł w udziale zaszczyt dowodzenia awangardą.

– Z Bogiem, sir Johnie! – zawołał król. – Na Harfleur!

Zabrzmiały trąby, dobosze uderzyli w bębny i potok angielskich jeźdźców zaczął spływać w dół pagórka. Wszyscy nosili na opończach krzyż świętego Jerzego, a ponad ich hełmami powiewały sztandary ich panów, połyskujące złotem, czerwienią, błękitem, zielenią i żółcią. Komuś spoglądającemu na to z murów Harfleur musiało się wydawać, że ze wzgórz spływa w stronę miasta opancerzony strumień lawy.

– Ilu ludzi tutaj mieszka? – spytała Hooka Melisanda. Dziewczyna jechała u jego boku, a u jej siodła wisiała inkrustowana kością słoniową i srebrem kusza, którą podarował jej Nick.

– Sir John sądzi, że w mieście będzie może ze stu żołnierzy – odparł Hook.

– I to wszystko?

– Ale są jeszcze mieszczanie – wyjaśnił Hook – których pewnie jest ze dwa tysiące, a może nawet trzy!

– Ale waszych jest tak wielu! – rzekła Melisanda i obróciła się w siodle, aby spojrzeć na długie szeregi jeźdźców, sunące po obu stronach gościńca. Konni dobosze walili w bębny, ostrzegając mieszkańców Harfleur, że oto nadciąga ich prawowity monarcha, z zagniewanym obliczem.

Lecz Henryk, król Anglii, nie był jedynym człowiekiem, który właśnie zbliżał się do jego murów. W tej samej chwili, kiedy Anglicy zaczęli zjeżdżać ze wzgórza w kierunku pasma suchego gruntu na zachód od Harfleur, jakaś inna kawalkada jeźdźców zmierzała do miasta od wschodu. Znajdowała się w dość dużej odległości, lecz wyraźnie widać było kolumnę zbrojnych i wozów, długi szereg posiłków dla francuskiej załogi.

– A to wielka szkoda – stwierdził sir John Cornewaille, przypatrując się z daleka długiej kolumnie.

– Wiozą też działa! – zauważył Peter Goddington.

– Jak już mówiłem, to doprawdy wielka szkoda! – rzekł zaskakująco łagodnym tonem sir John, po czym spiął Lucyfera ostrogami i ruszył na czoło kolumny, a inni lordowie, także pragnąc zyskać

sławę pierwszego, który stanie pod murami krnąbrnego miasta, popędzili w ślad za nim. Hook patrzył, jak pogalopowali w dół zbocza, zapuszczając się aż na płaski teren nieopodal miasta, gdy wtem ujrzał wielki pióropusz czarnego dymu, który wzniósł się z murów obronnych Harfleur. Kilka sekund później letnie niebo rozdarł potężny ryk działa, głuchy łoskot, który zdawał się rozbrzmiewać echem w niecce okalających przystań wzgórz. Pocisk armatni spadł na łąkę, którą galopowali jeźdźcy, po czym podskoczył w górę, wzbijając fontannę ziemi, a potem, nie robiąc nikomu krzywdy, wpadł między rosnące nieco dalej drzewa.

I tak rozpoczęło się oblężenie Harfleur.

W ciągu kilku pierwszych dni oblężenia Hookowi wydawało się, że ani na chwilę nie odkładał łopaty. Zaczęło się od dołów na nieczystości.

– Nasza mamusia wpadła raz do szamba – rzekł Tom Scarlet. – Była pijana i wleciały jej tam jakieś paciorki, a ona próbowała je wyłowić grabiami.

– To były ładne paciorki – wtrącił Mat Scarlet – ze starego srebra, prawda, Tom?

– To były monety – poprawił go bliźniak – które nasz tata znalazł w garncu zakopanym w ziemi. Przewiercił je na wylot i zawiesił na kawałku cięciwy...

– ...która się urwała – dokończył Mat.

– Więc mamusia próbowała wyłowić je grabiami – podjął swą opowieść Tom – i wpadła prosto do szamba, głową na dół!

– Ale swoje paciorki odzyskała – dodał Mat.

– I wytrzeźwiała w okamgnieniu – kontynuował Tom Scarlet – tylko nie mogła się przestać śmiać. Ojciec zabrał ją nad staw dla kaczek i wrzucił ją do wody. Kazał jej się rozebrać do naga, a wtedy wszystkie kaczki pouciekały z wrzaskiem. Nic dziwnego, co? Goła baba pluska się w stawie i zanosz od śmiechu! Zresztą ze śmiechu pękała cała wieś!

Pierwszym rozkazem, jaki wydał król, było spalenie domów stojących za murami miasta, żeby nic już nie stało pomiędzy jego działami a francuskimi umocnieniami. Zadanie to wykonano nocą. Płomienie buchnęły w górę w ciemnościach, oświetlając buńczuczne sztandary na białych murach Harfleur. Przez cały następny dzień dym z tłących się wciąż zabudowań unosił się nad zalaną wodą niecką pomiędzy wzgórzami, w której mieściła się przystań, przypominając Hookowi mroczny całun, jaki spowijał Soissons.

– Księdzu się to oczywiście nie spodobało – kontynuował Mat Scarlet opowieść swego brata – ale nasz proboszcz zawsze był skończonym dupkiem. Oskarżył naszą matkę przed dworskim sądem o zakłócanie spokoju publicznego! Ale jego lordowska mość dał jej trzy szylingi na nowe ubranie i z uciechy pocałował ją w policzek. Powiedział, że może sobie pływać w jego łajnie, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota.

– A przyszła? – spytał Peter Scoyle. Scoyle stanowił prawdziwą osobliwość jako łucznik urodzony i wychowany w Londynie. Był czeladnikiem u gręplarza i został skazany za wywołanie burdy, która zakończyła się morderstwem, ale ułaskawiono go, pod warunkiem że będzie służył w królewskiej armii.

– Nie, nigdy – odrzekł Tom Scarlet. – Potem już zawsze powtarzała, że jedna kąpiel w gównie wystarczy na całe życie.

– Jedna kąpiel w ogóle wystarczy na całe życie! – wtrącił ojciec Krzysztof, który najwyraźniej słyszał opowieść bliźniaków. – Wystrzegajcie się czystości, chłopcy! Sam święty Hieronim uczy nas, że czystość ciała oznacza nieczystość duszy, a cnotliwa święta Agnieszka szczyciła się tym, że nigdy w życiu nawet się nie umyła!

– Melisanda tego nie pochwali – rzekł Hook. – Lubi być czysta.

– Ostrzeż ją zatem! – rzekł poważnym tonem ojciec Krzysztof. – Wszyscy medycy są zgodni co do tego, że mycie rozredza skórę, a wtedy choroby mają ułatwiony dostęp do organizmu!

Potem, kiedy kloaczne doły były już gotowe, Nick wraz z setką innych łuczników ruszył na północ, w górę rzeki Lezarde, i znów zaczął kopać, tym razem wznosząc wielką tamę w rzecznej dolinie. Anglicy rozebrali tuzin ryglowych domów w pobliskiej wiosce i uzyskanymi w ten sposób drewnianymi balami wzmocnili potężny ziemny nasyp, który zatrzymał bieg rzeki. Lezarde należała do niewielkich rzek, a lato było jak dotąd suche, ale i tak dopiero po czterech dniach ciężkiej pracy udało się usypać dostatecznie wysoką tamę, aby dało się skierować większość jej wód na zachód. Zanim Hook i jego towarzysze wrócili pod mury Harfleur, okalająca je woda częściowo już opadła, choć ziemia wciąż była nasiąknięta i grząska, a sama rzeka nadal wylewała z brzegów, tworząc rozległe jezioro na północ od miasta.

Potem należało wykopać stanowiska dla dział. Dwie armaty, z których jedną zwano *Londyńczykiem*, gdyż ufundowali ją mieszkańcy stolicy, były już na swoich miejscach, a ich pociski wgryzały się w wielki bastion, jaki wzniesli obrońcy przed zachodnią bramą, z której droga wiodła

do miejscowości Leure. Książę Clarence, brat króla, obszedł miasto szerokim łukiem, a teraz jego wojska, stanowiące trzecią część angielskiej armii, atakowały Harfleur od wschodu. Oddziały te również miały swoje działa, które szczęśliwym trafem przechwycono wraz z konwojem z zaopatrzeniem, zmierzającym do miasta. Holenderscy kanonierzy, wynajęci, by bronić miasta przed napastnikami, bez oporów przyjęli teraz pieniądze od Anglików i skierowali swe działa przeciwko jego obrońcom. Harfleur było więc otoczone. Do miasta nie mogły już dotrzeć żadne posiłki, chyba że przebiłyby się najpierw przez pierścień angielskich wojsk lub przerwały morską blokadę, prowadzoną przez królewskie okręty wojenne, które strzegły wejścia do portu.

W dniu kiedy ukończono stanowiska dla dział, Hook wraz z czterdziestoma łucznikami wspiął się na wzgórze wznoszące się na zachód od angielskiego obozowiska, maszerując z powrotem drogą, którą armia Henryka podążała wcześniej pod mury Harfleur. Szczyt najbliższego pagórka porastał szereg potężnych dębów; łucznikom kazano je ściąć i poodcinać proste konary, które mieli później przyciąć na długość łączyska i załadować na wozy. Dzień był upalny. Pół tuzina ludzi pozostało na gościńcu z wielkimi, dwuosobowymi piłami, podczas gdy reszta rozproszyła się na wzgórzu. Peter Goddington oznakował drzewa, które miały być ścięte, i wyznaczył do każdego po parze łuczników. Hook i William z Doliny pracowali niemal najdalej na południe i tylko bracia Scarletowie znajdowali się jeszcze bliżej morza. Melisanda była z Nickiem. Dłonie miała zniszczone od nieustannego prania odzieży, a w obozie czekały na nią następne ubrania, które trzeba było wygotować i wyczyścić, ale rządca sir Johna pozwolił jej towarzyszyć Hookowi. Dziewczyna cały czas miała teraz przewieszoną przez plecy małą kuszę, bez której nigdy nie oddalała się samotnie od drużyny Cornewaille'a.

– Zastrzelę tego księdza, jeśli spróbuje mnie tknąć – powiedziała Hookowi. – I jego przyjaciół też zabiję.

Nick skinął głową, ale nie powiedział ani słowa. Może udałoby jej się trafić jednego z nich – pomyślał – ale przeładowywanie broni trwało tak długo, że nie miałyby szans obronić się przed więcej niż jednym napastnikiem.

Ściana drzew wyciszała rozlegający się od czasu do czasu huk dział i tłumiała trzask pocisków armatnich, bijących w mury Harfleur. Słyszeć było za to głośny stukot siekier.

– Czemu tak bardzo oddaliliśmy się od obozu? – spytała Melisanda.

– Ponieważ ścięliśmy już wszystkie wielkie drzewa, które rosły bliżej – odparł Hook. Był rozebrany do pasa i siłą swych potężnych mięśni zatapiał siekierę głęboko w pniu dębu. Wokół furkotały tylko drzazgi.

– I wcale nie jesteśmy tak daleko od obozowiska – dodał William z Doliny. Stał z boku i przyglądał się tylko, jak Hook macha siekierą, ale Nickowi to nie przeszkadzało. Był przyzwyczajony do tej roboty.

Melisanda naciągnęła kuszę. Przychodziło jej to z trudem, ale nie chciała, żeby Hook lub Will



pomógł jej kręcić dwuręczną korbką. Spociała się, nim zapadka zaskoczyła, przytrzymując cięciwę w pełnym napięciu. Umieściła bełt w rowku łoża, po czym wycelowwała w drzewo stojące nie więcej niż dziesięć kroków od niej. Zmarszczyła czoło, przygryzła dolną wargę i nacisnęła spust, po czym śledziła wzrokiem bełt, który minął cel prawie o metr i znikł nieco dalej w leśnym poszyciu.

- Nie śmieście się ze mnie – rzuciła, zanim jeszcze któryś z mężczyzn zdążył zareagować.
- Wcale się nie śmieję – rzekł Hook, uśmiechając się szeroko do Willa.
- Gdzieżbym śmiał – dodał Will.
- W końcu się nauczę – stwierdziła Melisanda.
- Nauka będzie ci szła lepiej, jeśli nie będziesz przy tym zamykać oczu – stwierdził Hook.
- Ale to takie trudne! – odparła dziewczyna.

– Wyceluj w drzewo, patrząc wzdłuż drzewca strzały – doradził jej Will – mocno trzymaj kuszę i zwolnij spust powoli i delikatnie. I niech cię Bóg błogosławi, gdy będziesz strzelać – dodał, wymawiając ostatnie zdanie szelmowskim tonem ojca Krzysztofa.

Melisanda skinęła głową, po czym raz jeszcze naciągnęła kuszę. Długo trwało, nim zapadka wskoczyła na swoje miejsce, lecz potem zamiast strzelać, dziewczyna położyła broń na trawie i przyglądała się pracującemu wciąż Hookowi, nie mogąc się nadziwić, jak to możliwe, że ścięcie wielkiego dębu wydaje się dla niego dziecinną igraszką, podobnie zresztą jak strzelanie z długiego łuku.

– Zobaczę, czy nie trzeba pomóc bliźniakom – rzekł Will. – Bo ty nie potrzebujesz chyba pomocy, co, Nick?

– Nie potrzebuję – przytaknął Hook – więc idź im pomóc. To w końcu synowie folusznika, a to znaczy, że w całym swoim życiu nie przepracowali porządnie ani jednego dnia.

Will zabrał swoją siekierę, kołczan i schowany w pokrowcu łuk i zniknął między drzewami po południowej stronie wzgórza. Melisanda spoglądała za nim, po czym spojrzała na naciągniętą wciąż kuszę takim wzrokiem, jakby po raz pierwszy w życiu widziała ją na oczy.

– Ojciec Krzysztof ze mną rozmawiał – rzekła półgłosem.

– Naprawdę? – spytał Hook. Uniósł wzrok i przyjrzał się potężnemu pniowi, po czym znów spojrzał na nacięcie, które już w nim zrobił. – Ten kolos za chwilę padnie – ostrzegł Melisandę. Przeszedł na drugą stronę dębu i wbił siekierę aż po trzonek w jego pień, wyszarpując ostrze. – Więc czego chciał ojciec Krzysztof?

– Pytał, czy zamierzamy się pobrać.

– Pobrać się? My? – spytał Hook. Znow potężnie zamachnął się siekierą, a kiedy oswobadzał ostrze, z pnia wypadł kawałek drewna w kształcie klina. Lada chwila runie – pomyślał. Wyczuwał już wewnątrz potężnego drzewa napięcie, bezgłośnie pęknięcie drewna, które poprzedzało śmierć wielkiego dębu. Odszedł więc nieco dalej, stając obok Melisandy, która siedziała w bezpiecznej odległości od okaleczonego pnia. Zauważył przy tym, że jej kusza jest wciąż naciągnięta i już miał powiedzieć dziewczynie, że w ten sposób pozbawi broń jej mocy, lecz w końcu uznał, że może to nie być takie złe. Jeśli łuk kuszy będzie nieco słabszy, łatwiej będzie Melisandzie naciągać cięciwę.

– Pytał, czy zamierzamy się pobrać? – spytał raz jeszcze.

– Tak.

– I co mu powiedziałaś?

– Powiedziałam, że nie wiem – odrzekła ze wzrokiem utkwionym w ziemi. – Może?

– Może – zawtórował jej Hook i w tej samej chwili pień wielkiego drzewa rozdarł się z trzaskiem i olbrzymi dąb runął, zrazu wolno, lecz potem coraz szybciej, opadając pomiędzy liśćmi i konarami, by wreszcie z łoskotem zwalić się na ziemię pośród wrzasku przerażonego ptactwa. Przez moment w lesie panowała straszliwa wrzawa, lecz już po chwili znowu słychać było tylko miarowy stukot siekier pozostałych łuczników pracujących na wzgórzu.

– Myślę, że to może być dobry pomysł – powiedział Nick.

– Naprawdę?

Hook skinął głową.

– Naprawdę – rzekł.

Dziewczyna przez chwilę spoglądała na niego w milczeniu, po czym wzięła do ręki kuszę.

– Mam celować, patrząc wzdłuż drzewca bełtu – spytała – i mocno trzymać kuszę?

– A potem delikatnie nacisnąć spust – rzekł Nick. – Wstrzymaj oddech, kiedy zwalniasz cięciwę, i nie patrz już na strzałę, tylko w to miejsce, gdzie chcesz trafić.

Melisanda skinęła głową i założyła bełt, celując w to samo drzewo. Była teraz jakieś dwa kroki bliżej celu. Hook przyglądał się temu i dostrzegł skupienie na jej twarzy, i widział też, jak cała aż się kurczy w oczekiwaniu na odrzut broni. Wstrzymała oddech, zamknęła oczy i nacisnęła spust, a bełt przemknął tuż obok pnia i zniknął gdzieś na łagodnym, przeciwległym zboczu. Melisanda spoglądała markotnie w miejsce, gdzie straciła go z oczu.

– Wcale nie masz tych bełtów aż tak dużo – rzekł Hook. – W dodatku te są wyjątkowe.

– Wyjątkowe?

– Mniejsze niż zazwyczaj – wyjaśnił Nick. – Zrobiono je specjalnie do tej kuszy.

– To znaczy, że powinnam znaleźć te dwa, które wystrzeliłam?

Hook uśmiechnął się szeroko.

– Ja zetnę kilka dębowych konarów, a ty idź poszukać tych bełtów.

– Zostało mi jeszcze dziewięć.

– Ale lepiej byłoby mieć jedenaście.

Położyła kuszę na ziemi i zaczęła ostrożnie schodzić ze zbocza, ginąc po chwili w skąpanej w promieniach słońca zieleni leśnego poszycia. Hook, bez wysiłku naciągając cięciwę, napiął to małe cacko w nadziei, że ciągle naprężenie osłabi ramiona kuszy i ułatwi Melisandzie przeładowywanie, a potem na powrót zajął się odcinaniem długich i prostych konarów dębu. Zastanawiał się przy tym, do czego królowi potrzebne będą te proste, drewniane bale wysokości łączyska. W końcu jednak uznał, że to nie jego sprawa. Szybko poradził sobie z drugą, a potem z trzecią gałęzią. Olbrzymi pień również miał potem zostać pocięty na mniejsze kawałki, ale póki co Hook musiał zostawić go na swoim miejscu. Obciął więc jeszcze trochę mniejszych gałęzi i usłyszał, jak gdzieś na szczycie wzgórza runęło z łoskotem kolejne drzewo. Pośród listowia przeleciały hałaśliwie gołębie. Nick pomyślał, że może powinien pomóc Melisandzie szukać tych bełtów, ponieważ nie było jej już stanowczo za długo, ale właśnie wtedy, kiedy przyszło mu to do głowy, dziewczyna przybiegła z powrotem, z szeroko otwartymi oczyma i wyrazem przerażenia na twarzy.

– Tam są jacyś ludzie! – zawołała, wskazując ręką w dół zachodniego zbocza.

– Pewnie, że są – odrzekł Hook i wyprowadzonym jedną ręką ciosem siekiery odciął gałąź grubości ramienia dorosłego mężczyzny. – Pełno tutaj naszych.

– Ale to zbrojni – syknęła Melisanda. – *Chevaliers!*

– Prawdopodobnie też Anglicy – stwierdził Hook. Zbrojni jeźdźcy patrolowali codziennie okolicę, szukając zapasów żywności i wypatrując francuskiej armii, która, jak wszyscy się spodziewali, przybędzie na odsiecz oblężonemu miastu.

– To byli Francuzi! – syknęła znów Melisanda.

Hook szczerze w to wątpił, ale zamachnął się raz jeszcze siekierą, aby wbić ją w pień zwalonego dębu, po czym zeskoczył na ziemię i wziął dziewczynę za ramię.

– W takim razie zobaczymy – rzekł.

Rzeczywiście u podnóża pagórka, w wijącym się przez gęsty las wąwozie, gęsto porośniętym paprociami, byli jeźdźcy. Hook widział może tuzin konnych, jadących gęsiego między drzewami, ale

przeczuwał, że za nimi są inni. Przekonał się również, że Melisanda miała rację. Jeźdźcy nie nosili krzyża świętego Jerzego. Wszyscy mieli na sobie opończe, ale żaden z widniejących na nich herbów nie wyglądał znajomo, a do tego odziani byli w płytowe zbroje i hełmy. Przyłbice mieli uniesione i Nick widział, jak w cieniu stali błyszczą oczy jadącego na przedzie rycerza. Mężczyzna uniósł dłoń, zatrzymując całą kolumnę, po czym spojrzał uważnie w górę zbocza usiłując dociec, skąd dokładnie dochodziły odgłosy siekier, a kiedy tak patrzył, pomiędzy drzew za jego plecami wyłoniło się jeszcze więcej jeźdźców.

– Francuzi – szepnęła Melisanda.

– Rzeczywiście – rzekł cicho Hook. Większość jeźdźców miała dobyte miecze.

– Co zrobisz? – spytała szeptem dziewczyna. – Ukryjesz się?

– Nie – odrzekł Nick, gdyż wiedział już, co musi zrobić. Świadomość ta przyszła instynktownie i ani chwili nie wątpił, że tak właśnie należy postąpić, ani też się nie wahał. Poprowadził Melisandę z powrotem do zwalonego pnia, porwał z ziemi naciągniętą kuszę, po czym zaczął biec wzdłuż krawędzi wzgórza. – Francuzi! – krzyczał przy tym. – Francuzi nadchodzą! Wracać do wozów! Prędko! – powtarzał raz za razem, pędząc wzdłuż szczytu pagórka. – Z powrotem do wozów! – Sam pobiegł najpierw na prawo, oddalając się od zaprzęgów, strzeżonych przez kilku łuczników, i po chwili natknął się na Toma Scarleta i Williama z Doliny, stojących pośrodku lasu i kompletnie zdezorientowanych. – Will! – krzyknął Hook. – Udawaj sir Johna! Krzycz, że Francuzi są tutaj i każ wszystkim wracać do wozów!

Will spojrzał tylko na Nicka z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Udawaj sir Johna! – rzucił szorstko Hook, potrząsając osłupiałym stolarzem. – Nadchodzą ci przekłeci Francuzi! No, dalej! A gdzie Mat? – zapytał Toma Scarleta, który bez słowa wskazał w kierunku południowym.

Will wreszcie posłuchał Nicka. Pędził z powrotem wzdłuż krawędzi wzgórza i naśladował szorstki ton sir Johna, zwoływał łuczników z powrotem na gościniec, gdzie czekały wielkie wozy. Peter Goddington, zdezorientowany tym fortem, zaczął szukać Cornewaille'a, lecz zamiast tego natknął się na Hooka, Melisandę i Toma Scarleta.

– Co się tutaj na Boga dzieje? – spytał gniewnie.

– Francuzi, sierżancie! – krzyknął Nick, wskazując palcem w dół zachodniego zbocza.

– Nie zgrywaj durnia, Hook – odburknął Goddington. – Nie ma tu żadnych przeklętych Francuzów.

– Widziałem ich! – rzekł Nick. – Jeźdźcy. Są cali w zbrojach i mają dobyte miecze.

– To byli nasi, ty głupcze – nie dawał za wygraną Goddington. – Pewnie jakiś oddział

zaopatrzeniowy.

Setnik okazywał taką pewność siebie, że Hook zaczynał już wątpić w to, co widział na własne oczy, a tę jego niepewność wzmagali jeszcze fakt, iż jeźdźcy, choć musieli słyszeć krzyki na szczycie wzgórza, jak dotąd w ogóle nie zareagowali. Spodziewał się, że wrogowie pomkną w górę zbocza i wypadną na nich spośród drzew, ale nikt się nie pojawił. Nadal jednak obstawał przy swoim.

– Było ich może dwudziestu – powiedział Goddingtonowi – w zbrojach i z obcymi godłami na opończach. Melisanda też ich widziała.

Sierżant spojrzał z ukosa na dziewczynę i uznał, że jej zdanie jest bez znaczenia.

– Pójdę zobaczyć – stwierdził w końcu niechętnie. – Gdzie to niby ich widziałeś?

– Między drzewami, u podnóża pagórka – odparł Hook, wskazując w dół zbocza. – Nie jadą drogą. Kryją się w lesie, jakby nie chcieli, żeby ich widziano.

– Lepiej, żeby ci się to nie śniło – burknął jeszcze setnik i ruszył w dół zbocza.

– Gdzie Mat? – Hook raz jeszcze zapytał Toma Scarleta.

– Poszedł popatrzeć sobie na morze – odparł tamten.

– Mat! – wrzasnął na całe gardło Nick, przykładając obie dłonie do ust.

Nie było żadnej odpowiedzi. Ciepły wiatr szeleścił tylko wśród gałęzi, a gdzieś w dole wschodniego stoku hałasowały zięby. Z angielskich okopów doszedł ich odgłos armatniego wystrzału, który niósł się echem w niecce pomiędzy wzgórzami i zakończył głuchym trzaskiem, świadczącym o tym, że pocisk trafił w cel. Hook nie słyszał teraz pobrzękiwania upręży ani stukotu kopyt i zaczynał się już zastanawiać, czy jeźdźcy w wąwozie nie byli wytworem jego wyobraźni. Umilkły również krzyki na szczycie wzgórza, co sugerowało, że zdezorientowani łucznicy musieli już zgromadzić się z powrotem przy wozach.

– Dopóki nie wyruszyliśmy do Francji, nigdy nie widzieliśmy morza – wyjaśnił zaniepokojony Tom Scarlet. – Mat chciał sobie na nie jeszcze raz popatrzeć.

– Mat! – wrzasnął ponownie Hook, lecz znowu nikt mu nie odpowiedział.

Peter Goddington zniknął za krawędzią wzgórza. Nick dał Melisandzie kuszę i wyjął z łubu łuk, założył cięciwę i położył strzałę na łączysku. Podszedł na skraj wąwozu i zajrzał pomiędzy paprocie. Na środku jaru stał samotnie Peter Goddington. Nigdzie nie było widać ani jednego francuskiego jeźdźca i setnik spojrzał w górę i obrzucił Hooka pogardliwym spojrzeniem.

– Nikogo tu nie ma, ty głupcze! – krzyknął i w tej samej chwili Nick dostrzegł dwóch jeźdźców wyłaniających się spomiędzy drzew po prawej stronie.

– Za tobą! – wrzasnął i Goddington zaczął biec w górę zbocza, podczas gdy Hook uniósł łączyisko, napiął cięciwę i wypuścił strzałę w tej samej chwili, kiedy konny znajdujący się najbliżej setnika gwałtownie skręcił w lewo. Strzała z długim, trójgraniastym grotem odbiła się od naramiennika chroniącego bark Francuza. Miecz jeźdźca błysnął w słońcu i Hook, wyciągając z kołczanu następną strzałę, ujrzał, jak nagle pośród zieleni lasu trysnęła fontanna jasnoczerwonej krwi, a głowa Petera Goddingtona natychmiast załała się posoką. Setnik potknął się, a wtedy drugi Francuz, trzymając miecz jak kopię, pchnął setnika w plecy. Goddington padł.

Nick ponownie zwolnił cięciwę. Białopióra strzała pomknęły poprzez smugi słońca i cienia pośród listowia, a grot strzały, dociążony dębową wklejką, przeszył napierśnik drugiego z jeźdźców, odrzucając go do tyłu w jego wysokim siodle. Teraz zaatakowało ich jeszcze więcej konnych, którzy wyłonili się z leśnej gęstwiny i, spinając konie ostrogami, pędzili w górę zbocza. Tom Scarlet zaczął szarpać Hooka za ramię.

– Nick! Nick! – krzyczał.

Nagle cała trójkę ogarnęła panika, ponieważ po ich lewej stronie, pomiędzy nimi a morzem, ukazało się jeszcze więcej jeźdźców i Hook złapał Melisandę za rękaw i pociągnął ją za sobą w tył. Nie dostrzegł wcześniej tego najdalej na południe wysuniętego oddziału, a teraz zdał sobie sprawę, że Francuzi nadeszli przynajmniej w dwóch osobnych kolumnach, z których on widział tylko jedną, i pognął co tchu przed siebie, za plecami słysząc coraz głośniejszy tętent kopyt. Jedną ręką trzymał mocno Melisandę i gnał jak zając ścigany przez myśliwskie psy. Nagle jeden z jeźdźców wyprzedził ich galopem i zawrócił w miejscu swego wierzchowca, wzbijając fontannę ziemi i liści. Hook gwałtownie skręcił w lewo, aby znaleźć schronienie przy pniu wielkiego, spróchniałego dębu. Kryjówka ta okazała się jednak pułapką, gdyż Nick dał się wpędzić w kozi róg, a wokół nich pojawiała się coraz więcej jeźdźców. Jeden z nich zaśmiał się w siodle, gdy jego zbrojni otoczyli Melisandę i dwóch łuczników.

– Mat! – krzyknął Tom i Hook spostrzegł, że drugi z braci Scarletów został już pojmany. Jakiś Francuz w niebiesko-zielonych barwach trzymał go mocno za kołnierz kaftana, wlokąc Anglika przy boku swego wierzchowca.

– Łucznicy! – rzekł złowieszczym tonem jeden z jeźdźców. Słowo to brzmiało tak samo po angielsku i po francusku i wprost nie sposób było nie usłyszeć, z jak wielką przyjemnością wypowiedział je teraz Francuz.

– *Père!* – krzyknęła zdyszana Melisanda. – *Père?*

I wtedy właśnie Hook spostrzegł głowę sokoła na tle słońca. Opończa była nowa i jaskrawa, niemal tak świetlista jak klinga miecza, która skierowała się teraz ku niemu. Ostrze dotarło na odległość dłoni od jego gardła, po czym nagle zastygło w bezruchu. Jeździec, siedzący z wyprostowanymi nogami w siodle na grzbiecie swego bojowego rumaka, spojrzał uważnie na Nicka. Przez łęk siodła przewieszoną miał zabitą niedawno sarnę, której krew poplamiała folgowy trzewik osłaniający stopę rycerza, którym był Ghillebert, Seigneur de Lanferelle, czyli Pan Piekieł we

własnej osobie.

Był to wielki pan w całej okazałości, dosiadający wspaniałego ogiera i zakuty w płytową zbroję, która świeciła jak słońce. On jeden spośród wszystkich konnych miał odsłoniętą głowę, więc jego długie, czarne włosy opadały swobodnie niemal do pasa. Jego opalona na brąz twarz przypominała wypolerowany metal o ostrych krawędziach, z jastrzębim nosem i głęboko osadzonymi oczyma, w których pojawił się wyraz rozbawienia, gdy spojrzał najpierw na Hooka, którego unieruchomiło ostrze jego miecza, a potem na Melisandę, która uniosła groźnie napiętą kuszę. Jeśli nawet Lanferelle był zaskoczony, że napotkał swoją córkę wysoko w normandzkim lesie, w ogóle nie dał tego po sobie poznać. Obdarzył ją przelotnym, wymuszonym uśmiechem, a potem rzekł coś po francusku i dziewczyna sięgnęła do torby i wyjęła z niej bełt, który umieściła w rowku łoża kuszy. Ghillebert, pan de Lanferelle, z łatwością mógłby ją powstrzymać, lecz on tylko zaśmiał się znowu, gdy dziewczyna ponownie uniosła naładowaną już broń, celując mu prosto w twarz. Powiedział coś, zdecydowanie za szybko, by Hook mógł go zrozumieć, a Melisanda odpowiedziała równie gwałtownie, lecz żarliwie.

Gdzieś daleko za plecami Hooka, zapewne tam, gdzie droga zaczynała opadać w stronę angielskiego obozu, rozległ się krzyk. Pan de Lanferelle skinął na swych ludzi, wydał jakiś rozkaz i jeźdźcy ruszyli w tamtym kierunku. Połowa konnych, których było osiemnastu, nosiła herb ze słońcem i jastrzębim, a reszta miała takie same niebiesko-zielone opończe jak człowiek trzymający Mata Scarleta. Ten właśnie jeździec, wraz z giermkim w barwach Lanferelle'a, został teraz z Panem Piekieł.

– Trzech angielskich łuczników! – przemówił nagle po angielsku ojciec Melisandy, a Hook przypomniał sobie, że Francuz nauczył się tego języka, gdy jako jeniec Anglików czekał na zapłacenie okupu. – Trzech przeklętych łuczników, a ja płacę moim ludziom złotem za to, że przynoszą mi palce takich jak wy – rzekł Lanferelle i nagle uśmiechnął się szeroko, ukazując śnieżnobiałe zęby, odcinające się wyraźnie od jego spalonej słońcem twarzy. – W całej Normandii i Pikardii spotkać można chłopów z obciętymi palcami, gdyż moi ludzie oszukują – dodał. Wydawał się być z tego dumny, gdyż nagle ryknął śmiechem. – Wiesz, że to moja córka? – spytał po chwili.

– Wiem – odparł Hook.

– Najładniejsza ze wszystkich! O ile wiem, mam ich dziewięć, ale tylko jedną z moją żoną. Ale tę jedną – spojrzał na Melisandę, która nadal mierzyła doń z kuszy – właśnie tę jedną chciałem chronić przed całym światem.

– Wiem – rzekł znowu Nick.

– Miała się modlić za moją duszę – stwierdził Lanferelle – ale wygląda na to, że muszę spłodzić więcej córek, jeśli moja dusza ma dostąpić zbawienia.

Melisanda rzuciła pośpiesznie kilka słów, które sprawiły jedynie, że Lanferelle uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Umieściłem cię w klasztorze – rzekł, nadal mówiąc po angielsku – ponieważ byłaś zbyt piękna, żeby chędożył cię jakiś spocony wieśniak, i miałaś zbyt niskie pochodzenie, żeby wydać cię za szlachcica. Lecz teraz, jak się zdaje, sama sobie znalazłaś jakiegoś wieśniaka – rzekł, spoglądając szyderczo na Hooka – i wianek pewnie został już zerwany, co? Ale tak czy inaczej – dodał – jesteś wciąż moją własnością.

– Ona jest teraz moja! – rzekł Nick, lecz Francuz go zignorował.

– Cóż zatem powinienem teraz zrobić? Zabrać cię z powrotem do klasztoru? – zapytał Lanferelle, po czym uśmiechnął się promiennie, kiedy Melisanda uniosła kuszę o cal wyżej. – I tak nie strzelisz – stwierdził.

– Ale ja to zrobię! – krzyknął Hook, lecz była to jedynie czcza pogroźka, gdyż nawet nie miał strzały na cięciwie i dobrze wiedział, że nie będzie miał czasu, aby sięgnąć do kołczanu.

– U kogo służysz? – spytał go Lanferelle.

– U sir Johna Cornewaille'a – odparł z dumą Nick.

Lanferelle wyglądał na zadowolonego.

– U sir Johna! Och, to ci dopiero wojownik! Jego matka musiała się przespać z Francuzem! Sir John! Lubię go – rzekł z uśmiechem. – Ale co z Melisandą? Co z moją małą nowicjuską?

– Nie znosiłam klasztoru! – rzuciła mu prosto w oczy dziewczyna, tym razem po angielsku.

Lanferelle zmarszczył brwi, jakby ten jej nagły wybuch nieco zbił go z tropu.

– Ale byłaś tam bezpieczna – powiedział. – Ty i twoja dusza.

– Bezpieczna?! – prychnęła Melisanda. – Bezpieczna, w Soissons? Wszystkie zakonnice zgwałcono lub zamordowano!

– Ciebie też zgwałcili? – spytał groźnym tonem Lanferelle.

– Nicholas mnie ocalił – odparła, wskazując na Hooka. – Zabił człowieka, który chciał to zrobić.

Spojrzenie ciemnych oczu spoczęło na moment na Nicku, po czym powróciło do Melisandy.

– Więc czego ty chcesz? – wykrzyknął Lanferelle niemal gniewnym tonem. – Chcesz mieć męża? Kogoś, kto będzie o ciebie dbał? A co powiesz o nim? – spytał, wskazując ruchem głowy swego giermka. – Może to jego powinnaś poślubić? Jest z urodzenia szlachcicem, ale niezbyt wysokiego stanu. Jego matka była córką siodlarza – rzekł. Giermek, który ewidentnie nie rozumiał teraz ani słowa, gapił się niemo na Melisandę. Nie miał na głowie hełmu, a jedynie kaptur kolczy, czepiec z kolczej plecionki, który okalał spoconą twarz naznaczoną przebytą w dzieciństwie ospą.



Nos splaszczono mu widocznie w jakiejś bójce, a jego mięsiste wargi wydawały się wciąż zaślinione. Melisanda skrzywiła się tylko i przemówiła gwałtownie po francusku, tak szybko, że Hook zrozumiał jedynie część jej wypowiedzi. Jej głos był pełen pogardy, choć zarazem brzmiał płacząwie, a słowa dziewczyny zdawały się jedynie wprawiać jej ojca w coraz większe rozbawienie.

– Mówi, że chce zostać z tobą – wyjaśnił Nickowi sens jej słów Lanferelle – ale to jeszcze zależy od mojego widzimisię. Na przykład od tego, czy daruję ci życie.

Hook myślał właśnie o tym, że mógłby dźgnąć nagle łączyskiem i wbić jego wzmocniony rogami gryf w gardło Lanferelle'a lub w miękką tkankę podbródka, i pchać dalej, dopóki cisowe drewno nie przebiłoby mózgu Francuza.

– Nie – zabrzmiało znenacka w jego głowie. Był to niemal szept, lecz głos należał niewątpliwie do świętego Kryspiniana, który ostatnio milczał przez tak długi czas. – Nie! – powtórzył raz jeszcze święty.

Hook z wdzięczności omal nie padł na kolana. Jego święty powrócił! Lanferelle znowu się uśmiechał.

– Chciałeś się na mnie rzucić, Angliku?

– Chciałem – przyznał Nick.

– A wtedy na pewno bym cię zabił – stwierdził Lanferelle. – Może zresztą i tak to zrobię, kto wie? – rzekł i spojrzał w kierunku stojących na gościńcu wozów angielskich łuczników. Zastłaniało je teraz gęste, letnie listowie, ale dobiegały stamtąd głośnie okrzyki, a Hook słyszał także świst zwalnianych cięciw. – Ilu was tam jest? – spytał Francuz.

Hookowi przyszło na myśl, by zełgać, lecz w końcu uznał, że Lanferelle i tak już niebawem sam odkryje prawdę.

– Czterdziestu łuczników – przyznał więc. – I żadnych zbrojnych?

– Ani jednego – rzekł Nick.

Lanferelle wzruszył ramionami, jak gdyby ta informacja nie była w gruncie rzeczy taka ważna.

– Więc zdobędziecie Harfleur i co dalej? Pomaszerujecie na Paryż? A może na Rouen? Nie wiesz. Ale ja wiem. Na pewno ruszycie dalej. Wasz Henryk nie wydał całej tej fortuny tylko po to, żeby zdobyć jedną małą przystań! Chce czegoś więcej. A kiedy będziecie maszerować przez nasz kraj, Angliku, my będziemy wszędzie: przed wami, za wami i wokół was i będziecie ginąć pojedynczo i dwójkami, aż wreszcie zostanie was ledwie garstka, a wtedy rzucimy się na was jak wilki na stado owiec. Czy moja córka ma wówczas umrzeć, tylko dlatego, że będziesz zbyt słaby, aby ją chronić?

– To ja chronię ją w Soissons, a nie ty – odciął się Hook.

Przez oblicze Lanferella przeszedł gniewny grymas. Czubek miecza zadrżał nieco, lecz w oczach Francuza pojawiła się także niepewność.

– Dbałem o nią – rzekł takim tonem, jakby próbował się tłumaczyć.

– Nie dość dobrze, jak widać – odrzekł porywczo Hook. – I to ja ją znalazłem.

– Bóg mi go zesłał! – wtrąciła po angielsku Melisanda.

– Doprawdy? Sam Bóg? – Lanferelle najwyraźniej odzyskał już równowagę i zdawał się ubawiony. – Myślisz, że Bóg jest po waszej stronie, Angliku?

– Wiem, że tak jest – odrzekł zdecydowanym tonem Nick.

– A wiesz jak mnie nazywają?

– Pan Piekiel – odparł Hook.

Lanferelle skinął głową.

– To tylko imię, Angliku, takie przezwisko, które przeraża maluczkich. Lecz pomimo tego, że je noszę, chcę, by po śmierci moja dusza znalazła się w niebie, a żeby tak się stało, ludzie muszą się za mnie modlić. Chcę, żeby odprawiano w tej intencji msze i śpiewano psalmy i żeby zakonnice i księża modlili się o to na klęczkach – rzekł, po czym wskazał ruchem głowy Melisandę. – Dlaczegoż więc ona nie miałaby tego robić?

– Przecież modlę się za ciebie! – zawołała Melisanda.

– Ale czy Bóg zechce teraz jej wysłuchać? – spytał Lanferelle. – Porzuciła Boga dla ciebie i to jest jej wybór, ale przekonajmy się jeszcze, czego chce Bóg, Angliku. Podnieś rękę! – rozkazał i zamilkł, lecz Hook nawet się nie ruszył. – Chcesz ocalić życie? – warknął Francuz. – Podnieś rękę! Nie tę! – krzyknął. Chodziło mu o prawą dłoń łucznika, tę, w której opuszki palców stwardniały od nacisku cięciwy.

Nick podniósł prawą dłoń.

– A teraz rozłóż palce! – rozkazał Lanferelle i wolno przybliżył swój miecz tak, że sam czubek głowni dotykał niemal dłoni Hooka. – Mógłbym cię zabić – rzekł przy tym – ale moja córka cię lubi, a ja mam do niej słabość. Ale pozbawiłeś ją dziewictwa bez mego zezwolenia, a krew domaga się krwi – stwierdził, po czym poruszył nadgarstkiem, tylko nadgarstkiem, lecz tak zręcznie i z taką mocą, że ostrze przebyło w powietrzu drogę równą długości strzały, tak prędko, że Nick nie miał szans na zrobienie uniku, gdy Francuz obciął mu najmniejszy palec prawej dłoni. Z rany trysnęła krew. Melisanda krzyknęła, lecz nie zwolniła spustu kuszy. Przez ułamek sekundy Hook nie czuł nic,

lecz potem nieznośny ból przeszył jego prawe ramię.

– No dobrze – rzekł rozbawiony Lanferelle. – Widzisz, zostawiłem ci palce do napinania cięciwy, nieprawdaż? Tylko ze względu na nią. Lecz kiedy francuskie wilki wreszcie was dopadną, Angliku, ja i ty zagramy w naszą grę. Jeśli zwyciężysz, będziesz mógł sobie zatrzymać Melisandę, lecz jeżeli przegrasz, ona wyląduje w jego małżeńskim łóżu – to mówiąc, wskazał ruchem głowy na swego giermka o obwisłych wargach. – Jego łóżo cuchnie, a on sam parzy się jak niedźwiedź. I jeszcze przy tym chrząka. Zgadzasz się na tę grę?

– Bóg da nam zwycięstwo! – odparł Hook. Dłoń bolała go nieznośnie, ale zdołał to ukryć.

– Pozwól, że ci coś powiem – rzekł Lanferelle, wychylając się z siodła. – Bóg tyle dba o twojego czy mojego króla, co o zeschnięte krowie łajno. Pytam, czy zgadzasz się na naszą grę? Będziemy walczyć o Melisandę, tak?

– Tak – odparł Hook.

– Więc teraz odłóżcie kołczany – rozkazał Lanferelle – i rzućcie łuki w las.

Nick domyślił się, że Francuz wolał nie ryzykować, że jakaś strzała ugodzi go w plecy, gdy będzie odjeżdżał, więc on i Tom Scarlet cisnęli swe łączyska w płataninę liści świętego dębu, a potem odrzucili na bok kołczany.

Lanferelle się uśmiechnął.

– Zatem umowa stoi, Angliku. Stawką jest Melisanda, ale musimy jeszcze przypieczętować nasz kontrakt krwią, czyż nie?

– Został już przypieczętowany! – zawołał Hook, unosząc w górę ociekającą krwią prawą dłoń.

– Będziemy walczyć na śmierć i życie, a nie do pierwszej krwi – rzekł Lanferelle. To mówiąc, dotknął kolanem swego wierzchowca, który odwrócił się posłusznie, a Pan Piekieł machnął jednocześnie swym mieczem w taki sposób, że czubek ostrza rozplątał gardło Mata Scarleta, sprawiając, że wśród zieleni lasu wytrysnęła nagle fontanna krwi. Tom Scarlet wrzasnął wniebogłosy, a Lanferelle tylko się zaśmiał i spiąwszy konia ostrogami, odjechał na wschód. Dwaj jego towarzysze podążyli za nim.

– Mat! – Tom Scarlet ukląkł przy swym bracie bliźniaku, lecz z Mata Scarleta życie uchodziło równie szybko, jak krew tryskająca z jego rozerwanego gardła, z którego wydobywało się straszliwe rżenie.

Odgłos końskich kopyt ucichł po chwili. Nie było też już słychać krzyków od strony stojących na gościńcu wozów. Ciszę przerywał jedynie płacz Melisandy.

Hook pozbierał łączyska. Francuzi odjechali. Nick wykopał toporem grób pod dębem,

dostatecznie szeroki, aby pomieścić ciała Mata Scarleta i Petera Goddingtona, którzy spoczęli razem w tej mogile na szczycie nadmorskiego wzgórza.

Wzgórze to górowało nad Harfleur, którego mury obronne obracały w grzyby pociski angielskich dział.

Robota trwała nieprzerwanie i była ciężka. Hook i inni łucznicy wciąż tylko ścinali drzewa, przycinali kłody i piłowali konary do podstemplowania okopów i stanowisk artylerii. Przygotowano nowe stanowiska dla dział, bliżej murów miasta; aby chronić armaty przez obrońcami Harfleur, łucznicy zbudowali grube osłony z drewnianych bali, które stały przed wylotami ich luf. Każdy taki parawan wykonany był z dębowych pni grubości dziewczęcej talii i lekko nachylony do tyłu, aby odbijać ku górze nieprzyjacielskie pociski. Jednak Hook najbardziej docenił pomysł umieszczenia osłon na specjalnych ramach, dzięki czemu mogły się obracać. Kiedy wreszcie działo gotowe było do strzału, padał stosowny rozkaz i żołnierze zaczęli kręcić wielkim kołowrotem, który sprawiał, że górna część parawanu opadała w dół, podnosząc zarazem jego dolną partię i odsłaniając czarną od prochu armatnią paszczę. Wówczas działo oddawało strzał i cały świat zniknął w przyprawiającej o mdłości, cuchnącej chmurze gęstego dymu, który śmierdział dokładnie tak jak zgniłe jaja. Trzask uderzającego o mury pocisku ginął pośród głośnego echa straszliwego ryku armaty, po czym zwalniano kołowrót, a parawan opadał z hukiem, zasłaniając przed wzrokiem nieprzyjaciela działo i obsługujących je holenderskich kanonierów.

Obrońcy Harfleur nauczyli się jednak wyczekiwać na ten moment, kiedy parawany się podnosiły, i dopiero wtedy strzelali ze swych armat i espringoli, więc angielskie działa trzeba było chronić również przy pomocy ogromnych wiklinowych koszy wypełnionych ziemią oraz kolejnych osłon z drewnianych bali. Czasami też podnoszono jakiś parawan, choć działo nie było jeszcze gotowe do strzału, tylko po to, by przechytrzyć przeciwnika i sprawić, aby zmarnował swe pociski, które nie czyniąc nikomu szkody uderzały w wypełnione ziemią kosze i dębowe belki. Potem, gdy armata była już przygotowana, odsuwano na bok wiklinowy kosz stojący u wylotu jej lufy, unoszono parawan i po chwili wzdłuż zalanej doliny rzeki Lezarde niósł się echem huk armatniego wystrzału.

Nieprzyjaciel również dysponował artylerią, lecz działa Francuzów były znacznie mniejsze i wystrzeliwały kamienie nie większe od jabłka, zbyt lekkie, by móc przebić potężne parawany z dębowych pni. Jeszcze mniejszą moc miały francuskie espringole, ogromnych rozmiarów kusze, miotające wielkie bełty. Kiedy Hook powoził wozem wyładowanym drewnem, którym miano podstemplować okopy, tego rodzaju pocisk trafił jednego z koni pociągowych prosto w pierś. Bełt wbił się głęboko w ciało zwierzęcia, rozrywając mu płuca, serce i brzuch, tak że koń rozłożył

szeroko kopyta i upadł tak, jak stał, wprost w powstałą w okamgnieniu kałużę krwi. Letni żar unosił się nad posoką, nad zatopioną doliną i nad trzęsawiskami ponad bezkresnym, połyskującym w słońcu morzem.

Okopy osłaniały oblegających przed ogniem nieprzyjacielskich dział i kusz, choć nie było sposobu na to, by chronić się przed pociskami z balisty, która wyrzucała głazy wysoko w górę, tak że spadały niemal pionowo. Anglicy również mieli swoje katapulty, wykonane z drzew ściętych na zboczach nad przystanią, i maszyny te miotały w kierunku Harfleur zarówno wielkie głazy, jak i rozkładające się zwierzęce ciała. Ze wzgórza Hook widział wyraźnie pogruchotane dachy domów i dwie zburzone kościelne wieże. Widział też wyrwę w murze, który w jednym miejscu osypał się aż do fosy. Patrzył, jak ogromny bastion strzegący zachodniej bramy miażdżą, nadgryzają, łamią i gruchocą angielskie pociski. Bastion ten zrobiony był z ziemi i drewnianych bali, a głazy wystrzeliwane przez oblegających wgryzały się w jego dwie wieże, flankujące krótką, lecz solidną kurtynową ścianę.

– Potem będziemy robić lochę – zapowiedział swym łucznikom sir John. – Naszemu najjaśniejszemu panu zaczyna się spieszyć!

– W murze obronnym jest wielki wylom, sir Johnie – zauważył Thomas Evelgold, który przejął obowiązki setnika po Peterze Goddingtonie.

– A za tym wylomem jest nowy mur – rzekł Cornewaille – a żeby go zaatakować, musielibyśmy minąć ten ich barbakan – dodał, mając na myśli bastion o dwóch wieżach strzegący zachodniej bramy. – Chcesz, żeby ich przekłęci kusznicy strzelali do was z flanki? Barbakan musi paść, więc będziemy robić lochę. Trzeba będzie ściąć jeszcze więcej drzew! Hook, jesteś mi potrzebny!

Pozostali łucznicy patrzyli, jak sir John wziął Nicka na stronę.

– Francuscy rycerze nie pojawią się już na wzgórzach – rzekł. – Teraz są tam nasi ludzie, a kolejne oddziały wypatrują odsieczy, lecz nadal nikogo nie widać – stwierdził. Była to nie lada zagadka. Sierpień miał się ku końcowi, a Francuzi wciąż nie przysłali armii na odsiecz obleżonemu miastu. Angielscy zwiadowcy codziennie wyruszali konno na trakty wiodące na północ i na wschód od Harfleur, lecz okolica wciąż była pusta. Czasem niepokoili ich niewielkie oddziały francuskich zbrojnych, ale nigdzie nie było widać chmury pyłu, zdradzającej maszerującą armię. – Powiedz mi, Hook, co zrobiłeś na tym wzgórzu – rzekł sir John – tego dnia, kiedy zginął biedny Peter Goddington.

– Ostrzegłem tylko naszych – odparł Nick.

– Nie tylko. Kazałeś im schronić się między wozami, zgadza się?

– Tak, panie.

– Dlaczego? – spytał wyzywającym tonem Cornewaille.

Hook zmarszczył brew, usiłując sobie przypomnieć tamte wypadki. Wówczas wydało mu się to

oczywistym środkiem ostrożności, lecz potem nie zastanawiał się, dlaczego było to takie oczywiste.

– Łuki na nic by nam się nie zdały w gęstym lesie – odrzekł w końcu, starannie dobierając słowa – ale gdyby schronili się między wozami, mogliby spoza nich skutecznie strzelać. Potrzebowali do tego trochę więcej miejsca.

– Tak właśnie się stało – stwierdził sir John. Zgromadziwszy się przy wozach, łucznicy przegnali napastników zaledwie dwiema salwami. – Czyli zrobiłeś to, co należało, Hook. Ci dranie zjawili się tylko po to, żeby narobić zamieszania. Chcieli zabić paru naszych i sprawdzić, czy robimy postępy, ale ty ich przepędziłeś!

– Nie było mnie przy wozach, panie – przyznał Nick. – To reszta naszych przegnała ich precz.

– Wiem, że ty miałeś wtedy urocze spotkanie z panem de Lanferelle, który jednak darował ci życie – rzekł Cornewaille i obrzucił Hooka badawczym spojrzeniem. – Dlaczego?

– Żeby mnie zabić przy innej okazji – odparł Nick, nie mając pewności, czy to właściwa odpowiedź. – A może ze względu na Melisandę?

– On będzie w tej zabawie kotem, a ty myszą – stwierdził sir John. – W dodatku ranną myszą – dodał, zerkając na prawą dłoń łuczника, która wciąż jeszcze była zabandażowana. – Możesz strzelać?

– Równie dobrze jak przedtem, panie.

– W takim razie mianuję cię dwudziestnikiem. Co oznacza, że podwajani ci żołd.

– Mnie, dwudziestnikiem?! – wykrzyknął zdumiony Hook, gapiąc się na sir Johna.

Cornewaille zrazu nie odpowiedział. Obrzucił krytycznym spojrzeniem swych zbrojnych, którzy ćwiczyli ciosy mieczem na pniach drzew. Ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć! – powtarzał nieustannie sir John. Twierdził, że sam w ramach nieustannej praktyki codziennie wykonuje tysiąc takich uderzeń i tego samego wymagał od swoich ludzi.

– Włóż w to trochę więcej siły, Ralph! – krzyknął na jednego z nich, po czym odwrócił się do Hooka. – Czy zastanawiałeś się nad tym, co masz zrobić, kiedy ujrzałeś Francuzów?

– Nie.

– Właśnie dlatego mianuję cię sierżantem. Nie trzeba mi ludzi, którzy muszą myśleć nad tym, co zrobić, tylko takich, którzy po prostu robią to, co należy. Tom Evelgold jest teraz twoim setnikiem, więc możesz objąć jego dawną drużynę. Od dziś ja mówię mu, co ma robić, on wydaje rozkazy tobie, a ty swoim łucznikom. Jeśli cię nie słuchają, tłuczesz drani po łbie, a jeśli nadal nie będą wypełniać poleceń, ja sam natrę ci uszu.

– Tak jest, panie.

Na pooranej bliznami twarzy sir Johna pojawił się promienny uśmiech.

– Jesteś dobry, młody Hooku. A w dodatku masz szczęście – rzekł, wskazując na zabandażowaną dłoń łuczника. – Weź to – dodał, wręczając Nickowi cienki, srebrny łańcuch, który wyjął z torby. – Oznaka twojej nowej funkcji. A jutro budujesz lochę.

– Jak to: buduję lochę, panie?

– Powiem ci tylko tyle, że to paskudna robota – odrzekł sir John. – Cholernie paskudna!

Tej nocy zaczęło lać. Deszcz nadciągnął z nad morza, a przyniósł go zimny, zachodni wiatr. Zrazu padało łagodnie, a wielkie krople postukiwały głucho na namiotach oblegających miasto Anglików. Potem jednak zerwał się wiatr, który miotał sztandarami zawieszonymi na prowizorycznych masztach, a ulewa stawała się coraz bardziej gwałtowna. Deszcz zaczął przy tym zacinać i niebawem zamienił ziemię w błotne grzęzawisko. Spiętrzone wody rzeki, które w znacznej mierze już opadły, zaczęły na powrót się podnosić, a z przepełnionych kloacznych dołów rozlewała się ich zawartość. Kanonierzy przeklinali, stawiając baldachymy nad swymi działami, a każdy łucznik starannie ukrył swą cięciwę, aby nie zamokła.

Nie było potrzeby, aby Nick nosił z sobą łuk. Jego zadanie polegało na tym, by zbudować lochę i, tak jak zapowiedział sir John, była to paskudna robota – nie nadmiernie skomplikowana i wymagająca raczej siły niż szczególnych umiejętności, lecz wykonywano ją na oczach obrońców i w zasięgu ich dział, espringoli, katapult i zwykłych kusz.

Locha była to ogromnych rozmiarów zadaszona osłona w kształcie czubka buta, za którą ludzie mogli kopać dalej, nie narażając się na strzały obrońców. Musiała zatem być dostatecznie mocna, aby wytrzymać nieustanne bombardowanie przy użyciu artyleryjskich pocisków.

Prace nadzorował pewien Walińczyk o włosach białych jak mleko, nazwiskiem Dafydd ap Traharn.

– Pochodzę z Pontygwaith – oświadczył łucznikom już na wstępie – a w Pontygwaith wiemy o konstruowaniu takich rzeczy więcej niż wy wszyscy żałośni angielscy durnie razem wzięci! – Początkowo planował zajechać galopem dwoma wozami wyładowanymi ziemią i kamieniami na miejsce, gdzie mieli wnosić lochę, i w ten sposób osłonić pracujących łuczników przed ogniem nieprzyjaciela, lecz deszcz rozmiękczył ziemię i furmanki na dobre ugrzęzły w błocie. – Będziemy musieli kopać – rzekł wówczas beztróska, jak przystało na kogoś, kto doskonale wiedział, że sam nie będzie musiał brać do ręki łopaty. – My w Pontygwaith znamy się na kopaniu! – stwierdził. – Wiemy o tym więcej niż wy wszyscy angielscy partacze razem wzięci!

– To dlatego, że musieliście kopać groby dla wszystkich Walińczyków, których zabiliśmy – odciął się William z Doliny.

– Grzebaliśmy ich, jak mówisz, a jakże – odparł pogodnie Dafydd ap Traharn. Kiedy później gawędzili sobie z Hookiem, przyznał z uśmiechem, że przed piętnastoma laty brał udział w buncie

przeciwko angielskiemu królowi. – A taki Owain Glyndwr? – rzekł z zapalem. – Cóż to był za człowiek!

– I co się z nim stało?

– On ciągle jeszcze żyje, chłopcze! – odrzekł Dafydd ap Traharn. – Ciągle żyje! – powtórzył. Płomień rebelii Glyndwra tlił się przez ponad dziesięć lat, zapewniając młodemu Henrykowi, księciu Walii, a obecnemu królowi Anglii, wieloletnią edukację w wojennym rzemiośle. Bunt został w końcu stłumiony, a niektórych spośród walijskich przywódców przewieziono w klatkach przez cały Londyn aż na miejsce kaźni, lecz samego Owaina Glyndwra nigdy nie schwytano. – My w Walii mamy swoich czarowników – powiedział Dafydd ap Traharn, zniżając głos i nachylając się do Hooka – a oni potrafią sprawić, że człowiek staje się niewidzialny.

– Chciałbym to zobaczyć – rzekł w zadumie Hook.

– No cóż, nie jesteś w stanie, no bo niby jak? Właśnie o to chodzi! Jak ktoś jest niewidzialny, nie możesz go zobaczyć. Na przykład taki Owain Glyndwr mógłby siedzieć tu teraz z nami, a ty nie byłbyś w stanie go zauważyć! I tak z nim właśnie jest, pojmujesz? Żyje sobie w dostatku, chłopcze, ma pełno kobiet i owoców, ale gdy jakiś Anglik zbliży się do niego na milę, on staje się niewidzialny!

– Co zatem walijski buntownik robi w szeregach tej armii? – spytał Hook.

– Człowiek musi z czegoś żyć – odrzekł Dafydd ap Traharn – a lepiej jeść chleb z ręki nieprzyjaciela, niż gapić się w pusty piekarnik. W tej armii są dziesiątki ludzi Glyndwra, chłopcze, i będziemy bić się za Henryka równie zajadle, jak kiedyś za Owaina – rzekł, po czym uśmiechnął się szeroko. – Ale pamiętaj, że także we Francji jest trochę ludzi Glyndwra i oni będą walczyć przeciwko nam.

– To walijscy łucznicy?

– Chwała Bogu, nie. Łuczników nie stać teraz na to, żeby uciekać do Francji, nieprawdaż? Nie, do Francji wyjechała tylko szlachta, która utraciła swe ziemie. Walczyłeś kiedyś przeciwko łucznikom w bitwie?

– Chwała Bogu, nie – odparł Hook.

– Nie jest to coś, co mógłbym nazwać radosnym przeżyciem – rzekł ponuro Dafydd ap Traharn. – Mój Boże, chłopcze, my Walijszczyki nie boimy się byle czego, ale kiedy pod Shrewsbury zaczęli strzelać łucznicy Henryka, było tak, jakby z nieba spadał śmiertelny grad, i to z żelaznymi grotami. W dodatku ten grad ani na chwilę nie ustawał. Dokoła mnie ginęli ludzie, krzycząc przy tym jak torturowane mewy na jakimś ponurym wybrzeżu. Łucznik to straszliwy przeciwnik.

– Sam jestem łucznikiem.



– Teraz jesteś górnikiem, chłopcze – rzekł Dafydd ap Traharn, uśmiechając się szeroko – więc bierz się do roboty.

Zaczęli kopać okop od stanowiska jednej z armat, kierując się w stronę murów Harfleur. Dostrzegli to obrońcy i zasypali wykop bełtami z kusz i pociskami z dział. Ich katapulty usiłowały ciskać na pracujących w nim łuczników potężne głazy, ale pociski mijały nowy okop, lądując na ziemi w rozbryzgach błota. Kiedy rów o długości trzydziestu kroków był już gotowy, Dafydd ap Traharn stwierdził, że to wystarczy, i kazał wykopać w tym miejscu nowe stanowisko. Okop ten musiał być wielki, kwadratowy i głęboki, więc łucznicy kopali i machali łopatami, aż dotarli do warstwy kredowych skał. Po ścianach nowego stanowiska przez cały czas ściekała woda, więc wnosząc parapet z wielkich pni drzew po trzech jego stronach, brodzili już w błocie. Jedynie tył okopu, przez który widać było angielski obóz, pozostał nieosłonięty. Łucznicy kładli pnie płasko, po cztery na szerokość całego stanowiska, a na nich układali stos kolejnych bali, a gdy skończyli, można było wyprostować się w okopie, pozostając nadal niewidocznym dla nieprzyjaciół na murach Harfleur.

– Dziś w nocy zrobimy zadaszanie – rzekł Dafydd ap Traharn – i nasza śliczna locha będzie gotowa.

Zadaszenie robili nocą, gdyż okop był na tyle blisko murów, że znajdował się w zasięgu nieprzyjacielskich kusz. Francuzi musieli jednak odgadnąć, co się dzieje, gdyż strzelali na oślep w deszczową noc i trzech ludzi Hooka zraniły krótkie, ostre bełty, które wyłoniły się nagle z mroku. Łucznicy pracowali aż do rana. Najpierw układali nad okopem długie pnie drzew, które potem przysypali grubą hałdą ziemi i odłamków kredowych skał, by wreszcie położyć jeszcze jedną warstwę ochronną z długich pni.

– Teraz dopiero zacznie się prawdziwa robota – oświadczył Dafydd ap Traharn – co oznacza, że musimy skorzystać z usług Walińczyków.

– Prawdziwa robota? – spytał Hook.

– Będziemy robić podkop, chłopcze. Wkopiemy się głęboko pod ziemię.

Deszcz ustał o świcie. Z zachodu nadszedł zimny wiatr i pognał ulewę w głąb Francji, a słońce przebijało się już przez chmury, kiedy nieprzyjacielscy kanonierzy zaczęli zasypywać nową osłonę przyszłego podkopu armatnimi pociskami, które traciły jednak impet, uderzając o parapet z grubych pni. Hook i jego łucznicy spali pochowani w prostych szałasach, jakie zrobili sobie z gałęzi drzew, ziemi i paproci. Gdy Nick się obudził, zobaczył, że Melisanda czyści jego kolczugę piaskiem z octem.

– *Rouille* – rzekła dziewczyna tonem wyjaśnienia.

– Rdza?

– To właśnie miałam na myśli.

– Możesz też wypolerować moją kolczugę, kochanie – rzekł William z Doliny, wypełzając ze swej lepianki.

– Sam sobie wypoleruj, Will – odrzekła Melisanda. – Chociaż kolczugę Toma wyczyściłam.

– Dobrze zrobiłaś – stwierdził Hook. Wszyscy łucznicy martwili się o Toma Scarleta, którego pogoda ducha pogrzebana została na dobre wraz z jego bratem bliźniakiem. Ostatnio wciąż miał chmurną minę i często siadywał gdzieś samotnie, pogrążony w ponurych myślach. – Marzy teraz tylko o tym – rzekł cicho Hook – żeby znów spotkać twego ojca.

– Jeśli go spotka, zginie – stwierdziła posępnym tonem Melisanda.

– On cię kocha – rzucił nagle Hook.

– Mój ojciec?

– Darował ci życie i pozwolił ci ze mną zostać.

– Tobie też darował życie – odparła niemal urażonym tonem.

– Wiem.

Dziewczyna zamilkła. Jej szare oczy spoglądały na Harfleur spowite dymem armatnich wystrzałów, niczym przybrzeżna skała nadmorską mgłą. Hook postawił przemoczone buty przy ognisku, żeby wyschły. Płonące w nim drwa trzaskały, rozsypując iskry wokół. Były to gałęzie wierzby, a wierzba zawsze protestowała w ten sposób przeciwko wrzucaniu jej w ogień.

– Myślę, że kochał moją matkę – rzekła w zadumie Melisanda.

– Tak sądzisz?

– Ona była piękna – powiedziała dziewczyna – i bardzo go kochała. Mówiła, że on też jest bardzo piękny. Że to piękny mężczyzna.

– Przystojny – zgodził się Hook.

– Piękny! – upierała się Melisanda.

– Czy kiedy spotkałaś go wtedy w lesie, chciałaś, aby cię z sobą zabrał? – spytał Nick.

Dziewczyna stanowczo pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Myślę, że on jest aniołem zła. I sądzę, że tkwi w mojej głowie tak jak ten święty w twojej – dodała, i odwróciła się, by spojrzeć na Hooka. – Bardzo chciałabym, żeby sobie poszedł.

– Ciągłe o nim myślisz? O to właśnie chodzi?

– Zawsze chciałam, żeby mnie pokochał – rzekła szorstko, po czym na powrót zajęła się czyszczeniem kolczugi.

– Tak jak kochał twoją matkę?

– Nie! *Non!* – krzyknęła. Była na niego zła i przez chwilę nie odzywała się ani słowem, lecz w końcu się udobruchała. – Życie jest ciężkie, Nicholasie, i sam dobrze o tym wiesz. Ciągłe tylko praca, praca i praca, i troska o to, skąd wziąć jedzenie, czyli jeszcze więcej roboty. A jakiś wielmoża albo szlachcic może sprawić, że to wszystko się skończy. Wystarczy, że raz skinie ręką, a nie będzie już więcej pracy ani zmartwień, tylko wszystko *facile*.

– Łatwo?

– I tego właśnie pragnęłam.

– Powiedz mu, że tego chcesz.

– On jest piękny – rzekła Melisanda – lecz nie jest dobry. Wiem o tym. A ja kocham ciebie. *Je t'aime* – dodała. Ostatnie słowa wypowiedziała stanowczo, na pozór bez uczucia, lecz Hook i tak zaniemówił z wrażenia. Gapił się na łuczników znoszących do obozu chrust. Dziewczyna skrzywiła się z wysiłku, szorując kolczugę piaskiem. – Słyszałeś o sir Robercie Knollesie? – spytała nagle.

– Oczywiście, że tak – odrzekł Nick. Każdy łucznik słyszał o sir Robercie, który zmarł jako człowiek zamożny zaledwie przed kilkoma laty.

– On też był kiedyś łucznikiem – powiedziała Melisanda.

– Owszem, od tego zaczynał – przytaknął Hook, zastanawiając się, skąd dziewczyna zna tę legendarną już postać.

– A potem został pasowany na rycerza – kontynuowała dziewczyna – i dowodził całymi armiami! A ciebie sir John mianował teraz dwudziestnikiem.

– Dwudziestnik to jeszcze nie rycerz – odrzekł z uśmiechem Hook.

– Ale sir Robert też kiedyś był dwudziestnikiem! – zawołała porywczo Melisanda. – Potem został setnikiem, a później rycerskim giermkim i wreszcie rycerzem! Alicja mi o nim opowiadała. A jeśli on tak mógł, to czemu nie ty?

Wizja takiej kariery była tak zaskakująca, że przez chwilę Nick mógł jedynie wpatrywać się w Melisandę zdumionym wzrokiem.

– Ja? Rycerzem? – wykrztusił w końcu.

– Dlaczego nie?

– Jestem zbyt niskiego stanu!

– Tak jak sir Robert.

– No cóż, takie rzeczy się zdarzają – rzekł z powątpiewaniem Hook. Sam słyszał też o innych łucznicach, którzy dowodzili drużynami i stali się bogaci. Sir Robert był najstłymniejszym spośród nich, lecz mówiło się również o Thomasie z Hookton, który umarł jako pan na tysiącu akrów. – Ale nie zdarzają się zbyt często – dodał – i trzeba na to pieniędzy.

– Pieniądzy?! A czymże jest wojna dla was, mężczyzn, jeśli nie źródłem pieniędzy? Bez przerwy mówicie tylko o jeńcach i okupach! – zawołała Melisanda, po czym wskazując na Nicka swą szczotką, uśmiechnęła się chytrze: – Weź do niewoli mojego ojca. Dostaniemy za niego okup. Odbierzemy mu jego pieniądze.

– To by ci się podobało, co? – spytał Hook.

– Owszem – odparła mściwie. – Nawet bardzo.

Hook usiłował sobie wyobrazić, jak to jest być bogatym. Otrzymać okup, który byłby wart więcej, niż większość ludzi jest w stanie zarobić w ciągu całego swego życia. Z marzeń tych wyrwał go dopiero widok Johna Fletchera, który był jednym ze starszych łuczników w drużynie i okazywał pewne rozzalenie z uwagi na to, że to Hook dostał awans, a teraz skrzywił się nagle i pobiegł ku kłocznym dołom. Jego twarz wydawała się niezwykle blada.

– Fletch jest chory – stwierdził Nick.

– Biedna Alicja też dziś rano bardzo źle się czuła – powiedziała Melisanda, marszcząc nos z obrzydzeniem. – *La diarrhée!*

Hook uznał, że wcale nie chce wiedzieć więcej o tej przypadłości Alicji Godewyne, a dalszych szczegółów oszczędziło mu zresztą pojawienie się sir Johna Cornewaille'a.

– Czuwamy?! – wrzasnął rycerz. – Czuwamy i jesteśmy gotowi!?

– Teraz już tak, sir Johnie – odparł w imieniu łuczników Hook.

– W takim razie na stanowiska! Do okopów! Skończmy wreszcie to przekłętą oblężenie!

Hook wdział swe wilgotne jeszcze buty i na wpół wypolerowaną kolczugę, założył hełm i opończę i ruszył do okopów. Oblężenie trwało nadal.

Locha drżała za każdym razem, gdy w jej pochyłą przednią ścianę uderzał wystrzelony z armaty głaz. Pnie, z których ją zrobiono, były poobijane, popękane i naszpikowane bełtami z espringoli, lecz nieprzyjacielskie pociski nie zdołały jak dotąd przebić ani nawet naruszyć masywnej osłony, zaś pod grubymi warstwami drewna i ziemi zabrali się do roboty walijscy górnicy.

Kolejne podkopy robiono też po wschodniej stronie Harfleur, gdzie obozowały wojska księcia Clarence'a i zarówno na wschód, jak i na zachód od miasta ryczały działa, druzgocąc swymi pociskami mury obronne, a mangonele i trebusze zrzucały na miasto wielkie głazy, wzbijając obłoki pyłu i dymu, które unosiły się nad wąskimi ulicami, podczas gdy ku szancom pełzły wolno podkopy. Te od strony wschodniej skierowano pod mury, gdzie miano wyrąbać w kredowej skale wielkie pieczary, stemplowane drewnem, których drewniane wsporniki miały zostać w odpowiednim momencie spalone tak, aby jamy się zapadły, powodując również zawalenie znajdujących się ponad nimi umocnień. Zachodni podkop, strzeżony przez lochę, którą Hook pomógł zbudować, miał natomiast dotrzeć aż pod wielki i mocno już sponiewierany bastion, strzegący bramy od strony Leure. Wystarczyło zniszczyć ten barbakan, a angielska armia mogłaby przypuścić szturm na ziejącą tuż obok bramy wyrwę w murach, nie obawiając się już ataku z flanki ze strony jego załogi. Zatem Walińczycy drażyli swój tunel, łucznicy strzegli chroniącej go lochy, a miasto cierpiało katusze.

Barbakan zrobiony został z wielkich, dębowych pni wkopanych głęboko w ziemię i połączonych żelaznymi obręczami. Pnie te tworzyły zarys dwóch okrągłych, przysadzistych wież połączonych krótką ścianą kurtynową, zaś pomiędzy nie nasypano i ubito ziemię i gruz. Od strony oblegających fortyfikacji tej strzegł jeszcze zalany wodą rów. Angielskie działa porozrywały zewnętrzną warstwę drewnianych kłód, tak że ziemia z wałów osunęła się, tworząc stromy i niepewny nasyp, który zasypał część niewielkiej fosy, lecz bastion bronił się nadal. Jego ruiny obsadzali wciąż kusznicy i zbrojni, a na resztkach drewnianych szanców wisały wyzywająco francuskie sztandary. Każdej nocy, kiedy angielskie działa przerywały ogień, obrońcy przeprowadzali naprawy i o świcie oczom oblegających ukazywała się nowa drewniana palisada, a

wówczas działa musiały rozpocząć od początku swe powolne dzieło zniszczenia. Część dział ostrzeliwała w tym czasie samo miasto.

Gdy Hook ujrzał Harfleur po raz pierwszy, miasto miało dlań baśniowy niemal urok, ze swą gęstą zabudową i sterczącymi w górę iglicami kościołów, opasanymi białym murem, najeżonym wieżami i basztami i połyskującym w promieniach sierpniowego słońca. Wyglądało wówczas dokładnie tak jak miasto namalowane na obrazie przedstawiającym świętego Kryspina i świętego Kryspiniana, w który Hook wpatrywał się tak długo, kiedy się modlił.

Teraz to baśniowe miasto było żalosną kupą kamieni, błota i zrujnowanych domostw spowitą gęstym dymem. Długie fragmenty murów wciąż stały, a na nich powiewały dumnie i szyderczo sztandary, na których widniały herby dowódców garnizonu, podobizny świętych i inwokacje do Boga. Lecz osiem baszt legło w gruzach, osypując się wprost do fosy, a w pobliżu zachodniej bramy długi odcinek muru został już skruszony na dobre. Wielkie pociski, miotane przez katapulty w sam środek miasta, burzyły domy i wzniecały pożary, przez co oblężone Harfleur nieustannie spowijał całun dymu. Zawaliła się też jedna z kościelnych wież, pośród donośnej kakofonii pociągając z sobą w dół kościelne dzwony. I tak zrujnowane już miasto niszczyły wciąż kolejne pociski dział i katapult.

A obrońcy wciąż odgryzali się zza murów. Każdego dnia o świcie Hook prowadził swoich ludzi do okopów, chroniących angielskie działa, i za każdym razem w promieniach wschodzącego słońca widział efekty nocnej pracy garnizonu. Francuzi wznosili nowy szaniec za zrujnowanym odcinkiem muru i stemplowali walący się barbakan kolejnymi balami drewna. Angielscy parlamentariusze, wystrojeni w barwne i lśniące opończe, unosząc białe laski, podjeżdżali do murów, proponując Francuzom warunki kapitulacji, lecz nieprzyjacielscy dowódcy za każdym razem odprawiali ich z kwitkiem.

– Liczą na to – powiedział Hookowi ojciec Krzysztof w pewien poranek na początku września – że ich król poprowadzi francuską armię na odsiecz Harfleur.

– Myślałem, że król Francji jest szalony.

– Pewnie, że tak! Sądzi, że jest ze szkła! – zawołał drwiąco ojciec Krzysztof. Kapłan odwiedzał okopy każdego ranka, błogosławiąc łuczników i sypiąc dowcipami. – To prawda! Myśli, że jest ze szkła i potłucze się na kawałeczki, jeśli upadnie. Ponadto zjada kilimy i zwierza się ze swych problemów księżycowi.

– Więc nie poprowadzi żadnej armii na odsiecz miastu, ojczy – stwierdził z uśmiechem Nick.

– Ale obląkany król ma jeszcze synów, Hook, a wszyscy oni to cholerne szumowiny spragnione naszej krwi. Każdy z nich z rozkoszą starłby nam kości na proszek.

– Zechcą tego spróbować?

– Bóg raczy wiedzieć, Hook. Bóg jeden wie, ale jakoś nie chce mi powiedzieć. Wiem jednak, że francuska armia zbiera się w Rouen.

– Czy to daleko stąd?

– Widzisz tę drogę? – spytał kapłan, wskazując ledwie widoczny zarys gościńca, który wychodził niegdyś z zachodniej bramy miasta, lecz teraz przypominał jedynie niewyraźną szramę w błotnistym i zrytym pociskami krajobrazie. – Wystarczy, że nią podążysz, skręcisz w prawo, kiedy wespnie się na to wzgórze, i będziesz szedł dalej, a za pięćdziesiąt mil natrafisz na potężny most i wielkie miasto. To właśnie Rouen, Hook. Ledwie pięćdziesiąt mil stąd! Armia jest w stanie pokonać tę odległość w trzy dni!

– W takim razie Francuzi nadejdą – stwierdził Nick – lecz my ich pokonamy.

– To samo mówił król Harold tuż przed bitwą pod Hastings – rzekł łagodnie ojciec Krzysztof.

– A czy Harold miał łuczników? – spytał Hook.

– Sądzę, że tylko zbrojnych.

– No właśnie – odparł Nick z promiennym uśmiechem.

Kapłan uniósł głowę, by spojrzeć na Harfleur.

– Już dawno powinniśmy byli zdobyć to miasto – rzekł w zadumie. – To oblężenie ciągnie się zdecydowanie za długo – dodał i odwrócił się, ponieważ mijający ich właśnie zbrojny pozdrowił go radośnie. Ojciec Krzysztof odwzajemnił powitanie i nakreślił niedbały znak krzyża za spieszącym dokądś człowiekiem. – Wiesz, kto to był, Hook?

Nick powiódł wzrokiem za oddalającą się postacią w jaskrawej, biało-czerwonej oponczy.

– Nie, ojcze, nie mam pojęcia, kto to taki.

– To syn Geoffreya Chaucera – rzekł z dumą ksiądz.

– Kogo?

– Nie słyszałeś o Geoffreyu Chaucerze? – spytał zdumiony ojciec Krzysztof. – O tym poecie?

– A już myślałem, że może to ktoś użyteczny – odparł Hook, po czym położył księdzu na ramieniu swą mocarną dłoń, zmuszając go, by się pochylił. Ułamek sekundy później w błotnistą ziemię tylnej ściany okopu, na wysokości miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stał ojciec Krzysztof, wbił się bełt z kuszy. – To Koci Pysk – wyjaśnił Hook. – Ten jest przynajmniej użyteczny.

– Koci Pysk?

– Jeden drań z barbakanu, ojcze. Gębę ma jak żbik. Zawsze widzę, jak unosi kuszę.

– Nie możesz go zastrzelić?

– Jest o dwadzieścia kroków za daleko, ojcze – odparł Hook i spojrzał w kierunku francuskiego bastionu przez szczelinę pomiędzy dwoma poszarpanymi wiklinowymi koszami wypełnionymi rozsypaną się ziemią, które tworzyły w tym miejscu parapet okopu. Pomachał komuś ręką, a jakaś postać na murach barbakanu odwzajemniła pozdrowienie. – Za każdym razem daję mu znać, że ciągle jeszcze żyję.

– Gęba jak żbik, powiadasz? – rzekł w zadumie ojciec Krzysztof. – Wiesz, że Rob Pole jest chory?

– To tak jak Fletch. I jak żona Dicka Godewyne'a.

– Alicja? Ona też źle się czuje?

– Z tego co słyszę, to wręcz fatalnie.

– Rob Pole przez cały czas sra – rzekł ksiądz – ale wylatuje z niego tylko krew i błotnista woda.

– Boże, dopomóż! – zawołał Hook. – Z Fletchem jest tak samo.

– Lepiej zacznę się modlić – stwierdził poważnym tonem ojciec Krzysztof. – Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby tracić jeszcze więcej ludzi przez jakieś choroby. A ty czujesz się dobrze?

– Znakomicie.

– Chwała Bogu! A ręka? Co z twoją ręką?

– Nadal mnie rwie, ojcze – odrzekł Hook, unosząc prawą dłoń, która była wciąż zabandażowana. Melisanda obłożyła ranę spadziowym miodem i na powrót obwiązała bandażem.

– Ból to dobry znak! – stwierdził kapłan. Nachylił się nad bandażem i pociągnął nosem. – I ładnie pachnie! To znaczy cuchnie błotem, potem i łajnem, ale to tak jak my wszyscy. Nie śmierdzi zgnilizną, a to najważniejsze. A jak tam twój mocz? Mętny? O silnej barwie? A może ledwie cieknie?

– Wszystko w normie, ojcze.

– To wspaniale, Hook. Nie możemy cię utracić!

I choć było to dziwne, Hook tym razem uznał, że kapłan mówił poważnie, gdyż Nick wiedział, że dobrze wypełnia swe obowiązki dwudziestnika. Spodziewał się, że będzie się czuł zakłopotany, mając tę odrobinę władzy, i obawiał się, że niektórzy ze starszych łuczników będą rozmyślnie ignorować jego rozkazy, ale jeśli nawet ktoś poczuł się urażony jego awansem, to nie dawał tego po sobie poznać, a jego polecenia wykonywane były bez szemrania. Z dumą nosił więc swój srebrny łańcuch.



Znów nastały upały i słońce zapiekło błoto w zaschniętą skorupę, która rozpadała się w pył pod butami. Rozpadało się również Harfleur, lecz garnizon nadal opierał się oblegającym. Król miał zwyczaj cztery lub pięć razy dziennie przychodzić na stanowiska łuczników i spoglądać na mury. Na początku oblężenia gawędził z nimi wesoło, lecz teraz jego oblicze sposepniało, a usta miał zaciśnięte i łucznicy tylko odsuwali się na bok, robiąc przejście dla władcy i jego niewielkiego orszaku. Patrzyli, jak spogląda na miasto, i z wyrazu jego naznaczonej blizną twarzy mogli wyczytać, iż nie sądzi, aby można było wziąć szturmem nowy szaniec za murami. Idąc do ataku, jego żołnierze musieliby przedrzeć się przez ruiny spalonych domów, ponosząc straty od bełtów kusz sypiących się z barbakanu, a następnie sforsować wielką fosę, by wspiąć się na szczątki zniszczonego przez artylerię muru pod nieustannym ostrzałem ze skrzydeł. Zaś przedarłszy się przez jego ruiny, nacierający Anglicy stanęliby przed nowym, wewnętrznym szańcem, zrobionym z gęsto ustawionych koszy z ziemią oraz drewnianych bali i kamieni ze zburzonych budynków w centrum miasta. Hook usłyszał kiedyś przypadkiem, jak król mówi:

– Musimy skruszyć jeszcze jeden odcinek murów, a wówczas natychmiast przypuścimy szturm do nowego wyłomu.

– To niemożliwe, panie – odparł ponuro sir John Cornewaille. – To jedyne suche podejście do miasta.

Spiętrzone wody wokół Harfleur nieco opadły, lecz wciąż okalały znaczną część miasta, pozwalając Anglikom atakować jedynie w dwóch miejscach, w których drążono właśnie tunele w stronę murów.

– W takim razie zburzcie wreszcie ten barbakan – nalegał król – i rozwalcie w drzazgi znajdującą się za nim bramę – dodał. Z ponurym wyrazem na swej długonosej twarzy wpatrywał się w uparty bastion, gdy nagle zdał sobie sprawę, że obserwują go zaniepokojeni łucznicy i rycerze. – Bóg doprowadził nas tak daleko nie po to, abyśmy ponieśli porażkę! – zawołał pewnym siebie tonem. – Miasto będzie nasze, chłopcy, i to już niebawem! Za murami będzie piwo i dobre jadło! Wszystko to wkrótce będzie należało do nas!

Przez cały dzień z tunelu wynoszono ziemię i odłamki kredowych skał, znosząc jednocześnie do środka belki przycięte na wysokość łączyska, którymi stemplowano podkop. Armaty przez cały czas prowadziły ostrzał, spowijając dymem stanowiska oblegających, dziurawiąc im bębunki w uszach i okładając pociskami nadwątlone już mury.

– Jak tam twoje uszy? – powitał Hooka sir John w pewien poranek na początku września.

– Moje uszy, panie? – spytał zdumiony Nick.

– Te brzydkie wypustki po obu stronach twojej głowy.

– Wszystko z nimi w porządku, sir Johnie.

– W takim razie chodź ze mną.

Sir John, którego piękną zbroję i opończę pokrywała warstwa pyłu, poprowadził Hooka wzdłuż jednego z okopów do osłoniętego lochą wejścia do tunelu. Wykop opadał najpierw stromo w dół na długości piętnastu kroków, po czym zaczynał biec poziomo. Był szeroki na dwa kroki i miał wysokość łączyśka. Na niewielkich podstawkach przybitych do drewnianych stempli paliły się dające nikłe światło świece, lecz podążając za sir Johnem, Hook zauważył, że ich wątłe płomienie stawały się coraz cieńsze, w miarę jak schodzili coraz głębiej pod ziemię. Co kilka kroków Cornewaille, a wraz z nim Nick, zatrzymywał się i przywierał do ściany tunelu, żeby przepuścić kolejnego górnik, zmierzającego na powierzchnię z ładunkiem skruszonej kredowej skały. W powietrzu unosił się kurz, a pod nogami leżała warstwa papki powstałej z wody i kredowego pyłu.

– W porządku, chłopcy – rzekł sir John, kiedy dotarli do końca tunelu. – Czas odpocząć. A teraz niech nikt się nie rusza i siedzi cicho!

Koniec podkopu oświetlały rogowe latarnie, zawieszane na ostatnim ze stempli. Dwóch górników machało dotąd kilofami na przodku tunelu i teraz obaj z wdzięcznością odłożyli swe ciężkie narzędzia i padli na podłogę, podczas gdy nadzorujący prace Dafydd ap Traharn pozdrowił Hooka skinieniem głowy. Sir John przycupnął obok siwiuteńskiego Walijczyka i wskazał Nickowi, że ma przykucnąć obok nich.

– Słuchaj! – szepnął przy tym.

Hook zaczął nasłuchiwać. Jeden z górników zakaszłał.

– Ciii! – syknął sir John.

Czasami w wielkim lesie, który opadał od pastwisk lorda Slaytona ku rzece, Hook stawał niemal w bezruchu, nasłuchując jedynie. Znał każdy odgłos, jaki dochodził spomiędzy tych drzew, czy był to stukot kopyt jelenia, sapanie niedźwiedzia, stukanie dzięcioła, klekot kruka, czyszczącego swe pióra, czy też po prostu szum wiatru w gałęziach i pośród wszystkich tych dźwięków jego ucho potrafiło wyłowić jeden fałszywy ton, sygnał, który mówił mu, że jakiś intruz grasuje w leśnym poszyciu. Teraz nasłuchiwał dokładnie w ten sam sposób, ignorując miarowy oddech pół tuzina ludzi, pozwalając błędzić myślom i czekając, aż cisza wypełni jego głowę, wyczulając go na najśłabsze nawet dźwięki, które mogłyby ją zakłócić. Słuchał tak przez dłuższą chwilę.

– Mnie dzwoni w uszach przez cały czas – szepnął sir John. – Pewnie dlatego, że za wiele razy oberwałem ostrzem po hełmie i... – urwał, gdy zirytowany Hook podniósł dłoń w ostrzegawczym geście, niepomny na to, że każe zamilknąć rycerzowi, będącemu kawalerem Orderu Podwiązki. Sir John i tak natychmiast go usłuchał. Hook nasłuchiwał nadal, aż wreszcie jego uszu doszedł jakiś dźwięk, który po chwili się powtórzył.

– Ktoś kuje w skale – orzekł Nick.

– A to łotry! – rzekł cicho sir John. – Jesteś pewien?

Teraz, kiedy już rozpoznał ten dźwięk, Hook był zdumiony, że nikt inny nie słyszał rytmicznego

stukotu kilofów o kredową skałę. Francuzi szykowali kontr minę, drażąc tunel w kierunku oblegających w nadziei, że uda im się przechwycić angielski podkop, zanim zostanie ukończony.

– Być może nawet dwa tunele – stwierdził Hook. Dźwięk był z lekka nieregularny, jakby mieszały się ze sobą dwa odmienne rytmy uderzeń.

– Tak właśnie myślałem – rzekł Dafydd ap Traharn – ale nie byłem pewien. Nie ma co, pod ziemią uszy potrafią płatać figle.

– Ależ z tych Francuzików pracowici mali dranie, co? – rzekł mściwie Cornewaille, po czym spojrział na Walińczyka. – Daleko jeszcze do barbakanu?

– Dwadzieścia kroków, panie. Powiedzmy, dwa dni roboty. Potem jeszcze dwa na wydrażenie pieczary i jeden, żeby wypełnić ją łatwopalnym materiałem.

– Ciągle jeszcze są daleko – rzekł sir John. – Może nie natrafią na nasz tunel?

– Z pewnością też nasłuchują, panie. A im są bliżej, tym lepiej nas słyszą.

– A żeby tym parszywym łotrom franca kuśki odjęła! – zawołał sir John, po czym skinął na Hooka. – I jak? Bo ja nadal ich nie słyszę.

– Są tam – rzekł z przekonaniem Nick. Cały czas rozmawiali szeptem, pogrążeni w ciemnościach, które rozjaśniało jedynie wątłe światło migoczących w cuchnącym powietrzu latarń.

Jeden z górników powiedział coś po walijsku. Dafydd ap Traharn uciszył go ostrzegawczym ruchem ręki.

– Martwi się, co będzie, jeśli nieprzyjaciel wedrze się do tunelu, sir Johnie – wyjaśnił.

– Wykujcie tutaj pieczarę – odrzekł Cornewaille – tak dużą, aby mogła pomieścić sześciu czy siedmiu ludzi. Postawimy tu na straży łuczników i zbrojnych. Sami też miejcie broń pod ręką, ale póki co, kopcie dalej. Zburzmy wreszcie ten przeklęty barbakan! – syknął. Tunel skierowany był pod północną wieżę upartego bastionu w nadziei, że uda się ją zawalić w taki sposób, by jednocześnie zasypała wypełniony wodą rów przed frontem francuskiego fortu. Pod wieżą miano wykopać pieczarę, podstemplowaną balami drzewa, które potem zostałyby spalone tak, aby zawalił się jej strop, a wraz z nim – stojąca powyżej wieża. Sir John poklepał górników po ramieniu. – Dobra robota, chłopcy! – rzekł. – Bóg nad wami czuwa! – dodał, po czym skinął na Hooka i obaj ruszyli z powrotem na powierzchnię. – Pokładam w Bogu nadzieję, że Bóg naprawdę nad nami czuwa – mruknął sir John, po czym zatrzymał się i zmarszczył brwi, spoglądając na wejście do tunelu. – Będziemy musieli jakoś przygotować się tutaj do obrony.

– Pod lochą, panie?

– Jeśli te łotry wedrą się do naszego tunelu, Hook, zaczną wylazić z tej dziury jak szczury, które

wyniuchały darmowy posiłek. Zbudujemy tu palisadę i obsadzimy ją łucznikami.

Nick zerknął na dwóch ludzi, wnoszących właśnie do wykopu kolejne drewniane stemple.

– Palisada w tym miejscu spowolni pracę, panie – rzekł.

– Niech cię diabli, Hook, wiem o tym! – odburknął sir John, po czym spojrział na wylot tunelu.  
– Musimy zakończyć to oblężenie! I tak już ciągnie się zbyt długo. Ludzie zaczynają chorować. Musimy oddalić się od tej cuchnącej miejsciny!

– To może beczki? – zasugerował po chwili Hook.

– Beczki? – zawtórował mu pogardliwym tonem sir John.

– Wystarczy napełnić ziemią i kamieniami trzy czy cztery beczki – wyjaśnił cierpliwie Nick – a jeśli Francuzi nadejdą, stoczyć je tylko do wylotu tunelu i postawić pionowo. Pół tuzina łuczników poradzi sobie z każdym draniem, który spróbuje je sforsować.

Sir John przez kilka sekund gapił się na wylot tunelu, po czym skinął głową.

– Twoja matka nie marnowała czasu, kiedy rozkładała uda, Hook. Chwat z ciebie. Beczki mają być na miejscu jeszcze przed zachodem słońca.

Beczki znalazły się tam o zmierzchu. Hook, czekając, aż ktoś go zluzuje, poszedł do okopu obok lochy i patrzył na zniszczone mury Harfleur, które oświetlało teraz na czerwono słońce, zachodzące właśnie za ogołoczone z drzew pobliskie wzgórze. Za jego plecami, w angielskim obozie, jakiś człowiek wygrywał na flecie wciąż tę samą, żalospną melodię, jakby próbował zagrać ją wreszcie jak należy. Hook był zmęczony. Chciał już tylko coś zjeść, a potem się wyspać, nic więcej, więc nie zwrócił większej uwagi na zbrojnego, który stanął obok niego przy parapecie okopu. Człowiek ten miał na sobie ściśle dopasowany hełm, który ocieniał jego twarz, lecz poza tym nie nosił zbroi, a jedynie skórzany kaftan. Jednak jego ubłocone buty były solidnej roboty, a złoty łańcuch na jego szyi zdradzał wysokie stanowisko.

– Czy to zdechły pies? – spytał, skinąwszy głową w kierunku kudłatego ciała leżącego w połowie drogi pomiędzy wysuniętym angielskim okopem a francuskim barbakanem. Na martwym zwierzaku siedziały trzy kruki, zajadłe dziobiąc padlinę.

– Francuzi na nie polują – rzekł Hook. – Psy wybiegają z naszych linii, a kusznicy do nich strzelają. Potem znikają w nocy.

– Psy? Znikają?

– Francuzi się nimi żywią – wyjaśnił krótko Nick. – W końcu to dla nich świeże mięso.

– Ach tak! Oczywiście! – odrzekł tamten. Przez chwilę przypatrywał się ucztującym krukowi. –

Nigdy nie jadłem psiego mięsa.

– Smakuje trochę tak jak z zająca – oświadczył Hook – tylko jest nieco bardziej żylaste – dodał, po czym rzucił okiem na swego towarzysza i ujrzał głęboką bliznę tuż obok długiego nosa. – Najjaśniejszy panie! – dodał pospiesznie, przyklękając na jedno kolano.

– Wstań, wstań! – powiedział król. Przez chwilę spoglądał na barbakan, który przypominał teraz nieledwie kopczyk ziemi z palisadą z poobijanych pni wkopaną w osypujący się stok od czoła. – Musimy zdobyć ten bastion – rzekł w końcu roztargnionym tonem, jakby mówił do siebie. Hook też obserwował bastion, wypatrując najmniejszego ruchu, który powiedziałby mu, że jakiś kusznik mierzy do nich ze swej broni, lecz uznał, że królowi nic nie grozi, gdyż Francuzi zazwyczaj siedzieli cicho, kiedy słońce zniknęło już za horyzontem na zachodzie, i tego wieczora najwyraźniej było tak samo. Milczały również działa i katapulty po obydwu stronach. – Pamiętam pierwszy dzień oblężenia – rzekł król zakłopotanym tonem – kiedy w mieście przez cały czas biły kościelne dzwony. Myślałem, że to na znak oporu, i dopiero później zdałem sobie sprawę, że Francuzi po prostu grzebali kolejnych zabitych. Teraz jednak już nie biją w dzwony.

– Zbyt wiele trupów, najjaśniejszy panie – odrzekł z zakłopotaniem Hook. – A może już nie mają dzwonów – dodał. Świadomość, iż rozmawia z królem, sprawiała, że nie był w stanie klarownie myśleć.

– Trzeba szybko zakończyć to oblężenie – stwierdził stanowczo król, po czym zszedł z parapetu. – Czy ten święty nadal do ciebie przemawia? – spytał, a Hook był tak bardzo zdumiony tym, że król go pamięta, iż nie zdołał wykrztusić z siebie ani słowa, a jedynie pospiesznie skinął głową. – To dobrze – rzekł Henryk – bo jeśli Bóg jest po naszej stronie, nikt nas nie pokona. Pamiętaj o tym! – zawołał i obdarzył Nicka przelotnym uśmiechem. – I to my zwyciężymy! – dodał półgłosem, jakby znów mówił do siebie. Potem ruszył z powrotem wzdłuż okopu prowadzącego do wejścia do tunelu, gdzie czekał nań tuzin zbrojnych.

Hook zaś udał się na nocny spoczynek.

Następnego ranka, gdy wystrzelono z jednej z armat, zatrzęsa się ziemia.

Hook był wówczas na samym końcu w tunelu, dokąd znów zabrał go sir John, aby nasłuchiwał. Nagle ziemia zadrżała, a latarnie przygasły.

Wszyscy przycupnęli w półmroku, nasłuchując uważnie. Jeden z górników zaczął mokro

kaszeć i Hook musiał poczekać, aż w tunelu ucichnie echo jego kaszlu. Znow słuchał. Nasłuchiwał odgłosów nadchodzącej śmierci.

Wystrzeliło drugie działo i ziemia znów zdawała się trząść. Wątle płomienie latarni ponownie zamigotały niepewnie, a ze stropu tunelu posypał się pył i grudki ziemi, które spadając, rozpryskiwały kredową papkę, pokrywającą podłogę wykopu. Echo armatniego wystrzału zdawało się trwać całe wieki, po czym rozległo się żalosne skrzypienie, jakby dębowe stemple tunelu uginały się pod ciężarem ziemi, którą na sobie dźwigały.

– Co tam, Hook? – spytał sir John.

Nick usłyszał właśnie zgrzyt, tak cichy, że zastanawiał się, czy dźwięk ten nie był czasem wytworem jego wyobraźni, lecz potem rozległ się jeszcze zduszony trzask, po którym zapadła cisza. Po chwili znów dało się słyszeć zgrzytanie i tym razem Hook był pewien, że je słyszy. Ludzie w tunelu spoglądali na niego z niepokojem. Podszedł do końcowej ściany i przyłożył ucho do kredowej skały.

Zgrzyt. Hook spojrzał na Dafydd ap Traharna.

– Jak teraz kopiecie, panie? – spytał.

– Tak jak zawsze – odparł zdumiony Walijczyk.

– Pokażecie mi, panie?

Górnik wziął kilof i podszedł do przodka tunelu, gdzie zamiast wziąć zamach kilofem i wbić jego ostrze w miękką skałę, przeciągnął nim po naturalnej szczelinie w kredzie. Potem zrobił to raz jeszcze, pogłębiając pęknięcie, po czym wepchnął ostrze w powstały otwór i usiłował podważyć kawał skały, lecz szczelina była wciąż za płytka, więc raz jeszcze przeciągnął po niej stalowym szpikulcem. Rozległ się zgrzyt. Walijczyk pracował cicho, starając się nie niepokoić Francuzów, podczas gdy tunel zbliżał się do pogruchotanych murów, i Hook zdał sobie sprawę, że był to właśnie ten dźwięk, który przed chwilą słyszał. Obydwa zespoły górników usiłowały pracować jak najciszej.

– Są bardzo blisko – orzekł Hook.

– *Cymorth ni, O Arglwydd* – mruknął jeden z górników i przeżegnał się znakiem krzyża.

– Jak blisko? – dopytywał się sir John, ignorując tę prośbę o boską opiekę.

– Nie potrafię stwierdzić, panie.

– Niech diabli wezmą tych przeklętych łotrów! – syknął Cornewaille i splunął.

– Mogą być nad nami – zasugerował Dafydd ap Traharn – albo pod nami.

– Będziecie wiedzieć, kiedy znajdą się naprawdę blisko – stwierdził Hook. – Będziecie wtedy

wyraźnie słyszeć zgrzytanie.

– Zgrzytanie? – spytał Walijczyk.

– To właśnie słyszę, sir.

– Przez ostatnie kilka stóp skały przebija się szybko – rzekł ponuro Dafydd ap Traharn – i rzuca się na nas jak piekielne demony.

– Będą na nich czekać nasze własne demony – oświadczył sir John. – Nie porzucimy tego tunelu! Jest nam potrzebny! Będziemy walczyć z tymi łajdakami nawet pod ziemią. Zaoszczędzi nam to trudu kopania dla nich grobów, nieprawdaż?

Wielkie bojowe łuki były zbyt długie, aby można było ich używać w tunelu, więc w południe sir John przyniósł z sobą pół tuzina kusz.

– Jeśli wedrą się do wykopu – powiedział Hookowi – przywitajcie ich tym. A potem chwycicie za topory.

Zgrzytanie stało się teraz głośniejsze i na tyle wyraźne, że Dafydd ap Traharn zdecydował, iż nie ma już sensu starać się pracować w ciszy, więc jego ludzie zaczęli zamazywać walić kilofami w kredową ścianę, wypełniając końcowy odcinek tunelu łoskotem i drobnym, dławiącym pyłem. Co jakiś czas ostrza ich narzędzi trafiały na krzemień, a wówczas przez pogrążony w mroku podkop przelatywała jasna i świetlista iskra. Iskry te wyglądały jak spadające gwiazdy i Hookowi przypominało się właśnie, jak jego babka żegnała się za każdym razem, kiedy widziała taką gwiazdę, a potem odmawiała krótką modlitwę, twierdząc, że modły, niesione przez te mknące przez firmament świetliste punkty, są bardziej skuteczne. Zamykał więc oczy, gdy kilofy górników krzeszały kolejne iskry, i modlił się za Melisandę i ojca Krzysztofa, a także za swego brata Michaela. Przynajmniej jego młodszy brat był w Anglii, z dala od braci Perrillów i ich obłąkanego ojca, wielebnego sir Martina.

– Jeszcze dzień pracy – rzekł Dafydd ap Traharn, wyrывая Hooka z tych rozmyślań o domu – a będziemy mogli zacząć drażyć pieczarę. Potem zwalimy tę ich wieżę jak mury Jerycha!

Zbrojni i łucznicy siedzieli pod ścianami tunelu, za każdym razem podciągając nogi i przepuszczając robotników wynoszących na powierzchnię gruz i wnoszących kolejne bale do podstemplowania stropu. Nasłuchiwali przy tym odgłosów pracy francuskich górników, które były coraz głośniejsze, niewątpliwe i złowróźbne. Dobiegały one od północy, skąd nieprzyjaciel widocznie drażył kontrmine, aby przechwycić angielski podkop, a w spowitym w całun pyłu nikłym świetle wątych latarń Hook nieustannie wpatrywał się w ścianę przodka, spodziewając się, że lada chwila pojawi się w niej wielki otwór, przez który wtargną do środka zakuci w żelazo wrogowie. Sir John spędził w tunelu znaczną część popołudnia z dobytym mieczem w ręku i ponurym wyrazem na twarzy.

– Musimy zepchnąć ich z powrotem do otworu – oświadczył – a potem sprawić, by ich tunel

się zawalił. Chryste, cuchnie tutaj jak w jakiejś latrynie!

– Bo to jest latryna – odrzekł spokojnie Dafydd ap Traharn. Niektórzy z robotników także zachorowali i ciągle zanieczyszczali błotnistą maź, leżącą pod nogami.

Sir John wyszedł z tunelu dopiero u schyłku dnia i godzinę później przysłał nowych ludzi, aby złuzowali łuczników i zbrojnych strzegących miny. Zmiennicy ci zeszli, pochylając się, na sam dół tunelu, a w półmroku zamigotały ich monstrualnej wielkości cienie.

– Rany boskie! – sarknął któryś z nich. – Tym powietrzem nie da się oddychać!

– Macie dla nas kusze? – dopytywał się inny.

– Mamy – przytaknął Nick. – Są już naciągnięte.

– Zostawcie je nam – odrzekł tamten, po czym przyjrzał się uważnie łucznikom, których miał złuzować. – To ty, Hook?

– Sir Edward! – wykrzyknął Nick. Położył kuszę na ziemi i wstał, uśmiechając się do przybysza.

– To ty! – zawołał radośnie sir Edward Derwent, człowiek lorda Slaytona, który jeszcze w Londynie ocalił Hooka przed dworskim sądem i jego nieuniknionym wyrokiem, a teraz odwzajemnił uśmiech w nikłym świetle latarni. – Słyszałem, że tu jesteś – rzekł. – Jak się miewasz?

– Wciąż jeszcze żyję, sir Edwardzie – odrzekł Nick z promiennym uśmiechem.

– Bogu niech będą dzięki, choć tylko On jeden wie, jak tutaj na dole można w ogóle przeżyć! – powiedział sir Edward, po czym przez chwilę, z wyrazem skupienia na naznaczonej okropną blizną twarzy, na wpół ukrytej w cieniu hełmu, nasłuchiwał złowróżbnych odgłosów. – Wygląda na to, że są blisko!

– Tak właśnie sądzimy – odrzekł Hook.

– To bywa mylące – wtrącił się Dafydd ap Traharn. – Równie dobrze mogą być jakieś dziesięć kroków od nas. Różnie to bywa z takimi odgłosami pod ziemią.

– Więc mogą też być o kilka cali stąd? – zapytał cierpko sir Edward.

– Ależ oczywiście, że mogą! – odparł uparcie Walijczyk.

Sir Edward spojrział na napięte kusze.

– Zatem mamy powitać ich bełtami, a potem drani pozabijać? – spytał.

– Macie ocalić mi życie – wtrącił znowu Dafydd ap Traharn. – A póki co tylko tarasujecie



przejsście, ot co! Jest was tutaj zbyt wielu! A tu robota czeka!

Zbrojni sir Johna już sobie poszli, a teraz Hook wysłał w ślad za nimi swoich łuczników. Sam zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Życzę spokojnej nocy, panie – powiedział do sir Edwarda.

– Dobry Boże! Pozostaje mi tylko też się o to modlić – odrzekł sir Edward, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha. – Dobrze cię znowu widzieć, Hook.

– Miło widzieć i ciebie, panie – odparł Nick. – I raz jeszcze dziękuję.

– Idź odpocząć, człowieku – rzekł sir Edward.

Hook skinął głową. Chwycił swój topór i skłoniwszy się lekko na pożegnanie Dafyddowi ap Traharnowi, minął ludzi sir Edwarda, z których jeden usiłował podłożyć mu nogę. Nick dojrzał w półmroku wystającą szczękę i głęboko osadzone oczy i przez moment myślał, że ma przed sobą sir Martina, lecz potem zdał sobie sprawę, że to jego starszy syn, Tom Perrill. Byli tu zresztą obaj bracia Perrillowie, pochyleni pod niskim stropem tunelu, lecz Hook zignorował ich, wiedząc, że żaden z nich nie odważy się go zaatakować w obecności sir Edwarda.

Ciężko stapał tunelem w kierunku widocznego w oddali dogasającego światła dnia. Myślał właśnie o Melisandzie, o gulaszu, który pewnie już przygotowała, i o pieśniach przy obozowych ogniskach, gdy wtem cały świat zadrżał w posadach.

Nagły łoskot niemal go ogłuszył. Był to zrazu odgłos przypominający huk gromu, który rozległ się tuż za nim, a potem dał się słyszeć rozdzierający trzask, jakby otwierała się ziemia i Nick odwrócił się i ujrzał sunący ku niemu obłok pyłu, ciemną chmurę mknącą przez pograżony w półmroku tunel, a w tych ciemnościach ciężko stapały w jego stronę monstrualne cienie ludzkich postaci. Potem rozległy się jakieś okrzyki, szczęk stalowych ostrzy uderzających o pancerze i przeraźliwy wrzask. Pierwszy z wielu.

Francuzi wdarli się do tunelu.

Hook instynktownie zerwał się i pobiegł z powrotem w kierunku walczących, lecz potem przypomniał sobie o beczkach i zaczął się zastanawiać, czy powinien zablokować wylot tunelu. Zawahał się przez chwilę. Z ciemności dobiegł go przeraźliwy pisk, straszliwy wrzask człowieka, przypominający wycie nieudolnie kastrowanego zwierzęcia. Potem dał się słyszeć kolejny głuchy łoskot i Hookowi mignęły tylko przed oczyma kolejne ludzkie postacie, spadające ze stropu tunelu, po czym ruszył w jego kierunku następny obłok pyłu, który niemal go oślepił. Zdołał jednak dostrzec jakąś ludzką postać, zmierzającą chwiejnym krokiem w jego stronę. Był to zbrojny z dobytym mieczem. Przyłbicę miał opuszczoną, a miecz dzierżył oburącz, a panujący w tunelu półmrok i spowijająca go chmura pyłu nadawały mu wygląd jakiegoś olbrzyma z wnętrza ziemi, monstrum z najstraszliwszego z sennych koszmarów. Jego płytowy pancerz pokryty był warstwą kredy i ziemi i Hook stał tylko jak skamieniały i wpatrywał się weń, dopóki człowiek ten nie wydał z siebie

ochryplego ryku, który to dźwięk przeraził Nicka, przywracając go zarazem do rzeczywistości w tej właśnie chwili, gdy tamten usiłował dźgnąć go mieczem w brzuch. Hook uskoczył w bok i wraził swój topór prosto w zakutą w stal twarz Francuza. Szydło ześliznęło się po jej osłonie w kształcie świńskiego pyska, lecz górna krawędź ciężkiego młota trafiła w hełm, gruchocząc metal. Nick włożył w ten cios całą swoją siłę łuczника i olbrzym z trzewi ziemi zatoczył się do tyłu, a ze szpar w jego przyłbicy polala się krew. Hook przypomniał sobie wszystkie bolesne lekcje na łakach sir Johna i natychmiast skrócił dystans, tak że nieprzyjaciel nie był w stanie solidnie zamachnąć się mieczem i raz jeszcze pchnął go toporem jak dwumetrową pałką, powalając wroga na ziemię. Sam też nie miał teraz miejsca, by wziąć porządny zamach swym dwuręcznym toporem, lecz nadrobił to siłą swych mięśni, uderzając ostrzem w łokieć prawej ręki tamtego i łamiąc go z trzaskiem, po czym wraził szydło pomiędzy hełm a napierśnik wroga. Francuz miał na sobie co prawda kaptur koleczy, czepiec z koleczugi, który miał chronić tę szczelinę w jego płytowym pancerzu, lecz stalowy szpikulec z łatwością przebił się przez metalowe kółka koleczugi i utkwiał mu w gardle. W stronę Hooka biegli już następni zbrojni, gdy ten olbrzym z wnętrza ziemi, zmalawszy już do normalnych ludzkich rozmiarów, wił się w agonii na podłodze tunelu, gdzie jego ciemnoczerwona krew rozlewała się szeroko, wsiąkając w warstwę białej kredy.

Zbliżający się do Hooka ludzie walczyli ze sobą w tunelu. Nick wyszarpnął topór z ciała dogorywającego olbrzyma i dźgnął szydłem jakiegoś człowieka w obcych barwach. Ostrze ześliznęło się jednak po płytowej zbroi, rozrywając tylko opończę, i tamten odwrócił się, kierując w stronę Hooka swój hełm z osłoną twarzy profilowaną na zwierzęcy pysk, po czym wziął szeroki zamach mieczem, który jednak zahaczył o jedną z drewnianych podpór stropu, a wówczas Nick znów rzucił się na przeciwnika z toporem, tym razem zahaczając ostrze o kostkę przeciwnika i ciągnąc z całych sił, tak że Francuz stracił równowagę. Na Hooka wpadł jakiś walijski górnik, któremu wnętrzności wylewały się z rozprutego brzucha. Nick odsunął go na bok ramieniem i wraził szydło poniżej napierśnika leżącego napastnika, w szparę ledwie widoczną przez rozdarte płótno opończy. Pchnął i obrócił długą rękojeść, usiłując skierować ostrze do góry, w brzuch i pierś tamtego, lecz coś wciąż je blokowało, a wówczas kolejna fala nadbiegających odepchnęła go w tył. Byli to ludzie lorda Slaytona, cofający się przed Francuzami, choć była pomiędzy nimi także i garstka nieprzyjaciół. Zmagali się ze sobą w ciemnościach, potykając się o martwych i umierających i ślizgając na nieczystościach. Dwaj zbrojni przyparli Hooka do ściany tunelu, więc raz jeszcze pchnął trzymanym oburącz toporem jak pałką, lecz łucznicy i górnicy uciekający z tunelu odepchnęli na bok jego przeciwników.

– Zatrzymać ich! – rozległ się głos sir Edwarda z dolnej części podkopu.

Beczki! Hook, uwolniwszy się chwilowo od nieprzyjaciół, odwrócił się i pobiegł w kierunku wejścia do tunelu. Dotarł do miejsca, gdzie korytarz zaczynał wznosić się łagodnie na powierzchnię, lecz tam potknął się o czyjaś stopę i padł jak długi na kredową papkę. Odruchowo zrobił unik i usiłował stanąć na nogach, lecz dostał kopniaka w brzuch. Okręcił się raz jeszcze i ujrzał, że stoją nad nim Tom i Robert Perrillowie.

– Szybko! – krzyknął na swego brata Tom.

Robert uniósł miecz, ostrzem w dół, mierząc prosto w krtań Hooka.

– Wezmę sobie twoją kobietę! – rzekł jeszcze Tom Perrill, choć Hook i tak ledwie mógł go słyszeć pośród odbijających się echem w podziemnym korytarzu krzyków i wrzasków. Jeszcze więcej okrzyków dobiegało teraz od strony wylotu tunelu, gdzie napastnicy toczyli zażartą walkę z zaskoczonymi obrońcami. Otrze miecza Roberta Perrilla wreszcie opadło, a Hook przetoczył się znów po podłodze, uderzając całym ciałem w nogi swych prześladowców, po czym gwałtownie uniósł się w górę w taki sposób, że Robert wpadł na przeciwległą ścianę tunelu. Nick miał wciąż w ręku dwuręczny topór, gdy wreszcie stanął na nogach i ruszył na Toma Perrilla, który po prostu uciekł.

– Tchórz! – krzyknął za nim Hook i spojrział w dół na Roberta, który daremnie wymachiwał mieczem jak cepem i wrzeszczał, wrzeszczał wniebogłose. Nick nagle zrozumiał, dlaczego. Ziemia zatrzęsa się, a w jego uszach zabrzmiał inny krzyk, cienki jak ostrze miecza.

– Padnij! – zawołał święty Kryspinian.

Ziemia trzęsa się już teraz na dobre, a cienki krzyk zginął w potężnym grzmocie, który nie dobiegał jednak z nieba, lecz z wnętrza ziemi, więc Hook posłuchał świętego i skulił się obok Roberta Perrilla, gdy strop tunelu zaczął się zapadać.

Wydawało się, że trwało to całą wieczność. Drewniane belki trzeszczały i pękały, potem rozległ się przeciągły jęk i strop tunelu zawalił się z łoskotem.

Hook zamknął oczy. Cienki krzyk powrócił, lecz tym razem rozbrzmiewał w jego głowie. Był to przeraźliwy wrzask trwogi, jego własny wrzask, wyrażający lęk przed śmiercią. Oddychając, wdychał teraz tylko pył. Wiedział, że w dniu ostatecznym zmarli powstaną z ziemi. Wyjdą ze swych grobów, a ziemia rozstąpi się, uwalniając ich ciała, i ruszą na wschód, w kierunku świetlistego, świętego miasta Jeruzalem, a niebo na wschodzie jaśniejsze będzie od słońca i straszna trwoga ogarnie zmartwychwstałych, gdy staną tak w swych powłóczystych szatach. Będzie płacz i zgrzytanie zębów, ludzie zasłaniać będą oczy przed nagłym i nieznanym oślepiającym blaskiem, lecz wszyscy zmarli proboszczowie pochowani zostaną nogami na zachód tak, aby kiedy powstaną z martwych, stanąć mogli naprzeciw swych przerażonych wiernych i skierować do nich słowa otuchy. Nie wiedzieć czemu, gdy wokół niego zapadała się ziemia, by pogrzebać go żywcem, Hook myślał o sir Martinie i zastanawiał się, czy jego zgorzkniała i wykrzywiona grymasem szaleństwa twarz o wystającej szczęce będzie pierwszą rzeczą, jaką dane mu będzie ujrzeć w dniu ostatecznym, gdy dźwięk trąb wypełni niebiosa, a Bóg przyjdzie w chwale, by wezwać do siebie swój lud.

Belka ze stropu spadła z hukiem w dół, a w ślad za nią posypała się ziemia i Nick skulił się, a wokół niego rozległ się potężny grzmot, zaś krzyk w jego głowie przeszedł w płaczliwy skowyt.

A potem zapadła cisza.

Niespodziewana, zupełna i ponura cisza.

Hook wziął oddech.

– O Boże! – jęknął Robert Perrill.

Coś przygniatało plecy Nicka. Było to coś ciężkiego i, jak się zdawało, nieruchomego, ale przynajmniej nie usiłowało go zmiażdżyć. Wokół nadal panował nieprzenikniony mrok.

– O Boże, pomóż mi! – załkał znów Perrill.

Ziemia znów się zatrzęsała i dał się słyszeć stłumiony trzask. „Działo” – pomyślał Hook, a po chwili słyszał już nawet ludzkie głosy, które dobiegały jednak z bardzo daleka. Usta miał pełne piasku. Splunął z obrzydzeniem.

Wciąż dzierżył w prawej dłoni swój dwuręczny topór, ale nie był w stanie go ruszyć. Coś musiało go przytrzasnąć. Puścił więc jego rękojeść i zaczął macać rękami ziemię dookoła siebie, by po chwili zdać sobie sprawę, że znajduje się w jakiejś niewielkiej, ciasnej przestrzeni. Jego palce natknęły się po omacku na głowę Perrilla.

– Pomóż mi! – jęknął Robert.

Hook nie odezwał się ani słowem.

Sięgnął ręką za siebie i uświadomił sobie, że jedna ze stropowych belek runęła w dół tylko jednym końcem i pozostawiła mu ten niewielki fragment przestrzeni, w której siedział skulony i przynajmniej mógł oddychać. Belka stała teraz ukośnie i właśnie ten nieociosany dębowy konar wpijał mu się w grzbiet.

– Co mam robić? – spytał na głos Nick.

– Jesteś niedaleko od powierzchni ziemi – rzekł święty Kryspinian.

– Musisz mi pomóc! – zawołał Perrill.

„Jeśli się ruszę, zginę” – pomyślał Hook.

– Nick! Pomóż mi! – jęczał Perrill. – Błagam!

– Po prostu unieś się lekko w górę – podpowiedział mu święty Kryspinian.

– Okaż trochę odwagi! – dorzucił święty Kryspin, jak zwykle ostrzejszym nieco tonem.

– Na miłość boską, pomóż mi! – jęczał wciąż Perrill.

– Przesuń się w prawą stronę – doradził święty Kryspinian – i przestań się lękać.

Hook poruszył się wolno i delikatnie. Ziemia zaczęła się osypywać.

– A teraz zacznij kopać i wydostań się na powierzchnię – rzekł święty Kryspinian – niczym kret.

– Ale krety giną – odparł Nick i już miał zacząć opowiadać, jak chwyтали je w pułapkę, zatykając ich podziemne korytarze i wykopując przerażone zwierzęta, ale święty nie chciał tego słuchać.

– Ty nie zginiesz – rzekł zamiast tego, z lekka zniecierpliwionym tonem – jeśli tylko zaczniesz wreszcie kopać!

Hook zaczął więc całym ciałem pchać się do góry, rozgrzebując obiema rękami ziemię, która się rozstąpiła, zapychając mu usta, i chciał krzyknąć, ale nie mógł, więc odepchnął się z całych sił nogami, a wtedy ziemia zapadła się wokół niego i już był pewien, że przyjdzie mu tutaj zginąć, gdy wtem, nagle i zupełnie nieoczekiwanie, odetchnął świeżym powietrzem. Jego niedoszły grób był bowiem dosyć płytki i przypominał raczej cienki całun zawalonej ziemi, a teraz Nick oswobodził się już od pasa w górę i ze zdumieniem stwierdził, że nawet nie zapadła jeszcze na dobre noc. Zdawało mu się przy tym, że pada deszcz, lecz niebo było czyste i wtedy zdał sobie sprawę, że to Francuzi strzelają z kusz z barbakanu i z na wpół zburzonych murów obronnych Harfleur. Nie mierzyli jednak do niego, lecz do ludzi wyglądających z angielskich okopów i zza lochy.

Hook stał wciąż po pas w ziemi. Sięgnął w dół obok swej prawej nogi i złapał za skórzany kaftan Roberta Perrilla. Pociągnął w górę, a warstwa ziemi okazała się dostatecznie luźna, by mógł wydobyć krztuszącego się łucznika na światło dogasającego dnia. Nagle bełt z kuszy wbił się w ziemię o kilka cali od Nicka, który natychmiast zastygł w bezruchu.

Znajdował się w czymś, co przypominało nieregularny okop, którego wysokie krawędzie zapewniały mu pewną osłonę przed pociskami Francuzów. Obrońcy miasta wiwatowali. Widzieli, jak zawalił się tunel i dostrzegli, że Anglicy usiłują uratować wszystkich, którzy mogli przeżyć tę katastrofę, więc teraz słali w zapadające z wolna ciemności grad bełtów, aby powstrzymać ludzi spieszących na ratunek zasypanym.

– O Boże! – westchnął Robert Perrill.

– Przecież żyjesz – rzekł Hook.

– Co teraz, Nick?

– Teraz musimy czekać – odparł łucznik.

Robert Perrill zakrztusił się i splunął ziemią.

– Czekać?

– Nie możemy się ruszyć, póki nie zrobi się ciemno – wyjaśnił Nick. – Strzelają do nas.

– A co z moim bratem?!

– Uciekł – rzekł Hook. Sam zastanawiał się raczej, co się stało z sir Edwardem. Czy głębsza część korytarza też się zawaliła? A może Francuzi wybili wszystkich w tunelu? Obrońcy Harfleur wydrążyli własny podkop powyżej miny Anglików, by nagle spaść na nich z góry i Hook mógł sobie tylko wyobrazić gwałtowne starcie, śmierć zbierającą swe żniwo w ciemnościach i rozpacz ludzi umierających w tym gotowym grobie. – A ty chciałeś mnie zabić – rzekł do Roberta Perrilla.

Tamten nie odpowiedział. Siedział teraz na podłodze dawnego wykopu, ale jego nogi wciąż były przywalone ziemią. Stracił też swój miecz.

– Chciałeś mnie zabić – stwierdził raz jeszcze Hook.

– Nie ja, tylko mój brat.

– Ty miałeś miecz w ręku – odrzekł Nick.

Perrill otarł twarz z błota.

– Przepraszam, Nick – wykrztusił w końcu.

Hook parsknął tylko śmiechem i zamilkł.

– Sir Martin powiedział, że dobrze nam zapłaci – przyznał Perrill.

– To twój ojciec? – rzucił szyderczo Nick.

Perrill zawahał się, po czym skinął głową.

– Tak.

– Chce mnie zabić, bo mnie nienawidzi?

– Twoja matka go nie chciała – odparł Perrill.

Hook się zaśmiał.

– Za to twoja się skurwiła – rzekł oschle.

– Powiedział jej, że pójdzie za to do nieba – wyjaśnił Perrill. – Że jeśli zrobisz to z księdzem, to pójdiesz do nieba. Tak właśnie jej powiedział.

– On jednak jest szalony! – orzekł stanowczo Hook. – Kompletnie obłąkany!

Perrill zignorował tę uwagę.

– Dał jej wtedy pieniądze, a zresztą ciągle jej daje. Nam też zapłaci.

– Żebyście mnie zabili? – spytał Hook. Tymczasem Francuzi bardzo starali się zaoszczędzić sir Martinowi fatygi. Bełty z kusz wciąż dudniły głucho po angielskich umocnieniach i wbijały się w ziemię, a niektóre wpadały, koziołkując, do prowizorycznego okopu, jaki powstał z zawalonego tunelu.

– On chce mieć twoją kobietę – rzekł Robert Perrill.

– Ile ma wam zapłacić?

– Po marce – odparł Perrill, gotów teraz nagle pomóc Hookowi.

Marka. Sto sześćdziesiąt pensów lub trzysta dwadzieścia, jeśli liczyć obydwu braci. Równowartość pięćdziesięciu trzech dni żołądu łuczника. Taka była cena życia Nicka i niedoli Melisandy.

– Więc macie mnie zabić – upewniał się jeszcze Hook – a potem wziąć moją dziewczynę?

– On tego chce.

– A to nikczemny i obłąkany łotr! – stwierdził Nick.

– Ale potrafi też być dobry – rzekł patetycznym tonem Perrill. – Pamiętasz córkę Johna Luttocką?

– Pewnie, że pamiętam.

– Zabrał ją z rodzinnego domu, ale w końcu zapłacił za nią Johnowi. Dał mu jej wiano.

– Sto sześćdziesiąt pensów za to, że ją zgwałcił?

– Nie! – zawołał Perrill, wyraźnie zmieszany tym pytaniem. – Myślę, że dał mu ze dwa funty, a może nawet więcej. John był zadowolony.

Ciemności zapadały coraz szybciej. Francuzi czekali wcześniej z naładowanymi działami na moment, kiedy ich podkop dotrze do angielskiego tunelu, i teraz strzelali raz za razem z murów Harfleur. Nad miastem unosiły się kłęby dymu, niczym czarne, burzowe chmury, zasnuwając i tak już mroczne niebo, a od masywnych ścian lochy odbijały się z głuchym jękiem armatnie pociski.

– Robert! – zawołał ktoś z okopu przy wejściu do tunelu.

– To Tom! – rzekł Robert Perrill, rozpoznawszy brata po głosie. Już zaczerpnął tchu, by mu odpowiedzieć, lecz Hook zatkał mu usta dłonią.

– Bądź cicho! – warknął. Bełt z kuszy wpadł do okopu i uderzył płasko w jego kolczugę.

Wytracił już impet i teraz odbił się tylko gdzieś na bok, podczas gdy następny pocisk wykrzesał snop iskier z leżącej w pobliżu bryły krzemienia. – I co teraz będzie? – spytał Hook, odetkawszy Perrillowi usta.

– Co masz na myśli?

– Zabiorę cię stąd do naszych, a ty znów będziesz próbował mnie zabić.

– Nie będę! – rzekł Perrill. – Wyciągnij mnie stąd, Nick! Nie mogę się ruszyć!

– Więc co teraz będzie? – spytał raz jeszcze Hook. Bełty z kusz wbijały się w dębowe bale lochy z taką częstotliwością, że brzmiało to jak grad bębniący po drewnianym dachu.

– Nie zabiję cię – rzekł Perrill.

– I co ja mam zrobić? – zapytał Hook.

– Proszę cię, Nick, wyciągnij mnie stąd! – błagał Perrill.

– Nie do ciebie mówiłem. Co mam teraz zrobić?

– A jak myślisz? – spytał szyderczym tonem święty Kryspin, bardziej surowy z dwóch braci męczenników ze Soissons.

– Ale to morderstwo! – rzekł Hook.

– Nie zabiję cię! – zapewnił raz jeszcze Perrill.

– Naprawdę myślisz, że ocaliliśmy tę dziewczynę tylko po to, żeby teraz ktoś ją zgwałcił? – spytał święty Kryspinian.

– Wyciągnij mnie z tego błota! – rzekł Perrill. – Błagam cię, Nick!

Zamiast tego Hook wyciągnął rękę i namacał jeden z francuskich bełtów, długości jego przedramienia. Pocisk był gruby jak dwa kciuki, a lotki zrobione miał ze sztywnych, skórzanych pasków. Grot był pordzewiały, lecz wciąż ostry.

Zabił nim Perrilla w najprostszy możliwy sposób. Najpierw mocno uderzył go w głowę i zanim zaskoczony łucznik otrząsnął się po tym ciosie, wbił mu bełt w oko. Wszedł gładko, ocierając się nieznacznie o oczodół, lecz Hook nadal wpychał grube drzewce w mózg Perrilla, aż pordzewiały grot zazgrzytał o potylicę. Łucznik szarpał się i podrygiwał, krztusił się i drżał, ale i tak dość szybko wyzionął ducha.

– Robert! – zawołał Tom Perrill z angielskiego okopu przy wejściu do tunelu.

Bełt z espringoli trafił w murowane palenisko, stojące pośród wypalonych ruin jakiegoś



domostwa. Odbił się w górę i koziółkując w zapadających ciemnościach, przeleciał ponad angielskimi okopami, by spaść na ziemię gdzieś daleko za nimi. Hook wytarł sobie swą zranioną dłoń o kaftan Roberta Perrilla, pozbywając się papki, która bluznęła z oczodołu zabitego, po czym do reszty oswobodził się z ziemi. Teraz była już prawie noc, a resztki dziennego światła nadal przesłaniał dym armatnich wystrzałów. Nick ostrożnie przeszedł nad trupem i z trudem powlókł się ku losze, czując, jak jego nogi bardzo wolno odnajdują swą dawną siłę. Obok niego świstały bełty z kuszy, ale Francuzi strzelali już teraz na oślep, więc udało mu się bezpiecznie dotrzeć do celu. Idąc, trzymał się jeszcze potężnej bocznej ściany osłony wejścia do tunelu, a potem, wiedząc, że jest już bezpieczny, osunął się do okopu. Natychmiast jego pokrytą błotem twarz oświetliły latarnie i zaczęli mu się przyglądać jacyś ludzie.

– Ilu naszych przeżyło? – spytał jeden ze zbrojnych.

– Nie wiem – odparł Hook.

– Masz! – rzekł jakiś ksiądz, podając mu dzbanek. Nick pociągnął długi łyk. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak strasznie chciało mu się pić, dopóki nie skosztował piwa.

– A co z moim bratem? – spytał Thomas Perrill, który także znalazł się w grupie otaczających go ludzi.

– Nie żyje. Zabił go bełt z kuszy – odrzekł krótko Hook, podnosząc wzrok na podłużną twarz Perrilla. – Dostał prosto w oko – dodał brutalnie. Perrill spojrzał mu w oczy, a wtedy przez niewielki tłumek w okopie przy wejściu do tunelu przedarł się sir John Cornewaille.

– Hook!

– Żyję, panie!

– Ale wcale na to nie wyglądasz. Chodź – rzekł sir John, po czym złapał Nicka za ramię i powiódł go w stronę obozowiska. – Co tam się stało?

– Spadli na nas z góry – odrzekł Hook. – Właśnie wychodziłem z tunelu, kiedy zawalił się strop.

– I ciebie też przysypało?

– Tak, panie.

– Ktoś cię naprawdę musi bardzo kochać, Hook.

– Pewnie święty Kryspinian – odrzekł łucznik, po czym w świetle obozowego ogniska ujrzał Melisandę i padł jej w ramiona.

A potem, w ciemnościach, śniły mu się koszmary.

Następnego ranka zaczęli umierać ludzie sir Johna. Jako pierwszy wyzionął ducha jeden ze zbrojnych oraz dwóch łuczników, wszyscy trzej powaleni przez chorobę, która zamieniała człowiekowi wnętrzności w rynsztok pełen brudnej wody. Zmarła też Alicja Godewyne. Chorych było ponadto jeszcze tuzin zbrojnych i co najmniej dwudziestu łuczników. Plaga ta siała spustoszenie w całej armii i nad angielskim obozowiskiem unosił się fetor kału, a Francuzi co noc podwyższali jeszcze swe szańce, a o świcie ludzie wlekli się na stanowiska dział i do okopów, gdzie wymiotowali i opróżniali wnętrzności.

Zachorował również ojciec Krzysztof. Melisanda zastała go w jego namiocie, leżącego we własnych odchodach i zbyt słabego, aby się ruszyć. Cały dygotał i twarz miał pobladłą.

– Zjadłem trochę orzechów – oznajmił jej.

– Orzechów?

– *Les noix* – wyjaśnił głosem podobnym do cichego jęku. – Nie wiedziałem...

– Czego ojciec nie wiedział?

– Medycy mówią mi teraz, że nie powinno się jeść orzechów ani kapusty. Przynajmniej nie wtedy, kiedy wokół krąży to choróbsko. A ja zjadłem trochę orzechów.

Melisanda obmyła go.

– Jeszcze bardziej się od tego pochoruję – skarżył się, lecz był zbyt słaby, żeby jej przeszkodzić. Umyła go więc i znalazła mu jakiś koc, który jednak zrzucił, kiedy w ciągu dnia upał stał się nie do zniesienia. Znaczna część doliny, w której leżało Harfleur, była nadal zalana i gorąco zdawało się parować nad płytkiej wody, sprawiając, że powietrze stało się gęste jak para. Działa wciąż strzelały, choć nieco rzadziej, gdyż zaraza dotknęła także holenderskich kanonierów. Nikt zresztą nie mógł czuć się bezpiecznie. Zachorowali nawet ludzie z najbliższego otoczenia króla, choroba powaliła wielkich lordów, a aniołowie śmierci na swych mrocznych skrzydłach wciąż unosili się nad angielskim obozem.

Melisanda nazbierała trochę jeżyn i wyblagała odrobinę jęczmienia u kucharzy sir Johna. Gotowała to wszystko razem, aż wchłonęło wodę, a potem posłodziła uzyskaną w ten sposób papkę miodem i karmiła nią ojca Krzysztofa łyżka po łyżce.

– Pewnie umrę – rzekł do niej ledwie słyszalnym głosem.

– Nie – odparła stanowczo. – Nie umrze ojciec.

Do namiotu ojca Krzysztofa przybył nawet nadworny medyk samego króla, mistrz Colnet. Był to mężczyzna młody i bardzo poważny, o bladym obliczu i niewielkim nosie, którym obwąchał stolec ojca Krzysztofa. Nie powiedział jednak, co też zdołał ustalić na podstawie jego zapachu, i zamiast tego zręcznie otworzył żyłę na ramieniu księdza i upuścił mu sporo krwi.

– Specyfiki tej dziewczyny ojcu nie zaszkodzą – stwierdził przy tym.

– Niech ją Bóg błogosławi – rzekł cicho ojciec Krzysztof.

– Król posyła ojcu wino – oznajmił mistrz Colnet.

– Proszę podziękować jego wysokości w moim imieniu.

– To wyborny trunek – oświadczył Colnet, wprawnymi ruchami bandażując skaleczone ramię – lecz nie zdołał pomóc biskupowi.

– Biskup Bangoru nie żyje?

– Nie Bangoru, lecz Norwich. Zmarł wczoraj.

– Dobry Boże! – zawołał ojciec Krzysztof.

– Jemu też upuściłem krwi – rzekł mistrz Colnet – i sądziłem, że przeżyje, ale Bóg zrządził inaczej. Zajrzę do ojca jutro.

Ciało biskupa Norwich zostało poćwiartowane, a następnie gotowano je w wielkim kotle, aby mięso odeszło od kości. Potem tę ohydną, parującą jeszcze ciecz wylano, a kości zawinięto w płótno i zabito gwoździami w trumnie, którą zniesiono na brzeg morza, aby można było zabrać biskupa do kraju i pochować w diecezji, której za życia tak starannie unikał. Większość zmarłych wrzucano po prostu do dołów wykopanych wszędzie tam, gdzie tylko znalazł się skrawek ziemi położony na tyle wysoko, żeby grobu nie zalewała woda. Lecz w miarę jak umierało coraz więcej ludzi, zaprzestano i tego, a jedynie układano zwłoki u ujścia rzeki, gdy był odpływ, lub wrzucano do płytkich strumieni, gdzie pozostawały na łasce dzikich psów, mew i wieczności. Angielski obóz wypełniał teraz trupi odór, fetor kloaki i zapach tłących się ognisk.

Rankiem drugiego dnia po tym, jak Hook z trudem wydostał się z zawałonego tunelu, na murach Harfleur dał się nagle słyszeć huk wielu armat. Garnizon załadował wszystkie swe działa, a teraz oddał z nich tryumfalną salwę, spowijając gęstym dymem fortyfikacje zniszczonego miasta. Obrońcy wiwatowali, powiewając szyderczo swymi sztandarami.

– Przedarł się do nich jakiś okręt – wyjaśnił sir John.

– Okręt? – spytał Hook.

– Na miłość boską, wiesz chyba, co to takiego okręt!

– Ale jak?

– Nasza przeklęta flota spała w najlepsze, i tyle! Teraz te cholerne łotry mają żarcie. Niech ich diabli wezmą! – krzyknął Cornewaille. Zdawało się, że Bóg przeszedł jednak na stronę Francuzów, gdyż umocnienia Harfleur, choć uszkodzone i częściowo zburzone, były wciąż naprawiane i odbudowywane. Za zniszczonymi starymi murami wyrastały nowe i każdej nocy garnizon pogłębiał fosę i wznosił kolejne przeszkody na gruzach dawnych murów. Nie malało również natężenie ostrzału z kusz, co dowodziło, iż miasto było dobrze zaopatrzone lub też że statek, który ominął angielską blokadę, przywiózł nowy zapas bełtów. Tymczasem coraz więcej Anglików zaczynało chorować. Sir John wsadził głowę do namiotu ojca Krzysztofa i spojrzał na swego cierpiącego kapelana.

– Co z nim? – spytał Melisandę.

Dziewczyna wzruszyła tylko ramionami. Na ile Hook był w stanie stwierdzić, ksiądz był już martwy, gdyż leżał nieruchomo na wznak, z na wpół otwartymi ustami, a jego skóra miała bladozielony odcień.

– Oddycha? – spytał sir John.

Melisanda skinęła głową.

– Ocal nas, Boże! – zawołał sir John i wycofał się z namiotu. – Ocal nas! – powtórzył raz jeszcze i zaczął przypatrywać się miastu. Harfleur powinno było paść już przed dwoma tygodniami, lecz oto broniło się nadal, a gruzy jego murów i baszt osłaniały nowe barykady, wznoszone tuż za nimi przez obrońców.

Były też jednak dobre wiadomości. Sir Edward Derwent dostał się do niewoli i przebywał w Harfleur, podobnie jak Dafydd ap Traharn. Angielscy parlamentariusze, powróciwszy do obozu po kolejnej nieudanej próbie skłonienia garnizonu do kapitulacji, opowiadali o tym, jak poddali się ludzie schwytni w pułapkę w najgłębszej części tunelu. Zawalony podkop porzucono już na dobre, choć na wschód od miasta, gdzie oblężeniem kierował brat króla, drażono wciąż miny w kierunku murów. Najlepsza wiadomość brzmiała jednak tak, że Francuzi nie podejmowali prób odblokowania miasta. Angielskie patrole krążyły daleko po okolicy w poszukiwaniu ziarna i nigdzie nie było widać ani śladu nieprzyjacielskiej armii, zmierzającej pod Harfleur, aby dobić osłabionych chorobą Anglików. Wyglądało więc na to, że miasto pozostawiono własnemu losowi, choć teraz wydawało się raczej, że to oblegający wyginą prędzej pod jego murami.

– Tyle pieniędzy – rzekł ponuro sir John – a zdołaliśmy jedynie przejść kilka mil, aby stać się panami cmentarzysk i kloacznych dołów.

– To czemu po prostu stąd nie odejdziemy? – spytał Hook. – Czemu nie ruszymy dalej?

– Cholernie głupie pytanie! – odburknął sir John. – Miasto może się poddać lada chwila! A w dodatku spogląda na nas cały chrześcijański świat! Jeśli odstępimy od oblężenia, będzie się wydawało, że jesteśmy słabi. Ponadto, nawet gdybyśmy rzeczywiście ruszyli w głąb kraju, wcale nie jest powiedziane, że od razu zmierzmy się z francuską armią. Francuzi nauczyli się respektu dla angielskich wojsk i wiedzą, że najlepszy sposób, żeby się nas szybko pozbyć, to pozamykać się w swych warownych zamkach. Mogłoby się zatem okazać, że zwinęliśmy to oblężenie tylko po to, by rozpocząć kolejne. Musimy zatem zdobyć to przeklęte miasto!

– To czemu nie ruszymy do szturmu? – spytał Hook.

– Bo wówczas stracimy zbyt wielu ludzi – odrzekł sir John. – Spróbuj to sobie wyobrazić, Hook. Kusze, espringole i działa, a wszystko to strzela do nas, gdy ruszamy do ataku, dziesiątkując nas przy zasypywaniu fosy. Potem przedzieramy się przez gruzy murów obronnych, tylko po to, by zastać tam kolejną fosę i nowy szaniec i znowu znaleźć się w zasięgu kusz, dział i katapult. Nie możemy sobie pozwolić na setkę zabitych i czterystu okaleczonych. Przybyliśmy tutaj, aby podbić Francję, a nie po to, żeby zdechnąć w tej parszywej, cuchnącej dziurze! – Kopnął ze złością w wyschniętą i twardą ziemię, a potem spojrzął na morze, gdzie u wejścia do przystani stało na kotwicy sześć angielskich statków. – Gdybym to ja dowodził garnizonem Harfleur – rzekł posępnym tonem – wiem, co bym teraz zrobił.

– Co takiego, panie?

– Zaatakowałbym nas – rzekł sir John. – Dokopałbym nam właśnie teraz, kiedy jesteśmy tacy słabi. Mówimy o rycerskości, Hook, a nawet bywamy rycerzcy. Walczymy tak układnie! Lecz chcesz wiedzieć, jak wygrać bitwę?

– Walcząc nieczysto, panie?

– Walcząc plugawie, Hook. Walcząc jak sam Szatan i posyłając całą tę rycerskość do diabła! A on nie jest głupcem.

– Kto? Diabeł?

Sir John pokręcił głową.

– Nie, Raoul de Gaucourt. Dowódca garnizonu – rzekł Cornewaille, skinąwszy głową w stronę Harfleur. – To prawdziwy dżentelmen, Hook, ale także i wojownik. I, jak już mówiłem, nie jest głupcem. I gdybym to ja był Raoulem de Gaucourt, to właśnie teraz bym nam porządnie dokopał.

I następnego dnia Raoul de Gaucourt tak właśnie zrobił.

– Wstawaj, Nick! – wrzasnął Thomas Evelgold. Setnik uderzył dłonią w lepiankę Hooka z taką siłą, że na Nicka i Melisandę posypały się zeschnięte liście i grudki ziemi. – Wstawaj, do cholery! – ryknął znów Evelgold.

Hook otworzył oczy w całkowitych ciemnościach.

– To ty, Tom? – zawołał, ale setnik pobiegł już dalej, aby budzić pozostałych łuczników.

Ktoś inny pokrzykiwał na ludzi, każąc im się zbierać.

– Pancerze! Broń! Szybko! Już, do cholery! Chcę was tu wszystkich widzieć i to już! Natychmiast!

– Co się dzieje? – spytała Melisanda.

– Nie wiem – odparł Hook. Zaczął po omacku szukać kołczugi. Gdy wkładał ją przez głowę, smród skórzanej lamówki był wprost nie do zniesienia. Ściągnął wreszcie nieporęczny pancerz na pierś.

– Gdzie mój pas?

– Tutaj – odparła Melisanda, unosząc się na klęczki. W obozie rozpalano na nowo ogniska i ich płomienie odbijały się czerwono w jej szeroko otwartych ze zdumienia oczach.

Hook założył krótką opończę z krzyżem świętego Jerzego, godłem, które musiał nosić każdy człowiek w angielskich okopach. Wciągnął buty, te porządne niegdyś buty, zakupione jeszcze w Soissons, które jednak rozłaziły się już na szwach. Zapiął pas, jednym ruchem wyjął łączysko z pokrowca i chwycił kołczan. Do dwuręcznego topora przywiązaną miał długą, skórzaną pętlę i teraz założył ją przez ramię, po czym wybiegł z lepianki w ciemność.

– Wróć tutaj! – krzyknął jeszcze do Melisandy.

– *Casque!* – zawołała za nim dziewczyna. – *Casque!* – Odwrócił się i wziął od niej hełm. Poczł nagłą chęć, by powiedzieć jej, że ją kocha, lecz Melisanda znikła już na powrót w lepiance, więc tego nie zrobił. Czuł, że noc ma się już ku końcowi. Gwiazdy świeciły blado, co oznaczało, że już niebawem świt zaróżowi niebo nad upartym miastem. Teraz jednak dostrzegł przed sobą ogromne

zamieszanie. W angielskich okopach wzbijały się wysoko w górę jaskrawe języki ognia, rzucając dziwaczne cienie na zrytą pociskami i rozkopaną ziemię.

– Do mnie! Do mnie! – krzyczał sir John, stojący przy największym z obozowych ognisk. Łucznicy zbierali się szybko, lecz zbrojni, którzy potrzebowali więcej czasu, żeby włożyć płytowe zbroje, schodzili się wolniej. Sam Cornewaille zrezygnował ze swego drogiego płytowego pancerza i odziany był tak jak łucznicy – w kolczugę i kaftan.

– Evelgold! Hook! Magot! Candeler! Brutte! – wołał. Walter Magot, Piers Candeler i Thomas Brutte byli to pozostali dwudziestnicy.

– Tu jestem, panie! – odkrzyknął Evelgold.

– Dranie zrobili wypad – rzucił spiesznie sir John. To tłumaczyło całe zamieszanie, wrzawę i szczęk stali, dobiegający z wysuniętych angielskich stanowisk. Garnizon Harfleur zorganizował wycieczkę, aby zaatakować lochę i stanowiska dział. – Musimy łotrów pozabijać – rzekł sir John. – Będziemy atakować prosto w kierunku dawnego wejścia do tunelu. Przynajmniej niektórzy z nas, ale nie ty, Hook! Wiesz, gdzie stoi *Dzikus*?

– Wiem, panie – odrzekł Nick, poprawiając kłamrę swego pasa. *Dzikusem* nazywano katapultę, wielkie drewniane monstrum, które ciskało gązdy na Harfleur i znajdowało się najbliżej morza ze wszystkich oblężniczych machin, na prawym skraju angielskich pozycji.

– Zabierz tam swoich ludzi – rzekł sir John – i posuwajcie się w stronę lochy. Zrozumiałeś?

– Tak, panie – odparł znów Hook. Założył cięciwę, opierając dolny gryf łuku o ziemię i przekładając konopną linę przez wycięcie na drugim końcu łączyska.

– Więc idź! Ruszaj, prędko! – warknął Cornewaille – Pozabijaj tych łotrów! – krzyknął, po czym odwrócił się. – Gdzie mój porządek? Chcę mieć mój porządek! Przynieście mi ten przeklęty porządek!

Hook dowodził teraz szesnastoma ludźmi. Powinno ich być dwudziestu trzech, lecz siedmiu zginęło lub powaliła ich choroba. Zastanawiał się, jak siedemnastu ludzi ma przedrzeć się przez okopy i stanowiska dział, gdzie roilo się od nieprzyjaciół, którzy zorganizowali wypad z zachodniej bramy. Było jasne, że Francuzi zajęli znaczne odcinki angielskich umocnień; gdy Hook prowadził swych ludzi ścieżką wiodącą na południe, widział, jak na stanowiskach dział wybuchały kolejne pożary, a na tle płomieni przemykały ludzkie sylwetki. Po drodze mijał grupy zbrojnych i łuczników, podążające tam, gdzie toczyła się walka. Po chwili słyszał już nawet szczęk oręża.

– Co mamy robić, Nick? – spytał William z Doliny.

– Słyszałeś, co powiedział sir John. Zaczynamy przy *Dzikusie* i nacieramy w kierunku środka naszych linii – odparł Hook i sam był zaskoczony, że jego głos zabrzmiał pewnie. Sir John wydał mu tylko ogólnikowy rozkaz, a i to w pośpiechu, zaś Nick usłuchał go po prostu i poprowadził swych

ludzi we wskazanym kierunku, lecz dopiero teraz usiłował dociec, co tak naprawdę miał zrobić. Cornewaille gromadził właśnie swych zbrojnych i zatrzymał przy sobie większość łuczników, prawdopodobnie po to, by poprowadzić natarcie w stronę okopu przy dawnym wejściu do tunelu, który wpadł widocznie w ręce nieprzyjaciela. Lecz czemu wydzielił oddział Hooka? „Ponieważ – stwierdził w końcu Nick – sir John potrzebował osłony ze skrzydła”. On i jego ludzie byli nagonką i mieli wystawić zwierzynę wprost przed front drużyny Hooka, by jego łucznicy mogli ją powystrzelać. Nick, choć zdał już sobie sprawę, że cały plan jest dość prosty, poczuł jednak przyływ dumy. Przecież sir John mógł wysłać swego setnika, Evelgolda, lub któregoś z pozostałych dwudziestników, z których wszyscy byli od niego starsi wiekiem i stażem, lecz wybrał właśnie jego.

Przy stanowisku *Dzikusa* płonął ogień, lecz nie wzniecili go Francuzi. Były to obozowe ogniska ludzi strzegących okopu, w którym ustawiono katapultę. Ich płomienie oświetlały pośępnie wielkie belki monstrualnej maszyny. Tuzin łuczników, strzegących nocą katapulty, czuwało z napiętymi łukami, a gdy ujrzeli schodzące w dół zbocza postacie, zaczęli mierzyć ze swej broni do Hooka i jego ludzi.

– Święty Jerzy! – ryknął na całe gardło Nick. – Święty Jerzy!

Łuki opadły w dół. Wartownicy byli wyraźnie podenerwowani.

– Co się dzieje? – zapytał Hooka jeden z nich.

– Francuzi zaatakowali.

– Tyle wiem, ale co się dzieje?

– Nie mam pojęcia! – odburknął Hook, po czym odwrócił się, by przeliczyć swoich ludzi. Zrobił to tak, jak dawniej było w zwyczaju w jego kraju, i tak, jak nauczył go jego ojciec: niczym pasterz liczący swe owce. Jeden, dwóch, trzech... Doszedł tak do tuzina i mendla, czyli piętnastu, po czym zaczął rozglądać się za brakującym łucznikiem i nagle ujrzął dwóch. Mendel i dwóch? Potem spostrzegł, że ten siedemnasty jest drobny i niewysoki, a na dodatek w ręku ma kuszę. – Na litość boską, dziewczyno, wracaj do obozu! – zawołał, lecz zaraz zapomniał o Melisandzie, gdyż Tom Scarlet krzyknął ostrzegawczo. Hook błyskawicznie się odwrócił i spostrzegł dużą grupę ludzi biegnących w kierunku katapulty dnem szerokiego okopu, który wił się w jej stronę od najbliższego stanowiska armaty. Niektórzy ze zbliżających się żołnierzy nieśli pochodnie, sypiące wokół snopami iskier, a ich jaskrawe płomienie odbijały się od hełmów, mieczy i toporów.

– Nie noszą krzyży! – ostrzegł Tom Scarlet, mając na myśli to, że żaden z nadbiegających nie miał na sobie godła świętego Jerzego. Istotnie, byli to Francuzi, którzy na widok sylwetek łuczników, widocznych w świetle ognisk płonących w okopie katapulty, wzniesli swój bojowy okrzyk:

– Za świętego Dionizego! Za Harfleur!

– Do łuków! – krzyknął Hook i jego ludzie instynktownie się rozproszyli. – Zabić ich! – wrzasnął jeszcze Nick.



Odległość była niewielka, mniej niż pięćdziesiąt kroków, a napastnicy sami zrobili z siebie łatwy cel, gdyż stali ściśnięci pomiędzy ścianami okopu. Pomknęły ku nim pierwsze strzały, a głuchoe odgłosy grotów przebijających pancerz natychmiast uciszyły ich okrzyki. Łuki wydawały ostry dźwięk, a po każdorazowym zwolnieniu cięciwy następował tylko króciuteńki trzepot, gdy lotki strzały nabierały powietrza. W nocnych ciemnościach pióra pocisków wyglądały jak małe, białe skry, które zatrzymywały się gwałtownie, gdy strzała trafiała w cel. Hookowi wydawało się, że czas zaczął biec wolniej. Wyciągał tylko strzały z kołczana, kładł je na łączysku, unosił łuk, napinał cięciwę i strzelał, nie czując najmniejszego zdenerwowania, żadnego strachu ani uniesienia. Zanim jeszcze wyciągnął pierzasty pocisk z torby, doskonale wiedział, kogo on ugodzi. Celował na wysokości brzucha nadbiegających Francuzów i w świetle pochodni widział potem, jak padają zgięci w pół, gdy kolejne jego strzały trafiały w cel.

Atak Francuzów skończył się tak gwałtownie i nieodwołalnie, jakby nagle wyrosła przed nimi kamienna ściana. Okop był na tyle szeroki, że sześciu ludzi mogło posuwać się naprzód ramię w ramię, lecz po chwili cały pierwszy szereg napastników leżał już na ziemi, naszpikowany strzałami, a następne potykały się na nim i wówczas z kolei dostawały następną salwę. Niektóre strzały odbijały się od płytowej zbroi, lecz inne przechodziły na wylot przez metal, a nawet te, które nie zdołały przebić blach, miały dostateczny impet, by odrzucić człowieka w tył. Gdyby nieprzyjacielem mogli się rozproszyć, być może udałoby im się dotrzeć do stanowiska katapulty, lecz ściany okopu ograniczały im ruchy, a pierzaste grot nadlatywały wciąż z ciemności, aż wreszcie nacierający oddział zawrócił i zaczął uciekać, pozostawiając za sobą mnóstwo zakutych w zbroje ciał. Gdzieniedzie w tej mrocznej masie widać było jeszcze jakieś poruszenie.

– Denton! Furnays! Cobbold! – zawołał Hook. – Wykończcie tamtych drani! Reszta za mną!

Trzej wymienieni łucznicy wskoczyli do okopu, dobyli mieczy i ruszyli w kierunku rannych nieprzyjaciół. Hook tymczasem pozostał na górze, posuwając się wzdłuż okopu ze strzałą na cięciwie. Widział ludzi walczących z sobą wokół dalekiej jeszcze lochy i w szerokim wykopie, w którym ustawione było największe z dział, wielka bomba zwana *Królewską Córką*. Teraz stanowisko armaty stało w ogniu, ale to nie był problem Hooka. On miał za zadanie osłaniać sir Johna z flanki.

Ziemia pod nogami była nierówna i niepewna z uwagi na gęste okopy, a także zryta francuskimi pociskami. Hook co chwilę omijać musiał wielkie głazy miotane przez ogromne katapulty z Harfleur, a także przedzierać się przez ruiny domów, które spalono na samym początku oblężenia, lecz od wschodu sączyło się już wąską strużką blade światło świtu, nikłe, acz wystarczające, by wszystkie te przeszkody rzucały cienie. Wtem tuż obok głowy Hooka świsnęła bełt z kuszy i Nick miał przecucie, że wystrzelono go z najbliższego stanowiska działa, gdzie ustawiona była armata zwana *Zbawicielem*.

– Will! Odwróć uwagę tych drani!

– Jakich drani?

– Tych, którzy zdobyli *Zbawiciela*! – odrzekł Hook, po czym złapał Williama z Doliny za ramię i odwrócił go w stronę stanowiska armaty, które wyglądało jak mroczny cień znajdujący się w odległości dwudziestu kroków przed linią angielskich okopów. Przed ogniem espringoli i dział z murów Harfleur chronił go jeden z tych pomysłowych drewnianych parawanów, który majaczył teraz w ciemnościach wysoko nad okopem, lecz ta obracająca się osłona nie przeszkodziła nieprzyjacielowi w zdobyciu *Zbawiciela*. – Pakujcie do tej dziury tyle strzał, ile tylko dacie radę – powiedział Willowi Hook – tylko przestańcie strzelać, kiedy my tam dotrzemy – dodał, popychając w jego stronę sześciu łuczników. – Macie słuchać Willa – przykazał im. – A ty miej oko na Melisandę – rzekł do przyjaciela, gdyż dziewczyna wciąż była razem z nimi. – Reszta za mną!

Kolejny bełt z kuszy przemknął tuż obok Hooka, lecz jego ludzie poruszali się teraz bardzo szybko. William z Doliny wraz z sześcioma łucznikami skierował się na wschód, aby móc słać strzały do okopu od tyłu, czyli od tej strony, gdzie nie był on osłonięty, podczas gdy Nick z pozostałymi ludźmi popędził naprzód, by zająć stanowisko *Zbawiciela* z flanki. Zeskoczył do szerokiego okopu i poczekał, aż dołączy doń jego sześciu towarzyszy.

– Od tej chwili nie używamy łuków – oznajmił.

– Jak to? Przecież jesteśmy łucznikami! – burknął Will Sclate. Will Sclate wiecznie tylko narzekał. Nie cieszył się nadmierną popularnością w drużynie jako człowiek zbyt ponury na dobrego kompana i za mało błyskotliwy, aby włączać się w nieustanne pogawędki i wzajemne docinki pomiędzy łucznikami, ale za to był wielki i bardzo silny. Wychował się na jednym z majątków sir Johna i jako syn zwykłego robotnika rolnego mógł się spodziewać, że przez całe życie będzie pracował w polu. Lecz Cornewaille bardzo szybko dostrzegł nieprzeciętną siłę chłopca i nalegał, aby ten uczył się posługiwać wielkim bojowym łukiem. Teraz jako łucznik sir Johna Sclate zarabiał znacznie więcej niż jakikolwiek parobek, lecz wciąż był równie powolny i uparty jak gliniaste pola, na których wywijał niegdyś motyką i drewnianym młotem.

– Jesteś żołnierzem – warknął na niego Hook – i będziesz walczył na białą broń.

– Co robimy? – spytał Geoffrey Horrocks. Był to najmłodszy z łuczników sir Johna, zaledwie siedemnastoletni syn sokolnika.

– Załatwimy kilku łajdaków – rzekł Hook. Przewiesił łuk przez plecy, a zamiast niego wziął do ręki topór. – A teraz biegiem! Za mną! Naprzód!

Wdrapał się na przedpiersie okopu, przełaząc przez resztki wypełnionego ziemią wiklinowego kosza, który tworzył w tym miejscu parapet. Widział odblask płomienia na stanowisku *Zbawiciela* i słyszał krótkie, ostre dźwięki zwalnianych cięciw po swojej lewej stronie, gdzie ludzie Williama z Doliny rozstawili się obok kikuta zniszczonego komina. Z okopu przy armacie dał się słyszeć jakiś okrzyk, potem jeszcze jeden, a po nim zgrzyt grotu o bok armatniej lufy. Siedzących tam Francuzów ostrzeliwało siedmiu łuczników. W ciągu jednej minuty mogli z łatwością posłać ku nim sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt strzał i ich pociski migotały w półmroku, wypełniając okop pierzastą śmiercią i zmuszając Francuzów do tego, by przypadli nisko do ziemi w poszukiwaniu

jakiejś osłony.

Hook i jego ludzie zaatakowali teraz nieprzyjaciół z flanki. Francuzi ich nie zauważyli, gdyż wokół nich świsnęły strzały, i trzymali się nisko przy ziemi, aby jak najlepiej się przed nimi chronić. Masywny drewniany parawan doskonale osłaniał *Zbawiciela* od strony Harfleur, lecz stanowisko działa nie zostało jednak przygotowane z myślą o ataku od tyłu i strzały ludzi Willa jedna za drugą wpadały teraz do okopu. Hook przeskoczył parapet z boku okopu, modląc się, żeby Will i jego łucznicy w porę przestali strzelać.

Najwyraźniej jednak przestali, bo żaden z ludzi Hooka nie został ranny pierzastą strzałą. Łucznicy z bojowym okrzykiem na ustach ruszyli za nim, przeskakując wiklinowe kosze, i wciąż jeszcze krzyczeli, kiedy zaczęła się rzeź. Łądując na dnie okopu, Hook wziął szeroki zamach dwuręcznym toporem i jego obciążony ołowiem obuch trafił w hełm jednego ze skulonych wciąż Francuzów i Nick raczej poczuł, niż zobaczył, jak metal ustąpił pod potężnym ciosem, który zmiażdżył hełm, czaszkę i mózg tamtego. Po jego prawej stronie uniósł się nagle jakiś człowiek, lecz Sclate zaraz powalił go na ziemię z pogardliwą łatwością, podczas gdy Hook rozciągnął się jak długi po drugiej stronie armaty. Okazało się, że wpadając do okopu przeskoczył przez lufę *Zbawiciela*.

Teraz uderzył mocno o przeciwległą ścianę okopu, stracił grunt pod nogami i ciężko zwałił się na ziemię. Przez jego żyły przeszedł zimny dreszcz przerażenia. Najbardziej bał się tego, że leży na ziemi i jest prawie bezbronny, a oprócz tego obawiał się, że mógł uszkodzić przewieszony przez plecy łuk, lecz później, gdy przypominał sobie walkę, zdał sobie sprawę, że czuł również bitewne uniesienie. W jego pamięci całe starcie przypominało rozmazany nieco obraz pełen ludzkich wrzasków, błysku nagich ostrzy i szczęku stali, lecz w tym natłoku wrażeń znalazło się też miejsce na zimne wyrachowanie i zdecydowanie, które pozwoliło mu znowu stanąć na nogach, a wówczas ujrzał zbrojnego, stojącego przy ścianie od frontu okopu. Człowiek ten miał na sobie płytowy pancerz, na wpół ukryty pod opończą, na której widniało czerwone serce przeszyte płonąca kopią. W rękę dzierżył miecz. Przyłbicę miał uniesioną, a w jego oczach, w których odbijały się nikłe płomienie porozrzucanych na ziemi pochodni, Hook dojrzał strach, lecz nie poczuł z tego powodu ani krzty litości. „Zabij, bo inaczej ciebie zabiją” – powtarzał zawsze sir John, więc Hook rzucił się na tamtego, trzymając swój topór poziomo oburącz i zupełnie zignorowawszy niemrawy zamach mieczem, jaki usiłował wykonać broniący się Francuz, dźgnął go szydłem w dolną część brzucha. Stalowy szpikulec ześliznął się po dolnej krawędzi napierśnika i zazgrzytał o folgi, pasy blachy noszone na skórzanym kaftanie i mające chronić przed ciosem miecza skierowanym w podbrzusze. Lecz żadne folgi nie były w stanie oprzeć się ciosowi dwuręcznego topora i Hook ujrzał, jak pełne przerażenia oczy Francuza otwierają się coraz szerzej, a jego usta zmieniają się w wielki krater, gdy szydło przebiło stal, skórzany kaftan, koszulkę kolczą, skórę, mięśnie i wnętrzności, by zatrzymać się dopiero na kręgosłupie. Przeciwnik wydał z siebie żałosny jęk, a Nick wznosił bojowy okrzyk, widząc, że jego cios odrzucił tamtego aż na ścianę okopu. Potem pociągnął topór z powrotem ku sobie, lecz stalowy szpikulec utkwiał widocznie w ciele ślaniającego się już na nogach Francuza, więc Hook oparł stopę w wysokim bucie o jego zakrwawioną zbroję i szarpał tak długo, aż uwolnił swój topór. Chciał zadać jeszcze jeden cios, lecz się powstrzymał, widząc, że przeciwnik padł na kolana. Nick błyskawicznie się odwrócił, gotów do obrony przed kolejnym napastnikiem, ale było już po wszystkim. W okopie znajdowało się zaledwie ośmiu Francuzów. Musiał pozostawić ich tutaj

większy oddział, zmierzający w kierunku *Dzikusa*. Gdy jego natarcie zostało powstrzymane celnymi strzałami łuczników Hooka, o tych ośmiu nieszczęśnikach najwyraźniej zapomniano. Ich zadanie polegało na tym, by zniszczyć działo, i widocznie usiłowali je wykonać przy pomocy wielkiego topora, który leżał porzucony obok kołowrotu, służącego do podnoszenia ciężkiego ochronnego parawanu. Sam kołowrót udało im się co prawda porąbać w drzazgi, lecz teraz wszyscy prócz jednego już nie żyli.

– Nie da się zrobić krzywdy takiej armacie byle siekierką! – rzekł szyderczo Tom Scarlet. Jedyne żyjące jeszcze Francuz jęknął.

– Są ranni? – spytał Hook.

– Skręciłem sobie kostkę – oświadczył Horrocks. Chłopak wciąż jeszcze dyszał i oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia lub ze strachu.

– Nic ci nie będzie – rzekł oschle Hook. – Są wszyscy? – spytał. Przy *Zbawicielu* była szóstka jego ludzi, zaś William z Doliny pędził już okopem z Melisandą i swoimi sześcioma łucznikami. Ranny Francuz znów jęknął i podciągnął nogi. Nie miał na sobie zbroi, z wyjątkiem podszytej koszulki koleczej, a Will Sclate wbił ostrze topora głęboko w jego pierś, tak że Iniana podszywka wyszła na wierzch i teraz przesiąknięta była krwią. Hook widział jego rozplątane płuco i połamane żebra. Na ustach rannego pojawiły się bąbelki ciemnoczerwonej krwi, gdy jęknął raz jeszcze.

– Niech mu ktoś oszczędzi cierpień – rozkazał Hook, lecz łucznicy gapili się tylko na niego w bezruchu. – Na litość boską! – rzekł Nick, po czym przeszedł nad zwłokami innego Francuza, przytknął szydło topora do szyi rannego i pchnął jeden jedyny raz, sam wykonując w ten sposób swój rozkaz.

William z Doliny nadbiegł właśnie i zatrzymał się, ze zdumieniem przypatrując się śladom krwawej rzezi w okopie.

– Ostatni raz ci durnie zdecydowali się na wypad! – rzekł. Starał się mówić lekko i swobodnie, naśladując ton sir Johna, lecz głos mu nieco drżał, a jego oczy zdradzały przerażenie.

Melisanda stała tuż za nim. Gapiała się niemo na zabitych Francuzów, potem na krew, ciekącą obficie z dwuręcznego topora Hooka. Potem podniosła wzrok i spojrzała Nickowi w oczy.

– Powinnaś być w obozie – rzekł szorstkim tonem Hook.

– Nie mogę tam zostać sama – odparła dziewczyna. – Ten ksiądz mógłby się pojawić.

– Będziemy jej pilnować, Nick – rzekł William z Doliny głosem, w którym wciąż czuć było napięcie. Postąpił krok naprzód i podniósł jedną z upuszczonych przez Francuzów pochodni, choć już świtało i nie było to konieczne. – Zobaczcie, co zrobili – rzekł.

Przy użyciu swego wielkiego topora Francuzi rozcięli żelazne obręcze na lufie *Zbawiciela*.

Hook wcześniej tego nie zauważył, lecz teraz przekażał się, że dwa z metalowych pierścieni zostały rozrąbane, co oznaczało, że działo nie nadawało się już do użycia, bo gdyby z niego wystrzelono, lufa by się rozprężyła, pękła i pozabijała wszystkich ludzi w okopie. To jednak nie było już Hooka zmartwieniem.

– Przeszukajcie tych drani – nakazał swoim ludziom. Trzej łucznicy, którzy przetrząsali zwłoki pierwszych zabitych tej nocy Francuzów, znaleźli przy nich srebrne łańcuchy, monety, brosze i sztylet o rękojeści wysadzanej drogimi kamieniami. Wszystkie te cenne przedmioty znajdowały się teraz w kołczanie, do którego trafiły teraz kolejne kosztowności. – Później to podzielimy! – zarządził Hook. – A teraz jazda, ruszamy się stąd! Łuki w pogotowiu!

Pomimo upadku jego łuk był nietknięty. Ujął go teraz w lewą dłoń, zawiesił topór na ramieniu i założył strzałę na cięciwę. Wspiął się na boczną ścianę okopu pośród szarego świtu, w którym unosiły się smugi ciemnego dymu.

Ujrzał przed sobą ludzi, walczących zajadle wokół lochy i okopu, w którym stała *Królewska Córka*. Obydwa te stanowiska opanowali Francuzi, lecz z obozu nadbiegło już mnóstwo Anglików, którzy mieli teraz zdecydowaną przewagę liczebną nad uczestnikami nocnego wypadu i krok po kroku spychali ich do tyłu. Na murach Harfleur zabrzmiały trąby, będące dla Francuzów sygnałem, aby przerwali walkę i wycofali się do miasta. Po ciężkich drewnianych balach lochy i ruchomym parawanie osłaniającym bombardę pełzały płomienie. Zbrojni z obydwu stron walczyli tam z sobą zajadle, a przy kolejnych ciosach i pchnięciach ich połyskujące ostrza odbijały światło. Hook zaczął szukać wzrokiem porońca sir Johna i wreszcie dojrzał go po swojej lewej stronie. Zobaczył też, że ludzie Cornewaille'a usiłują właśnie sforsować główną linię okopów, spychając w kierunku miasta dużą grupę Francuzów, stanowiącą teraz lewoskrzydłową formację napastników.

– Strzelać! – krzyknął Hook.

Napiął cięciwę, dociągając ją aż do prawego ucha. Francuzi dostali co prawda sygnał do odwrotu, lecz nie śmieli się odwrócić i zacząć uciekać w obawie przed siedzącymi im na karkach Anglikami, więc stawiali zacięty opór, usiłując zepchnąć ludzi sir Johna z powrotem do okopu. Walczyli przy tym odwróceniu niemal tyłem do Hooka i nie mieli pojęcia, że na ich skrzydle jest kolejny nieprzyjacielski oddział.

– Dobrze celujcie! – zawołał Nick, nie chcąc, by ich groty raziły swoich, po czym zwolnił cięciwę i wyjął z kołczanu kolejną strzałę. Dopiero wówczas, gdy napiął już łuk do połowy, pierwszy z pocisków wbił się w plecy jednego z przeciwników. Hook znowu dociągnął cięciwę aż do ucha i ujrzał, jak jeden z Francuzów odwraca się w kierunku nowego nieprzyjaciela, po czym zwolnił cięciwę i po chwili strzała ugodziła tamtego w twarz, i nagle Francuzi zaczęli pierzchać, załamani niespodziewanym atakiem ze skrzydła.

Tuż przed Nickiem błysnął nagle bełt z kuszy. Po chwili znacznie większy pocisk z espringoli wzbijał niedaleko fontannę ziemi, a na murach Harfleur rozległ się huk działa. Wystrzelony z armaty kamień spadł z łoskotem na ziemię tuż za plecami łuczników, a pomiędzy pióropuszcami dymu mknęło

w ich stronę coraz więcej bełtów z kusz. Pociski trzepotały przy tym głośno i Hook uznał, że ich skórzane lotki musiały się powykrzywiać, być może z uwagi na to, że nieprawidłowo je przechowywano. Bełty może i nie leciały prosto do celu, ale i tak świstały niebezpiecznie blisko Nicka i jego łuczników. Hook spojrział w kierunku barbakanu i dostrzegł nieprzyjacielskich kuszników mierzących do nich ze swego bastionu. Odwrócił się i posłał ku nim strzałę, po czym krzyknął na swoich ludzi:

– Przestańcie strzelać! Wszyscy do okopu!

Francuzi co prawda teraz już wycofywali się w pośpiechu, ale udało im się osiągnąć swój cel, którym było zniszczenie angielskich umocnień. Trzy spośród armat, w tym także *Królewska Córka*, nigdy już nie miały oddać strzału, a w dodatku na całej długości okopów zniszczyli parapety, a także położyli trupem wielu Anglików. Zaś teraz, gdy powracający z wypadu żołnierze pokonywali już głęboką fosę przed okaleczonym barbakanem, stojący na uszkodzonych murach obrońcy szydzili sobie z oblegających. Łucznicy nadal ślali strzały w ślad za umykającymi Francuzami i jeszcze kilku przeszytych nimi napastników osunęło się do fosy, lecz wypad i tak zakończył się powodzeniem. Angielskie umocnienia płonęły, a szyderstwa garnizonu dopiekły oblegającym do żywego.

– Dranie! – powtarzał raz za razem sir John. – Zaskoczyli nas we śnie, łajdaki!

– *Dzikus* jest nietknięty – zameldował ze stoickim spokojem Hook – ale zniszczyli *Zbawiciela*.

– Już my ich zniszczymy, tych przeklętych łotrów! – krzyknął sir John.

– Nikt z naszych nie został ranny – dodał Nick.

– Już my ich poranimy, na Chrystusa! – zaklinał się Cornewaille. Jego twarz wykrzywił gniewny grymas. Oblężenie już i tak się przeciągało, a teraz jeszcze nieprzyjaciel zadał Anglikom kolejny bolesny cios. Sir John aż zatrząsł się ze złości, gdy okopem prowadzono wziętego do niewoli francuskiego rycerza. Przez ułamek sekundy wydawało się nawet, że wyładuje swą wściekłość na tym nieszczęśniku, lecz wówczas dostrzegł Melisandę i w inny sposób dał upust swej frustracji.

– A cóż ona tutaj robi, na litość boską?! – spytał, zwracając się do Hooka. – Chryste Panie, czy ty masz nasrane do łba? Nie możesz się z nią rozstać nawet na jedną cholerną minutę?

– To nie jego wina! – zaoponowała Melisanda. Wciąż miała w ręku kuszę, choć ani razu z niej nie wystrzeliła. – To nie jego wina – powtórzyła. – Nick kazał mi wrócić do obozu, lecz ja go nie posłuchałam.

W końcu kurtuazja Cornewaille'a wobec kobiet wzięła górę nad złością. Wykrztusił z siebie nawet coś, co można by uznać za przeprosiny, a wówczas z kolei Melisanda zaczęła się tłumaczyć, bardzo szybko mówiąc po francusku i machając rękami w kierunku obozu, a kiedy tak perorowała, na twarzy sir Johna na powrót zagościł gniewny grymas. Gdy już skończyła, zwrócił się do Hooka.

– Czemu nic mi nie powiedziałaś?

– O czym, panie?

– O tym, że jakiś łajdak w sutannie jej grozi?

– Sam załatwiam swoje porachunki – odparł ponurym tonem Nick.

– Nie! – krzyknął sir John i dłonią w kolczej rękawicy uderzył łuczника w ramię. – Ty walczysz za mnie, Hook – stwierdził, uderzając go przy tym raz jeszcze – i za to ci płacę. Ale skoro ty walczysz za mnie, ja również walczę za ciebie, rozumiesz? Jesteśmy jedną drużyną! – zawołał tak głośno, że obejrzeli się nawet ludzie stojący w okopie pięćdziesiąt metrów od nich. – Jesteśmy jedną drużyną! Nikt nie może grozić jednemu z nas, bo wówczas grozi wszystkim! Twoja dziewczyna powinna móc swobodnie przechadzać się nago przed całą armią i nikt nie powinien się odważyć jej tknąć, ponieważ ona jest jedną z nas! Ona należy do naszej drużyny! Na Chrystusa, zabiję za to tego świątobliwego łajdaka! Wyrwę mu kręgosłup przez to jego przekłete gardło, a jego pomarszczonego kutasa rzucę psom na pożarcie! Nikt nie będzie nam groził! Nikt!

Gdy jego prawdziwi wrogowie znaleźli się już z powrotem za swymi spowitymi dymem murami, gdzie byli bezpieczni, sir John najwyraźniej nadal szukał zwady. A Hook podsunął mu właśnie wyśmienity pretekst.

Hook patrzył, jak Melisanda karmi ojca Krzysztofa miodem. Ksiądz siedział oparty plecami o baryłkę, która przybyła tu z Anglii wypełniona wędzonymi śledziami. Był chudy jak szkielet, twarz miał bladą i wymizerowaną i widać było, że jest słaby jak pisklę, ale jednak żył.

– Cobbett umarł – rzekł Hook – i Robert Fletcher też.

– Biedny Robert! – westchnął kapłan. – A jak się miewa jego brat?

– Ciągle żyje – odparł Nick – ale jest chory.

– Kto jeszcze?

– Zmarli też Pearson, Hull, Borrow i John Taylor.

– Niechaj Bóg zlituje się nad nimi wszystkimi! – rzekł ksiądz i uczynił znak krzyża. – A zbrojni?

– John Gaffney, Peter Dance i sir Thomas Peters nie – Bóg odwrócił od nas swe oblicze – stwierdził ponuro ojciec Krzysztof. – Czy twój święty wciąż do ciebie przemawia?

– Ostatnio nie – przyznał Hook.

Kapłan westchnął i na krótką chwilę zamknął oczy.

– Zgrzeszyliśmy – rzekł przygnębionym tonem.

– Powiedziano nam, że Bóg jest po naszej stronie – upierał się Hook.

– Wierzyliśmy, że tak jest – stwierdził ksiądz. – Byliśmy o tym przekonani i przybyliśmy tutaj z tym przekonaniem w naszych sercach, lecz Francuzi zapewne też wierzą, że mają Boga za sobą. A teraz Wszechmogący objawia nam swoją wolę. Nie powinniśmy byli tu przyplýwać.

– Owszem, nie powinniście – rzekła stanowczo Melisanda.

– Harfleur w końcu padnie – upierał się Hook.

– Być może tak – przyznał ojciec Krzysztof, po czym zamilkł, gdy Melisanda ścierała strużkę miodu z jego podbródka. – Jeśli Francuzi nie ruszą miastu na odsiecz? Tak, wówczas Harfleur w końcu skapituluje, ale co wtedy? Co zostało z naszej armii?

– Jeszcze wystarczy – odrzekł Hook.

Ojciec Krzysztof zdobył się na pełen znużenia uśmiech.

– Wystarczy, tylko na co? Żeby ruszyć na Rouen i rozpocząć kolejne oblężenie? Żeby zdobyć Paryż? Nawet nie będziemy w stanie się obronić, jeśli Francuzi w końcu tu przybędą! Co zatem zrobimy? Zajmiemy Harfleur i odbudujemy mury obronne, a potem poześlujemy z powrotem do Anglii. Ponieśliśmy porażkę, Hook, gorzką porażkę.

Nick siedział teraz bez słowa. Dało właśnie ognia jedno z ocalałych angielskich dział, a płaski odgłos wystrzału niósł się echem w rozgrzanym powietrzu. Z głębi obozu dobiegał śpiew jakiegoś mężczyzny.

– Nie możemy tak po prostu wrócić do Anglii – oświadczył po chwili Nick.

– Ależ możemy – odparł ojciec Krzysztof – i niemal na pewno tak właśnie zrobimy. Tyle pieniędzy na nic! Owszem, może zajmiemy Harfleur. Lecz ile będzie nas kosztowała odbudowa jego murów? – dodał, wzruszając ramionami.

– Może w takim razie powinniśmy zaniechać oblężenia? – zasugerował markotnym tonem Hook.

Ksiądz pokręcił głową.



– Henryk nigdy się na to nie zdecyduje. Musi odnieść zwycięstwo! W ten sposób udowodni, że Bóg mu sprzyja, a w dodatku, gdyby zwinął oblężenie, wydawałoby się, że jest słaby – rzekł ojciec Krzysztof i na chwilę zamilkł, po czym zmarszczył brew. – Jego ojciec zdobył angielski tron siłą i Henryk obawia się teraz, że inni mogą zrobić to samo, jeśli okaże słabość.

– Niech ojciec lepiej je, a nie gada! – zawołała wesoło Melisanda.

– Zjadłem już dosyć, moja droga – odrzekł kapłan.

– Powinien ojciec zjeść jeszcze trochę.

– I zjem. Jeszcze dziś wieczorem. *Merci*.

– Bóg nie pozwoli ojcu umrzeć – rzekł Hook.

– Może nie chce mnie widzieć w niebie? – zasugerował ojciec Krzysztof, uśmiechając się blado. – Albo chce mi dać czas, abym stał się lepszym kapłanem.

– Jest ojciec dobrym kapłanem – rzekł z zapałem Nick.

– Powtórzę twoje słowa świętemu Piotrowi, gdy mnie zapyta, czy zasługuję na to, by znaleźć się w raju. „Proszę spytać Nicka Hooka” – powiem. A wówczas święty Piotr mnie spyta, kto to taki ten Nick Hook? „Och – odpowiem wówczas – to rabuś, łotr i pewnie morderca, ale i tak proszę go zapytać”.

Hook uśmiechnął się promiennie.

– Teraz już jestem uczciwym człowiekiem, ojcze.

– Niedaleko jesteś od królestwa bożego, młody Hooku, lecz miejmy nadzieję, że upłynie jeszcze wiele długich dni, nim się tam spotkamy. I przynajmniej nie będziemy tam skazani na towarzystwo sir Martina.

Melisanda uśmiechnęła się szyderczo.

– Tchórz z niego. *Un poltron!* – rzekła.

– Większość mężczyzn oblatuje nagle tchórz, gdy stają twarzą w twarz z sir Johnem – rzekł łagodnie ojciec Krzysztof.

– Nie miał absolutnie nic do powiedzenia! – zawołała Melisanda.

Sir John udał się przedtem do obozowiska ludzi lorda Slaytona. Zabrał z sobą Nicka i Melisandę i stanąwszy pomiędzy lepiankami, oświadczył donośnym głosem, iż każdy, kto chce zabić Hooka, może to zrobić tu i teraz.

– Chodźcie i weźcie sobie jego kobietę! – krzyczał sir John. – Kto chce ją mieć?

Łucznicy lorda Slaytona, jego zbrojni i cała obozowa służba zajęta była dotąd czyszczeniem zbroi lub przygotowaniem posiłku, albo po prostu odpoczywała, lecz teraz wszyscy odwrócili się w stronę przybyszów, by móc obserwować to niecodzienne widowisko. Przyglądali mu się jednak bez słowa.

– Chodźcie tutaj i weźcie ją sobie! – wrzeszczał sir John. – Jest wasza! Możecie brać ją po kolei, jak psy kryjące sukę w rui! Dalej! Niezła z niej ślicznotka! Chcecie ją wychędożyć? Jest wasza! – krzyknął i czekał, lecz żaden z ludzi lorda Slaytona nawet nie drgnął. Wówczas Cornewaille wskazał na Hooka. – Możecie mieć ją wszyscy! Tylko najpierw musicie zabić mojego dwudziestnika!

Nadal nikt się nie poruszył. Wszyscy unikali też wzroku sir Johna.

– Któremu z nich płacą za to, żeby cię zabił? – spytał Hooka sir John.

– Temu – odrzekł Nick, wskazując na Toma Perrilla.

– Więc podejdź no tutaj – zachęcał Perrilla sir John. – Chodź i zabij go. Jeśli ci się uda, oddam ci jego kobietę – dodał. Perrill nawet nie drgnął. Stał schowany za plecami Williama Snoballa, który jako rządcą lorda Slaytona miał tu niejaką władzę, ale on także nie śmiał się sprzeciwić sir Johnowi Cornewaille'owi. – Jest tylko jeszcze jeden mały szkopuł – dodał sir John. – Chodzi o to, że nim ją dostaniecie, musicie zabić zarówno Hooka, jak i mnie. Więc dalej! Zmierzcie się najpierw ze mną! – zawołał, po czym dobył miecza i czekał.

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał się ani słowem. Sir Martin przypatrywał się wszystkiemu zza pleców kilku zbrojnych.

– Czy to ten klecha? – spytał Hooka sir John.

– To właśnie on.

– Nazywam się John Cornewaille – krzyknął sir John – i niektórzy spośród was pewnie wiedzą, kim jestem. A Hook to mój człowiek. Mój człowiek, powtarzam! Jest pod moją opieką, tak jak ta dziewczyna! – zawołał i objął ramieniem Melisandę, po czym skierował ostrze miecza w stronę sir Martina.

– Podejdź tutaj, klecho! Tak, ty!

Sir Martin ani drgnął.

– Możesz sam tutaj przyjść – rzekł sir John – albo ja pójde po ciebie i cię tu sprowadzę.

Sir Martin, z twarzą wykrzywioną nerwowym grymasem, odsunął się od zasłaniających go

zbrojnych. Rozejrzał się dokoła, jakby szukał drogi ucieczki, lecz sir John warknął nań, aby podszedł bliżej i tym razem kapłan go posłuchał.

– On jest księdzem – zawołał sir John – więc będzie świadkiem tej przysięgi. Przysięgam na ten miecz i na szczątki świętego Credana, że jeśli Hookowi spadnie choćby włos z głowy, jeśli ktoś go zaatakuje, zrani lub zabije, wówczas ja znajdę i zabiję ciebie – dodał, wskazując na Toma Perrilla.

Sir Martin w tym czasie przypatrywał się sir Johnowi, jakby ten był jakimś dziwowiskiem na ludowym festynie, na przykład krową o pięciu nogach lub kobietą z brodą. Teraz zaś, nadal z wyrazem zmieszania na twarzy, uniósł obie ręce ku niebu.

– Przebacz mu, o Panie! Przebacz!

– Księżu... – zaczął sir John.

– Rycerzu! – przerwał mu sir Martin zaskakująco stanowczym tonem. – Diabeł dosiada jednego rumaka, a Chrystus drugiego. Czy wiesz, co to oznacza?

– Wiem, co oznacza to – rzekł sir John i przybliżył ostrze swego miecza do gardła księdza. – Znaczy to tyle, że jeśli któryś z was, wy łajdaki srające kapuchą i chędożące szczury, choćby tknie Hooka lub jego kobietę, będzie miał ze mną do czynienia! A ja gołymi rękami powyrywam wam z cuchnących zadków wasze obesrane bebechy i postaram się o to, żebyście umierali z wrzaskiem! Zabiję was i pošlę wasze parszywe duszyczki prosto do piekła!

Zapadła cisza. Po chwili sir John schował miecz do pochwy, a rękojeść uderzyła głośno o jej okucie. Spojrzał jeszcze groźnie na sir Martina, usiłując go sprowokować, lecz ten popadł już w typowe dla siebie zamyślenie.

– Chodźmy – rzekł sir John, a gdy już odeszli na tyle daleko, że ludzie lorda Slaytona nie mogli ich słyszeć, roześmiał się głośno. – Załatwione!

– Dziękuję, panie – rzekła Melisanda z wyraźną ulgą na twarzy.

– Ty mi dziękujesz? Ależ ja się tam świetnie bawiłem, dziewczyno.

– Prawdopodobnie rzeczywiście świetnie się bawił – stwierdził ojciec Krzysztof, kiedy opowiedziano mu o całym zdarzeniu. – I bawiłby się jeszcze lepiej, gdyby któryś z nich stanął z nim do walki. On to uwielbia.

– Kto to jest święty Credan? – spytał Hook.

– Święty Credan był Anglosasem – odrzekł ojciec Krzysztof – i kiedy przyszli Normanowie, uznali, że w ogóle nie powinien być świętym, ponieważ był anglosaskim chłopem tak jak ty, Hook, więc spalili jego relikwie, lecz jego kości zamieniły się w złoto. Sir John go sobie upodobał,

zupełnie nie mam pojęcia dlaczego – rzekł i zmarszczył brwi. – Wcale nie jest takim prostym człowiekiem, za jakiego chciałby uchodzić.

– Jest dobrym człowiekiem – rzekł Hook.

– Pewnie masz rację – zgodził się ojciec Krzysztof – ale lepiej, żeby nie słyszał, że tak o nim mówisz.

– Widzę, że wracasz do zdrowia, ojczu.

– Rzeczywiście, a to dzięki Bogu i twojej kobiecie, Hook – odparł kapłan i ujął Melisandę za rękę. – I już najwyższy czas, Hook, abyś zrobił z niej porządną niewiastę.

– Ależ ja jestem porządna – odparła dziewczyna.

– W takim razie pora, byś okiełznała panicza Hooka – stwierdził ojciec Krzysztof. Melisanda spojrzała na Nicka i przez chwilę jej twarz niczego nie zdradzała, po czym nagle skinęła głową. – Może właśnie po to Bóg zachował mnie przy życiu – rzekł kapłan – abym połączył was dwoje małżeńskim węzłem. Zrobimy to zatem, młody Hooku, zanim opuścimy Francję.

Wydawało się, że musi to nastąpić już niebawem, gdyż Harfleur pozostawało wciąż niezdobyte, angielską armię dziesiątkowała epidemia, a rok nieubłaganie miał się ku końcowi. Był już wrzesień. Za kilka tygodni nadejść miały jesienne słoty i chłody, a wówczas, po żniwach, zapasy ziarna zgromadzone zostaną bezpiecznie za murami francuskich twierdz i najdogodniejszy okres do prowadzenia wojennej kampanii dobiegnie końca. Anglikom zaczynało więc brakować czasu.

Anglia wyruszyła na wojnę, którą jednak najwyraźniej przegrywała.

Tego wieczora Thomas Evelgold rzucił Hookowi na barki wielki worek. Nick uchylił się, sądząc, że ten wór go przygniecie, lecz okazał się zdumiewająco lekki i tylko stoczył mu się po ramieniu.

– Pakuły – wyjaśnił setnik.

– Pakuły?

– Pakuły – powtórzył Evelgold – do strzał zapalających. Po jednym pęku strzał dla każdego

łuczniaka. Sir John chce, żeby były gotowe do północy, a przed świtem mamy być w okopach. Brzuchacz szykuje już dla nas gorącą smołę – dodał. Brzuchaczem nazywany był Andrew Belcher, rządcą Cornewaille'a, który nadzorował kuchenną służbę i koniowodnych. – Robiłeś kiedyś strzały zapalające? – spytał setnik.

– Nigdy w życiu – przyznał Hook.

– Użyj myśliwskich grotów, przy wklejce przywiąż garść pakuła, a potem zanurz strzałę w smołę i mierz wysoko. Potrzebujemy po dwa tuziny na głowę – rzekł Evelgold i poszedł zanieść podobne worki pozostałym drużynom, podczas gdy Hook wyciągnął z worka kilka garści tłustych pakuła, które okazały się po prostu kupą nieplukanej strzyży prosto z owczego grzbietu. Ze zwojów wełny wyskoczyła pchła i znikła gdzieś na jego rękawie.

Nick podzielił pakuły na siedemnaście równych części, a każdy z jego łuczników rozdzielił swój przydział na dwadzieścia cztery garście, po jednej na każdą strzałę. Potem Hook pociął kilka zapasowych cięciw, a jego ludzie przywiązali kawałkami konopnego sznurka wiązki brudnej wełny do grotów strzał, po czym ustawili się w szeregu obok kotła Brzuchacza, aby zanurzyć pakuły we wrzącej smołę. Następnie postawili strzały pionowo, aby kleista smoła stężała, opierając je o baryłki lub pnie drzew.

– A co się będzie działo o świcie? – spytał setnika Hook.

– Dziś rano Francuzi nam dokopali – odrzekł ponuro Evelgold – więc jutro rano to my musimy skopać im zadki – wyjaśnił, po czym wzruszył ramionami, jakby nie spodziewał się, że Anglikom uda się zbyt wiele osiągnąć. – Ubył dzisiaj ktoś z twoich ludzi?

– Cobbett i Fletch. Matson też już długo nie pociągnie.

Evelgold zaklął.

– To dobrzy żołnierze! – rzekł przygnębionym tonem. – A teraz umierają, i po co? – spytał i splunął w stronę najbliższego ogniska. – Kiedy smoła wyschnie – ciągnął dalej – trzeba trochę zmierzić pakuły. Łatwiej będą się wtedy zajmować.

Przez całą noc w obozie panował ruch. Do wysuniętego okopu naprzeciw francuskiego barbakanu znoszono faszynę. Były to wielkie naręcza chrustu, obwiązane sznurem, i już sam ich widok dawał jasno do zrozumienia, co się szykuje o świcie. Barbakanu strzegła wypełniona wodą fosa, którą trzeba było zasypać, aby ludzie mogli ją sforsować i zaatakować uszkodzony bastion.

Zbrojni sir Johna otrzymali rozkaz założyć pełne płytowe zbroje. W dniu, w którym nad całą angielską flotą przeleciały łabędzie, co poczytywano sobie za dobry omen, wypłynęło ich z portu w Southampton trzydziestu, lecz teraz zdolnych do służby było zaledwie dziewiętnastu spośród nich. Sześciu już nie żyło, a pozostałych pięciu na zmianę wymiotowało, defekowało i trzęsło się jak w febrze. Giermkowie i paziowie pomagali zdrowym nakładać części pancerza na wyścielane skórzane kaftany, które nasmarowano przedtem tłuszczem, aby ułatwić ruchy noszonym na wierzchu blachom.

Na kaftanach rycerze przypasywali miecze, choć większość z nich wolała iść do boju z dwuręcznym toporem lub krótką kopią. Kapelan sir Williama Portera słuchał spowiedzi i błogosławił ludzi szukających się do bitwy. Sir William był najbliższym przyjacielem Cornewaille'a, a także jego towarzyszem broni, co oznaczało, iż ci dwaj walczyli ramię w ramię, a także poprzysięgli sobie chronić się nawzajem, zapłacić okup za drugiego, gdyby jakimś niefortunnym zrzędzeniem losu dostał się do niewoli, oraz otoczyć opieką wdowę po swym druhu, gdyby któryś z nich miał zginąć. Ze swą wychudłą twarzą i bladymi oczyma sir William wyglądał raczej na człowieka rozmiłowanego w nauce. Nim ukrył swe włosy pod hełmem o osłonie twarzy profilowanej na zwierzęcy pysk, widać było również, że łysieje. Człowiek ten wydawał się nie na miejscu w zbroi, jakby urodził się do tego, by siedzieć w bibliotece lub też na sądowej sali. A jednak sir John wybrał go na swego towarzysza broni, a to bardzo wiele mówiło o jego odwadze. Poprawił hełm i podniósł w górę przyłbicę, po czym nerwowo skinął głową na powitanie łucznikom Cornewaille'a.

Łucznicy ci również byli opancerzeni i uzbrojeni od stóp do głów. Większość z nich, tak jak Hook, miała na sobie wyściełaną koszulkę kolczą, z metalowymi płytkami naszytymi na kolczugę. Na głowach nosili hełmy, a niektórzy także kaptury kolcze, czepce z kolczugi zakładane pod hełm i opadające aż na ramiona. Ich lewe przedramiona osłaniały karwasze, a ponadto uzbrojeni byli w miecze i mieli po trzy kołczany, z których dwa zawierały okręcone pakułami strzały zapalające. Oprócz łuku niektórzy woleli mieć przy sobie zwykły topór, lecz większość, tak jak Hook, wybrała dwuręczną wersję tej broni. Wszyscy ludzie w angielskim obozie, zarówno wielcy lordowie, rycerze i zbrojni, jak i prości łucznicy, nosili na opończach czerwony krzyż świętego Jerzego.

– Bóg z wami! – pozdrowił sir William łuczników, którzy półgłosem odwzajemnili powitanie.

– I niech diabli wezmą Francuzów! – dorzucił sir John, wychodząc pośpiesznie ze swego namiotu. Był w świetnym humorze i oczy mu błyszczały na myśl o czekającej go walce. – Tego ranka czeka nas bardzo proste zadanie! – rzekł lekceważąco. – Musimy tylko odebrać łajdakom ten barbakan! Załatwmy to zatem jeszcze przed śniadaniem!

Melisanda dała Hookowi plaster bekonu i kawałek chleba, który zjadł, kiedy drużyna sir Johna schodziła gęsiego w dół zbocza, zmierzając do okopów. Wokół wciąż jeszcze panowały ciemności. Od wschodu wiał chłodny i ożywczy wiatr, niosący z sobą zapach słonych bagnisk, który zabijał duszący trupi odór. Strzały grzechotały w kołczanach, gdy łucznicy posuwali się naprzód krętą ścieżką. W okopach żarzyły się ogniska, podobnie zresztą jak na szanćach Harfleur, gdzie – o czym Hook już doskonale wiedział – obrońcy z pewnością usuwali szkody powstałe poprzedniego dnia.

– Niech was Bóg błogosławi! – zawołał jakiś ksiądz, gdy mijał go długi rząd łuczników. – Niechaj będzie z wami i niech was strzeże!

Francuzi musieli widocznie wyczuć, że coś niedobrego wisi w powietrzu, gdyż ze swych dwóch katapult wystrzelili ponad mury dwa lekkie pociski zapalające. Były to wielkie kule ze szmat i innego łatwopalnego materiału, nasączone smołą i siarką, które obracały się w powietrzu i sypały wokół iskrami, lecąc szerokim łukiem na tle nocnego nieba, po czym spadły pośród wielkich jęzorów ognia, które buchnęły w górę, gdy tylko obwiązane wikliną kule dotknęły ziemi. Płomienie zaczęły

odbijać się w hełmach ludzi stojących w angielskich okopach i refleksy te skłoniły francuskich kuszników na murach miasta do otwarcia ognia. Wkrótce nad głowami Anglików zaczęły przelatywać ze świtem ich bełty. Słysząc było też głucho uderzenia pocisków o parapety okopów. Z murów dobiegały również głośne obelgi, które jednakże wykrzykiwano teraz jakby bez przekonania, jak gdyby obrońcy byli już znużeni i nie tak pewni siebie.

W angielskim okopie panował tłok. Łucznikom ze strzałami zapalającymi kazano stanąć w pierwszym szeregu. Za nimi czekali na sygnał inni łucznicy z wiązkami faszyny. Atak miał poprowadzić sir John Holland, kuzyn króla, choć znowu, tak jak wówczas, gdy stał na czele rozpoznawczego oddziału lądującego na wybrzeżu przed inwazją, towarzyszył mu jego ojczym, sir John Cornewaille.

– Kiedy wydam rozkaz – rzekł teraz młodszy sir John – łucznicy zaczną ostrzeliwać barbakan strzałami zapalającymi. Ten bastion ma stanąć w płomieniach!

W okopie co kilka metrów poustawiano metalowe kosiaki, pełne płonącego węgla morskiego, który wydzielał intensywny zapach.

– Utopcie ich w morzu płomieni! – rozkazał łucznikom sir John Holland. – Wykurzcie ich stamtąd jak szczury! A kiedy dym ich oślepi, zasypimy fosę i weźmiemy barbakan szturmem! – zawołał. W jego ustach rzecz cała przedstawiała się prosto.

Pozostałe jeszcze angielskie działa załadowano głazami obtoczonymi w smole. Holenderscy kanonierzy czekali teraz przy nich z zapalonymi lontami. Oczekiwanie na świt dłużyło się w nieskończoność. Obrońcy zmęczeni już strzelaniem z kusz, a ich obraźliwe okrzyki, tak jak grad bełtów, stopniowo ustały. Obie strony czekały. W angielskim obozie rozległo się pianie młodego koguta i już niebawem słysząc było szczebiot kilkudziesięciu ptasich gardeł. Giermkowie z pękami zapasowych strzał czekali w aproszach za główną linią okopów, gdzie księża odprawiali msze i słuchali spowiedzi. Ludzie przyklękali kolejno i przyjmowali komunię wraz z bożym błogosławieństwem.

– Odpuszczone są grzechy twoje – rzekł kapłan półgłosem do Hooka, który miał nadzieję, że tak jest w istocie. Nie wypowiedział się jeszcze z tego, że zamordował Roberta Perrilla, i kiedy brał do ust hostię, zastanawiał się, czy to oszustwo skaże go na wieczne potępienie. Omal nie wyznał swej winy, lecz ksiądz przyzywał już do siebie następnego łucznika, więc Nick wstał i oddalił się. Oplątek przykleił mu się do podniebienia i Hook zmówił żarliwą, bezgłośną modlitwę do świętego Kryspiniana. Zastanawiał się przy tym, czy Harfleur ma swojego świętego patrona i czy ów święty błaga teraz Boga, by zgładził Anglików.

Jakieś poruszenie w okopie kazało Hookowi obejrzeć się w tamtym kierunku. Ujrzał króla przedzierającego się przez gęste szeregi. Henryk miał na sobie pełną płytową zbroję, ale nie założył jeszcze hełmu. Jego napierśnik i naplecznik przykrywała oponcza, na której świeciły jaskrawo królewskie barwy, a na nich widniał krzyż świętego Jerzego. Król dzierżył w ręku wojenny topór o szerokim ostrzu, zaś w przypasanej pochwie tkwił jego miecz. Nie miał żadnej tarczy, ale tak samo

było w przypadku wszystkich rycerzy i zbrojnych. Ich płytowy pancerz zapewniał im dostateczną ochronę i okute żelazem tarcze należały już do reliktyw dawno minionych dni. Król uprzejmie skinął głową łucznikom.

– Zdobądźcie ten barbakan – mówił, przechodząc wzdłuż okopów – a miasto niechybnie padnie. Bóg z wami! – powtarzał, przedzierając się przez gąszcz swych żołnierzy wraz ze swym giermkim i dwoma zbrojnymi. – Pójdę z wami – oznajmił, gdy zbliżał się do Hooka. – Jeśli Bóg chce, abym władał Francją, będzie nas strzegł! Bóg z wami! I dotrzymajcie mi towarzystwa, chłopcy, gdy będziemy odbierać to, co nam się według prawa należy!

– Załóżcie cięciwy – rzekł sir John Holland, gdy król już poszedł dalej. – Niebawem się zacznie!

Hook zaparł o prawą stopę jeden koniec wielkiego łączyska i wygiął je tak, by móc założyć cięciwę na wycięcie w górnej części.

– Strzelajcie zapalającymi strzałami wysoko do góry! – ryknął na całe gardło Thomas Evelgold. – Nie możecie napinać łuku do oporu, bo poparzycie sobie lewą dłoń! Strzelajcie wysoko, mówię! I pamiętajcie, żeby smoła porządnie się rozpalila, zanim spuścicie cięciwę!

Blady zrazu świt stawał się coraz jaśniejszy. Hook, spoglądając przez szczelinę pomiędzy dwoma koszami uszkodzonego parapetu, widział wyraźnie, że barbakan jest jedną wielką ruiną. Połączone żelaznymi obręczami ogromne dębowe pnie, które niegdyś tworzyły potężną palisadę, były połamane i powyginane od ognia armatniego, lecz nieprzyjaciel na bieżąco uzupełniał luki kolejnymi pniami, tak że teraz cały ten wysunięty bastion przypominał nieregularny pagórek naszpikowany drewnianymi balami. Jego górna platforma, która wznosiła się przedtem na wysokość blisko trzynastu metrów, sięgała teraz ledwie połowy tej wysokości, choć nadal barbakan stanowił dla napastników bardzo poważną przeszkodę. Przednia ściana pagórka była stroma, fosa głęboka, a na szczycie szanca znalazłoby się miejsce dla czterdziestu lub pięćdziesięciu kuszników i zbrojnych. Z pogruchotanej przedniej ściany zwisały chorągwie z wizerunkami świętych i herbami obrońców. Co pewien czas spomiędzy drewnianych bali wyglądała twarz w hełmie, gdyż ludzie na nierównej platformie na szczycie bastionu wypatrywali spodziewanego szturmu.

– Kiedy działa dadzą ognia, zaczynacie strzelać zapalającymi strzałami! – przypomniał swym ludziom sir John Cornewaille. – To właśnie sygnał dla was! Strzelajcie miarowo! Jeśli zobaczycie, że ktoś próbuje gasić pożary, zabijcie drania!

Węgłe w najbliższym kosiaku osunęły się i w górę wzbił się jęzor płomienia, a wokół prysnął cały rój iskier. Obok kosza przycupnął młody giermek z garścią drewna na podpałkę, które miał położyć na węglach, aby rozniecić płomień, od którego łucznicy mieli zapalać nasączone smołą strzały. Ponad słonym bagnem, gdzie do wzbierających podczas przyływu strumieni wrzucano ciała zmarłych, krążyły stada mew. Tak oto te normandzkie ptaki tuczyły się na zwłokach Anglików. W zeschniętych ustach Hooka wciąż jeszcze tkwił opłatek.



– Lada chwila się zacznie – rzekł sir William Porter, jakby miało to przynieść pociechę wyczekującym na sygnał do ataku ludziom.

Nagle rozległ się jakiś zgrzyt i Nick, spojrzawszy w lewo, zobaczył, jak obracano kołowrót unoszący parawan przed lufą najbliższego z dział. Francuzi też to spostrzegli i bełt z espringoli nadleciał ze świstem z murów Harfleur, i wbił się z łoskotem w podnoszącą się właśnie osłonę armaty. Jeden z kanonierów odsunął kosz szańcowy sprzed poczerniałej od prochu paszczy działa.

Rozległ się huk armatniego wystrzału.

Smoła, którą powleczony był pocisk, zapaliła się w wyniku eksplozji prochu, tak że wystrzelony z armaty gładził jak wiązka bladego światła, gdy wypadł z chmury dymu i pomknął nad zrytą pociskami ziemią, by uderzyć z trzaskiem w barbakan.

– Teraz! – krzyknął sir John Holland, a młody giermek cisnął drwa na rozżarzone węgle, aż z kosiaka buchnął wysoki, jasny płomień.

– Uważajcie, żeby strzały się nie dotykały! – przestrzegał łuczników Evelgold, gdy wetknęli pierwsze pociski w rozpalony właśnie ogień. Rozległy się kolejne armatnie wystrzały. Jeden z tworzących barbakan pni pękł z trzaskiem i po stromym zboczu zeszła istna lawina ziemi. Hook czekał, aż nasączona smołą wiązka pakuł rozpali się jak należy, a potem założył strzałę na cięciwę. Bał się, że jesionowe drzewce może się przepalić, więc szybko napiął łuk, krzywiąc się z bólu, gdy płomień sparzył mu lewą dłoń, po czym wycelował wysoko i od razu spuścił cięciwę. W stronę barbakanu szybowwały już inne płonące pociski, lecąc wolno i niezgrabnie, by opaść z wysoka na francuski bastion. Jego własna strzała zeskoczyła z cięciwy i trzepocząc lotkami, pomknęła w stronę barbakanu, wlokąc za sobą smugę iskier. Spadła jednak zbyt blisko, nie doleciawszy nawet do celu. Inne wbijały się z hukiem w potrzaskane belki barbakanu. Pomiędzy łucznikami a ich celem unosił się niczym całun armatni dym.

– Strzelajcie dalej! – nakazał sir John Holland.

Hook wyjął z torby gałganek, którym wcierał wosk w łączysko, i owinął nim swą lewą dłoń, aby chronić ją przed poparzeniem. Jego druga strzała trafiła już w cel, wbijając się w jeden z połamanych dębowych pni. W bladym świetle wczesnego poranka płonące pociski wyglądały jak ognisty deszcz i tu i ówdzie na barbakanie widać już było języki ognia, podczas gdy wciąż trafiały weń kolejne strzały. Nick widział obrońców uwijających się na swych prowizorycznych szańcach i zgadywał, że Francuzi polewają wodą ziemię na frontowej ścianie barbakanu, więc wyjął kolejny myśliwski grot i posłał go do celu szybko i pewnie. Potem wypuścił swą ostatnią zapalającą strzałę i spostrzegł, że na uszkodzonym bastionie rozprzestrzeniają się pożary, a w bardzo wielu miejscach wznoszą się w górę pióropusze dymu. Ogień dosięgnął też jednej z chorągwi i płótno buchnęło nagle jaskrawym płomieniem. Nick posłał jeszcze trzy strzały w kierunku bastionu i właśnie wtedy kilka metrów od niego rozległ się w okopie dźwięk trąbki, a ludzie z wiązkami faszyny przepchnęli się obok niego, wspięli na parapet okopu i popędzili przed siebie.

– Łucznicy, za nimi! – krzyknął sir John Holland. – Osłaniajcie ich!

Łucznicy i zbrojni wypełzli z okopu. Teraz Hook mógł strzelać nad głowami biegnących przed nim ludzi, mierząc do kuszników, którzy nagle tłumnie wylegli na spowity kłębam dymu parapet barbakanu.

– Strzały! – ryknął Nick i jakiś giermek przyniósł mu pełny kołczan. Strzelał teraz niemal instynktownie, śląc grot za grotem w ciżbę obrońców, ledwie widocznych w gęstniejącym dymie. Znad skraju fosy słychać było przeraźliwe krzyki. Najwyraźniej ginęli tam ludzie, lecz niesione przez nich wiązki faszyny zasypywały z wolna głęboki rów.

– Za Henryka i świętego Jerzego! – wrzeszczał sir John Cornewaille. – Chorąży!

– Tutaj jestem! – odkrzyknął giermek, któremu przypadł zaszczyt niesienia proporca sir Johna.

– Naprzód!

Zbrojni ruszyli wraz z sir Johnem i wznosząc bojowe okrzyki, posuwali się naprzód po nierównej, zrytej pociskami i wypalanej ziemi. Za nimi podążali łucznicy. Wciąż słychać było dźwięk trąbki. Po obydwu stronach ludzi Cornewaille'a do ataku szli inni żołnierze. Łucznicy, którzy zasypywali fosę, odskoczyli teraz na boki i ostrzeliwali nieprzyjaciół na bastionie. Jednak bełty z kusz także zbierały swoje żniwo. Jeden z ludzi sir Johna otworzył nagle usta, chwycił się za brzuch i nie wydawszy nawet jęku, zgiął się w pół i padł na ziemię. Innemu, zresztą synowi hrabiego, spod hełmu ciekła krew, a z otwartej przyłbicy sterczał bełt. Człowiek ten zatoczył się i padł na kolana. Odtrącił jednak pomocną dłoń Hooka i z bełtem tkwiącym wciąż w zdruzgotanej twarzy, zdołał wstać i ruszył znów naprzód.

– Krzyczcie głośniej, mięczaki! – zawołał Cornewaille i napastnicy wznieśli nierówny i ochryply bojowy okrzyk na cześć świętego Jerzego. – Głośniej, mówię!

Nad jednym z dział na murach Harfleur wzbił się w górę pióropusz cuchnącego dymu, a jego pocisk przemknął ukośnie przez nierówny teren, przez który parli naprzód Anglicy. Któryś ze zbrojnych trafiony został w udo i okręcił się w miejscu, podczas gdy wysoko na jego opończę trysnęła krew. Głaz mknął dalej, rozpruwając po drodze brzuch jakiegoś giermka, i ociekając kroplami krwi, znikł wreszcie gdzieś ponad bagnem. Jakiemuś łucznikowi pękło z trzaskiem napięte do oporu łączyisko i człowiek ten zaklął szpetnie.

– Nie dajcie łajdakom ochłonać! Zabijcie wszystkich! – ryczał sir John Cornewaille, zeskakując na wypełniające fosę wiązki faszyny.

Teraz już bojowe okrzyki nie milkły ani na chwilę, gdy pierwsze szeregi nacierających posuwały się niepewnie po nierównym podłożu z faszyny, która nie zdołała zasypać fosy do końca. Z szańców mknęły ku nim ze świtem bełty z kusz, a w dodatku obrońcy użyli teraz głazów i drewnianych kłód, które ciskali w dół z wysokiego parapetu swego bastionu. Kolejne dwa działa dały ognia z murów, wzbijając pióropusze dymu, lecz ich pociski spadły za plecami atakujących, nie

czyniąc nikomu krzywdy. W Harfleur odezwały się trąby, a z murów obronnych miasta posypały się bełty z kusz. Dopóki napastnicy trzymali się blisko barbakanu, nie groziły im wystrzelwane z murów pociski. Niektórzy jednak usiłowali wdrapać się na uszkodzone boczne ściany bastionu, a wówczas obrońcy miasta widzieli ich jak na dłoni.

Hook wystrzelał cały kołczan, mierząc do obrońców na szczycie barbakanu, po czym zaczął się rozglądać za jakimś giermkim z zapasem strzał, lecz nie dostrzegł wokół żadnego.

– Horrocks! – krzyknął na najmłodszego ze swych łuczników. – Idź i poszukaj strzał!

Nagle ujrzał rannego łucznika z jakiejś innej drużyny, siedzącego na ziemi kilka kroków dalej, więc zabrał z jego kołczanu garść strzał, przytrzymując jedną kciukiem lewej dłoni na łączysku. Pod barbakanem widać było angielskie proporce, a większość zbrojnych wdzierała się już na dolną część nasypu, usiłując wspiać się wyżej pomiędzy językami płomieni, które wznosiły się w górę, oslepiając obrońców. Wyglądało to jednak tak, jakby próbowali wejść na strome zbocze osypiska, i to osypiska, na którym szalały płomienie i wił się gęsty dym. Francuzi wznosili wciąż bojowe okrzyki. Ich najgroźniejszą bronią były teraz kamienie, które ciskali w dół frontowej ściany bastionu, i Hook ujrzał, jak jeden ze zbrojnych spada ze zbocza z hełmem na wpół zmiażdżonym przez wielki głaz. Pod barbakanem znajdował się widocznie sam król, a w każdym razie na tle dymu połyskiwał jaskrawo jego proporzec, i Nick zaczął się zastanawiać, czy to nie Henryk był tym człowiekiem, który spadł przed chwilą z szanca z potrzaskanym hełmem. Co by się stało, gdyby król poległ? Lecz Henryk przynajmniej był tam, w ogniu walki, i Hook poczuł przyływ dumy, że Anglia ma króla-wojownika, a nie jakiegoś na wpół obłąkanego monarchę, który opina swe ciało rzemieniami, ponieważ sądzi, że jest ze szkła.

Proporzec sir Johna znajdował się teraz po prawej stronie barbakanu, gdzie niebawem dołączyły doń trzy dzwony – godło na sztandarze sir Williama Portera. Hook krzyknął na swych ludzi, by podążyli za nim, i pobiegł na skraj fosy. Zeskoczył na wiązki faszyny, lądując na zwłokach człowieka w płytowej zbroi. Bełt z kuszy przeszył jego kaptur kolczy, rozbryzgując wokół krew z przebitego gardła. Ktoś zdążył już zabrać zabitemu miecz i hełm. Nick przeszedł chwiejnym krokiem po nierównych wiązkach faszyny i podciągnął się na przeciwległy brzeg, gdzie unosił się gęsty dym. Wypuścił jeszcze trzy strzały, a potem położył na łączysku swój ostatni pierzasty pocisk. Ogień rozprzestrzeniał się na bastionie, w miarę jak płomienie trawiły potrzaskane belki barbakanu, i te pożary, mające za zadanie oslepić obrońców, stały się teraz przeszkodą dla napastników. Ponad głową Hooka świstały strzały, co dowodziło, że giermkowie znaleźli i przynieśli łucznikom nowy ich zapas, lecz teraz Nick za bardzo palił się do tego, by wziąć udział w szturmie, aby miał zawrócić i ponownie napełnić swój kołczan. Pobiegł na prawo, przeskakując zabitych i nie zwracając uwagi na przelatujące tuż obok niego bełty z kusz. Ujrzał sir Johna, usadowionego dość ryzykownie okraciem na szczycie kilku złączonych żelaznymi obręczami pni, skąd spoglądał w górę na urągających napastnikom Francuzów. Jeden z obrońców wychynął na moment sponad szanćów, unosząc ponad głowę wielki głaz, którym miał zamiar cisnąć w sir Johna, więc Hook przystanął, napiął łuk, zwolnił cięciwę i pierzasta strzała ugodziła tamtego w pachę. Francuz wolno się obrócił i padł do tyłu, niknąc mu z oczu.

Porywisty podmuch wschodniego wiatru rozwał nagle dym przesłaniający skraj barbakanu po jego prawej stronie i Hook ujrzał tam jakiś otwór, wyłom w ścianie na wpół zwalonej wieży, która strzegła podejścia do bastionu od strony morza. Zarzucił łuk na plecy i chwycił dwuręczny topór. Biegając, wydawał jakieś okrzyki i nie przestawał krzyczeć nawet wtedy, gdy wskoczył na boczną ścianę barbakanu, rozpaczliwie szukając oparcia dla stóp w stromym zboczu z gruzu i ziemi. Znajdował się na skraju zniszczonego fortu, skąd widać było południowy odcinek murów Harfleur, strzegący przystani. obrońcy miasta również go widzieli i bełty z ich kusz zaczęły dudnić głucho o drewniane bale barbakanu, lecz Hook zdołał się już ukryć na niewielkiej półce ziemi i gruzu, osłoniętej zwalonymi belkami. Jednak w kryjówce tej, niewiele większej od nory dzikiego psa, nie miał właściwie miejsca, by się poruszyć. „I co teraz?” – zastanawiał się Nick. Bełty z kusz wbijały się ze świstem tuż za jego płytkim legowiskiem. Słyszał okrzyki walczących i zdawało mu się, że to Francuzi krzyczą teraz głośniejsze, co dowodziło, że szala zwycięstwa przechyla się na ich stronę. Hook wychylił się nieco ze swej kryjówki, usiłując dojrzeć sir Johna, lecz w tej samej chwili podmuch wiatru przyniósł wielki obłok dymu, który przesłonił jego punkt obserwacyjny.

Lecz tuż po swojej prawej stronie, bliżej środka bastionu, zdołał jednak dostrzec metalowe obręcze, które opasywały niegdyś trzy potężne pnie, i uznał, że to doskonała drabina, po której można wspiąć się w górę. Dym ukrył go przed oczyma obrońców, więc bez namysłu skoczył w kierunku obręczy, chwytając się lewą ręką pni, podczas gdy jego stopy znalazły wątkie oparcie na jednym z metalowych pierścieni. Potem uniósł swój dwuręczny topór i zahaczył go o najwyższą obręcz, po czym zaczął mozolnie piąć się w górę. Dotarł już prawie na szczyt bastionu, a Francuzi nadal go nie zauważyli z uwagi na gęsty dym, a także ze względu na to, że cały czas obserwowali wrzeszczących Anglików, usiłujących sforsować frontową ścianę barbakanu, gdzie zbocze było najłagodniejsze. W ciżbę zbrojnych i łuczników sypał się grad bełtów, kamieni i połamanych belek, a w odpowiedzi spośród kłębow dymu wyłaniały się ze świstem angielskie strzały.

– Hook! – dobiegł go nagle z dołu czyjś donośny głos. – Hook, ty draniu, wciągnij mnie na górę!

Był to sir John Cornewaille. Nick opuścił w dół dwuręczny topór, czekając, aż sir John mocno uchwyci się obucha, po czym pomógł mu podciągnąć się na dębowe pnie.

– Nie pchaj się przede mnie, Hook! – warknął sir John. – A co ty w ogóle tutaj robisz, na Boga? Przecież masz szyć do tych łajdaków z łuku!

– Chciałem tylko zobaczyć, co jest po drugiej stronie tej rudery – odrzekł Nick. Po drewnianych balach pełzały płomienie, zbliżając się niebezpiecznie do stóp sir Johna.

– Chciałeś zobaczyć... – zaczął Cornewaille, po czym wybuchnął donośnym śmiechem. – Zaczynam się, cholera, przypiekać. Podciągnij mnie trochę wyżej – rzekł. Hook, znów przy pomocy topora, dźwignął sir Johna w górę, tym razem na sam szczyt dębowych pni. Wyglądali teraz jak dwie muchy na nadłamanej i płonącej kolumnie, usadowione tuż poniżej prowizorycznego parapetu, lecz wciąż niewidoczne dla obrońców. – Na Chrystusa i wszystkich Jego chłepczących szczytny świętych, toż to wyśmienite miejsce, by zginąć – rzekł sir John i zsunął z ramienia skórzaną pętlę swego

wojennego topora. – Zamierzasz zginąć tutaj razem ze mną, Hook?

– Na to wygląda, sir Johnie.

– Zuch z ciebie. Zatem podsadź mnie najpierw do góry, a potem wskakuj za mną i zgińmy obaj godnie, Hook. Zgińmy, jak należy!

Nick złapał sir Johna za pas na plecach i, kiedy ten skinął głową, pociągnął go w górę. Cornewaille zniknął na parapecie bastionu, przeleciał przez drewnianą palisadę i wydał swój bojowy okrzyk:

– Za Henryka i świętego Jerzego!

Zaś Hook za Henryka, świętego Jerzego i świętego Kryspiniana podążył w ślad za nim, rycząc przy tym na całe gardło.

– Nie zginiesz tutaj – szepnął święty Kryspinian. Hook ledwie słyszał jego głos, ponieważ wznosił właśnie bojowy okrzyk, w którym strach mieszał się z bitewnym uniesieniem.

Nick i sir John dotarli na sam szczyt barbakanu, gdzie znajdowały się resztki pomostu bojowego. Pociski z angielskich dział i machin oblężniczych zdruzgotały palisadę od czoła bastionu, tak że wypełniające przestrzeń pomiędzy dwoma rzędami pni ziemia i gruz osunęły się częściowo do fosy, przez co chodnik obronny stał się teraz nierówny, usiany odłamkami kłód i kamieni. Natomiast palisada wokół szyi barbakanu, od strony zachodniej bramy Harfleur, była w znacznie lepszym stanie i zasłaniała to, co działo się na jego nieregularnym i poobijanym pociskami szczycie przed oczyma obrońców zajmujących pozycję na murach miasta. Znajdujący się na górze pomost bojowy stanowił teraz właściwie zdradliwy ziemny nasyp naszpikowany kamieniami i płonącymi balami drzewa, na którym wręcz roiło się od nieprzyjacielskich kuszników i zbrojnych. Hook i sir John zaszli ich z lewej flanki, a Cornewaille niezwłocznie rzucił się na wroga niczym anioł zemsty.

Był naprawdę szybki. Właśnie dlatego obawiano się go najbardziej ze wszystkich rycerzy na turniejach w całym chrześcijańskim świecie. Podczas gdy przeciwnik zadawał jeden cios, on potrafił uderzyć dwukrotnie. Hook zdołał to zauważyć, gdyż raz jeszcze miał wrażenie, że czas zwolnił swój bieg. Znalazł się po prawej ręce sir Johna i uświadomił sobie nagle, iż święty Kryspinian przerwał w końcu swe długie milczenie, i poczuł ogromną ulgę na myśl o tym, że męczennik z Soissons wciąż nad nim czuwa. Rzucił się naprzód z dwuręcznym toporem, podczas gdy sir John zadawał krótkie, lecz brutalne ciosy swym wojennym toporem o dwóch ostrzach. Już pierwszy z nich zdruzgotał nakolannik jakiegoś zbrojnego. Drugi, wyprowadzony od dołu, rozplątał brzuch kusznika, a trzeci powalił na ziemię zbrojnego ze złamanym już kolaniem. Inny francuski rycerz odwrócił się, by pchnąć mieczem sir Johna, lecz wówczas dwuręczny topór Hooka wbił mu się w bok, przebijając skraj napierśnika i odrzucając go na tłoczących się za nim Francuzów. Nick napierał nadal z całych sił, spychając go do tyłu i wciągając w ciżbę jego towarzyszy, zaś Cornewaille wydawał z siebie dziwny dźwięk podobny do piania, w którym jednak słychać było radość w najczystszej postaci. Nick

również krzyczał, choć sam nie zdawał sobie z tego sprawy, i wkładał całą swą ogromną siłę łuczника w to, by odpychać nieprzyjaciół, podczas gdy sir John, wykorzystując powstałe zamieszanie, bezlitośnie rąbał, ranił i zabijał wrogów.

Hook usiłował wyszarpnąć swój topór, lecz jego szydło utkwiło najwyraźniej w zbroi Francuza.

– Trzymaj! – rzucił oschle sir John, ciskając mu swój topór, i później, znacznie później, kiedy już było po wszystkim, Nick nie mógł wyjść z podziwu nad zimną krwią i opanowaniem Cornewaille'a w ogniu walki. Sir John dostrzegł, w jakiej sytuacji znalazł się Hook, i przyszedł mu z pomocą, mimo iż sam był wciąż atakowany. Rzucił mu swój topór i, zanim jeszcze łucznik go złapał, zdążył dobyć miecza. Był to zresztą jego ulubiony miecz, ten, który pieszczotliwie nazywał „swoim kochaniem”. Miał on głównie cięższą niż większość kling i na tyle silną, że wytrzymywała nawet potężne pchnięcia wprost w stalowe blachy pancerza. Sir John, zręcznie posługując się swą bronią, nie pozwalał przeciwnikom odzyskać równowagi, pozostawiając teraz Hookowi czarną robotę. Pierwszy cios łucznika zgruchotał czyjś hełm, odrywając z jednej strony całą osłonę twarzy, która zwisała teraz ukośnie.

– Kiepska stal! – rzucił sir John, nie przestając błyskać ostrzem miecza tuż przed nosami cofających się obrońców. Nick zaś wbił topór w czyjś opancerzony brzuch i ujrzał tylko, jak tryska z niego jasnoczerwona krew. – Proporzec! – ryknął Cornewaille. – Przynieście mi ten cholerny proporzec!

Hook stał teraz w szerokim rozkroku, rąbiąc toporem w ciżbę ludzi, którzy prawie nie próbowali się odgryzać. Przeszkadzały im w tym leżące pod stopami ciała, a ponadto już sama zręczność i furia sir Johna napełniła ich trwogą. Jakiś zdecydowany żołnierz mógłby zaatakować dwóch Anglików, uzbrojonych jedynie w miecz i topór, lecz zamiast tego obrońcy usiłowali cofać się przed ich ciosami, podczas gdy stojący z tyłu Francuzi popychali ich do przodu.

– *Trois!* – sir John zaczął liczyć na głos przeciwników, których już zranił lub zabił. – *Quatre!* No dalej, wy przeklęte łajdaki, jeszcze mi mało!

Groźniejszą bronią, ze względu na swą siłę, był jednak topór Hooka. Jego ostrze rozcinało stal niczym pergamin lub wbijało się w ludzkie ciało jak ciężki rzeźnicki tasak. W dodatku wymachując nim, Nick przez cały czas miał na twarzy grymas, który nieprzyjaciele brali za uśmiech, i uśmiech ten przerażał ich bardziej niż samo ostrze. Panujący na pomoście bojowym ścisk uniemożliwiał kusznikom celowanie, podczas gdy ocalała tylna ściana barbakanu, a także wznoszące się nad bastionem kłęby dymu, sprawiały, że francuscy łucznicy z baszt przy zachodniej bramie Harfleur nie widzieli toczącej się na chodniku obronnym walki. Sir John wciąż krzyczał, a Hook wrzeszczał wręcz jak opętany, zaś ostrza ich broni czerwone były od krwi. Nick nie usiłował już teraz zabijać nieprzyjaciół, a jedynie odrzucał ich w tył i powalał na ziemię, chcąc stworzyć żywy mur z ich ciał. Jeden z leżących Francuzów usiłował pchnąć go mieczem od dołu, lecz Hook w porę dostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo, zrobił pół kroku w bok i z całej siły rąbnął toporem w osłonę twarzy tamtego. Usłyszał dźwięk gruchotanej stali, gdy potężne ostrze wtoczyło szczątki pancerza w ciało

przeciwnika, wykonał zamach w drugą stronę, wgniatając napierśnik drugiego z nieprzyjaciół, po czym odepchnął trzeciego Francuza trzymanym oburącz toporem.

– Mój porzecz! – krzyknął znowu sir John. – Niech te łajdaki wiedzą, od czyjego miecza giną! – Nagle na palisadę za ich plecami wygramolił się chorąży Cornewaille'a, a wraz z nim kilku zbrojnych w jego barwach. – Pozabijać tych drani! – wrzasnął sir John, lecz Francuzi i tak mieli już dosyć. Niektórzy wymykali się już z barbakanu przez otwór w jego tylnej ścianie, a inni schodzili czym prędzej po drabinie lub po prostu staczali się ze stromego nasypu powstałego z osypanej ziemi i gruzu, by pośród kłębow dymu pognać ku miejskiej bramie. Poprzez obłoki dymu i pyłu przebijały się właśnie promienie wschodzącego słońca. Anglicy, wznosząc bojowe okrzyki, likwidowali ostatnich obrońców, którzy nie zdołali w porę wymknąć się z barbakanu. Jakiś Francuz wyciągnął rękawicę na znak, że się poddaje, lecz jeden łucznik zwałił go z nóg młotem bojowym o długiej rękojeści, a drugi przyspilił go do ziemi sztyłem dwuręcznego topora.

– Dosyć tego! – rozległ się nagle czyjś władczy głos. – Dosyć, powiedziałem!

– Odłóżcie miecze! – krzyknął sir John. – Stójcie, mówię!

– Bogu niech będą dzięki! – zawołał człowiek, który jako pierwszy kazał powstrzymać rzeź, i Hook ujrzał, że był to sam król. Henryk, z nagim mieczem w ręku, ukląkł nagle na ruinach barbakanu i przeżegnał się. Jego opończa, z godłem w jaskrawych barwach przysłoniętym czerwienią krzyża świętego Jerzego, była nieco nadpalona. Bełt z espringoli uderzył z hukiem w jeden z pni od strony miasta, aż zatrzęsała się cała palisada. – Ugasić pożary! – krzyknął król, powstając z klęczek. Ściągnął hełm i skórzany uszal, a jego krótko przystrzyżone, zmierzwione włosy, sterczały teraz w niewielkich, ciemnych od potu kępkach. – I niech ktoś wreszcie zlituje się nad tym nieszczęśnikiem! – dodał, wskazując na Francuza, który usiłował się poddać, a teraz wił się z bólu i jęczał, podczas gdy folgi tuż poniżej jego napierśnika ociekały krwią. W dolnej części jego brzucha wciąż tkwił dwuręczny topór. Jeden ze zbrojnych dobył noża, namacał szczelinę w zbroi na wysokości gardła konającego i wbił w nią ostrze jednym ruchem ręki, po czym okręcił je jeszcze dookoła. Francuzem wstrząsnęły konwulsje, a z otworów w jego przyłbicy popłynęła krew, po czym skurczył się ostatni już raz i w końcu znieruchomiał. – Bogu niech będą dzięki! – rzekł raz jeszcze król. Jeden z łuczników padł nagle na kolana i Hook myślał, że ma zamiar się modlić, lecz ten zaczął wymiotować. W tylną ścianę barbakanu uderzały bełty z kusz. Ich odgłos przypominał dźwięk cepów na klepisku. Nad barbakanem powiewał już królewski sztandar i ciężki materiał podrygiwał, gdy bełty rozrywały i szarpały tkaninę. – Sir Johnie, jestem ci winien podziękowanie – rzekł król.

– Za to, że spełniłem swój obowiązek, najjaśniejszy panie? – spytał Cornewaille, przyklękając na jedno kolano. – A ten człowiek mi pomógł – dodał, wskazując Hooka.

Teraz Nick także przyklęknął. Król spojrzał nań przelotnie, lecz zdawał się go nie poznawać.

– Dziękuję wam wszystkim – rzucił krótko Henryk, po czym się odwrócił. – Wyślijcie parlamentariuszy! – rozkazał komuś ze swego pocztu. – Każcie Francuzom poddać miasto! I przynieście wodę, żeby ugasić pożary!



Próbowano więc gasić pożary, lecz ogień przeniknął już do wnętrza potrzaskanych pni barbakanu, które tliły się nadal, spowijając zdobyty wreszcie bastion chmurą dławiącego dymu. Jego nierówny pomost bojowy obsadzali teraz angielscy łucznicy, którzy jeszcze tej nocy wytaszczyli na górę *Postańca*, jedno z mniejszych angielskich dział. Wystarczył jeden strzał z armaty, by drewniane wrota zachodniej bramy Harfleur rozpadły się w drzazgi.

Zaraz po zdobyciu barbakanu do bramy podjechali angielscy parlamentariusze, cierpliwie tłumacząc obrońcom, że Anglicy obrócą teraz w ruinę jej potężne wrota i baszty, a zatem upadek Harfleur jest nieunikniony. Przekonywali, że wobec tego garnizon powinien podjąć jedyną rozsądną, a przy tym zgodną z nakazami honoru decyzję, i poddać miasto, unikając dalszego rozlewu krwi. Oświadczyli przy tym, że jeśli Francuzi nie zechcą skapitulować, to zgodnie z boskim prawem każdy mężczyzna, a także każda kobieta i dziecko w Harfleur wydani zostaną na pastwę Anglików.

– Pomyślcie o waszych pięknych córkach – krzyknął jeden z parlamentariuszy do dowódców garnizonu – i poddajcie się, choćby przez wzgląd na nie!

Lecz garnizon nie chciał skapitulować, więc Anglicy wykopali bliżej murów nowe stanowiska dla dział i zasypywali pociskami bezbronną teraz już zachodnią bramę, obracając w kupę gruzów baszty po obydwu jej stronach. Obrońcy nadal jednak nie składali broni, nawet wówczas gdy zawaliło się jej wysokie, kamienne sklepienie.

Tymczasem zaś pierwszy poryw chłodnego wiatru, oznajmiający koniec lata, przyniósł z sobą deszcz.

Nie było natomiast widać końca epidemii i żołnierze Henryka umierali pośród krwi, wymiocin i wodnistego łajna.

A Harfleur pozostawało wciąż w rękach Francuzów.

Wszystko trzeba było zaczynać od początku. Szykowano więc kolejny atak, tym razem na gruzy bramy od strony Leure. Aby zaś uniemożliwić nieprzyjacielowi skoncentrowanie sił na tym południowo-zachodnim krańcu fortyfikacji, wojska księcia Clarence'a równocześnie przypuścić miały szturm na bramę Montivilliers po przeciwnej stronie miasta.

Sir John stwierdził, że tym razem Anglicy wedrą się za mury.

– Te przekłete łotry nie chcą się poddać! Wiecie zatem, co macie później zrobić z tymi

łajdakami! Jeśli coś ma kuśkę – zabić, a jeśli ma cycki – wychędożyć. Wszystko w tym mieście należy do was! Każda moneta, każdy kufel piwa i każda kobieta! To wszystko jest wasze! A teraz idźcie i weźcie to sobie!

I tak szturmujący z dwóch stron napastnicy przedarli się wezbranym strumieniem przez zasypane fosy, podczas gdy z nieba spadał grad strzał, zaś nieustanny odgłos trąb brzmiał niczym wyzwanie, rzucone obojętnemu na wszystko słońcu, a potem rzeź rozpoczęła się na nowo. I znów atakiem dowodził sir John Holland, co oznaczało, że w pierwszym szeregu szli ponownie ludzie sir Johna Cornewaille'a. Angielskie natarcie pozwoliło błyskawicznie opanować ruiny zachodniej bramy i tam, równie gwałtownie, utknęło na dobre.

Brama prowadziła niegdyś wprost na wąską uliczkę, zabudowaną wysokimi, zwieszającymi się nad nią domami, lecz obrońcy rozebrali te budynki, aby oczyścić sobie pole rażenia, a u wylotu ulicy wzniesli nową barykadę, którą osłaniały dotychczas przed pociskami angielskich dział resztki starych murów obronnych i bramy. Wprowadzie *Posłaniec*, ustawiony na szczycie barbakanu, zdołał posłać kilka gładów w kierunku tego nowego szańca, lecz był w stanie oddać jedynie trzy strzały dziennie, zaś pomiędzy kolejnymi wystrzałami Francuzi na bieżąco reperowali uszkodzenia. Nowy mur obronny wzniesiony został z ciosanego kamienia, krokwi dachowych i wiklinowych koszów wypełnionych ziemią i gruzem. Za nim czekali zaś kusznicy i kiedy tylko angielscy zbrojni przedarli się poprzez ruiny zachodniej bramy, powitał ich grad bełtów.

Łucznicy natychmiast odpowiedzieli ogniem, lecz Francuzi tym razem wykazali się sprytem. W nowym szańcu pozostawiono niewielkie szczeliny i otwory, przez które kusznicy mogli bezpiecznie strzelać, nie obawiając się przy tym większości angielskich pocisków. Hook, przycupnąwszy pośród ruin zachodniej bramy, stwierdził, że na każdego strzelającego kusznika przypadało trzech lub czterech innych, którzy naciągali w tym czasie swe kusze, przez co grad bełtów nie ustawał ani na chwilę. Większość kuszników miała szczęście, jeśli udało im się oddać dwa strzały na minutę, lecz bełty ze strzelnic w murze świstały ze znacznie większą częstotliwością, a z wysokich okien na wpeł zrujnowanych domów poza szańcem spadało na nacierających Anglików jeszcze więcej pocisków. Hook zdawał sobie sprawę, że w ten właśnie sposób winno być bronione Soissons.

– Będziemy musieli podciągnąć tutaj armatę – burknął sir John, skulony nieopodal pośród gruzów obronnego muru. Zamiast jednak na to poczekać, poprowadził szturm na barykadę, krzyknąwszy wpierw na swych łuczników, by zasypali ją strzałami. Ci wykonali wprowadzie rozkaz, lecz nadal nie ustawał grad bełtów, które nawet jeśli nie zdołały przebić pancerza, powalały człowieka na ziemię samym swym impetem. Kiedy w końcu pół tuzina zbrojnych dotarło do szańca i usiłowało zburzyć barykadę z drewnianych bali i ciosanego kamienia, ponad jej krawędzią przechylono nagle wielki kocioł i na napastników popłynął strumień wrzącego rybiego oleju. Zawrócili więc, utykając i sapiąc z bólu od oparzeń, a sir John, w zbroi śliskiej od oleju, wrócił wraz z nimi i osunął się na ziemię pośród ruin bramy, gdzie zaczął wyrzucać z siebie istny potok bezsilnych przekleństw. Francuzi tryumfowali. Buńczucznie powiewali sztandarami ponad krawędzią swego nowego, niewysokiego szańca, za którym nieustannie unosiła się chmura rzadkiego dymu, niczym zapowiedź, że kolejny atak przywitany zostanie jeszcze większą ilością wrzącego oleju. Angielskie katapulty usiłowały co prawda miotać wielkie gładzi na nową barykadę, lecz większość

pocisków przelatująca za daleko, spadając z łoskotem pośród i tak zrujnowanych już domów.

Słońce wspięło się wyżej. Pod koniec lata powróciły upały i zarówno napastnicy, jak i obrońcy smażyli się niemiłosiernie w swych pancerzach. Paziowie i giermkowie donosili walczącym wodę i piwo. Zbrojni, odpoczywający pośród ruin zachodniej bramy, pozdejmowali hełmy. Mokra włosy kleiły im się do czaszek, a po twarzach spływał im gęsty pot. Łucznicy kryli się pomiędzy wielkimi głazami, od czasu do czasu posyłając ku Francuzom strzałę, jeśli któryś z nich pokazał się ponad barykadą, lecz przez dłuższy czas obie strony nie strzelały, a jedynie wyczekiwały na dogodny cel.

– Łotry! – burknął sir John i splunął w kierunku nieprzyjaciela.

Nagle Hook spostrzegł, że dwóch obrońców usiłuje zdjąć wypełniony ziemią kosz z górnej części nowej barykady. Uniósł się nieco i posłał ku nim strzałę. To samo zrobiło zresztą bodaj tuzin innych łuczników. Dwaj Francuzi, przeszyci wieloma pociskami, osunęli się w tył, pociągając jednak za sobą wielki kosz, za którym Nick ujrzał paszczę niskiej i przysadzistej armaty i zdążył tylko przywrzeć płasko do ziemi pośród ruin bramy, nim rozległ się huk wystrzału. Powietrze napełnił świst i wrzask, odłamki kamieni pomknęły poprzez kłęby dymu, a jakiś człowiek wydał z siebie straszliwy, przeciągły krzyk, który przeszedł w płaczliwy pisk, gdy francuską barykadę przesłonił obłok gęstego dymu.

– O mój Boże! – krzyknął William z Doliny.

– Jesteś ranny, Will?

– Nie. Po prostu mam już dosyć tego miejsca.

Francuzi załadowali swą armatę mnóstwem niewielkich kamieni, które solidnie pokieroszowały napastników. Nieopodal leżał martwy jeden ze zbrojnych, z niedużym otworem w górnej części hełmu. Jakiś łucznik podążył chwiejnym krokiem w kierunku barbakanu, jedną ręką trzymając się za pusty i krwawiący oczodół.

– Wszyscy tu zginiemy – rzekł Will.

– Nie! – odparł z zapalem Hook, choć sam nie wierzył w to, co mówi. Armatni dym rozwiął się z wolna i Nick spostrzegł, że wypełniony ziemią kosz tkwi już z powrotem na swoim miejscu.

– Dranie! – powtórzył znowu sir John i splunął.

– Nie dajemy za wygraną! – wołał donośnym głosem król. Chciał zgromadzić wielką masę zbrojnych i spróbować sforsować barykadę dzięki samej przewadze liczebnej. Jego ludzie nieśli już stosowne rozkazy Anglikom rozproszonym pośród ruin starego muru obronnego.

– Łucznicy na skrzydła! – zawołał ktoś. – Na skrzydła!

Jakiś francuski trębacz zaczął grać krótką, przejmującą melodię. Składała się ona z zaledwie

trzech tonów, na przemian wznoszących się i opadających, i powtarzających się w kółko. Było w niej coś szyderczego i wyzywającego.

– Zabić drania! – krzyknął sir John, lecz trębacz ukrył się za barykadą.

– No, dalej! – wrzasnął król.

Hook wziął głęboki wdech, po czym rzucił się w swoją prawą stronę. Od strony francuskich umocnień nie pomknął w jego stronę ani jeden bełt. „Garnizon czeka na nasz atak” – pomyślał Nick. Być może Francuzom kończyły się bełty, więc oszczędzali te, które jeszcze im zostały, aby mieć czym przywitać kolejny szturm. Hook ukrył się za fragmentem zburzonego muru i w tej właśnie chwili francuski trębacz stanął na nowej barykadzie i przytknął swój instrument do ust. Nick także wstał, a cięciwa powędrowała aż do jego prawego ucha. Zwolnił ją, a wówczas konopna lina uderzyła ze świstem o karwasz, zaś strzała z lotkami z piór gęsi pomknęła do celu. Ostry grot przeszył krtań trębacza i pocisk sterczał teraz dumnie po obu stronach jego szyi. Wyzywająca trąbka w jego ustach zaskrzeczała przeraźliwie, po czym melodia gwałtownie się urwała, podczas gdy trębacz padł na wznak. Kiedy już zniknął za murem, pozostawiwszy po sobie w powietrzu rzednący rozbryzg krwi i gasnące echo raptownie przerwane hejnału, przemknęło nad nim jeszcze kilka angielskich strzał.

– Dobra robota! Brawa dla tego łucznika! – krzyknął sir John.

Hook czekał. W promieniach słońca, które było niczym rozgrzany do czerwoności wielki piec pośród bezchmurnego nieba, przymglonego nieco jedynie przez postrzępione pióropusze dymu wznoszące się nad oblężonym miastem, dzień stał się jeszcze bardziej upalny. Francuzi przestali w ogóle strzelać, co tylko utwierdziło Nicka w przekonaniu, że oszczędzają pociski z myślą o nieuchronnym szturmie. Pośród gruzów starego muru przemykali księża, udzielając rozgrzeszenia umierającym i błogosławiąc poległych, podczas gdy między zrujnowaną zachodnią bramą a zniszczonym barbakanem zgromadzili się zbrojni pod sztandarami swych panów. Obrońcy musieli widzieć jak na dłoni ten oddział w sile co najmniej czterystu ludzi, lecz mimo tego nadal nie strzelali.

Jeden z paziów sir Johna, dziesięcio- lub jedenastoletni chłopiec z bujnymi lokami jasnoblond i dużymi niebieskimi oczyma, przyniósł łucznikom dwa bukłaki wody.

– Potrzebne nam strzały, chłopcze – powiedział mu Nick.

– Przyniosę – odparł malec.

Hook przytknął bukłak do ust.

– Dlaczego zbrojni nie ruszają? – zastanawiał się głośno. Król zebrał już swój oddział szturmowy, a łucznicy byli na swoich miejscach, lecz najwyraźniej napastników ogarnęło jakieś dziwne znużenie.

– Przybył posłaniec z wiadomością – rzekł niepewnie malec. Był to syn jakiegoś wielmoży, wysłany na dwór sir Johna, by nauczył się rycerskiego rzemiosła. Z czasem bez wątplenia miał stać

się wielkim panem w lśniącej zbroi, dosiadającym rumaka z bogatym rzędem, lecz póki co czuł się nieswojo w towarzystwie groźnych łuczników, którymi pewnego dnia sam będzie dowodził.

– Jaki posłaniec? – spytał Hook.

– Od księcia Clarence'a – rzekł paż, odbierając od niego pusty bukłak.

Księżę, którego obóz znajdował się po przeciwnej stronie miasta, również tego dnia szturmował Harfleur, choć nie było słyhać żadnych odgłosów, które zdradzałyby, że przy odległej, północno-wschodniej bramie toczą się walki.

– I co ten posłaniec nam powiedział? – zapytał pazia Hook.

– Że ich atak się załamał – odrzekł chłopiec.

– Rany boskie! – rzekł z goryczą Nick. A zatem teraz, jak sądził, król czeka, aż jego brat będzie w stanie rozpocząć kolejny szturm, a wówczas Anglicy podejmą ostatnią próbę pokonania upartych obrońców jednoczesnym atakiem ze wschodu i z zachodu. Hook i jego łucznicy musieli więc czekać. Jeśli Henryk posłał bratu jakieś nowe rozkazy, miną co najmniej dwie godziny, nim te do niego dotrą, gdyż goniec będzie musiał objechać szerokim łukiem miasto od północy i przeprowić się łodzią przez rozlaną szeroko rzekę.

– Co się dzieje? – spytał Sclate, tępowy parobek o sile olbrzyma.

– Nie wiem – przyznał Hook. Po twarzy ciekły mu strużki potu, od którego szczypały go oczy. W powietrzu unosił się pył, który osiadł mu w gardle, sprawiając, że znów chciało mu się pić. Światło słoneczne, odbijające się od ułamków kredy ze zburzonych murów, oślepiało i raziło niemiłosiernie. Nick był zmęczony. Zdjął cięciwę, aby ulżyć łączysku.

– Zaatakujemy znowu? – spytał Sclate.

– Myślę, że pójdziemy do ataku, kiedy księżę ruszy do szturm po drugiej stronie miasta – stwierdził Hook. – Pewnie dopiero za kilka godzin.

– Francuzi będą na nas czekali – rzekł posępnym tonem Sclate.

Garnizon z pewnością odpowiednio się przygotowuje na ich przyjęcie. Na żołnierzy noszących czerwony krzyż świętego Jerzego czekały będą działa, kusze, espringole i kotły z wrzącym olejem. Zbrojni rozsiedli się teraz na ziemi, korzystając z chwili odpoczynku, nim padnie rozkaz do ataku. Barwne sztandary zwisały leniwie z drzewców, a nad miastem panowała niezwykła cisza. Wszyscy tylko czekali i czekali.

– Kiedy ruszymy do ataku... – przerwał milczenie głos sir Johna. Cornewaille przechadzał się właśnie przed frontem swych ukrytych pośród gruzów łuczników, nie dbając o to, że stanowi wyśmienity cel dla przeciwnika. Jak dotąd jednak francuscy kusznicy, którym najwyraźniej kazano

oszczędzać bełty, nie zwracali na niego uwagi. – Kiedy ruszymy do ataku – zawołał ponownie – macie się posuwać naprzód! Strzelacie przez cały czas, lecz także ciągle idziecie naprzód! Kiedy będziemy forsować barykadę, chcę, żeby byli z nami łucznicy! Będziemy musieli uganiać się za tymi draniami po ich przeklętych uliczkach! Chcę, żebyście byli tam wtedy wszyscy! I życzę wam pomyślnych łowów! Dziś nadszedł dzień, w którym trzeba zabijać wrogów naszego króla, więc nie miejcie dla nich litości!

„Ilu Anglików pozostanie przy życiu, kiedy już skończy się ta rzeź?” – zastanawiał się Hook. Armia, która wyruszyła z portu w Southampton, nie była wcale nazbyt liczna. Lecz teraz? Teraz, jak sądził, została z niej ledwie połowa, a wielu ludzi było chorych lub rannych. Jeśli francuska armia wyruszy w końcu w pole, ta garstka zmuszona będzie schronić się w ruinach Harfleur. Krążyły pogłoski, że nieprzyjacielskie wojska są bardzo liczne. Mówiło się o hordach rycerzy, którzy wręcz palą się do tego, by zetrzeć z powierzchni ziemi zuchwałych angielskich najeźdźców, choć zdawało się, że wcześniej dokona tego Bóg, który wyniszczy ich chorobami.

– Skończmy z tym wreszcie – mruknął Will z Doliny.

– Albo zostawmy im to przeklęte miasto – rzucił Tom Scarlet. – Teraz to i tak tylko kupa gówna.

„A co będzie, jeśli i ten szturm się załamie?” – zastanawiał się Hook. Jeśli Harfleur nie padnie? Wówczas niedobitki armii Henryka z podkulonym ogonem poześlą z powrotem do Anglii. Kampania rozpoczęła się tak obiecująco, z nadzieją i pośród łopotu mnóstwa barwnych sztandarów, lecz teraz wokół były już tylko krew, kał i rozpacz.

Gdzieś w mieście następny trębacz zaczął ponownie wygrywać tę samą szyderczą melodię. Sir John, znów krocząc dumnie przed frontem swych łuczników, odwrócił się w stronę obrońców i warknął:

– Niech ktoś zabije tego ssącego kuśkę łotra! Niech ktoś go zabije!

Ostatnie zdanie wykrzyczał w kierunku barykady na tyle głośno, by mógł usłyszeć je każdy Francuz.

Wtem, niespodziewanie, jakiś człowiek wspiął się na szczyt barykady. Tym razem nie był to jednak trębacz, który nadal zresztą grał swoją melodię, ukryty za francuskim szańcem. Mężczyzna na barykadzie nie miał przy sobie broni. Stał tam i machał obiema rękami do Anglików.

Łucznicy wstali i zaczęli napinać cięciwy.

– Stać! – ryknął sir John. – Nie strzelać! Stać! Opuście łuki! Opuścić łuki! Opuścić, powiedziałem!

Wygrywana na trąbce melodia jakby się zająknęła, po czym wybrzmiała do końca i wreszcie umilkła zupełnie.

Bezbronny człowiek na barykadzie uniósł ręce wysoko ponad głowę.

A wówczas, nagle i niespodziewanie, jakimś cudem okazało się, że to koniec.

Żołnierze z garnizonu Harfleur wcale nie chcieli kapitulować, lecz mieszkańcy miasta już dosyć wycierpieli. Głodowali. Ich domy były zniszczone i wypalone od ognia angielskich dział i katapult, w mieście szerzyły się choroby, a mieszczenie zdawali sobie sprawę, że klęska jest nieunikniona i wiedzieli przy tym, że mściwi nieprzyjaciele zgwałcą ich córki. Rada miejska nalegała więc, by poddać miasto, zaś bez wsparcia mężczyzn z Harfleur, którzy stojąc na murach wystrzelili bełty z kuszy, oraz bez przygotowywanych przez kobiety posiłków garnizon nie był w stanie prowadzić dalszej walki.

Dowodzący obroną pan de Gaucourt poprosił więc o trzydniowy rozejm, w czasie którego będzie mógł wysłać posłańca do francuskiego króla, aby dowiedzieć się, czy jego armia przyjdzie miastu z odsieczą, czy też nie. Jeśli nie, miał poddać Harfleur, pod warunkiem jednak że angielska armia nie będzie plądrować miasta ani też gwałcić i mordować jego mieszkańców. Henryk przystał na to, więc kapłani i szlachta zgromadzili się przy wyłomie w murach obok zachodniej bramy, zaś z miasta nadeszli jego najznamienitsi mieszkańcy i dowódcy garnizonu i wszyscy złożyli uroczystą przysięgę, iż dotrzymają warunków zawieszenia broni. Potem, kiedy już Henryk wziął zakładników, aby być pewnym, że obrońcy dotrzymają słowa, tuż pod murami przejechał królewski herold, wołając po francusku do zgromadzonych na nich mieszczan, którzy przypatrywali się całej ceremonii:

– Nie macie się czego obawiać! Król Anglii nie przybył tutaj, aby was zgładzić! Jesteśmy dobrymi chrześcijanami, a Harfleur to nie Soissons! Nie macie się czego obawiać!

Nad miastem wciąż jeszcze unosił się dym, okrywając delikatną mgłą niebo u schyłku lata. Wydawało się dziwne, że nad Harfleur nie grzmia działa, nie dudnią trebusze, miotające swe ogromne pociski, i że zaprzestano już walk. Jednak Anglicy umierali nadal. Zwłoki wciąż znoszono do strumieni i porzucano tam na pastwę mew i zdawało się, że straszliwej chorobie nie będzie końca.

A odsiecz nadal nie nadchodziła.

Francuskie wojska koncentrowały się na wschód od Harfleur, lecz goniec powrócił z wiadomością, że armia nie ruszy miastu na pomoc, więc w następną niedzielę, w uroczystość świętego Wincentego, jego obrońcy wreszcie skapitulowali.

Na zboczu ponad angielskim obozowiskiem wzniesiono ozdobny pawilon, w którym stanął pod

baldachimem udrapowany złotą tkaniną tron. Po obu stronach namiotu, który wypełniła arystokracja w swych najpiękniejszych strojach, powiewały angielskie chorągwie. Jakiś człowiek trzymał królewski paradny hełm, zwieńczony złotą koroną, podczas gdy wzdłuż długiej drogi, wiodącej od pawilonu poprzez gruzy fortyfikacji wzniesionych przez oblegających aż do zrujnowanej bramy, która odparła tak wiele ataków, stanęli szpalerem łucznicy. Za ich długim szeregiem znajdowali się pozostali żołnierze armii Henryka jako widzowie wyznaczonego na ten dzień spektaklu.

Król Anglii, odziany w opończę przyozdobioną królewskim herbem Francji, zasiadł w milczeniu na tronie, mając na głowie jedynie prosty, złoty diadem. Przypatrywał się wszystkiemu i czekał, zastanawiając się być może, jaki powinien być jego następny krok. Przybył bowiem do Normandii i zmusił do kapitulacji miasto Harfleur, lecz tryumf ten kosztował go utratę połowy jego armii.

Hook znajdował się przy samej zachodniej bramie miasta, gdzie był też sir John, stojący na czele oddziału złożonego z dziesięciu zbrojnych i czterdziestu łuczników. Cornewaille, odziany w wypolerowaną do połysku płytową zbroję, dosiadał swego wielkiego bojowego rumaka, Lucyfera, przystrojonego w paradny rząd, przyozdobiony herbem sir Johna, a taki sam wspięty lew, tyle że wyrzeźbiony w drewnie i pomalowany, wznosił się ze szczytu hełmu rycerza. Jego zbrojni również byli w pancerzach, lecz łucznicy mieli na sobie skórzane kaftany oraz poplamione spodnie do jazdy konnej i wszyscy trzymali w rękach grube postronki, jakich mógłby używać prosty chłop, pędzący krowę na targ.

– Bądźcie dla nich uprzejmi! – powiedział swym łucznikom sir John. – Walczyli dzielnie! To prawdziwi mężczyźni!

– A ja myślałem, że to same męty i szumowiny srające kapuchą – rzekł cicho William z Doliny. Nie dość cicho jednak, jak się okazało, gdy Cornewaille zwrócił w jego stronę Lucyfera.

– Tak właśnie jest! – zawołał. – Lecz walczyli jak Anglicy, więc traktujcie ich tak, jakby nimi byli!

Fragment nowej barykady został zawczasu rozebrany i tuż po tych słowach sir Johna wyszły spoza niej jakieś trzy tuziny mężczyzn. Rozkazano im stanąć przed obliczem króla Anglii boso i w prostych, płóciennych koszulach i portkach. Teraz zaś, zdenerwowani i wylęknieni, zbliżali się wolno i ostrożnie ku czekającym na nich łucznikom.

– Przygotujcie pętle! – nakazał swym ludziom sir John.

Hook i pozostali łucznicy zawiązali pętle na postronkach. Cornewaille skinął na swego giermka i oddał mu wodze Lucyfera, po czym zsunął się z wysokiego siodła. Poklepał wierzchowca po nozdrzach i ruszył naprzeciw zbliżającym się Francuzom.

Wyraźnie zmierzał ku jednemu spośród nich, wysokiemu mężczyźnie o haczykowatym nosie i krótkiej, czarnej brodzie. Człowiek ten był dziwnie blady i Hook odgadł, że jest chory, lecz pomimo tego chce wyjść z miasta na czele Francuzów, zachowując przy tym resztki godności. Człowiek z



bródką dał znak swym towarzyszom, by na chwilę się zatrzymali, a sam podszedł do sir Johna. Dwaj mężczyźni przystanęli zaledwie o krok od siebie. Anglik wyglądał wspaniale w lśniącej zbroi ze swym godłem na hełmie i wypolerowaną do połysku rękojeścią miecza, podczas gdy Francuz stał przed nim w prostej i niedobrej odzieży, jaką kazał mu wdziać król Henryk. Sir John, uniósłszy przyłbicę, rzekł coś, czego Hook nie zdołał usłyszeć, po czym dwaj mężczyźni uścisnęli się.

Cornewaille wciąż obejmował Francuza prawym ramieniem, wiodąc go ku swym łucznikom.

– Oto pan de Gaucourt – oznajmił im – dowódca naszych nieprzyjaciół, z którymi zmagaliśmy się przez pięć minionych tygodni! Walczył dzielnie i zasługuje na lepsze traktowanie, lecz nasz król rozkazuje, a my musimy go słuchać. Hook, daj mi postronek!

Nick wyciągnął rękę, w której dzierżył sznur. Francuz obrzucił łucznika badawczym spojrzeniem i Hook poczuł się zmuszony skłonić mu się z szacunkiem i uznaniem.

– Jest mi niezmiernie przykro – rzekł po francusku sir John.

– To konieczne – odrzekł szorstko Raoul de Gaucourt.

– Czyżby? – spytał Cornewaille.

– Musimy zostać upokorzeni, aby cała Francja wiedziała, jaki czeka ją los, jeśli stawi opór waszemu królowi – rzekł de Gaucourt. Uśmiechnął się przy tym blado, po czym przebiegł badawczym wzrokiem po angielskiej armii, zgromadzonej pod murami miasta, by przypatrywać się jego upokarzającemu marszowi do stóp tronu Henryka. – Choć wątpię, by wasz król miał wciąż tak potężną armię, by zagrozić Francji – kontynuował po chwili. – Nazywasz to zwycięstwem, sir Johnie? – spytał, wskazując zdruzgotane mury, których tak dzielnie bronił. Cornewaille nic nie odpowiedział. Zamiast tego uniósł tylko w górę pętlę, by przełożyć ją przez głowę de Gaucourta, lecz Francuz wyjął mu ją z rąk. – Pozwól, że sam to zrobię – rzekł, po czym założył sobie postronek na szyję.

Potem założono postronki pozostałym Francuzom, a wówczas sir John, wyraźnie zadowolony, wspiął się z powrotem na siodło Lucyfera. Skłonił się jeszcze de Gaucourtowi, po czym spiął konia ostrogami i odjechał drogą, przy której stali obserwujący wydarzenia angielscy żołnierze.

Po chwili ruszyli nią w milczeniu Francuzi. Byli wśród nich starsi ludzie, widocznie kupcy, oraz żołnierze, młodzi i silni. Rycerze ci i mieszczanie stawili opór królowi Anglii, a pętle na ich szyjach mówiły, że ich życie jest teraz w rękach Henryka. Wspięli się na zbocze, po czym uklękli pokornie przed tronem stojącym pod baldachimem ze złotogłowia. Przez dłuższą chwilę Henryk przypatrywał im się w milczeniu. Wiatr powiewał jedwabnymi chorągwiami i przynosił strzępki dymu sponad ruin miasta. Zgromadzeni w namiocie angielscy wielmoże czekali, spodziewając się, że król wyda wyrok śmierci na klęczących przed nim ludzi.

– Jestem prawowitym władcą tego królestwa – rzekł w końcu Henryk – a wasz opór był aktem zdrady.

Przez oblicze de Gaucourta przemknął grymas bólu. Zignorował oskarżenie o zdradę i wyciągnął dłoń, w której dzierżył wielki pęk ciężkich kluczy.

– Oto klucze do bram miasta Harfleur, najjaśniejszy panie – rzekł. – Należą teraz do ciebie.

Król nie wziął jednak od niego kluczy.

– Wasz opór był sprzeczny z prawem ludzkim i boskim – rzekł tylko surowym tonem. Niektórzy ze starszych wiekiem kupców trzęśli się ze strachu, a jednemu z nich po twarzy spływały łzy. – Lecz Bóg jest miłosierny – dodał podniośle Henryk, odbierając wreszcie klucze z rąk Francuza – i my także okażemy wam miłosierdzie i darujemy wam życie.

Gdy nad miastem załopotał sztandar z krzyżem świętego Jerzego, cała angielska armia wydała tryumfalny okrzyk. Następnego dnia Henryk, król Anglii, udał się boso do kościoła świętego Marcina, aby podziękować Bogu za zwycięstwo, choć wielu spośród tych, którzy przypatrywali się jego kornej pielgrzymce, uważało, iż jego tryumf był tak naprawdę klęską. Zmarnował bowiem mnóstwo czasu pod murami Harfleur, jego armię zdziesiątkowała choroba, a najlepsza pora na prowadzenie kampanii miała się już niemal ku końcowi.

Do Harfleur wkroczyła teraz angielska armia. Żołnierze spalili swe obozowiska i wciągnęli do miasta przez zburzoną bramę wielkie katapulty i działa. Ludzie sir Johna zostali zakwaterowani w szeregu domów, oberż i magazynów obok otoczonej murami przystani. Hook znalazł sobie kąć na poddaszu tawerny pod nazwą „Le Paon”.

– *Le paon* to ptak z takim wielkim ogonem! – wyjaśniła Melisanda, szeroko rozkładając przy tym ramiona.

– Żaden ptak nie ma takiego ogona – rzekł Nick.

– Ale *le paon* ma! – upierała się dziewczyna.

– Więc musi to być jakiś francuski ptak – stwierdził Hook – a nie angielski.

Harfleur było teraz własnością Anglików. Ponad kikutem zburzonej wieży kościoła świętego Marcina powiewał sztandar z krzyżem świętego Jerzego, zaś mieszkańców miasta, którzy tak wiele już wycierpieli, czekała teraz jeszcze większa niedola.

Zostali mianowicie wygnani z Harfleur. Król postanowił bowiem, że miasto zostanie zasiedlone Anglikami, tak jak niegdyś Calais, i aby zrobić miejsce dla nowych osadników, wygnano precz ponad dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Chorych ułożono na wozach, a reszta poszła pieszo, zaś ponurej kolumny, maszerującej wzdłuż północnego brzegu Sekwany, strzegło dwustu konnych Anglików. Żołnierze towarzyszyli Francuzom po to, by chronić uchodźców przed ich rodakami, którzy inaczej dopuszczaliby się na nich rabunków i gwałtów. Na czele pochodu jechali zbrojni, a na skrzydłach ubezpieczali go łucznicy.

Jednym z nich był Nick Hook. Znów dosiadał Pazura, swego czarnego, płochliwego wałacha, który wymagał nieustannego układania. Opończa Hooka była świeżo wyprana, choć czerwony krzyż świętego Jerzego wyblakł i stał się bladoróżowy. Oprócz tego miał na sobie porządną kolczugę, którą zdjął z jakiegoś zabitego Francuza, oraz czepiec kolczy, dar sir Johna, zaś na kaptur z kolczugi założył łebkę, będącą podarunkiem kolejnego trupa. Łebka był to hełm z szerokim rondem, mającym chronić go przed ciosami z góry, lecz Hook, tak jak inni łucznicy, odrąbał kawał blachy po prawej stronie, aby móc napinać cięciwę swego łuku aż do prawego ucha. U boku przypasany miał swój miecz, łuk w pokrowcu przewiesił przez plecy, a na tylnym łuku siodła zawiesił kołczan. Po jego prawej stronie, za kolumną uchodźców, połyskiwała w słońcu falująca łagodnie powierzchnia zwężającej się w tym miejscu rzeki, zaś na lewo od niego rozciągały się łąki, ogołocoone z inwentarza przez angielskie oddziały zaopatrzeniowe, a za nimi widniała linia łagodnych wzgórz, porośniętych lasem o gęstym listowiu, jak to w pełni lata. Melisanda została w Harfleur, lecz za to ojciec Krzysztof uparł się towarzyszyć uchodźcom. Dosiadał Lucyfera, wielkiego bojowego rumaka sir Johna. Cornewaille chciał, aby wierzchowiec miał trochę ruchu, a jego kapelan ochoczo zgodził się wyświadczyć mu tę drobną przysługę.

– Nie powinieneś być z nami jechać, ojcie – powiedział mu Nick.

– Zostałeś nagle medykiem, Hook?

– Masz przecież jak najwięcej odpoczywać, ojcie.

– Będę miał na to mnóstwo czasu w niebie – odrzekł pogodnym tonem ojciec Krzysztof. Wciąż jeszcze był blady, ale ostatnio odzyskał apetyt. Miał na sobie sutannę, którą nosił zresztą znacznie częściej, odkąd wyzdrowiał. – Dowiedziałem się czegoś podczas mej choroby – rzekł na pozór poważnym tonem.

– Tak? A niby czego?

– Tego mianowicie, Hook, że w niebie nie będzie więcej srania.

Nick się zaśmiał.

– Ale czy będą tam kobiety, ojcie?

– Całe mnóstwo, młody Hooku, lecz cóż z tego, jeśli będą to same porządnie?

– Myślisz ojcie, że wszystkie grzesznice będą siedzieć u czarta w piwnicy?

– To mnie właśnie martwi – odrzekł ze śmiechem ojciec Krzysztof – lecz ufam, że Bóg załatwi wszystko jak należy – dodał, po czym uśmiechnął się promiennie, rad z tego, że żyje i może jechać we wrześnieowym słońcu wzdłuż żywopłotu uginającego się pod ciężarem ostrężnic. Ze wzgórz dało się słyszeć echo charakterystycznego terkotu derkacza. Tuż po wschodzie słońca, kiedy protestujących mieszkańców wygnano już za mury Harfleur, na trakcie do Rouen ukazał się jelen, prezentując dumnie swe nowe poroże. Hook uznał to za dobry omen, lecz teraz ojciec Krzysztof,

spoglądając na czarne gałęzie uschniętego wiązu, dostrzegł także pewien złowieszczy znak. – Jaskółki wcześniej zbierają się do lotu – stwierdził.

– Będzie zatem mroźna zima – rzekł Nick.

– To znaczy, że kończy się lato, Hook, a wraz z nim przepadną wszystkie nasze nadzieje. Już wkrótce nie będzie nas tutaj, tak jak tych jaskółek.

– Wrócimy do Anglii?

– Sprawiwszy jej zawód – rzekł smutno kapłan. – Król ma ogromne długi, których nie będzie w stanie spłacić. Gdyby wrócił do kraju jako zwycięzca, nie miałoby to znaczenia.

– Przecież zwyciężyliśmy, ojcze – zaproponował Hook. – Zdobyliśmy Harfleur!

– Zgoniliśmy stado najlepszych myśliwskich psów, żeby zabić zająca – odrzekł ojciec Krzysztof – a gdzieś tam – dodał, wskazując na wschód – zbiera się właśnie znacznie większa sfora ogarów.

W południe oczom Anglików ukazała się część tej sfory. Czoło długiej kolumny uciekinierów zatrzymało się pośród nadrzecznych łąk, zaś teraz jej koniec tłoczył się z tyłu. Tym, co powstrzymało dalszy marsz uchodźców, był oddział nieprzyjacielskich zbrojnych, którzy zagrodzili im drogę u bram otoczonego murem obronnym miasta. Mieszczanie przypatrywali się wszystkiemu z szanćów. Nad głowami Francuzów powiewał jeden tylko sztandar, wielka biała flaga, na której rozkładał swe długie szpony dwugłowy orzeł w kolorze czerwonym. Francuscy zbrojni odziani byli jak do bitwy, a ich wypolerowane do połysku zbroje lśniły pod wielobarwnymi opończami, lecz tylko niektórzy mieli na głowach hełmy, a nawet ci, którzy je założyli, unieśli przyłbice, co było wyraźnym znakiem, iż nie spodziewali się żadnej walki. Hook stwierdził, że wrogów jest mniej więcej setka i widocznie przybyli tutaj na mocy ustalonego wcześniejszego porozumienia, aby przejąć z rąk Anglików uchodźców z Harfleur, którzy mieli zostać teraz zabrani do Rouen na pokładzie całej flotyli barek, zacumowanych przy północnym brzegu rzeki.

– Dobry Boże! – rzekł ojciec Krzysztof, spoglądając na sztandar z orłem, który wznosił się i opadał na wietrze, marszczącym z lekka taflę rzeki. – Toż to sam marszałek Francji! – wykrzyknął, czyniąc przy tym znak krzyża.

– Marszałek Francji?

– Jean de Maingre, pan de Boucicault, marszałek Francji – wyrecytował wolno kapłan wszystkie te imiona i tytuły, a jego głos zdradzał podziw dla człowieka, noszącego herb z dwugłowym orłem.

– Nigdy o nim nie słyszałem, ojcze – rzekł beztrosko Hook.

– Francją włada szaleniec – stwierdził ksiądz – a książęta królewskiej krwi są młodzi i uparci,

lecz nasi wrogowie mają jeszcze marszałka, a to człowiek, którego należy się bać.

Angielskim oddziałem dowodził sir William Porter, towarzysz broni sir Johna, który wyjechał teraz z odsłoniętą głową na powitanie marszałka. Francuz także spiął konia ostrogami i ruszył mu naprzeciw. Był to potężny mężczyzna, dosiadający wysokiego rumaka i górował nad Anglikiem w czasie krótkiej rozmowy. Hookowi, przypatrującemu im się z daleka, wydawało się, że obaj z czegoś się śmiali. Potem, na zaproszenie dwornego sir Williama, marszałek Francji skierował wierzchowca ku angielskim żołnierzom. Nie zwracając najmniejszej uwagi na francuskich cywilów, przejechał wolno wzdłuż nierównego szeregu łuczników i zbrojnych.

Marszałek nie miał na głowie hełmu. Jego włosy były ciemnobrązowe, krótko ścięte i siwiejące na skroniach. Okalały zaś oblicze o tak srogim wyrazie, że Hook poczuł się bardzo zaskoczony. Twarz Francuza była kwadratowa, szczerza i otwarta, potrząskana i poorana bliznami. Jednak mimo iż widniały na niej ślady wielu bitew i trudów życia, należała do człowieka, który pozostawał wciąż niepokonany. Było to surowe oblicze mężczyzny i wojownika, z przenikliwymi, ciemnymi oczyma, które omiatały teraz ludzi i konie, usiłując odkryć, w jakiej znajdują się kondycji. Francuz miał przez cały czas zaciśnięte usta i ponury wyraz twarzy, lecz nagle uśmiechnął się na widok ojca Krzysztofa i wówczas Hook dojrzał w nim człowieka, który potrafił skłonić innych do wierności i oddania, a także pociągnąć ich za sobą do zwycięstwa.

– Książd na bojowym rumaku! – rzekł rozbawiony marszałek. – My każemy naszym księżom dosiadać starych szkap, a nie ćwiczonych do szarży ogierów!

– My, Anglicy, mamy tak wiele bojowych rumaków, panie – odparł ojciec Krzysztof – że wystarcza ich nawet dla skromnych sług bożych.

Marszałek przyglądał się z podziwem Lucyferowi.

– Wspaniały wierzchowiec – stwierdził po chwili. – Do kogo należy?

– Do sir Johna Cornewaille'a – odrzekł książd.

– Ach tak! – marszałek zdawał się być zadowolony. – Zechce zatem książd przekazać pocziwemu sir Johnowi pozdrowienia! Proszę mu powiedzieć, że cieszę się, iż odwiedził Francję, i mam nadzieję, że zabierze stąd ze sobą do Anglii drogie jego sercu wspomnienia. Liczę też, że zabierze je już niebawem – dodał marszałek z uśmiechem, po czym spojrzał na Hooka z niejakim zaciekawieniem. Zlustrował wzrokiem broń i pancerz łucznika, by wreszcie wyciągnąć ku niemu dłoń w stalowej rękawicy. – Zrób mi ten zaszczyt – rzekł – i użyj mi na chwilę swego łuku.

Ojciec Krzysztof przetłumaczył jego słowa Hookowi, który i tak wszystko zrozumiał i nie zareagował tylko dlatego, że nie był pewien, co powinien teraz zrobić.

– Pożycz mi tego łuku – rzekł kapłan – tylko najpierw załóż cięciwę.

Hook wyjął z pokrowca wielkie łączysko, włożył dolny koniec w swoje lewe strzemię i

założył pętlę cięciwy na górny gryf. Czuł przy tym siłę, drżącą w napiętym cिसowym łączyku. Czasami wydawało mu się wręcz, że drewno ożywało, kiedy zakładał na nie cięciwę. Zdawało się aż drzeć z podniecenia. Marszałek wciąż czekał z wyciągniętą dłonią i Nick wręczył mu łuk.

– To duży łuk – rzekł Boucicault po angielsku, starannie wymawiając słowa.

– Jeden z największych, jakie widziałem – wtrącił ojciec Krzysztof – więc używa go bardzo silny łucznik.

Tuzin francuskich zbrojnych podążyło tymczasem za swym marszałkiem i teraz z odległości kilku kroków przyglądali się, jak ujął lewą dłonią łuk i, na razie tylko na próbę, szarpnął cięciwę prawą ręką. Uniósł brwi ze zdumienia, przekonawszy się, ile wymaga to siły, po czym zerknął na Hooka z uznaniem. Jego wzrok spoczął na powrót na łączyku, marszałek zawahał się, po czym uniósł je tak, jakby miał na cięciwie strzałę. Wziął oddech i zaczął napinać łuk.

Anglicy, wiedząc, iż jedynie wyszkolony łucznik potrafi napiąć do końca taki łuk, przypatrywali mu się, uśmiechając się z lekka. Cięciwa dotarła do połowy drogi i tu się zatrzymała, po czym Boucicault pociągnął ją raz jeszcze i cięciwa powędrowała dalej, jeszcze dalej, by sięgnąć jego ust. Hook dostrzegł napięcie, widoczne na twarzy Francuza, lecz marszałek nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Skrzywił się lekko, po czym znów naprężył ramię i cięciwa doszła aż do jego prawego ucha, gdzie przytrzymał ją, napiętą do oporu, i spojrział na Hooka, unosząc brew.

Nick nie mógł się powstrzymać. Zaśmiał się i nagle wszyscy angielscy łuczniczy zaczęli wiwatować na cześć francuskiego marszałka, którego twarz pokraśniała z zadowolenia, gdy powoli zwalniał uścisk, by oddać łuk Hookowi. Uśmiechnięty szeroko łucznik wziął od niego łączyko i z lekka skłonił mu się w siodle.

– Angliku! – zawołał Boucicault. – Masz! – dodał, ciskając Nickowi monetę, po czym, uśmiechając się z zadowoleniem, ruszył dalej wzdłuż szeregu wiwatujących łuczniczków.

– Mówiłem ci, że to prawdziwy wódz i wojownik – rzekł z uśmiechem ojciec Krzysztof.

– A w dodatku hojny pan! – zawołał Hook, przypatrując się monecie. Była złota i miała wielkość szylinga i Nick domyślał się, iż warta jest tyle, co roczny żołd. Wetknął ją do swej sakiewki, w której znajdowały się zapasowe groty i trzy cięciwy.

– To dobry i hojny pan – przytaknął ojciec Krzysztof – lecz lepiej nie mieć w nim wroga.

– Tak jak i we mnie – wtrącił nagle ktoś trzeci i Hook obrócił się w siodle, by przekonać się, iż jednym ze zbrojnych, którzy podążyli wcześniej za marszałkiem, był pan de Lanferelle. Francuz oparł się teraz o łęk siodła, aby móc się dobrze przyjrzeć Nickowi. Zerknął przy tym na okaleczoną dłoń łuczniczkę i na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. – Jesteś już moim zięciem?

– Nie, panie – odrzekł Hook i przedstawił Lanferelle'a swemu towarzyszywi.

Francuz spojrział badawczo na księdza.

– Byłeś niedawno chory, ojcze – stwierdził.

– Owszem – przytaknął ojciec Krzysztof.

– Czy to kara boska? Czy to Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu zesłał epidemię na waszą armię, by pokarać ją za zuchwalstwo waszego króla?

– Jakież to zuchwalstwo masz na myśli, panie? – spytał łagodnym tonem kapłan.

– To, że ośmielił się najechać Francję – odrzekł Lanferelle, prostując się w siodle. Jego lśniące, kruczoczarne włosy były tak mocno wypomadowane, że opadały gładko aż do talii, którą opinał okuty srebrem rycerski pas. Uderzająco piękna twarz Francuza wydawała się jeszcze ciemniejsza po całym lecie spędzonym na słońcu, dzięki czemu jego oczy błyszczały nienaturalnie jasno. – Lecz ja mam nadzieję, ojcze, że zostaniecie jednak we Francji – dodał.

– Czy to zaproszenie?

– Owszem – zaśmiał się Lanferelle, ukazując swe śnieżnobiałe zęby. – Ilu macie teraz ludzi?

– Jest nas tylu, ile ziaren piasku na morskim wybrzeżu – odparł beztrósco kapłan – i nasza armia jest tak liczna jak gwiazdy na firmamencie lub dokuczliwe pchły w kroczu francuskiej dziwki.

– I równie groźna jak te ostatnie – rzekł Lanferelle, nie dając się zbić z tropu wyzywającym słowom księdza. – Ilu was tam jest? Pewnie już niespełna dziesięć tysięcy? W dodatku, jak słyszałem, wasz król odsyła chorych do Anglii?

– Król odsyła ludzi do Anglii – odparł ojciec Krzysztof – gdyż ma ich dosyć, by zrobić wszystko to, co zrobić trzeba.

Hook zastanawiał się w tym czasie, skąd Lanferelle wie, że Anglicy odsyłają chorych do kraju, po czym uznał, że francuscy szpiedzy muszą widocznie obserwować Harfleur z pobliskich wzgórz i zapewne widzieli, jak wnoszono nosze na pokłady angielskich statków, które mogły już wreszcie zawijać do otoczonej murami przystani.

– Wasz król ściąga również posiłki – odezwał się znów Lanferelle – lecz jak wielu swoich ludzi będzie musiał zostawić w Harfleur, by strzegli jego zrujnowanych murów? Tysiąc? – dodał i znów się uśmiechnął. – To taka maleńka armia, ojcze!

– Ale przynajmniej chce się bić – odciął się ojciec Krzysztof – podczas gdy wasza wielka armia drzemie wciąż w Rouen.

– Lecz nasza armia naprawdę jest tak liczna jak zastępy pcheł w kroczu paryskiej dziwki – odparł Lanferelle, ściągając wodze. – Mam szczerą nadzieję, ojcze, że zostaniecie i ruszycie w pole,

by te pchły mogły nasycić się angielską krwią – rzekł i skinął głową w stronę Hooka. – Przekaż Melisandzie pozdrowienia ode mnie. I daj jej coś jeszcze – dodał, obracając się w siodle. – Jean! Venez! – zawołał i do jego boku podjechał prędko ten sam giermek o tępowym wejrzeniu, który gapił się na Melisandę w lesie nad Harfleur. Następnie, na rozkaz swego pana, nieporadnie zaczął zdejmować przez głowę swą opończę. Gdy skończył, Lanferelle wziął do ręki jaskrawy strój z wizerunkiem jasnego słońca i dumnego sokoła, złożył go starannie, po czym cisnął Hookowi. – Jeśli dojdzie do bitwy – rzekł – każ Melisandzie założyć tę opończę. Może to wystarczy, żeby ją ocalić. Jej śmierć sprawiłaby mi przykrość. Życzę wam obu miłego dnia! – zawołał jeszcze, i podążył za swym marszałkiem.

Następnego dnia nad morzem zebrały się chmury, które nadpłynęły wolno ponad miasto, by na dobre już zasnuć niebo nad Harfleur. Łucznicy zajęci byli prowizorycznymi naprawami uszkodzonych murów. Wznosili drewniane palisady, które musiały spełniać rolę umocnień aż do chwili, gdy z Anglii przypląną murarze, by odbudować jak należy baszty i szańce. Epidemia wciąż trwała i zrujnowane ulice cuchnęły nieczystościami, które wyciekały do rzeki Lezarde, płynącej znów swobodnie kamiennym kanałem, prowadzącym przez sam środek miasta, i wpadającej do niewielkiej przystani, która śmierdziała jak kłoczny dół.

Henryk rzucił delfinowi Francji wyzwanie, proponując, że stanie z nim do pojedynku, którego zwycięzca odziedziczy francuską koronę po szalonym królu Karolu.

– Delfin się nie zgodzi – orzekł sir John, który przyszedł popatrzeć, jak łucznicy wbijają w ziemię wielkie pale, mające wspierać nową palisadę. – Delfin to tłusty i leniwy łajdak, a nasz Henryk to prawdziwy wojownik. Wyglądałoby to tak, jakby wilk walczył z prosiakiem.

– A co będzie, panie, jeśli delfin nie stanie do pojedynku? – spytał Thomas Evelgold.

– Wówczas, jak przypuszczam, wrócimy do Anglii – odrzekł z niewesołą miną sir John. Taka opinia panowała zresztą w całej armii. Dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze i już niebawem miały nadejść jesienne słoty, a to oznaczałoby koniec najlepszej pory na prowadzenie działań wojennych. Zaś nawet gdyby Henryk chciał kontynuować kampanię, angielska armia była zbyt mała, a francuska zbyt liczna, i wszyscy rozsądni i doświadczeni ludzie twierdzili, że w takiej sytuacji jedynie głupiec odważyłby się dążyć do walnej rozprawy. – Gdybyśmy mieli jeszcze sześć czy siedem tysięcy ludzi – rzekł sir John – to nie wątpię, że moglibyśmy utrzcę nosa tym przeklętym Francuzom, ale tego nie zrobimy. Zostawimy w Harfleur garnizon, żeby strzegł tej kloaki, a reszta popłynie do Anglii.

Wciąż ściągano posiłki, ale nie były one zbyt liczne i nowych ludzi nie wystarczało, aby zastąpić wszystkich tych, którzy zmarli lub chorowali. Niemniej jednak łodzie nadal wysadzały ich w cuchnącej przystani i przybysze niepewnym krokiem schodzili z pomostu, i szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma spoglądali na zdruzgotane dachy domów, kikuty kościelnych wież i wypalone ruiny.

– Większość z nas już niebawem wróci do domu – oznajmił swym ludziom sir John. – Harfleur



mogą bronić ci nowi – dodał z nutą goryczy w głosie. Zdobycie Harfleur nie wystarczało, aby powetować sobie wydane pieniądze i poniesione straty. Sir John, a jeśli wierzyć plotkom, także i sam Henryk, chciał walczyć dalej. Lecz wszyscy inni wielmoże, książęta krwi, hrabiowie, biskupi i dowódcy, zgodnie radzili królowi, by wracał do Anglii.

– Nie ma wyboru – powiedział Hookowi któregoś wieczora Thomas Evelgold. Wszyscy wielcy lordowie byli właśnie na naradzie wojennej, gdzie spotkali się z królem, usiłując wbić nieco rozumu do jego ambitnej, koronowanej głowy, i cała armia czekała na ostateczną decyzję rady. Wieczór był prześliczny, a zachodzące słońce rzucało podłużne cienie aż na drugi brzeg przystani. Hook i Evelgold siedzieli przy stole przed oberżą „Le Paon”, pijąc piwo, które sprowadzać musiano z Anglii, gdyż wszystkie browary w Harfleur zostały zniszczone w czasie oblężenia. – Musimy wrócić do domu – stwierdził Evelgold, najwyraźniej myśląc wciąż o gorącej dyskusji, jaka bez wątpienia toczyła się właśnie w ratuszu obok kościoła świętego Marcina.

– A może zostaniemy jako część garnizonu? – zasugerował Hook.

– Chryste, tylko nie to! – odrzekł szorstko Evelgold, po czym się przeżegnał. – Z tą przeklętą wielką armią Francuzów? Odbiją to miasto bez najmniejszych problemów! W trzy dni rozwalą te nasze palisady, a potem wybiją obrońców do ostatniego.

Hook milczał. Spoglądał na wąskie wejście do przystani, które pokonywał właśnie kolejny statek, napędzany ogromnymi wiosłami, gdyż wiatr ustał już niemal zupełnie. Ponad jedynym masztem okrętu oraz nad jego wysokimi, bogato złożonymi kasztelami, krążyły mewy.

– To *Holy Ghost* – rzekł Evelgold, skinąwszy głową w stronę okrętu.

*Holy Ghost* był okrętem nowym, zbudowanym za pieniądze króla i miał wspierać armię inwazyjną. Teraz jednak zajmował się głównie transportem chorych do Anglii. Statek wolno zbliżał się do nabrzeża. Hook widział już ludzi na jego pokładzie, lecz nie było ich tak wielu jak ostatnim razem, kiedy okręt powrócił z kraju, i Nick pomyślał, że mogą to być ostatnie już posiłki, jakie przybędą do Harfleur.

– Żeby nas tutaj przywieźć, trzeba było aż tysiąca pięciuset statków – stwierdził Evelgold – ale wystarczy ich znacznie mniej, żeby zabrać nas z powrotem – dodał i zaśmiał się gorzko. – Szkoda tylko tego przeklętego lata! – dorzucił jeszcze. Słońce odbijało się w złoceniach na dwóch kasztelach okrętu. Pasażerowie na jego pokładzie spoglądali na brzeg. – Witamy w Normandii – rzekł szyderczo Evelgold. – Czy twoja kobieta wróci z tobą do Anglii? – spytał.

– Wróci.

– Myślałem, że macie zamiar się pobrać?

– Chyba tak.

– Zróbcie to w Anglii, Hook.

– Dlaczego w Anglii?

– Ponieważ to chrześcijański kraj, inaczej niż to przeklęte przez Boga miejsce.

Na nabrzeże przybyli setnicy i zbrojni, aby przekonać się, czy któryś z nowo przybyłych należy do ich drużyn. Był wśród nich także setnik lorda Slaytona, William Snoball, który uprzejmie przywitał się z Hookiem.

– Zdumiony jestem, że was tutaj widzę, panie Snoball – rzekł Nick.

– A to dlaczego?

– Kto pełni obowiązki rządcy lorda Slaytona pod waszą nieobecność?

– John Willetts. Da sobie radę beze mnie. Poza tym jego lordowska mość życzył sobie, żebym popłynął do Francji.

– Ponieważ macie panie doświadczenie – wtrącił Evelgold.

– O to właśnie chodzi – przytaknął Snoball – a poza tym jego lordowska mość chciał, żebym miał na oku... – tu zawahał się przez chwilę – cóż, sam wiesz kogo, Hook.

– Sir Martina? – spytał Nick. – A czemuż na litość boską w ogóle przysłał go tutaj?

– A jak myślisz? – odparł szorstko Snoball.

Hook wykonał taki ruch, jakby przeciągał nożem po swym gardle.

– Czy na to właśnie liczy lord Slayton?

– Lord Slayton liczy na to, że sir Martin będzie dbał o nasze dusze – rzekł roztargnionym tonem Snoball, po czym, uznawszy być może, że już i tak powiedział zbyt wiele, oddalił się nieco, idąc wzdłuż nabrzeża.

Hook patrzył, jak *Holy Ghost* podpływa wolno do brzegu.

– Spodziewamy się kogoś nowego? – spytał.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Sir John też nic takiego nie mówił.

– Nie jest ostatnio w dobrym humorze – stwierdził Hook.

– Bo jest kompletnie stuknięty! Do reszty postradał zmysły! – zawołał Thomas Evelgold, po czym zamyślił się na chwilę. – Chce ruszyć w głąb Francji! Ten człowiek oszalał! Chce, żeby nas wszystkich pozabijali! Ale jemu to nie przeszkadza, bo niby czemu?

– Jak to: nie przeszkadza?

– On przecież nie zginie, nieprawdaż? Co się stanie, jeśli pójdziemy w głąb kraju, żeby szukać walnej bitwy? Wielcy panowie nie giną, Hook, tylko idą do niewoli. Ale za mnie czy za ciebie nikt nie zapłaci okupu. My pójdziemy pod nóż, Hook, podczas gdy ich lordowskie moście trafią do jakichś wygodnych zamków, gdzie ich nakarmią i na dodatek sprowadzą im dziwki. Sir John nie musi się martwić. On po prostu chce się bić! A przy tym wie, że pewnie przeżyje bitwę. Powinien pomyśleć też i o nas – dodał i osuszył swój kufel. – Ale na szczęście do tego nie dojdzie. Na świętego Marcina wszyscy będziemy w domu.

– Król chce wyruszyć w pole – rzekł ostrożnie Hook.

– Król umie liczyć równie dobrze jak ty czy ja – odparł lekceważąco Evelgold – i nie ruszy w głąb Francji.

Z pokładu wielkiego okrętu rzucono właśnie cumy ludziom stojącym na nabrzeżu i *Holy Ghost* wolno i mozolnie przyciągnięty został do mola. Opuszczono pomosty i przybysze, którzy wydawali się nienaturalnie czyści i schludni, wysypali się na brzeg. Znajdowało się tam około sześćdziesięciu łuczników, a wszyscy mieli z sobą łączyśka w pokrowcach, kołczany i niewielkie zawiniątka. Czerwone krzyże świętego Jerzego na ich opończach były wciąż bardzo jaskrawe. Po jednym z pomostów zszedł na brzeg jakiś ksiądz, po czym padł na kolana i uczynił znak krzyża. Za nim było czterech łuczników noszących księżyc i gwiazdy lorda Slaytona, a jeden z nich miał sprężyste, złote włosy, sterczące bezładnie spod runda hełmu. Przez ułamek sekundy Hook nie dowierzał własnym oczom, a potem wstał i zawołał:

– Michael! Michael!

Był to jego młodszy brat. Michael także go dostrzegł i uśmiechnął się szeroko.

– To mój brat – wyjaśnił Evelgoldowi Nick, po czym pobiegł się przywitać. Bracia padli sobie w objęcia. – Mój Boże, to naprawdę ty! – rzekł Hook.

William Snoball zawołał Michaela po imieniu, lecz Hook od razu go ofuknął:

– Pójdzie, kiedy będzie gotów, panie Snoball. Gdzie jesteście zakwaterowani?

Snoball niechętnym tonem podał mu niezbędne informacje, a Hook obiecał, że zaprowadzi później brata we wskazane miejsce, po czym powiódł go do stołu i nalał mu kufel piwa. Thomas Evelgold zostawił ich samych.

– Co ty w ogóle tutaj robisz, na Boga? – spytał brata Nick.

– Lord Slayton przysłał swoich ostatnich łuczników – odrzekł Michael z uśmiechem. – Uznał, że potrzebna wam tutaj pomoc. Nawet nie miałem pojęcia, że tu jesteś!

Potem przyszła pora na wymianę najświeższych nowin. Hook oznajmił więc, że Robert Perrill zginął w trakcie oblężenia, choć nie powiedział jak. Michael opowiedział mu o śmierci ich babki, lecz fakt ten nie zmartwił bynajmniej Nicka.

– Zgorzkniała stara suka! – rzekł.

– Ale się nami zajmowała – odparł Michael.

– Zajmowała się tobą, a nie mną.

Nagle z oberży wyszła Melisanda. Nick przedstawił ją bratu i nagle ogarnęło go nieznane mu dotąd poczucie bezgranicznego szczęścia. Oto miał u swego boku dwoje ludzi, których kochał najbardziej, w jego sakiewce podzwaniały monety i cały świat wydawał się piękny. Kampania we Francji mogła się skończyć, i to nawet bez wielkich zwycięstw, ale on i tak będzie szczęśliwy.

– Spytam sir Johna, czy nie mógłbyś do nas dołączyć – powiedział bratu.

– Nie sądzę, żeby lord Slayton się na to zgodził – odrzekł Michael.

– No cóż, możemy chyba zapytać.

– Więc co się tutaj będzie działo? – dopytywał się nowo przybyły łucznik.

– Myślę, że garstka nieszczęśników zostanie tutaj, żeby bronić miasta – odrzekł Hook – a reszta odpłynie do Anglii.

– Do Anglii?! – Michael zmarszczył brwi. – Dopiero co przy płynęliśmy!

– Tak mówią ludzie. Wielcy panowie próbują właśnie podjąć jakąś decyzję, ale już za późno, żeby ruszyć w głąb Francji, a poza tym francuska armia jest zbyt liczna, więc pewnie wrócimy do domu.

– Mam nadzieję, że nie – rzekł Michael, uśmiechając się szeroko. – Nie przybyłem tak daleko tylko po to, żeby od razu wracać do domu. Chcę walczyć!

– Nie, bracie, nie chcesz – rzekł Hook, sam zaskoczony własnymi słowami. Melisanda również była zdumiona i spoglądała nań badawczo.

– Jak to: nie chcesz? – dopytywał się jego młodszy brat.

– Zewsząd tryska krew – zaczął tłumaczyć Hook – ludzie płaczą i wzywają swoje matki, a dookoła jest mnóstwo wrzasków i bólu i całe zgraje zakutych w żelazo łotrów, którzy usiłują cię zabić.

Michael wydawał się zaskoczony.

– Ludzie mówią, że tylko strzelamy do nich z łuku – rzekł drżącym z lekka głosem.

– Owszem, ale w końcu i tak, braciszku, musisz podejść bliżej. Na tyle blisko, żeby spojrzeć wrogowi w oczy. Na tyle blisko, żeby móc go zabić.

– A Nicholas jest w tym dobry – wtrąciła oschle Melisanda.

– Nie każdy to potrafi – dodał Nick, podejrzewając, że Michaelowi, obdarzonemu wielkoduszną i ufną naturą, brak tej bezwzględności, która pozwala zbliżyć się do przeciwnika i wziąć udział w jatce.

– To może chociaż jedna bitwa? – rzekł w zadumie Michael. – Niekoniecznie od razu jakaś wielka.

O zachodzie słońca Hook odprowadził Michaela na kwaterę. Ludzie lorda Slaytona zamieszkali niedaleko północno-wschodniej bramy i Nick zaprowadził tam brata. Weszli na dziedziniec domu jakiegoś kupca, gdzie mieszkali łucznicy. Jego dawni towarzysze nagle zamilkli, gdy na podwórzu pojawili się bracia Hookowie. Nigdzie nie było widać sir Martina, lecz Tom Perrill, pochmurny i zamyślony, siedział pod ścianą i gapił się spode łba na przybyszów. William Snoball wstał, przeczuwając kłopoty.

– Dzisiaj dołączy do was Michael, a sir John Cornewaille chce, abyście wiedzieli, że mój brat jest pod jego opieką – oświadczył donośnym głosem Nick. Wprawdzie sir John niczego takiego nie powiedział, ale żaden z ludzi lorda Slaytona nie mógł o tym wiedzieć.

Tom Perrill zaśmiał się szyderczo, ale nic nie powiedział. William Snoball podszedł do Hooka.

– Nie będzie żadnych problemów – oznajmił.

– Zaiste nie będzie żadnych problemów! – zawtórował mu czyjś głos, a Hook odwrócił się i ujrzał sir Edwarda Derwenta, kapitana drużyny lorda Slaytona, stojącego w wejściu na dziedziniec. Rycerz dostał się do niewoli w podkopie pod murami Harfleur i odzyskał wolność, kiedy miasto skapitulowało. Nick stwierdził, że sir Edward musiał właśnie być na radzie wojennej, gdyż odziany był w swój najwykwintniejszy strój. Kapitan wyszedł na środek dziedzińca. – Nie będzie żadnych problemów! – zawołał raz jeszcze. – Nie będziecie bić się między sobą, ponieważ macie walczyć z Francuzami!

– Myślałem, że wracamy do domu – rzekł zdumiony Snoball.

– No cóż, jednak nie wracacie – odparł sir Edward. – Henryk chce więcej, a król zazwyczaj dostaje to, czego chce.

– Zostajemy w Harfleur? – spytał z niedowierzaniem Hook. – Jako garnizon miasta?

– Nie, Hook – odrzekł sir Edward. – Ruszamy w pole – dodał ponurym tonem, jakby nie pochwalał tej decyzji. Lecz to Henryk był tutaj królem i – jak to powiedział sam sir Edward – król dostawał zwykle to, czego chciał.

Henryk zaś chciał kontynuować kampanię.

Angielska armia miała więc ruszyć w głąb Francji.

*Część trzecia*  
*Ku rzece mieczy*

Anglicy mieli nie zabierać ze sobą ciężkich taborowych wozów. Zamiast tego wszelki niezbędny bagaż wiozły juczne konie i lekkie furmanki, a resztę dźwigali ludzie.

– Musimy przemieszczać się szybko – wyjaśnił sir John.

– To duma – powiedział Hookowi później ojciec Krzysztof. – Nic, tylko duma.

– Duma, ojczyzna?

– Król nie może tak po prostu wrócić z podkulonym ogonem do Anglii, mogąc się pochwalić jedynie zdobyciem Harfleur po tym, jak wydał tyle pieniędzy! Musi zdziałać coś więcej, niż tylko kopnąć francuskiego psa, i korci go, żeby jeszcze pociągnąć go za ogon.

Francuski pies rzeczywiście zdawał się pogrążony w głębokim śnie. Meldunki mówiły o tym, że francuska armia wciąż rośnie w siłę, lecz nic nie wskazywało na to, by miała ruszyć się z okolic Rouen, więc król Anglii postanowił, iż udowodni całemu chrześcijaństwu, że może przemaszerować bezkarnie z Harfleur do Calais.

– To nie jest wcale tak daleko – powiedział swoim ludziom sir John – może z tydzień marszu.

– A co nam da to, że będziemy przez tydzień maszerować przez Francję? – spytał ojca Krzysztofa Hook.

– Nic – odparł bez ogródek kapłan.

– To po co mamy to robić?

– Po to, żeby pokazać, że nas na to stać. Żeby dowieść, że Francuzi są bezradni.

– I mamy maszerować bez ciężkiego taboru?

Ojciec Krzysztof uśmiechnął się szeroko.

– Nie chcemy przecież, żeby bezradni Francuzi jednak nas dopadli, nieprawdaż? To by dopiero była katastrofa, młody Hooku! Nie możemy więc zabrać ze sobą dwustu ciężkich wozów, które aż zanadto spowolniłyby marsz, więc zostają konie, ostrogi, i ratuj się, kto może!

– To bardzo ważne! – powiedział swoim ludziom sir John. Wpadł z impetem do głównej sali oberży „Le Paon” i zaczął walić ręką w jedną z beczek. – Jesteście przytomni? Słuchacie mnie? Biercie ze sobą prowiant na osiem dni i tyle strzał, ile tylko zdołacie unieść! Zabieracie więc broń, pancerze, strzały, żarcie i nic więcej! Jeśli zobaczę, że któryś z was niesie coś innego niż broń, pancerz, strzały i żarcie, wepcham mu ten zbędny bagaż do gardła i wyrwę go przez jego cholerny zadek! Musimy maszerować szybko!

– Już tak dawniej bywało – powiedział Hookowi ojciec Krzysztof następnego ranka.

– Dawniej?

– Nie wiesz nic o swojej historii, Hook?

– Wiem, że mój dziadek został zamordowany, podobnie zresztą jak mój ojciec.

– Och, po prostu uwielbiam takie szczęśliwe rodziny – rzekł ironicznie kapłan. – Spróbuj

jednak cofnąć się myślą do czasów swego pradziadka, kiedy królem był Edward, a dokładnie Edward III. On też był tutaj, w Normandii, i postanowił odbyć szybki marsz do Calais, tylko że w połowie drogi dopadli go Francuzi.

– I zginął?

– Och, dobry Boże! Nie! Pokonał Francuzów! Słyszałeś chyba o Crécy?

– Jasne, że słyszałem o Crécy! – wykrzyknął Hook. Każdy łucznik słyszał o tej bitwie, w której to właśnie angielscy łucznicy wybili kwiat francuskiego rycerstwa.

– Wiesz zatem, Hook, że była to przesławna batalia, w której Bóg sprzyjał Anglikom. Lecz łaska boska to rzecz dość kapryśna.

– Chcesz mi powiedzieć, ojcze, że Bóg nie jest po naszej stronie?

– Chcę ci tylko powiedzieć, że Bóg jest zawsze po stronie zwycięzcy, Hook.

Nick zastanawiał się nad tym przez chwilę. Ostrzył przy tym grotu strzał, pocierając nimi o kamień. Myślał o wszystkich opowieściach, które słyszał w dzieciństwie, kiedy starcy mówili o gradzie strzał pod Crécy i Poitiers, po czym nagle zaczął wymachiwać ojcu Krzysztofowi przed nosem strzałą z długim grotem do przebijania pancerza.

– Jeśli napotkamy Francuzów – stwierdził stanowczo – pokonamy ich. Podziurawimy tym ich zbroje, ojcze.

– Mam ponure przeczucie, że król się z tobą zgadza – rzekł łagodnym tonem kapłan. – On naprawdę wierzy, że Bóg jest po jego stronie. Najwyraźniej jego brat ma inne zdanie na ten temat.

– Który brat? – spytał Hook. Przy wojsku był zarówno książę Clarence, jak i książę Gloucester.

– Clarence – odrzekł ojciec Krzysztof. – Odpływa do Anglii.

Nick zmarszczył brwi na tę wieść. Byli bowiem tacy, którzy uważali, że książę Clarence jest jeszcze lepszym żołnierzem niż jego starszy brat. Hook przyjrzał się grotowi, który właśnie ostrzył. Większa część długiego, wąskiego ostrza była wciąż pociemniała od rdzy, lecz sam czubek, ostry jak brzytwa, lśnił teraz metalicznie. Sprawdził go jeszcze, nakłuwając poduszeczkę kciuka lewej dłoni, a potem poślinił palce i wygładził lotki strzały.

– Dlaczego odpływa?

– Podejrzewam, że nie zgadza się z decyzją brata – rzekł ojciec Krzysztof z nutką ironii w głosie. – Oficjalnie rzecz jasna książę jest chory, lecz wyglądał ostatnio wyjątkowo korzystnie, jak na kogoś, komu coś dolega. Oczywiście, jeśli Henryk zginie, przed czym Boże uchowaj, książę Clarence zostanie królem Thomasem.



– Nasz Harry nie zginie! – zakrzyknął porywczy Hook.

– Jeśli Francuzi nas dopadną, będzie to bardzo możliwe – rzekł cierpko kapłan. – Lecz nawet nasz Henryk posłuchał wreszcie czyjejś rady. Mówiono mu, żeby wracał do domu, podczas gdy on sam chciał iść prosto na Paryż, lecz w końcu zamiast tego zgodził się pójść do Calais. Zaś z bożą pomocą, Hook, dotrzemy do Calais na długo przed tym, nim Francuzi zdołają nas dogonić.

– Mówisz o tym, ojcze, w taki sposób, jakbyśmy uciekali.

– Niezupełnie – zaproponował ksiądz – ale prawie. Pomyśl teraz o swej prześlicznej Melisandzie.

Nick zmarszczył brwi zmieszany.

– O Melisandzie?

– Francuzi stoją u jej pępka, Hook, a my siedzimy okrakiem na jej prawym sutku. Zamierzamy teraz przebiec na jej lewy sutek, prosząc Boga, żeby Francuzi nie dotarli wcześniej od nas do rowka między piersiami. – A jeśli tak się stanie?

– To wówczas rowek ten stanie się doliną śmierci – rzekł ojciec Krzysztof – więc módl się, żebyśmy maszerowali szybko i żeby Francuzi nadal drzemali.

– Nie wolno wam narzekać! – powiedział sir John swoim zgromadzonym w oberży łucznikom. – Nie możemy załadować strzał do beczek, bo nie mamy wozów, które mogłyby je przewieźć! Nie możecie też używać skórzanych dysków! Więc po prostu zwiążcie strzały, i to zwiążcie je mocno!

Od wiązania strzał w pęki często odkształcały się lotki, a to sprawiało, że pociski traciły na celności, lecz nie było innego wyjścia, jak tylko związać strzały w ciasne wiązki, które można będzie zawiesić u siodła lub włożyć na grzbiet jucznego konia. Przygotowanie wiązek zajęło aż dwa dni, gdyż król domagał się, aby zabrano z sobą wszystkie posiadane pociski, co oznaczało, że należało powiązać setki tysięcy strzał. Ile tylko się dało, wrzucono na lekkie chłopskie wozy, które miały towarzyszyć armii, lecz pojazdów takich było zbyt mało, więc nawet zbrojnym kazano przytroczyć sobie wiązki strzał z tyłu siodła. Do Calais pomaszerować miało blisko pięć tysięcy łuczników, którzy w ciągu jednej tylko minuty wystrzelić mogli sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt tysięcy pierzastych pocisków, a żadna bitwa nie została wszak jeszcze rozstrzygnięta w tak krótkim czasie.

– Nawet jeśli weźmiemy wszystkie strzały, jakie tylko mamy, nadal będzie ich za mało – narzekał Thomas Evelgold – a potem będziemy w tych drani rzucać kamieniami.

W Harfleur pozostawiono garnizon. Był to silny oddział, liczący ponad trzystu zbrojnych i blisko tysiąc łuczników, choć brakowało mu koni, ponieważ król zażądał, aby załoga miasta oddała maszerującym wszystkie zwierzęta, z wyjątkiem bojowych rumaków rycerzy. Koni potrzebowano wszak do transportu strzał. Nowi obrońcy Harfleur sami mieli niebezpiecznie wąty zapas pocisków, lecz lada dzień spodziewano się nowej dostawy strzał z Anglii, gdzie leśniczowie wycinali już

jesionowe drzewca, kowale wykuwali groty myśliwskie i ostrza do przebijania pancerza, a łuczarze zakładali strzałom lotki.

– Będziemy maszerować szybko! – krzyczał jakiś ksiądz o bardzo donośnym głosie. Było to w przeddzień wymarszu angielskiej armii, a kapłan ten odwiedzał wszystkie ulice i zaułki w mieście z kawałkiem pergaminu, na którym wypisane były królewskie rozkazy. Miał za zadanie zadbać o to, by każdy człowiek rozumiał, czego król od niego chce. – Nie będzie maruderstwa! Nad wszystko zaś nietykalna jest własność Kościoła! Każdy, kto dopuści się kradzieży dóbr należących do Kościoła, zostanie powieszony! Bóg jest z nami i wyruszamy w pole po to, by dowieść, że z Jego łaski jesteśmy panami Francji!

– Słyszeliście! – zawołał sir John, gdy ksiądz odchodził już na kolejną ulicę. – Macie trzymać swoje złodziejskie łapy z dala od własności Kościoła! I nie gwałćcie zakonnic! Bóg tego nie lubi, a i ja nie pochwalam!

Tego wieczora w kościele świętego Marcina ojciec Krzysztof uczynił Nicka i Melisandę mężem i żoną. Dziewczyna płakała, a Hook, gdy klęczał i patrzył na ociekające woskiem świece na ołtarzu, gorąco pragnął, aby święty Kryspinian znów zechciał doń przemówić, lecz męczennik z Soissons nadal uparcie milczał. Nick żałował też, że nie pomyślał o tym, by wezwać do świątyni swego brata, ale jakoś nie było okazji. Ojciec Krzysztof po prostu uparł się, że już najwyższa pora, by Hook wziął sobie Melisandę za żonę, więc zabrał ich do kościoła z ułamaną wieżą.

– Bóg z wami! – rzekł, kiedy króciutka ceremonia dobiegła końca.

– Jak dotąd rzeczywiście był przy nas – stwierdziła Melisanda.

– Módlcie się zatem, aby was nie opuścił, ponieważ będziemy teraz potrzebowali Jego pomocy – powiedział ksiądz, po czym odwrócił się i skłonił w stronę ołtarza. – Na Boga, nawet bardzo będziemy jej potrzebowali – dodał złowieszczo – gdyż Burgundczycy ruszyli.

– Ruszyli nam na pomoc? – spytał Hook. Czasy, kiedy nosił sękaty, czerwony burgundzki krzyż i patrzył, jak francuskie oddziały łupią miasto i masakrują mieszkańców, wydawały mu się już bardzo odległe.

– Nie nam – odrzekł ojciec Krzysztof – lecz Francji.

– Ale przecież... – zaczął Nick, lecz głos mu się załamał.

– Zakończyli wreszcie swoją rodzinną kłótnię – oznajmił kapłan – i zwrócili się przeciwko nam.

– I mimo tego mamy wyruszyć w pole? – spytał Hook.

– Król nalega – rzekł ponuro ojciec Krzysztof. – A my jesteśmy tylko niewielką armią na obrzeżach wielkiego państwa – ciągnął dalej – lecz przynajmniej wy dwoje jesteście teraz złączeni

na wieki. Nawet śmierć was nie rozdzieli.

– Bogu niech będą dzięki! – zawołała Melisanda, czyniąc znak krzyża.

Następnego dnia, we wtorek ósmego października, w uroczystość świętej Benedykty, przy bezchmurnym niebie, armia wyruszyła w drogę.

Skierowali się na północ, wzdłuż wybrzeża, a Hook czuł, jak poprawia się morale armii, w miarę jak Anglicy zostawiali za sobą smród łajna i trupi odór. Ludzie uśmiechali się promiennie bez konkretnego powodu, przyjaciele docinali sobie żartobliwie, a niektórzy popędzali konie ostrogami i po prostu galopowali przed siebie, ciesząc się z tego, że znów są na otwartej przestrzeni.

Sir John Cornewaille dowodził przednią strażą, a jego ludzie byli na samej szpicy. Na czele kolumny powiewał więc jego proporzec, a obok niej sztandar z krzyżem świętego Jerzego i flaga Świętej Trójcy. Trzech chorągwi strzegli zbrojni Cornewaille'a, za którymi jechało czterech konnych doboszy, nieustannie walących w bębny. Łucznicy znajdowali się na samym przedzie, przecierając szlak i wypatrując przeciwnika. Kiedy ten jednak już się ukazał i zorganizował zasadzkę, nie ucierpiał w niej żaden z ludzi sir Johna. Francuzi czekali bowiem, aż uzbrojona od stóp do głów i czujna awangarda podąży dalej, a potem przeprowadzili wypad z Montivilliers, warownego miasta wznoszącego się niedaleko traktu. Z lasu przy gościńcu zaczęli strzelać kusznicy, a grupa zbrojnych przypuściła szarżę na angielską kolumnę i wywiązała się zacięta walka. W końcu napastnicy, których było niespełna pięćdziesięciu, zostali odparci, lecz zdołali wziąć pół tuzina jeńców, a dwóch Anglików położyli trupem.

Potyczka ta miała miejsce pierwszego dnia marszu, lecz potem wydawało się, że Francuzi na powrót zapadli w sen, więc angielscy zbrojni jechali bez pancerzy, a ich kolczugi i płytowe zbroje dźwigały juczne konie. Różnokolorowe opończe i kaftany maszerującej konno kolumny nadawały jej wygląd jakiegoś świątecznego pochodu, a wrażenie to potęgowały jeszcze barwne sztandary, powiewające na czele każdego oddziału. Za zbrojnymi jechały kobiety, giermkowie i służba, prowadząc juczne konie, obładowane pancerzami, żywnością i wielkimi pękami strzał. Drużyna sir Johna miała do dyspozycji dwie furmanki, z których jedna wyładowana była po brzegi prowiantem i zbrojami płytowymi, a druga wiązkami pierzastych pocisków. Gdy Hook obracał się w siodle, widział przezroczystą chmurę pyłu, unoszącą się ponad niskimi pagórkami i gęstymi lasami. Znaczyła ona trasę przemarszu angielskiej armii, wijącą się niewielkimi dolinami w kierunku rzeki Sommy. Armia ta wydawała się Hookowi ogromna, lecz tak naprawdę była to banda zuchwalców, licząca niespełna dziesięć tysięcy ludzi, która sprawiała tylko wrażenie znacznie liczniejszej, gdyż miała z sobą ponad dwadzieścia tysięcy koni.

W niedzielę Anglicy wyjechali nagle spomiędzy pasm niewielkich wzgórz na bardziej otwarty, a przy tym dość płaski teren. Sir John sugerował wcześniej, że tego właśnie dnia powinni dotrzeć do Sommy. Dodał przy tym, że to jedyna poważniejsza przeszkoda na ich drodze. Wystarczyło przekroczyć tę rzekę, a do Calais zostaną im ledwie trzy dni marszu.

– To nie będzie żadnej bitwy? – spytał starszego brata Michael Hook.

Drużyna lorda Slaytona także wchodziła w skład straży przedniej, choć sir Martin i Thomas Perrill trzymali się z dala od sir Johna i jego ludzi.

– Mówią, że nie będzie – odrzekł Hook – ale któż to może wiedzieć?

– Francuzi nie zagrodzą nam drogi?

– Nawet nie wygląda na to, żeby próbowali, co? – rzekł Nick, skinąwszy głową ku rozciągającej się przed nimi pustej okolicy. Hook i reszta łuczników sir Johna znajdowali się o pół mili przed kolumną, zmierzającą w stronę rzeki. – Może Francuzi się cieszą, widząc, że odchodzimy? – zasugerował. – Może po prostu dadzą nam spokój?

– Byłeś już w Calais, prawda? – powiedział Michael, dumny z tego, że jego starszy brat tak dużo podróżował i tak wiele zobaczył od czasu, kiedy ostatnio się widzieli.

– To bardzo dziwne miasto – stwierdził Hook. – Potężne mury obronne i wielki zamek, a u jego stóp garstka niewielkich chałup. Ale tamtędy wiedzie droga do domu, Michaelu! Do domu!

– Dopiero co przyjechałem... – jęknął żałośnie młodszy z braci Hooków.

– Może wrócimy tu w przyszłym roku – rzekł Nick – i dokończymy dzieła. Spójrz! – krzyknął i wskazał ręką daleko przed siebie, gdzie pośród brunatnych, złotych i żółtych liści połyskiwała w słońcu tafla wody. – To może już być Somma.

– Albo jakieś jezioro – zasugerował Michael.

– Szukamy miejsca, które nazywa się Blanchetaque – oznajmił Hook.

– Te ich nazwy są naprawdę przezabawne! – rzekł ze śmiechem jego brat.

– W Blanchetaque jest bród – powiedział Nick. – Przeprawimy się przez rzekę i będziemy już prawie w domu.

Głośny tętent kopyt sprawił, że Hook obejrzał się za siebie i ujrzał, jak sir John wraz z kilkoma zbrojnymi pędzi galopem w ich kierunku. Cornewaille, z gołą głową i w kolczudze, zwolnił po chwili Lucyfera. Spoglądał w lewo, gdzie za niewielkim wzgórzem ukazało się morze.

– Widzisz, Hook? – spytał beztroskim tonem.

– Co takiego, panie?

Sir John wskazał na maleńką, białą plamę hen na horyzoncie.

– To Gris-Nez! Szary Nos, Hook!

– A co to takiego, panie?

– Przylądek, Hook, który znajduje się ledwie pół dnia drogi od Calais! Widzisz teraz, jak blisko celu jesteśmy?

– Będzie ze trzy dni drogi? – spytał Nick.

– Na koniu takim jak Lucyfer to nawet dwa – stwierdził sir John, gładząc grzywę swego wierzchowca, po czym odwrócił się i spojrzał na rozciągający się przed nimi krajobraz.

– Czy to już Somma?

– Tak myślę, panie.

– Więc Blanchetaque nie może być daleko stąd! To właśnie tam przekroczył Somnę Edward III w drodze pod Crécy! Może był z nim wówczas twój pradziadek, Hook!

– Mój pradziadek był pasterzem, panie, i w życiu nie strzelał z łuku.

– Strzelał tylko z procy – wtrącił Michael, a jego głos brzmiał niezbyt pewnie, z uwagi na to, że rozmawiał z samym sir Johnem.

– Jak Dawid do Goliata, co? – rzekł Cornewaille, wciąż spoglądając na odległy przylądek. – Słyszałem, że wzięłeś ślub przed kościelnym ołtarzem, Hook!

– Owszem, panie.

– Kobiety to lubią – stwierdził ponurym tonem sir John – a my lubimy kobiety! – dodał i wyraźnie poweselał. – To dobra dziewczyna, Hook – rzucił jeszcze i zlustrował okolicę przed frontem kolumny. – Wciąż nie widać żadnego przeklętego Francuza!

– Tam w dole jest jakiś jeździec – rzekł nieśmiało Michael.

– Co takiego? – warknął sir John.

– Tam – powtórzył Michael, wskazując niewielki zagajnik o milę przed nimi. – Jest tam jakiś jeździec, panie.

Sir John wpatrywał się w kępę drzew, lecz niczego nie mógł dostrzec, ale Hook widział już teraz wyraźnie człowieka, który siedział bez ruchu na koniu w głębokim cieniu jesiennego listowia.

– Rzeczywiście, panie, jest tam jakiś jeździec – potwierdził zatem.

– Łajdak, obserwuje nas! Potrafisz go stamtąd wykurzyć, Hook? Może będzie wiedział, czy ci przekłęci Francuzi pilnują brodu. Tylko go nie spłosz! Chcę, żebyś przygnał go w naszą stronę!

Hook rzucił okiem w swoją prawą stronę, wypatrując jakiegoś obniżenia terenu, które pozwoliłoby mu niepostrzeżenie obejść francuskiego zwiadowcę.

– Myślę, że mogę to zrobić, panie – odparł po chwili.

– Więc do roboty, chłopie.

Hook wziął z sobą brata, Scoyle'a Londyńczyka i Toma Scarleta i najpierw oddalił się nieco od ukrytego w zagajniku jeźdźca, podążając w stronę zbliżającej się armii. Potem zjechał z niewielkiego zbocza, które ukryło go przed wzrokiem tamtego. Później skręcił z drogi na wschód i spał konia ostrogami, by przegalopować kawał łąki. Przez cały czas czterej jeźdźcy pozostawali niewidoczni dla swej ofiary. Przed nimi były jakieś zagajniki i zarośla. Na polach nie rosły tutaj żywopłoty, a konie z łatwością przeskakiwały niewielkie rowy. Teren był niemal płaski i falował jedynie na tyle, by nadal ukrywać czterech łuczników przed wzrokiem nieprzyjaciela, gdy Hook skręcił znów na północ. W oddali, po jego prawej ręce, jakiś chłop orał pole. Jego dwa woły z trudem ciągnęły wielki pług, który zapuszczony był głęboko w ziemię, gdyż ozimą pszenicę zawsze siało się głębiej.

– Przydałoby mu się trochę deszczu! – zawołał Michael.

– Z pewnością by nie zaszkodziło! – odkrzyknął Nick.

Konie pędziły w górę niezauważalnego niemal wzniesienia i po chwili przed nimi ukazał się krajobraz, który Hook zachował w pamięci. Łucznik nie skręcił jednak w stronę lasu, gdzie ukrywał się jeździec, lecz nadal gnał na północ, aby odciąć go od Sommy. Może zresztą tamten już odjechał? Najprawdopodobniej był to po prostu jakiś miejscowy szlachcic, który chciał sobie popatrzeć na przechodzącą nieprzyjacielską armię. Szlachta jednak zazwyczaj wiedziała więcej niż chłopci o tym, co działo się w sąsiednich regionach kraju, i właśnie dlatego sir John chciał przesłuchać tego człowieka.

Pazur zaczynał się męczyć, sapał i przestawał słuchać jeźdźca, więc Hook wstrzymał wierzchowca.

– Łuki! – krzyknął do swych towarzyszy, wyciągając z pokrowca swoje łączysko. Wsparłszy jeden jego koniec o strzemię, założył cięciwę.

– Myślałem, że mamy mu nie robić krzywdy – rzekł Tom Scarlet.

– Jeśli ten łajdak to szlachcic – odparł Hook, którzy przypuszczał, że tak właśnie jest, gdyż tamten był na koniu – to będzie umiał posługiwać się mieczem. Jeśli rzucisz się na niego ze swoją klingą, jak nic obetnie ci głowę. Ale nie będzie chyba taki odważny, jak zobaczy, że mierzysz do niego z łuku, co? – dodał i przytrzymał strzałę na łączysku kciukiem lewej dłoni.

Poklepał Pazura po karku, po czym znów spał konia i zmusił go do galopu. Zbliżali się teraz do lasu od przeciwnej strony. Hook widział, że sir John zatrzymał się na niewielkim wzniesieniu, nie chcąc za wcześnie wypłoszyć jeźdźca z jego kryjówki, lecz samotny Francuz wyczuł, że może mieć kłopoty, lub może po prostu już dosyć napatrzył się na maszerujących Anglików, gdyż nagle wyłonił się z ukrycia i popędził konia na północ, ku rzece.

– Niech go szlag! – mruknął Hook.

Sir John również zobaczył, że Francuz ucieka, i natychmiast pogalopował za nim wraz ze swymi zbrojnymi, lecz ich konie były zdrożone, zaś wierzchowiec tamtego wypoczęty.

– Nie mają szans go dogonić – stwierdził Scoyle.

Hook zignorował ten przejaw pesymizmu. Skierował konia na północ i wbił mu piętę w boki. Francuz pędził gościńcem, który skręcał teraz w prawo, a Hook mógł pogalopować po cięciwie tego łuku. Wiedział jednak, że nie prześcignie tamtego, a więc nie będzie miał szans go złapać, lecz mógł zbliżyć się doń na odległość skutecznego strzału. Francuz odwrócił się w siodle i ujrzał Nicka i jego ludzi, więc znów ubódł konia ostrogami. Hook zrobił to samo i na twardym podłożu rozległ się donośny tętent kopyt. Nick spostrzegł, że za moment tamten skryje się za drzewami, więc ściągnął wodze Pazura, wysunął stopy ze strzemion i zeskoczył z siodła. Potknął się przy tym, upadł na jedno kolano, lecz jego lewa ręka unosiła już łączysko, a prawa chwyciła strzałę, założyła ją na cięciwę i zaczęła napinać łuk.

– Za daleko – stwierdził Scoyle, wstrzymując wierzchowca. – Zmarnujesz tylko porządną strzałę.

– Zdecydowanie za daleko – przytaknął Michael.

Lecz łuk był potężny, a Hook nie myślał o celowaniu. Obserwował tylko mknącego w oddali jeźdźca, siłą swej woli kierując strzałę tam, gdzie chciał, po czym napiął łuk do końca i spuścił cięciwę, która z brzdękiem uderzyła go w nieosłonięty nadgarstek. Strzała trzepotała przez moment, nim jej lotki nabrały powietrza, po czym wyprostowała lot.

– Stawiam dwa pensy, że chybisz o dwadzieścia kroków – rzekł Tom Scarlet.

Strzała zatoczyła łuk na niebie, a jej niknące w oddali białe pióra migotały w jesiennym słońcu. Jeździec mknął wciąż galopem, nieświadom tego, że myśliwski grot, który wzbił się wysoko w górę, zaczyna już ze świstem opadać w dół. Strzała pikowała szybko, obniżając lot i tracąc impet, a jeździec znów obejrzał się za siebie, wypatrując pościgu. Kiedy to zrobił, haczykowaty grot ugodził jego konia w brzuch, rozdzierając ciało i rozcinając arterie. Zwierzę poczuło straszliwy ból i nagle szarpnęło się gwałtownie w bok, a Hook dostrzegł, jak jeździec traci równowagę i spada z siodła.

– Słodki Jezu! – szepnął Michael z niekłamanym podziwem.

– Za nim! – krzyknął Nick, chwytając wodze Pazura i wskakując na siodło. Uderzył zwierzę piętami, nim jeszcze wsunął stopy w strzemiona, i przez moment wydawało mu się, że zaraz sam spadnie z konia, ale zdołał w końcu wetknąć prawy but w strzemię i ujrzał, że Francuz próbuje ponownie dosiąść konia. Hook nie zabił, a tylko zranił wierzchowca, lecz zwierzę krwawiło obficie, gdyż myśliwski grot stworzony był do tego, by rozszarpywać ciało. Im szybciej próbował jechać Francuz, tym więcej krwi tracił jego wierzchowiec.

Jeździec spał jednak konia ostrogami i zniknął między drzewami. Po chwili Hook był już na gościńcu i wpadł do lasu w tym samym miejscu co Francuz. Spostrzegł, że tamten jest sto kroków przed nim, a jego koń potyka się, zostawiając za sobą krwawy ślad. Uciekinier dostrzegł swych prześladowców i zeskoczył z siodła, wiedząc, że jego wierzchowiec nie będzie w stanie dalej biec. Odwrócił się, chcąc pobiec w las, lecz wówczas Hook krzyknął:

– *Non!*

Pozwolił Pazurowi zwolnić i zatrzymać się pomiędzy drzewami. W rękach trzymał napięty łuk, a na cięciwie była już następna strzała, wymierzona w jeźdźca, który z rezygnacją skinął głową. Miał przy sobie miecz, ale nie nosił pancerza. Gdy Nick trochę się doń zbliżył, ujrzał, że tamten ma na sobie porządne ubranie: płaszcz z popeliny, gęsto tkaną płócienną koszulę i drogie buty. Był to przystojny mężczyzna lat około trzydziestu, z szeroką twarzą, przyszyzoną starannie bródką i bladzielonymi oczyma, których spojrzenie utkwilił teraz w grot strzały.

– Nie ruszaj się! – krzyknął Hook. Mężczyzna być może nie mówił po angielsku, lecz rozumiał doskonale, co znaczy napięty łuk i strzała o długim grocie, więc posłuchał rozkazu i zaczął głaskać po nozdrzach swego dogorywającego wierzchowca. Koń zarżał przeraźliwie, po czym rozjechały mu się przednie nogi i padł na gościńcu. Francuz przykucnął przy nim i nadal go głaskał, szepcząc coś łagodnie do umierającego zwierzęcia.

– Prawie pozwoliłeś mi uciec, Hook! – wrzasnął sir John, który nadszedł właśnie galopem.

– Prawie, panie.

– Przekonajmy się zatem, co ten łajdak wie – rzekł Cornewaille, zeskakując z siodła. – Niech ktoś dobije to biedne zwierzę! – rozkazał. – Niech mu ktoś oszczędzi cierpień!

Jego rozkaz został spełniony. Wystarczył jeden cios dwuręcznego topora w czoło wierzchowca. Potem sir John zaczął rozmawiać z jeńcem. Traktował go przy tym – niezwykle uprzejmie, zaś Francuz okazał się gadatliwy. Nie ulegało wątpliwości, iż to, co mówił, wprawiało sir Johna w wyraźną konsternację.

– Potrzebuję konia dla sir Julesa! – Cornewaille zwrócił się z tymi słowami do swych łuczników. – Ten człowiek musi spotkać się z królem!

Sir Jules został doprowadzony przed oblicze króla i cała armia zatrzymała się.

Straż przednia znajdowała się zaledwie pięć mil od brodu w Blanchetaque, zaś stamtąd do znajdującego się na północy Calais były już tylko trzy dni marszu. Zatem za trzy dni, w osiem dni po opuszczeniu Harfleur, armia powinna wkroczyć do tego pozostającego w rękach Anglików miasta, a wówczas Henryk mógłby szczycić się tym, że jeśli nawet nie odniósł spektakularnego zwycięstwa, to przynajmniej upokorzył Francuzów. Jednak by ich upokorzyć, trzeba było przejść przez szeroki bród w Blanchetaque, możliwy do sforsowania jedynie podczas odpływu.



Lecz Francuzi dotarli doń pierwsi. Na północnym brzegu Sommy znajdował się Charles d'Albert, konstabl Francji. Jeniec, który był u niego na służbie, powiedział, że Francuzi naszpikowali bród zaostrzonymi palami, a na drugim brzegu rzeki stoi sześć tysięcy ludzi, mających uniemożliwić Anglikom przeprawę.

– Nie damy rady się przeprawić – oświadczył ponurym tonem sir John tego wieczora. – Dranie już tam są!

Francuzi zablokowali przeprawę, a kiedy zapadła noc, na pochmurnym niebie odbijały się obozowe ogniska sześciotysięcznego oddziału, strzegącego brodu w Blanchetaque.

– Rzekę można tam przejść w bród tylko podczas odpływu – wyjaśnił sir John – a nawet wtedy jest tak wąsko, że może się przeprawiać tylko dwudziestu ludzi w szeregu. A dwudziestu ludzi nie odeprze sześciu tysięcy.

Przez chwilę wszyscy milczeli, po czym ojciec Krzysztof zadał pytanie, które cisnęło się na usta każdemu członkowi drużyny Cornewaille'a, choć wszyscy bali się zarazem odpowiedzi, jaka musiała paść.

– Co zatem pocniemy, panie?

– Znajdziemy rzecz jasna inny bród.

– A gdzie, jeśli można wiedzieć?

– W dole rzeki – odparł ponuro sir John.

– Czyli idziemy w stronę pępka – mruknął kapłan.

– Co takiego? – spytał Cornewaille, patrząc na swego kapelana takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że ten oszalał.

– Nic, panie. Nic takiego – jękał się ojciec Krzysztof.

Tak więc teraz angielska armia, z zapasami żywności zaledwie na trzy dni, musiała ruszyć w głąb Francji, aby przeprawić się przez rzekę. Jeśli Anglikom nie udałooby się jej sforsować, czekała ich śmierć, a gdyby nawet zdołali się przez nią przeprawić, wciąż jeszcze mogli zginąć, ponieważ marsz w głąb Francji wymagał czasu, a to dawało francuskiej armii szansę na ocknięcie się ze snu i zmierzenie z przeciwnikiem. Błyskawiczny marsz wzdłuż wybrzeża nie powiódł się, więc teraz Henryk wraz ze swą nieliczną armią musiał zapuścić się w głąb Francji.

Nazajutrz, pod wiszącym nisko baldachimem ciemnych chmur, Anglicy skierowali się na wschód.

Nadzieja podtrzymywała dotąd na duchu maszerującą armię, lecz teraz w ludzkie serca zaczęła wkradać się rozpacz. Nastąpił też nawrót epidemii. Ludzie wciąż tylko zeskakiwali z koni, zbiegali z gościńca i opuszczali spodnie, tak że tylnej straży towarzyszył nieustannie smród ludzkich odchodów. Kolumna posuwała się naprzód w ponurej ciszy. Znad oceanu wiatr przynosił przelotne deszcze, które sunęły falami w głąb lądu, pozostawiając za sobą przemoczoną i ociekającą wodą angielską armię.

Wszystkie brody przez Somnę były naszpikowane zaostrzonymi palami i pilnie strzeżone. Mosty zaś zniszczono, a po drugiej stronie rzeki, niczym cień, posuwała się za Anglikami francuska armia. Nie były to jej główne siły, złożone z niezliczonej rzeszy rycerzy i kuszników, które zgromadziły się w Rouen, tylko mniejszy oddział, dostatecznie jednak silny, aby uniemożliwić przeciwnikowi wszelkie próby forsowania naszpikowanych zaostrzonymi palami brodów. Każdego dnia widać było za rzeką Francuzów – zbrojnych i kuszników, którzy posuwali się konno wzdłuż północnego brzegu Sommy, dotrzymując kroku idącym po jej południowej stronie Anglikom. Niejeden raz sir John na czele łuczników i zbrojnych galopował co tchu przed siebie, usiłując uchwycić jakiś bród, zanim dotrą doń Francuzi, lecz ci zawsze już na nich czekali. Widocznie rozmieścili swe załogi przy każdej przeprawie.

Zaczynało brakować żywności, choć niewielkie, pozbawione obwarowań miasta niechętnie dostarczały im kosze chleba, sera i wędzonych ryb, nie chcąc ryzykować ataku i zniszczenia. Z każdym dniem marszu w głąb terytorium wroga angielskiej armii coraz bardziej dokuczał głód.

- Czemu po prostu nie zawrócimy do Harfleur? – mruknął Thomas Evelgold.
- Ponieważ oznaczałoby to ucieczkę – odparł Hook.
- To chyba i tak lepsze od śmierci – rzekł setnik.

Wrogowie znajdowali się także na „angielskim” brzegu Sommy. Ze szczytów niewielkich wzgórz na południu maszerującą kolumnę obserwowali francuscy zbrojni. Pojawiali się zwykle w małych grupkach liczących po sześciu czy siedmiu ludzi, a jeśli tylko zbliżył się ku nim oddział angielskich rycerzy, za każdym razem się wycofywali, choć od czasu do czasu zdarzało się, że któryś z nich unosił kopię na znak, że proponuje pojedynek. Wówczas bywało, że jakiś Anglik podejmował wyzwanie i dwaj przeciwnicy ruszali ku sobie galopem, po czym rozlegał się szcęk okutych żelazem kopii o zbroje i jeden z nich zsuwał się wolno z siodła. Kiedyś dwaj wrogowie przeszli się nawzajem kopiami i obydwaj wyzionęli ducha, nabici na ich długie drzewca. Czasem oddział Francuzów, liczący nawet czterdziestu czy pięćdziesięciu zbrojnych, ruszał do szarży, atakując jakiś słaby punkt w maszerującej kolumnie, aby położyć trupem kilku Anglików i oddalić się galopem.

Inni Francuzi mieli pełne ręce roboty przed frontem angielskiej armii, zbierając resztki tegorocznych plonów, tak aby nic nie zostało dla najeźdźców. Zapasy z opróżnianych stodół i spichlerzy zwożono do Amiens, miasta, które Anglicy minęli w dniu, kiedy powinni byli dotrzeć do Calais. Worki, w których zabrali z Harfleur żywność, były teraz puste. Hook, jadąc konno w zacinającej mżawce, wpatrywał się w odległą, białą sylwetkę górującej nad miastem katedry i rozmyślał o wielkich zapasach pożywienia, zgromadzonych za murami. Był głodny, zresztą tak jak wszyscy.

Następnego dnia rozbili obóz nieopodal zamku stojącego na szczycie białej, kredowej skały. Zbrojni sir Johna schwyтали dwóch nieprzyjacielskich rycerzy, którzy zanadto zbliżyli się do angielskiej przedniej straży, i jeńcy ci chełpili się, że Francuzi zetrą w pył niewielką armię Henryka. Swe przechwałki powtórzyli nawet przed obliczem króla i niebawem sir John przyniósł łucznikom nowe rozkazy monarchy.

– Jutro rano – rzekł, stanąwszy pośród obozowych ognisk – każdy z was ma sobie wyciąć porządny pal długości łączyska. Jeśli dacie radę, może być nawet dłuższy! Zetniście konar grubości ramienia i zaostrzcie obydwie końce.

Ognisko posykiwało na deszczu. Łucznicy Hooka zjedli skromną kolację w postaci zajęcia, którego ustrzelił Tom Scarlet. Melisanda upiekła zdobycz nad paleniskiem otoczonym płaskimi kamieniami, na których zrobiła podpłomyki z owsa pomieszanego z żołądziami. Mieli jeszcze trochę orzechów i kilka twardych, zielonych jabłek. Nie został im już ani łyk piwa, nie mówiąc o winie, więc zaczerpnęli tylko wody ze strumienia. Melisanda, zawinięta w ogromną kolczugę Nicka, siedziała teraz skulona obok niego.

– Pale? – spytał ostrożnie Thomas Evelgold.

– Francuzi, oby wiecznie smażyli się w piekle – rzekł sir John, podchodząc do największego z ognisk – wymyślili wreszcie, jak was pokonają. Słyszycie?! Was! Angielskich łuczników! Oni się was boją! Słuchacie mnie wszyscy uważnie?

Łucznicy przyglądali mu się w milczeniu. Sir John miał na sobie skórzany kapelusz i gruby, skórzany płaszcz. Brzegi płaszcza i rondo kapelusza ociekały teraz wodą. W rękę dzierżył krótką kopię, przyciętą do takich rozmiarów, aby mógł się nią posługiwać rycerz walczący pieszo.

– Słuchamy, panie! – ryknął w końcu Evelgold.

– Specjalne instrukcje nadeszły ponoć aż z Rouen! – oświadczył Cornewaille. – Marszałek Francji ma plan! Plan ten polega na tym, że należy zabić najpierw was, łuczników, a potem wyrząść całą resztę.

– To znaczy wziąć szlachtę do niewoli – mruknął Evelgold, za cicho jednak, aby sir John go usłyszał.

– Francuzi zbierają rycerzy na solidnie opancerzonych koniach – kontynuował Cornewaille –

zaś sami jeźdźcy będą mieli najlepsze zbroje, na jakie ich stać! Mediolańską stal! Wszyscy wiecie, co to takiego mediolańska zbroja!

Hook wiedział tylko, że pancerze wykonane w Mediolanie, gdziekolwiek to było, cieszyły się opinią najlepszych w całym chrześcijańskim świecie. Mówiono, że taka zbroja jest w stanie oprzeć się nawet najcięższemu grotowi strzały, lecz na szczęście należała do rzadkości, ponieważ była straszliwie droga. Nickowi powiedziano kiedyś, że kompletna mediolańska zbroja płytowa kosztowałaby prawie sto funtów. Suma ta stanowiła równowartość ponad dziesięciu lat żołdu łucznika, a także spory wydatek dla większości rycerzy, którzy mogli uważać się za bogatych, jeśli ich dochód wynosił czterdzieści funtów rocznie.

– Tak więc założą pancerze swym rumakom, a sami włożą mediolańskie zbroje – kontynuował sir John – a potem ruszą do szarży na was, łuczników! Chcą wpaść pomiędzy was z mieczami i maczugami – mówił, a jego ludzie słuchali go teraz z uwagą, wyobrażając sobie ogromne wierzchowce o stalowych pyskach i opancerzonych bokach, kręcące się w kółko i stojące dęba pośród ich zdjętych paniką szeregów. – Jeżeli poślą do szarży tysiąc konnych, będziecie mieli szczęście, jeśli zdołacie zatrzymać stu spośród nich! A reszta będzie chciała po prostu was powyrzynać. Sęk jednak w tym, że im się to nie uda, bo będziecie mieli ze sobą zastrzone pale! – zawołał. By pokazać, co miał na myśli, uniósł w górę skróconą kopię, po czym wbił jej grubszy koniec w ziemię, ustawiając drzewce ukośnie, tak że stalowe ostrze znalazło się mniej więcej na wysokości klatki piersiowej dorosłego człowieka. – Tak macie wbić je w ziemię – powiedział. – Jeśli wpadnie na to rozpędzony koń, po prostu nadzieje się na pal. I to właśnie jest sposób na to, by powstrzymać człowieka w mediolańskiej zbroi! Tak więc jutro rano wszyscy wytniecie sobie takie pale. Po jednym dla każdego. I zaostrzcie oba końce.

– Jutro rano, panie? – spytał sceptycznym tonem Evelgold. – Czy Francuzi są już tak blisko?

– Francuzi mogą być wszędzie – odrzekł sir John. – Jutro od samego rana macie jechać w kolczugach i skórzanych kaftanach, założyć hełmy i dbać o to, żeby cięciwy były suche. No i macie zabrać z sobą zastrzone pale.

Nazajutrz Hook odrąbał gałąź dębu i zaostrzył swym dwuręcznym toporem obydwie końce świeżego konara.

– Kiedy wypływaliśmy – rzekł żalonym tonem Will z Doliny – ludzie mówili, że jesteśmy najlepszą armią, jaką kiedykolwiek zgromadzono w Anglii! A teraz musimy suszyć cięciwy, zajadać podpłomyki z żołędzi i dźwigać te przeklęte pale! Niech je diabli!

Przewożenie na koniu długiego, dębowego pala okazało się bardzo niewygodne. Zwierzęta były zmęczone, głodne i przemoczone. W dodatku znowu zaczął padać deszcz, i to jeszcze bardziej intensywny. W podmuchach wiatru zacinał z tyłu, marszcząc tafłę rzeki mnóstwem dołeczków. Za Sommą wciąż byli Francuzi. Jak zawsze na drugim brzegu.

Nadeszły nowe rozkazy od króla i straż przednia oddaliła się od rzeki, wspinając się na długie,

grząskie zbocze, wiodące na rozległy płaskowyż pokryty nasiąkniętymi wodą, monotonnymi polami.

- Dokąd teraz zmierzamy? – spytał Hook, kiedy rzeka znikła im z oczu.
- Bóg jeden wie – odparł ojciec Krzysztof.
- Ale ci nie mówi, ojcze?
- A czy twój święty mówi ci cokolwiek?
- Ani słowa.
- A zatem Bóg jeden wie, gdzie jesteśmy – westchnął ojciec Krzysztof – i nikt inny.

Ziemia na płaskowyżu była gliniasta i już niebawem droga zamieniła się w błotne grzęzawisko, które nieustannie rozmiękczał jeszcze padający deszcz. Robiło się coraz zimniej, a na płaskowyżu nie rosły prawie żadne drzewa, co oznaczało, że znacznie trudniej było teraz o drewno na opał. W nocy łucznicy z jakiejś innej drużyny spalili swe zastrzone pale, żeby nieco się ogrzać, i cała armia musiała się potem zatrzymać i przyglądać wymierzonej im chłóście. Ich dwudziestnikowi obcięto ponadto uszy.

Francuscy jeźdźcy zaczęli wyczuwać rozpacz wkradającą się w szeregi armii Henryka. Podążali w ślad za nią, nieco na południe od ponurej kolumny, lecz angielscy rycerze byli już nazbyt zmęczeni, a ich wierzchowce zanadto wygłodniałe, aby podjąć niepisane wyzwanie uniesionych kopii, więc Francuzi robili się coraz zuchwalsi i zaczęli podjeżdżać coraz bliżej.

- Nie marnujcie strzał! – powiedział swym łucznikom sir John.
- Będzie o jednego Francuza mniej w czasie bitwy – zasugerował Nick.

Cornewaille zdobył się na pełen znużenia uśmiech.

– To kwestia honoru, Hook – rzekł, skinąwszy głową w stronę Francuza, kłusującego niespełna ćwierć mili od nich. Jeździec był zupełnie sam i jechał z uniesioną kopią na znak, że wyzywa na pojedynek jakiegoś Anglika. – Poprzysiągł dokonać jakiegoś chwalebego czynu – wyjaśnił sir John – na przykład zabić mnie lub innego rycerza, a to szlachetny zamiar.

- I zamiar ten ma go ocalić przed strzałami? – spytał srogim tonem Nick.
- Owszem, Hook. Daj mu spokój. To dzielny rycerz.

Tego popołudnia zbliżyło się do nich więcej takich dzielnych rycerzy, lecz nadal żaden z Anglików nie zechciał podjąć wyzwania, więc Francuzi stawali się coraz śmielsi, podjeżdżając na tyle blisko, że mogli już rozpoznać rycerzy, z którymi potykali się na turniejach w całej Europie. Niektórzy gawędzili nawet ze swymi znajomymi. Francuzów nigdy nie było widać więcej niż może z tuzin naraz. Nagle jeden z nich, dosiadający wysokiego i rączego czarnego konia, krocącego dumnie

i energicznie wzbijającego w górę grząską ziemię, podjechał do straży przedniej.

– Sir Johnie! – zawołał. Był to pan de Lanferelle; jego długie włosy opadały przemoczone i zaniedbane.

– Lanferelle!

– Jeśli dam ci owies dla konia, panie, czy zechcesz skrzyżować ze mną kopię?

– Jeśli dasz mi owsa – odkrzyknął Cornewaille – zjedzą go moi łucznicy!

Lanferelle się zaśmiał. Sir John zjechał z drogi, zbliżył się do Francuza i dwaj rycerze gawędzili sobie przyjaźnie.

– Wyglądają, jakby byli dobrymi przyjaciółmi – zauważyła Melisanda.

– Może i nimi są – przytaknął Nick.

– I będą ze sobą walczyć, jeśli dojdzie do bitwy?

– Angliku! – krzyknął na Hooka Lanferelle, po czym podjechał w kierunku łuczników. – Sir John mówi, że poślubiłeś moją córkę!

– Owszem – odparł Nick.

– I to bez mojego błogosławieństwa! – rzekł Francuz rozbawionym tonem i spojrzał na Melisandę. – Masz opończę, którą ci dałem?

– *Oui* – odparła dziewczyna.

– Załóż ją – rzekł szorstko jej ojciec. – Załóż ją koniecznie, jeśli dojdzie do bitwy.

– Ponieważ mnie ocali? – spytała z goryczą w głosie. – W Soissons nie ocalił mnie nawet habit nowicjuski.

– Do cholery ze Soissons, dziewczyno! – krzyknął Lanferelle. – To, co się tam działo, spotka też tych ludzi. Oni wszyscy są już martwi! – zawołał, szerokim gestem wskazując całą kolumnę, brnącą wolno błotnistym gościńcem. – Wszyscy ci przekłęci przez Boga żołnierze są zgubieni! Będzie mi przyjemnie uratować chociaż ciebie.

– Po co?

– Po to, żebym mógł zdecydować o twym przyszłym losie – stwierdził Lanferelle. – Zakosztowałaś już wolności i zobacz, do czego cię to doprowadziło! – rzekł z uśmiechem, ukazując swe zdumiewająco białe zęby. – Chyba że pojedziesz ze mną już teraz? Zabiorę cię stąd, nim wyrzniemy tę żalną zgraję.

– Zostaję z Nicholasem – odparła Melisanda.

– Więc zostań z tymi przeklętymi przez Boga nieszczęśnikami! – rzekł opryskliwie Lanferelle. – A kiedy już twój Nicholas będzie martwy, zabiorę cię ze sobą – dodał, po czym zawrócił rumaka i zamieniwszy jeszcze kilka słów z sir Johnem, odjechał na południe.

– Przeklętymi przez Boga? – spytał Hook.

– Francuzi tak właśnie nazywają was, Anglików – wyjaśniła dziewczyna, po czym spojrzała na sir Johna. – Naprawdę jesteśmy zgubieni? – spytała.

Cornewaille uśmiechnął się ponuro.

– To zależy od tego, czy ich armia nas dogoni, a jeśli nas dogoni, to z kolei od tego, czy zdoła nas pokonać. Przecież wciąż jeszcze żyjemy!

– A czy ich armia nas dogoni? – zapytała Melisanda.

Sir John wskazał ręką ku północy.

– Na północnym brzegu Sommy był tylko niewielki francuski oddział – wyjaśnił – który dotrzymywał nam kroku i dbał o to, żebyśmy nie przekroczyli rzeki. W ten sposób Francuzi spychali nas ku swoim głównym siłom. Lecz w tym miejscu, moja droga, Somma skręca na północ, i to ogromnym zakolem! My idziemy na skróty, lecz francuski oddział musi podążać wzdłuż rzeki, co zajmie mu ze trzy lub cztery dni, a my już jutro będziemy znów nad jej brzegiem. Francuzów nie będzie wtedy po drugiej stronie i jeśli znajdziemy bród albo, z bożą pomocą, jakiś most, znajdziemy się na północnym brzegu Sommy i ruszymy ku oberżom Calais! Pomaszerujemy do domu!

Jednak każdego dnia pokonywali coraz krótszy dystans. Nie było paszy dla koni, skończył się owies i z dnia na dzień coraz więcej ludzi zeskakiwało z siodeł, by prowadzić za uzdę swe słabnące i zmęczone wierzchowce. W ciągu pierwszego tygodnia marszu miasta dawały żywność przechodzącej obok armii, lecz teraz nieliczne warowne miasteczka zamykały przed Anglikami swe bramy i odmawiały jakiegokolwiek pomocy. Wiedzano bowiem, że armia Henryka nie ma czasu, by szturmować ich szanse, choćby nawet te znajdowały się w opłakanym stanie, więc przyglądano się jedynie, jak posępna kolumna przechodzi pod murami, i modlono się o to, by Bóg zniszczył do reszty osłabionych głodem i chorobami najeźdźców.

Boży gniew był zaś ostatnią rzeczą, na jaką gotów był narazić się Henryk, tak więc gdy w ostatnim dniu marszu przez płaskowyż, gdy nazajutrz mieli już zjechać z powrotem do doliny Sommy, przyszedł doń na skargę miejscowy ksiądz, który stwierdził, że jakiś Anglik ukradł z jego kościoła cyborium, król kazał zatrzymać całą kolumnę. Setnikom i dwudziestnikom rozkazano przeszukać swych ludzi. Skradzione cyborium, czyli pozłacana, miedziana puszcza na komunikanty, nie miało większej wartości, lecz Henryk i tak postanowił je znaleźć.

– Jakiś nieszczęśnik pewnie je ukradł, żeby dostać się do opłatków – zasugerował Tom Scarlet.

– Zjadł zawartość, a puszkę wyrzucił.

– I co tam, Hook? – spytał sir John.

– Żaden z nas nie ma tej puszkę, panie.

– Jedno przeklęte cyborium! – burknął Cornewaille. – Niech je francuska choroba, ojczyźnie!

– Skoro tak mówisz, panie – rzekł ojciec Krzysztof. – Jak można przez jedno przeklęte cyborium dawać Francuzom szansę, by nas dogonili!

– Bóg zapewne nas wynagrodzi, jeśli je znajdziemy – zasugerował kapłan. – Już teraz powstrzymał ulewę! – dodał. Była to prawda. W chwili gdy rozpoczęto poszukiwania, przestał padać deszcz, a blade słońce usiłowało rozgonić chmury i zaświecić wreszcie nad przesiąkniętym wodą płaskowyżem.

I wtedy cyborium nagle się odnalazło.

Ukryte było w rękawie kaftana jednego z łuczników; zapasowego kaftana, który człowiek ten najwyraźniej zwinął i przywiązał do łęku siodła, choć sam twierdził teraz, że nigdy wcześniej nie widział na oczy ani tego ubrania, ani cyborium.

– Tacy jak on zawsze twierdzą, że są niewinni – powiedział Henrykowi jeden z królewskich kapelanów. – Trzeba go powiesić i tyle, najjaśniejszy panie.

– Powiesimy go zatem – rzekł stanowczo król – i każemy wszystkim przyglądać się egzekucji! Niech wiedzą, co ich czeka, jeśli dopuszczą się świętokradztwa! Powiesić go!

– Nie! – zaproponował Hook, ponieważ człowiekiem, którego wleczono właśnie pod pobliskie drzewo, gdzie zatrzymał się król ze swoją świtą, był jego brat, Michael.

I to na niego czekał już stryczek.

Królewscy zaciągnęli Michaela pod pień wielkiego wiązu, gdzie stał na koniu Henryk i jego dworzanie, a obok nich miejscowy ksiądz, który doniósł o kradzieży cyborium. Cała armia, której kazano przyglądać się egzekucji, ustawiła się w wielkim kole wokół drzewa, choć tak naprawdę tylko pierwsze szeregi mogły widzieć, co się dzieje. Dwaj żołnierze w kolczugach na wpół przysłoniętych opończami z królewskim herbem skrupowali już ręce Michaela Hooka, a teraz ni to pchali, ni to ciągnęli go przed oblicze króla. Prawie nie musieli przy tym używać siły, gdyż Michael



szedł bez oporu. Wydawał się tylko nieco zdezorientowany.

– Nie! – zawołał Nick.

– Zamknij pysk! – warknął nań Thomas Evelgold.

Jeśli nawet król usłyszał ten protest Hooka, nie dał tego po sobie poznać. Jego oblicze było niewzruszone, zawzięte, nieubłagane i ogolone niemal do krwi.

– On tego nie... – zaczął Hook, chcąc powiedzieć, że jego brat za nic w świecie nie mógł i nie potrafiłby ukraść tego cyborium, lecz Evelgold szybko odwrócił się w siodle i wbił pięść w żołądek łuczника, pozbawiając go tchu.

– Następnym razem złamię ci szczękę – mruknął przy tym.

– To mój brat! – rzekł Nick, z trudem chwytając powietrze.

– Cisza! – burknął stojący przed frontem swej drużyny sir John.

– Obrażając Boga, naraziłeś na szwank losy całej naszej kampanii! – rzekł król do Michaela, głosem oschłym i ochrypłym. – Jak możemy oczekiwać, że Bóg będzie po naszej stronie, skoro sami Go obrażamy? Naraziłeś na niebezpieczeństwo całą Anglię!

– Ja tego nie ukradłem! – próbował bronić się Michael.

– Z czyjej drużyny jest ten człowiek? – spytał donośnym głosem król.

Przed front angielskiej armii wystąpił sir Edward Derwent.

– To jeden z łuczników lorda Slaytona, najjaśniejszy panie – rzekł, skłoniwszy przed królem swą siwiejącą głowę. – I wątpię, panie, aby był złodziejem.

– To on miał cyborium?

– Znalaziono je w jego rzeczach, najjaśniejszy panie – odrzekł sir Edward, starannie dobierając słowa.

– To nie był mój kaftan, panie! – zawołał Michael.

– Jesteś pewien, że cyborium było w jego rzeczach? – spytał król sir Edwarda, nie zwracając najmniejszej uwagi na młodego, jasnowłosego łucznika, który padł przed nim na kolana.

– Owszem, najjaśniejszy panie, lecz nie potrafię powiedzieć, skąd się tam wzięło.

– Kto je znalazł?

– Ja, najjaśniejszy panie, ja! – zawołał sir Martin i wystąpił z tłumu w uwalanej gliną sutannie. – To ja je znalazłem, panie – powtórzył, przyklękając na jedno kolano. – A to dobry chłopiec, królu, i dobry chrześcijanin.

Sir Edward mógłby przez cały dzień twierdzić, że Michael jest niewinny, i nie zdołałby wzbudzić w Henryku żadnych wątpliwości, lecz słowa kapłana miały znacznie większą wagę. Henryk ściągnął wodze i pochylił się w siodle.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że on nie ukradł tego cyborium?

– On nie... – zaczął Nick, lecz Evelgold uderzył go w brzuch tak mocno, że łucznik aż zgiął się w pół.

– Cyborium znaleziono w jego rzeczach, najjaśniejszy panie – rzekł sir Martin.

– Czyli...? – zaczął król, lecz przerwał. Wydawał się zdezorientowany. Przed chwilą ksiądz przekonywał, że Michael jest niewinny, a teraz mówił coś wręcz przeciwnego.

– Nie ulega wątpliwości, najjaśniejszy panie – oświadczył sir Martin, zdobywając się na iście żałobny ton – że cyborium znaleziono właśnie w jego rzeczach. Smuci mnie to ogromnie, panie, i napełnia serce me goryczą.

– A mnie to złości! – krzyknął król. – I obraża Boga! Narazamy się na Jego niezadowolenie, na Jego gniew, dla jakiejś miedzianej skrzynki! Powiesić go!

– Najjaśniejszy panie! – zawołał jeszcze Michael, ale nie było już dlań litości, żadnej szansy obrony i ani krzty nadziei. Sznur zarzucono już na gałąź i założono łucznikowi pętlę na szyję, a dwóch ludzi zaczęło ciągnąć za drugi koniec liny, aby unieść skazańca w górę.

Brat Nicka Hooka zacharczał, rozpaczliwie młóćąc nogami powietrze, po czym wolno, bardzo wolno, jego gwałtowne ruchy przeszły w skurcze, potem w drgawki, a charkot w urywane, ochryple jęki, które ucichły wreszcie na dobre. Trwało to dwadzieścia minut, a król przez cały ten czas przyglądał się każdemu poruszeniu ciała skazańca i dopiero wówczas gdy był pewien, że złodziej nie żyje, oderwał od niego wzrok. Zsiadł wtedy z konia i wobec całej armii przyklękął na jedno kolano przed osłupiałym wiejskim kapłanem.

– Błagamy o wybaczenie ciebie, księżu – powiedział donośnym głosem w niezrozumiałym dla kapłana języku angielskim – i Boga Wszechmogącego – dodał, unosząc oburącz cyborium nad głowę, zaś ksiądz, wciąż przerażony niedawnym widowiskiem, wziął je od niego nerwowym ruchem, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia, gdyż niewielka puszka była znacznie cięższa, niż kiedykolwiek wcześniej. Król Anglii napełnił ją bowiem monetami.

– Ciało zostawcie na gałęzi! – rozkazał Henryk, powstając z klęczek. – A teraz naprzód!

Ruszamy dalej!

Król ujął wodze swego rumaka, wetknął stopę w strzemień i zwinnie wskoczył na siodło. Kiedy odjechał wraz ze świtą, Hook ruszył w stronę wiązu, na którym wciąż wisiało ciało jego brata.

– A ty dokąd się, do diabła, wybierasz? – spytał szorstko sir John.

– Pochowam go – odparł Hook.

– Jesteś cholernym głupcem, Hook – rzekł Cornewaille, uderzając go w twarz dłonią w kolczej rękawicy. – Kimże ty jesteś?

– On tego nie zrobił! – zaproponował Nick.

Sir John uderzył go ponownie, tym razem znacznie mocniej, pozostawiając krwawe szramy na jego policzku. – To, że tego nie zrobił, nie ma teraz żadnego znaczenia – warknął przy tym. – Bogu potrzebna była ofiara, więc ją dostał. Może my wszyscy przeżyjemy, dlatego że twój brat umarł.

– Michael nie ukradł tej puszki! Nigdy niczego nie ukradł! On jest uczciwy! – krzyczał Hook.

Dłoń w kolczej rękawicy wylądowała tym razem na drugim policzku Nicka.

– I nie sprzeciwiaj się woli swojego króla! – rzekł sir John. – Nie pochowasz go, ponieważ król sobie tego nie życzy! Masz szczęście, Hook, że nie wisisz obok brata i po twoich cholernych nogach nie ciekną właśnie szczyny. A teraz wsiadaj na konia i w drogę!

– Sir Martin kłamał!

– To twoja sprawa – rzekł sir John – a nie moja, a już z pewnością nie naszego króla. Wsiadaj na konia albo każę ci obciąć twoje przekłete uszy!

Hook wdrapał się na siodło. Pozostali łucznicy unikali go tego dnia, wyczuwając jego podły nastrój. Tylko Melisanda jechała przy jego boku.

Jako pierwsi na gościńcu znaleźli się z powrotem łucznicy sir Johna. Hook, oszołomiony i rozgoryczony, nie zdawał sobie sprawy, że mija właśnie ludzi lorda Slaytona, dopóki Melisanda nie syknęła ostrzegawczo. Dopiero wówczas zauważył łuczników, którzy byli niegdyś jego kompanami. Thomas Perrill uśmiechał się tryumfująco i przykładał palec do oka, przypominając o swym podejrzeniu, że to Hook zamordował jego brata. Natomiast sir Martin gapił się na Melisandę, po czym zerknął na Nicka i nie mógł powstrzymać się od śmiechu, widząc łzy w oczach łucznika.

– Kiedyś ich wszystkich pozabijasz – zapewniła Hooka Melisanda.

„Jeśli wcześniej nie wyręcą mnie Francuzi” – pomyślał Nick. Jechali dalej w dół łagodnego zbocza, kierując się teraz ku Sommie, w poszukiwaniu jakiegoś niestrzeżonego brodu lub mostu, będącego ostatnią nadzieją angielskiej armii.

Znowu zaczął padać deszcz.

Przez Somnę prowadził tutaj nie jeden bród, lecz dwa, i co jeszcze ważniejsze, żaden z nich nie był strzeżony. Postępująca krok w krok za Anglikami armia francuska na północnym brzegu, idąc wzdłuż wielkiego zakola, nie zdążyła dotrzeć tu na czas i żołnierze Henryka, znalazłszy się na skraju wielkiego mokradła rozciągającego się aż do rzeki, ujrzeli za Somną jedynie puste pola.

Pierwsi zwiadowcy, wysłani w celu zbadania przeprawy, zameldowali, że rzeka jest wezbrana po ostatnich deszczach, lecz nie tak bardzo, by nie dało się jej sforsować. Aby jednak dotrzeć do brodów, armia musiała przejść przez dwie groble, które biegły prosto jak strzała przez szerokie bagnisko. Groble, dwie drogi, wiodące przez mokradła na ziemnych nasypach, miały ponad milę długości. Francuzi jednak przerwali je obie, tak że pośrodku grobli była wielka wyrwa, a w niej zdradliwe, grząskie podłoże. Zwiadowcy zdołali co prawda przebrnąć przez to trzęsawisko, lecz mówili, że ich konie zapadały się przy tym powyżej kolan, więc żaden z towarzyszących armii wozów nie ma szans na to, by tamtędy przejechać.

– W takim razie trzeba groble naprawić – stwierdził król.

Naprawa trwała niemal cały dzień. Znacznej części angielskich żołnierzy kazano rozebrać domostwa w pobliskiej wiosce, aby można było użyć drewnianych belek i krokwi jako podstawy nowych nasypów. Potem na drewnianych balach układano wiązki strzechy i faszyny i sypano na nie ziemię, podczas gdy straż tylna sformowała bitewny szyk, aby chronić pracujących przy nowych nasypach żołnierzy przed jakimś niespodziewanym atakiem od południa. Żaden atak jednak nie nastąpił. Francuscy jeźdźcy przypatrywali się co prawda wszystkiemu z daleka, lecz było ich niewielu i nawet nie usiłowali przeszkadzać Anglikom.

Hook nie brał udziału w pracach przy naprawie grobli, gdyż straży przedniej nakazano przeprowić się przez rzekę, zanim jeszcze zabrano się do roboty. Nick i jego towarzysze zostawili swoje wierzchowce, doszli pieszo do wyrwy w gościńcu i wskoczyli do trzęsawiska, by z trudem dobrnąć do następnego odcinka grobli, wiodącego aż na brzeg rzeki. Następnie łucznicy przeszli w bród Somnę, trzymając wysoko nad głowami swe łuki i kołczany. Hook drżał, wchodząc coraz

głębiej do wody. Nie umiał pływać i odczuwał lęk, gdy woda sięgnęła mu do pasa, a potem aż do piersi, lecz po chwili, brnąc naprzód pomimo spychającego go w dół rzeki łagodnego prądu, ujrzał, że robi się coraz płycej. Dno pod stopami było dosyć solidne, choć kilku ludzi pośliznęło się, a jednego zbrojnego nurt porwał w dół rzeki; jego krzyki niebawem ucichły, gdy ciężka koleczuga wciągnęła go pod powierzchnię wody. Chwilę później Hook brodził już pośród nadbrzeżnych trzcin, po czym wspiąwszy się na niewysoki, błotnisty brzeg, znalazł się po północnej stronie rzeki. Pierwsi Anglicy przeprawili się zatem przez Somnę.

Sir John kazał swoim łucznikom udać się jeszcze pół mili na północ, gdzie między dwoma wielkimi pastwiskami wił się bujny żywopłot i rów.

– Jeśli nadejdą ci przekłęci Francuzi – rzekł ponuro Cornewaille – macie ich po prostu pozabijać.

– Spodziewasz się rychło ich armii, panie? – spytał Thomas Evelgold.

– Tej, która śledziła każdy nasz ruch po drugiej stronie rzeki? – upewnił się sir John. – Ci łajdacy dotrą tutaj już niebawem. Ale gdzie są ich główne siły? Bóg jeden wie! Miejmy nadzieję, że myślą, iż wciąż jesteśmy na południowym brzegu rzeki.

„Jeśli nawet nadejdzie tylko ta mniejsza armia – pomyślał Hook – ta garstka łuczników ze straży przedniej nie będzie miała szans jej powstrzymać”. Usadowił się na skraju zalanego wodą rowu, pod uschniętą olchą, spoglądając na północ i błędząc myślami gdzieś daleko. Po chwili zastanowienia stwierdził, że nie był dobrym bratem dla Michaela. Nigdy nie zajmował się nim jak należy, a jeśli miał być wobec siebie szczery, musiał przyznać, że ufna natura i bezgraniczny optymizm brata często działały mu na nerwy. Hook skinął głową, gdy Thomas Scarlet, który stracił brata bliźniaka, zabitego przez Lanferelle'a, rozsiadł się wygodnie obok niego.

– Przykro mi ze względu na Michaela – rzekł z zakłopotaniem. – To był dobry chłopak.

– Prawda – przytaknął Nick.

– Tak jak Mat.

– Owszem. Mat był też świetnym łucznikiem.

– O tak – westchnął Scarlet. – Był!

Spoglądali na północ w milczeniu. Sir John powiedział im, że pierwszą oznaką zbliżania się Francuzów będą konni zwiadowcy, ale nigdzie nie było widać żadnych jeźdźców.

– Michael zawsze za bardzo szarpał cięciwę – rzekł Nick. – Próbowałem go tego oduczyć, ale ciągle to robił. Zawsze szarpał cięciwę. A to zmniejszało celność.

– Tak to jest, jak się szarpie cięciwę – przytaknął Scarlet.

– Nigdy się tego nie nauczył – ciągnął dalej Hook – i nigdy też nie ukradłby tej przeklętej puszki!

– Nie wyglądał mi na złodzieja.

– Bo nim nie był! Ale ja wiem, kto rzeczywiście ukradł tę puszkę, i poderżnę temu łajdakowi gardło!

– Tylko żeby cię za to nie powiesili, Nick.

Hook się skrzywił.

– Co za różnica, jeśli Francuzi nas dopadną? Albo zawiśniesz, albo dasz się posiekać – stwierdził Hook. Nagle stanęli mu przed oczyma torturowani łucznicy, umierający w męczarniach przed niewielkim kościółkiem w Soissons i przeszył go zimny dreszcz.

– Ale przynajmniej przeprawiliśmy się przez rzekę – rzekł stanowczym tonem Scarlet – a to już coś. Jak daleko stąd do Calais?

– Ojciec Krzysztof mówi, że jeszcze tydzień marszu, może dzień lub dwa dłużej.

– Parę tygodni temu mówili to samo – stwierdził ponuro Scarlet. – Ale mniejsza o to. Możemy maszerować przez tydzień bez jedzenia.

Geoffrey Horrocks, najmłodszy łucznik w drużynie, przyniósł pełen hełm orzechów laskowych.

– Znalazłem je trochę dalej – powiedział. – Chcecie je rozdzielić między chłopaków, sierżancie? – spytał Hooka.

– Sam się tym zajmij, chłopcze. Powiedz im, że to kolacja.

– I jutrzejsze śniadanie – dorzucił Scarlet.

– Gdybym miał swoją sieć, moglibyśmy złapać kilka wróbli – rzekł Hook.

– Pasztet z wróbli... – rozmarzył się Scarlet.

Zamilkli. Przestało padać, lecz przenikliwy wiatr sprawiał, że przemoczeni łucznicy marzli do szpiku kości. Stado czarnych szpaków, tak wielkie, że wyglądało jak wirująca chmura, wzbiło się w niebo i usiadło na ziemi dwie miedze od nich. Za plecami Hooka, daleko za rzeką, żołnierze w pocie czoła naprawiali groble.

– To był dorosły mężczyzna, wiesz?

– Co mówiłeś, Tom? – spytał Nick, wyrwany nagle z zamyślenia.

– Nic – odrzekł Scarlet. – Właśnie zasypiałem, a ty mnie obudziłeś.

– To był bardzo dobry człowiek – odezwał się cichutki głos – i teraz zażywa spoczynku w niebie.

„Święty Kryspinian!” – pomyślał Hook i oczy zaszły mu łzami. „Nadal jesteś przy mnie!” – chciał powiedzieć na głos.

– W niebie nie ma już łez – ciągnął dalej święty – ani chorób. Nie ma śmierci i wielkich panów. Nie ma głodu. Michael jest szczęśliwy!

– Wszystko w porządku, Nick? – spytał Tom Scarlet.

– W porządku – odparł Hook i pomyślał sobie, że święty Kryspinian najlepiej wie, jak to bywa między braćmi. Przecież cierpiał i umarł wraz ze swym bratem, Kryspinem, a teraz obaj byli w niebie z Michaeliem, i to właśnie wydało mu się w porządku.

Naprawa obu grobli zajęła niemal cały dzień, a potem armia zaczęła przeprowadzać się przez rzekę w dwóch długich kolumnach jeźdźców, koni, wozów, łuczników, sług i kobiet. Obok rowu, gdzie siedział Nick, przegalopował król w zbroi i z koroną na głowie. Za nim podążało może dwudziestu wielmożów, którzy wstrzymali swe wierzchowce i tak jak Nick zaczęli spoglądać na północ. Lecz francuska armia, która dotąd dotrzymywała im kroku po północnej stronie rzeki, została daleko z tyłu i nigdzie nie było widać nieprzyjaciela. Anglicy przeprowadzi się przez Somnę i wkroczyli teraz na terytorium, należące do księcia Burgundii, choć wciąż była to francuska ziemia. Nie spodziewali się już na odcinku dzielącym angielską armię od Calais poważniejszych przeszkód, o ile przeciwnik nie zastąpiłby im drogi.

– Idziemy dalej – powiedział Henryk dowódcom swych oddziałów.

Teraz mieli pomaszerować znów na północ, a właściwie na północny zachód, w kierunku Calais, Anglii i ocalenia. Ruszyli więc.

Pozostawili za sobą rozlaną szeroko Somnę, lecz następnego dnia, ponieważ armia była utrudzona ciągłym marszem, chora i głodna, król zarządził postój. Deszcz ustał i przez strzępki chmur zaświeciło słońce. Anglicy znajdowali się teraz na obszarze, na którym rosło sporo lasów, więc nie brakowało drewna na opał i rozbito obóz w świątecznej niemal atmosferze, a ludzie porozwieszali swe mokre ubrania na prowizorycznych płotach. Wystawiono warty, lecz wydawało się, że angielska armia jest zupełnie sama na obszarze całej Francji. Nie pojawił się ani jeden nieprzyjaciel. Ludzie ogołocili lasy z orzechów, grzybów i jagód. Nick liczył, że uda mu się wytropić jelenia lub

niedźwiedzia, lecz zwierząt, tak jak Francuzów, nigdzie nie było widać.

– Może właśnie udało nam się uciec! – rzekł ojciec Krzysztof na powitanie wracającego z nieudanego polowania Hooka.

– Król najwyraźniej tak właśnie sądzi – stwierdził Nick.

– Dlaczego?

– No cóż, skoro daje nam dzień odpoczynku?

– Nasz miłościwy pan – rzekł kapłan – jest na tyle szalony, że może właśnie liczy na to, że Francuzi nas dogonią.

– Szalony? Jak francuski król?

– Nie! Francuski król naprawdę jest obłąkany – odrzekł ojciec Krzysztof. – Nasz władca jest jedynie przekonany, że Bóg stoi po jego stronie.

– Czy to dowód szaleństwa?

Ojciec Krzysztof zamilkł, gdy podeszła do nich Melisanda, która bez słowa przytuliła się do Hooka. Była jeszcze chudsza niż zwykle, lecz teraz cała armia tak właśnie wyglądała: wychudzona, wygłodniała i schorowana. Jakimś cudem zarówno Nick, jak i jego żona zdołali dotychczas uniknąć wywracającej kiszki przypadłości, lecz wielu innych zachorowało i nad całym obozem unosił się smród ekskrementów. Hook objął Melisandę ramieniem, przytulił ją mocno i nagle przyszło mu do głowy, że dziewczyna stała się najdroższą mu osobą na całym świecie.

– Naprawdę mam nadzieję, że rzeczywiście udało nam się uciec – rzekł.

– A nasz król po części też na to liczy – stwierdził ojciec Krzysztof – a po części ma nadzieję, że będzie mógł dowieść, iż Bóg jest po jego stronie.

– I na tym polega jego szaleństwo?

– Strzeż się nadmiernej pewności siebie, Hook. W szeregach francuskiej armii są ludzie, którzy równie mocno jak Henryk przekonani są o tym, że Bóg stoi po ich stronie. A to też dobrzy ludzie. Modlą się, dają jałmużnę, wyznają przed Bogiem winy i przyrzekają, że nie będą więcej grzeszyć. To bardzo porządni ludzie. Czyż zatem mogą mylić się w swych przekonaniach?

– Ty mi powiedz, ojcze.

Kapłan westchnął.



– Gdybym zdołał pojąć Boga, Hook, rozumiałbym wszystko, ponieważ Bóg jest wszystkim. Jest gwiazdami i piaskiem, wiatrem i morską ciszą, wróblem i krogulcem. Wie wszystko. Wie, jaki los czeka ciebie i mnie. Kim zatem byłbym, gdybym zdołał to wszystko pojąć?

– Bogiem – rzekła Melisanda.

– Lecz przecież nie mogę Nim być – stwierdził ojciec Krzysztof – gdyż nie dane nam jest wszystkiego pojąć. To potrafi tylko Bóg, więc strzeżcie się człowieka, który twierdzi, że wie, jaka jest wola Boga. Człowiek taki jest bowiem jak koń, który sądzi, że panuje nad jeźdźcem.

– I nasz król właśnie w to wierzy?

– Henryk wierzy, że jest ulubieńcem Boga – odrzekł kapłan – i być może ma rację. W końcu jest królem, namaszczonego i błogosławionego.

– To Bóg osadził go na tronie – wtrąciła Melisanda.

– Na tronie osadził go miecz jego ojca – stwierdził cierpkim tonem ksiądz – choć oczywiście mieczem tym kierować mógł sam Bóg – dodał, po czym się przeżegnał. – Są jednak tacy – rzekł, zniżając nieco głos – którzy twierdzą, że jego ojciec nie miał żadnych praw do korony. Bywa zaś tak, że za grzechy ojców pokutować muszą synowie.

– Chcesz powiedzieć, ojcze... – zaczął Hook, lecz ugryzł się w język, gdyż cała ta rozmowa zaczynała niebezpiecznie ocierać się o zdradę.

– Chcę powiedzieć – stwierdził stanowczo ojciec Krzysztof – iż modłę się o to, abyśmy zdołali dotrzeć do Anglii, nim dopadną nas Francuzi.

– Właśnie zgubili nasz ślad, ojcze – dodał Nick, mając nadzieję, że to prawda.

Kapłan uśmiechnął się dobrotliwie.

– Może i nie wiedzą, gdzie jesteśmy, Hook, ale doskonale wiedzą, dokąd zmierzamy. Nie muszą nas zatem szukać, nieprawdaż? Wystarczy, że nas wyprzedzą, a wtedy sami ich znajdziemy.

– A my zatrzymujemy się na cały dzień! – rzekł ponuro Nick.

– Owszem – odparł ksiądz – a to oznacza, że musimy modlić się o to, by nieprzyjaciel był co najmniej dwa dni marszu za nami.

Następnego dnia ruszyli dalej. Hook był jednym ze zwiadowców, którzy jechali dwie mile przed strażą przednią i wypatrywali wroga. Podobała mu się ta robota. Oznaczało to, że mógł odłożyć na wóz swój zaostrzony pal i jechać swobodnie przed całą armią. Na niebie znów zbierały się gęste chmury i wiał zimny wiatr. O świcie, kiedy w obozie zaczął się ruch, na trawie leżała cieniutka warstwa szronu, która jednak dość szybko znikła. Liście buków przybrały matowy,

czerwono-złoty odcień, a dębów – brązowy, zaś niektóre gatunki drzew zrzuciły już listowie. Położone niżej pastwiska były na w pół zalane po ostatnich deszczach, a na polach, zaoranych głęboko pod oziminę, pomiędzy skibami, jakie pozostawiły lemiesze, widniały długie smugi srebrnawej wody. Ludzie Hooka podążali traktem handlarzy bydła, wiodącym przez wioski, opuszczone przez mieszkańców. Nie było też ani śladu inwentarza czy ziarna. „Ktoś najwyraźniej wiedział, że Anglicy podążają tym traktem – pomyślał Hook – i do cna ogołocił okolicę”. Ktokolwiek jednak to był, sam także zniknął. Nigdzie nie dawało się dostrzec nieprzyjaciela.

W południe znowu zaczęło padać. Była to ledwie mżawka, która jednak przenikała przez każdą szczelinę w ubraniu Hooka. Jego koń, Pazur, powoli włókł się przed siebie. Zresztą cała armia posuwała się bardzo wolno, nie mogąc zdobyć się na większy wysiłek. Mijali jakieś miasto i Hook, zubożniały teraz na wszystko, co widział, prawie nie spojrzął na mury i wiszące na nich barwne i buńczuczne sztandary. Przejechał tylko obok, trzymając się traktu i zostawiając za sobą miasto i jego blanki, gdy wtem nagle przekonał się, że Anglicy są już zgubieni.

On i jego ludzie wspięli się właśnie na szczyt niewielkiego wzniesienia i przed nimi rozciągała się szeroka, porośnięta trawą dolina, której przeciwległy skraj wznosił się łagodnie ku horyzontowi, gdzie widać było kościelną wieżę i połać lasu. W dolinie leżały pastwiska, zupełnie teraz puste, lecz w poprzek jej dna wypisany był wyrok, który już na nich zapadł.

Hook zatrzymał wierzchowca i patrzył osłupiały przed siebie.

Tuż przed nim, ze wschodu na zachód, ciągnęła się smuga błota, wielki, szeroki pas rozkopanej ziemi, na którym znikło ostatnie źdźbło trawy. W niezliczonych wgłębieniach, pozostawionych przez końskie kopyta, połyskiwała woda. Ziemia była stratowana, poorana koleinami i śladami niezliczonych podków, gdyż przez dolinę przemaszerowała armia.

„Musiała to być naprawdę wielka armia” – pomyślał Hook. Widać było świeże ślady tysięcy końskich kopyt. Podjechał na skraj pasa stratowanej ziemi i ujrzał wyraźnie ich odciski. Miejscami dało się dostrzec nawet odciski, jakie pozostawiły gwoździe, którymi przybijano podkowy. Potem spojrzął na zachód, tam gdzie znikła ta armia zjaw, lecz nie dostrzegł niczego, oprócz śladu, jaki zostawiły tysiące konnych rycerzy. Na skraju doliny pas rozkopanej ziemi skręcał na północ.

– Słodki Jezu! – rzekł zdjęty grozą Tom Scarlet. – Musi być drani tysiące!

– Wracaj do naszych – powiedział Nick do Petera Scoyle'a – znajdź sir Johna i powiedz mu o tym.

– Niby o czym? – spytał łucznik.

Hook przypomniał sobie, że Scoyle pochodzi z Londynu.

– A jak myślisz, co to takiego? – zapytał, wskazując na pas stratowanej ziemi.

– Jakaś błotnista papka – odrzekł Scoyle.

– Powiedz sir Johnowi, że Francuzi byli tutaj w ciągu ostatniej doby.

– A byli? Naprawdę?

– Ruszaj! – krzyknął zniecierpliwiony Hook, po czym odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na niezliczone ślady podków. Zwierząt musiało być wiele tysięcy, tak wiele, że zrobiły z dna doliny istne trzęsawisko. W Anglii widywał szlaki handlarzy bydła po tym, jak pędzono nimi wielkie stada na rzeź do Londynu, i kiedy był małym chłopcem zdumiewały go ogromne rozmiary tych stad, lecz ten ślad był znacznie wyraźniejszy i większy niż te, które zostawiały po sobie skazane na śmierć zwierzęta. Przez tę dolinę przejechali wszyscy mężczyźni z całej Francji, a może i z Burgundii – pomyślał – i to najdalej dzień przed nimi. Zatem gdzieś na północy lub na zachodzie, gdzieś pomiędzy tą doliną a Calais, czekały teraz na nich nieprzeliczone zastępy nieprzyjaciół.

– Muszą nas obserwować – rzekł.

– Słodki Jezu! – jęknął raz jeszcze Tom Scarlet, czyniąc przy tym znak krzyża. Obaj łucznicy spojrzeli ku lasom na skraju doliny, lecz nie dostrzegli między drzewami żadnych refleksów słońca, zdradzających obecność zakutych w zbroje ludzi. Hook był jednak przekonany, że nieprzyjaciół musi mieć swoich zwiadowców, którzy śledzą zmęczoną angielską armię.

Po chwili przybył sir John z tuzinem zbrojnych. Bez słowa przyjrzał się śladom, po czym, tak jak wcześniej Hook, spojrział na zachód, a potem na północ.

– A więc są tutaj – rzekł wreszcie zrezygnowanym tonem.

– To nie jest ta niewielka armia, która szła za nami północnym brzegiem Sommy – stwierdził Hook.

– Oczywiście, że nie, do cholery! – burknął sir John, spoglądając na stratowane pola. – To cała potęga Francji, Hook – dodał z nutką sarkazmu w głosie.

– W dodatku Francuzi muszą nas obserwować, panie – stwierdził Nick.

– Powinieneś się ogolić, Hook – odparł szorstko Cornewaille. – Wyglądasz jak jakiś przekłety włóczęga.

– Tak zrobię, panie.

– No pewnie, że te srające kapuchą wypierdki nas obserwują. Rozwińcie wszystkie sztandary! I niech ich wszystkich szlag trafi! Niech ich szlag trafi! Niech ich szlag! – wykrzykiwał te łagodne jak na niego klątwy, aż wystraszył Lucyfera, który stulił uszy po sobie. – Do diabła z nimi! Ruszajcie dalej! – dodał na zakończenie.

Nie było bowiem innego wyjścia. Zaś następnego dnia, choć nadal nie widzieli nieprzyjacielskiej armii, stało się jasne, że Francuzi wiedzą dokładnie, gdzie znajdują się Anglicy,

gdyż na środku drogi czekało na nich trzech heroldów. Mieli na sobie barwne stroje, a w rękach trzymali długie białe laski, oznakę swej funkcji. Hook powitał ich uprzejmie i znów posłał po sir Johna, który zabrał trzech posłańców do króla.

– Czego chcieli ci pstrokaci przebierańcy? – spytał Will z Doliny.

– Chcieli zaprosić nas wszystkich na śniadanie – odrzekł Nick. – Bekon, świeży chleb, smażone gęsie wątróbki, grochowe puree i dobre piwo.

Will uśmiechnął się szeroko.

– Zadusiłbym własną matkę za miskę fasoli. Zwyczajnej fasoli!

– Fasola, chleb i bekon – rozmarzył się Nick.

– Pieczona wołowina, ociekająca tłustym sosem – dorzucił Will.

– Wystarczyłby nawet kęs chleba – stwierdził Hook. Wiedział, że trzej Francuzi sporo się dowiedzą podczas wizyty. Heroldowie mieli być neutralni, pełniąc jedynie funkcję obserwatorów i posłańców, lecz tamci trzej z pewnością doniosą francuskim dowódcom, że angielscy żołnierze co rusz zbiegają z gościńca, by spuścić spodnie i ulżyć kiszkom, że ich konie mają zapadnięte boki i że milcząca armia, która tak wolno posuwa się na północny zachód, jest przemoczona do nitki.

– Wyzywają nas na bój – oświadczył ojciec Krzysztof, gdy heroldowie już odjechali. Kapelan, jak zwykle zresztą, wiedział, co się działo, gdy trzej francuscy posłańcy spotkali się z królem. – Wszystko odbywało się w niezwykle uprzejmej atmosferze – opowiadał Hookowi i jego łucznikom – wszyscy kłaniali się sobie nisko, prawili wyszukane komplementy, twierdzili zgodnie, że pogoda jest wyjątkowo niesprzyjająca, a potem nasi goście rzucili nam wyzwanie.

– Jakże uprzejmie z ich strony! – zauważył sarkastycznie Nick.

– Drobne uprzejmości są niezwykle ważne – odparł karcącym tonem kapłan. – W kulturalnym towarzystwie nie możesz zatańczyć z kobietą, jeśli wcześniej grzecznie nie poprosisz jej do tańca, więc teraz konstabl Francji i księżę de Burbon oraz księżę Karol Orleański grzecznie proszą nas do tańca.

– Co to za ludzie? – spytał Tom Scarlet.

– Konstablem Francji jest Charles d'Albert i lepiej módl się, Tom, żeby nie zatańczył z tobą twarzą w twarz. Księżęta to też wielcy wojownicy. W dodatku księżę de Burbon to twój stary znajomy, Hook.

– Mój znajomy?

– To on dowodził armią, która złupiła Soissons.

– Jezu! – jęknął Nick i znowu pomyślał o oślepionych łucznikach, wykrwawiających się na śmierć na ulicznym bruku.

– Zaś każdy z książąt – kontynuował ojciec Krzysztof – dowodzi prawdopodobnie kontyngentem liczniejszym niż cała nasza armia.

– I król przyjął to wyzwanie? – spytał Hook.

– I to ochoczo! – odrzekł kapłan. – Przecież Henryk uwielbia tańczyć. Nie zgodził się tylko na to, by wskazać miejsce, gdzie odbędzie się ten bal. Oświadczył, że Francuzi z pewnością odnajdą nas bez najmniejszych problemów.

Wiedząc, że Francuzi nie będą mieli z tym problemu, a jego armia w każdej chwili może być zmuszona stanąć do walki, król rozkazał, by każdy żołnierz jechał odtąd w pełnym rynsztunku. Wszyscy mieli nosić pancerze i opończe, choć większość zbroi i kaftanów była już teraz tak pordzewiała, poplamiona i wystrzępiona, że rewia ta nie mogła raczej zrobić większego wrażenia na nieprzyjaciółach, nie mówiąc już nawet o tym, by mogła napełnić ich trwogą. Nieprzyjaciel zresztą nadal się nie pojawiał.

Nie pojawił się w uroczystość świętej Korduli, dziewicy z Brytanii, zamordowanej przez pogan, ani też następnego dnia, kiedy przypadało wspomnienie świętego Feliksa, biskupa, który został ścięty za to, że nie chciał wydać poganom świętych ksiąg, znajdujących się w jego posiadaniu. Armia była w drodze od ponad dwóch tygodni, a następnego dnia przypadało wspomnienie świętego Rafaela, który – jak powiedział ojciec Krzysztof – jest jednym z siedmiu archaniołów, stojących przed tronem samego Boga.

– A wiesz, co jest jutro? – spytał Hooka kapłan w dzień świętego Rafaela.

Nick musiał chwilę zastanowić się nad odpowiedzią. Kiedy wreszcie jej udzielił, zresztą dość niepewnym tonem, brzmiała ona tak:

– Czyżby środa?

– Nie – odrzekł ze śmiechem ojciec Krzysztof. – Jutro jest piątek.

– Skoro już wiem, że jutro jest piątek – stwierdził Hook, uśmiechając się szeroko – to pewnie każesz nam wszystkim jeść ryby, ojcze. Może smacznego, tłustego pstrąga? Albo węgorza?

– Jutro – oznajmił łagodnym tonem kapłan – przypada wspomnienie świętych Kryspina i Kryspiniana.

– Dobry Boże! – jęknął Hook i poczuł się tak, jakby nagle jego serce obmyła zimna woda, choć nie potrafił stwierdzić, czy był to lęk czy nagła pewność, że taki dzień zapowiada jakieś doniosłe i korzystne wydarzenie.

– Może to dobry dzień, aby się pomodlić – zasugerował kapłan.

– Pomodlę się, ojczy – obiecał Hook i zaczął jeszcze w tej samej chwili. „Spraw, abyśmy dożyli twego święta, nie napotkawszy Francuzów – modlił się do świętego Kryspiniana – a wówczas będę wiedział, że jesteśmy bezpieczni. Pozwól nam się wymknąć i doprowadź nas cało do domu. Spraw, aby Francuzi stali się ślepi na naszą obecność” – błagał i skierował tę modlitwę także do świętego Rafaela, który był patronem ślepców. „Doprowadź nas tylko bezpiecznie do domu” – modlił się i przyrzekł Kryspinianowi, że odbędzie pielgrzymkę do Soissons, jeśli święty doprowadzi go do domu, a także złoży ofiarę do puszek w katedrze; wrzuci do niej dość pieniędzy, by zapłacić za obrus na ołtarzu, który John Wilkinson rozdarł tak dawno temu. „Zaprowadź nas tylko do domu – prosił – zaprowadź nas wszystkich do domu i spraw, abyśmy byli bezpieczni”.

I jeszcze tego samego dnia, 24 października roku pańskiego 1415, w uroczystość świętego Rafaela, Hook otrzymał odpowiedź na swe modły.

Jechali właśnie przez okolicę pokrytą niewielkimi, stromymi pagórkami i poprzecinaną rwącymi potokami. Prowadził ich miejscowy folusznik, który orientował się w plątaninie tutejszych dróg i ścieżek. Wiódł on Hooka i zwiadowców straży przedniej wzdłuż gościńca dla wozów, który wił się pomiędzy drzewami. Droga do Calais znajdowała się nieco dalej na zachód, lecz nie można było nią przejechać, gdyż prowadziła do Hesdina, warownego miasta nad brzegiem niewielkiej rzeczki. Tamtejszego mostu strzegł francuski barbakan, więc przewodnik poprowadził ich ku innej przeprawie.

– Za rzeką pojedziecie na północ – powiedział im folusznik. – Prosto na północ i znajdziecie się z powrotem na trakcie. Rozumiecie? – spytał. Człowiek ten lękał się łuczników, a jeszcze bardziej bał się zbrojnych w królewskich barwach, którzy jechali tuż za nim i na bieżąco decydowali o tym, czy można mu zaufać.

– Rozumiem – odparł Hook.

– Jedźcie prosto na północ – powtórzył raz jeszcze tamten. Droga opadała teraz do doliny, gdzie na południowym brzegu rzeki znajdowała się wioska. – *La Rwičre Temoise* – oznajmił przewodnik, po czym wskazał przeciwległy brzeg, na którym wznosiły się strome wzgórza. – Pojedziecie w górę – dodał – i znajdziecie drogę do Saint-Omer.

– Do Saint-Omer?

– *Oui!* – powiedział przewodnik, a Hook przypomniał sobie swą wędrowkę z Melisandą, kiedy to również zmierzali do Saint-Omer. Pamiętał, że Calais leżało niewiele dalej. „Jesteśmy tak blisko!” – pomyślał. Wystraszony folusznik powiedział coś jeszcze. Nick nie usłyszał go wyraźnie, więc poprosił, by tamten powtórzył swe ostatnie słowa. – Miejscowi – rzekł przewodnik – nazywają Ternoise Rzeką Mieczu.

Na dźwięk tej nazwy Hooka przeszył dreszcz.

– Dlaczego? – spytał.

Folusznik wzruszył tylko ramionami.

– Bo wszyscy są stuknięci – odrzekł. – To po prostu rzeka, jak każda inna.

Pomimo ostatnich opadów rzeka był płytka i dowodzący zbrojnymi rycerz rozkazał Hookowi przepłynąć się ze swoimi ludźmi brodem i wspiąć się na wzgórze na drugim brzegu.

– Czekać na jego szczycie – powiedział i Nick posłusznie skierował Pazura w nurt Rzeki Mieczy. Jego łucznicy podążyli za nim, rozpryskując wodę, która ledwie sięgała końskich brzuchów. Zbocze na drugim brzegu było strome i Nick oraz jego towarzysze wolno wspinali się na nie na swych zdrożonych koniach. Deszcz przestał padać, choć od czasu do czasu z ciemniejącego już nieba sączyła się drobniutka mżawka. Chmury wisiały nisko i były niemal czarne, a horyzont po wschodniej stronie miał kolor sadzy.

– Zaraz lunie jak z cebra – powiedział Hook do Willa z Doliny.

– Na to wygląda – odparł lekko łuczniczka. Powietrze zdawało się ciężkie i duszne, jakby czaiło się w nim jakieś nieznane zagrożenie.

Hook był ledwie w połowie zbocza, kiedy oddział zbrojnych przemknął przez rzekę i popędził za nim. Nick odwrócił się w siodle i ujrzał, jak cała kolumna zbliża się szybko do południowego brzegu Ternoise, jakby nagle angielskiej armii zaczęło się spieszyć. Obok niego przejechał galopem sir John, a tuż za nim jego chorągwie, zmierzając na szczyt wzgórza, który majaczył na tle ciemnoszarego nieba. Chwilę później sam król pogalopował w górę zbocza na rumaku czarnym jak noc.

– Co się dzieje? – spytał Tom Scarlet.

– Bóg jeden wie – odparł Hook. Król i jego świta, a także wszyscy zbrojni, wstrzymali wierzchowce na szczycie wzgórza i spoglądali stamtąd na północ.

Po chwili także i Hook tam dotarł i on również stanął jak wryty.

Przed nim grunt opadał łagodnie ku wiosce, położonej w niewielkiej dolinie pośród zieleni. Potem droga pięła się w górę, wiodąc przez rozległe pole, na którym pod ponurym niebem połyskiwała goła ziemia. Cały ten nagi płaskowyż został zaorany, a po obu stronach świeżych skib rósł gęsty las. Tuż nad drzewami po stronie zachodniej widać było blanki niewielkiego zamku. Na jego obronnej wieży powiewał jakiś sztandar, lecz odległość nie pozwalała stwierdzić, jakie widniało na nim godło.

Coś w ukształtowaniu okolicy wydało się Hookowi znajome i w końcu przypomniał sobie skąd.

– Już tu kiedyś byłem – rzekł do siebie. – Razem z Melisandą. Byliśmy tutaj oboje.

– Naprawdę? – spytał Tom Scarlet, choć w gruncie rzeczy nie zwracał uwagi na swego towarzysza.

– Spotkaliśmy tutaj jakiegoś jeźdźca – dodał Nick, wciąż spoglądając na północ w osłupieniu – a on podał nam nawet nazwę tego miejsca, ale teraz nie mogę jej sobie przypomnieć.

– Pewnie jakoś się nazywa – rzekł nieobecny tonem Tom Scarlet.

Coraz więcej Anglików przybywało na szczyt wzgórza, by tu zatrzymać się i patrzeć przed siebie w bezgranicznym zdumieniu. Prawie nikt się nie odzywał, za to wielu żegnało się znakiem krzyża.

Bowiem przed nimi znajdowała się nieprzyjacielska armia, tak liczna, jak ziarna piasku na wybrzeżu lub jak gwiazdy na niebie. Na drugim końcu zaoranego pola stały połączone siły Francji i Burgundii i było ich niezliczone mnóstwo. Świadczyła o tym już sama ilość barwnych sztandarów, których wręcz nie sposób było policzyć.

Cała potęga Francji zagroziła Anglikom drogę do Calais. Zaiste byli teraz w potrzasku.

Henryk, hrabia Chester, książę Akwitanii, pan Irlandii i król Anglii, wyglądał tak, jakby na widok nieprzyjaciela wstąpiła w niego nowa i niepohamowana energia.

– Formować szyk! – krzyknął. – Formować szyk! – powtórzył i przegalopował na swym koniu przed frontem swej gromadzącej się armii. – Słuchajcie swych dowódców! Oni wiedzą, gdzie macie stać, więc zbierajcie się wokół ich chorągwi! Z łaski Boga staniemy dziś do bitwy! Formować szyk!

Słońce chyliło się już ku zachodowi za zasłoną z wiszących nisko chmur, a francuska armia wciąż jeszcze koncentrowała się pod swymi sztandarami, przypominającymi gęsty las.

– Jeśli każda chorągiew to jeden wielki pan – rzekł Thomas Evelgold – i jeśli każdy wielmoża przyprowadził z sobą dziesięciu ludzi, to ilu będzie ich razem?

– Tysiące, niech to szlag! – zaklął Hook.



– A dziesięciu ludzi to jeszcze mało – stwierdził setnik – nawet bardzo mało. Będzie ich raczej po stu na każdą chorągiew, może i ze dwustu!

– Jezu Chryste! – westchnął ciężko Hook i próbował liczyć nieprzyjacielskie flagi, lecz było ich za wiele. Wiedział tylko, że armia wroga jest ogromna, a angielska armia bardzo nieliczna. – Boże, dopomóż! – wyrwało mu się i raz jeszcze przed oczyma stanęło mu przerażające wspomnienie krwawych jatek i przeraźliwych wrzasków w Soissons.

– Ktoś musi nam pomóc – rzekł, nagle pełen animuszu Evelgold, po czym zwrócił się do swych łuczników. – Stajemy na prawym skrzydle. Z koni! Przygotujcie pale i łuki! Z życiem, mówię! Niech paziowie zajmą się końmi! Dalej, nie ociążać się! Ruszcie wasze przeklęte gnaty! Czeka nas piękna śmierć!

Konie pozostawiono na rozciągających się nieopodal wsi pastwiskach, podczas gdy armia wspięła się na łagodne zbocze, prowadzące na płaskowyż. Z niewielkiej doliny nie było jeszcze widać nieprzyjaciela, lecz kiedy Hook wyszedł na szczyt pagórka, skąd zaczynały się pola uprawne, jego oczom znów ukazała się francuska armia i poczuł, jak na powrót ogarnia go strach. Widział bowiem przed sobą prawdziwą potęgę, a nie schorowaną, zaniedbaną zgraję uciekinierów. Była to dumna, niezliczona armia, która przybyła tutaj po to, by ukarać pyszałków, którzy ośmielili się najechać Francję.

Angielska straż przednia stanęła teraz na prawym skrzydle, a wchodzący w jej skład łucznicy znaleźli się na samym jego skraju, gdzie dołączyła do nich połowa łuczników, tworzących dotąd trzon armii. Druga połowa połączyła się z ariergardą, formującą bitewny szyk na lewej flance. Zatem na obu skrzydłach angielskiej armii znalazły się masy łuczników, flankujących zbrojnych, tworzących pomiędzy nimi wątlą linię.

– Jezu Chryste! – jęknął Tom Scarlet. – Nawet na końskim targu widywałem więcej ludzi!

Wskazywał przy tym angielskich zbrojnych. Było ich niespełna tysiąc i tworzyli żałośnie cienką linię w centrum angielskiego zgrupowania. Łuczników było znacznie więcej. Na każdym skrzydle zgromadziło się ich teraz ponad dwa tysiące.

– Pale! – krzyczał rycerz w zielonej opończy, który przegalopował przed ich frontem. – Wbijcie pale w ziemię, chłopcy!

Sir John, który stanął wraz ze zbrojnymi w centrum, podszedł teraz do łuczników, szykujących zaostrzone pale.

– Będziemy czekać na ich atak! – wyjaśnił. – Jeśli nie ruszą na nas, będziemy z nimi walczyć jutro rano!

– Czemu po prostu nie wymkniemy się im w ciemnościach? – spytał któryś z łuczników.

– Nie słyszałem tego pytania! – zawołał sir John, po czym ruszył dalej wzdłuż szeregu, mówiąc

ludziom, by przygotowali się na atak Francuzów.

Łucznicy nie stali w zwartym szyku, tak jak zakuci w zbroje rycerze, którzy szykowali się do walki stojąc ramię w ramię w czterech szeregach. Potrzebowali bowiem miejsca, aby móc napinać długie łączyska, i w odpowiedzi na wykrzykiwane głośno rozkazy, wysunęli się o kilka kroków przed zbrojnych, rozpraszając się przy tym na tyle, by każdy znalazł sobie nieco wolnej przestrzeni. Hook, wraz z resztą ludzi sir Johna, znalazł się na samym przedzie. Jak sądził, stał w jednej linii z mniej więcej dwustoma łucznikami. Reszta zajęła pozycję za nimi w tuzinie luźnych szeregów. Wszyscy wbili teraz swoje pale tam, gdzie stali, kierując zaostrome końce w stronę Francuzów. Kiedy już drągi były na swoim miejscu, należało na nowo zaostrzyć wystające z ziemi końce, przytępione uderzeniami ciężkich obuchów.

– Stańcie przed palami! – krzyknął rycerz w zielonej opończy. – Tak, żeby nieprzyjaciel ich nie widział!

– Ci dranie przecież nie są ślepi! – burknął Will z Doliny. – Musieli widzieć, co robimy.

Francuzi rzeczywiście cały czas ich obserwowali. Stali ledwie pół mili od Anglików, a na pole bitwy przybywały wciąż nowe oddziały. Stanowili masę barwnych jeźdźców pod istnym baldachimem kolorowych flag i proporców, jaśniejących na tle nieba, które stawało się coraz ciemniejsze, w miarę jak gromadziły się na nim coraz gęstsze chmury. Większość Francuzów kręciła się na szczycie wzgórza, gdzie rozbijano właśnie namioty, lecz setki skierowały się na południe, by przyrzeć się angielskiej armii.

– Założę się, że dranie się z nas nabijają – rzekł Tom Scarlet. – Pewnie aż szczają po nogach ze śmiechu!

Najbliżsi spośród nieprzyjaciół byli ledwie ćwierć mili od nich. Stali lub przechadzali się po zaoranym polu, trzymając konie za uzdę, spoglądając przy tym na stojącą przed nimi niewielką armię. Po obu stronach przysłego pola bitwy, w zapadających z wolna ciemnościach widniała czarna ściana lasu. Niektórzy spośród łuczników, którzy wbili już w ziemię swe zaostrome pale, wymykali się między drzewa, aby opróżnić kiszki w gęstym poszyciu z krzaków głogu, jałowca i leszczyny, lecz większość przypatrywała się nieprzyjacielskiej armii. Hook uznał, że Tom Scarlet miał rację. Francuzi musieli śmiać się do rozpuku. Już teraz mieli przewagę cztery lub nawet pięć do jednego, a na północny skraj zaoranego pola przybywały wciąż nowe oddziały. Nick przykleknął na jedno kolano na mokrej ziemi, przeżegnał się i wznosił modlitwę do świętego Kryspiniana. Nie był przy tym jedynym łucznikiem, który się modlił. W błocie klęczały ich dziesiątki. Uklękli też niektórzy spośród zbrojnych. Żołnierzy skazanej na zagładę armii błogosławili księża. Francuzi zaś przechadzali się ze swymi końmi po zaoranym polu i Hook, otwierając oczy, wyobrażał sobie ich śmiech i pogardę dla tej żalostnej garstki, która rzuciła im wyzwanie, potem usiłowała im się wymknąć, aż wreszcie dała się schwytać w pułapkę. „Ocal nas” – modlił się do świętego Kryspiniana, lecz ten nie odpowiadał ani słowem i Nick uznał, że jego modlitwa musiała widocznie zagubić się gdzieś w wielkiej, mrocznej pustce ponad złowieszczą powłoką z chmur.

Zaczęło porządnie lać. Deszcz był ciężki i zimny, a kiedy wiatr ustał, krople spadały z zacieklą intensywnością, zmuszając łuczników do tego, by pospiesznie zdjęli ciężkiy i schowali je, zwinięte, pod czapkami i hełmami, chroniąc przed zamoknięciem. Angielscy heroldowie wyjechali tymczasem przed front armii Henryka, gdzie spotkali się ze swymi francuskimi odpowiednikami, i Hook widział, jak skłonili się sobie w siodłach. Po chwili Anglicy zawrócili, a ich siwki pochlapane były błotem od kopyt aż po brzuchy.

– Nie będziemy walczyć tej nocy, chłopcy! – sir John przyniósł tę nowinę łucznikom. – Zostajemy na swoich miejscach! Nie rozpalamy tutaj ognisk! Macie zachować ciszę! Nieprzyjaciół robi nam ten zaszczyt i stanie z nami do walki jutro rano, więc spróbujcie się przespać! Tej nocy nie będziemy się bić! – krzyczał, przejeżdżając wzdłuż szeregu łuczników, a jego głos ginął w szumie gwałtownej ulewy.

Hook wciąż klęczał na jedno kolano. „Będę walczył w twoim dniu – powiedział świętemu Kryspinianowi – w dniu twojego święta. Opiekuj się nami. Spraw, by Melisanda była bezpieczna. Żebyśmy wszyscy byli bezpieczni. Błagam cię! W imię Boga Ojca, błagam cię! Doprowadź nas bezpiecznie do domu!”.

Wciąż nie było jednak żadnej odpowiedzi, a jedynie głośny szum nawałnicy i odległy huk grzmotu.

– Znów na kolanach, Hook? – rzekł szyderczym tonem Tom Perrill.

Nick wstał i zwrócił się ku wrogowi, lecz Tom Evelgold stanął natychmiast pomiędzy dwoma łucznikami.

– Chcesz zamienić parę słów z Hookiem? – rzekł wyzywająco do Perrilla.

– Mam nadzieję, że przeżyjesz jutrzejszy dzień, Hook – rzucił Perrill, nie zwracając uwagi na setnika.

– Mam nadzieję, że wszyscy przeżyjemy jutrzejszy dzień – odparł Nick. Odczuwał straszliwą nienawiść do Perrilla, lecz nie miał dość energii, by wszcząć teraz bójkę w zapadających ciemnościach i w strugach deszczu.

– Bo jeszcze ze sobą nie skończyliśmy – stwierdził Perrill.

– Nie skończyliśmy – przytaknął Nick.

– A ty zamordowałeś mojego brata – rzekł Perrill, patrząc Hookowi w oczy. – Wypierasz się tego, ale tak właśnie było, a śmierć twojego brata nie wyrównuje jeszcze rachunków. Obiecałem coś mojej matce, a ty już dobrze wiesz, co – dodał. Rondo jego hełmu ociekało wodą.

– Powinniście sobie wszystko nawzajem wybaczyć – wtrącił się Evelgold. – Jeśli jutro mamy walczyć razem, powinniśmy być przyjaciółmi. I tak mamy już dość wrogów.

– Muszę dotrzymać obietnicy – upierał się Perrill.

– Obietnicy danej twojej matce? – spytał Hook. – Czy obietnica dana kurwie w ogóle się liczy? – dodał, nie mogąc sobie odmówić tej odrobiny szyderstwa.

Perrill skrzywił się wyraźnie, ale zdołał nad sobą zapanować.

– Ona nienawidzi waszej rodziny i chce, żeby wymarła. A ty jesteś już ostatnim z rodu.

– Francuzi jak nic uszczęśliwią jutro twoją matkę – rzekł Evelgold.

– Komuś się to uda – przytaknął Perrill – albo mnie, albo im – dodał, skinąwszy głową ku nieprzyjacielskiej armii, nie odrywając jednak przy tym wzroku od Hooka. – Ale nie zabiję cię, kiedy będą z nami walczyć. Właśnie to przyszedłem ci powiedzieć. I tak już masz pietra – dorzucił jeszcze szyderczym tonem – nawet nie musząc oglądać się za siebie.

– Powiedziałaś już zatem, coś miał do powiedzenia – rzekł Evelgold. – A teraz odejdz.

– Czyli mamy rozejm – zasugerował Perrill, ignorując ponownie setnika – dopóki nie będzie po wszystkim.

– Nie zabiję cię, kiedy będziemy z nimi walczyć – przytaknął Hook.

– Ani dziś w nocy – upewniał się jeszcze Perrill.

– Ani dziś w nocy – zgodził się Nick.

– Więc śpij dobrze, Hook. To może być twoja ostatnia noc na tym świecie – rzucił Perrill, po czym sobie poszedł.

– Czemu on cię tak nienawidzi? – spytał Evelgold.

– To zatarg jeszcze z czasów mojego dziadka. Po prostu wzajemnie się nienawidzimy. Hookowie i Perrillowie nie znoszą się nawzajem, i tyle.

– Cóż, jutro o tej porze obaj będziecie martwi – rzekł z bólem Evelgold. – Zresztą tak jak my wszyscy. Więc przed walką wypowiedaj się i idź na mszę. A w nocy twoi ludzie trzymają wartę. Pierwszą zmianę obejmują łucznicy Waltera, a drugą twoi. Macie podejść do połowy tego pola – dodał, wskazując na zaoraną ziemię – i nie robić hałasu. Wszyscy mają zachować ciszę. Żadnych krzyków, żadnych śpiewów czy muzyki.

– Dlaczego?

– A skąd, u diabła, ja mam to wiedzieć? Jeśli jakiś szlachcic zakłóci ciszę, król odbierze mu konia wraz z rzędem, a jak jakiś łucznik choćby piśnie, obetną mu uszy. Z rozkazu króla. Więc stoicie na warcie i niech was Bóg ocali, jeśli przyjdą Francuzi.

– Przecież nie przyjdą, prawda? Chyba nie dziś w nocy?

– Sir John sądzi, że nie. Ale i tak kazał wystawić strażę – rzekł Evelgold i wzruszył ramionami, jakby chciał zasugerować, że strażę na nic się nie zdadzą, po czym, nie mając już nic więcej do powiedzenia, odszedł.

Coraz więcej Francuzów chciało przyjrzeć się nieprzyjaciołom, zanim skryją ich nocne ciemności. Deszcz siekł wciąż po zaoranym polu, a szum ulewy zagłuszał odgłosy śmiechu, jaki mógł dochodzić od strony francuskiej armii. Nazajutrz był dzień świętego Kryspina i świętego Kryspiniana i Hook sądził, że będzie to ostatni dzień jego życia.

Padło przez całą noc. Lodowata, potężna ulewa. Sir John Cornewaille pobiegł w deszczu do chałupy w Maisoncelles, w której znajdowała się kwatery króla, lecz choć w niewielkiej i zadymionej izbie byli zarówno najmłodszy brat króla, Humphrey, książę Gloucester, jak i Thomas, książę Yorku, żaden z nich nie widział, dokąd udał się król Anglii.

– Pewnie się modli, sir Johnie – rzekł książę Yorku.

– Dzisiejszej nocy Bogu spuchną uszy od modłów, wasza łaskawość – stwierdził poważnym tonem Cornewaille.

– Przyłącz się zatem do tej kakofonii – odrzekł książę. Był on wnukiem Edwarda III oraz kuzynem nieżyjącego już Ryszarda II, którego tron zagarnął ojciec Henryka, lecz dowiódł już swej wierności wobec syna uzurpatora, a ponieważ odznaczał się równie wielką pobożnością jak Henryk, stał się jednym z jego najbardziej zaufanych ludzi. – Sądzę, że jego królewska mość bada właśnie nastroje panujące w armii – stwierdził książę.

– Ludzie staną na wysokości zadania – odrzekł sir John. Czuł się nieswojo w towarzystwie księcia, którego wykształcenie i pobożność sprawiały, iż był nieco wyniosły i trzymał ludzi na dystans. – Są przemarznięci – kontynuował Cornewaille – rozgoryczeni, przemoczeni, głodni i chorzy, ale jutro będą walczyć jak wściekłe psy. Sam nie chciałbym mieć z nimi do czynienia.

– Czy nie doradzałbyś, panie... – zaczął Humphrey, książę Gloucester, po czym zawahał się i postanowił zamilknąć. Sir John wiedział jednak, jakiego to pytania nie dokończył najmłodszy brat Henryka. Czy nie doradzałby królowi, by wymknął się w ciemnościach? Nie, nie radziłby mu tego robić, ale nie miał okazji wyrazić tej opinii. Król zresztą by tak nie postąpił, a już na pewno nie teraz. Henryk wierzył, że Bóg go wspiera, i rankiem Bóg zmuszony będzie tego dowieść, czyniąc

kolejny cud.

– Zostawię wasze książęce moście, abyście mogli przywdziać zbroje – rzekł sir John.

– Masz, panie, jakąś wiadomość dla najjaśniejszego pana? – spytał książę Yorku.

– Chciałem tylko życzyć mu bożego błogosławieństwa – odrzekł Cornewaille. Tak naprawdę poszedł sprawdzić, w jakim król jest nastroju, choć w gruncie rzeczy nie wątpił w jego stanowczość. Pożegnał się i wrócił do obory, w której sam miał kwaterę. Była to żałosna i cuchnąca szopa, lecz sir John wiedział, że i tak ma szczęście, że ją znalazł w taką noc, kiedy większość armii będzie musiała pod gołym niebem znosić grzmoty, błyskawice, deszcz i lodowaty chłód.

Deszcz bębnił po mizernym dachu, przeciekał przez strzechę i tworzył kałuże na podłodze, gdzie wąty ogień dawał więcej dymu niż światła. W szopie czekał na niego Richard Cartwright, jego zbrojmistrz. Wyglądał bardziej świątobliwie od wszystkich księży ze swą poważną, dostojną miną i osobiwą, nadskakującą uprzejmością.

– Czy już, panie? – spytał.

– Już – odrzekł sir John i położył mokry płaszcz obok ognia.

Wcześniej zdjął z siebie zbroję, którą nosił przez cały dzień, a Cartwright wysuszył ją, usunął z niej rdzę i wypolerował blachy. Teraz zaś wziął szmaty, chronione dotąd przed wilgocią w torbie z końskiej skóry, aby wytrzeć do sucha skórzane spodnie i kaftan, który miał na sobie Cornewaille. Był to miękki strój ze skóry jelenia, uszyty przez solidnego londyńskiego krawca, i leżał na rycerzu jak jego druga skóra. Cartwright bez słowa wcierał garście lanoliny w delikatną odzież.

Sir John pogrążony był we własnych myślach. Tak często to robił: stawał z wyciągniętymi ramionami, podczas gdy Cartwright natłuszczał jego pokryte skórą ramiona i nogi, aby płyty pancerza mogły się na nich łatwiej poruszać. Powracał teraz myślą do turniejów i bitew, do podekscytowania, które zawsze towarzyszyło perspektywie walki i rywalizacji. Tej nocy nie czuł jednak podniecenia. Ulewa nie ustępowała, zimny wiatr przywiewał krople deszczu przez drzwi szopy, a sir John myślał o tysiącach Francuzów, których zbrojmistrze także szykowali teraz do bitwy. „Jest ich wiele tysięcy” – pomyślał. „Zbyt wiele”.

– Mówiłeś coś, panie? – spytał nagle Cartwright.

– Mówiłem?

– Na pewno się przesłyszałem, sir Johnie. Unieś ramiona, panie.

Cartwright założył mu przez głowę koszulkę kolczą. Kolczuga była misternej roboty, nie miała rękawów i opadała aż do pachwin sir Johna, a dzięki szerokim otworom na ramiona nie utrudniała rycerzowi ruchów.

– Wybacz mi, panie – mruknął zbrojmistrz, tak jak zawsze, kiedy klękał przed swym panem i wiązał mu przód i tył kolczugi pomiędzy nogami. Sir John nie odezwał się ani słowem.

Cartwright także milczał, gdy przypinał nabiodrniki do ud sir Johna. Przednie blachy zachodziły nieco na tylne i rycerz zgiął lekko nogi, by się upewnić, że stalowe płyty nie zahaczają o siebie przy ruchu. Nie poprosił swego zbrojmistrza o żadne poprawki, gdyż Cartwright wiedział doskonale, co robi. Potem przyszła kolej na nagolenniki, mające chronić łydki sir Johna, oraz nakolanniki, a wreszcie stalowe trzewiki, przypinane do osłon łydek.

Cartwright wstał i przypiął w odpowiednim miejscu skórzany fartuch, pokryty kolczugą i zachodzącymi na siebie pasami stali, mający chronić dolną część brzucha rycerza. Sir John myślał właśnie o swych łucznikach, usiłujących zasnąć pośród ulewy. Rankiem będą zmęczeni, przemoknięci i przemarznięci, ale nie wątpił, że staną do walki. Wokół słychać było skrobanie kamieni o klingi. To ostrzono właśnie strzały, miecze i topory.

Następnie na swoim miejscu znalazły się najcięższe elementy zbroi – napierśnik i naplecznik, wykonane, podobnie jak reszta pancerza, ze stali z Bordeaux. Cartwright zręcznie zapiął klamry, po czym przypiął opachy, okrywające górną część ramion sir Johna, zarękawki chroniące przedramiona oraz nałokietniki, a następnie skłoniwszy się, podał sir Johnowi pokryte blachą rękawice o skórzanych wnętrzach dłoni, dzięki którym rycerz mógł pewniej dzierżyć rękojeści różnych rodzajów broni, jakich używał w walce. Narazone na ciosy miejsce, gdzie stykały się z sobą napierśnik i naplecznik, okrywały naramienniki. Potem Cartwright założył podbródek na zawiasach pod szyją sir Johna. Niektórzy rycerze woleli czepiec kolczy w charakterze osłony szczeliny pomiędzy hełmem a napierśnikiem, lecz odpowiednio wyprofilowany podbródek był lepszy od jakiegokolwiek kolczugi, choć teraz sir John ze zniecierpliwieniem zmarszczył brwi, gdy próbował kręcić głową.

– Mam poluzować pasy, panie?

– Nie, nie – odrzekł Cornewaille.

– Twe godło, panie? – zasugerował łagodnie Cartwright, po czym założył swemu panu opończę przez głowę, pomógł mu wetknąć ramiona w jej szerokie rękawy i wyrównał płótno przyozdobione wizerunkiem lwa w koronie i krzyżem świętego Jerzego. Potem przypiął mu rycerski pas i zawiesił potężny miecz, „Kochanie”, ulubiony zresztą oręż sir Johna, na jego sprzączkach.

– Czy powierzysz mi nazajutrz pochwę swego miecza, panie? – spytał Cartwright.

– Oczywiście – odrzekł sir John, który zawsze pozbywał się pochwy przed walką, gdyż mogła ona zaplątać się o nogi rycerza. Kiedy walczone już w zwarciu, jego miecz, z nagim ostrzem, spoczywał w skórzanej pętlicy.

Potem na głowie sir Johna jego zbrojmistrz zawiązał skórzany kaptur i rycerz był gotów do bitwy. Kaptur miał pomóc zamortyzować nacisk hełmu, który sir John wziął do ręki, po czym oddał na powrót Cartwrightowi.

– Odczep osłonę twarzy – rozkazał.

– Ależ panie...

– Odczep, powiedziałem!

Kiedyś na turnieju w Lyonie sir John zdołał jednym z ciosów zamknąć przyłbicę przeciwnika, z którym walczył na miecze, i to, że odtąd tamten był na wpół ślepy, sprawiło, iż Cornewaille z łatwością go pokonał. „Jurto – pomyślał – Anglikowi potrzebna będzie każda najmniejsza nawet przewaga nad wrogiem, jaką tyko zdoła znaleźć”.

– Sądzę, panie, że nieprzyjaciel ma także kuszników – rzekł pokornie Cartwright.

– Odczep przyłbicę.

Zbrojmistrz spełnił jego polecenie i z lekkim ukłonem oddał mu hełm. Sir John miał założyć go później, a wówczas Cartwright przyczepi go do obojczyków, lecz póki co rycerz był gotów.

Wciąż padało. W ciemnościach zarżał koń i rozległ się huk gromu. Sir John wziął wstążkę z purpurowego i białego jedwabiu, będącą podarunkiem od jego żony, ucałował ją i wepchnął w wąską szczelinę pomiędzy podbródkiem a napierśnikiem. Niektórzy wiązali kokardy od dam swego serca na szyi i kiedyś sir John, tracąc równowagę, chwycił za taką kokardę i ściągnął przeciwnika z konia, a potem go zabił. Jeśli jutro któryś z nieprzyjaciół chwyci za jedwabną wstęgę, ta z łatwością się wysunie, nie powodując jego upadku. Każda, najdrobniejsza nawet przewaga. Cornewaille ugiął lekko ramiona i uznał, że wszystko jest w porządku, więc uśmiechnął się ponuro.

– Dziękuję, Cartwright – rzekł.

Zbrojmistrz skłonił nisko głowę i wypowiedział te same słowa, które wypowiadał zawsze, od pierwszego razu, kiedy ubierał swego pana w zbroję.

– Sir Johnie – rzekł – jesteś gotów do bitwy.

Podobnie jak trzydzieści tysięcy Francuzów.

– Powinnaś stąd odejść – powiedział Melisandzie Hook. – Jeszcze tej nocy. Weź wszystkie nasze pieniądze i co tylko zdołasz unieść i odejdz.



– I dokąd mam pójść?

– Znajdź swojego ojca – rzekł Nick. Rozmawiali w angielskim obozie, który znajdował się w dolinie na południe od długiego, zaoranego pola. Niewielkie chaty w wiosce zajęte zostały przez lordów i Hook słyszał teraz uderzenia młotów o stal. To ich zbrojmistrze wprowadzali ostatnie poprawki w drogich pancerzach. Dźwięk ten był ostry, lecz nieco przytłumiony szumem niekończącej się ulewy. Na wschód od wioski stały wozy angielskiej armii, a szprychy ich drewnianych kół oświetlały nieliczne ogniska, zmagające się z nawałnicą. Z angielskiego obozu nie widać było francuskiej armii, lecz jej obecność zdradzała blada łuna ognisk, odbijająca się od dolnej warstwy ciemnych chmur. Nagle zygzak błyskawicy nad lasem po wschodniej stronie pola oświetlił wyraźnie kształty owych chmur, a w chwilę później huk grzmotu wypełnił wszechświat, niczym ryk jakiejś monstrialnej armaty.

– Postanowiłam, że zostanę z tobą – rzekła z uporem Melisanda.

– Ale my umrzemy – rzekł Hook.

– Nie! – zaproponowała dziewczyna, lecz bez większego przekonania.

– Rozmawiałaś przecież z ojcem Krzysztofem – kontynuował bezlitośnie Nick – a on rozmawiał z heroldami. Sądzi, że Francuzów jest trzydzieści tysięcy. My mamy ledwie sześć tysięcy ludzi!

Melisanda przytuliła się mocniej do Hooka, usiłując schronić się pod płaszczem, którym byli okryci. Siedzieli oparci plecami o pień dębu, lecz drzewo nie dawało im większej osłony przed deszczem.

– Melisanda była żoną króla Jerozolimy – rzekła. Nick milczał, pozwalając jej powiedzieć wszystko to, co w tej chwili powiedzieć musiała. – A ten król umarł – kontynuowała więc – i wszyscy mężczyźni mówili, że ona musi teraz pójść do klasztoru i się modlić, ale ona tego nie zrobiła! Koronowała się na królową i była wielką władczynią!

– Ty jesteś moją królową – stwierdził Hook.

Melisanda zignorowała ten niezgrabny komplement.

– A kiedy byłam w klasztorze, miałam tylko jedną przyjaciółkę. Siostra Beatrycze była ode mnie starsza, nawet dużo starsza, i mówiła, że powinnam odejść ze zgromadzenia. Mówiła, że powinnam odnaleźć własną drogę i ułożyć sobie życie. Nie sądziłam wówczas, że to potrafię, ale wtedy zjawiłeś się ty. A teraz postąpię tak jak królowa Melisanda. Zrobię to, czego naprawdę chcę – dodała, drżąc na całym ciele. – Zostanę z tobą.

– Ale ja jestem tylko łucznikiem – stwierdził ponuro Hook – tylko zwykłym łucznikiem.

– Nie, jesteś dwudziestnikiem! A jutro, kto wie, może zostaniesz setnikiem? A pewnego dnia

będziesz miał własną ziemię. Oboje będziemy mieć ziemię.

– Jutro jest dzień świętego Krystiana – odrzekł Hook, nie będąc w stanie wyobrazić sobie tego, że mógłby posiadać ziemię.

– On o tobie nie zapomni! Jutro będzie przy tobie – rzekła Melisanda.

Hook miał szczerą nadzieję, że była to prawda.

– Zrób coś dla mnie – powiedział – i załóż oponczkę ojca.

Dziewczyna zawahała się, a po chwili poczuł, że skinęła głową.

– Założę ją – przyrzekła.

– Hook! – rozległ się nagle w ciemności szorstki głos Thomasa Evelgolda. – Pora zabrać twoich chłopaków na wartę! – zawołał i przerwał, oczekując odpowiedzi, lecz Melisanda kurczowo złapała Nicka za ramię. – Hook! – krzyknął raz jeszcze setnik.

– Idę!

– Czy jeszcze cię zobaczę – szepnęła Melisanda – zanim... – zaczęła, lecz głos jej się załamał.

– Zobaczysz mnie jeszcze – odrzekł Nick i pocałował ją namiętnie, po czym zostawił jej płaszcz. – Już idę! – odpowiedział znów na wołanie Toma Evelgolda.

Żaden z jego łuczników nie spał, gdyż nikt nie był w stanie zmrużyć oka w tej ulewie i pośród huku gromów. Narzekając jeden przez drugiego, podążyli za Hookiem w górę łagodnego zbocza na wielki szmat czarnego, zaoranego pola, gdzie przez dłuższą chwilę błądzili w ciemnościach, szukając straży, które mieli zluzować. Hook znalazł wreszcie Waltera Magota i jego ludzi sto kroków za linią tkwiących wciąż w ziemi zaostrzonych pali.

– Powiedz mi, że zostawiłeś dla mnie buzujące ognisko i gar rosołu – rzekł na powitanie Magot.

– I to gęstego rosołu, Walterze, z pęcakiem, wołowiną i pasternakiem. Pływa w nim też rzepa.

– Będziecie słyszeli Francuzów – ostrzegł ich Magot. – Ciągłe spacerują z końmi. Jeśli podejda za blisko, zaczynacie śpiewać, a wówczas odchodzą.

Hook spojrział na północ. Pomimo deszczu ogniska we francuskim obozie płonęły jasno, a gdy zawiął wiatr, ich płomienie odbijały się w wodzie stojącej w skibach. Na tle ich dalekiego światła widać było również sylwetki ludzi, przechadzających się po polu z prowadzonymi za uzdę końmi.

– Chcą, żeby rano konie były rozgrzane.

– Dranie chcą na nas szarżować, co? – rzekł Magot. – Przyjdzie ranek, a będziemy mieli do czynienia z tymi wszystkimi olbrzymami na ich cholernych bojowych rumakach.

– Módl się więc, żeby przestało lać – powiedział Nick.

– Chryste, żeby tylko przestało! – przytaknął z zapalem Magot. W takiej ulewie cięciwy szybko by namokły i stały się miękkie, co z kolei odebrałoby moc jesionowym strzałom. – Trzymaj się ciepło, Nick – rzucił na pożegnanie Magot i powiódł swych ludzi do obozu, gdzie nie mogli się spodziewać większych wygod.

Hook skulił się, smagany deszczem i wiatrem. Przez niebo przemknął zygzak błyskawicy, by uderzyć gdzieś w dolinie za wielkim francuskim obozowiskiem, i w jego świetle Nick widział przez moment nieprzyjacielskie namioty i chorągwie. Mnóstwo namiotów i mnóstwo chorągwi, pod którymi na pole bitwy przybyła ta wielka rzesza ludzi. Gdzieś zarżał koń. Po zaoranym polu oprowadzano dziesiątki wierzchowców, a kiedy podchodziły bliżej, Hook słyszał, jak ich wielkie podkowy zapadają się w mokrą ziemię. Dwukrotnie jacyś Francuzi podeszli zbyt blisko i za każdym razem wołał coś do nich, a wówczas parobkowie oddalali się. Od czasu do czasu deszcz nieco ustawał i cichł także szum ulewy, a wtedy Hook słyszał wyraźnie śmiech i śpiewy z nieprzyjacielskiego obozu. W angielskim obozowisku panowała cisza. Nick wątpił, by ktokolwiek po obu stronach był w stanie tej nocy spać. Ludziom nie dawała zasnąć jednak nie tylko pogoda, lecz także świadomość, że o poranku muszą stanąć do walki. Zbrojmistrze zapewne ostrzą teraz broń i nagle Nick poczuł w głębi serca zimny dreszcz na myśl o tym, co przynieść musi świt. „Bądź z nami” – modlił się do świętego Kryspiniana. Potem przypomniał sobie radę, jakiej udzielił mu kiedyś pewien kapłan w katedrze w Soissons, który powiedział, że w niebiosach zwraca się baczniejszą uwagę na te modlitwy, w których ludzie proszą o błogosławieństwa dla innych, więc zaczął modlić się za Melisandę i ojca Krzysztofa, prosząc o to, by wyszli cało ze wszystkich burzliwych wydarzeń jutrzejszego dnia.

Chmury rozdarł znów oślepiająco biały i potężny zygzak błyskawicy, a nad głowami rozległ się grzmot. Deszcz zaczął siec z nową zawziętością, tak gęsty, że przygasły nawet ogniska we francuskim obozie.

– Kto idzie? – krzyknął nagle Tom Scarlet.

– Swój! – odpowiedział mu czyjś głos.

W świetle kolejnej błyskawicy ukazał im się zbrojny, zbliżający się od strony angielskiego obozowiska. Miał na sobie kolczugę i płytowe osłony nóg, a błysk pioruna trwał na tyle długo, że Hook spostrzegł, iż człowiek ten nie przywdział opończy, a zamiast hełmu założył na głowę skórzany kapelusz z szerokim rondem.

– Coś ty za jeden? – spytał.

– Zwą mnie Łabędź – odparł tamten. – John Łabędź. U kogo służycie?

– U sir Johna Cornewaille'a – odrzekł Hook.

– Gdyby każdy żołnierz w tej armii był taki jak sir John – stwierdził przybysz – to Francuzi postąpiliby najrozsądniej, uciekając stąd co prędzej! – dodał. Musiał przy tym niemal krzyżeć, aby w ogóle było go słychać pomimo wściekłego szumu nawałnicy. Żaden z łuczników nic nie odpowiedział. – Ciężkiy założone? – spytał Łabędź.

– W taką pogodę, panie? Nigdy w życiu! – odrzekł znów za wszystkich Hook.

– A co będzie, jeśli rano też będzie tak padać?

Nick wzruszył ramionami.

– Skrócimy ciężkiy i będziemy strzelać do ostatniego pocisku, ale z czasem konopie się rozciągną.

– I w końcu zaczną pękać – dodał Will z Doliny.

– Rozplotą się – dodał dla wyjaśnienia Tom Scarlet.

– Cóż zatem stanie się jutro rano? – spytał przybysz. Przycupnął obok łuczników, którzy wyraźnie czuli się niezręcznie w obecności kogoś obcego.

– Ty nam powiedz, panie – odrzekł Hook.

– Chciałbym wiedzieć, co wy o tym myślicie – stwierdził stanowczo Łabędź. Zapadła krępująca cisza, gdyż żaden z łuczników nie chciał dzielić się z pozostałymi swymi obawami. Zawiał wiatr i z francuskiego obozu doszedł ich wybuch śmiechu i radosne okrzyki. – Rankiem wielu Francuzów będzie pijanych. My zaś będziemy trzeźwi – zauważył przybysz.

– Owszem, tylko dlatego, że nie mamy już piwa – rzekł Tom Scarlet.

– Więc jak myślicie, co się stanie? – powtórzył pytanie przybysz.

Znowu zapadła cisza.

– Te przekłete pijane łajdaki ruszą prosto na nas – stwierdził wreszcie Hook.

– I co wtedy?

– Wtedy my pozabijamy tych przekłetych pijanych łajdaków – rzucił Tom Scarlet.

– I wygramy tę bitwę? – dopytywał się Łabędź.

Znów nikt nie chciał odpowiedzieć. Hook zastanawiał się, dlaczego ten człowiek odszukał ich w taką noc, aby prowadzić z nimi tę dziwną rozmowę. Po chwili, ponieważ żaden z jego ludzi nie

chciał zabrać głosu, sam się odezwał.

- Wszystko w rękach Boga, panie – rzekł z zakłopotaniem.
- Bóg jest po naszej stronie – stwierdził natarczywym niemal tonem tamten.
- Naprawdę mamy nadzieję, że tak właśnie jest, panie – bąknął niepewnie Tom Scarlet.
- Amen! – dorzucił Will z Doliny.

– Bóg jest po naszej stronie – rzekł jeszcze bardziej stanowczo przybysz – gdyż nasz król walczy w słusznej sprawie. Gdyby nawet jutro o świcie otwarły się bramy piekieł i ruszyły na nas zastępy samego Szatana, to i tak zwyciężymy. Bóg jest z nami!

Nagle Hook przypomniał sobie ten jakże odległy, słoneczny dzień na wodach zatoki w pobliżu portu w Southampton, kiedy dwa łabędzie przeleciały nad stojącą na kotwicy angielską flotą. Przypomniał sobie również, że łabędź jest jednym z herbów Henryka, króla Anglii.

– Wierzycie w to? – dopytywał się znów Łabędź. – Wierzycie, że król walczy w słusznej sprawie?

Znów żaden z łuczników nie odpowiedział, lecz Nick rozpoznawał już teraz także głos dziwnego przybysza.

– Nie wiem, czy król walczy w słusznej sprawie – odrzekł szorstko.

Przez kilka sekund panowała cisza, a Hook czuł, że człowiek, który mówił, że zwie się Łabędź, usiłuje pohamować wzburzenie.

– A dlaczego nie? – spytał groźnym i lodowatym tonem.

– Ponieważ dzień przed tym, jak przeprawiliśmy się przez Somnę – rzekł Nick – król kazał powiesić pewnego człowieka za kradzież.

– Ten człowiek ukradł własność Kościoła – odparł lekceważąco tamten – więc rzecz jasna musiał umrzeć.

– Ale on wcale nie ukradł tej puszki – stwierdził Nick.

– Prawda, nie ukradł – dodał Tom Scarlet.

– Nie ukradł tej puszki – powtórzył oschle Hook – a król i tak go powiesił. A to przecież grzech kazać powiesić niewinnego człowieka. Dlaczegoż więc Bóg miałby być po stronie grzesznika? Powiedzcie mi, panie! Powiedzcie mi, dlaczego Bóg miałby obdarzać łaskami króla, który morduje niewinnego człowieka?

Raz jeszcze zapadła cisza. Deszcz nieco zelżał i Hook słyszał dźwięki muzyki dobiegające z francuskiego obozu, a potem wybuch śmiechu. W nieprzyjacielskich namiotach musiały płonąć latarnie, gdyż ich płótno świeciło żółtawym blaskiem. Człowiek zważy się Łabędziem poruszył się nieco, a blachy na jego nogach zaskrzypiały z cicha.

– Jeśli ten człowiek rzeczywiście był niewinny – rzekł półgłosem – to król postąpił źle.

– Ten człowiek był niewinny – powtórzył z uporem Hook – i mógłbym ręczyć za to własnym życiem – dodał i zamilkł na chwilę, zastanawiając się, czy ma odwagę posunąć się o krok dalej, po czym postanowił zaryzykować. – Co tam, panie, postawiłbym na to nawet życie samego króla!

Rozległ się syk, gdy człowiek zwany Łabędziem gwałtownie nabrał tchu w płuca, lecz nie rzekł w końcu ani słowa.

– To był dobry chłopak – stwierdził Will z Doliny.

– I nawet nie miał porządnego procesu! – krzyknął oburzony Tom Scarlet. – W Anglii, panie, wolno nam przynajmniej powiedzieć dwa słowa na swoją obronę przed dworskim sądem, nim nas powieszają!

– Racja! Jesteśmy Anglikami – dodał William z Doliny – i mamy swoje prawa!

– Wiecie, jak ten człowiek się nazywał? – spytał po chwili ciszy przybysz.

– Michael Hook – odparł Nick.

– Jeśli istotnie był niewinny – wycedził wolno Łabędź, jakby zastanawiał się nad każdym słowem – to król każe odprawiać msze za jego duszę, ufunduje kościelny chór i codziennie sam będzie się modlił za duszę Michaela Hooka.

Kolejny zygzak błyskawicy uderzył w ziemię i Hook w jej świetle dostrzegł ciemną bliznę tuż obok nosa króla, pamiątkę po grocie, który utkwiał w jego policzku pod Shrewsbury.

– On był naprawdę niewinny, panie – powiedział – a ten kapłan, który twierdził, że było inaczej, po prostu kłamał. To stary rodzinny zatarg.

– Zatem będzie się odprawiać msze, król ufunduje chór, a Michael Hook pójdzie prosto do nieba pośród modłów monarchy – przyrzekł król. – A jutro, z łaski Boga, będziemy walczyć z tymi Francuzami i nauczymy ich, że z Boga i z Anglików nie można sobie kpić! Zwyciężymy! Weź to! – rzekł i wepchnął Hookowi do rąk coś, co okazało się pełną, skórzaną manierką. – Wino – wyjaśnił król – żebyście mieli czym się ogrzać przez resztę nocy – dodał i odszedł, a grząska i mokra ziemia chlupotała pod jego opancerzonymi stopami.

– Cóż to za przekłety dziwak! – rzekł Geoffrey Horrocks, kiedy człowiek zwany Łabędziem był już za daleko, że nie mógł go usłyszeć.

– Mam tylko nadzieję, że ten cudak ma rację – wtrącił Tom Scarlet.

– Przeklęta ulewa! – burknął Will z Doliny. – Rany boskie, jak ja nie cierpię deszczu!

– Jak to możliwe, żebyśmy jutro wygrali? – spytał Scarlet.

– Strzelaj celnie, Tom, i miej nadzieję, że Bóg cię kocha – rzekł Hook i nagle zapragnął, aby święty Kryspinian zechciał przerwać milczenie, lecz ten nadal nie odzywał się ani słowem.

– Jeśli tym przeklętym Francuzom uda się jednak wdrzeć jutro w nasze szeregi... – zaczął Tom Scarlet, lecz się zawahał.

– To co, Tom? – spytał Hook.

– Nic takiego.

– Wykrztuś to z siebie!

– Chciałem powiedzieć, że mógłbym zabić ciebie, a ty mnie, zanim zaczną nas torturować, ale to by było trudne, co? Chodzi mi o to, że ty byłbyś już martwy i naprawdę byłoby ci trudno mnie zabić, gdybyś sam już nie żył – rzekł. Mówił zrazu poważnym tonem, lecz potem sam zaczął się śmiać i po chwili wszyscy zanosili się ze śmiechu, choć żaden z nich tak naprawdę nie wiedział dlaczego. Ludzie skazani na zagładę śmiali się zatem do rozpuku. „I tak lepiej śmiać się, niż płakać” – pomyślał Hook.

Podzielili się winem, które bynajmniej ich nie rozgrzało, i z wolna nocne ciemności rozjaśniać zaczął szary jak kolczuga świt. Hook poszedł do lasu po wschodniej stronie pola, aby opróżnić kiszki, i dojrzał tuż za drzewami niewielką wioskę. W chałupach kwaterowali francuscy zbrojni, którzy teraz wsiadali na koń i kierowali się ku głównemu obozowisku. Wróciwszy na płaskowyż, Nick patrzył, jak Francuzi formują szyk pod przemoczonymi sztandarami.

To samo robili Anglicy. Dziewięciuset zbrojnych i pięć tysięcy łuczników stanęło o świcie na polu pod Azincourt, zaś naprzeciwko nich, na przeciwległym skraju pola, zaoranego głęboko pod oziminę, czekało trzydzieści tysięcy Francuzów.

Dwie armie miały stoczyć bitwę w dzień świętego Kryspina.

*Część czwarta*  
*Dzień świętego Kryspina*



Świt wstał szary i zimny. Co jakiś czas kropiło jeszcze, a nad zaorany pole powiewał wiatr, lecz Hook czuł, że nocna ulewa już się skończyła. Ponad skibami i pośród ociekających wodą drzew snuły się niewielkie obłoki mgły.

Dobosze stojący za plecami centrum angielskiego szyku wybijali szybki rytm, przerywany krzykliwym dźwiękiem trąb. Wszyscy muzycy zgromadzili się w miejscu, gdzie obok królewskiego sztandaru, największego w całej armii, powiewała chorągiew z krzyżem świętego Jerzego oraz flagi Edwarda Wyznawcy i Trójcy Świętej. Te cztery chorągwie, zatknięte na bardzo długich drzewcach, znajdowały się w środku centralnego hufca, podczas gdy nad flankującymi go formacjami oraz szeregami awangardy i ariergardy powiewały sztandary ich dowódców. W wilgotnym powietrzu nad głowami zbrojnych Henryka wznosiło się co najmniej pięćdziesiąt innych proporców, lecz wszystkie one wyglądały nader skromnie w porównaniu z prawdziwym lasem drzewc i morzem jedwabiu i płótna, jakie falowało ponad francuską armią.

– Policzcie ich chorągwie – Thomas Evelgold podsunął sposób na oszacowanie liczby francuskich rycerzy – i przyjmijcie, że każdy sztandar to jakiś wielmoża, który prowadzi dwudziestu

ludzi. – Poczty niektórych wielkich panów były skromniejsze, zaś większości – znacznie liczniejsze, lecz setnik miał pewność, że jego metoda pozwoli ocenić w przybliżeniu liczebność wrogiej armii. Problem był jednak w tym, że nawet Hook, obdarzony bystrym wzrokiem, nie potrafił rozróżnić poszczególnych flag. Było ich po prostu zbyt wiele. – Tych łajdaków są tysiące! – rzekł w końcu zrezygnowany Evelgold. – Spójrzcie jeszcze na te hordy przeklętych kuszników! – dodał, wskazując na strzelców, ustawionych na skrzydłach, lecz nieco poza linią czołowego hufca francuskich zbrojnych.

– Macie czekać! – krzyknął na łuczników starszy już wiekiem, siwowłosy zbrojny, dosiadający uwalanego błotem wałacha. Był to kolejny z licznych wojowników, którzy podjeżdżali do nich ze swymi radami lub rozkazami. – Czekacie, aż podrzucę w górę buławę! – zawołał znowu i wyciągnął krótką, grubą buławę obitą zieloną tkaniną i zwieńczoną złotym kwiatonem. – To właśnie sygnał, że macie zacząć strzelać! Wcześniej nikomu nie wolno napiąć łuku! Patrzcie na buławę!

– Co to za jeden? – spytał Hook swego setnika.

– Sir Thomas Erpingham.

– A kim on jest?

– Człowiekiem, który podrzuci buławę – odrzekł spokojnie Evelgold.

– Podrzucę ją wysoko – krzyczał sir Thomas – tak jak teraz! Patrzcie! – zawołał i energicznie podrzucił w górę buławę, która zatoczyła koło nad jego głową w kroplach deszczu. Gdy już spadała, usiłował ją schwycić, ale nie zdołał. Hook zaczął się zastanawiać, czy to aby nie zły omen przed bitwą.

– Podnieś buławę, Horrocks! – rozkazał Evelgold. – Z życiem, chłopcze! – krzyknął. Horrocks nie był w stanie biec, gdyż między skibami zrobiło się po deszczu gęste błoto, w którym zapadał się po kostki, lecz w końcu podniósł zieloną buławę i podał ją siwowłosemu rycerzowi. Sir Thomas podziękował mu, po czym ruszył dalej wzdłuż szeregu łuczników, aby przekazać swe rozkazy kolejnym ludziom. Hook zwrócił jeszcze uwagę na to, z jakim trudem jego wierzchowiec poruszał się po zaoranym polu. – Musieli głęboko zapuścić lemiesz – rzekł Evelgold.

– Orali pod oziminę – stwierdził Nick.

– A co to ma do rzeczy?

– Pod oziminę zawsze orze się głębiej – wyjaśnił Hook.

– Sam nigdy nie orałem – przyznał setnik. Nim został dwudziestnikiem u sir Johna, był garbarzem.

– Jesienią orze się głęboko, a wiosną płytko – dodał Nick.

– Przypuszczam, że dzięki temu ci dranie nie będą musieli kopać nam grobów – rzekł ponuro Evelgold. – Ułożą nas tylko między tymi głębokimi skibami i zasypią ziemią.

– Niebo się przejaśnia – stwierdził Hook. Daleko na zachodzie, ponad blankami niewielkiego zamku Azincourt, ledwie widocznymi ponad ścianą lasu, robiło się coraz jaśniej.

– Przynajmniej cięciwy nie zamokną – zauważył Evelgold – a to oznacza, że może uda nam się zabić paru przeklętych łajdaków, zanim nas powyrzynają.

Nad nieprzyjacielską armią powiewało więcej flag i Francuzi mieli też więcej muzyków. Angielscy trębacze grali krótkie serie wyzywających tonów, po czym przerywali, pozwalając doboszom wybijać ostry, natarczywy rytm, lecz po stronie francuskiej trąby nie milkły ani na chwilę. Ich ostry dźwięk drażnił uszy Anglików, wznosząc się i opadając na zimnym wietrze. Większość francuskiej armii szykowała się do walki pieszo, podobnie jak Anglicy, lecz na obu jej skrzydłach Hook widział masy konnych rycerzy. Ich konie miały na sobie długie, płócienne czapraki, zdobione herbami swych panów. Aby zwierzęta były przez cały czas rozgrzane, jeźdźcy kazali im chodzić stępa po zaoranym polu, trzymając kopie wymierzone w niebo.

– Przeklęte łajdaki niebawem ruszą – stwierdził Tom Scarlet.

– Może tak, a może nie – odparł Hook. Sam już niemal pragnął, by Francuzi zaatakowali, żeby jak najszybciej mieć za sobą najgorsze. Chwilami zaś bardzo żałował, że nie wrócił do Anglii i nie leży spokojnie we własnym łóżku.

– Nie napinajcie łuków, póki nie zaatakują! – krzyknął Thomas Evelgold do łuczników sir Johna. Powtórzył to już co najmniej sześć razy, lecz żaden z łuczników zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Wszyscy z drżeniem obserwowali przeciwnika. – Gównno! – dodał Evelgold.

– Co się stało? – spytał wystraszony Hook.

– Właśnie w jakieś wlażłem.

– To podobno przynosi szczęście – odrzekł Nick.

– W takim razie dziś powinienem sobie w tym łajnie potaćzyć.

Pośród łuczników kapłani odprawiali msze, a ludzie podchodzili do nich kolejno, aby uzyskać rozgrzeszenie i przyjąć z ich rąk chleb życia. Przed frontem centralnego hufca król klęczał ostentacyjnie z odkrytą głową przed jednym ze swych kapelanów. Wcześniej przejechał przed całą armią na niewielkim, białym koniu, a poślacana korona, wieńcząca jego bitewny hełm, świeciła nienaturalnie jasno w ten szary poranek. Rozstawiał ludzi na stanowiskach, a raz nawet wychylił się z siodła, by szarpnąć za pał, należący do jakiegoś łuczniaka, chcąc się upewnić, że jest porządnie wkopany w ziemię.

– Bóg jest z nami, chłopcy! – krzyczał przy tym do swoich łuczników, którzy zaczęli przyklękać

przed nim z szacunkiem. Henryk gestem dłoni kazał im jednak powstać. – Bóg jest po naszej stronie! Bądźcie spokojni!

– Szkoda, że nie przysłał nam jeszcze paru Anglików – ośmielił się zawołać któryś z łuczników.

– Nie ma czego żałować! – odkrzyknął pogodnym tonem król. – Boska opatrzność nam wystarczy! Jest nas dosyć, by spełnić dzieło boże!

Hook miał szczerą nadzieję, że król ma rację, gdy odchodził na tyły, by uklęknąć przed ojcem Krzysztofem, odzianym w czarną sutannę, na której nosił pochlapany błotem ornat haftowany w białe gołębie, zielone krzyże i czerwone lwy Cornewaille'a.

– Zgrzeszyłem, ojcze – rzekł Hook i wyspowiadał się z grzechu, którego nigdy wcześniej nie wyznał. Przyznał się mianowicie do zamordowania Roberta Perrilla oraz stwierdził, że wciąż jeszcze chce zabić zarówno Thomasa Perrilla, jak i sir Martina. Niełatwo przeszły mu te słowa przez gardło, lecz skłoniła go do tego myśl, a wręcz niemal pewność, że to jego ostatni dzień na tym świecie.

Dłonie ojca Krzysztofa zacisnęły się na głowie Hooka.

– Dlaczego popełniłeś morderstwo? – spytał kapłan.

– Perrillowie zamordowali mojego dziadka, ojca i brata – odrzekł Nick.

– A teraz ty zamordowałeś jednego z nich – rzekł surowo ojciec Krzysztof. – To się musi skończyć, Nick.

– Lecz ja ich nienawidzę, ojcze.

– Dzisiaj będzie wielka bitwa – stwierdził ksiądz – więc powinieneś pójść do swych wrogów, poprosić o przebaczenie i pogodzić się z nimi – dodał i przerwał, lecz Hook milczał. – Inni ludzie tak właśnie robią – kontynuował więc kapłan. – Odnajdują swych nieprzyjaciół i się z nimi godzą. I ty powinieneś postąpić tak samo.

– Dałem słowo Perrillowi, że nie zabiję go podczas bitwy – rzekł łucznik.

– To nie wystarczy, Nick. Chcesz stanąć przed obliczem Boga z nienawiścią w sercu?

– Nie mogę się z nimi pogodzić – odparł Hook. – Nie po tym, jak zabili Michaela.

– Chrystus wybaczał swym nieprzyjaciołom, Nick, a my mamy być tacy jak On.

– Ale ja nie jestem Chrystusem, ojcze. Jestem tylko Nickiem Hookiem.

– I Bóg cię kocha – westchnął ojciec Krzysztof i uczynił znak krzyża na głowie łucznika. – Nie

zamordujesz żadnego z tych ludzi, Nick. To jest nakaz od Boga. Zrozumiałeś? Nie staniesz do bitwy z nienawiścią w sercu. Wówczas Bóg spojrzy na ciebie łagodnym okiem. Obiecuj mi, Nick, że nie będziesz planował żadnego morderstwa.

Hook przez dłuższą chwilę zmagał się ze sobą w milczeniu, po czym gwałtownie skinął głową.

– Nie zabiję ich, ojciec – rzekł żalosnym tonem.

– Ani dziś, ani jutro, ani kiedykolwiek indziej? Przysięgasz?

Znów nastąpiła chwila ciszy. Hook rozmyślał o tych wszystkich latach, o głęboko zakorzenionej nienawiści, o odrazie, jaką żywił wobec sir Martina i Toma Perrilla, a potem pomyślał o tym, co czekało go tego dnia, i zdał sobie sprawę, że jeśli ma pójść do nieba, musi złożyć ojcu Krzysztofowi tę uroczystą obietnicę, więc raptownie skinął głową.

– Przysięgam – powiedział.

Ręce kapłana zacisnęły się ponownie na odkrytej głowie łucznika.

– Za pokutę masz dziś celnie strzelać, Nicholasie Hooku. Strzelaj celnie dla Boga i swego króla. *Te absolvo* – rzekł ksiądz. – Twoje grzechy są ci odpuszczone. A teraz spójrz na mnie.

Hook uniósł głowę. Deszcz przestał wreszcie padać. Patrzył w oczy ojcu Krzysztofowi, kiedy ten wziął kawałek węgla i starannie nakreślił coś na jego czole.

– Już – rzekł, gdy skończył.

– Co to takiego, ojciec?

Ojciec Krzysztof uśmiechnął się.

– Napisałem ci na czole „IHC Nazar”. Niektórzy ludzie wierzą, że chroni to od nagłej śmierci.

– A co to oznacza, ojciec?

– Jest to imię Chrystusa Nazarejczyka.

– Napisz je także na czole Melisandy, ojciec.

– Zrobię to, Hook, pewnie, że zrobię. A teraz przygotuj się na przyjęcie ciała Chrystusa – rzekł kapłan. Nick przyjął sakrament, a potem, jak czynili to inni ludzie, a nawet sam król, wziął grudkę mokrej ziemi i połknął ją wraz z opłatkiem na znak, że jest gotów na śmierć. Gest ten oznaczał, iż jest gotowy przyjąć ziemię, tak jak ona, być może, będzie musiała przyjąć jego ciało. – Niech cię Bóg błogosławi, Nick – dodał ojciec Krzysztof.

– Mam nadzieję, ojciec, że spotkamy się, kiedy będzie po wszystkim – rzekł Hook, zakładając

hełm na swój koleczy kaptur.

– Ja również się o to modłę – odrzekł ksiądz.

– Te obesrane łajdaki pewnie zaraz ruszą – burknął Will z Doliny, kiedy Hook wrócił do swoich ludzi, lecz Francuzi wcale nie wyglądali, jakby mieli zamiar atakować. Wciąż czekali tylko, a ich uszykowane głęboko hufce wypełniały niemal przestrzeń pomiędzy dwiema ścianami lasu. Angielscy heroldowie, odziani w barwne stroje i dzierżący w rękach długie, białe laski, wyjechali na środek pola bitwy, gdzie spotkali się z francuskimi i burgundzkimi heroldami i teraz wspólnie stanowili kolorową grupkę konnych na skraju lasu, nieopodal zawalonej chaty z dachem porośniętym mchem. Mieli razem obserwować bitwę i po jej zakończeniu ogłosić zwycięzcę.

– No dalej, wy przekłete łajdaki! – burknął któryś z łuczników.

Francuzi jednak nadal nie ruszali do ataku. Ich trąby wciąż grały, lecz nic nie wskazywało na to, by długie szeregi zakutych w stal rycerzy gotowe były ruszyć naprzód. Nieprzyjaciel wciąż tylko czekał. Po polu chodziły stępa konie w barwnych czaparakach, zasłaniając stojących w głębi kuszników. Przez chwilę promień słońca oświetlił sam środek francuskiego szyku i Hook dojrzał Oriflamme, czerwony proporzec, który oznajmiał Francuzom, że mają nie brać jeńców, lecz zabić wszystkich wrogów.

– Evelgold! Hook! Magot! Candeler! – krzyczał teraz z kolei sir John Cornewaille, przechadzając się przed frontem swoich łuczników. – Podejdźcie tutaj wszyscy czterej!

Hook dołączył więc do pozostałych trzech sierżantów. Bardzo ciężko było mu iść przez głęboko zaorane pole, ponieważ gliniasta ziemia zamieniła się w lepkie, brunatne błoto, które przyklejało się do jego butów. Jeszcze większego wysiłku wymagało to od sir Johna, mającego na sobie pełną płytową zbroję, blisko trzydzieści kilogramów stali. Cornewaille szedł jednak, choć chwiejnym krokiem, za każdym razem z trudem wyciągając zakutą w żelazo stopę z grząskiego podłoża. Dotarł w ten sposób czterdzieści czy pięćdziesiąt kroków przed szeregi łuczników i tam czekał na swych sierżantów.

– Zawsze warto przyjrzeć się własnej armii – powiedział na powitanie – żeby ujrzeć ją oczyma wroga. Popatrzcie sobie przez chwilę.

Hook odwrócił się, by spojrzeć na uwalaną błotem, pokrytą rdzą i przemokniętą armię. Jego armię. Centrum szyku składało się z trzech hufców, liczących po około trzystu zbrojnych. Środkowym dowodził sam król, prawym lord Camoys, a lewym księżę Yorku. Pomiedzy hufcami znajdowały się dwie niewielkie grupy łuczników, zaś na obu skrzydłach były znacznie większe ich oddziały. Łuczników na flankach, stojących obok swych zaostrzonych pali, ustawiono nieco pod kątem względem środka szyku, tak aby mogli razić przeciwnika ze skrzydła.

– Co zatem robią Francuzi? – spytał po chwili sir John.

– Zaatakują – odrzekł z powagą Evelgold.

– Dobrze, zaatakują, ale kogo i dlaczego? – spytał szorstkim tonem sir John. Żaden z czterech łuczników nie odpowiedział na pytanie. Wszyscy wpatrywali się tylko w niewielką angielską armię, zastanawiając się, jakiej odpowiedzi oczekuje Cornewaille. – Pomyślcie! – ryknął sir John, obrzucając kolejno sierżantów spojrzeniem jasnych, niebieskich oczu. – Jesteście Francuzami i życie w jakimś zachłapanym łajnem dworze, gdzie w zawilgłych murach lęgną się szczury, a po dachu tańczą myszy. Czego wam trzeba?

– Pieniądzy – odrzekł Hook.

– Więc kogo atakujecie?

– Sztandary – odparł Evelgold.

– Ponieważ tam właśnie są pieniądze – dokończył sir John. – Te przekłete łotry wywiesiły Oriflamme – kontynuował – ale to nic nie znaczy. Będą chcieli wziąć jeńców. Zwłaszcza bogatych jeńców. Króla, księcia Yorku, księcia Gloucester albo mnie! Chcą bogatych okupów! Nic nie zyskają, mordując łuczników, więc dranie zaatakują rycerzy. Będą kierować się na sztandary, ale część może ruszyć na was, więc wtedy spychajcie ich do środka waszymi strzałami. Tak właśnie macie zrobić! Spychajcie ich flanki do ośrodka, ponieważ tam ja będę mógł ich pozabijać!

– Jeśli tylko wystarczy nam strzał – rzekł z powątpiewaniem w głosie Evelgold.

– To je oszczędzajcie, tak żeby wam wystarczyło – rzekł stanowczo sir John – bo jeśli skończą wam się strzały, będziecie musieli walczyć z nimi wręcz. Oni są w tym wyćwiczeni, a wy nie.

– Przecież szkoliliś nas do tego, panie – rzekł Hook, mając w pamięci zimę spędzoną na ćwiczeniu się we władaniu mieczem i toporem.

– Wy jesteście po trosze wyszkoleni, ale co z pozostałymi łucznikami? – spytał drwiącym tonem sir John, a Nick spojrzawszy na czekających na bitwę ludzi, zdał sobie sprawę, że nie sprostają oni francuskim rycerzom. Byli to wszak szewcy, folusznicy, stolarze, młynarze i rzeźnicy: rzemieślnicy, którzy posiadli niezwykłą umiejętność dociągania konopnej cięciwy cisowego łuku aż do ucha i słania strzały w jej śmiertelnością podróż. Ludzie ci potrafili zabijać na odległość, lecz nie byli zaprawieni do wojaczki przez liczne turnieje i nie uprawiali się od dzieciństwa w szermierce. Wielu z nich nie miało żadnego pancerza, jeśli nie liczyć wyściełanego kaftana, a niektórzy nie posiadali nawet i tej mizernej osłony.

– Boże uchroni, żeby Francuzi wpadli między tych biedaków! – rzekł sir John.

Żaden z jego sierżantów nic na to nie odpowiedział. Wszyscy myśleli właśnie o tym, co się będzie działo, gdy francuscy zbrojni, zakuci w żelazo, ruszą do ataku, by ich pozabijać. Hook zadrzał na samą myśl o tym, lecz potem jego uwagę odwrócił widok pięciu konnych, zmierzających pod królewskim sztandarem w kierunku czekającej wciąż francuskiej armii.

– Co oni robią, panie? – spytał Evelgold.

– Król wysłał ich do Francuzów z propozycją zawarcia pokoju – wyjaśnił sir John. – Zażądają, by oddali Henrykowi koronę Francji, a wówczas łaskawie zgodzimy się nie zetrzeć ich na miazgę.

Ośłupiały Evelgold gapił się tylko na Cornewaille'a, jakby nie wierzył własnym uszom. Hook ledwie stłumił wybuch śmiechu, a sir John wzruszył ramionami.

– Zatem Francuzi nie przyjmą jego warunków – rzekł – a to oznacza, że będzie bitwa, co z kolei wcale jeszcze nie znaczy, że oni nas zaatakują.

– Nie zaatakują? – spytał Magot.

– Musimy ich jakoś minąć, żeby dostać się do Calais, więc być może będziemy musieli wyrąbać sobie drogę mieczem.

– Chryste! – mruknął Evelgold.

– Chcą, panie, żebyśmy to my ich zaatakowali? – dopytywał się Magot.

– Ja na ich miejscu też bym tego chciał – odparł Cornewaille, odwracając się w kierunku nieprzyjacielskiej armii. – Wcale nie palą się bardziej od nas do tego, żeby przejść to pole, ale oni wcale nie muszą tego robić. My natomiast musimy. Musimy dotrzeć do Calais, bo inaczej umrzemy tutaj z głodu. Zatem jeśli oni nie ruszą do ataku, to my będziemy musieli ich zaatakować.

– Chryste! – mruknął znów Evelgold, a Hook zaczął sobie wyobrażać, ile wysiłku kosztowałyby ich przejście ćwierci mili grząskiego, śliskiego i oblepiającego buty błota. Niech Francuzi zaatakują – pomyślał i nagle zadrżał gwałtownie na całym ciele. Był przemarznięty, głodny i zmęczony. Co chwilę ogarniał go strach, zamieniając zawartość jego kiszek w wodę. Nie on jeden miał ten problem. Mnóstwo ludzi wykradało się do lasów, aby opróżnić wnętrzości.

– Muszę do lasu – powiedział.

– Jeśli chcesz się wysrać, zrób to tutaj – rzekł szorstko sir John, po czym zwrócił się do całej rzeszy łuczników. – Nikomu nie wolno wchodzić do lasu! – krzyknął, obawiając się, że ludzie zaczną oblatywać strach i będą chcieli ukryć się między drzewami. – Macie srać tam, gdzie stoicie!

– Srać i umierać – stwierdził ponuro Thomas Evelgold.

– I iść do piekła w brudnych gaciach – dokończył szyderczo sir John. – Co wam zależy? – spytał, po czym spojrzał po kolei na swoich sierżantów i zaczął mówić cicho, lecz stanowczo. – Ta bitwa nie jest wcale przegrana. Pamiętajcie, że my mamy łuczników, a oni nie.

– Ale my mamy za mało strzał – rzekł Evelgold.

– Więc strzelajcie tak, żeby nie zmarnować ani jednej – odparł sir John, zniecierpliwiony pesymizmem swojego setnika, po czym spojrzał spode łba na Nicka. – Chryste, człowieku, nie



możesz tego robić tak, żeby nie cuchnęło w moją stronę?

– Wybacz, panie.

Sir John uśmiechnął się szeroko.

– Ty przynajmniej możesz się wysrać. Spróbuj to zrobić w pełnej zbroi! Mówię wam, nie będziemy pachnieć kwiatkami, kiedy ten dzień dobiegnie końca – stwierdził i spojrzał w kierunku nieprzyjaciela. Wzrok jego jasnych oczu spoczął na Oriflamme. – I jeszcze jedno – dodał natarczywie – nikomu nie wolno brać jeńców, dopóki nie wydamy rozkazu, że można brać Francuzów do niewoli, zamiast ich zabijać.

– Myślisz panie, że będziemy brać jeńców? – spytał zdumiony Evelgold, tonem pełnym niedowierzania.

– Jeśli ludzie zaczną brać jeńców zbyt szybko, osłabią nasz szyk – rzekł sir John, ignorując pytanie setnika. – Macie walczyć i zabijać, dopóki ci dranie nie będą mieli dosyć, a dopiero później możecie zająć się wyszukiwaniem jeńców dla okupu – dodał i poklepał Evelgolda po okrytym kolczugą ramieniu. – Powiedz swoim chłopakom, że dziś wieczorem będziemy ucztować we francuskim obozie.

„Albo będziemy ucztować we francuskim obozie – pomyślał Hook – albo będziemy już na diabelskim wikcie”. Powlókł się z trudem z powrotem ku swym łucznikom, stojącym przy wbitych w ziemię palach. Drągi te, których było na prawym skrzydle angielskiej armii ponad dwa tysiące, tworzyły gęsty zagajnik zaostzonych pik. Piesi mogli poruszać się między nimi stosunkowo łatwo, lecz żaden bojowy rumak nie byłby w stanie manewrować w tym gąszczu.

– Czego chciał sir John? – spytał Will z Doliny.

– Kazał wam powiedzieć, że dziś wieczorem będziemy ucztować we francuskim obozie.

– Myśli, że wezmą nas do niewoli? – zapytał sceptycznym tonem Will.

– Nie. Myśli, że zwyciężymy.

Wśród łuczników rozległ się pełen goryczy śmiech. Hook jednak go zignorował i zaczął obserwować nieprzyjaciela. Pierwszy szereg spieszonych francuskich rycerzy, gęsto naszpikowany stalowymi ostrzami krótkich kopii, rozciągał się pomiędzy dwiema ścianami lasu. Francuzi jednak nadal nie ruszali, a Anglicy wciąż czekali. Jeźdźcy wroga ciągle rozgrzewali swe bojowe rumaki, a ponieważ zwierzętom wyraźnie nie podobały się głębokie skiby na zaoranym polu, wielu spośród rycerzy udało się w tym celu na trawiaste pastwiska za lasem. Słońce pięło się coraz wyżej za zasłoną z rzednących chmur. Królewscy emisariusze, wysłani z propozycją zawarcia pokoju, spotkali się już z podobną grupką Francuzów i wracali teraz przez zaorane pole, a chwilę później w szeregach angielskiej armii zaczęły się szerzyć pogłoski, że Francuzi pozwolą Anglikom przejść do Calais, które jednak już za moment zostały zdementowane.

- Jeśli nie chcą walczyć – stwierdził Tom Scarlet – to może będą tam tak stać przez cały dzień!
- Musimy jakoś się przez nich przedostać, Tom.
- Chryste! Przecież mogliśmy wymknąć się dziś w nocy i wrócić do Harfleur.
- Król tego nie zrobi.
- Na Boga, czemu nie? Czyżby chciał umrzeć?
- Bóg jest po jego stronie – oświadczył Hook.

Tom zadrzał.

- W takim razie Bóg mógłby nam zesłać porządne śniadanie.

Kobiety przyniosły z obozu resztki żywności, jakie schowały z myślą o tym dniu. Melisanda dała Hookowi placek z owsianej mąki.

- Zjemy go na pół – rzekł Hook.

– Przyniosłam go dla ciebie – upierała się dziewczyna. Na naleśniku była pleśń, lecz Nick i tak zjadł pół placka i dał Melisandzie drugą połowę. Nie było już ani kropli piwa i musiała im wystarczyć woda ze strumienia, którą dziewczyna przyniosła w starej skórzanej manierce po winie. Woda cuchnęła obrzydliwie. Melisanda stanęła obok Hooka i przyglądała się Francuzom.

- Jest ich tak wielu – rzekła półgłosem.
- Ale nie chcą ruszyć do ataku – stwierdził Hook.
- Więc co się teraz stanie?
- My będziemy musieli ich zaatakować.

Dziewczyna zadrzała.

- Myślisz, że jest tam mój ojciec?
- Jestem tego pewien.

Melisanda milczała. Wszyscy tylko czekali i czekali. Wciąż rozbrzmiewały trąby i bębny, lecz nawet muzycy zaczęli już odczuwać zmęczenie i ich dźwięk był mniej energiczny. Hook słyszał, od czasu do czasu śpiew drozdów pośród drzew, z których część zrzuciła już liście, przez co ich gałęzie wyglądały na tle szarego nieba niczym posępne szubienice. Połyskujące od wody zaorane pole, oddzielające od siebie czekające na bój armie, roiło się od kwiczołów i drozdów, szukających robaków w świeżych skibach. Hook pomyślał o domu, o dojeniu krów, o dochodzących z lasu

odgłosach jeleni na rykowisku, o coraz krótszych wieczorach i ciepłe ognisk w chatach w jego rodzinnej wiosce.

Nagle zaczął się jakiś ruch i Nick, powróciwszy do rzeczywistości, ujrzał, jak król, dosiadający znów małego, białego konia, wyjeżdża przed front angielskiej armii w towarzystwie swego chorążego. Podążał w kierunku łuczników prawego skrzydła, a jego wierzchowiec, w obawie przed niepewnym gruntem pod nogami, wysoko unosił kopyta. Henryk zdjął zwieńczony koroną hełm i lekki wiatr rozwiewał jego krótkie, ciemne włosy, sprawiając, że nie wyglądał nawet na swoje dwadzieścia osiem lat. Zatrzymał konia o kilka kroków od pierwszego rzędu pali, a wówczas setnicy kazali swoim ludziom zdjąć hełmy i uklęknąć. Tym razem król zgodził się przyjąć ten hołd i poczekał, aż dwa i pół tysiąca łuczników znalazło się na kolanach.

– Łucznicy Anglii! – zawołał, po czym umilkł na chwilę, gdy ludzie zaczęli przysuwać się bliżej, aby go lepiej słyszeć. Na ich ramionach wisały łuki w pokrowcach i dwuręczne topory. Niektórzy uzbrojeni byli w siekiery lub obciążone ołowiem młoty. Większość miała miecze, choć byli i tacy, którzy dysponowali jedynie łukiem i nożem. Ci, którzy mieli hełmy, zdjęli teraz swe łebki, a pozostali ściągnęli z głów kaptury kolecze i wpatrywali się w monarchę, stojącego przed nimi z odkrytą głową.

– Łucznicy Anglii! – zawołał powtórnie Henryk, lecz głos mu zadrżał, więc znów przerwał na chwilę. Wiatr rozwiewał grzywę jego wierzchowca. – Stajecie dziś do walki w mojej sprawie – zawołał król, głosem donośnym już i pewnym siebie. – Nasi wrogowie nie chcą mi oddać korony Francji, którą przeznaczył mi sam Bóg! Wierzą, że dziś uda im się nas upokorzyć! Wierzą, że powloką mnie jako jeńca ulicami Paryża, pośród tłumu gapiów! – przerwał, gdy gniewny pomruk przeszedł przez szeregi łuczników. – Nasi nieprzyjaciele – kontynuował po chwili – grożą, że obetną palce każdemu Anglikowi, który strzela z długiego łuku! – znów zabrzmiał pomruk, tym razem jeszcze głośniejszy, i przeszedł w pełen oburzenia ryk, a Hook przypomniał sobie niewielki skwer w Soissons, gdzie obcięcie palców stanowiło dopiero początek przerażającej karni. – A także każdemu Walijczykowi, który strzela z długiego łuku! – dodał król, a pośród szeregów łuczników rozległy się gdzieś radośne okrzyki. – Wierzą, że zdołają tego wszystkiego dokonać – zawołał król – lecz zapomnieli o woli Boga! Są ślepi i nie dostrzegają tego, że czuwają nad nami święty Jerzy i święty Edward. A to nie tylko ci święci otaczają nas swoją opieką! W dniu dzisiejszym przypada wspomnienie świętego Kryspina i świętego Kryspiniana, a ci dwaj męczennicy domagają się kary za krzywdę, jaką wyrządzono im w Soissons! – tu Henryk znów przerwał, lecz tym razem nie rozległ się gniewny pomruk jego żołnierzy. Dla większości łuczników Soissons było tylko nic nieznaczącą nazwą, lecz nadal uważnie słuchali słów swego monarchy. – To nam przypadło w udziale – rzekł król – zadanie wymierzenia tej kary i musicie wiedzieć i być tego pewni równie mocno jak ja, że jesteśmy w tym dniu narzędziem Boga! To On jest w waszych łukach, w waszych strzałach i w waszej broni, a także w waszych sercach i duszach. Bóg nas ocali i zniszczy naszych nieprzyjaciół! – krzyknął i znów zawiesił głos, podczas gdy pośród łuczników rozległ się basowy pomruk. – Dzięki waszej pomocy – zawołał donośnym głosem Henryk – dzięki waszej sile, pokonamy dziś wroga! – skończył i na moment zapanowała cisza, po czym łucznicy wzniesli radosny okrzyk. Król poczekał, aż wiwaty ucichną. – Zaproponowałem naszym wrogom pokój. Oddajcie mi to, co mi się wedle prawa należy – rzekłem im – a zawrzemy pokój, lecz w ich sercach nie ma pokoju ani też miłosierdzia w ich

duszech, więc stanęliśmy na tym oto polu, aby odbyć sąd boży! – zawołał, po czym po raz pierwszy oderwał wzrok od ciżby klęczących łuczników i odwrócił się, by spojrzeć na gliniaste skiby na zaoranym polu oddzielającym od siebie dwie armie.

Po chwili znów spoglądał już na swoich słuchaczy.

– Przeprowadziłem was tutaj – mówił dalej, nieco ciszej, lecz dobitnie – na to pole w głębi Francji, lecz was tutaj nie porzucę! Z łaski Boga jestem waszym królem – dodał, podnosząc głos – lecz w dniu dzisiejszym jestem też ni mniej, ni więcej, tylko jednym z was! Dziś będę walczył za was i w wasze ręce składam moje życie! – tu król zmuszony był przerwać, gdyż łucznicy znów głośno wiwatowali na jego cześć. Uniósł w górę dłoń w stalowej rękawicy i czekał, aż okrzyki ucichną. – Jeśli wy zginiecie na tym polu, ja zginę wraz z wami! Nie dam się wziąć do niewoli! – krzyknął, a łucznicy raz jeszcze wydali okrzyk na jego cześć i Henryk znów uniósł dłoń i czekał, aż zapadnie cisza. Wówczas uśmiechnął się, pewny siebie. – Nie spodziewam się jednak, aby groziła mi niewola, i ufam też, że nie zginę, gdyż proszę was dziś tylko o to, abyście walczyli dla mnie tak, jak ja będę walczył dla was! – zawołał i wyciągnął prawą rękę ku łucznikom, rozkładając szeroko palce, jakby chciał objąć ich wszystkich. Jego koń pośliznął się w błocie i uskoczył w bok, lecz król uspokoił go wprawna ręką. – Dziś będę walczył za wasze domy, za wasze żony i ukochane, za wasze matki i ojców, za wasze dzieci i za wasze życie, za całą waszą Anglię! – zawołał, a głośne wiwaty, jakimi powitano te słowa, musiały być słyszalne nawet na drugim końcu pola, gdzie Francuzi wciąż stali w bezruchu pod jaskrawymi sztandarami. – Dziś jesteśmy braćmi! Urodziliśmy się w Anglii i w Walii i przysięgam wam na włócznie świętego Jerzego i na gołębicę świętego Dawida, że zabiorę was ze sobą z powrotem do Anglii i do Walii, przydawszy nowej chwały naszemu imieniu! Walczcie więc, jak przystało na Anglików! Tylko o to was proszę! I obiecuję, że sam walczył będę u waszego boku i będę walczył dla was! Jestem waszym królem, lecz dziś jestem także waszym bratem i przysięgam na moją nieśmiertelną duszę, że nie opuszczę moich braci! Niechaj Bóg was zachowa, bracia moi! – zawołał, po czym zawrócił konia i pojechał, by wygłosić podobną przemowę do zbrojnych, wśród niemilkających wiwatów łuczników prawego skrzydła.

– Na Boga! – krzyknął William z Doliny. – Ależ on naprawdę sądzi, że wygramy!

Zaś na przeciwległym krańcu pola gwałtowny powiew wiatru uniósł w górę czerwony jedwab Oriflamme, tak że chorągiew ta powiewała teraz ponad ostrzami nieprzyjacielskich kopii, oznajmiając, że nie będzie pardonu.

Francuzi nadal jednak nie ruszali do ataku. Łucznicy porozsiadali się już na ziemi, nie zważając na to, że jest mokra. Niektórzy nawet spali, pochrapując w błocie. Księża nadal udzielali rozgrzeszenia. Ojciec Krzysztof kawałkiem węgla wypisał na czole Melisandy mające ją chronić

imię Chrystusa.

– Zostaniesz przy taborze – powiedział jej.

– Zostanę, ojciec.

– I cały czas trzymaj osiodłanego konia – doradził jej kapłan.

– Żeby móc uciec? – spytała.

– Żeby móc uciec – przytaknął ksiądz.

– I załóż opończę od twojego ojca – dodał Hook.

– Założę – obiecała dziewczyna. Miała ją w torbie, w której mieścił się jej ziemski dobytek, a teraz wyjęła delikatne płótno i rozłożyła je. – Daj mi swój nóż, Nick.

Dał jej swój łuczniczy sztylet, a ona odcięła nim skrawek materiału u dołu opończy i podała go Hookowi.

– Weź to – rzekła.

– Mam to nosić? – spytał łucznik.

– Pewnie, że tak – wtrącił się ojciec Krzysztof. – Tak robią rycerze. Noszą barwy swych dam – wyjaśnił, wskazując na angielskich zbrojnych, z których większość miała na szyi związane barwne chustki lub apaszki. Hook zawiązał więc skrawek materiału na swej szyi, po czym wziął Melisandę w ramiona.

– Słyszałaś, co powiedział król – rzekł. – Bóg jest po naszej stronie.

– Mam nadzieję, że Bóg też to słyszał – odparła.

– Ja też na to liczę – stwierdził ojciec Krzysztof.

Wtem zaczął się jakiś ruch, jednak nie od strony Francuzów, gdyż nadal nic nie wskazywało, by mieli zaatakować, lecz pośród grupy angielskich zbrojnych, którzy dosiedli koni i przejeżdżali przed frontem armii.

– Będziemy atakować! – zakrzyknął człowiek, który podjechał do łuczników stojących na prawym skrzydle. – Weźcie z sobą pale! Będziemy atakować!

– Chłopcy! – zawołał sam król, który wystąpił kilka kroków przed pierwszą linię, a teraz stanął w strzemionach i wymachiwał rękoma, aby zwrócić uwagę wszystkich swych rodaków. – Chłopcy!

Ruszajmy!

– O mój Boże! Mój Boże! – wzdychała Melisanda.

– Wracaj do taboru – powiedział jej Hook, po czym zaczął mocować się ze swym grubym palem, usiłując wydobyć go z ziemi. – Idź, ukochana – powtórzył. – Wszystko będzie dobrze. Nie ma takiego Francuza, który zdołałby mnie zabić – rzekł, choć sam w to nie wierzył, i zdobył się na uśmiech ze względu na dziewczynę. Czuł, jak kurczy mu się żołądek. Strach ogarniał go niczym lodowate fale. Czuł się bezbronny, słaby i roztrzęsiony, lecz w końcu zdołał jakoś wydobyć pal z ziemi i zarzucił go sobie na ramię.

Nie spojrzał już na Melisandę. Ruszył przed siebie, brnąc przez gęste błoto, tak jak wszyscy angielscy łucznicy. Wszyscy poruszali się strasznie wolno, z trudem wyciągając stopy z mokrej, kleistej ziemi i krok za krokiem zbliżając się ku Francuzom.

Ci zaś wciąż tylko im się przypatrywali. Tylko patrzyli i czekali.

– Gdyby ci dranie mieli choć trochę rozumu, to właśnie teraz by nas zaatakowali – rzekł Evelgold.

– Może jeszcze to zrobią – odparł Hook. Przypatrywał się stojącemu w oddali nieprzyjacielowi. Niektórzy z jeźdźców rozgrzewających swe konie szli z powrotem ku hufcom na skrzydłach francuskiej armii, lecz wyglądało na to, że wcale im się nie spieszy. Trąby wciąż grały tę samą melodię. Wydawało się, że Francuzi pozwolą Anglikom przejść całe pole, a Hook czuł, jak jego myśli skaczą jak spłoszony zając w wiosennej trawie. Czy to rzeczywiście sam król przyszedł do nich nocą, gdy stali na warcie? Nick zapomniał obwiązać środkowy odcinek jednej ze swych zapasowych cięciw w miejscu, gdzie konopny sznur wchodził w wycięcie w strzale. Czy król naprawdę będzie modlił się za Michaela? Czy śmierć będzie szybka? Piers Candeler wyrzucił nagle z siebie cały potok przekleństw i zrzucił obydwie buty, aby posuwać się dalej boso. Hook przypomniał sobie łuczника, którego powiesił kiedyś w Londynie, i zaczął się zastanawiać, czy tamten czuł taki sam strach, kiedy zobaczył szkocką armię u stóp zielonego wzgórza pod Homildon, a potem pomyślał o wszystkich innych Anglikach, którzy napinali dla króla wielki bojowy łuk. Walczyli ze Szkotami, Walijszymi, a także pomiędzy sobą, ale zawsze, zawsze walczyli też z Francuzami. A dziś ci Francuzi wciąż nie chcieli nawet się poruszyć. Ten ich bezruch napełniał Hooka lękiem. Zdawało się, że będą tak po prostu czekać, wiedząc, że niewielka angielska armia sama musi rzucić się wprost na ich ostrza.

Lewa stopa Hooka utknęła na dobre w grząskiej ziemi, więc zrobił tak jak inni łucznicy i zostawił but w błocie. Zdjął również prawy but i ruszył dalej boso, przekonując się przy tym, że tak jest o wiele łatwiej się poruszać.

– Jeśli ruszą do ataku – rzekł ostrzegawczo Evelgold – zatrzymujemy się, zakładamy cięciwy i wbijamy pale w ziemię.

Lecz Francuzi ani drgnęli. Hook widział, jak do ich armii dołączają jeszcze kolejne oddziały,

nadciągające głównie od wschodu. Konni rycerze na obu skrzydłach obserwowali Anglików, lecz nie spinali do szarży swych wielkich bojowych rumaków o opancerzonych pyskach i wyściełanych osłonach piersi i zadów. Jeźdźcy nadal trzymali pionowo długie kopie. Na niektórych z tych jesionowych lanc o stalowych ostrzach powiewały proporce. Konni mieli podniesione przyłbice i Hook widział ich obramowane stalą twarze. Było mu zimno, mimo iż cały się pocił. Miał na sobie wyściełaną koszulkę pancerną, założoną na obszytą skórą kolczugę, i pancerz ten mógł zatrzymać cios miecza, lecz kopia przebiłaby go z łatwością. Próbował sobie wyobrazić robienie uników przed pchnięciem kopią w tym gęstym błocie i zdał sobie sprawę, że będzie to niemożliwe.

– Wolniej! – nakazał nagle czyjś głos. Łucznicy zanadto wysforowali się bowiem przed angielskich zbrojnych, którzy, obarczeni pancerzami, z wielkim trudem posuwali się po przesiąkniętym wodą, zaoranym polu. Lecz krok za krokiem brnęli jednak naprzód, zaś ściany lasu z obydwu stron zbliżały się do siebie, tak że angielska armia wypełniała teraz przestrzeń pomiędzy drzewami. Barwna grupa angielskich, francuskich i burgundzkich heroldów ruszyła stępą w stronę francuskich pozycji, zajmując miejsce w połowie drogi pomiędzy obiema armiami.

– Chryste Panie! – burknął Evelgold. – Jak blisko mamy do nich podejść?

Wtem jakiś głos ryknął na łuczników, każąc im ponownie wbić w ziemię zaostrome pale. Nieprzyjaciel był już teraz blisko, nieco ponad dwieście kroków od nich, a tyle właśnie wynosiła największa odległość, na jaką ustawiano tarcze na zawodach łuczniczych i Hook przypomniał sobie te letnie dni z żonglerami, tańczącymi niedźwiedziami i darmowym piwem oraz tłumy, wiwatujące na cześć łuczników, napinających łączy i ślących strzały do celu.

– Wbić pale! – krzyknął ktoś. – Porządnie osadzić w ziemi!

Pał Hooka z łatwością wszedł w miękkie podłoże. Nick zerknął przy tym w kierunku nieprzyjaciela i ujrzał, że Francuzi nadal nie ruszają, więc zdjął z ramienia dwuręczny topór i trzy razy uderzył mocno w wystający koniec pała, stępiając go nieco, lecz zarazem wbijając drąg głębiej w ziemię. Potem odciął nożem zmiażdżone drewno, zaostrozając na nowo pał, by wreszcie wyjąć łuk z pokrowca z końskiej skóry. Dokoła niego łucznicy wbijali w ziemię swe zaostrome drągi lub zakładali cięciwy. Hook zaparł swe łączyisko o dolną część pała i nagiął cisowe drewno, by przełożyć pętlę cięciwy przez wycięcie w górnym gryfie łuku. Następnie zdjął z ramienia obydwie kołczany. Wyjął z nich strzały i powbił je w ziemię ostrzami w dół, przy czym długie groty do przebijania pancerza umieścił po swojej lewej stronie, a pół tuzina myśliwskich grotów – po prawej. Ucałował brzusek łuku, gdzie ciemne drewno stykało się z jasnym. „Dobry Boże!” – szepnął, a potem pomodlił się do świętego Kryspiniana, a jego serce trzepotało jak ptak schwyty w gęstą sieć. W ustach mu zaschło i drżała mu prawa noga. Francuzi nadal stali w bezruchu, a święty Kryspinian nie odpowiadał na jego modlitwy.

Łucznicy się rozproszyli. Ich pale nie stanowiły jednej zwartej linii, skierowanej przeciw Francuzom, lecz raczej wkopane były w ziemię w chaotycznych, nierównych szeregach, na przestrzeni równej rozmiarom targowiska, na którym Henryk kazał palić i wieszać lollardów. Pale tkwiły w ziemi mniej więcej co dwa kroki od siebie, co pozwalało pieszemu poruszać się między

nimi w miarę swobodnie, lecz uniemożliwiało swobodne manewrowanie wierzchowcom. Nierówne szeregi łuczników sięgały tak daleko w tył, że ostatni spośród nich nie widzieli nawet nieprzyjaciela, gdyż zasłaniali im go stojący przed nimi ludzie, ale na razie nie miało to znaczenia, gdyż strzelając z odległości dwustu kroków i tak musieli słać strzały wysoko w górę, jeśli ich pociski miały w ogóle dosięgnąć Francuzów. Hook znajdował się w pierwszym szeregu, a kiedy się odwrócił, ujrzał, jak Thomas Perrill wbija w ziemię swój pał kilka kroków z tyłu, po jego prawej stronie. Nigdzie nie było widać sir Martina i Hook zaczął się zastanawiać, czy kapłan nie wrócił czasem do obozu, co z kolei sprawiło, że zaczął drżeć o bezpieczeństwo Melisandy, lecz nie miał już czasu, aby się tym martwić, gdyż Thomas Evelgold pokrzykiwał właśnie na swoich ludzi, by zwrócili się frontem do nieprzyjaciela.

Hook sądził już, że może nieprzyjaciel ruszy wreszcie do ataku, lecz Francuzi nadal stali w bezruchu. Centrum ich ugrupowania stanowiła długa i głęboka linia spieszonych zbrojnych w barwnych opończach i wypolerowanych do połysku zbrojach, podczas gdy na flankach znajdowały się dwa wielkie oddziały konnych rycerzy uzbrojonych w kopie. Jaskrawe, jedwabne flagi powiewały na tle szarego nieba, zaś w samym środku francuskiego szyku, tam gdzie las chorągwi był najgęstszy, falował na wietrze czerwony sztandar Oriflamme, obwieszczający Anglikom, że wróg nie będzie dawał im pardonu.

Hook usiłował odnaleźć w szeregach nieprzyjaciół pana de Lanferelle, ale nie mógł go nigdzie dostrzec. Zamiast tego widział skierowaną ku sobie broń Francuzów. Były tam miecze, kopie, dwuręczne topory, nadziaki, młoty bojowe i maczugi, z których część miała główce nabijane kolcami. Położył strzałę o myśliwskim grocie na głębokim brzuscu łuku i nagle poczuł, że znów chce opróżnić kiszki. Na moment zamknął oczy i zmówił kolejną żarliwą modlitwę do świętego Kryspiniana, po czym porządnie osadził swe bose stopy w grząskiej i kleistej ziemi i zaczął szykować się do walki.

– Jezu Chryste! – rzekł Thomas Scarlet.

– O Boże! O Boże! – mruczał pod nosem Will z Doliny.

Siwowłosy sir Thomas Erpingham ponownie dosiadł swego niewielkiego wierzchowca i wyjechał kilka kroków przed angielskie linie. Stał tam z odkrytą głową, a jego koń wysoko podnosił kopyta, wyraźnie niezadowolony z grząskiego podłoża. Za plecami sir Thomasa czekali angielscy zbrojni. Dziewięciuset rycerzy stało w czterech szeregach, a sam król, w lśniącej zbroi i hełmie, zwieńczonym wysadzaną drogimi kamieniami koroną, znajdował się w centrum szyku. Sir Thomas, odziany w zieloną opończę, na której widniał czerwony krzyż świętego Jerzego, odwrócił się teraz tyłem do Francuzów. Począł bez słowa jeszcze parę sekund.

– Bądź teraz przy mnie – modlił się głośno Hook do świętego Kryspiniana.

Pragnął, aby święty zechciał doń przemówić, ale Kryspinian ciągle milczał.

– Napiąć łuki! – rozkazał półgłosem Evelgold.



Hook uniósł w górę łączysko. Naciągnął konopną cięciwę aż do ucha i poczuł nieokiełznaną siłę tkwiącą w napiętym drewnie. Wycelował w konia Francuza stojącego dokładnie naprzeciw niego, lecz wiedział, że będzie miał szczęście, jeśli strzała tam właśnie trafi. Gdyby Francuzi byli o pięćdziesiąt kroków bliżej, mógłby starannie dobierać sobie cele i za każdym razem być pewnym trafienia, lecz przy maksymalnej odległości skutecznego strzału z łuku będzie miał szczęście, jeśli jego pocisk wyląduje w promieniu czterech czy pięciu stóp od celu. Wciąż trzymał cięciwę napiętą i prawe ramię zaczynało mu już drżeć.

Pięć tysięcy łuczników napięło swe łuki. Pięć tysięcy strzał czekało na pięciu tysiącach cięciw.

Wtem za lasem Tramecourt wzbiło się w górę stado szpaków i rozległ się głośny trzepot ich skrzydeł. Ptaki wyglądały niczym pióropusz czarnego dymu, wirujący nad drzewami. Po chwili, równie nagle, jak się pojawiły, znikły z pola widzenia. Wzdłuż całej francuskiej linii słychać było trzask zamykanych przyłbic. Hook widział dotąd oblicza nieprzyjaciół, lecz teraz spoglądał tylko na pozbawione twarzy stalowe hełmy.

– Miej nas w swojej opiece, Boże – mruknął jeden z łuczników, gdy sir Thomas uniósł się w strzemionach.

Sir Thomas Erpingham podrzucił obitą zielonym suknem buławę tak wysoko, że zatoczyła koło w wilgotnym powietrzu. Nad polem bitwy pod Azincourt zapadła cisza, w której buława wzbijała się w górę, połyskując złotymi kwiatonami na tle szarego nieba.

– Teraz! – krzyknął sir Thomas. – Strzelać!

Buława opadła w dół.

Hook zwolnił cięciwę.

Pięć tysięcy strzał pomknęło do celu.

Pierwszym dźwiękiem, który przerwał ciszę, był brzdęk cięciw, trzask pięciu tysięcy konopnych lin, prostujących się pod napięciem cisowego drewna. Odgłos ten brzmiał niczym szarpanie strun diabelskiej harfy. Potem rozległ się szum startujących strzał, westchnienie powietrza pośród ich piór, lecz tak potężnie zwielokrotnione, że zabrzmiało jak gwałtowny podmuch wiatru. Dźwięk ten nieco ucichł, gdy dwie chmury strzał, gęste jak stado szpaków, wspięły się wysoko na szare niebo. Sięgając po następny pocisk z myśliwskim grotem, Hook spoglądał ze zdumieniem na pięć tysięcy pierzastych strzał, lecących do celu w dwóch grupach, które niemal przesłoniły niebo. Dwie burzowe chmury zdawały się przez ułamek sekundy wisieć nieruchomo w powietrzu na

szczyt swojej trajektorii, po czym zaczęły opadać w dół.

Działo się to w Pikardii, w dzień świętego Kryspina.

Przez moment znów panowała cisza.

A potem chmury strzał dosięgły celu.

Rozległ się dźwięk stali uderzającej o stal. Upiorny klekot, niczym odgłos szatańskiego gradu.

W niebo wzbił się pierwszy tego dnia pełen bólu krzyk. Było to przeraźliwe rżenie konia, który stanął dęba z myśliwskim grotem tkwiącym głęboko w jego zadzie. Zwierzę rzuciło się naprzód tak gwałtownie, że dosiadający go zakuty w żelazo jeździec zachwiał się w wysokim siodle. Ten ruch zranionego wierzchowca posłużył jako sygnał do ataku i coraz więcej koni ruszało w ślad za nim, aż wreszcie wszyscy jeźdźcy spięli swe rumaki ostrogami i cała francuska kawaleria wzniosła potężny bojowy okrzyk, ruszając do szarży.

– *Saint Denis! Montjoie!*

– Święty Jerzy! – krzyknął ktoś w angielskich liniach, a okrzyk ten podchwyciła wkrótce niewielka armia. – Święty Jerzy!

Zbrojni urągali Francuzom, wydając z siebie myśliwskie okrzyki, i po chwili podniosła się niesamowita wrzawa, kiedy i dźwięk trąb wzbił się w niebo.

Niebem zaś mknął już do celu drugi myśliwski grot Hooka.

Ghillebert, Seigneur de Lanferelle znajdował się w pierwszym szeregu francuskiej armii. Był jednym z ponad ośmiu tysięcy spieszonych zbrojnych, tworzących pierwszy z trzech francuskich hufców. Pod opończą ze słońcem i sokołem miał wypolerowaną do połysku płytową zbroję, choć osłony jego nóg były już pochłapane błotem. U jego boku wisiał potężny miecz, na plecach przewieszoną miał nabijaną kolcami maczugę o ołowianej głowicy, zaś w rękach dzierżył krótką kopię o jesionowym drzewcu, długą na dwa metry i zwieńczoną stalowym grotem. Jego głowę okrywał skórzany kaptur, zawiązany pod szyją, pod którym zwinięte były jego długie włosy. Na nim miał czepiec kolczy, osłaniający głowę i ramiona, zaś na nim z kolei chroniący jego czaszkę włoski hełm bitewny. Przyłbicę miał uniesioną, aby móc widzieć Anglików. Widział więc, że ich armia była śmiesznie mała.

Francuzi zaś wręcz palili się do walki. Henryk, król Anglii, ośmielił się przemaszerować ze swą żalosną armią z Normandii do Pikardii, myśląc, że może upokorzyć przeciwnika, obnosząc swoje buńczuczne sztandary po francuskiej ziemi, lecz teraz znalazł się w potrzasku. Lanferelle, obserwując nieprzyjaciela już od świtu, stwierdził, że w angielskim szyku stoi ledwie tysiąc zbrojnych, i liczba ta wydała mu się tak śmiesznie mała, że raz za razem sprawdzał swoje przypuszczenia, dzieląc całą linię na trzy, licząc ludzi i mnożąc wynik przez cztery. Za każdym razem jednak otrzymywał taki sam końcowy rezultat. Około tysiąca zbrojnych, naprzeciw których stały trzy francuskie hufce, liczące co najmniej po osiem tysięcy ludzi. Były jednak jeszcze dwa skrzydła angielskiego szyku.

### Łucznicy.

Tysiące łuczników, zbyt wielu, by ich policzyć, choć francuscy zwiadowcy podawali wcześniej liczby tak rozbieżne, jak cztery i osiem tysięcy. Zaś łucznicy ci, o czym doskonale wiedział Lanferelle, mieli ze sobą cisowe długie łuki i kołczany strzał o stalowych grotach, które z niewielkiej odległości były w stanie przebić nawet najlepszą zbroję w całym chrześcijańskim świecie. Właśnie dlatego jego pancerz był tak ukształtowany i wyprofilowany, żeby strzały się od niego odbijały, lecz i tak rycerz zdawał sobie sprawę, że przy odrobinie pecha któryś z pocisków może go przebić. Dlatego też Ghillebert de Lanferelle, Pan Piekieł, nie podzielał optymizmu i zapału swych rodaków. Ani przez chwilę nie wątpił, że francuscy zbrojni są w stanie pokonać angielskich rycerzy, lecz żeby dostać się do ich wątego szyku trzeba było najpierw przedrzeć się przez grad strzał.

Nocą, gdy inni pili, pan de Lanferelle udał się do astrologa, sławnego człowieka z Paryża, który miał ponoć dar przewidywania przyszłości, i stanął w długiej kolejce ludzi czekających na krótką wizytę w jego namiocie. Ten brodaty człowiek, wielce poważny i odziany w obszyty futrem czarny płaszcz, wziął od niego złote monety, po czym przez dłuższą chwilę jęczał tylko i wzdychał, aż wreszcie oświadczył, że w jego przyszłości widzi jedynie chwalebne czyny.

– Będiesz zabijał, panie – rzekł astrolog – zabijał i zabijał, aż zyskasz zarówno sławę, jak i bogactwa.

Potem, stojąc w strumieniach deszczu przed namiotem astrologa, Lanferelle poczuł w sobie dziwną pustkę.

Będzie zabijał i zabijał, tego był pewien, lecz nie chodziło o to, by wymordować Anglików, lecz wziąć cennych jeńców. W samym centrum nieprzyjacielskiego szyku, pod najwyższymi sztandarami, znajdował się sam król Anglii. Wystarczyło wziąć go do niewoli, a angielski naród całymi latami musiałby zbierać za niego okup. Francuzi już cieszyli się na samą myśl o tym. W szeregach Anglików byli także książęta królewskiej krwi i wielcy lordowie, a każdy z nich mógł sprawić, że człowiek stanie się bogatszy niż w swych najśmielszych marzeniach.

Lecz pomiędzy marzeniami a rzeczywistością stali jeszcze łucznicy.

Zaś Ghillebert, pan de Lanferelle, doceniał potęgę cisowego łuku.

Właśnie dlatego, gdy Anglicy zaczęli swój długi i żmudny marsz przez rozorane pługiem pole pomiędzy lasami Azincourt i Tramecourt, Lanferelle krzyknął do konstabla, że już pora ruszać do ataku. Angielskie szeregi, brnąc z trudem naprzód, straciły spójność. Nieprzyjaciele z armii w bitewnym szyku stali się nagle ubłoconym motłochem, posuwającym się krok za krokiem po zdradliwych skibach. Lanferelle ujrzał, że łucznicy są rozproszeni i raz jeszcze zawołał do marszałka Boucicault i do konstabla d'Alberta.

– Niech konni ruszą do ataku!

Jeźdźcy znajdowali się na obu skrzydłach francuskiej armii. Byli to olbrzymi rycerze na potężnych bojowych rumakach, ogierach o opancerzonych pyskach i piersiach chronionych wyściełanymi czaprakami. Ich zadanie polegało na tym, by wykonać szarżę na szeregi łuczników i bezlitośnie wyciąć ich w pień. Jednak wielu jeźdźców opuściło pole bitwy, by rozgrzewać swe wierzchowce na trawiastych łąkach za lasem, aby były w każdej chwili gotowe do akcji, a pozostali konni obserwowali jedynie Anglików.

– Ta decyzja nie należy do mnie – odrzekł marszałek Boucicault.

– A do kogo?

– Z pewnością nie do mnie – odrzekł krótko marszałek ponurym tonem i Lanferelle zrozumiał, iż Boucicault podziela jego lęk przed straszliwymi umiejętnościami angielskich łuczników.

– Na litość boską! – krzyknął Lanferelle, widząc, że wciąż nie pada rozkaz, by konni ruszyli do szarży. Zamiast tego jeźdźcy patrzyli tylko, jak brnący w błocie Anglicy podchodzą coraz bliżej.

– Kto nami dowodzi? Na miłość boską, kto tutaj dowodzi? – spytał donośnym głosem Lanferelle. Przed bitwą nikt nie wygłosił do Francuzów porywającej przemowy, choć Pan Piekieł widział, jak angielski król przejeżdża przed frontem swej armii i zatrzymuje się przed poszczególnymi hufcami, i domyślał się, że zagrzewa ludzi do walki.

Lecz kto miał zabrać głos w imieniu Francji? Ogromną armią nie dowodził ani konstabl, ani marszałek. Zdawało się, że tę zaszczytną rolę pełnić powinien książę Brabancji lub może młody Karol Orleański, który dotarł właśnie na pole bitwy i obserwował teraz zbliżających się Anglików, przeliczając już zapewne okupy, jakie uda się za nich zgarnąć. Książę wydawał się zadowolony z tego, że nieprzyjaciel sam idzie na rzeź, i konni na obu francuskich skrzydłach nie otrzymali rozkazu ataku.

Lanferelle patrzył więc z niedowierzaniem, jak Anglikom pozwolono podejść na maksymalną odległość strzału z łuku. Francuzi mieli kuszników, a nawet garstkę ludzi, którzy umieli strzelać z cisowego długiego łuku, a na dodatek posiadali kilka lekkich dział, które czekały załadowane i gotowe do strzału, lecz stojący beczynn timerze jeźdźcy zasłaniali zarówno armaty, jak i strzelców. Kusza miała większy zasięg od cisowego łuku, lecz kusznicy wciąż nie mogli strzelać, więc

nieprzyjacielscy łucznicy, przez nikogo nie niepokojeni, na powrót wbili w ziemię swe zastrzone pale. „Dobry Boże, toż to czyste szaleństwo!” – pomyślał Lanferelle. Łucznicy powinni już być dawno rozproszeni i wybici, lecz zamiast tego pozwolono im podejść na odległość skutecznego strzału z łuku i wkopać w miękką ziemię swe zastrzone pale, mające być przeszkodą dla szarżujących jeźdźców. Patrzył, jak zakładają cięciwy, robiąc to wszystko w zasięgu francuskich kuszników, lecz nadal bez żadnych przeszkód z ich strony.

– Chryste! – mruknął pod nosem Lanferelle. – Ona sama wchodzi do sypialni, zdejmuje szaty, kładzie się na łóżku i rozkłada nogi, a my nadal nie robimy nic!

– Mówiłeś coś, panie? – spytał jego giermek.

Lanferelle zignorował jego pytanie.

– Opuścić przyłbice! – krzyknął na swoich ludzi. Wiódł z sobą szesnastu zbrojnych i teraz odwrócił się, aby się upewnić, że założyli osłony twarzy, po czym sam opuścił przyłbicę swego hełmu, która opadła z metalicznym trzaskiem.

Natychmiast ogarnęły go ciemności. Jeszcze przed momentem był w stanie wyraźnie widzieć nieprzyjaciół. Dostrzegł nawet połyskującą złotem koronę, wieńczącą hełm Henryka, króla Anglii, lecz teraz przed jego oczyma znajdowała się stalowa zasłona, w której wybitych było dwadzieścia niewielkich otworów. Jednak żaden z nich nie był na tyle duży, by mógł przezeń przejść nawet wąski grot strzały, zaś żeby cokolwiek przez nie widzieć, Lanferelle musiał kręcić głową na boki, a nawet wówczas niewiele rozumiał z tego, co działo się dookoła.

Dostrzegł jednak samotnego jeźdźca, który wyjechał przed front angielskiej armii z centrum jej szyku.

Dojrzał też, jak jeździec ten podrzucił w górę buławę.

I usłyszał słowa:

– Teraz! Strzelać!

Pochylił głowę, jakby zmagając się z porywistym wiatrem i usłyszał szum wznoszących się w górę strzał. Skulił się, zgrzytając zębami, a potem pociski zaczęły trafiać w cel.

Rozległ się straszliwy hałas, gdy tysiące stalowych grotów uderzyły o stalowe pancerze i jakiś człowiek krzyknął z bólu, zaś Lanferelle poczuł głucho uderzenie w swe prawe ramię, a chociaż strzała odbiła się od zbroi, już sama siła jej uderzenia przechyliła go na bok. Druga strzała sterczała teraz, trzepocząc, z drzewca jego kopii, choć Lanferelle tego nie widział. Jakiś głupiec w tylnym szeregu zostawił otwartą przyłbicę i teraz wydawał z siebie przeciągły charkot, gdyż z nieba spadła strzała, która wbiła mu się prosto w usta i przebiła tchawicę. Człowiek ten wolno opadł na kolana i kaszlał, plwając przy tym strumieniem gęstej krwi. Inne strzały wbiły się w ziemię lub rykoszetowały od zbroi. Na lewo od Lanferelle'a jakiś koń zarżał i stanął dęba.

– *Saint Denis! Montjoie!* – zakrzyknęli Francuzi i Lanferelle, kręcąc głową, aby być w stanie zrozumieć coś z tego, co widział przez niewielkie otwory w przyłbicy, zobaczył, że jeźdźcy ruszają wreszcie naprzód. Potem rozległ się kolejny okrzyk w centrum francuskiego szyku, tam gdzie powiewała Oriflamme, i cały pierwszy hufiec ruszył chwiejnym krokiem w kierunku nieprzyjaciela.

– *Montjoie!* – ryknęli francuscy zbrojni, a krzyk ten zabrzmiał ogłuszającym echem w ich hełmach. Lanferelle ledwie mógł się ruszyć, gdyż jego zakute w stal stopy utknęły w błocie. W końcu uwolnił z lepkiej ziemi prawą nogę i zrobił krok naprzód. Nawała postaci z błota i stali, pośród której nie było widać ani kawałka ludzkiego ciała, posuwała się wolno i ociężale ku czekającym na nią Anglikom. Zaś ci wydawali z siebie ogłuszające łowieckie okrzyki, niczym rozwścieczone diabły, uganiające się za duszami chrześcijan.

Wówczas spadła druga chmura strzał.

Znów rozległ się klekot szatańskiego gradu i przeraźliwe krzyki kolejnych ofiar.

Lecz Francuzi wreszcie zaatakowali.

Pierwsi do ataku ruszyli jeźdźcy. Hook ujrzał, jak jakiś koń staje dęba, a dosiadający go rycerz spada do tyłu, zaś jego kopia zakreśla łuk na tle nieba. Potem koń zniknął pod kolejnymi szeregami szarżujących. Konni przesunęli w tył ostrogi, pochyłili kopie i wydali wojenny okrzyk, a Nick widział, jak potężne kopyta ich rumaków wzbijają w górę wielkie grudy ziemi. Ogiery potrząsały swymi ciężkimi od pancerza łbami, wyraźnie niezadowolone z nierównego podłoża, lecz znów dostały ostrogę w bok i szarża zaczęła nabierać kształtu, w miarę jak zwierzęta pędziły coraz szybciej.

Przy szarży kawalerii cała sztuka polegała na tym, by zacząć wolno, z jeźdźcami stykającymi się niemal kolanami, i iść naprzód w zwartym szyku tak, aby na przeciwnika spadła jednocześnie cała linia ciężkich rumaków. Dopiero w ostatniej chwili rycerz powinien zmusić swego wierzchowca do galopu, lecz zaorane pole było tak grząskie, a grad strzał tak gwałtowny, że jeźdźcy odruchowo popędzali konie naprzód, aby jak najprędzej przejechać niewygodny grunt, a także uniknąć pierzastych pocisków. Nikt nie wydał rozkazu do szarży, którą wywołał raczej gniew po tym, jak na Francuzów spadły pierwsze strzały, i teraz na obu skrzydłach konni gnali do przodu tak szybko, jak tylko potrafiły ich nieść wielkie rumaki. Trzystu jeźdźców zaatakowało angielskie prawe skrzydło, a jeszcze mniej rycerzy rzuciło się na lewe. Na każdej flance miało być tysiąc konnych, lecz pozostałych rycerzy nadal nie było w szyku, gdyż wciąż rozgrzewali wierzchowce.

Zaś łucznicy przez cały czas napinali i zwalniali cięciwy.

Hook używał myśliwskich grotów. Były one co prawda bezużyteczne przeciwko zbroi, lecz mogły poprzebijać wyściełane czapraki chroniące piersi koni, zaś w miarę jak zmniejszała się odległość do nacierających Francuzów, strzały mknęły ku nim po coraz niższej trajektorii, nie tracąc już impetu wysoko w powietrzu, lecz z całą mocą rażąc szarżujące zwierzęta. Przez chwilę Hook myślał już, że angielskie pociski nie czynią żadnej szkody napastnikom, lecz wtedy jeden z wierzchowców potknął się i upadł w wielkim rozbryzgu błota, pociągając za sobą jeźdźca wraz z kopyą i uprzężą. Koń zarżał przeraźliwie, a rycerz, przygnieciony jego cielskiem, również krzyczał z bólu. Na przewrócone zwierzę wpadł koń z następnego szeregu i Hook ujrzał, jak drugi jeździec przelatuje przez głowę swego wierzchowca. Ponownie napiął łuk, wybrawszy sobie za cel wielkiego rumaka o kosmatych pęcinach i wpakował mu strzałę w bok, tuż przed popręgiem siodła, i zwierzę uskoczyło gwałtownie w bok, zderzając się z kolejnym, zaś następny pocisk Nicka ugodził z łoskotem w osłoniętą czaprakiem końską pierś, wbijając się w nią aż po lotki. Cały świat wypełnił tętent kopyt, przeraźliwe wrzaski i brzdęk cięciw, a już po chwili co najmniej tuzin koni leżało na ziemi. Niektóre z trudem usiłowały stanąć na nogach, inne rozpryskiwały tylko błoto, szaleńczo wymachując kopytami, podczas gdy życie uchodziło z nich wraz z krwią, ciekącą z rozszarpanych arterii. Will z Doliny trafił ostrym grotem w gardło jednego z jeźdźców, którego siła uderzenia szarpnęła w tył, po czym Francuz odbił się do przodu od wysokiego tylnego łęku, a ostrze jego kopii wbiło się w skibę, wyrzucając go z siodła na grzbiecie galopującego wciąż konia, którego zbieła ze strachu oczy widoczne były w szparach kropierza. Noga rycerza utkwiała jednak w jednym ze strzemion i zwierzę wlokło go dalej po ziemi, dopóki nie dostało strzałę w oko i nie skreśliło gwałtownie w bok, obalając przy tym dwa kolejne rumaki.

Łucznicy strzelali szybko. Konni nie mieli zbyt długiej drogi do przebycia, lecz grząski grunt spowalniał ich szarżę i w ciągu minuty, jakiej potrzebowało trzystu francuskich rycerzy, by dotrzeć do łuczników, spadło na nich ponad cztery tysiące strzał. Tylko dwa pierwsze szeregi łuczników mierzyły do wierzchowców, podczas gdy pozostali Anglicy, którym szeregi te przesłaniały szarżujących przeciwników, wciąż posyłali strzały wysoko w górę, tak że spadały pośród pieszych rycerzy pierwszego francuskiego hufca.

Jakiś oszalały z bólu rumak, któremu z rozerwanego brzucha tryskała krew, zawrócił i popędził wprost na francuskich zbrojnych nacierających w środku pola. Kilka innych wierzchowców pobiegło za nim. Niektórzy jeźdźcy, którym zagroziły drogę ciała i umierające konie pierwszych szeregów, wstrzymywali wierzchowce, lecz wówczas stawali się łatwym celem i spadał na nich grad strzał, z których każda raniła konia z dźwiękiem podobnym do rzeźnickiego topora. Rumaki rżały przeraźliwie, a jeźdźcy daremnie próbowali nad nimi zapanować.

Lecz mimo tego niektórym Francuzom udało się dotrzeć do angielskich linii.

– Do tyłu! – krzyknęli setnicy. – Do tyłu!

Pierwsze szeregi łuczników zrobiły kilka kroków w tył, chroniąc się za wymierzonymi ku nieprzyjacielowi zaostrzonymi palami. Stąd zaczęli znów strzelać. Hook wziął ze sobą garść strzał o

ostrzych grotach i wystrzelił jedną z odległości niespełna dwudziestu kroków, lecz zobaczył, jak ciężki grot z dębową wkładką odbija się od pancerza francuskiego rycerza. Raz jeszcze napiął łuk, tym razem zatapiając pierzasty pocisk w końskiej piersi.

A potem szarżujący Francuzi dotarli do celu.

Lecz jeźdźcy mieli opuszczone przyłbice i niewiele widzieli przez maleńkie szpary czy otwory, a konie, odziane w swe stalowe naczółki, były niemal równie ślepe, jak dosiadający ich rycerze. Francuska szarża dotarła więc do celu, lecz tu nabiła się na zaostrome pale i jakiś koń zaczął rzeć i stękać żałośnie, gdyż jeden z drągów utkwiał głęboko w jego piersi, gruchocząc mu żebra. Z jego otwartego pyska coraz obficie wydobywała się spieniona krew, zaś dosiadający go rycerz wymachiwał kopią w powietrzu. Po chwili naszpikowany został strzałami i zarówno wierzchowiec, jak i jego pan zaczęli się szarpać i wydawać przeraźliwe dźwięki. Inny rumak zdołał przejść pomiędzy pierwszym szeregiem pali, a nawet udało mu się w ostatniej chwili dojrzeć drugi rząd, a wówczas gwałtownie skręcił, tracąc równowagę w lepkim błocie, po czym padł na ziemię wraz z jeźdźcem. Rozległ się przy tym głośny szczeł stali i trzask łamiącej się kopii o jesionowym drzewcu.

– Ten jest mój! – krzyknął Thomas Evelgold i pobiegł kilka kroków naprzód ze swym dwuręcznym toporem. Uderzył tylko raz, z głuchym hukiem trafiając obciążonym ołowiem obuchem w hełm zbrojnego. Potem ukląkł, podniósł przyłbicę oszołomionego rycerza i wbił mu nóż w oko. Francuz zadygotał, po czym znieruchomiał. Jego koń usiłował podnieść się na nogi, lecz Evelgold ogłuszył go toporem i uderzył raz jeszcze, tym razem ostrzem siekiery, i ten potężny cios rozszczępił naczółek i wbił się głęboko w czaszkę zwierzęcia.

– Pożegnajmy ich, jak należy! – krzyknął setnik.

Szarża załamała się na pierwszych rzędach pali i pierwszy atak Francuzów zakończył się porażką. Konni mieli rozproszyć angielskich łuczników, lecz ich strzały zrobiły swoje, a zaostrome pale uniemożliwiły ocalałym napastnikom wdarcie się w angielskie szeregi. Nieliczni rycerze zawracali właśnie ku swoim, ścigani strzałami Anglików, podczas gdy konie bez jeźdźców, oszalałe z bólu, rzuciły się galopem ku własnym liniom. Jakiś odważny do szaleństwa rycerz odrzucił kopię i dobył miecza, usiłując manewrować na swym rumaku pomiędzy palami, lecz niebawem jego wierzchowca podziurawiły strzały i padł na kolana, zaś wystrzelony z odległości niespełna dziesięciu kroków pocisk z ostrym grotem przebił napierśnik Francuza, zabijając go na miejscu. Trup z pochyloną głową siedział wciąż na dogorywającym wierzchowcu, a angielscy łucznicy drwili sobie z niego.

„To dziwne, ale nagle przestałem się bać” – pomyślał Hook. Zamiast tego teraz w jego żyłach płynęła pieśń radosnego uniesienia, a w jego głowie rozbrzmiewał cienki, ochryply skowyt. Wrócił do swojego pala i wyjął z ziemi tkwiącą tam wciąż strzałę z ostrym grotem. Jeźdźcy znikli, pokonani gradem pierzastych pocisków, lecz główny francuski hufiec wciąż parł naprzód. Francuzi atakowali pieszo, ponieważ spieszeni zbrojni zakuci w żelazo byli w mniejszym stopniu narażeni na trafienia strzał niż konie. Kroczyli naprzód pod barwnymi sztandarami, lecz ich szyki zmieszały już ranne i pozbawione jeźdźców konie, które uciekały w panice na oślep, galopując pomiędzy maszerującymi



rycerzami. Ich ciężkie kopyta powalały na ziemię zbrojnych, podczas gdy pozostali usiłowali wyprostować nierówny szlak, brnąc z trudem przez głębokie skiby ku angielskiemu królowi i garstce jego rycerzy. Hook dobierał sobie teraz starannie cele. Napinał łuk, a cięciwa ze zwodniczą łatwością mknęła aż do jego ucha, i wypuszczał ku stalowym hufcom strzałę za strzałą. Wokół niego tłoczyli się pozostali łucznicy, przepychając się między sobą, aby móc zasypywać Francuzów swymi pierzastymi pociskami.

Francuzi jednak nadal posuwali się naprzód. Spanikowane konie poczyniły co prawda wyrwy w ich szeregach, a niektórzy z nich padali, gdy kolejne strzały trafiały w cel, lecz pozostali wciąż nacierali. W pierwszym hufcu znajdowała się cała francuska arystokracja, która szła w bój pod wyniosłymi sztandarami. Osiem tysięcy spieszonych rycerzy atakowało dziewięciuset zbrojnych.

Wtem rozległ się huk wystrzału. To dało ognia jedno z francuskich dział.

Melisanda trwała zatopiona w modlitwie. Nie była to jednak w pełni świadoma modlitwa, a raczej rozpaczliwe, bezgłośnie i nieprzerwane wołanie o pomoc, wzniesione ku szaremu i ponuremu niebu, które odmawiało jej pociechy.

Tabor miał podążać za armią na płaskowyż, na którym toczyła się bitwa, lecz większość pozostała jednak w rejonie wsi Maisoncelles, gdzie sam król spędził znaczną część nocy. Stały tu także wozy z królewskim dobytkiem, strzeżone przez dziesięciu zbrojnych i dwudziestu łuczników. Wszyscy oni byli zanadto schorowani lub kontuzjowani i nie mogli brać udziału w bitwie. Ojciec Krzysztof tam właśnie zaprowadził wcześniej Melisandę, mówiąc, że będzie tu bezpieczniejsza niż przy nielicznych jucznych koniach, które wyprowadzono na wznoszące się wysoko orne pole, gdzie spotkały się obie armie. Kapłan wypisał również na jej czole swe tajemnicze litery: „IHC Nazar”.

– To ci ocali życie – obiecał jej przy tym.

– Wypisz je więc i na swojej twarzy, ojczy – powiedziała Melisanda.

Ojciec Krzysztof uśmiechnął się wówczas.

– Bóg i tak ma mnie w ręku, moja droga – odrzekł, po czym uczynił znak krzyża – i ciebie też ocali. Musisz jednak tutaj zostać. Tu będziesz bezpieczniejsza – dodał i zostawił ją z pozostałymi żonami łuczników, pomiędzy dwoma pustymi wozami, na których na pole pod Azincourt przywieziono wiązki strzał. Upewnił się jeszcze, że jej osiodłana klacz jest w pobliżu, a następnie wziął jednego z koni sir Johna i ruszył w górę zbocza, w kierunku miejsca, gdzie obie armie czekały

na rozpoczęcie batalii. Melisanda spoglądała za nim, póki nie zniknął jej z oczu na szczycie wzgórza, i właśnie wtedy zaczęła się modlić. Żony pozostałych łuczników sir Johna także się modliły.

Modlitwa Melisandy powoli nabierała kształtu. Zaczęła się jak bezładne wołanie o pomoc, lecz z czasem dziewczyna zmusiła się do tego, by staranniej dobierać słowa, kierując swą prośbę do Najświętszej Pani. „Nick to dobry człowiek – mówiła Matce Boskiej – i silny mężczyzna, lecz potrafi też się gniewać i być zgorzkniałym, więc dopomóż mu teraz, aby był silny i czujny. Spraw, aby przeżył”. O to właśnie się modliła – aby jej mąż przeżył.

– Co zrobimy, jak przyjdą Francuzi? – spytała Matylda Gobbold.

– Uciekniemy – odparła jedna z kobiet i w tej samej chwili rozległ się donośny ryk na ukrytym przed ich oczyma płaskowyżu za szczytem wzniesienia. Ich uszu dobiegł właśnie okrzyk bojowy na cześć świętego Jerzego, lecz kobiety były zbyt daleko, by rozpoznać imię świętego, i usłyszały jedynie gromki krzyk, który powiedział im, że tam u góry musi się coś dziać.

– Dopomóż nam, Boże! – szepnęła Matylda.

Melisanda otworzyła worek, który zawierał jej ziemski dobytek. Chciała wydobyć zeń opończę swego ojca, lecz w torbie była także inkrustowana kością słoniową kusza, którą dał jej Nick przed blisko trzema miesiącami. Dziewczyna wyjęła ją teraz.

– Sama będziesz walczyć z Francuzami? – spytała Matylda.

Melisanda uśmiechnęła się tylko, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Była bardzo niespokojna i wystraszona, mając świadomość, że to, co dzieje się na płaskowyżu rozstrzygnie o dalszych jej losach, a w dodatku sama nie ma najmniejszego wpływu na rozgrywające się tam wypadki. Potrafiła się jedynie modlić.

– Idź no tam, kochana – rzekła Neil Candeler – i ustrzel paru drani.

– Wciąż jest napięta – stwierdziła Melisanda ze zdumieniem.

– Co takiego? – spytała Matylda.

– Kusza – odrzekła Melisanda. – Od tamtej pory nigdy z niej nie wystrzeliłam – dodała. Wpatrywała się w broń, przypominając sobie dzień, kiedy zginął Mat Scarlet, ten dzień, kiedy mierzyła z kuszy do swojego ojca. Od tamtego czasu kusza ciągle była napięta, jej wzmocniony stałą łuk wciąż znosił naprężenie grubej cięciwy, a Melisanda w ogóle tego nie zauważyła. Omal nie zwolniła teraz spustu, lecz w końcu raptownie cisnęła kuszę z powrotem do torby i wyjęła złożoną opończę. Spoglądała na jaskrawą tkaninę, mając już niemal ochotę ją założyć, lecz nagle zdała sobie sprawę, że nie może nosić wrogiego godła, podczas gdy Nick walczy z Francuzami. Potem ogarnęła ją pewność, że nigdy więcej nie zobaczy Hooka, jeśli nadal będzie ją kusilo, by przywdziać opończę ojca. Musiała więc się jej pozbyć.

– Idę nad rzekę – powiedziała.

– Możesz wysikać się tutaj – rzekła Neil Candeler.

– Chcę się przejść – odparła Melisanda, po czym wzięła swój ciężki worek i ruszyła na południe, oddalając się od armii walczących na płaskowyżu i od angielskiego taboru. Przeszła pomiędzy jucznymi końmi, szczypiącymi jesienną trawę, i zanim minęła pastwisko, stopy miała już przemoczone. Wymyśliła sobie, że wrzuci opończę do Ternoise, i będzie patrzyła, jak odpływa z prądem, lecz Rzeka Mieczu była zbyt daleko, więc ostatecznie postanowiła cisnąć ją do pobliskiego strumienia, rwącego i wezbranego po nocnej ulewie. Potok płynął pomiędzy niewielkimi polami i zagajnikami, leżącymi na południowym skraju wioski, więc przycupnęła nad jego brzegiem, gdzie liście olch i wierzb przybrały już żółty i złoty odcień. Położyła na ziemi worek, zamknęła oczy i oburącz uniosła w górę opończę, jakby była jakimś cennym darem.

„Chroń Nicka – modliła się – spraw, by przeżył” – dodała i z tymi słowami wrzuciła do strumienia opończę ojca i patrzyła, jak oddala się szybko z prądem. „Im dalej odpłynie – pomyślała – tym bezpieczniejszy będzie Nick”.

Wtem rozległ się huk wystrzału francuskiego działa i ten donośny dźwięk długo rozbrzmiewał echem w całej dolinie poniżej pola bitwy, że Melisanda odwróciła się i spojrzała za siebie.

Nagle dostrzegła kościstą postać sir Martina, który stał kilka kroków od niej, uśmiechając się szeroko. Siwe włosy miał starannie przyczesane na swej wąskiej czaszce.

– Witaj, młoda damo – rzekł pożądliwie.

Wokół nie było nikogo, do kogo Melisanda mogłaby zwrócić się o pomoc.

Była całkiem sama.

Nad horyzontem podniosła się chmura dymu, znacząc stanowisko działa, z którego przed chwilą wystrzelono.

– Sama, samiuteńka w zaroślach nad strumieniem! – rzekł sir Martin. – Tylko ty i ja! – dodał. Wydał z siebie szaleńczy rechot, który przypominał nieco śmiech, podkasał nieco sutannę i ruszył ku niej.

Rozległ się huk działa i nad lewym skrzydłem francuskiej armii wzniosła się w górę wielka chmura dymu.

Hook ujrzał pocisk, lecz początkowo nie wiedział, co to jest. Obserwował przez chwilę ciemny przedmiot, koziółkujący przez zaorane pole, i wydawało mu się, że kształt ten, będący jakby mroczną iskrą, mknie wprost ku niemu. Wówczas huk działa rozdarł ponure niebo, a ptaki poderwały się z krzykiem z drzew, podczas gdy gład trafił w głowę Anglika stojącego o kilka kroków od Hooka.

Głowa łucznika znikła w okamgnieniu w rozbryzgu krwi i potrzaskanych kości czaszki. Gład pomknął dalej, ciągnąc za sobą krwawy ślad, aż wreszcie osiadł w błocie dwieście kroków za angielskimi liniami, przelatując przy tym tuż obok bojowych rumaków zbrojnych, które stały osiodłane pod opieką paziów.

– Jezu Chryste! – jęknął z obrzydzeniem Tom Scarlet. Po jego łączysku ściekały resztki mózgu zabitego łucznika.

– Strzelaj dalej, Tom – rzekł Hook.

– Widziałeś to? – spytał jeszcze Scarlet w pełnym zdumienia niedowierzaniu.

Hook widział przed sobą martwe i dogorywające konie oraz zabitych jeźdźców, a poza nimi masę spieszonych zbrojnych, zmierzającą wprost na niego. Bełty kusz przelatywały niebezpiecznie blisko, lecz tylko bardzo niewielu nieprzyjacielskich strzelców mogło wyraźnie widzieć Anglików. Francuscy kusznicy ustawieni byli obok ostatniego rycerskiego hufca, zbyt daleko, aby celnie strzelać, a większość po prostu nie widziała w ogóle nieprzyjaciela. Potem, kiedy pierwszy hufiec ruszył naprzód, wypełniając przestrzeń pomiędzy lasami Azincourt i Tramecourt, francuscy strzelcy całkowicie już stracili z oczu Anglików i ich bełty przestały latać nad ich głowami.

Pierwszy francuski hufiec rozciągnięty był początkowo na całej szerokości zaoranego pola między dwiema ścianami drzew. Ponieważ jednak dwie połacie lasu coraz bardziej się do siebie zbliżały, szeregi zakutych w żelazo rycerzy również zacieśniały się pomiędzy nimi. Szeregi te były już nierówne, porozrywane tu i ówdzie przez zdjęte paniką wierzchowce, które przez nie się przedarły, a teraz rycerze rozpychali się, aby znaleźć sobie trochę miejsca, w miarę jak pole się zwężało. Na Francuzów przez cały ten czas spadał grad strzał.

Hook miarowo napinał i zwalniał cięciwę. Wystrzelał już jedną wiązkę strzał i krzyknął, że potrzebuje więcej. Przez cały czas chłopcy rozrzucaли nowe pęki pocisków pomiędzy łucznikami, lecz tym trzeba było setek tysięcy pocisków. Pięć tysięcy strzelców mogło bez trudu posłać ku nieprzyjacielowi sześćdziesiąt tysięcy strzał w ciągu jednej tylko minuty, a kiedy szarżowała francuska kawaleria, strzelali jeszcze szybciej. Niektórzy zresztą wciąż napinali i zwalniaли cięciwy

najszybciej, jak tylko umieli, lecz Hook zwolnił nieco tempo. Im bliżej podchodził nieprzyjaciel, tym groźniejsza stawała się każda ze strzał, więc póki co posyłał ku zbliżającym się Francuzom pociski o myśliwskich grotach.

Myśliwskie groty nie miały szans przebić płytowego pancerza, lecz sama siła uderzenia wystarczała, aby powalić na ziemię zbrojnego, a każdy trafiony przez Hooka Francuz wywoływał falę chaosu, spowalniając marsz hufca. W ten sposób wrogowie zmagali się nie tylko z błotem, lecz także z nieustannym gradem strzał. Nick słyszał, jak ostrza pocisków uderzają o stal, wydając dziwny i niemilknący dźwięk, a francuscy zbrojni, którzy byli wciąż jakieś sto pięćdziesiąt kroków od nich, wyglądali tak, jakby skulili się, walcząc z przeciwnym wiatrem, i to wiatrem, który ciskał im w twarz grad stali.

Thomas Brutte zaklął, gdy pękła mu cięciwa, a strzała pomknęła zawadiacko w niebo. Wyjął zapasową cięciwę z torby i założył ją na łączysko. Hook spojrział na nieprzyjacielskie sztandary i zobaczył, że w każdym z nich tkwi już po kilkanaście strzał. Wycelowal w człowieka w jaskrawej, żółtej opończy, spuścił cięciwę i jego strzała odrzuciła tamtego w tył. Przed nacierającymi Francuzami leżał na boku dogorywający koń. Ogier w przedśmiertnych drgawkach rzucał łbem i młócił powietrze kopytami, co jeszcze bardziej zakłóciło porządek we francuskich szeregach, gdyż zbrojni usiłowali ominąć zwierzę w bezpiecznej odległości. Wszędzie wokół Hooka rozlegał się ostry, głuchy dźwięk spuszcanych cięciw. Niebo pociemniało wręcz od strzał. Większość łuczników strzelała do tych zbrojnych, którzy bezpośrednio im zagrażali, więc żeby uniknąć tego gradu pocisków, pierwsze szeregi francuskich rycerzy zaczęły schodzić ku środkowi pola. To zawężenie szyku stało się jeszcze bardziej widoczne, kiedy angielscy łucznicy, stojący dotąd w ostatnich szeregach, którym pierwsze linie zasłaniały nieprzyjaciela i utrudniały celowanie, obsadzili skraj lasu Tramecourt, kryjąc się w jego gęstym poszyciu i zasypując stamtąd francuski hufiec ostrymi grotami do przebijania pancerza.

Najdzielniejsi z Francuzów usiłowali jak najszybciej dotrzeć do angielskich linii, podczas gdy rozważniejsi rycerze zostawali nieco z tyłu, chroniąc się przed strzałami za plecami odważniejszych rodaków, i Hook ujrzał, jak francuski hufiec, który rozpoczął natarcie w długiej, prostej linii, przybiera teraz wolno kształt trzech nieregularnych klinów, zmierzających ku sztandarom powiewającym w centrum każdego z trzech angielskich hufców. Niebawem miało dojść do bezpośredniego starcia zbrojnych i Hook przypuszczał, że Francuzi zamierzają wyrąbać trzy krwawe wyrwy w angielskiej linii. Zaś kiedy już linia ta zostałaby rozerwana, zapanowałby chaos i zaczęłaby się rzeź. Zerknął jeszcze na północ, obawiając się, że zawężenie szyku przez Francuzów umożliwi ich kusznikom strzelanie, przynajmniej na skrzydłach nacierającego hufca, lecz wyglądało na to, że strzelcy wycofali się, co najmniej jakby przestali się interesować przebiegiem bitwy.

Nick wyjął z kołczanu strzałę z ostrym grotem i raz jeszcze odszukał człowieka w żółtej opończy. Napiął łuk, spuścił cięciwę i wyciągał już kolejną strzałę, gdy ujrzał, jak jego ofiara pada na kolana. A więc groty przebijały już teraz pancerz, więc Hook strzelał raz za razem, posyłając strzały w sunącą wolno naprzód masę zakutych w żelazo rycerzy. Mierzył teraz w ludzi w pierwszym szeregu, a choć nie wszystkie jego strzały przebijały pancerze, to niektóre uderzały w blachy pod kątem prostym i rozrywały je. Francuzi padali, na nich potykali się rycerze z kolejnych szeregów,

lecz wciąż wielki stalowy walec brnął naprzód.

– Potrzebne mi strzały! – krzyknął jakiś łucznik.

– Przynieście nam te cholerne strzały! – zawtórował mu inny.

Hook wciąż jeszcze miał tuzin pocisków. Nieprzyjaciel był już blisko, niespełna sto kroków od angielskich pozycji, lecz grad strzał zaczynał słabnąć, gdyż łucznikom kończyły się strzały. Hook mocno napiął łuk, wybrał ofiarę w czarnej opończy, spuścił cięciwę i patrzył, jak jego pierzasty pocisk przebija bok garnczkowego hełmu. Francuz zdawał się dreptać w kółko, z jesionowym drzewcem sterczącym z mózgu. Jego krótka kopia powaliła na ziemię jeszcze jednego rycerza, nim umierający zbrojny opadł na kolana i zwałił się jak długi w błoto. Następna strzała odbiła się rykoszetem od płytowego napierśnika. Hook posłał Francuzom kolejną, teraz już z tak bliska, że mógł widzieć wyraźnie godło na opończy zbrojnego, do którego mierzył. Dostrzegł człowieka w zielono-niebieskich barwach, noszącego na swym hełmie coś, co wyglądało jak pozłacany diadem, i strzelił doń, po czym zaczął przeklinać samego siebie, gdyż rycerz taki z pewnością mógł sobie pozwolić na najlepszy pancerz. I rzeczywiście – strzała odbiła się od jego zbroi, choć sam jej impet zachwiał Francuzem i przed upadkiem uchronił go tylko jego chorąży, który w porę wsparł go z tyłu i pomógł mu odzyskać równowagę. Hook znów zwolnił cięciwę i posłał nisko nad ziemią strzałę, która utkwiała w udzie jakiegoś Francuza, a wówczas został mu już tylko jeden pocisk. Trzymał go na łączyisku, obserwując francuski hufiec i wypatrując odpowiedniego celu. Miał wrażenie, że tysiące pierzastych strzał wyrządziły zdumiewająco niewielkie szkody nieprzyjacielowi. Wielu Francuzów leżało co prawda na ziemi, a ich ciała utrudniały marsz pozostałym, lecz i tak zaorane pole wydawało się pełne żyjących wciąż francuskich rycerzy w zbrojach uwalanych błotem, dzierżących kopie, miecze, maczugi i topory i zmierzających ku angielskim liniom. Zbliżali się do nich coraz bardziej, choć w grząskiej ziemi każdy krok stanowił nie lada wysiłek. Hook upatrzył sobie wreszcie człowieka, który wydawał się bardziej zapalczywy od innych i posłał swoją ostatnią strzałę prosto w pierś wysokiego rycerza. Jej ostry grot przebił stalową płytę i żebro, rozrywając płuco i wypełniając nagle hełm tamtego potokiem krwi, pieniącej się na jego ustach i wylewającej przez otwory w przyłbicy.

– Strzały! – ryknął Hook, lecz nie było już więcej pocisków, jeśli nie liczyć tych kilku, jakie pozostały w rękach łuczników z ostatnich szeregów, którzy je dotychczas oszczędzali. Anglicy z wielkimi cisowymi łukami byli więc odtąd jedynie widzami. Stali pośród swych zaostrzonych pali, o kilka metrów od najbliższego klina francuskich zbrojnych, znajdującego się już ledwie parę kroków od pierwszego szeregu Anglików.

Łucznicy zrobili swoje. Teraz to angielscy zbrojni mieli stanąć do walki.

Tymczasem Francuzi, nie musząc już obawiać się gradu strzał, wydali ochryply bojowy okrzyk i rzucili się w wir walki wręcz.

Pan de Lanferelle potrafił wskoczyć na grzbiet swego konia w pełnej płytowej zbroi, a nawet tańczył czasami w pancerzu, nie tylko dlatego, że kobiety uwielbiały mężczyzn odzianych jak do bitwy, lecz po to, by dowieść, że nawet w takim stroju potrafi być bardziej elegancki i gibki niż większość mężczyzn pozbawionych tego ciężaru. Teraz jednak ledwie mógł się ruszać. Przy każdym kroku musiał zmagać się z grząskim podłożem. Miejscami zapadał się w rozmięklej ziemi aż do pół łydki i nie mógł znaleźć żadnego punktu oparcia, który pozwoliłby mu oswobodzić nogi, lecz mimo tego krok po kroku brnął jednak naprzód, od czasu do czasu opierając się na idących obok rycerzach, aby móc wyrwać opancerzoną stopę z kleistej ziemi. Próbował stąpać po skibach, w których stała woda, ponieważ tam podłoże było i tak najpewniejsze, lecz przez niewielkie otwory w swej opuszczonej przyłbicy ledwie widział, gdzie stawia nogę. Nie odważył się zaś unieść osłony twarzy, gdyż wszędzie wokół niego nieustannie spadały z głuchym hukiem pierzaste strzały. Sam został trafiony w czoło pociskiem o ostrym grocie, który odrzucił mu w tył głowę i omal go nie przewrócił, lecz na szczęście jeden z jego ludzi pomógł mu utrzymać się na nogach. Inna strzała trafiła w jego napierśnik, wrywając podłużną dziurę w opończy i szorując o stal z przeraźliwym zgrzytem. Jego pancerz wytrzymał oba trafienia, lecz nie wszyscy Francuzi mieli tyle szczęścia. Co kilka sekund pośród metalicznego deszczu pocisków jakiś człowiek zaczynał z trudem łapać powietrze, krzyczeć lub wzywać pomocy. Lanferelle nie widział, jak jego rodacy padają, a jedynie słyszał świadczące o tym odgłosy i zdawał sobie sprawę, że w ich szeregi wkrada się nieporządek, ponieważ czuł, że z lewej strony, skąd nadlatywała większość strzał, tłoczą się ku środkowi kolejni rycerze, zacieśniając szyk całego hufca. Płyty ich pancerzy szczękały o siebie nawzajem. Sam Lanferelle był tak mocno przyciśnięty do swego sąsiada z prawej strony, że nie mógł poruszyć ramieniem, w którym dzierżył kopię, więc głośno zaprotestował i zdobył się na olbrzymi wysiłek, by wyprzedzić tamtego o krok. Cały czas kręcił głową w lewo i w prawo, usiłując jakoś zorientować się w tym, co widział przez otwory w przyłbicy. Zauważył, że Anglicy mieli wciąż uniesione osłony twarzy. Nie groziły im strzały, więc mogli dokładnie widzieć przeciwnika, lecz Lanferelle nie miał odwagi podnieść przyłbicy, ponieważ na wprost niego, pomiędzy angielskimi hufcami, ustawiona była także garść łuczników, którzy dziękowaliby Bogu za cel w postaci odsłoniętej twarzy francuskiego rycerza.

Wewnątrz hełmu odbijał się echem jego chrapliwy oddech. Uważał się za silnego mężczyznę, lecz teraz nie mógł złapać tchu, brodząc w grząskiej ziemi. Pot lał mu się po twarzy strumieniami. Jego lewa stopa pośliznęła się w błocie i upadł na prawe kolano, lecz zdołał się podnieść i chwiejnym krokiem ruszyć dalej. Potem potknął się o coś i padł jak długi, tym razem natrafiwszy na zwłoki francuskiego jeźdźcy. Dwaj z jego ludzi postawili Lanferelle'a z powrotem na nogi. Teraz już cały uwalany był błotem, które zatkało nawet część otworów w przyłbicy. Sięgnął ku niej lewą dłonią, lecz żelazna rękawica nie była w stanie oczyścić jej z lepkiej, mokrej ziemi. „Podejdź blisko – powtarzał sobie – po prostu podejdź do nich blisko, a wtedy zacnie się rzeź”. Lanferelle wierzył w to, że potrafi zabijać. Może i nie szło mu to brodzenie w błocie, ale z pewnością umiał się bić, więc zdobył się na jeszcze jeden wielki wysiłek, aby wysunąć się nieco przed ściśnięty szereg i mieć

dosyć miejsca, by swobodnie operować bronią. Znów zaczął kręcić głową, patrząc przed siebie przez pozostałe otwory w przyłbicy, i ujrzał wprost przed sobą wielką chorągiew z królewskim herbem Anglii, który zuchwale przywłaszczył sobie francuskie lilie. Na godle spostrzegł jednak trzy białe sztaby, a na nich po trzy czerwone kule i zorientował się, że to sztandar Edwarda, księcia Yorku. „Przydałby się taki jeniec” – pomyślał Francuz. Okup za angielskiego księcia królewskiej krwi uczyniłby go bogatym i wizja ta zdawała się dodawać nowej energii jego zmęczonym nogom. Lanferelle mruczał teraz gniewnie, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Angielska linia była coraz bliżej.

– Jesteś ze mną, Jean? – zawołał, a jego giermek odkrzyknął, że tak.

Lanferelle zamierzał uderzyć kopią w szeregi Anglików, a potem, gdy nieprzyjaciel cofnie się przed tym ciosem, porzucić tę niewygodną broń i zacząć używać maczugi, którą miał teraz zawieszoną na ramieniu. Gdyby ta z kolei pękła, będzie walczył jakimś zapasowym orężem, niesionym przez jego giermka. Poczul nagły przyływ bitewnego uniesienia. Zdołał przeżyć tak długo, przetrwał grad strzał i zmierzał ku nieprzyjacielowi ze swą kopią w rękach; lecz w tej właśnie chwili ze skrzydła nadleciała strzała o ostrym grocie i trafiła dokładnie w jeden z otworów w przyłbicy i nagle oczy Lanferelle'a zaalała niespodziewana jasność, gdy pocisk wgniótł nieco stal, wrzynając się gwałtownie w grzbiet jego nosa. Głowa przekreśliła mu się boleśnie w jedną stronę, a strzała minęła o włos jego prawe oko i zostawiła zadrapanie na kości policzkowej, by utkwic w hełmie.

Nagle znów zaczął widzieć, dzięki otworowi, jaki wyrwała w jego przyłbicy strzała, którą wyszarpnął teraz lewą ręką. Nie widział może zbyt wiele, lecz nagły ruch po jego lewej stronie sprawił, że się obejrzał i ujrzał, jak jakiś wysoki rycerz pada na twarz, a z otworów w jego przyłbicy leje się krew. Potem spojrzał na powrót przed siebie i spostrzegł, że księżę Yorku jest teraz ledwie kilka kroków przed nim, więc opuścił lewą rękę, aby mocniej uchwycić kopię, wziął głęboki oddech i wznosił swój bojowy okrzyk. Wciąż jeszcze krzyczał, gdy rzucił się naprzód, a raczej przebrnął, rozpryskując błoto, przez kilka ostatnich kroków grząskiego pola. W jego bojowym okrzyku mieszały się z sobą gniew i uniesienie. Gniew na zuchwałych nieprzyjaciół i radosne uniesienie wywołane tym, że zdołał przeżyć grad strzał.

Przeżył, aby dotrzeć tutaj, gdzie właśnie zaczęła się jatka.

Sir John Cornewaille także czuł gniew.



Odkąd tylko armia wylądowała we Francji, był jednym z dowódców straży przedniej. Dowodził nią podczas krótkiego marszu pod mury Harfleur, znajdował się ciągle w pierwszym szeregu podczas szturmowania tego upartego miasta i znów stał na czele awangardy w drodze na północ od Sekwany aż po to błotniste pole w Pikardii, lecz teraz to krewniakowi króla, księciu Yorku, powierzono dowodzenie nad awangardą. Zaś zdaniem sir Johna ten pobożny książę nie był wodzem, który potrafiłby porwać za sobą innych.

Tym niemniej to książę dowodził i sir Johnowi, znajdującemu się o kilka kroków na prawo od niego, pozostało jedynie podporządkować się królewskiemu rozkazowi, co jednak nie oznaczało, że nie mógł powiedzieć rycerzom prawoskrzydłowego hufca, co powinni zrobić, kiedy podejda do nich Francuzi. Patrzył, jak nieprzyjacielscy zbrojni zbliżają się. Widział, jak zmagają się z grząską ziemią, i zdjęła go groza na widok gęstych chmur strzał, sypiących się ku nim z obydwu skrzydeł, by ranić i zabijać. Wszyscy Francuzi mieli opuszczone przyłbice, więc byli na wpół ślepi i prawie unieruchomieni w błocie, a on czekał na nich z kopią, dwuręcznym toporem i mieczem.

– Słuchacie mnie?! – krzyknął. Zwracał się rzekomo do swych własnych zbrojnych, lecz tylko głupiec nie słuchałby, co ma do powiedzenia sir John Cornewaille, gdy przychodziło do bitwy. – Słuchajcie! – ryknął spod pozbawionego przyłbicy hełmu. – Kiedy do nas dotrą, będą się starali przebiec ostatnie kilka kroków! Będą chcieli porządnie nam przyłożyć i od razu rozstrzygnąć tę walkę! Kiedy dam znak, wszyscy robimy trzy kroki do tyłu. Słyszycie? Cofamy się o trzy kroki!

Wiedział, że jego ludzie go posłuchają, podobnie jak zbrojni sir Williama Portera. Sir John nauczył ich już tego prostego manewru. Rozpędzony nieprzyjaciel będzie chciał natrzeć na Anglików swymi skróconymi kopiami, mierząc prosto w ich pachwiny lub twarze, więc gdyby ci nagle cofnęli się nieco, te pierwsze energiczne ciosy uderzyłyby w próżnię, nie wyrządzając nikomu krzywdy. W tym właśnie momencie, kiedy nieprzyjaciel na chwilę straciłby równowagę, sir John mógłby przejść do kontrataku.

– Macie czekać na mój rozkaz! – krzyknął i przez moment odczuwał lekki niepokój: może niebezpiecznie było cofać się na tak zdradliwym podłożu. W końcu jednak uznał, iż jest bardziej prawdopodobne, że to nieprzyjaciel się poślizgnie i upadnie, a nie jego ludzie. Jego zbrojni stali w trzech nierównych liniach, a angielski hufiec miał głębokość sześciu szeregów w miejscu, gdzie ludzie księcia Yorku zgromadzili się wokół swego pana. Książę, którego otwarty hełm ukazywał pełne niepokoju oblicze, nawet nie spojrzał na sir Johna, kiedy ten wykrzykiwał swe komendy. Zamiast tego spoglądał tylko wprost przed siebie, podczas gdy ostrze jego miecza, zrobionego ze stali z Bordeaux, opierało się lekko o świeżą skibę.

– Kiedy na nas natrą – ryknął Cornewaille, obserwując przy tym księcia i czekając na jakąś reakcję z jego strony – wybijcie ich z uderzenia! Cofnijcie się nieco! A kiedy się zachwieją, atakujcie!

Książę nie przytaknął jego słowom, a jedynie wciąż wpatrywał się we francuski hufiec, który z minuty na minutę tracił zwartość. Jego flanki usiłowały zejść do środka, aby uniknąć gradu strzał, podczas gdy rycerze z pierwszych szeregów jeszcze bardziej wykoślawiali linię zbrojnych,

rozmyślnie zmierzając ku tym punktom w angielskim szyku, gdzie sztandary zdradzały obecność znaczniejszych wodzów i wielmożów, za których mogli się spodziewać bogatego okupu. Lecz choć pierwszy francuski hufiec był mocno zdeorganizowany, to przecież nadal stanowił ogromną siłę. Miał nad Anglikami ośmiokrotną przewagę liczebną. Była to horda zakutych w żelazo wojowników, uzbrojonych w kopie, miecze i inną broń; potężny stalowy walec, który zdawał się strząsać z siebie strzały, jak byk oganiający się od stada złośliwych gzów. Niektórzy Francuzi jednak padali i za każdym razem, kiedy ostry grot powalał któregoś z nich, inni potykali się o niego i sir John widział, jak tłoczą się i przepychają, wciskając się jeden przed drugiego. Niektórzy koniecznie chcieli znaleźć się w pierwszym szeregu, chcąc zdobyć sławę, inni woleli nie należeć do tych, którzy uderzą jako pierwsi, lecz wszyscy, o czym doskonale wiedział, spodziewali się bogatych okupów i zysków i już radowali się na samą myśl o nich.

– Niech Bóg będzie z tobą, Johnie – rzekł nerwowym tonem sir William Porter. Przesunął się tak, aby znaleźć się w szeregu obok swego przyjaciela.

– Sądzę, że Bóg ześle nam zwycięstwo – stwierdził donośnym głosem Cornewaille.

– Szkoda, że nie zesłał nam jeszcze tysiąca angielskich rycerzy – odparł sir William.

– Słyszałeś, co powiedział król – odkrzyknął sir John w odpowiedzi. – Nie żałuj, że nie ma po naszej stronie więcej ludzi! Po cóż mielibyśmy dzielić się sławą zwycięzców? Jesteśmy Anglikami! Gdyby było nas nawet o połowę mniej, to i tak wystarczyłoby, żeby wyróżnić tych niewydarzonych synów parszywych dziwek!

– Boże, dopomóż! – szepnął sir William.

– Zrób, jak mówię, Williamie – rzekł półgłosem Cornewaille. – Pozwól im pierwszym zaatakować, cofnij się, a potem na nich natrzyj. Kiedy już położysz trupem pierwszego, utrudnisz ruchy drugiemu. Rozumiesz, co mówię?

Sir William skinął głową. Obie strony znajdowały się teraz tak blisko siebie, że ludzie mogliby już zacząć rozpoznawać się wzajemnie po godłach na opończach, gdyby nie to, że stroje Francuzów były tak straszliwie uwalane błotem, że niektórych herbów wręcz nie dało się zobaczyć, a w fałdach niemal każdej opończy tkwiły co najmniej dwie strzały.

– Potem zabij drugiego – kontynuował sir John. – I nie używaj miecza. Miecz na nic ci się nie przyda w zwarcu. Powalaj drani na ziemię dwuręcznym toporem. Ogłuszaj ich, łam im nogi, miażdź im czaszki. Połóż trupem drugiego łajdaka, Williamie, a trzeci nie zdoła cię nawet dosięgnąć, nie potykając się na ciałach tamtych dwóch.

– Wolałbym raczej walczyć kopią – rzucił nieśmiało sir William.

– W takim razie celuj w przyłbice – doradził mu Cornewaille. – To najslabszy punkt całej zbroi. Wpakuj takiemu grot prosto w twarz, Williamie, i niech łajdak cierpi.

Francuzi byli teraz niespełna pięćdziesiąt kroków od nich. Grad strzał niemal już ustał, choć jeszcze trochę pocisków z ostrymi grotami przelatywało wzdłuż szeregów nacierających, by uderzyć w nich z flanki. Łucznicy ustawieni pomiędzy angielskimi hufcami szykowali się już do tego, by wycofać się na tyły pomiędzy szeregami zbrojnych, tak aby Francuzów powitał zwarty szyk zakuty w pełne, płytowe zbroje rycerzy. Łucznikom tym zostało jeszcze trochę strzał i teraz wystrzelili je pospiesznie, nim kazano im się cofnąć. Padło więc jeszcze kilku Francuzów. Jeden, któremu strzała utkwiała głęboko w brzuchu, upadł na kolana, po czym uchylił przyłbicę i zaczął wymiotować krwią i treścią żołądka, nim następne szeregi zbrojnych wdeptały go w świeże skiby.

– My stoimy w trzech szeregach – rzekł sir John – a ich hufiec ma głębokość co najmniej dwudziestu. Kolejne szeregi będą więc napierać na ludzi idących na czele, zmuszając ich do tego, by sami nadziewali się na nasze ostrza – dodał i nagle uśmiechnął się promiennie. – A w dodatku my jesteśmy trzeźwi, Williamie. Skończyło nam się wino, więc stajemy do walki trzeźwiuteńcy, lecz jestem gotów się założyć, że połowa francuskiej armii jest jeszcze porządnie wstawiona. Bóg jest po naszej stronie, Williamie.

– Wierzysz w to?

– Czy w to wierzę?! – zaśmiał się sir John. – Ja to wiem! A teraz przygotujcie się!

Podniosła się wrzawa, gdy Francuzi zaczęli wznosić swe bojowe okrzyki. Na lewo od sir Johna, gdzie gęste szeregi Francuzów kierowały się wprost na królewski sztandar, powiewała na wysokim drzewcu czerwona i złowieszcza Oriflamme. Po chwili jednak zapomniał o niej, gdyż wrogowie nacierający wprost na niego zdobyli się na jeszcze jeden wysiłek. Krzyczeli przeraźliwie, próbowali nawet biec i zbliżali się po niechybne zwycięstwo.

Wznosząc bojowe okrzyki, Francuzi pochylili kopie do ciosu.

– *Saint Denis! Montjoie! Montjoie!*

Anglicy zaś wyli jak myśliwi osaczający zwierzynę.

– Teraz! – ryknął sir John. – Teraz!

Sir Martin powalił Melisandę na ziemię. Schwycił ją za suknię pomiędzy piersiami i popchnął tak mocno i gwałtownie, że upadła na plecy pośród zarośli nad brzegiem strumienia.

– A widzisz? – powiedział. – A teraz leż spokojnie, jak grzeczna dziewczynka. Nie! – uniół groźnie rękę, gdy próbowała się odczołgać. Ta uniesiona dłoń wyrażała straszliwą groźbę i Melisanda na powrót zastygła w bezruchu, co wywołało uśmiech sir Martina, w którym ukazał swe poźółkłe i połamane zęby. – Mam tu gdzieś nóż – powiedział jej. – Na pewno gdzieś tu jest – dodał, grzebiąc po omacku w torbie zawieszanej u pasa. – To bardzo porządny nóż. O! Jest tutaj! – uśmiechnął się ponownie, pokazując jej niezbyt długie ostrze. „Przyłóż nóż do swego gardła – mówi Pismo – jeśli jesteś człowiekiem, którym władza żądza”. A ja jestem nim, jestem, ale nie chce poderżnąć ci tego pięknego gardziółka, mała. To naprawdę wszystko psuje, jeśli człowiek cały uwala się we krwi. Więc po prostu nie rób głupstw i leż sobie tam jak grzeczna mała dziewczynka, a ja niedługo skończę – rzekł i zaśmiał się z siebie, po czym ukląkł na niej, kładąc kolana po obu stronach jej brzucha. – Ale naprawdę myślę, że chcemy, żebyś była całkiem naga. Nagość to rzecz święta, dziewczyno. W nagości tkwi prawda. To są słowa naszego Pana i Zbawiciela – stwierdził. Sam wymyślił ten cytat, lecz w jego głowie i tak pobrzmiwało w nim echo biblijnych prawd. Oparł lewą dłoń o jej piersi, tak mocno, że aż jęknęła z bólu. Uśmiechał się przy tym szeroko, a na samym dniu jego oczu Melisanda ujrzała błysk szaleństwa. Prawie się nie ruszała, nie miała odwagi się poruszyć, gdyż nóż zbliżał się właśnie do jej gardła, lecz sięgnęła ręką w trawę i namacała swój tobolek. Powoli przyciągnęła go do siebie.

– Cóż może nas oddzielić od miłości Chrystusowej? – spytał ochryłym głosem sir Martin. – Powiedz mi, co? – powtórzył. Wciąż się przy tym uśmiechał, sięgając lewą ręką do kołnierza jej sukni. – O to pyta nas Pismo święte, dziewczyno. Pyta nas, co nas może oddzielić od miłości Chrystusowej. A kto zdoła teraz rozdzielić ciebie i mnie, co? Ani utrapienie, uczy nas słowo naszego Pana, ani ucisk, ani prześladowanie, ani też głód. Słuchasz mnie?

Melisanda skinęła głową. Cał po calu przysuwała do siebie worek i w końcu namacała jego otwór.

– To słowo Boże, mała – rzekł sir Martin, tym razem odwołując się do rzeczywistych cytatów z Biblii – zapisane nam na pociechę przez samego świętego Pawła. Ani niebezpieczeństwo, ani miecz nie oddzieli nas od miłości Chrystusowej, ani też, jak pisze apostoł, nie oddzieli nas nagość! – rzekł i z tymi słowy rozplątał jej suknię krótkim ostrzem, i z nerwowym grymasem na twarzy zdarł ją z niej do połowy, tak że jego oczom ukazały się piersi Melisandy. – Nie do wiary! – rzekł z czcią w głosie sir Martin. – Nie do wiary! Nagość nie oddzieli cię od miłości Chrystusowej, moje dziecko, i ta obietnica zawarta jest w Biblii. Powinnaś się cieszyć, że przyszedłem. Powinnaś się z tego radować – dodał. Teraz już nie klęczał na niej okraciem, lecz ukląkł obok Melisandy, zdzierając z niej do reszty płócienną suknię, po czym gapił się z nabożną niemal czcią na jej blade ciało. Melisanda leżała spokojnie, a jej prawa dłoń była już teraz w worku, lecz się nie poruszała.

– Zanim kobieta sprowadziła na świat grzech, chodziliśmy nadzy, dziewczyno – rzekł sir Martin – i zaprawdę powiadam ci, jest to godne i sprawiedliwe, by kobieta została ukarana za ten pierwszy grzech. Zgodzisz się ze mną? – spytał. Powiew wiatru przyniósł odgłos krzyków z płaskowyżu, a kapłan odwrócił się i przez chwilę spoglądał na szczyt odległego wzniesienia. Melisanda wsunęła dłoń nieco głębiej do worka, szukając jednego z krótkich bełtów z lotkami ze skóry. Na powrót zastygła jednak w bezruchu, gdy sir Martin znów odwrócił się do niej. –

Odprawiają tam swoje igrzyska! – rzekł. – Wprost uwielbiają ze sobą walczyć, o tak, lecz tym razem wygrają Francuziki! Łajdaków są tysiące! Twój Nick pójdzie do piachu, dziewczyno. Pójdzie pod miecz jakiegoś Francuzika. Boś ty sama Francuzeczka, nieprawdaż? I to śliczna mała Francuzeczka. Żałuję tylko, że twój Nick nigdy się nie dowie, że ukarałem cię za twoje grzechy. Kobieta sprowadziła grzech na ten świat i musi ponieść za to karę. Chciałbym, żeby twój Nick umierał, wiedząc, że cię ukarałem, lecz on się o tym nie dowie. Tak już jest i widocznie tak musi być! Tak zrządził nasz dobry Bóg! Mój Thomas pewnie też umrze, a to szkoda, gdyż naprawdę lubię mojego Thomasa, ale mam jeszcze innych synów. Może ty też urodzisz mi syna? – powiedział i uśmiechnął się na myśl o tym, usiłując jednocześnie podkasać sutannę. – Ja nie umrę. Francuziki nie zabijają księdza, bo tak naprawdę wcale nie chcą trafić do piekła. A jeśli będziesz dla mnie miła, mała, to ty też nie umrzesz. Możesz sobie żyć i bawić mojego dzidziusia. Może damy mu na imię Thomas? No dobrze! Rozłóż teraz swoje śliczne nóżki!

Melisanda nie poruszyła się, lecz kapłan zaczął kopać ją w kolana i kopał coraz mocniej, aż wreszcie wsunął obutą stopę między jej uda.

– Nie ma co, nasz Henryk zaprowadził swoich ludzi diabłu do nocnika, nieprawdaż? – rzekł znowu. – A teraz wszyscy zginą. Oni wszyscy zginą i zostaniemy tylko ty i ja, dziewczyno, tylko ty i ja, więc mogłabyś być dla mnie miła – dodał. Podkasał sutannę powyżej pasa i uśmiechnął się szeroko do Melisandy. – Śliczniutki, nieprawdaż? A teraz, mała, przywitaj go jak należy.

Siłą wcisnął kolana między nogi dziewczyny.

– Już od tak dawna chciałem to zrobić – rzekł, klękając nad nią. Zadrżał na całym ciele, po czym pochylił się, opierając się na lewej ręce. Prawą przez cały czas przytrzymał nóż na gardle Melisandy. Na szyi miał zawieszony jeszcze jeden worek, przywiązany skórzanym paskiem tuż obok drewnianego krzyżyka, i teraz zarówno krucyfiks, jak i worek kołysały mu się przed nosem, co wyraźnie go denerwowało. – Niepotrzebne nam to teraz, co? – spytał. – Tylko nam to przeszkadza, dziewczyno. – Ręką, w której dzierżył wciąż nóż, zdjął z szyi oba przedmioty. W worku coś zadźwięczało, gdy upuścił go na trawę, i odgłos ten sprawił, że sir Martin się zaśmiał. – To francuskie złoto, mała, złoto, które znalazłem w Harfleur. A jeśli będziesz dla mnie miła, dam ci grosika albo dwa. Bo będziesz dla mnie miła, prawda? Spokojna i cichutka, jak grzeczna, mała dziewczynka?

Melisanda wsunęła dłoń nieco głębiej do worka i znalazła wreszcie to, czego szukała.

– Będę grzeczna – odparła pełnym przerażenia głosem.

– Ależ oczywiście, że będziesz! – rzekł ochryple sir Martin, na powrót przykładając jej nóż do gardła. – Na pewno będziesz!

Sir John cofnął się nieco. Wystarczyły dwa kroki. W pierwszej chwili pomyślał, że zbyt szybko wydał ten rozkaz, a potem bał się, że zbyt późno, gdyż jego stopy utknęły w błocie, lecz zdołał je oswobodzić i ciężko stąpając, cofnął się dwa kroki, podczas gdy Francuzi wydali tryumfalny okrzyk, sądząc, że Anglicy próbują uciekać, po czym ich kopie trafiły w próżnię, a impet uderzenia wytrącił ich z równowagi i właśnie wtedy uderzył na nich sir John.

– Teraz! – ryknął. – Bij!

Sam rzucił się naprzód z kopią, wbijając jej stalowy grot w pachwinę najbliższego z nieprzyjaciół. Kopie Anglików, podobnie jak piki ich wrogów, zostały przycięte, lecz Francuzi skrócili je trochę bardziej i teraz nie miały takiego zasięgu jak broń ich przeciwników. Kopia Cornewaille'a wbiła się w pancerz, a sir John pchnął z całej siły i ujrzał, jak nieprzyjaciel zwinął się w pół, więc wyciągnął drzewce, patrząc, jak Francuz pada, po czym uderzył raz jeszcze.

Francuzi, których pierwsze ciosy trafiły w próżnię, zaczęli się potykać. Byli już zmęczeni i nie mogli wydobyć stóp z grząskich skib, zaś siła uderzeń angielskich kopii zwałała ich z nóg. Po obu stronach sir Johna byli wrogowie, którzy padli już na kolana, więc wbił teraz kopię z całej siły w zasłoniętą twarz rycerza z drugiego szeregu, odrzucając go w tył. Potem cisnął drzewce na ziemię i sięgnął prawą ręką za siebie.

– Topór!

Jego giermek podał mu dwuręczny topór.

I teraz mogła rozpocząć się rzeź.

Nagle otrzymał cios w głowę. Nie miał przyłbicy i jakiś Francuz próbował trafić go w oczy, lecz grot odbił się od hełmu i sir John zrobił krok naprzód i wykonał krótki zamach toporem, który spadł z trzaskiem na hełm tamtego, miażdżąc go, i kolejny z nieprzyjaciół legł w błocie. Cały pierwszy szereg Francuzów potknął się i upadł, a Cornewaille zadbał o to, by już się nie podnieśli, gruchocąc ich hełmy ciosami obciążonego ołowiem obucha. Rycerz, który zgiał się w pół od ciosu jego kopii, usiłował wstać i sir John uderzył potężnie ostrzem topora w jego naplecznik, a potem kazał giermkowi go wykończyć.

– Podnieś przyłbicę – wrzasnął – i zabij go!

Następnie stanął pewnie na nogach i zaczął wybierać sobie kolejne ofiary.

Jego wrogowie nie mogli swobodnie się poruszać. Pierwszy szereg Francuzów w przeważającej części leżał już na ziemi w gąszczu ciał i porzuconych kopii i kolejne linie potykały się na tego rodzaju przeszkodach, zaś próbując je pokonywać, natrafiały na ostrza toporów, główce

maczug i groty kopii. Byłoby to być może bez znaczenia, gdyby francuscy rycerzemogli spokojnie sforsować piętrzące się pod ich nogami ciała, lecz cały czas byli spychani na nie pod naciskiem tłoczących się za nimi zbrojnych, więc potykając się, trafiali wprost na angielskie ostrza.

– Zabij! – ryczał wciąż Cornewaille. – Zabić ich! Zabić!

Właśnie w takich momentach ogarniało go bitewne uniesienie, najprawdziwsza radość z tego, że jest wielkim wojownikiem, zakutym w żelazo i uzbrojonym po zęby, a przy tym niebezpiecznym i niezwyciężonym. Obuchem swego dwuręcznego topora powalał opancerzonych nieprzyjaciół. Olbrzymi młot nie musiał przy tym przebijać zbroi, co zresztą potrafiło zrobić niewiele rodzajów broni, gdyż sam jego ciężar był w stanie ogłuszyć człowieka i zwykle wystarczał jeden cios, aby powalić wroga na ziemię lub go okaleczyć.

Sir Johnowi wydawało się teraz, że Francuzi poruszają się załośnie wolno, podczas gdy on obdarzony był nadludzką wręcz szybkością. Uśmiechał się szeroko i obserwował trzech lub czterech nieprzyjaciół naraz, decydując po chwili, którego zaatakować najpierw, przy czym wiedział już, w jaki sposób rozprawi się z drugim i trzecim. Francuzi zbliżali się do niego i wyczuwał ich paniczny strach. Dalsze szeregi rycerzy uzbrojone były w krótką broń, maczugi, miecze i topory, lecz nie miały nawet czasu, by jej użyć, wpadając na ciała powalonych rodaków. Francuzi potykali się więc o nie, a wówczas spadały na nich ciosy sir Johna i jego ludzi i padło ich już tak wielu, że nawet sam Cornewaille musiał stąpać po trupach. Teraz to Anglicy ruszyli naprzód. Dziewięciuset ludzi zaatakowało osiem tysięcy zbrojnych, mogąc przy tym swobodnie wybierać miejsce, gdzie postawić stopę, i nie obawiając się, że będą popychać ich naprzód następne szeregi.

Jakiś Francuz w powalanej błotem zbroi, która jeszcze rankiem była wypolerowana tak mocno, że lśniła niczym srebro, zaatakował mieczem sir Johna, który pozwolił, by jego cios stracił impet na chroniącym jego lewe udo nabiodrku. Angielski rycerz stojący po lewej stronie Cornewaille'a uderzył w wypolerowany hełm tamtego obuchem dwuręcznego topora, i Francuz zwałił się ciężko na ziemię, niczym ogłuszony wół, podczas gdy sir John dźgnął szydłem w twarz jakiegoś zbrojnego z wizerunkiem snopka zboża na opończy. Szpikulec rozerwał przyłbice, pokieraszował zęby i podniebienie, odrzucając głowę tamtego w tył, podczas gdy kolejne szeregi pchały całe jego ciało w przód. Sir John pozwolił, by jego sąsiad zmiażdżył obuchem hełm powalonego nieprzyjaciela, a sam wbił swój dwuręczny topór w jakiś garnczkowy hełm ozdobiony barwnym pióropuszem.

– Chodźcie, łajdaki! Na mnie! – wrzeszczał sir John.

Śmiał się przy tym. W tej chwili ani mu w głowie nie powstała myśl, że niektórzy Francuzi palili się, by zyskać sławę, jaką dałoby im zabicie lub wzięcie do niewoli sir Johna Cornewaille'a. Nacierali nań i umierali, padając ofiarą grząskiego podłoża i przeszkód, których nie mogli nawet dojrzeć przez swe opuszczone przyłbice, i ginąc od krótkich, potężnych ciosów dwuręcznego topora, które sprawiały, że pod nogami kolejnych francuskich szeregów piętrzyły się coraz wyższe stosy ciał.

– Nie rozluźniać szyku! Nie rozluźniać szyku! – ryknął sir John, upewniając się, że jeden z angielskich rycerzy jest po jego lewej stronie, a przy prawym boku ma sir Williama. Należało

walczyć ramię w ramię, aby uniemożliwić nieprzyjacielowi rozerwanie szyku, i ludzie sir Johna bili się tak, jak ich nauczył. Przeszli ponad pierwszym szeregiem powalonych Francuzów, a druga linia angielskich zbrojnych podnosiła wrogom przyłbice i zatapiała sztylety w oczach lub ustach rannych rycerzy, aby nie mogli już zniechęca uderzyć, leżąc na ziemi. Francuzi krzyčili ze strachu na widok zbliżających się do nich ostrzy i wili się w błocie, by uniknąć krótkich, gwałtownych pchnięć, po czym umierali w drgawkach. Wciąż jednak kolejni ich rodacy atakowali Anglików, by paść pod ciosami obucha, miecza czy topora. Niektórzy z nich, sądząc, że nie grożą im już strzały, unieśli przyłbice i sir John pchnął sztyltem w twarz jednego ze zbrojnych i zakręcił rękojeścią, gdy szpikulec wbił się w oczodół, po czym wydobył sztylto ociekające krwią i mózgowiem, patrząc, jak tamten, oszalały w przedśmiertnym bólu, zatoczył się, utrudniając ruchy innym Francuzom. Sir William Porter również dźgał swą kopią w twarze nieprzyjaciół. Wystarczał zazwyczaj jeden cios, by wytrącić wroga z równowagi, a wówczas zbrojny walczący po prawej stronie sir Williama kończył dzieło potężnym uderzeniem obucha. Sir William, na co dzień człowiek spokojny i rozmiłowany w nauce, wrzeszczał teraz i warczał, wybierając kolejne ofiary.

– Na Boga, Williamie – krzyknął doń sir John – toż to najprawdziwsza radość!

Wrzawa nie milkła ani na chwilę. Zewsząd słychać było szczęk stali o stal, przeraźliwe wrzaski i bojowe okrzyki. Padło już tylu Francuzów, że ich niemrawa szarża utknęła na dobre, a zbrojni z ostatnich szeregów nie byli w stanie przedrzeć się przez stosy ciał, nie potykając się i nie nadziejąc na angielskie ostrza i groty. Między skibami zbierały się kałuże krwi. Sir John nieświadomie postawił stopę na hełmie rannego Francuza rad, że znalazł solidne oparcie dla prawej nogi. Ciężar jego ciała wgniótł przyłbicę tamtego w błoto, które przedostało się do wnętrza hełmu przez szczeliny i powoli go udusiło. Człowiek ten utopił się w błocie, krztusząc się i rozpaczliwie próbując zaczerpnąć tchu, podczas gdy Cornewaille urągał Francuzom, prowokując ich, by ruszyli na niego. Wreszcie sam na nich natarł, spragniony dalszej walki.

– Zabić ich! – wrzasnął. – Zabić!

Poczuł nagły przyływ energii i w pojedynek natarł na francuską linię, czyniąc w niej wyrwę, w którą mogli wdrzeć się jego ludzie, rąbiąc i dźgając z szybkością godną zwycięzcy wszystkich rycerskich turniejów w całym chrześcijańskim świecie. Kaleczył ludzi sztyltem swego topora, wbijając je w fartuchy chroniące pachwiny francuskich zbrojnych, a kiedy zwijali się z bólu, walił obuchem lub toporem w ich hełmy i zostawiał ich postępującym za nim ludziom, by zadawali powalonym już nieprzyjaciołom ciosy miłosierdzia. Sam też otrzymywał uderzenia w swój pancerz, lecz były one zbyt słabe, aż do chwili, gdy jakiś Francuz zdołał wykonać potężny zamach dwuręcznym toporem, a wówczas Cornewaille'a ocaliło jedynie to, że nagle pękła rękojeść broni napastnika. Sir John wrzasnął szyderczo i zamachnął się własnym toporem, mierząc w nogi tamtego, i przebił jego nakolannik, druzgocąc kolano. Francuz upadł, usiłując jeszcze dźgnąć wroga złamaną rękojeścią, lecz sir John uderzył obuchem w jego hełm z taką siłą, że zdruzgotał stal, a przez szczeliny w przyłbicy trysnęła krwawa papka. Cornewaille i jego ludzie wyrabiali już głęboką wyrwę w stłoczonych szeregach Francuzów, zabijając kolejnych nieprzyjaciół, aby pozostali musieli potykać się o ich ciała.



W tym czasie na lewo od sir Johna, który nawet tego nie zauważył, poległ książę Yorku.

Francuzi zaatakowali najpierw angielską awangardę. Stu ludzi padło już trupem w zażartej walce, nim sztandar Oriflamme dotarł do przybocznej straży Henryka, zaś na czele nacierających Francuzów znajdował się Ghillebert, pan de Lanferelle, który kątem oka spostrzegł tylko, że Anglicy po jego lewej stronie cofnęli się nieco, kiedy uderzyły w nich szeregi Francuzów. Lecz książę Yorku i jego ludzie nie ruszyli się z miejsca, dżgając tylko grotami swych kopii, i Lanferelle uchylił się, pozwalając ostrzu ześliznąć się po jego napierśniku, po czym wraził własne drzewce wprost w odsłoniętą twarz jakiegoś rycerza.

– Lanferelle! – krzyczał przy tym. – Lanferelle!

Chciał, by Anglicy wiedzieli, z kim mają do czynienia. Odparował własną kopią cios piki jakiegoś Anglika, po czym zdjął z ramienia maczugę i zaczął rąbać nią dokoła siebie. Nie był to czas ani miejsce na subtelne i pełne wdzięku ruchy rodem z rycerskiego turnieju ani na demonstrowanie szermierczych umiejętności. Tutaj należało rąbać i ciąć, ranić i zabijać, aby napełnić nieprzyjaciół trwogą, więc Lanferelle powalił na ziemię człowieka w barwach księcia Yorku swą nabijaną kolcami maczugą, po czym wyciągnął ociekającą krwią głowicę z resztek roztrzaskanego hełmu i czaszki i pchnął nią kolejnego zbrojnego, odrzucając go w tył. Teraz wreszcie wyraźnie widział samego księcia, nieco na prawo, lecz najpierw musiał jeszcze zabić człowieka po swojej lewej stronie. Dokonał tego jednym ciosem swej ciężkiej maczugi, tak potężnym, że bolesny dreszcz przeszedł mu wzdłuż całego ramienia.

– Poddaj się! – krzyknął do księcia, który opuścił właśnie przyłbicę, a teraz w odpowiedzi zaatakował Francuza mieczem. Ostrze szczęknęło o płytowy pancerz Lanferelle'a, który zahaczył głowicę maczugi o ramię tamtego i szarpnął tak mocno, że wysoki książę poleciał przed siebie, stracił równowagę i padł jak długi na ziemię.

– On jest mój! – krzyknął Francuz. – Ten łajdak jest mój! – powtórzył i w tej właśnie chwili ogarnęło go bitewne uniesienie, tryumf wojownika, który górował nad przeciwnikiem.

Stanął nad powalonym księciem, postawiwszy stopę na jego plecach, i zabijał każdego, kto usiłował przyjść mu z pomocą. Po obu jego stronach zajęło miejsce czterech jego ludzi z dwuręcznymi toporami, urągając nacierającym Anglikom i zabijając ich bez litości.

– Chcę mieć ten sztandar! – krzyknął Lanferelle. Pomyślał, że chorągiew księcia byłaby mile widzianą ozdobą głównej sali jego zamku, gdzie mogłaby zwisać z poczerniałych od dymu belek pod galerią dla muzykantów, podczas gdy sam książę, jako jego jeniec, byłby zmuszony spoglądać na nią każdego dnia. – Chodź tu i zgiń! – krzyknął na chorążego, lecz angielscy zbrojni odepchnęli tamtego do tyłu, gdzie był bezpieczny, i rzucili się na Francuza. Lanferelle parował ich ciosy, odgryzając się zawzięcie i licząc, że sam ciężar jego maczugi wytrąci z równowagi nieprzyjaciół. Cały czas pokrzykiwał przy tym na swoich ludzi z drugiego szeregu, by osłaniali go z tyłu. Musieli także dbać o to, by nie wpadły na niego kolejne szeregi Francuzów, więc grozili bronią swym rodakom, zapewniając swemu panu dosyć miejsca, by mógł powalić maczugą każdego, kto ośmielił się z nim

zmierzyć. Czterej jego ludzie dwuręcznymi toporami siekli nieprzyjacielską linię, która była tak wąta, że Lanferelle sądził, iż zdoła ją przerwać i wyprowadzić masy francuskich zbrojnych na tyły angielskiego centrum. Czemu nie miałyby wziąć do niewoli nie tylko księcia Yorku, lecz i samego króla?

– Naprzód! – wrzasnął. – Naprzód!

Lecz kiedy próbował ruszyć do natarcia, samomal nie potknął się o ciała, które leżały w poprzek nóg księcia Yorku. Usiłował kopniakami usunąć je sobie z drogi, lecz nagle kopia jakiegoś Anglika uderzyła z mocą w jego napierśnik, odrzucając go w tył.

– Łajdak! – krzyknął Lanferelle, zamachnąwszy się nabijaną głowicą maczugi w kierunku wykrzywionej w szyderym grymasie twarzy tamtego, lecz wówczas czyjś ostrzegawczy okrzyk sprawił, że zerknął w lewo i ujrzał, że to Anglicy wdzierają się we francuski szyk, zagrażając jego tyłom. Uznał jednak, że jest jeszcze czas, by rozerwać nieprzyjacielską linię, i znów spróbował ruszyć naprzód, lecz raz jeszcze powstrzymały go stosy ciał, a naprzeciw niego pojawiło się nagle wielu Anglików. Ciosy ich kopii, dwuręcznych toporów i maczug zaczęły trafiać w jego pancerz i nie miał innego wyjścia, jak tylko się wycofać. Jak na razie przepadła więc szansa na przerwanie angielskiego szyku.

Wycofał się więc, pozostawiając księcia Yorku leżącego twarzą do ziemi w błocie. Anglik, oszołomiony i stratowany, udusił się już w przesiąkniętej krwią kałuży, a teraz jego rodacy przeszli po jego trupie, nacierając na Lanferelle'a i jego proporzec ze słońcem i sokołem, lecz Francuz trzymał ich na dystans szybkimi i potężnymi uderzeniami swej maczugi. Nie wiedział, że księżę już nie żyje, i żałował tylko, że chwilowo stracił jeńca. Wówczas dostrzegł inny proporzec po swojej lewej stronie, w głębi francuskich szeregów. Widniał na nim wspięty lew w koronie i Lanferelle uznał, że okup za sir Johna Cornewaille'a także uczyni go bogatym.

– Za mną! – krzyknął więc na swoich ludzi i zaczął rąbać, dźgać i siec, aby przebić się w jego kierunku.

Nieco dalej na prawo od Francuza toczyła się zacięta walka wokół czterech królewskich chorągwi. Dziesiątki francuskich rycerzy pragnęły dostąpić zaszczytu pojmania angielskiego monarchy, lecz najpierw musieli oni pokonać wszystkie te straszliwe przeszkody, jakie utrudniały natarcie pozostałym Francuzom. Ich pierwszy szereg, złożony ze zbrojnych wyczerpanych zmaganiem się z grząskim podłożem i poranionych gradem strzał, szybko legł na ziemi, a straż przyboczna Henryka dobijała powalonych wrogów ciosami toporów, maczug i bojowych młotów. Napastnicy potykali się więc teraz o ciała i nadziewali się na angielskie ostrza, lecz nadal parli naprzód i w pewnej chwili francuska kopia przebiła fartuch zbroi Humphrey'a, księcia Gloucester, najmłodszego brata angielskiego króla, a cios w pachwinę powalił go na ziemię, między świeże skiby. Francuzi rzucili się natychmiast, by wziąć go do niewoli, lecz sam Henryk zasłonił swego rannego brata i dzierżąc oburącz miecz siekł zbliżających się nieprzyjaciół. Walczył mieczem, gdyż uważał, że to królewska broń, i jeśli nawet stawiało go to w niekorzystnej sytuacji wobec rycerzy używających dwuręcznych toporów czy maczug, to nigdy się do tego nie przyznawał, gdyż wiedział, że Bóg i tak

jest po jego stronie. Czuł Jego obecność w swoim sercu, wyczuwał, że Bóg daje mu siłę, i nawet wtedy, gdy dwuręczny topór jakiegoś Francuza ze straszliwą siłą zadzwonił o jego zwieńczony koroną hełm, Bóg był przy nim i go ocalił. Ostrze odrąbało tylko złoty kwiatek z diademu i wgięło nieco hełm, lecz stal wytrzymała, a skórzany uszał zamortyzował nieco uderzenie i Henryk nie stracił przytomności, a nawet zdołał pchnąć napastnika mieczem w pachę, wznosząc swój bojowy okrzyk:

– Święty Jerzy!

Henryka, króla Anglii, przepelniała radość, którą zesłał mu Bóg. Nigdy w całym swoim życiu nie czuł się bliżej Boga i niemal litował się nad Francuzami, którzy nacierali nań, by po chwili polec, gdyż wiedział, że ginęli z ręki Boga. Członkowie jego przybocznej straży osłaniali go z boku i kolejno położyli trupem osiemnastu Francuzów, którzy minionej nocy złożyli uroczystą przysięgę, że zabiją lub wezmą do niewoli angielskiego króla. Tych osiemnastu rycerzy, złączonych swym przyrzeczeniem, razem ruszyło do natarcia, a teraz razem poległo na zaoranym polu. Ich zakrwawione i splątane z sobą ciała legły na ziemi, utrudniając ruchy innym Francuzom, którzy nadal chcieli okryć się sławą, biorąc do niewoli samego Henryka. Znowu jeden z nich wzniósł swój bojowy okrzyk i ciężko posuwając się naprzód, usiłował trafić Henryka maczugą o nabijanej kolcami głowicy, lecz król wykonał gwałtowne pchnięcie mieczem, wbijając jego czubek w szczelinę w przyłbicy napastnika. Maczuga Francuza trafiła jednego z rycerzy straży przybocznej, który zachwiał się od ciosu, podczas gdy inny Anglik dźgnął wroga sztyłem dwuręcznego topora prosto w gardło, aż na okutą żelazem rękojeść trysnęła krew. Rycerz padł na kolana, zaś król pchnął go mieczem przez otwór w przyłbicy, masakrując jego wargi i język. W szczelinie pojawiła się posoka, a kolejny cios dwuręcznego topora trafił w hełm Francuza, wgniatając stal i rozcinając czaszkę. Fontanna krwi opryskała także Henryka, który wyciągał właśnie miecz, aby odparować cios francuskiej kopii.

– Święty Jerzy! – krzyknął Henryk i znowu poczuł, jak boska moc, niczym radosny dreszcz, przepływa przez jego żyły. Francuz dzierżący kopię miał otwartą przyłbicę i król dostrzegł w jego oczach strach, a potem nieme błaganie o litość, gdy wytracono mu broń z rąk. Lecz Bóg nie chciał litości dla wrogów Henryka, więc król ciął rycerza mieczem przez twarz, rozcinając obie gałki oczne. Jeden ze zbrojnych ze straży przybocznej zmiażdżył hełm oślepionego w ten sposób napastnika młotem bojowym i kolejne ciało legło na stosie martwych Francuzów, który osłaniał teraz angielską linię.

Linia ta wytrzymała impet uderzenia. Miejscami cofnęła się nieco pod naporem ogromnej masy zbrojnych, lecz nie pozwoliła się rozerwać, a teraz chroniły ją istne szańce z zabitych i rannych napastników. Gdzieniegdzie wybrzuszyła się nawet do przodu, gdy to Anglicy przeszli do kontrataku, wdzierając się w głąb francuskiej formacji. W końcu Francuzi, nie mogąc dalej nacierać przed siebie, zaczęli przesuwać się na skrzydła.

Tam zaś byli łucznicy, którzy nie mieli już strzał.

– Możesz zginąć albo stawić im czoła.

Głos ten zdawał się dochodzić z oddali i wydawał się pełen rozbawienia, jakby tego, kto mówił, zupełnie nie obchodził los Nicholasa Hooka.

– Jasna cholera, Nick, idą prosto na nas! – zawołał wystraszony Tom Scarlet. Łucznicy cofnęli się wcześniej za pierwsze pale i patrzyli, jak francuscy zbrojni starli się z angielskimi rycerzami. Zaczęli głośno wiwatować, kiedy zatrważająco cienka angielska linia powstrzymała jednak nieprzyjacielskie natarcie, lecz teraz wrogowie rozproszyli się, zmierzając ku angielskim skrzydłom.

– Możemy walczyć lub zginąć – stwierdził Hook, ciskając łuk na ziemię. Bez strzał i tak był już bezużyteczny, a strzały najwyraźniej się skończyły.

– A zatem walcz – odezwał się znowu głos i Nick wiedział już, że przemawia do niego święty Kryspin, bardziej surowy z dwóch świętych ze Soissons.

– Jesteś tutaj! – powiedział Hook na głos z ulgą i zdumieniem.

– Jestem tutaj, Nick – rzekł Scarlet. – Wolałbym być gdzie indziej, ale jestem właśnie tutaj.

– Ależ oczywiście, że jesteśmy tutaj obaj! – rzucił szorstko święty Kryspin. – Jesteśmy tutaj, żeby się zemścić! Więc walcz z nimi, draniu! Na co czekasz?

Hook przystanął, by popatrzeć, co zamierzają zrobić Francuzi. Przeczuwał, że nie próbują na razie oskrzydlić angielskich rycerzy, lecz raczej usiłują uniknąć rzezi, której odgłosy dobiegały z jego lewej strony. „Ale już niebawem – pomyślał – jakiś Francuz postanowi zaatakować lekko opancerzonych łuczników i w ten sposób wydostać się na tyły królewskiego hufca”.

– Na co czekasz? – zapytał raz jeszcze święty, wyraźnie gniewnym tonem. – Czyń dzieło boże, na litość boską! Po prostu zabijaj tych przeklętych łajdaków!

Hook zadrżał ze strachu. Jakiś Francuz zbliżył się chwiejnym krokiem do pali. Jego lewa ręka zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia. Naramiennik miał rozcięty i zakrwawiony.

– Co robimy, Nick? – spytał Scarlet.

Hook zdjął z ramienia dwuręczny topór.

– Zabić ich! – ryknął. – Zabić tych przeklętych łajdaków! Święty Kryspin! Bij!

Jego krzyk wyrwał łuczników z odrętwienia. Nagle wszyscy wydali gromki bojowy okrzyk i

rzucili się pomiędzy palami, aby zaatakować Francuzów ze skrzydła. Uzbrojeni byli w dwuręczne topory, miecze lub młoty. Większość szła bosą, żaden nie miał osłon nóg, a niewielu stać było na napierśnik, lecz w grząskim błocie mogli poruszać się znacznie szybciej od Francuzów.

– Zabić ich! – wrzasnął Evelgold i coraz więcej łuczników podejmowało ten okrzyk. W ponurym powietrzu unosiła się atmosfera bitewnego szału, naglej i nieokiełznanej żądzy wzięcia odwetu na zuchwalcach, którzy przyrzekli poobcinać łucznikom palce. Walińczycy i Anglicy o potężnych, muskularnych ramionach, ukształtowanych przez całe lata naciągania cisowego długiego łuku, rzucili się, by mordować francuską szlachtę.

Hook zignorował ранego Francuza i zamiast tego zaatakował jakiegoś olbrzyma w jasnoczerwonej opończy. Pierwszym jego ciosem był szeroki zamach toporem, który wywołałby pogardę sir Johna, gdyby Cornewaille był przy tym, i tamten odchylił się lekko w tył, aby minęło go ostrze, i pchnął swą krótką kopią, lecz sam impet uderzenia sprawił, że Hook znalazł się już niemal za plecami rycerza, a kiedy wysoki Francuz odwrócił się za nim, Will z Doliny walnął młotem w tył jego hełmu i nieprzyjaciel padł w błoto. Geoffrey Horrocks ukląkł na nim, uniósł przyłbicę i dźgnął go w oko długim sztyletem o cienkim ostrzu. Hook zaś pchnął swym toporem jakiegoś zbrojnego w opończy w czarno-białe pasy, a cios był tak potężny, że tamten padł na wznak. Wówczas spadł nań obuch Nicka, druzgocąc mu prawe ramię, zaś obok znalazł się już kolejny łucznik, który zamachnął się obciążonym ołowiem bojowym młotem i grzmotnął prosto w hełm ранego nieprzyjaciela. Francuzi, których stopy utkwiły w grząskim podłożu, nie mogli uchylać się przed kolejnymi ciosami, zaś ich uderzenia i pchnięcia trafiały w próżnię, gdyż zwinni łucznicy robili uniki. Wrogowie, nie obawiając się już strzał, walczyli teraz z podniesionymi przyłbicami i Hook przekonał się, że najłatwiej było dźgać ich sztyłem topora w oczy, zmuszając ich, by się uchylali, a wówczas kolejny łucznik zadawał potężny cios obuchem. To właśnie dwuręczne topory i młoty bojowe siały największe spustoszenie: obciążone ołowiem obuchy w rękach łuczników miażdżyły hełmy i gruchotały zakute w żelazo kości. Ci spośród angielskich strzelców, którzy nie mieli takiej broni, podnosili z ziemi porzucone przez nieprzyjaciela dwuręczne topory lub maczugi. Gdy coraz więcej Anglików zaczęło wychodzić z zaaostrzonych pali, by wziąć udział w bijatyce, nagle okazało się, że francuscy zbrojni łatwo padają ich ofiarą.

Bo też była to prawdziwa bijatyka. Walka przypominała burdy po gospodach. Była niczym bożonarodzeniowy mecz piłki nożnej, kiedy mężczyźni z dwóch sąsiednich wiosek spotykali się, aby okładać się pięściami, kopać i podkładać sobie nogi, z tą tylko różnicą, że w tej rozgrywce używano jeszcze ołowiu, żelaza i stali. Dwaj lub trzech łucznicy atakowali zwykle jednego rycerza, wywracając go lub powalając go na ziemię obuchem, po czym jeden z nich nachylał się, aby dobić przeciwnika, wbijając mu nóż prosto w twarz. Najszybciej można to było zrobić, dźgając w oko, i Francuzi błagali o litość, widząc zbliżającą się klingę. Potem następował nieznaczny skurcz, który natychmiast mijał, gdy koniuszek ostrza przebijał gałkę oczną, po czym przeraźliwy wrzask milknął, kiedy nóż docierał do mózgu. Tego rodzaju rany prawie nie krwawiły.

Ostry dźwięk angielskich trąb nie milkł ani na chwilę, a ze środka pola, gdzie walczyli z sobą rycerze, dobiegał wciąż szczeł stali. Teraz do tych odgłosów dołączyły jeszcze okrzyki łuczników, którzy rozpoczęli rzeź na skrzydłach przeciwnika.

Była to zemsta co się zowie. Walcząc, Hook miał cały czas w pamięci wydarzenia w Soissons. Wiedział, że dwaj tamtejsi święci są przy nim. Było to ich święto i mieli dziś odpłacić Francji za to, co uczyniła ich miastu. Nick dźgał sztyłem swego dwuręcznego topora, mierząc w twarze nieprzyjaciół, a kiedy usiłowali uchylać się przed ciosem, zahaczał ostrzem siekiery o zakute w zbroję ramie i szarpał tak mocno, że rycerz, którego stopy uwięzły w grząskiej ziemi, potykał się i padał na twarz, a wówczas dostawał cios obuchem w hełm i tak oto kolejny Francuz padał trupem. Setki łuczników działały w ten sam sposób, więc głęboko zaorane pole, rozciągające się pomiędzy dwoma lasami, stało się widownią prawdziwych jatek. Skiby, w których posiano niedawno oziminę, z wolna wypełniały się krwią.

Martwych i kontuzjowanych Francuzów było już tak wielu, że Hook musiał niemal wdrapywać się na stosy trupów, aby dotrzeć do kolejnego przeciwnika. Tom Scarlet, ogromny Will Sclate i Will z Doliny szli za nim, a pozostali łucznicy także utworzyli kilkusobowe grupki, wrzeszcząc przez cały czas jak opętani. Nick poczuł nagle uderzenie miecza, lecz jego koszulka pancerna i kolczuga wytrzymały cios, a Sclate, ogromny i spoglądający groźnie na Francuzów, powalił napastnika na ziemię swym toporem. Hook zwałił z nóg kolejnego z nieprzyjaciół, rzuciwszy się na niego całym ciężarem swego ciała, zaś Will z Doliny wbił leżącemu Francuzowi topór w udo, rozcinając nabiodrek. Spomiędzy rozdartych i postrzępionych płatów blachy popłynęła krew. Jakiś łucznik nieopodal miażdżył rycerskie hełmy bojowym młotem. Jeden cios wystarczał, by zgruchotać stal i czaszkę, pozbawiając wroga życia. Pewien Francuz ze złamaną uderzeniem obucha nogą klęczał i krzyczał, że się poddaje i że może zapłacić okup, lecz nikt go nawet nie słuchał i zginął, gdy jeden z łuczników dźgnął go nożem w oczodół. Hook wciąż wrzeszczał, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, i walczył z rozpaczliwą zawziętością. Łucznicy, którzy nie przestawali wycić i mordować nieprzyjaciół, byli uwalani błotem, pochłapani krwią i bosci. Cały ich strach pochłonęła bitewna furia.

Jakiś francuski rycerz w opończy ze złotej tkaniny sparował cios Toma Scarleta i uniósł maczugę, by zgruchotać czaszkę zuchwałego łucznika, lecz ostrze topora Hooka spadło mu na kark, przebijając stalowy podbródek, i Francuz padł na ziemię, podczas gdy Nick wyszarpnął broń z jego ciała i dźgnął sztyłem w brzuch kolejnego napastnika. Sclate, wychowany na wsi olbrzym, zamachnął się młotem, trafiając jakiegoś Francuza między nogi, a krzyk, jaki wówczas wzbił się w niebo, słyszalny był chyba na całym zboczonym krwią polu pod Azincourt.

Nagle jakiś Francuz w poplamionej błotem, jaskrawej zbroi, z błękitną, jedwabną szarfą na szyi i hełmem zwieńczonym srebrnym lwem, ukląkł na jedno kolano i zdjął prawą rękawicę, wyciągając ją w kierunku Hooka. Nick był jeszcze dobrych kilka kroków od niego i zamierzał właśnie zgruchotać obuchem tego lśniącego lwa na jego głowie, lecz nagle zrozumiał, czego chciał Francuz.

– Jeńcy! – krzyknął. – Jeńcy! – powtórzył i zabrał mu rękawicę. – Zdejmij hełm! – rozkazał.

Nikt nie wydał jeszcze rozkazu, by brać nieprzyjaciół do niewoli, zaś przed bitwą sir John wyraźnie mówił, że nie wolno brać jeńców, dopóki król nie uzna, że bitwa jest wygrana, lecz Hook nie dbał teraz o to. Francuzi sami zaczęli się wszak poddawać.

Coraz więcej nieprzyjaciół wyciągało ku Anglikom swoje rękawice. Ich hełmy zostawały w błocie, gdy zwycięzcy odprowadzali jeńców na tyły.

– Co zrobimy z tymi łajdakami? – spytał Will z Doliny.

– Skrępujemy im ręce – zasugerował Hook. – Zwiążemy je cięciwami.

Pierwszy francuski hufiec cofał się już ku swoim. Zbyt wielu zbrojnych poległo, a ci, którzy ocalili, nie mieli odwagi kontynuować walki, widząc, jak wiele krwi wsiąkło już w skiby. Hook oparł się więc o swój dwuręczny topór i patrzył, jak łucznik w błękitnej i pociemniałej od krwi opończy śmieje się, chodząc pomiędzy rannymi nieprzyjaciółmi. Człowiek ten znalazł gdzieś nadzieję, broń będącą na poły młotem, a na poły wygiętym szpikulcem, i teraz dobijał rannych, przebijając ich hełmy tym właśnie zakrzywionym dziobem, zamocowanym na długiej rękojeści. Jego klinowate ostrze z łatwością rozrywało stal, druzgocąc czaszki.

– To jak rozbijanie jajek! – zawołał łucznik, rozbijając przy tym kolejne. – Łajdaki! – krzyczał. – Łajdaki! – powtarzał, zabijając raz za razem. Ranni błagali o litość, lecz zakrzywiony szpikuliec i tak spadał w dół. Hook nie miał siły interweniować. Łucznik zdawał się zresztą niepomyślny na nic, oprócz swej żądzy mordowania, i kiedy dobijał rannego, nie poprzestawał na jednym ciosie i wbijał weń swój zakrzywiony szpikuliec jeszcze długo po tym, jak nieszczęśnik wyzionął ducha. Nad ciałem swego rannego pana stał olbrzymi dog i czekał na Anglików, lecz łucznik swym nadziekiem zabił najpierw psa, a potem jego właściciela.

– Chciałeś obciąć mi palce! – krzyczał nad trupem, wbijając zakrzywiony szpikuliec w jego i tak już pogruhotany hełm. – Teraz ja obetnę ci twojego przekłętą kutasa! – zawołał. Nagle uniósł dwa palce, którymi napinał cięciwę i pomachał nimi nad trupem. – Chciałeś je obciąć, co? Ty łajdaku!

– Jezu Chryste! – rzekł Tom Scarlet. Twarz miał całą powalaną krwią Francuzów, jego koszulka pancerna również była czerwona, a nogi, gołe, jeśli nie liczyć krótkich trykotów, pokryte miał błotem. – Jezu Chryste! – powtórzył raz jeszcze.

Miejsce, dokąd zdołali dotrzeć nacierający Francuzi, znaczył teraz długi wał trupów. Pierwszy hufiec wycofał się, zostawiając za sobą ów straszliwy widok, a Anglicy go nie ścigali. Ludzie byli zmęczeni i znużeni zabijaniem. Jeńców odprowadzano na tyły, a Anglicy i Walijszczyki patrzyli na siebie zdumieni, jakby wciąż jeszcze nie dowierzali, że nadal żyją.

Nagle znowu zabrzmiały trąby i Hook spojrzał na północ i ujrzał, że do ataku rusza drugi francuski hufiec, równie liczny jak pierwszy.

Lada chwila bitwa musiała więc rozgorzeć na nowo.

– Oni wszyscy już tam giną – rzekł sir Martin – i to giną dziesiątkami! Pewnie jesteś już wdową – dodał i uśmiechnął się, ukazując żółte zęby. – Słyszałem, że się pobraliście. Po co, dziewczyno, po co? Małżeństwo jest dla porządných ludzi, a nie dla zwykłych zjadaczy chleba, takich jak Hook. Zresztą teraz to bez znaczenia. Jesteś już wdową, mała! Niech mnie, ależ z ciebie śliczna wdówka! A teraz leż spokojnie! Nie ruszaj się! „Panem każdej kobiety jest mężczyzna!”. Tak mówi Pismo, święte słowo naszego Pana, więc masz być mi posłuszna! – Sir Martin zmarszczył nagle brwi. – A cóż to za bazgroły masz na czole?

– Błogosławieństwo – odparła Melisanda. Znalazła wreszcie bełt i usiłowała po omacku umieścić go w łożu kuszy, lecz broń była wciąż w worku i niełatwo było namacać jej mechanizm, a co dopiero upewnić się, że bełt znajduje się tam, gdzie trzeba. Sir Martin klęczał między nogami Melisandy i nachylał się nad nią, opierając się na lewej ręce, a prawą sięgając między jej uda. Strużka śliny zwisała mu z ust, kołysząc się nad jej nagim ciałem.

– Nie podoba mi się to – rzekł i zaczął prawą ręką ścierać z jej czoła wypisane węglem litery. – Nie podoba mi się to twoje błogosławieństwo. Masz być piękna dla mnie! Wcale nie leżysz spokojnie, mała! Chcesz, żebym cię uderzył?

– Jestem grzeczna – rzekła Melisanda, choć tak naprawdę przesuwiała się rozpaczliwie, unosząc się w górę i usiłując zrzucić z siebie straszliwy ciężar jego ciała. Sir Martin po chwili dał za wygraną i przestał ścierać litery z jej czoła i znów wsadził jej dłoń między nogi. Melisanda krzyknęła, czując jego dotyk, lecz jej krzyk wywołał tylko uśmiech kapłana.

– Kobieta jest chwałą mężczyzny – rzekł – i to święte słowa Boga Wszechmogącego. Więc zrobmy małego dzidziusia, dobrze?

Melisanda uznała, że bełt jest już chyba na swoim miejscu. Nie była pewna, lecz nie mogła też już dłużej czekać, więc odwróciła kuszę, ciągnąc wraz z nią cały worek, gdy sir Martin uniósł się nad nią, gotów przejść od słów do czynów. – *Ave Maria* – zadeklamował – *ave Maria*.

Melisanda gwałtownym ruchem wcisnęła worek pomiędzy swój a jego brzuch, po czym zwolniła spust.

I nic.

Kusza przez długi czas leżała zaniedbana i napięta w jej tobołku i mechanizm spustowy musiał widocznie zardzewieć. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Ślina sir Martina spadła i rozprysła jej się na twarzy, a wtedy Melisanda szarpnęła palcem raz jeszcze i tym razem zapadka ustąpiła, zwalniając cięciwę. Stalowy łuk kuszy wydał swój złowieszczy dźwięk i krótki, gruby, żelazny bełt rozerwał workowe płótno.



Wydawało się, że nagle coś uniosło sir Martina z jej ciała. Kapłan spojrział na nią otwartymi szeroko oczyma, a jego usta przybrały kształt wielkiego koła na pełnej przerażenia twarzy.

Potem zaczął wyc jak kastrowany dzik. Z jego pachwiny bluznęła krew, rozlewając się nagle gorącym strumieniem na udach Melisandy. Skórzane lotki bełtu sterczały z dołu jego brzucha, podczas gdy spomiędzy nóg wystawał mu pordzewiały grot. Dziewczyna wyczołgała się spod niego, szamocząc się rozpaczliwie, a wykrzywione dłonie sir Martina uczepliły się kurczowo resztek jej potarganej sukni. Kapłan wrzeszczał teraz wniebogłosy, ściskając płótno, jakby mogło go ocalić, lecz Melisanda wyrwała mu się wreszcie, porzucając suknię, a on zwinął się w kłębek na mokrej ziemi, jęcząc i sapiąc, i przyciskając poszarpany materiał do swej rozszarpanej pachwiny.

– Umrzesz tutaj – rzekła Melisanda. – Wykrwawisz się na śmierć. – Nachyliła się nad nim, a jego nabiegłe krwią oczy wpatrywały się w nią z wyrazem rozpacz. – A ja będę się śmiała, kiedy będziesz zdychał – dodała.

Wtem rozległ się jakiś krzyk. Dobiegał z wioski i nagle Melisanda ujrzała jakichś obcych między wozami. Zobaczyła jeszcze więcej ludzi biegnących ku angielskiemu taborowi i kolejną grupę, zbliżającą się do wioski brzegiem strumienia. Byli to miejscowi chłopci, którzy teraz z motykami, siekierami i tasakami napadli na angielski tabor w poszukiwaniu łatwych łupów. Jakiś mężczyzna: ją spostrzegł i skierował się w jej stronę, mając na twarzy ten sam pożądlivy wyraz, jaki widziała wcześniej na obliczu sir Martina.

Dziewczyna była wszak naga.

Potem przypomniała sobie o opończy.

Raz jeszcze spojrziała na sir Martina, który umierał właśnie w męczarniach, porwała swój worek i jego skórzaną sakiewkę pełną monet i wskoczyła do strumienia.

Pan de Lanferelle miotał przekleństwami. Człowiek u jego stóp, z przyłbicą wyszczerbioną i zalaną krwią, ciągle jęczał i stękał. Prawą nogę miał odciętą nieco powyżej kolana, a gęsta posoka bluzgała z kikuta kończyny na leżącego pod nim trupa.

– Księdza! – wyszeptał ranny. – Na litość boską, księdza!

– Nie ma tu żadnych księży! – rzekł gniewnym tonem Lanferelle. Pozbył się już maczugi, stwierdziwszy, że dwuręczny topór będzie teraz groźniejszą i skuteczniejszą bronią, a musiał być groźny i skuteczny, jeśli miał jeszcze odwrócić losy tego starcia i zamienić porażkę w zwycięstwo. Doskonale rozumiał, co się stało. Francuzi, wyczerpani mozolnym brodzeniem w błocie i na wpół ślepi za swymi opuszczonymi przyłbicami, stali się łatwym łupem dla angielskich rycerzy. Zdawał sobie jednak sprawę, że Anglicy nie będą w stanie rozciągnąć swej wątlej linii tak, aby wypełniła przestrzeń pomiędzy dwiema ścianami lasu. Zaś ich skrzydła obsadzali łucznicy, a tym, na ile mógł to stwierdzić, skończyły się już strzały. Gwałtownym ruchem uniósł w górę swą rozerwaną przyłbicę, przepychając pokierszowany metal ponad brzeg hełmu. – Ruszamy na lewo! – rzekł.

Żaden z jego ludzi mu nie odpowiedział. Pierwszy francuski hufiec cofnął się kilkadziesiąt kroków, zaś Anglicy, jakby na mocy jakiejś niepisanej umowy, nie ścigali go. Obie strony były zmęczone. Ludzie stali, wsparci na rękojeści broni, usiłując złapać oddech. Pomiędzy dwiema armiami rozciągał się długi szaniec z zakutych w żelazo ciał. Ranni i zabici leżeli tam jedni na drugich. Ich zbroje, wypolerowane nocą do połysku, były teraz pocięte i porozrywane, oblepione błotem i zbroczone krwią. Pośród zwłok wałały się także proporce, i kilku Anglików pozbierało te dumne sztandary, które przekazano na tyły, gdzie zbierano też francuskich jeńców. Chorągiew Oriflame, powiewająca nad centrum francuskiego szyku i obwieszczająca wrogom, że nie zaznają litości, przepadła jednak bez śladu.

Anglicy przekazywali sobie kolejno bukłaki z wodą lub winem i nagle Lanferelle poczuł, że kompletnie zaschło mu w gardle.

– Gdzie wino? – spytał swego giermka.

– Nie mam ani kropli, panie. Nie powiedziałeś mi, bym zabrał bukłak.

– Mam ci też mówić, kiedy masz się wyszczać? Chryste, cuchniesz jak kloaczny dół! Zesrałeś się?

Giermek z żalną miną skinął tylko głową. Nie był wcale jedynym człowiekiem, u którego strach wywołał rozwolnienie, lecz teraz bał się pogardy swego pana.

– Ruszamy na lewo! – zawołał raz jeszcze Lanferelle. Przedtem daremnie usiłował wyrębać sobie drogę do sir Johna, więc teraz planował dla odmiany poprowadzić swoich ludzi do ataku na lekko opancerzonych łuczników. Widział, że uzbrojeni są w maczugi i dwuręczne topory, lecz uważał, że to i tak lepiej, niż gdyby mieli cisowe łuki i jesionowe strzały. Wynie zatem w pień tych łajdaków, i przeprowadzi Francuzów przez szeregi sterczących z ziemi pali, by mogli z flanki angielskich zbrojnych. – Ta bitwa nie jest jeszcze przegrana! – powiedział rycerzom ze swego pocztu. – Tak naprawdę nawet się jeszcze nie zaczęła! Skończyły im się strzały, więc teraz możemy ich pozabijać! Słyszycie mnie? Wybijemy ich!

Na północnym skraju pola zabrzmiały trąby. Drugi francuski hufiec, ze lśnącymi wciąż jeszcze zbrojami i chorągwiami nietkniętymi przez angielskie strzały, posuwał się pieszo przez trzęsawisko, jakim stało się zaorane pole, stratowane przez konie i osiem tysięcy zakutych w stal rycerzy pierwszego hufca. Nacierający mijali właśnie niewielką grupkę angielskich, francuskich i burgundzkich heroldów, którzy wspólnie śledzili przebieg bitwy stojąc na skraju lasu Tramecourt. Zatem w ciągu niespełna minuty na miejsce, gdzie toczyła się walka, dotrzeć miały francuskie posiłki w sile kolejnych ośmiu tysięcy zbrojnych. Lanferelle, nie chcąc znaleźć się znów w ciżbie nadchodzących, zaczął posuwać się na skrzydło szyku francuskich rycerzy. Wiódł teraz z sobą jedenastu ludzi, i uważał, że to wystarczy, żeby przebić się przez szeregi łuczników. Jeśli zaś ta dwunastka da przykład pozostałym, inni podążą wkrótce za nimi.

– Ci przekłęci łucznicy nie są szkoleni we władaniu bronią – powiedział swoim ludziom Lanferelle. – To zwykli rzemieślnicy! Sami krawcy i plecionkarze! Rąbią tylko na oślep tymi toporami! Więc nie atakujcie ich pierwsi. Pozwólcie im wziąć zamach, a potem odparowujcie cios i ich zabijajcie! Zrozumiano?

Wszyscy skinęli głowami. Rozumieli, co powiedział, lecz w powietrzu nad zaoranim polem unosił się zapach krwi, Oriflame gdzieś znikła, a tuzin francuskich wodzów i wielmożów padło trupem lub przepadło bez śladu. Lanferelle wiedział, że zwycięstwo nadejdzie tylko wtedy, kiedy ludzie zaczną w nie wierzyć. Zamierzał więc natchnąć ich tą wiarą. Przebije się przez angielską linię i da Francji zwycięstwo.

Anglicy spostrzegli, że zbliża się kolejny atak, więc wyprostowali się i chwycili za broń. Drugi francuski hufiec dotarł do miejsca, gdzie odpoczywały resztki pierwszego, i idący do walki rycerze wznieśli gromki bojowy okrzyk:

– *Saint Denis! Montjoie! Montjoie!*

– Święty Jerzy! – ryknęli w odpowiedzi Anglicy, po czym znów zaczęli szydzić ze swych wrogów, wydając z siebie okrzyki myśliwych, usiłujących wypłoszyć z kryjówki osaczoną zwierzynę.

Lecz drugi francuski hufiec nie był w stanie dotrzeć do Anglików, gdyż na drodze stanęły mu resztki pierwszego rzutu. Zbrojni brnęli więc przez błoto z pochylonymi kopiami, spychając zmęczone niedobitki pierwszego hufca wprost na stosy trupów i na czekające za nimi ostrza Anglików. Znowu podniosła się wrzawa, i słychać było szczęk stali, krzyki umierających i rozpaczliwe nawoływania trąb, gdy osiem tysięcy wypoczętych francuskich rycerzy rzuciło się w wir walki.

Zaś Lanferelle ruszył ku angielskim łucznikom.

Kobiety i służba porzucili angielski tabor, uciekając na wniesienie, gdzie walczyła ich armia, podczas gdy za ich plecami chłopci i parobkowie przetrząsali wozy w poszukiwaniu łatwych, a bogatych łupów.

Melisanda była w zimnym i rwącym strumieniu o błotnistym dnie, który wezbrał jeszcze na skutek ostatnich ulewnych deszczy. Potykając się, brnęła jego korytem, omijając rosnące nisko nad lustrem wody gałęzie, aż wreszcie ujrzała opończę, która zaczepiła się o konar wierzby. Zdjęła ją, po czym wyszła z wody i przedostała się przez nadbrzeżne zarośla i pokrzywy. Założyła opończę przez głowę. Mokre i zimne płótno natychmiast przyłgnęło do jej ciała, ale przynajmniej nie była już naga. Wolno skradała się w kierunku północnym, kryjąc się w krzakach jeżyn i zagajnikach leszczyny, aż nagle ujrzała jakichś jeźdźców.

Było to pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu konnych, którzy stali na zachód od wioski i przypatrywali się jedynie angielskiemu obozowisku. Nie mieli ze sobą żadnego sztandaru, a nawet gdyby wywiesili jakąś chorągiew, Melisanda i tak wątpiła, by była w stanie rozpoznać widniejące na niej godło. Była jednak pewna, że niewielka angielska armia za nic w świecie nie mogłaby pozwolić sobie na to, by tak wielu jeźdźców pozostało z tyłu, daleko od miejsca, gdzie toczyła się walka. To zaś oznaczało, że konni to Francuzi, a Melisanda, choć przecież sama była Francuzką, myślała teraz o nich jako o swych wrogach. Przycupnęła więc w zaroślach, starając się ukryć jaskrawą opończę za krzakiem głogu.

Po chwili znów ogarnął ją jednak niepokój. Opończa okrywała jej ciało, lecz zarazem nękała jej duszę. Wybacz mi, że włożyłam tę opończę – prosiła Najświętszą Panienkę – i spraw, aby Nick jednak przeżył.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. W jej głowie panowała zupełna cisza.

Przysięgła, że nie założy opończy, wierząc, że jeśli będzie nosić na sobie godło swego ojca, skaże Nicka na śmierć na zaorany polu tam na płaskowyżu, lecz teraz miała na sobie herb ze słońcem i sokołem, a Najświętsza Panienka nie udzieliła jej żadnej odpowiedzi. Wiedziała zatem, że nie dotrzymała słowa danego niebiosom. Przeszedł ją dreszcz, gdyż była zziębnięta i przemoknięta, i nagle cała zaczęła dygotać.

Nick zginie, była tego pewna.

Zdjęła więc opończę, aby Nick mógł przeżyć.

Skuliła się jeszcze bardziej za krzakiem głogu. Modliła się, naga, zziębnięta i przerażona. Zaś od północy, zza horyzontu, zza wioski i stojących na zachód od niej konnych, na nowo dała się słyszeć bitewna wrzawa.

– Przedtem daliśmy im radę i teraz też ich pozabijamy! – wrzasnął Thomas Evelgold. – Bij! Za Anglię!

– Za Walię! – krzyknął któryś z łuczników.

– Święty Jerzy! – zawołał inny.

– Święty Dawid! – odkrzyknął na to Walińczyk, i na dźwięk tych bojowych okrzyków łucznicy rzucili się naprzód, by zaatakować nowego przeciwnika. Przedtem już rozprawili się z furją z pierwszym francuskim hufcem, i niektórzy z nich uważali, że zostaną bogaczami dzięki okupom za wziętych przy tym jeńców. Więźniowie ci, pozbawieni hełmów i z rękami skrępowanymi kawałkami zapasowych cięciw, znajdowali się teraz za ostatnim szeregiem zaostrzonych pali, pilnowani przez garść lżej rannych Anglików. Teraz więc łucznicy ruszyli do ataku, by położyć trupem lub wziąć do niewoli kolejnych Francuzów.

Rzucili się naprzód bez zastanowienia. Teraz już wiedzieli, jak zwałać z nóg zbrojnych, którzy nie byli w stanie poruszać się w gęstym błocie, więc uderzyli na skrzydło francuskiego hufca, bezlitośnie tłukąc nieprzyjaciół, aż powstał nowy wał trupów, z których większość zginęła od pchnięcia łuczniczym sztyletem w oko po tym, jak zwałił ich z nóg potężny cios obucha. Przeraźliwym wrzaskom nie było końca. Płaskowyz roił się od pochlapanych błotem, zakutych w stal rycerzy, którzy z trudem brnęli ku łucznikom, spychani prosto na nich przez gęste i ściśnięte szeregi za ich plecami. Te niezgrabne postaci potykały się na zwłokach, miażdżono im hełmy i mordowano je ciosami sztyletów, lecz one wciąż nadchodziły. Niektórzy ze zbrojnych nosili na szyjach złote lub srebrne łańcuchy, lub mieli na sobie zbroję, której przepych mówił o ich wielkim bogactwie lub znaczeniu, i takich właśnie ludzi łucznicy usiłowali brać do niewoli. Zabijali najpierw zbrojnych z pocztu takiego rycerza, a następnie, krążąc dokoła niego jak ogary wokół osaczonego jelenia, szydzili zeń i grozili mu, aż wreszcie zdejmował rękawicę.

– No dalej, ty łajdaku! – urągał Tom Scarlet jakiemuś zbrojnemu w białej opończy z wizerunkiem czerwonego łabędzia. – Chodź tutaj!

Francuz obserwował go przez cały czas, a pod uniesioną przyłbicą widać było jego niebieskie oczy. Jego hełm zdobiły srebrne zwoje, zaś jego czerwony rycerski pas z aksamitu nabijany był złotymi rombami. Ruszył naprzód, starannie stawiając stopy pomiędzy zwałami trupów, i pchnął kopią, mierząc w brzuch łucznika. Scarlet odparował jednak cios dwuręcznym toporem. Drugi Francuz, noszący ten sam herb z łabędziem, ciął mieczem o szerokim ostrzu w rękojeść broni

Scarleta, lecz klinga odbiła się tylko od okutego stalą toporzyska. Scarlet wykonał mocne, proste pchnięcie, wbijając szydło w brzuch zbrojnego z łabędziem na opończy, który zatoczył się do tyłu. Przeciwnik z mieczem uderzył raz jeszcze, i łucznik ledwie zdołał zablokować cios toporzyskiem, lecz wówczas był już obok niego Will Sclate, który wydał z siebie głuchy pomruk i zamachnął się dwuręcznym toporem, miażdżąc hełm tamtego, jakby zrobiony był z pergaminu. Stal ustąpiła, pękając na spoinach, i z hełmu trysnęła krew i mózgowie Francuza, zaś Sclate, potężny i złowieszczy, znów uniósł broń do ciosu.

– Tego bierzemy żywcem, Will! Łajdak jest bogaty! – krzyknął Scarlet, ponownie atakując tamtego dwuręcznym toporem, zaś francuski wielmoża – gdyż łucznik był pewien, że walczy ze szlachcicem – chciał pchnąć go kopią, lecz tym razem Scarlet zdołał złapać ją jedną ręką i mocno za nią pociągnął. Francuz potknął się i upadł, a łucznik chwycił go za dolny skraj hełmu i odciągnął go nieco do tyłu. Will Sclate, z pomocą tuzina innych łuczników sir Johna, powalał w tym czasie na ziemię kolejnych przeciwników. Scarlet odwrócił teraz swego jeńca na plecy, po czym pochylił się nad nim i uśmiechając się szeroko, spojrzał mu w oczy.

– Bogacz z ciebie, co?

Francuz spoglądał nań nienawistnym wzrokiem, więc Scarlet dobył noża. Zbliżył ostrze do lewego oka jeńca.

– Jeśli jesteś bogaty, będziesz żył – rzekł. – A jeśli biedny – umrzesz.

– *Je suis le Comte de Pavilly* – odparł tamten. – *Je me rends! Je me rends!*

– Czy to znaczy, że jesteś bogaty? – spytał łucznik.

– Za tobą, Tom! – zabrzmiał nagle głos Hooka, i Tom Scarlet obejrzał się i ujrzał zbliżających się doń Francuzów, a w tym samym momencie hrabia de Pavilly wbił mu swój nóż w pachwinę. Scarlet zaskrzeczał piskliwym głosem, a Francuz uniósł się z błota i raz jeszcze dźgnął go nożem, tym razem w brzuch, dziurawiąc go i rozpruwając, aż wreszcie Will Sclate wykonał szeroki zamach swym dwuręcznym toporem i jego ostrze wbiło się w twarz hrabi, łamiąc wszystkie zęby, jakie jeszcze mu pozostały i wgniatając mu je w potylicę. Krew Francuza zmieszała się w błocie z posoką Scarleta. Dwa ciała, zwłoki bogacza i biedaka, leżały teraz obok siebie. Sclate wydobył swój topór z płataniny pogruchotanych blach i kości, nim odepchnęła go nowa fala Francuzów.

Hook także zmuszony był teraz się cofać.

W szeregi łuczników wdzierali się klinem Francuzi. Dotychczas Anglicy byli górą, ponieważ to oni atakowali, a przy tym byli bardziej ruchliwi od przeciwnika, lecz w końcu Francuzi znaleźli sposób na to, by skutecznie ich zaatakować. Ruszyli na nich ramię przy ramieniu, pozwalając im marnować siły przy uderzeniach, które tylko parowali, miast oddawać ciosy. Jeśli któryś z napastników pośliznął się lub wziął zbyt duży zamach i nie zdołał w porę odzyskać równowagi, widać było tylko błysk ostrza i kolejny Anglik osuwał się w błoto, gdzie dobijał go potężny cios maczugi.

– Zabijajcie ich! – krzyczał pan de Lanferelle, znajdujący się na czele klina francuskich rycerzy. – Po kolei! Bóg da nam dosyć czasu, by wyróżnić ich wszystkich! *Saint Denis! Montjoie!*

Czuł teraz, że zwycięstwo jest bliskie. Aż do tej chwili Francuzi wpadali w panikę, idąc wprost na przeciwnika, jak bydło na zimową rzeź, lecz Lanferelle był opanowany, śmiertelnie niebezpieczny i pewny siebie, i coraz więcej jego rodaków ruszało za nim, czując, że wreszcie ktoś wziął ich los w swoje ręce.

Hook ujrzał nagle wyniosłego sokoła na tle słońca.

– Za tobą, Tom! – krzyknął wówczas do Scarleta, a potem widział, jak Francuz w białoczerwonej opończy nagle unosi się z ziemi, lecz nie miał już czasu, by przekonać się, co było dalej, ponieważ przed nim był Lanferelle, i Nick zmuszony był się cofać, gdyż Pan Piekieł natarł nań swym dwuręcznym toporem. Jego cios nie był obliczony na to, by go zabić, lecz raczej miał wytrącić z równowagi łuczника, który musiał po raz drugi zrobić krok w tył, aby uniknąć trafienia sztyłem. Byłby się przy tym potknął na skibach, gdyby nie oparł się nagle plecami o jeden z zaostzonych pali, co pozwoliło mu się utrzymać na nogach. Usiłował trafić własnym toporem w broń Lanferelle'a, lecz Francuz zdołał jakoś odbić cięcie do boku, po czym sam natarł ponownie. Teraz Hook musiał okręcić się wokół pala, lecz jego zaostzony koniec zahaczył o koszulkę pancerną łuczника, który nie mógł się poruszyć. Ogarnęła go paraliżująca panika.

– Podejdz bliżej! – rzekł święty Kryspinian i Hook wykonał potężne pchnięcie swym dwuręcznym toporem, usiłując przy tym znaleźć w błocie solidne oparcie dla nóg. Lanferelle był tak zaskoczony tym nagłym kontratakiem, że wstrzymał następny cios. Ostrze topora Hooka ześliznęło się po zbroi Francuza, lecz zamach pozwolił mu odczepić koszulkę pancerną z pala, i zdążył zrobić krok w tył, zanim spadł cios jednego z ludzi Lanferelle'a, który zdruzgotałby mu dłoń opartą o drąg.

– Miałem nadzieję, że się spotkamy – rzekł Francuz.

– Czyżbyś chciał zginać? – odparł szyderczo Hook. W całym ciele odczuwał jeszcze panikę, lecz zarazem czuł ulgę, że zdołał ocalić życie. Po chwili musiał rozpaczliwie parować dwa ciosy, wymierzone w jego nieosłonięte nogi. Z pomocą przyszedł mu Tom Evelgold, a po chwili także Will z Doliny.

– Tom nie żyje! – krzyknął Will, szerokim zamachem topora odbijając do boku pchnięcie kopii.

– A jak się miewa Melisanda? – spytał Lanferelle.

– O ile wiem, żyje – odparł Hook, po czym znów natarł na przeciwnika i raz jeszcze cios jego topora został sparowany do boku. Tym razem jednak nie włożył weń całej siły i szybko odzyskał równowagę, by znów uderzyć obciążonym ołowiem obuchem w ramię Lanferelle'a. Cios jednak był zbyt słaby i Francuz zdawał się go niemal nie zauważyć.

Lanferelle uśmiechnął się.

– Ona żyje – rzekł – a ty umrzesz.

Zaczął zadawać teraz krótkie i w pełni kontrolowane ciosy, które następowały szybko po sobie, raz wymierzone w nogi, raz znowu w tułów łuczника. Hook, nie potrafiąc ich parować i nie mając czasu, by samemu zaatakować, mógł się jedynie cofać. Obok prawego oka Lanferelle miał trochę zakrzepłej krwi, lecz jego twarz była zadziwiająco spokojna i właśnie ten spokój najbardziej przerażał Nicka. Francuz bez przerwy obserwował jego oczy i Hook wiedział, że zginie, o ile nie zdoła jakoś sforsować szczelnej zasłony, jaką zdawało się tworzyć połyskujące ostrze topora Francuza. Tom Evelgold wpadł na ten sam pomysł i udało mu się odbić kopię jednego z nieprzyjaciół do boku i ruszyć naprzód, omijając grot, tak, że znalazł się bardzo blisko Lanferelle'a, po jego prawej stronie. Wówczas setnik, trzymając topór oburącz, jak opuszczoną kopię, rzucił głośne przekleństwo i dźgnął nim przed siebie, mierząc szydłem w fartuch zbroi przeciwnika. Stalowy szpikulec przebiłby blachy, kolczugę i skórzaną podszewkę, rozrywając dół brzucha Lanferelle'a, gdyby nie to, że ten w ostatniej chwili nieznacznie uniósł koniec toporzyska, odbijając pchnięcie tak, że jego ogromną siłę wzięła na siebie napierśnik. Mediolańska stal wytrzymała uderzenie, a wówczas Francuz gwałtownie pochylił głowę, wbijając uniesioną przyłbicę w twarz Toma Evelgolda, podczas gdy inny francuski zbrojny wbił miecz w udo setnika i przekręcił rękojeść. Anglik zachwiał się, a z jego rozciętej nogi, a także ze zmiążdżonego nosa, bluznęła krew. Cios zadany głową przez Lanferelle'a oślepił łuczника, który teraz nawet nie widział szydła dwuręcznego topora, które rozorało mu twarz. Padając, wydał z siebie jedynie piskliwy skowyt, a wówczas spadł nań jeszcze jeden cios topora, rozcinając koszulkę pancerną i kolczugę. Z jego rozplatanego brzucha wypłynęły wnętrzności. Potem Francuzi przeszli nad jego ciałem, stąpając ostrożnie i starannie, i wdzierając się coraz głębiej pomiędzy zaostrome pale, a zarazem coraz bardziej zagrażając angielskim tyłom.

– Podejdź bliżej! – krzyknął na Hooka święty Kryspin.

– Nie mogę! – odrzekł łucznik.

Tom Evelgold zadygotał. Jeden z francuskich zbrojnych wbił czubek miecza w jego gardło, z którego gęstym strumieniem trysnęła krew. Wówczas setnik znieruchomiał już na dobre. Coraz więcej Francuzów ruszało za Lanferellem, sprawiając, że wąły zrazu klin jego ludzi stawał się coraz potężniejszy, i choć łucznicy stawiali opór, nieprzyjaciel wreszcie posuwał się naprzód. Pomagały mu w tym teraz zaostrome pale, zapewniające pewny punkt oparcia pośród zdradliwego podłoża, i Anglicy zaczęli ustępować. Hook usiłował zebrać wokół siebie walczących wciąż łuczników, ale ludzie ci nie mieli dostatecznego opancerzenia, by oprzeć się wyćwiczonym we władaniu bronią rycerzom. Cofali się więc. Jak dotąd ich szeregi nie załamały się i nie poszły w rozsypkę, lecz nieprzyjaciel spychał ich coraz dalej do tyłu.

Hook usiłował stawiać opór. Wymienił kilka ciosów z Lanferellem, lecz zdawał sobie sprawę, że nie zdoła go pokonać, gdyż Francuz był zbyt szybki. Nie miał może siły łucznika, lecz znacznie zręczniejsz władania bronią.

– Już współczuję Melisandzie – rzekł w pewnej chwili – bo będzie cię gorzko opłakiwać.



– Łajdak! – krzyknął Hook i zaatakował Francuza toporem, lecz ten odbił jego cios do boku. Kiedy jednak Nick przyciągał do siebie broń, topór zahaczył o ostrze topora Lanferelle'a, więc łucznik szarpnął mocno i po raz pierwszy ujrzał wyraz zdumienia na twarzy przeciwnika. Ten jednak puścił po prostu rękojeść, a Hook omal nie przewrócił się na plecy.

– Lecz kobiety znajdują sobie w końcu pociechę w swym smutku – rzekł Francuz. – W ramionach innego mężczyzny – dodał i schylił się, podnosząc inny dwuręczny topór, który leżał na ziemi. Zrobił to tak szybko, że Hook nie zdążył go zaatakować, gdy był pochylony, a kiedy spostrzegł swoją szansę, było już na to za późno. – A może po prostu oddam ją z powrotem do klasztoru – powiedział Lanferelle – i zrobię z niej porządną oblubienicę Chrystusa – dokończył, po czym uśmiechnął się szeroko do Hooka i zaczął niezmordowanie atakować go nową bronią.

– Usuń się z drogi – warknął na Nicka święty Kryspin.

– Chcę z nim walczyć! – odkrzyknął Hook. Bardzo chciał zabić Lanferella. Nagle poczuł, że go nienawidzi. – Zabiję go! – krzyknął i usiłował zrobić krok naprzód, lecz znów szybki cios przeciwnika osadził go w miejscu.

– Zejdź mi z drogi, do jasnej cholery! – zabrzmiał za nim pełen wściekłości ryk, lecz tym razem nie był to głos świętego Kryspina, i nagle Hook został bezceremonialnie odrzucony na bok przez sir Johna Cornewaille'a. Sir John wiódł z sobą zbrojnych, którzy natarli na Francuzów kopiami. Stalowe ostrza zadzwoniły o płytowe zbroje wrogów, a Nick chwiejnym krokiem dotarł w miejsce, gdzie Will Sclate rąbał ludzi Lanferelle'a. Ten, widząc nadchodzącego sir Johna, wydał bojowy okrzyk i rzucił się nań, a pozostali Francuzi ruszyli naprzód, brnąc w gliniastym błocie. Nagle Hook otrzymał cios toporem w hełm, a ponieważ już wcześniej wytracony został z równowagi, padł jak długi w błoto. Ten cios francuskiego rycerza nie został może zadany z całą mocą, lecz i tak Nickowi dzwoniło od niego w głowie. Ostrze ześliznęło mu się po hełmie, przecinając koszulkę pancerną i niemal przebijając kolczugę na ramieniu. Dostrzegł, jak Francuz unosi topór, gotów wbić mu szydło w brzuch lub pierś, i rozpaczliwie ciął go z dołu własnym toporem. Było to pełne wściekłości cięcie, a ostrze topora utkwilo w pachwinie zbrojnego. Podobnie jak uderzenie, które zważyło Hooka z nóg, cios ten nie został zadany z całej siły, lecz był dostatecznie mocny, by Francuz zgiął się w pół z nagłego, przeszywającego bólu. Wówczas Will z Doliny pomógł Nickowi się podnieść, a kiedy łucznik stanął już na nogach, z krzykiem wbił szydło topora w górną część klatki piersiowej przeciwnika. Szpikulec przebił czepiec kolczy i przeszedł tuż nad górną krawędzią napierśnika. Hook napierał dalej, a potem potrząsnął rękojeścią, właczając ostrze głęboko między żebra tamtego, i patrzył, jak dolną część hełmu Francuza wypełnia krew, która zaczęła cieknąć przez otwór w przyłbicy. Nagle Hook otrzymał cięcie mieczem ze swej prawej strony, lecz powstrzymała je kolczuga. Wykonał zamach w tym kierunku toporem, ciągnąc wraz z bronią swoją ostatnią ofiarę i wytracając nowego napastnika z równowagi. Potem rzucił się na niego.

Posłużył się przy tym konającym Francuzem jak taranem. Wcisnął go w szeregi jego rodaków, a Sclate i Will z Doliny ruszyli za nim, krzycząc przy tym:

– Święty Jerzy!

– Święty Kryspin! – ryknął Hook. Wpychał umierającego coraz głębiej we francuskie szeregi, taranując jego ciałem innych zbrojnych. Z ust rannego znów trysnęła krew, gdy Nick chciał wydobyć ostrze z jego ciała. Inny z nieprzyjaciół próbował dźgnąć go kopią, lecz za Hookiem podążył Geoffrey Horrocks i trafił tamtego młotem bojowym w hełm. Obciążone ołowiem żelazo zadudniło głucho, a głowa Francuza odskoczyła w tył. Rycerz padł w błoto. Hook zdołał wreszcie wyszarpnąć topór z ciała rannego i uwolniony od jego ciężaru, zaczął krzyczeć jak opętany, i wymachując bronią na prawo i lewo, rzucił się na Francuzów.

– Zabić tych drani! Zabić ich! – wrzeszczał. Za nim ruszyli naprzód łucznicy, w których gniew zawrzał na nowo na widok niespodziewanej odsieczy ze strony sir Johna i jego zbrojnych.

Sam Cornewaille walczył właśnie z Lanferellem. Obaj byli tak szybcy, że trudno było nadażyć wzrokiem za kolejnymi pchnięciami, cięciami czy paradami. W tym czasie pozostali angielscy zbrojni po obu stronach sir Johna natarli na Francuzów z taką zaciekłością, że ludzie Lanferelle'a instynktownie zaczęli się cofać, broniąc się przed nowym przeciwnikiem. Wówczas kilku z nich potknęło się o leżące za ich plecami ciała. Upadali, a wówczas rzucali się na nich Anglicy, dźgając ich szydłami dwuręcznych toporów, rozcinając blachy pancerzy ostrzami, i z grymasem wysiłku na twarzy zabijając swych wrogów. Ta nagła rzeź odebrała resztki woli walki pozostałym Francuzom, którzy usiłowali się cofnąć, lecz na ich skrzydłach byli już łucznicy. Jeden po drugim francuscy rycerze zaczęli krzyczeć, że się poddają. Pospiesznie zdejmowali rękawice i zrozpaczonym tonem powtarzali w panice, że składają broń.

– Za późno! – rzekł szyderczo Will z Doliny do jednego z nich i ciął go ostrzem topora, które rozplatało naramiennik, druzgocząc łopatkę i górne żebra. Inny Francuz w porozrywanej opończy pełzał na czworakach. Krew ciekła mu z ust, a z jego niewidzących oczu płynęły łzy. Brnął tak w błocie, dopóki jakiś łucznik nie powalił go na ziemię solidnym kopniakiem i nie zabił go od niechcenia, dźgnąwszy nożem w usta. Młody Horrocks zatłukł na śmierć jakiegoś hrabię, raz za razem rąbiąc dwuręcznym toporem w napecznik leżącego Francuza i wykrzykując przekleństwa, podczas gdy jego ostrze masakrowało blachę pancerza i kręgosłup nieprzyjaciela.

Po chwili na placu boju pozostał jeszcze tylko Lanferelle, walczący z sir Johnem, i na mocy jakiejś niepisanej umowy pozostali angielscy rycerze nie wtrącali się do tego pojedynku. Przeciwnicy zaś zmagali się ze sobą w milczeniu. Stanęli mocno na nogach w grząskim błocie i cięli i rąbali, próbując przy tym różnych sztuczek i uników. Obaj jednak byli tak zręczni i szybcy, że żaden nie był w stanie uzyskać przewagi. Byli to dwaj rycerze niepokonani na turniejach całego chrześcijańskiego świata: Anglik i Francuz. Obaj przyzwyczajeni byli do towarzyszącej im pompy i splendorów: pełnych podziwu kobiecych spojrzeń, jaskrawych sztandarów, kurtuazji i rycerskości. Teraz jednak walczyli pośród trupów, jęków i westchnień konających, na polu cuchnącym krwią i kałem.

Rozstrzygnięcie zapadło przez przypadek. Lanferelle udał, że chce uderzyć sir Johna z lewej strony, po czym ze zdumiewającą prędkością wrócił do poprzedniej pozycji, i ciął, zmuszając tym samym Cornewaille'a, by zrobił krok w swoją prawą stronę. Wówczas stopa Anglika natrafiła na kopyto martwego bojowego rumaka, które ustąpiło pod jego ciężarem, i sir John pośliznął się i upadł

na kolano, zaś Lanferelle, szybki jak błyskawica, wziął zamach dwuręcznym toporem i wymierzył potężny cios prosto w jego hełm. Cornewaille padł jak długi na zboczony krwią brzuch wierzchowca. Oszołomiony, usiłował jeszcze odzyskać równowagę i na powrót stanąć na nogach, lecz Lanferelle uniósł już topór do śmiertelnego ciosu.

I pchnął.

Drugi francuski hufiec zepchnął niedobitki pierwszego z powrotem na pole bitwy, gdzie, za prawdziwym szańcem z martwych i konających Francuzów, czekały na nich ostrza Anglików. Znaczna ilość rycerstwa Francji poległa już lub wykrwawiała się na śmierć. Rycerze mieli pogruchotane kości i porozrywane wnętrzości. Mózgowie sączyło się ze zmiażdżonych hełmów trupów z wylupionymi oczyma i rozplatanymi brzuchami. Ludzie płakali, niektórzy wzywali Boga lub swoje żony czy matki, lecz w pobliżu nie było ani Wszechmogącego, ani żadnych kobiet, które mogłyby nieść pociechę.

Król Anglii ruszył teraz naprzód. Ściągnął jedne zwłoki z trzech leżących na sobie ciał, aby zrobić przejście przez stos trupów, i natarł z mieczem na nieprzyjaciela, który ośmielił się sprzeciwić woli Boga i nie chciał oddać mu francuskiej korony. Wraz z nim ruszyli do ataku jego zbrojni, tnąc toporami, rąbiąc maczugami i siekąc nadziakami zdemoralizowanego i znużonego brodzeniem w błocie przeciwnika. Niebawem powstały nowe stosy trupów, na ziemi legły kolejne zbroczone krwią zwłoki, a za plecami nacierających pozostali kolejni okaleczeni wrogowie, daremnie wzywający pomocy. Henryk szedł na czele swych ludzi, pomimo ostrzegawczych nawoływań tych, którzy chcieli, aby niepotrzebnie się nie narażał. Jego hełm był powgniatany i nosił ślady wielu ciosów, z jego lśniącej korony odrąbano złoty kwiat, lecz króla Anglii przepęłniała teraz słuszna i święta radość, gdyż w cierpieniach nieprzyjaciela widział jedynie dowód działania boskiej opatrności. Świeże skiby zostały już stratowane i zaorane pole zamieniło się w płaskie mokradło koloru krwi. Ludzie brodzili w papce z błota, posoki i kału, walczyli i umierali, zaś dusza Henryka wznosiła się ku niebu. Bóg był po jego stronie i ta pewność wciąż dodawała mu siłę, aby mógł dalej walczyć i zabijać.

Lanferelle pchnął mocno i z nienawiścią, lecz w tej samej chwili ostrze czyjegoś topora zahaczyło o jego lewy naramiennik, po czym mocno i energicznie szarpnęło nim do tyłu. Cios Francuza nie sięgnął sir Johna, lecz Pan Piekieł, jakimś cudem uniknąwszy upadku, zwrócił się ku nowemu przeciwnikowi, po czym zastygł w bezruchu.

Dwuręczny topór odciągnął go od sir Johna, ratując Cornewaille'a od niechybnej śmierci, a teraz szydło tej groźnej broni dotykało jego twarzy, przyciskając jego górną wargę do zębów. Lanferelle zaś miał przed sobą Nicka Hooka.

– Kiedy poprzednio z nim walczyłeś – rzekł łucznik – on pozwolił ci wstać. Czemu zatem nie chciałeś postąpić tak teraz wobec niego?

– Dziś to walka na śmierć i życie – odrzekł Francuz, głosem zniekształconym przez nacisk ostrza – a wtedy był to tylko turniej.

– Więc skoro to walka na śmierć i życie, czemu ja nie miałbym cię teraz zabić? – spytał Nick.

W międzyczasie sir John podniósł się na nogi. Nie wtrącał się jednak, a tylko przypatrywał całej scenie.

– Ponieważ Melisanda nigdy by ci tego nie wybaczyła – odrzekł Lanferelle i dostrzegł wahanie na twarzy Hooka. Napiął już mięśnie, gotów unieść własny dwuręczny topór, lecz wówczas stalowe szydło wbiło mu się w usta, rozrywając górne dziąsło.

– No dalej! – rzekł Hook. – Tylko spróbuj!

Sir John wciąż ich obserwował.

– Spróbuj tylko! – błagał Francuza Nick, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. – Chcesz tego jeńca, panie? – spytał, zwracając się do sir Johna.

– Jest twój, Hook.

– Jesteś mój – powtórzył Nick, patrząc Francuzowi w oczy.

– *Je me rends* – rzekł Lanferelle i puścił rękojeść swego topora, który upadł w błoto.

– Zdejmij hełm – rozkazał Nick, cofając nieco zakrwawione szydło topora.

Lanferelle spełnił rozkaz i zdjął hełm, a potem także czepiec koczny i skórzany uszał, uwalniając przy tym długie, czarne włosy. Oddał Hookowi prawą rękawicę, a tryumfujący łucznik odprowadził swego więźnia na tyły, gdzie przebywali pod strażą pozostali francuscy jeńcy. Pan de Lanferelle wydał się nagle znużony; znużony i oszołomiony.

– Nie krępuj mi rąk – poprosił.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ mam swój honor, Nicholasie Hooku. Poddałem się, a teraz daję ci moje słowo, że nie będę próbował znów stanąć do walki, ani też nie będę uciekał.

– W takim razie czekaj tutaj – rzekł Hook.

– Będę czekał – przyrzekł Lanferelle.

Hook krzyknął na jakiegoś pazia, aby przyniósł Francuzowi trochę wody, po czym wrócił na pole bitwy, która znowu zdawała się dogasać. Drugi francuski hufiec wcale nie sprawił się lepiej od pierwszego. Powiększył tylko stosy trupów, a teraz jego niedobitki brnęły z powrotem do swoich przez grząskie pole, zostawiając za sobą poległych i rannych towarzyszy oraz tych, którzy dostali się w ręce Anglików. Jeńców były setki. Książęta, hrabiowie, wielcy panowie i zbrojni, a wszyscy w opończach uwalanych błotem i przesiąkniętych krwią, stali teraz na tyłach angielskiego szyku i patrzyli z niedowierzaniem, jak resztki dwóch francuskich hufców wycofują się krok za krokiem.

Pozostał jeszcze trzeci hufiec. Wciąż powiewały nad nim proporce, a wzdłuż całej francuskiej linii widać było rycerzy dosiadających wierzchowców i wołających na giermków, by przynieśli im długie kopie.

– Strzały! – odezwał się w głowie Hooka święty Kryspinian. – Potrzebujecie strzał!

Bitwa nie była jeszcze rozstrzygnięta.

Melisanda wciąż obserwowała wypadki ze swojej kryjówki.

Angielski tabor stał we wsi Maisoncelles i na otaczających ją podmokłych pastwiskach. Jego część znajdowała się również w połowie stoku wiodącego na płaskowyż, gdyż paziowie i służba zaprowadzili tam juczne konie, aby znalazły się pod ochroną angielskiej armii, jeśli armia ta jeszcze

w ogóle istniała. Melisanda sama również nie wiedziała, czy angielskie wojska jeszcze walczą. Widziała wcześniej ludzi wyłaniających się zza horyzontu, lecz było ich niewiele, zaś sądząc z tego, jak się poruszali, byli to ranni żołnierze. Potem pojawiła się kolejna fala, i ludzie ci szli wolno, a nie uciekali w panice, lecz dziewczyna nie domyśliła się, że to jeńcy, których odprowadzano pod strażą w stronę wioski. Ten brak paniki sugerował jednak, że angielska armia wciąż utrzymuje pozycje na płaskowyżu, lecz dziewczyna obawiała się, że Anglicy lada chwila wyłonią się zza szczytu wzgórza, ścigani przez żądnych zemsty Francuzów.

Miast tego jednak od zachodu nadjechali francuscy konni, którzy teraz spięli wierzchowce ostrogami i popędzili do wioski. Melisanda widziała potem, jak zabili paziów, a następnie zeskoczyli z siodeł, by przetrząsać angielski tabor.

Jeźdźcy ci przepędzili chłopów, którzy przybyli tu przed nimi. Na straży obozowiska pozostała garstka zbrojnych i rannych łuczników. Było ich jednak łącznie tylko trzydziestu, a w dodatku zużyli strzały przeciwko chłopom, więc teraz zaczęli wycofywać się na wzgórze. Towarzyszące armii kobiety poszły wraz z nimi, a tymczasem Francuzi znaleźli kwatery angielskiego króla. Przy królewskich skarbach pozostał ksiądz i dwóch paziów, lecz wszyscy trzej szybko poszli pod nóż, a potem już na dobre zaczął się rabunek.

Melisanda przyglądała się wszystkiemu. Widziała, jak jakiś mężczyzna paraduje w obszytej futrem purpurowej szacie, z koroną na głowie, a jego towarzysze się śmieją. Zupełnie nie rozumiała, co się dzieje. Mogła się tylko modlić, by Nick wciąż był przy życiu, więc zamknęła oczy, skuliła się za krzakiem głogu i wzniosła do nieba swą modlitwę.

Hook wciąż jeszcze żył.

Dwa francuskie hufce wycofały się, z trudem brnąc ku swoim przez zaorane pole i zostawiając za sobą mnóstwo ciał w powalanych błotem pancerzach. Trzeci francuski hufiec dosiadał teraz koni. Była to najmniejsza ze trzech francuskich formacji, lecz i tak liczniejsza od całej angielskiej armii. Kopie rycerzy wzniesione były pionowo w górę, a na niektórych z nich powiewały dumne proporce. Zabrzmiały trąby. Trzeci hufiec nie mógł jeszcze rozpocząć szarży, gdyż przed nim było mnóstwo pieszych rycerzy, lecz postąpił o kilka kroków naprzód, po czym znów wstrzymał wierzchowce.

– Strzały! – krzyknął na swych ludzi Hook.

– Nie ma już strzał! – odparł Will z Doliny.

– Ależ oczywiście, że są! – stwierdził Hook.

Odnalazł swój łuk, zawiesił go na ramieniu i powiodł swoich ludzi na środek pola, gdzie leżały ciała Francuzów, zaś wokół nich mnóstwo wystrzelonych wcześniej pierzastych pocisków. Niektóre były teraz już bezużyteczne, gdyż trafiły bezpośrednio w solidny pancerz i ich ostre groty wykrzywiły się lub stępiły, lecz wiele było jeszcze w całkiem dobrym stanie. Hook znalazł też kilka nieuszkodzonych grotów u strzał, które miały pęknięte drzewca, więc powyciągał je i połączył z drzewcami nadającymi się wciąż do użytku. Przy okazji przeszukiwał też trupy. Na szyi jednego z Francuzów znalazł srebrny łańcuch i wrzucił go do swego kołczana. Stosy francuskich rannych i zabitych przetrząsali też angielscy zbrojni, wygrzebując żywych spod poległych, dobijając tych, którzy nie mieli szans na przeżycie, lub byli zbyt ubodzy, by warto było brać za nich okup, i niosąc ratunek bogatym. Hook podniósł szaropiórą strzałę tkwiącą w fałdach opończy leżącego na wznak Francuza, który nagle się poruszył. Nick sądził, że człowiek ten nie żyje, lecz teraz ranny jęknął i zwrócił ku łucznikowi swą zasłoniętą przyłbicą twarz. Hook uniósł stalową zasłonę i ujrzał wystraszone oczy tamtego.

– *Aidez moi* – powiedział Francuz, krztusząc się przy tym. Hook nie mógł dostrzec na jego ciele żadnej rany ani też uszkodzeń pancerza, lecz gdy próbował unieść rannego, ten przeraźliwie krzyknął i zemdlął z bólu. Nick opuścił go z powrotem na ziemię. Wziął tylko strzałę i ruszył dalej. Nagle zaczął na niego szczekać jakiś pies. Zwierzę stało nad zwłokami rycerza w przesiąkniętej krwią opończy. Hook starał się nie drażnić psa i obszedł go szerokim łukiem, aby pozbierać jeszcze tuzin strzał, które włożył do kołczana.

– Nick! Uważaj! – zawołał Will z Doliny, a Hook podniósł głowę i ujrzał samotnego francuskiego jeźdźca, który podążał w ich stronę pomiędzy wycofującymi się niedobitkami dwóch pierwszych hufców. Człowiek ten był niewielkiego wzrostu i raczej skromnej postury, zaś jedyną bronią, jaką przy sobie miał, był tkwiący w pochwie miecz. Zakuty był co prawda w płytową zbroję, lecz nie dosiadał opancerzonego bojowego rumaka, a jedynie drobnej, srokatej klaczy. Jego białą, płócienną opończę zdobił wizerunek dwóch czerwonych toporów, nad którymi połyskiwał złotem ciężki łańcuch, zawieszony na jego szyi. Przyłbicę miał uniesioną i zdawał się szukać czegoś lub kogoś pośród stosów ciał. Wstrzymał jednak konia, gdy zorientował się, że obserwują go łucznicy.

– Łajdak szuka kłopotów – stwierdził Will.

– Nie, po prostu nam się przygląda – odrzekł Hook. – To zresztą tylko jakiś młodzian. Dajcie mu spokój – dodał, po czym podniósł strzałę z myśliwskim ostrzem i kolejną, z grotem do przebijania pancerza. Zerknął raz jeszcze na jeźdźca, który nagle dobył miecza i spiął konia ostrogami. – Może jednak rzeczywiście szuka kłopotów – powiedział i zdjął z ramienia łączysko, zaparł je o napierśnik jakiegoś trupa i założył cięciwę.

Jeździec znów przystanął, tym razem po to, by spojrzeć uważnie w gąszcz pancerzy i ciał. Zabici leżeli jedni na drugich i człowiek ten wydawał się zafascynowany tym widokiem. Wpatrywał się w pobojuwisko przez dłuższą chwilę, znajdując się teraz ledwie dwadzieścia kroków od łuczników, po czym nagle wydał z siebie piskliwy bojowy okrzyk i skierował srokatą klacz wprost

na Hooka. Zwierzę posłuchało go i ruszyło przez błotniste pole, wzbijając kopytami wielkie grudy ziemi.

– Głupiec! – rzekł gniewnie Hook. Założył na cięciwę strzałę z ostrym grotem i uniósł łuk, a jednocześnie to samo zrobił tuzin łuczników. Nick sądził, że Francuz zawróci, lecz ten pochylił tylko miecz, próbując przeszyć łuczника ostrzem jak włócznią. Hook napiął cięciwę aż do prawego ucha, nie myśląc nawet o tym, co robi. Jego ruch był działaniem instynktu. Gdy cięciwa napinała się, obserwował jeszcze jeźdźca, który wznosił się i opadał na grzbiecie srokatej klaczy. Ujrzał podniesioną przyłbicę i nienaturalnie jasne oczy, i spuścił cięciwę.

Strzała utkwiała w prawym oku jeźdźca, a siła uderzenia gwałtownie odrzuciła jego głowę w tył. Miecz wypadł mu z ręki, klacz zwolniła, po czym, zdezorientowana, przystanęła tuż przed Hookiem, w odległości nie większej niż długość skróconej kopii. Żaden z pozostałych łuczników nie zwolnił cięciwy.

Z angielskich szeregów zabrzmiał okrzyk tryumfu, gdy martwy jeździec wolno spadał z siodła. Trwało to dłuższą chwilę, gdyż najpierw osunął się łagodnie na bok, by wreszcie raptownie zwalić się na ziemię pośród szczęku pancerza.

– Zabierz jego konia – polecił Horrocksowi Nick.

Sam zaś podszedł do trupa. Wyszarpnął strzałę z oczodołu, aby móc zdjąć mu z szyi gruby, złoty łańcuch, lecz nagle jego dłoń zatrzymała się w pół ruchu, gdyż na łańcuchu wisiał sporych rozmiarów brelok. Był ciężki i rzeźbiony z kości słoniowej, a na oprawionym w srebro medalionie znajdowała się antylopa z gagatu.

– Ty mały durniu! – rzekł Hook, zdejmując z głowy chłopca hełm, który był dla niego zbyt duży. Spoglądał teraz na okaleczoną twarz sir Filipa de Rouelles.

– To jeszcze chłopiec – zauważył zdumiony Horrocks.

– Głupi i uparty chłopiec, ot co! – stwierdził Hook.

– Czego on tutaj szukał?

– Zgrywał odważnego, jasna cholera! – mruknął Hook. Zdjął ciężki, złoty łańcuch i podszedł kilka kroków do stosu ciał, w który chłopiec przedtem się wpatrywał. Tam zaś, na ciałach dwóch innych rycerzy, spoczywały zwłoki w opończy tak nasiąkniętej krwią, że początkowo Nick nie mógł dojrzeć widniejącego na niej godła, lecz w końcu dostrzegł zarys dwóch czerwonych toporów na czerwieńszej od nich samych tkaninie. Hełm spadł z głowy zabitego i widać było gardło, przecięte aż po kręgi szyjne. – Przyjechał odszukać ojca – powiedział Horrocksowi Nick.

– Skąd wiesz?

– Wiem, i tyle – odparł Hook. – Biedny mały dureń! Chciał tylko znaleźć ojca! – dodał, po



czym wrzucił łańcuch z brelokiem do kołczana, podniósł jeszcze jedną strzałę zostrym grotem i zawrócił ku angielskim szeregom.

Tymczasem król, w poobijanym hełmie i opończy porozrywanej przez wrogie ostrza, dosiadł swego małego, białego konia, by lepiej przyjrzeć się nieprzyjacielowi. Widział, jak rycerze ocaleli z pogromu idą chwiejnym krokiem na północ. Za nimi stał jeszcze z uniesionymi w górę kopiami trzeci hufiec, a Henryk wiedział, że jego łucznicy prawie nie mają już strzał.

Nagle nadszedł posłaniec z wiadomością, że Francuzi napadli na tabor, a król obrócił się w siodle i spostrzegł, że setki jego ludzi pilnują teraz francuskich jeńców. Bóg jeden wie, ilu dokładnie było tych więźniów, lecz z pewnością znacznie więcej niż jego rycerzy. Rozejrzał się na prawo i lewo. Stał do bitwy na czele dziewięciuset zbrojnych, a teraz ich linia była znacznie cieńsza, gdyż bardzo wielu ludzi wzięło jeńców i teraz musiało ich pilnować. Podobnie było zresztą w przypadku łuczników. Część z nich chodziła po polu bitwy, zbierając strzały, i takie zachowanie król jak najbardziej pochwalał, choć wiedział, że z pewnością nie uda im się znaleźć dosyć pierzastych pocisków, by powalić na ziemię konie trzeciego francuskiego hufca, nim ten dosięgnie angielskich szeregów. Król widział, jak jakiś głupi Francuz rzucił się konno na łuczników i skrzywił się, gdy ci wiwatowali, uśmierciwszy tego szaleńca. Potem spojrzał znów na swą armię.

Wojsko było w nieładzie. Henryk wiedział, że Anglicy znów sformują szyk, kiedy ostatni francuski hufiec ruszy do szarży, lecz teraz za ich plecami będą setki jeńców, którzy mogą ponownie stanąć do walki. Nie mieli co prawda hełmów i odebrano im broń, lecz i tak mogli rzucić się od tyłu na jego ludzi. W dodatku nie wszyscy mieli skrupowane ręce, więc nietrudno byłoby im się oswobodzić i zaatakować niebezpiecznie wątlą angielską linię. Poza tym istniało jeszcze zagrożenie ze strony Francuzów plądrujących królewski tabor, choć ta akurat sprawa mogła jeszcze poczekać. Najważniejsze było teraz powstrzymanie trzeciego francuskiego natarcia, a żeby tego dokonać, Henryk potrzebował każdego żołnierza swej niewielkiej armii. Szarżującym rumakom przeszkadzać będą setki zalegających pole bitwy ciał, lecz w końcu Francuzi przedrą się przez stosy trupów, a wówczas ich długie kopie wbiją się w jego linię. Potrzebował więc dosłownie każdego człowieka.

Ludzie zaś spoglądali na swego króla. Widzieli, jak zamyka oczy, i wiedzieli, że modli się do surowego Boga, który w dniu dzisiejszym pozwolił jak dotąd przetrwać jego niewielkiej armii. Henryk modlił się, by Bóg wciąż obdarzał ją łaską, a kiedy jego usta poruszały się, wypowiadając słowa modlitwy, otrzymał odpowiedź na błaganie. Odpowiedź ta była tak zdumiewająca, że na chwilę zamilkł i zastygł w bezruchu, po czym powiedział sobie, że to sam Bóg do niego przemówił, więc otworzył oczy.

– Zabić jeńców! – rozkazał.

Jeden ze zbrojnych w królewskich barwach uniósł wzrok i spojrzał nań w osłupieniu. Nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Co rozkażesz, panie?

– Zabić jeńców!

W ten sposób więźniowie nie będą mogli znów wziąć udziału w walce, a strzegący ich ludzie z powrotem staną w bitewnym szyku.

– Zabić wszystkich! – krzyknął Henryk, wskazując więźniów dłonią w stalowej rękawicy. Jeden z jego zbrojnych szybko ich przeliczył i stwierdził, że pojmano ponad dwa tysiące Francuzów, a gest króla zdawał się obejmować ich wszystkich. – Zabić ich! – rozkazał raz jeszcze Henryk.

Przed bitwą Francuzi wywiesili dumną chorągiew Oriflamme, obwieszczając swym wrogom, że nie będą brać jeńców, lecz teraz sami nie mieli zaznać litości.

Jeńców czekała śmierć.

Pan de Lanferelle snuł się z ponurą miną na tyłach angielskich linii. Widział Henryka w pogniecionym od nieprzyjacielskich ciosów hełmie, siedzącego na koniu, a potem przeżył wstrząs, widząc, że Karol Orleański, bratanek francuskiego monarchy, także jest angielskim jeńcem. Był to bardzo młody człowiek, uroczy i inteligentny, lecz teraz, w pochłapanej krwią opończy, trzymany mocno za ramię przez łucznika noszącego barwy króla Anglii, wydawał się oszołomiony, zobojętniały i chory.

– Panie! – powitał go Lanferelle, przyklękając na jedno kolano.

– Jak to się mogło stać? – spytał książę Orleanu.

– Wszystko przez to błoto – odrzekł Pan Piekieł.

– Mój Boże! – westchnął książę. Nagle skrzywił się, lecz nie tyle z bólu, gdyż prawie nie był ranny, ile raczej ze wstydu. – Alençon nie żyje – dodał po chwili – podobnie zresztą jak Bar i książę Brabancji. Sens także zginął.

– Arcybiskup poległ? – spytał Lanferelle, jakby bardziej wstrząsnęła nim śmierć księcia Kościoła, niż tym, że w bitwie padło trzech spośród najszlachetniejszych książąt Francji.

– Po prostu wypruli mu flaki, Lanferelle – stwierdził książę. – Wypruli mu flaki. W dodatku d'Albert też nie żyje.

– Konstabl poległ?

– Owszem – przytaknął Karol. – A księżę de Bourbon został pojmany.

– Dobry Boże! – westchnął Lanferelle, choć wcale nie dlatego, że konstabl Francji poległ, a księżę de Bourbon, zdobywca Soissons, dostał się do niewoli, lecz z uwagi na to, że właśnie ujrzał, jak w ich kierunku prowadzono pod strażą marszałka Boucicault, uznawanego za największego wojownika w całej Francji, który miał teraz dołączyć do księcia Karola Orleańskiego jako angielski jeńiec.

Marszałek spojrział zaś ze zdumieniem na Lanferelle'a, a potem na księcia królewskiej krwi, i pokręcił siwiejącą głową.

– Wygląda na to, że wszyscy skazani jesteśmy na gościnność Anglików – mruknął.

– Kiedy byłem ich jeńcem, traktowali mnie całkiem przyzwoicie – stwierdził Lanferelle.

– Jezu Chryste, będziesz musiał uzbierać na jeszcze jeden okup? – spytał Boucicault. Jego biała opończa z wizerunkiem czerwonego, dwugłowego orła była potargana i poplamiona krwią. Jego zbroja, polerowana przez całą noc do oślepiającego wręcz połysku, nosiła teraz ślady wielu ciosów i uwalana była błotem. Spojrzął z goryczą na pozostałych jeńców. – Jak jest tam za morzem? – zapytał.

– Mają cierpkie wino i całkiem przyzwoite piwo – odparł Lanferelle – no i oczywiście deszcz.

– No tak, deszcz – powtórzył gorzkim tonem Boucicault. – To właśnie on przyniósł nam zgubę. Deszcz i błoto – dodał. Sam był w ogóle przeciwny temu, by stoczyć bitwę z wojskami Henryka, bez względu na pogodę, obawiając się rzezi, jaką mogą zgotować Francuzom angielscy łucznicy. Raz za razem powtarzał, że lepiej będzie pozwolić niewielkiej armii dowlec się w nastroju przygnębienia i z poczuciem porażki do Calais, zaś własne wysiłki skupić raczej na odzyskaniu Harfleur, lecz porywczy księżęta królewskiej krwi, tacy jak Karol Orleański, nalegali, aby jednak stoczyć bitwę. Boucicault poczuł nagle, jak wzbiera w nim rozgoryczenie, i korciło go, by rzucić teraz księciu to oskarżenie prosto w twarz. Zdołał oprzeć się tej pokusie. – Wilgotna Anglia! – rzekł zamiast tego. – Powiedźcie mi przynajmniej, że kobiety też są tam wilgotne.

– I to jak! – zawołał Lanferelle.

– Będą mi potrzebne – rzekł marszałek Francji, wpatrując się w ponure niebo. – Wątpię, by nasz kraj był w stanie zapłacić za nas okup, a to oznacza, że prawdopodobnie wszyscy umrzemy w Anglii i będziemy potrzebować jakichś rozrywek dla zabicia czasu.

Lanferelle zastanawiał się, gdzie jest Melisanda. Nagle poczuł, że chciałby ją zobaczyć i z nią porozmawiać, lecz jedynymi kobietami, jakie zdołał dostrzec, były nieliczne Angielki, które przynosiły wodę rannym. Umierającym kapłani udzielali ostatniego namaszczenia, zaś przy rannych i kontuzjowanych klęczeli medycy. Rozcinali sprzączki przytrzymujące pancerz, wyjmowali pogruchotaną stal ze zmiażdżonych ciał i usiłowali przytrzymać ludzi dygocących w

przedśmiertnych drgawkach. Lanferelle spostrzegł jednego ze swych zbrojnych, więc pozostawiwszy księcia Orleanu i marszałka w towarzystwie strażników, podszedł doń i przykucnął obok, wzdrygając się na widok jego zmasakrowanej lewej nogi, niemal odrąbanej od reszty ciała ciosami toporów. Ktoś przewiązał udo rycerza kawałkiem ścięciwy, lecz z poszarpanej rany wciąż uchodziła krew, pulsując obficie.

– Przykro mi widzieć cię w tym stanie, Jules – rzekł Lanferelle.

Jules nie mógł wydobyć z siebie głosu. Kręcił tylko głową na boki. Tak mocno zagryzał dolną wargę, że po podbródku także ciekła krew.

– Będiesz żył, Jules – powiedział Lanferelle, wątpiąc we własne słowa, po czym odwrócił się gwałtownie, usłyszawszy gniewny okrzyk.

Zamarł w bezruchu, patrząc przed siebie z niedowierzaniem. Angielscy łucznicy mordowali jeńców. Przez moment sądził, że ludzie ci musieli postradać zmysły, lecz po chwili ujrzał, że dowodził nimi rycerz w barwach króla Henryka. Francuscy więźniowie, mający związane ręce, usiłowali uciekać, lecz łucznicy dopadali ich, powalali na ziemię i długimi sztyletami podrzynali im gardła. Wokół tryskała krew, wsiąkająca w opończe uśmiechniętych Anglików, i coraz więcej łuczników z nożami w dłoniach przyłączało się do tej rzezi. Niektórzy angielscy zbrojni usiłowali odciągnąć na bok swych jeńców, najwyraźniej nie chcąc utracić widoków na bogate okupy, podczas gdy najszlachetniejszych i najcenniejszych więźniów, takich jak marszałek Boucicault i książęta Karol Orleański i de Bourbon, pilnie strzeżono, aby nie padli ofiarą tej masakry. Całą resztę pojmanyh Francuzów zabijano jednak bez litości. Lanferelle nawet to rozumiał. Angielski król bał się, że jeńcy zaatakują jego sztyk od tyłu, kiedy do natarcia ruszy trzeci francuski hufiec, więc aby temu zapobiec, kazał wymordować jeńców. Lecz mimo iż postępek ten miał pewien sens, to i tak nie przestawał zdumiewać Lanferelle'a. Wtem ujrzał, że łucznicy idą także ku niemu, więc poklepał Julesa po ramieniu.

– Udawaj lepiej trupa, Jules – rzekł przy tym. Nie przychodziło mu do głowy, jak inaczej mógłby uchronić od śmierci swego zbrojnego, gdyż sam nie mógł wszak go bronić gołymi rękami. Oddalił się pospiesznie, usiłując znaleźć sir Johna. Był pewien, że Cornewaille go uratuje. Gdyby zaś nie zdołał go znaleźć, zamierzał dotrzeć do lasu Tramecourt i ukryć się tam w jakichś zaroślach.

Niektórzy z jeńców próbowali się bronić, lecz byli nieuzbrojeni i łucznicy z łatwością powalali ich na ziemię dwuręcznymi toporami. Anglicy zręcznie poruszali się w błocie i zabijali więźniów z zatrważającą skutecznością. Na południowym skraju zaoranego pola znajdowały się bojowe rumaki Anglików, niemal tysiąc osiodłanych ogierów, i teraz garść Francuzów usiłowała do nich dotrzeć, lecz kilku strzegących koni paziów dosiadło wierzchowców i odrzuciło ich z powrotem tam, skąd przyszli. Śmierci kolejnych ofiar oraz zaganianiu ich prosto w ręce zabójców towarzyszyła panika, przeraźliwe wrzaski i fontanny krwi. Coraz więcej łuczników przyłączało się do tych jatek, zaś jeńcy kręcili się bezradnie po grząskim, zaoranym polu, w poszukiwaniu nieistniejącej drogi ucieczki. Także i dla Lanferelle'a nie było już ratunku. Dotarł on właśnie do prawego skrzydła angielskich pozycji, gdzie na skraju lasu stała maleńka chata leśniczego, która teraz jednak płonęła.

Ze środka, poprzez gęste kłęby dymu, doszły go krzyki umierających rodaków. Anglicy, którzy podpalili chałupę, dostrzegli go teraz i skierowali się ku niemu, więc skręcił na północ, lecz tam ujrzał jeszcze więcej łuczników, zagradzających mu w dodatku drogę ku temu miejscu w angielskim szyku, gdzie powiewał proporzec sir Johna. Wtem, z uczuciem ulgi, ujrzał wśród nich wysoką postać o ciemnej karnacji – Nicholasa Hooka.

– Hook! – zawołał, lecz ten go nie usłyszał. Wykrzyczał więc głośno imię swojej córki, licząc, że może ono przebije się przez panującą wrzawę. Znów bowiem grały trąby, wzywając Anglików na powrót pod sztandary. – Hook! – ryknął raz jeszcze zrozpaczonym tonem.

– Czego chcesz od Hooka? – zapytał nagle jakiś męski głos. Lanferelle odwrócił się i ujrzał naprzeciw siebie czterech łuczników. Ten, który właśnie się odezwał, był wysoki i miał wystającą dolną szczękę, zaś w dłoniach dzierżył zakrwawiony dwuręczny topór. – Znasz go? – spytał teraz.

Lanferelle zaczął się cofać.

– Zadałem ci pytanie – rzekł tamten, ruszając w jego stronę. Uśmiechał się przy tym szeroko, widząc strach na obliczu Francuza. – Bogacz z ciebie, co? Jeśli jesteś bogaty, być może darujemy ci życie. Musisz jednak być naprawdę bardzo bogaty – dodał i zamachnął się toporem, mierząc w nogi Francuza, licząc, że trafi go w kolano i zwali przeciwnika z nóg. Lanferelle zdołał jednak cofnąć się, nie potykając się przy tym, i uniknął ciosu. Zachwiał się tylko, łapiąc równowagę na grząskim podłożu.

– Jestem bogaty – rzekł rozpaczliwym tonem. – Nawet bardzo bogaty!

– On gada po naszymu! – rzekł wysoki łucznik do swych towarzyszy. – Jest bogaty i gada po angielsku – dodał i ponownie zaatakował Francuza toporem. Tym razem szydło uderzyło w lewy nabiodrek Lanferelle'a, lecz pancerz wytrzymał cios i szpikulec ześliznął się z uda Pana Piekieł. – A dlaczego wołałeś Hooka? – spytał łucznik, unosząc topór do kolejnego ciosu.

Lanferelle uniósł dłoń w pojednawczym geście.

– Jestem jego jeńcem – oświadczył.

Tamten tylko się zaśmiał.

– Jeńcem naszego Nicka? – spytał. – Schwytał sobie bogacza, co? Nigdy nie weźmie za niego okupu – dodał i pchnął szydłem w napierśnik Francuza, który co prawda zatoczył się nieco, robiąc krok w tył, lecz znowu nie dał się wytrącić z równowagi. Zerkał dokoła rozpaczliwie, licząc, że uda mu się dojrzeć jakąś porzuconą broń, a wysoki angielski łucznik uśmiechnął się tylko promiennie na widok przerażenia na zakrwawionej twarzy Francuza. Anglik miał na sobie koszulkę pancerną założoną na koleczugi, a jego wyściełany kaftan był rozcięty, tak że sterczały zeń wystrzępione i zaschnięte od krwi kępki wełny. Czerwony krzyż świętego Jerzego rozmył mu się na deszczu, przez co jego krótka opończa, ozdobiona wizerunkiem księżycy i gwiazd, wydawała się krwistoczerwona. – Nie możemy dopuścić do tego, żeby Nick Hook stał się bogaty – rzekł i uniósł dwuręczny topór,

gotów zdruzgotać nim nieosłoniętą głowę Francuza.

I właśnie wtedy Lanferelle ujrzał miecz. Miecz był krótki i nieporęczny, a w dodatku z kiepskiej stali, i obracając się w powietrzu mknął ku niemu. Przez ułamek sekundy myślał nawet, że ktoś chciał go nim przebić, po czym zdał sobie sprawę, że raczej ktoś cisnął mu miecz, aby miał się czym bronić. Ostrze zatoczyło łuk ponad ramieniem wysokiego łuczника, a Lanferelle wyciągnął rękę i zdołał schwycić rękojeść miecza. W tym czasie jednak topór spadał już nań z całą siłą mięśni łucznika i Francuz nie miał czasu, by sparować cios. Mógł jedynie rzucić się przed siebie, skracając dystans, i całym ciężarem zakutego w zbroję ciała uderzyć w przeciwnika, odrzucając go do tyłu. Toporzysko spadło na jego lewe ramię, a on sam ciął tamtego mieczem, lecz zbyt słabo, a w dodatku siłę ciosu zamortyzował kołczan. Jeden z pozostałych łuczników zaatakował go dwuręcznym toporem, lecz Lanferelle odzyskał już równowagę i odparował uderzenie, po czym z niewiarygodną szybkością wziął zamach i ciął nowego napastnika przez twarz. Tamten zatoczył się do tyłu, a z jego strzaskanego nosa i rozciętego policzka popłynęła krew. Francuz zrobił znów krok w tył, czekając z mieczem na atak wysokiego Anglika.

Miał teraz przed sobą trzech łuczników, lecz dwóch z nich nie miało odwagi nań uderzyć, przez co ten wysoki został na placu boju sam. Rozejrzał się wokół siebie i ujrzał nadchodzącego właśnie Hooka.

– Ty draniu! – warknął nań. – To ty dałeś mu ten miecz!

– On jest moim jeńcem – oświadczył Hook.

– A król rozkazał pozabijać jeńców!

– Więc go zabij, Tom – rzekł rozbawiony Nick. – Zabij go!

Tom Perrill spojrzał znów na Francuza. Ujrzał wyraz zawziętości w jego oczach i pomyślał o tym, z jaką szybkością człowiek ten robił uniki i parował ciosy, więc opuścił swój topór.

– Sam go zabij, Hook – rzekł szyderczym tonem.

– Panie! – rzekł Nick, zwracając się teraz do Lanferelle'a. – Temu człowiekowi zaoferowano pieniądze za to, by zgwałcił twoją córkę. Jak dotąd tego nie zrobił, ale dopóki żyje, panie, Melisanda jest w niebezpieczeństwie.

– Więc go zabij – odrzekł Francuz.

– Obiecałem Bogu, że tego nie zrobię.

– Ale ja niczego Mu nie obiecywałem – stwierdził Lanferelle i błysnął ostrzem miecza przed oczyma Toma Perrilla, zmuszając go, by zrobił krok w tył. Łucznik spojrzał na Hooka szeroko otwartymi oczyma, nie potrafiąc ukryć strachu i zdumienia, po czym ponownie zwrócił się ku Francuzowi, który miał teraz uśmiech na twarzy. Jego miecz był krótki i z kiepskiej stali, a dwuręczny

topór łuczniaka miał znacznie dłuższy zasięg, lecz Lanferelle i tak był pewien siebie, gdy ruszył wreszcie ku niemu.

– Zabić go! – krzyknął Perrill na towarzyszy, lecz żaden z nich nawet się nie poruszył. Sam więc zaatakował Francuza, zadając mu desperackie pchnięcie toporem, wymierzone w dół jego brzucha. Lanferelle odparował je z pogardliwą łatwością, po czym uniósł miecz i uderzył jeden jedyny raz.

Ostrze utkwiło w tchawicy Perrilla, z której natychmiast trysnęła krew. Łucznik spoglądał jeszcze na swego zabójcę, podczas gdy język wolno wysuwał mu się z ust, z których ciekła obfitą strugą krew, spływając po ostrzu i plamiąc pozbawioną rękawicy prawą dłoń Francuza. Przez ułamek sekundy zabójca i jego ofiara stali tak w bezruchu, po czym Perrill zwałił się na ziemię, a Lanferelle wydobyl ostrze z jego ciała i odrzucił je Hookowi.

– Dosyć! Dosyć! – pokrzykiwał przejeżdżający za linią łuczników człowiek w królewskich barwach. – Dosyć! Koniec z zabijaniem! Stać! Dosyć, mówię!

Hook wolnym krokiem wrócił do szeregu.

Ujrzał ciemne chmury, zasnuwające niebo nad zaoranyim polem pod Azincourt.

Zaś przed frontem angielskiej armii dostrzegł pole zasłane martwymi i umierającymi rycerzami. Pomyślał, że legło tam chyba więcej ludzi, niż Henryk przyprowadził na to mokre i grząskie miejsce, w którym odbyła się rzeź. Niezliczone rzesze trupów leżały teraz pośród skib, splątane ze sobą i zbroszone krwią. Zakute w żelazo zwłoki, w opończach poplamionych posoką, nosiły ślady cięć, pchnięć i miażdżących uderzeń. Na polu bitwy pozostali ludzie i konie. Legła na nim porzucona broń, połamane sztandary i zniweczone nadzieje. Pole, na którym posiano właśnie oziminę, wydało straszliwy, krwawy plon.

Zaś na jego przeciwległym krańcu, poza zwałami trupów, konających i szlochających rycerzy, trzeci francuski hufiec zawracał właśnie wierzchowce.

Potęga Francji zawracała rumaki, a rycerze kierowali się na północ, pozostawiając za sobą krwawe pole pod Azincourt, uciekając przed śmiesznie małą armią, która sprawiła, że w tym straszliwym dniu świat zawałił im się na głowy.

To był już koniec.





## *Epilog*

Był zimny, listopadowy dzień. Niebo było jasne, a powietrze wypełniał dźwięk kościelnych dzwonów, radosnych okrzyków i śpiewu.

Hook nigdy w życiu nie widział takich tłumów. Londyn oddawał właśnie cześć swemu królowi i świętował jego zwycięstwo. Fontanny napełniono winem, na rogach ulic wzniesiono makiety zamków, zaś chóry chłopców przebranych za anioły, starców w kostiumach proroków i dziewcząt w strojach nadobnych dziewic śpiewały peany na cześć angielskiego monarchy. Pośród tych tłumów i wiwatów jechał Henryk w skromnej szacie, nie mając na sobie korony i nie dzierżąc berła. Za nim podążali najznamienitsi spośród francuskich i burgundzkich jeńców: księżę Karol Orleański, księżę de Bourbon, marszałek Francji oraz całe mnóstwo innych książąt i hrabiów. Wszyscy ci więźniowie byli przedmiotem dobrodusznych kpin i szyderstw zgromadzonych tłumów. Mali chłopcy biegli u boku wierzchowców, których dosiadali strzegący jeńców łucznicy, wyciągając ręce, by dotknąć ich tkwiących w pokrowcach łuków i spoczywających w pochwach mieczy.

– Byłeś tam? – pytali przy tym łuczników. – Byłeś? Naprawdę?

– Byłem – odparł Hook, choć sam oddalił się już teraz od pochodu i towarzyszących mu śpiewów i wiwatów oraz krążących nad nim białych gołębi.

Wraz z czterema towarzyszami zapuścił się w boczne uliczki leżące na północ od Cheapside. Na czele ich niewielkiej grupki jechał ojciec Krzysztof, wiodący ich coraz węższymi zaułkami, aż musieli jechać gęsiego i nieustannie pochylać się w siodle, by nie uderzać głową o zwieszające się nad nimi wyższe piętra drewnianych domów. Hook miał na sobie kolczugę, dwie pary spodni i wyściełaną koszulkę kolczą dla ochrony przed zimnem oraz buty zdarte z jakiegoś martwego hrabiego na polu bitwy pod Azincourt. Na wierzchu zaś nosił nową opończę, ozdobioną herbem sir Johna Cornewaille'a – dumnym lwem. Na szyi Nicka wisiał złoty łańcuch, oznaka jego rangi. Był teraz bowiem setnikiem sir Johna. Z łęku jego siodła zwisał hełm z mediolańskiej stali, noszący nieznacznym tylko ślad po uderzeniu toporem. Jego miecz wykonany został w Bordeaux, a jego rękojeść ozdobiona była rzeźbionym wizerunkiem konia, będącym herbem Francuza, do którego należał niegdyś zarówno

hełm, jak i miecz.

– Byłem tam – powiedział Hook małemu, obdartemu chłopcu. – Wszyscy tam byliśmy – dodał, po czym podążył za ojcem Krzysztofem za róg ulicy, schylając głowę, by nie zawadzić o zwisający nisko krzak, będący znakiem jakiegoś składu win. Znalazł się na niewielkim skwerze, na którym cuchnęło nieczystościami, płynącymi przez otwarte rynsztoki. Na północnym krańcu placu stał kościół. Był to kościółek ubogi i maleński, ze ścianami zrobionymi z plecionki narzuconej tynkiem i z żalozną namiastką wieży wykonaną z drewna. Na wieży tej wisiał jeden tylko dzwon. Bito weń właśnie, aby i jego skromny dźwięk mógł przyłączyć się do prawdziwej kakofonii odgłosów, którymi świętowano zwycięstwo angielskiej armii.

– To tutaj – rzekł ojciec Krzysztof, wskazując niewielką świątynię.

Hook zeskoczył z siodła, odsuwając delikatnie na bok kolejnego ciekawskiego chłopca, po czym pomógł zsiąść z konia Melisandzie, odzianej w niebieską suknię z aksamitu, którą podarowała jej jeszcze w Calais lady Bardolf, małżonka dowódcy tamtejszego garnizonu. Na wierzch dziewczyna założyła płaszcz z białego lnu, podszyty wełną i lamowany lisim futrem. Natychmiast przykuśtykał do niej jakiś żebrak na drewnianych protezach, więc Melisanda wcisnęła mu do wyciągniętej ręki monetę, po czym, wraz z Hookiem i ojcem Krzysztofem, weszła do kościoła.

– Byłeś tam? – spytał jakiś chłopiec jeźdźca, który zsiadł z konia jako ostatni.

– Byłem – odrzekł Lanferelle. Nim wszedł do kościoła, zatrzymał się jeszcze i dał monetę Willowi z Doliny, który pozostał na zewnątrz, by pilnować wierzchowców.

Podłogę świątyni stanowiło klepisko i jedynie prezbiterium wyłożono kamienną posadzką. Wewnątrz panowały ciemności, gdyż otaczające kościół budynki całkowicie zasłaniały nieoszlone okna. Jakiś ksiądz bił dotąd w dzwon, lecz teraz przestał, widząc, że do jego niewielkiego sanktuarium weszło trzech mężczyzn i dostatnio odziana kobieta. Początkowo wydawał się zaniepokojony widokiem nieznanomych przybyszów, lecz po chwili rozpoznał ojca Krzysztofa w jego bogatych czarnych szatach.

– A jednak zjawileś się ponownie, ojcze – rzekł zdumionym tonem.

– Mówiłem przecież, że to zrobię – odparł łagodnie kapelan Cornewaille'a.

– Zatem wszyscy jesteście tu mile widziani – stwierdził kapłan.

Głównym ołtarzem był drewniany stół, nakryty wytartym, lnianym obrusem, na którym stał połączony, miedziany krucyfiks i dwa puste lichtarze. Za ołtarzem znajdował się malowany na skórze obraz, na którym jakiś nieudolny malarz przedstawił dwóch aniołów klęczących u stóp Boga. Czworo przybyszów przyklękło na krótką chwilę, czyniąc przy tym znak krzyża, po czym ojciec Krzysztof chwycił Hooka za łokieć i powiodł go ku południowej ścianie kościoła, gdzie znajdował się inny ołtarz. To drugie miejsce kultu było jeszcze bardziej zaniedbane. Był tam jedynie krzywy stół, pozbawiony jakiegokolwiek obrusa, zaś na nim stał drewniany krucyfiks. Obok nie było żadnych

lichtarzy. Jedna z nóg Chrystusa ułamała się, więc teraz zwisał z krzyża o jednej nodze. Nad ołtarzem wisiała namalowana na skórze postać jakiejś kobiety w białej sukni, choć tak naprawdę biel dawno już złuszczyła się i wyblakła, podobnie jak żółta aureola świętej.

Hook przyjrzał się tej postaci. Na ile można to było stwierdzić w półmroku, w którym majaczyło jej odmalowane popękana ze starości farbą oblicze, jej twarz wydawała się podłużna i smutna.

– Skąd wiedziałeś, ojcze, że ona tutaj jest? – spytał Nick ojca Krzysztofa.

– Po prostu zapytałem, kogo trzeba – odparł z uśmiechem kapłan. – Zawsze znajdzie się ktoś, kto wie więcej o osobliwościach Londynu. Znalazłem takiego człowieka i zapytałem.

– Cóż to za osobliwość? – spytał pan de Lanferelle.

– Jestem pewien, że to jedyny ołtarz świętej Sary w całym mieście – odrzekł ojciec Krzysztof.

– To prawda – przytaknął proboszcz, trzęsąc się z zimna w swej wytartej sutannie. Na jego twarzy widać było ślady ospy.

Lanferelle uśmiechnął się przelotnie.

– Ołtarz Sary? Francuskiej świętej?

– Być może – stwierdził ojciec Krzysztof. – Jedni mówią, że była służącą Marii Magdaleny, a inni znowuż twierdzą, że udzieliła Marii Magdalenie schronienia w swoim domu we Francji. Nie wiem, którzy mają rację.

– Sara była męczennicą – przerwał im raptownie Hook. – Zginęła niedaleko stąd, zamordowana przez pewnego złego człowieka. A ja nie zdołałem ocalić jej życia – dodał, skinąwszy głową na Melisandę, która podeszła do ołtarza, uklękła i wyjęła spod płaszcza skórzaną sakiewkę, po czym położyła ją na drewnianym stole.

– To dla Sary, ojcze – powiedziała proboszczowi.

Ten wziął od niej sakiewkę i zajrzał do środka. Oczy otworzyły mu się szeroko i spojrzał teraz na Melisandę niemal z lękiem, jakby podejrzewał, że ta może się rozmyślić i zabrać złoto z powrotem.

– Odebrałam je człowiekowi, który zgwałcił Sarę – wyjaśniła dziewczyna.

Proboszcz padł na kolana i uczynił znak krzyża. Miał na imię Roger. Ojciec Krzysztof rozmawiał z nim poprzedniego dnia, a potem zapewniał Hooka, że ojciec Roger to dobry człowiek.

– Dobry człowiek, a przy tym rzecz jasna głupiec – stwierdził wówczas kapelan Cornewaille'a.

– Głupiec? – spytał Nick.

– Wciąż wierzy, że cisi naprawdę posiadają ziemię. Wierzy, że zadaniem Kościoła jest nieść pociechę chorym, karmić głodnych i przyodziewać nagich. A tak przy okazji, wiesz, że znalazłem twoją żonę zupełnie naga?

– Zawsze byłeś szczęściarzem, ojciec – odparł Hook. – Powiedz mi zatem, na czym polega zadanie Kościoła?

– Na tym, rzecz jasna, by nieść pociechę bogatym, karmić tłustych i przyodziewać biskupów w strojne szaty i purpurę. Lecz ojciec Roger wciąż trwa przy wyobrażeniu Chrystusa Zbawiciela. Jak już mówiłem, proboszcz jest głupcem – rzekł łagodnym tonem kapłan.

Teraz zaś Hook poklepał owego głupca po ramieniu.

– Ojciec Rogerze?

– Tak, panie?

– Nie jestem żadnym panem, tylko zwykłym łuczniakiem – rzekł Nick. – I chciałbym, byś przyjął jeszcze i to – dodał, podając księdzu złoty łańcuch z brelokiem z godłem antylopy. – A za pieniądze, jakie za to dostaniesz – kontynuował Hook – wzniesiesz tutaj ołtarz na cześć świętego Kryspina i Kryspiniana.

– Dobrze – odrzekł ojciec Roger, po czym zmarszczył nieco brwi, gdyż Nick nie wypuścił jeszcze z ręki bajecznie bogatego daru.

– A każdego dnia – powiedział Hook – będziesz odprawiał mszę za duszę Sary, która zginęła nieopodal.

– Dobrze – przytaknął ksiądz, lecz Nick nadal nie puszczał złotego łańcucha.

– A modlitwa za twego brata? – zasugerowała Melisanda.

– Za Michaela modli się już pewien król – odrzekł Nick – i nie trzeba mu więcej modłów. Codziennie odprawiaj mszę w intencji Sary, ojciec – powtórzył.

– Tak zrobię – odparł proboszcz.

– Dziewczyna należała do lollardów – dodał jeszcze Hook, wystawiając księdza na próbę.

Ojciec Roger uśmiechnął się przelotnie i tajemniczo.

– W takim razie będę odprawiał mszę w jej intencji dwa razy dziennie – obiecał, a Hook puścił wreszcie złoty łańcuch.

Wciąż dzwoniły dzwony. We wszystkich kościołach i opactwach Londynu, a także w katedrze, śpiewano *Te Deum*. Dziękowano Bogu, gdyż Anglia wyruszyła na podbój Normandii, a potem dała

się schwytać w pułapkę w pewnym zakątku Pikardii, gdzie jej królowi i wszystkim jego żołnierzom groziła niemal pewna śmierć.

Lecz wówczas w powietrze wzbily się pierzaste strzały.

Hook i Melisanda skierowali się teraz na zachód. Zmierzali wreszcie do domu.



## *Nota historyczna*

Bitwa pod Azincourt stanowiła jedno z najbardziej niezwykłych wydarzeń w dziejach średniowiecznej Europy. Starcie to uzyskało rozgłos znacznie przewyższający jego faktyczne znaczenie. W długiej historii zmagañ Anglików z Francuzami jedynie bitwy pod Hastings, Waterloo, Trafalgarem i Crécy cieszą się podobną sławą. I choć można z powodzeniem twierdzić, że Poitiers było batalią o większym znaczeniu, a przy tym bardziej przekonującym zwycięstwem Anglików, zaś bitwa pod Verneuil tryumfem równie zaskakującym, oraz nie ulega wątpliwości, że Hastings, Blenheim, Vitoria, Trafalgar i Waterloo wywarły znacznie większy wpływ na dalszy bieg dziejów, Azincourt wciąż zajmuje wyjątkowe miejsce w angielskiej legendzie. Coś doprawdy niezwykłego musiało się więc wydarzyć w dniu 25 października 1415 roku (bitwę pod Azincourt stoczono jeszcze na długo przed tym, nim chrześcijaństwo przyjęło nowy kalendarz, więc obecnie rocznica powinna być obchodzona w dniu 4 listopada). Wypadki tamtego pamiętnego dnia były tak zdumiewające, że bitwa ta wciąż pozostaje sławna, mimo iż minęło już blisko sześćset lat.

Rozgłos towarzyszący bitwie pod Azincourt może być dziełem przypadku, kaprysem historii wspartym geniuszem Szekspira, lecz rozmaite dowody sugerują, iż rzeczywiście była to batalia, o której wieść wywołała w całej Europie falę zdumienia. Potem przez całe lata Francuzi nazywali 25 października 1415 roku *la malheureuse journée* („nieszczęsny dzień”). Nawet wówczas, kiedy wyparli już Anglików z Francji, wspominali dzień ten ze smutkiem. Rzeczywiście była to katastrofa.

Lecz katastrofy o włos uniknął wówczas również Henryk V i jego niewielka, acz dobrze wyposażona armia. Armia ta wypłynęła z portu w Southampton z wielkimi oczekiwaniami, spośród których bodaj najważniejsze dotyczyły rychłego zdobycia Harfleur, po którym nastąpiłby najazd w głąb Francji, przypuszczalnie w nadziei zmuszenia Francuzów do walnej bitwy. Zaś zwycięstwo w takim starciu dowiodłoby, przynajmniej zdaniem pobożnego Henryka, iż sam Bóg popiera jego prawa do francuskiej korony, a mogłoby nawet sprawić, że już niebawem zasiadłby na francuskim tronie. Nadzieje te nie były pozbawione podstaw, dopóki jego armia była nienaruszona, lecz oblężenie Harfleur zajęło znacznie więcej czasu, niż oczekiwano, a wojsk Henryka omal nie pokonała przy tym dyzenteria.

Historia oblężenia przedstawiona w powieści jest, ogólnie rzecz biorąc, wierna faktom, choć pozwoliłem sobie na jedno, acz znaczne odstępstwo, w postaci zniszczenia przez Francuzów tunelu pod bramą wiodącą w kierunku Leure. Podkop taki w ogóle nie istniał, gdyż nie pozwoliliby na to w tym miejscu rodzaj gruntu, i tak naprawdę wszystkie miny drażyły wojska księcia Clarence'a, atakujące miasto od wschodu. Francuskie kontrminy zdołały unieszkodliwić tunele oblegających; poprzez to odstępstwo od historycznych faktów pragnąłem jednak oddać choć posmak grozy, jakiej musieli stawić czoła ludzie walczący pod ziemią. Harfleur bronione było po mistrzowsku, co w dużej mierze jest zasługą Raoula de Gaucourta, jednego z dowódców garnizonu. Jego opór i długotrwałe oblężenie miasta dały Francuzom czas na zgromadzenie znacznie większej armii, niż byłoby w stanie wystawić przeciwko Henrykowi, gdyby miasto poddało się, powiedzmy, na początku września.

Harfleur w końcu skapitulowało, lecz uniknęło grabieży i okrucieństw, jakie miały miejsce po upadku Soissons w roku 1414. Złupienie Soissons było zresztą kolejnym wydarzeniem, które wstrząsnęło Europą, choć wstrząs ten wywołał przede wszystkim fakt, iż to francuska armia w tak okrutny sposób obeszczała się ze swymi rodakami. Istnieje pogłoska, która mówi, że to angielscy najemnicy wzięli pieniądze za wydanie miasta w ręce oblegających, co tłumaczy postępowanie fikcyjnej postaci, jaką jest sir Roger Pallaire. Jednak w kontekście Azincourt i kampanii roku 1415 o znaczeniu Soissons decydują patroni miasta: święty Kryspin i święty Kryspinian, których wspomnienie rzeczywiście przypadało w dniu 25 października. Zaś dla wielu ludzi w Europie wypadki, jakie miały miejsce w uroczystość świętego Kryspina w roku 1415 były swoistą zemstą niebios za okrucieństwa, jakich dopuścili się Francuzi po zdobyciu Soissons w roku 1414.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że po kapitulacji Harfleur Henryk powinien był porzucić wszelką myśl o prowadzeniu dalszych działań wojennych. Mógłby po prostu obsadzić swoją załogą zdobyty właśnie port i pożeglować z powrotem do Anglii, lecz takie postępowanie byłoby w praktyce przyznaniem się do porażki. Wydanie tak wielkich ilości pieniędzy i zyskanie w zamian jedynie jakiegoś portu w Normandii wydawałoby się mizernym osiągnięciem, a choć utrata Harfleur faktycznie zaszkodziła interesom Francji, zajęcie go nie dawało Henrykowi szczególnie mocnej pozycji w pertraktacjach z Francuzami. Owszem, miasto i port znajdowały się teraz w rękach Anglików (i taki stan rzeczy miał się utrzymać przez kolejne dwadzieścia lat), lecz jego zdobycie pochłonęło mnóstwo cennego czasu, a konieczność pozostawienia załogi w uszkodzonej twierdzy jeszcze bardziej uszczupliła armię Henryka, i to do tego stopnia, że kiedy już Anglicy rozpoczęli swój marsz w głąb Francji, mogła wziąć w nim udział tylko mniej więcej połowa ich wojsk. Mimo tego jednak Henryk zdecydował się wyruszyć w pole. Odrzucił dobre rady tych, którzy sugerowali, że powinien zakończyć kampanię, i zamiast tego wyznaczył swej niewielkiej, schorowanej armii zadanie przejścia z Harfleur do Calais.

Pozornie nie było to zadanie nie do wykonania. Odległość pomiędzy tymi miastami wynosiła niespełna dwieście kilometrów i angielska armia, w całości poruszająca się konno, mogła oczekiwać, iż pokona ten dystans w ciągu mniej więcej ośmiu dni. Marszu tego nie podjęto dla zdobycia łupów, gdyż Henryk nie miał ani czasu, ani niezbędnego sprzętu, by oblegać leżące na trasie przemarszu jego wojsk warowne miasta i zamki (w których przed nadejściem Anglików poukrywano zapewne wszystko, co miało jakąkolwiek wartość). Nie była to także klasyczna „przejażdżka” (fr. *chevauchée*), jeden z tych niszczycielskich rajdów poprzez Francję, w czasie których angielskie



wojska równały z ziemią wszystko na swej drodze, licząc, że w ten sposób uda im się skłonić Francuzów do stoczenia walnej bitwy. Wątpię, by Henryk rzeczywiście miał nadzieję sprowokować wroga do walki, gdyż pomimo swej gorącej wiary w boże wsparcie i opiekę, musiał zdawać sobie sprawę ze słabości własnej armii. Gdyby rzeczywiście dążył do bitwy, rozsądniej byłoby skierować się od razu w głąb lądu, podczas gdy król zdecydował się pójść wzdłuż wybrzeża. Wydaje mi się więc, że chciał po prostu zagrać Francuzom na nosie. Po zakończeniu oblężenia, które nie układało się po jego myśli, i mając w perspektywie upokorzenie, jakim byłby powrót do Anglii bez żadnych wielkich sukcesów, chciał po prostu upokorzyć Francuzów, udowadniając całemu światu, że może bezkarnie przemaszerować przez ich kraj.

Zamiar ten byłby się powiódł, gdyby brody pod Blanchetaque nie były strzeżone. Aby dotrzeć do Calais w osiem dni, Henryk musiał szybko przekroczyć Somnę, lecz Francuzi zablokowali przeprawę, przez co angielski król zmuszony był pomaszerować w głąb lądu, w poszukiwaniu innego brodu, i z ośmiu dni zrobiło się osiemnaście (lub szesnaście, gdyż kronikarze wypowiadają się bardzo niejasno, jeśli chodzi o datę wymarszu armii z Harfleur). Wreszcie skończyła się żywność, a Francuzi skoncentrowali w końcu armię i ruszyli w pole, by schwytać w pułapkę nieszczęsnych Anglików.

W ten oto sposób, w dzień świętego Kryspina 1415 roku śmiesznie mała armia Henryka napotkała nieprzyjaciela na płaskowyżu pod Azincourt. Zarazem, nie zdając sobie z tego sprawy, weszła do historii i legendy.

W roku 1976, kiedy sir John Keegan pisał swą wspaniałą książkę zatytułowaną *The Face of Battle*, mógł jeszcze stwierdzić odnośnie do Azincourt, iż „dla historyka wojskowości wydarzenia tamtej kampanii są wręcz zachęcająco jasne i proste [...] mniej tutaj obezwładniającej wręcz niepewności, jaka dotyczy zwykle liczby wojsk obydwu walczących stron”.

Niestety, od tego czasu po tym przekonaniu nie pozostało już ani śladu, jeśli nie w kwestii samego biegu wydarzeń, to z pewnością jeżeli chodzi o liczebność wrogich armii. W roku 2005 profesor Anne Curry, należąca do największych autorytetów w sprawach Wojny Stuletniej, opublikowała książkę pod tytułem *Agincourt, A New History*, w której, po szczegółowej analizie, wysunęła tezę, iż siły obydwu stron były znacznie bardziej wyrównane, niż historycy kiedykolwiek przypuszczali. Zazwyczaj bowiem przyjmuje się, że około sześciu tysięcy Anglików stanęło naprzeciw około trzydziestu tysięcy Francuzów, podczas gdy dr Curry poprawiła te liczby do, odpowiednio, dziewięciu i dwunastu tysięcy. Jeśli jej wnioski są trafne, to bitwa ta zupełnie niesłusznie cieszy się taką sławą, która wszak bez wątplenia opiera, się na założeniu o istnieniu rażącej dysproporcji sił obydwu stron. Szekspir nie miałby podstaw, by napisać „my nieliczni, garstka braci”, gdyby Francuzów było w istocie niewiele więcej.

Sir John Keegan miał natomiast rację pisząc, że wszelkim próbom oszacowania liczebności wojsk biorących udział w średniowiecznej bitwie towarzyszy „obezwładniająca niepewność”. W przypadku Azincourt mamy to szczęście, że pewna liczba naocznych świadków batalii pozostawiła relacje na jej temat, a także posiadamy inne źródła w postaci zapisków powstałych niedługo potem, lecz ich oceny liczebności wojsk obydwu stron diametralnie się od siebie różnią. Angielscy

kronikarze podają, że Francuzów było od sześćdziesięciu do stu pięćdziesięciu tysięcy, podczas gdy w źródłach francuskich i burgundzkich mowa jest o armii liczącej od ośmiu do pięćdziesięciu tysięcy. Najbardziej wiarygodni naoczni świadkowie tamtych wydarzeń twierdzą, że Francuzów było trzydzieści, trzydzieści sześć lub pięćdziesiąt tysięcy, przyczyniając się do powstania owej „obezwładniającej niepewności”, którą podsyciły teraz jeszcze tezy dr Curry. Ostatecznie zdecydowałem, że ogólnie przyjmowane dane są poprawne i że około sześć tysięcy Anglików zmierzyło się z mniej więcej trzydziestoma tysiącami Francuzów. Muszę przy tym zaznaczyć, że nie było to wynikiem wnikliwych naukowych badań z mojej strony. Była to raczej kwestia pewnego wewnętrznego, organicznego instynktu, który podpowiadał mi, że reakcja współczesnych na zwycięstwo Anglików pod Azincourt dowodzi, iż rzeczywiście stało się wówczas coś wręcz zdumiewającego. Zaś tym, co zdaje się wywoływać największe zdumienie w rozmaitych relacjach, jest właśnie dysproporcja sił. Pewien angielski kapelan, naoczny świadek wydarzeń, podawał nawet, iż na jednego Anglika przypadało trzydziestu Francuzów, co jest oczywistą przesadą, choć zarazem jego relacja stanowi silny punkt oparcia dla tradycyjnego poglądu, zgodnie z którym to sama miażdżąca przewaga liczebna Francuzów przekonała ówczesnych Europejczyków, że Azincourt było starciem zaiste niezwykłym. Mimo tego nie jestem jednak naukowcem i odrzucenie wniosków dr Curry wydawało mi się posunięciem ryzykownym.

Potem, w tym samym roku, w którym ukazała się praca dr Curry, opublikowano również książkę Juliet Barker zatytułowaną *Agincourt*. Pozycja ta okazała się już niebawem barwną, wielostronną i wciągającą opowieścią o całej kampanii roku 1415 i samej bitwie. Autorka uznawała naukową wartość konkluzji dr Curry, choć zarazem grzecznie acz stanowczo się z nimi nie zgadzała. Ponieważ zaś Juliet Barker jest równie wybitną badaczką dziejów, jak i pisarką, a także, podobnie zresztą jak dr Curry, przewertowała zarówno francuskie, jak i angielskie archiwa, poczułem się co najmniej usprawiedliwiony, podążając za głosem mego instynktu. Czytelnik pragnący dowiedzieć się więcej o całej kampanii i samej bitwie powinien przeczytać wszystkie trzy wspomniane przeze mnie książki, czyli *The Face of Battle* Johna Keegana, *Agincourt, A New History* pióra Anne Curry, i *Agincourt* autorstwa Juliet Barker. Muszę zarazem w tym miejscu przyznać, iż choć pisząc tę powieść korzystałem z bardzo wielu źródeł, książką, do której sięgałem raz za razem, a zawsze z ogromną przyjemnością, była właśnie ostatnia ze wspomnianych pozycji.

Faktem, który nie ulega wątpliwości, jest natomiast pewna dysproporcja w łonie samej angielskiej armii. Była to przede wszystkim armia złożona z łuczników, których w momencie wypłynięcia z portu w Southampton było mniej więcej trzy razy tyle co rycerzy. Zaś nim nastął dzień świętego Kryspina, mieli oni już niemal sześciokrotną przewagę nad zbrojnymi. Można oczywiście natrafić na jeszcze bardziej zażarte i niekończące się spory co do tego, jak zostali oni rozmieszczeni, czy rzeczywiście wszyscy zajęli pozycje na skrzydłach angielskiej armii czy też znaleźli się przed frontem zbrojnych, lub pomiędzy ich hufcami. Ja jednak nie wierzę, by ustawiono ich przed szykiem rycerzy, choćby z uwagi na trudności, jakie wiązałyby się z wycofaniem ich na tyły pomiędzy szeregami zbrojnych, nim doszło do walki wręcz, i uważam, że zdecydowana większość z nich stała istotnie na lewym i prawym skrzydle głównego bitewnego szyku. Rzetelne opracowanie dotyczące wykorzystania łuczników na polu walki znaleźć można natomiast w wyśmienitej książce Roberta Hardy'ego, zatytułowanej *Longbow, a Social and Military History*.

Staralem się także, na ile to możliwe, trzymać się faktycznego biegu wydarzeń, jakie rozegrały się we Francji w ów dżdżysty dzień świętego Kryspina. Krótko mówiąc, wydaje się pewne, że to Anglicy jako pierwsi ruszyli naprzód (a Henryk, jak się zdaje, naprawdę powiedział „chodźmy, chłopcy!”), po czym na powrót stanęli w bojowym szyku w maksymalnej odległości skutecznego strzału z łuku od francuskiej armii, zaś Francuzi, zupełnie bezmyślnie, w ogóle nie zareagowali na to posunięcie nieprzyjaciela. Potem łucznicy sprowokowali pierwsze natarcie wroga salwą strzał. Ten pierwszy atak przeprowadziła francuska jazda, która miała rozproszyć, a następnie pokonać straszliwych łuczników, lecz jej szarża zakończyła się porażką, po części dlatego, że konie, nawet w kropierzach i czaprakach, narażone były na trafienia stalowych grotów, a częściowo z uwagi na zaostrome pale, które okazały się dostatecznie poważną przeszkodą, aby pozbawić natarcie kawalerii całego impetu. Wydaje się również, iż niektóre z cofających się francuskich wierzchowców, naszpikowane strzałami i oszalałe z bólu, wpadły prosto na idący do natarcia pierwszy francuski hufiec, wywołując chaos w jego stłoczonych szeregach.

Ten pierwszy hufiec, złożony prawdopodobnie z około ośmiu tysięcy ludzi, i tak miał już poważne problemy. Pole pod Azincourt zostało niedawno zaorane pod oziminę, a jak powiada, zresztą zgodnie z prawdą, Nicholas Hook, pod oziminę orze się głębiej niż pod zboża jare. Prawdą jest również to, że w noc przed bitwą spadł ulewny deszcz i Francuzi z trudem brnęli przez grząską, gliniastą ziemię. Zaiste musiał to być dla nich prawdziwy koszmar. Nikt nie był w stanie poruszać się zbyt szybko, a przez cały czas na Francuzów sypały się strzały, których trafienia stawały się coraz bardziej niebezpieczne, w miarę jak zbliżali się do angielskiej linii. Więcej kontrowersji dotyczy natomiast skuteczności angielskich pocisków, a niektórzy badacze wręcz twierdzą, że nawet najcięższy grot, wystrzelony z największego cisowego łuku, nie był w stanie przebić płytowego pancerza. Lecz z jakiego innego powodu Henryk zabrałby z sobą tak wielu łuczników? Strzała była w stanie przebić płytową zbroję, choć aby tego dokonać, musiała trafić w blachę pod kątem prostym, zaś niewątpliwie najlepsza stal, jaką produkowali wówczas Mediolańczycy, potrafiła znacznie skuteczniej oprzeć się angielskim grotom. Tak czy inaczej, grad strzał z pewnością zmusił Francuzów do tego, by nacierali z opuszczonymi przyłbicami, które drastycznie ograniczały im pole widzenia.

Dobry łucznik potrafił oddać piętnaście celnych strzałów w ciągu minuty (sam widziałem, jak robi się to przy użyciu łuku o sile naciągu wynoszącej około pięćdziesięciu kilogramów, czyli jakieś dziesięć do piętnastu kilogramów mniej, niż łączyska, jakich używano pod Azincourt, choć zarazem znacznie cięższego od wszystkich współczesnych sportowych modeli tej broni). Jeśli nawet założyć, iż łucznicy w czasie bitwy pod Azincourt wystrzelili ledwie tuzin strzał na minutę, a strzelców było pięć tysięcy, okazuje się, że w ciągu sześćdziesięciu sekund na Francuzów spadało sześćdziesiąt tysięcy strzał, co daje tysiąc pocisków na sekundę. Oznacza to również, że w ciągu zaledwie dziesięciu minut angielscy łucznicy wystrzelili sześćset tysięcy strzał, z czego wynika wniosek, iż dosyć szybko musiały skończyć im się pociski. Ten grad stalowych grotów z pewnością zdołał zepchnąć skrzydła dezorganizowanego szyku nacierających Francuzów do środka pola, wprost na czekających na nieprzyjaciela angielskich rycerzy. Zarazem jednak zawężenie francuskich szeregów sprawiło, że obie flanki angielskiej armii, złożone z łuczników, znalazły się wreszcie w polu rażenia francuskich kuszników, lecz nie ma żadnych dowodów na to, by Francuzi skorzystali z tej sposobności. Wydaje się natomiast, iż jeśli nie liczyć kilku salw na samym początku bitwy, ich

strzelcy nie odegrali żadnej roli w starciu, co było fatalnym błędem, który należy chyba złożyć na karb braku należytego dowodzenia po stronie Francuzów.

Bitwa trwała trzy lub cztery godziny, lecz została już właściwie rozstrzygnięta w pierwszych minutach, kiedy czołowy francuski hufiec zwarł się z przeciwnikiem. Francuzi byli zmęczeni i na wpół ślepi, w ich szyku panował nieład, a błoto utrudniało im ruchy. Jak się wydaje, pierwsze szeregi szybko zostały powalone na ziemię, tworząc przeszkodę dla kolejnych, które z kolei spychane były prosto na nią przez rycerzy idących z tyłu francuskiego hufca. Tak więc Francuzi potykali się, padając wprost pod ostrza nieprzyjaciół, podczas gdy Anglicy (w których armii było także trochę Walijczyków i Gaskończyków) mieli znacznie więcej miejsca, by walczyć i zabijać. W szeregach pierwszego hufca znajdowała się większość francuskiej arystokracji, więc kiedy hufiec ten poszedł na rzeź, padli najznamienitsi rycerze: księżę Alençon, księżę Bar, księżę Brabancji, arcybiskup Sens, konstabl Francji i co najmniej ośmiu hrabiów. Inni, jak na przykład księżę Karol Orleański, księżę de Bourbon i marszałek Francji, dostali się do niewoli. Nie wszystko układało się rzecz jasna po myśli Anglików: zginął księżę Yorku, podobnie jak hrabia Suffolk (którego ojciec zmarł na dyzenterię pod Harfleur), lecz angielskie straty były, jak się zdaje, zdumiewająco niskie. Nie ulega wątpliwości, że sam Henryk walczył w pierwszym szeregu angielskiego szyku, lecz osiemnastu francuskich rycerzy, którzy wspólnie uroczyście ślubowali, że zabiją angielskiego króla, padło trupem zamiast niego. Ciężko ranny został natomiast brat Henryka, Humphrey, księżę Gloucester, i mówi się, że król osobiście zasłonił go i odpędzał wszystkich Francuzów, usiłujących wziąć go do niewoli.

Na pomoc pierwszemu hufcowi pospieszył drugi hufiec, lecz teraz Francuzi musieli przebić się przez wał trupów i umierających, a także zmagali się z angielskimi łucznikami, którzy porzucili swe łuki i chwycili za dwuręczne topory, miecze i bojowe młoty. Łucznicy posiadali ponadto tę przewagę nad przeciwnikiem, że mogli znacznie łatwiej się poruszać. Nie musząc dźwigać na sobie blisko trzydziestu kilogramów powalanego błotem pancerza, musieli być wręcz śmiertelnie niebezpiecznymi przeciwnikami dla francuskich rycerzy. Nie jestem w stanie z całą pewnością stwierdzić, że brytyjski zwyczaj salutowania dwoma palcami pochodzi właśnie spod Azincourt i wywodzi się z szyderczego gestu w kierunku pokonanych Francuzów, mającego pokazać im, że pomimo pogroźek wroga łucznicy wciąż mają palce do naciągania cięciwy, lecz wersja ta wydaje się bardzo prawdopodobna.

W chwilę po natarciu drugiego francuskiego hufca, na angielski tabor napadł niewielki oddział jazdy, dowodzony przez pana zamku Azincourt. Wydarzenie to oraz fakt, iż pozostali Francuzi zdawali się szykować do ataku, skłonił Henryka do wydania słynnego rozkazu, by wymordować jeńców. Dziś rozkaz ten napełnia nas wstrętem, lecz ówczesni kronikarze bynajmniej go nie potępiają. Na tym etapie starcia na tyłach angielskiego szyku, który spodziewał się właśnie ataku kolejnych ośmiu tysięcy wypoczętych i niebiorących jak dotąd udziału w walce rycerzy, znajdowały się mniej więcej dwa tysiące pojmanych Francuzów. Więźniowie ci mogli z powodzeniem przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Francji, atakując armię Henryka od tyłu, stąd wydany został taki właśnie rozkaz, ku wyraźnemu niezadowoleniu wielu angielskich rycerzy, którzy tracili w ten sposób widoki na bogate okupy. Król zlecił więc wykonanie tego zadania jednemu ze swych giermków i dwustu łucznikom. Najwyraźniej jednak tę rzeź jeńców powstrzymano dosyć szybko, kiedy tylko stało się jasne, że napad na tabor nie jest zapowiedzią ataku wojsk francuskich na tyły angielskiej armii, a zagrożenie ze strony trzeciego francuskiego hufca minęło już na dobre. Francuzi mieli już dosyć i

niedobitki ich armii zaczęły opuszczać pole bitwy, a Henryk odniósł swój niezwykły tryumf pod Azincourt. Wciąż panuje obezwładniająca niepewność co do liczby ofiar, lecz straty Francuzów były niewątpliwie zatrważające. Pewien angielski ksiądz, będący naocznym świadkiem bitwy, zanotował, że poległo dziewięćdziesięciu ośmiu francuskich wielmożów, około półtora tysiąca rycerzy oraz od czterech do pięciu tysięcy zbrojnych. Zatem ubytki we francuskich szeregach liczone były w tysiącach i mogły rzeczywiście sięgnąć aż pięciu tysięcy ludzi, podczas gdy straty Anglików były prawdopodobnie bardzo niskie i wyniosły zaledwie dwustu zabitych (jednym z nich był łucznik Roger Hunt, trafiony armatnim pociskiem). Była to więc prawdziwa rzeź, która, podobnie jak grabież Soissons, wstrząsnęła całym chrześcijańskim światem. Ówczesna epoka nawykła była zaś do przejawów przemocy i okrucieństwa. Henryk rzeczywiście kazał palić na stosie i wieszać lollardów w Londynie, a także rozkazał stracić pewnego łucznicza za kradzież pozłacanego, miedzianego cyborium w czasie marszu pod Azincourt, lecz takie wydarzenia były wówczas czymś zupełnie zwyczajnym. Tylko Soissons i Azincourt, w tajemniczy sposób powiązane z sobą postaciami świętych Kryspina i Kryspiniana, uważane były za wypadki niezwykle.

Z wyjątkiem Thomasa Perrilla, wszystkie nazwiska łuczników walczących pod Azincourt zaczerpnąłem z list werbunkowych armii Henryka, które istnieją wciąż i są przechowywane w National Archives (czytelnicy preferujący łatwiej dostępne źródło znajdą je także w załącznikach do książki Anne Curry). Pod Azincourt rzeczywiście walczył człowiek nazwiskiem Nicholas Hook, choć nie służył w drużynie sir Johna Cornewaille'a, który faktycznie był tryumfotorem turniejów rycerskich w całej Europie. Jego nazwisko często pisane bywa „Cornwell”, co wprawia mnie w niejakie zakłopotanie, gdyż nie jestem z nim wcale spokrewniony.

Pole bitwy pod Azincourt pozostało niemal niezmienione aż do dziś, choć porastające je z dwóch stron połacie lasów nieco się zmniejszyły, a niewielki zamek, od którego pochodzi nazwa całej batalii, dawno już zniknął. We wsi Azincourt znajduje się niewielkie, lecz wyśmienite muzeum, zaś w pobliskim Maisoncelles, gdzie dokonano napadu na angielski tabor (większość zrabowanych skarbów Henryka została zresztą później odzyskana), jest obecnie pomnik i makieta starcia. Na samym polu bitwy zaś niewielka Kalwaria na pagórku znaczy jedno z miejsc, gdzie przypuszczalnie Francuzi pochowali swych zabitych. Znikło natomiast Harfleur, wchłonięte przez wielką aglomerację Hawru, choć wciąż zachowały się pewne pozostałości średniowiecznego miasta. W miejscu, gdzie przybiła do brzegu angielska flota, rozciągają się dziś zakłady petrochemiczne.

Fakt, iż angielską armią dowodził sam Henryk V, niewątpliwie przyczynił się do odniesienia niespodziewanego zwycięstwa. Potem król kontynuował działania wojenne we Francji i z czasem zmusił Francuzów, by ugięli się wobec jego żądań i uznali go prawowitym królem ich kraju. Ostatecznie postanowiono, że zostanie koronowany po śmierci króla Karola Szalonego, lecz to Henryk zmarł jako pierwszy. Miast niego, koronę Francji otrzymał więc jego syn, lecz Francuzi otrząsnęli się wreszcie z odrętwienia i przepędzili Anglików ze swoich ziem. Jednak marszałek Boucicault, wielki żołnierz, miał umrzeć jako angielski jeńiec, podczas gdy książę Karol Orleański musiał spędzić dwadzieścia pięć lat w niewoli, nim został wreszcie zwolniony w roku 1440. Przez wszystkie te lata napisał sporo poezji, i Juliet Barker, w swej książce *Agincourt*, zamieszcza jeden z wierszy, które powstały w czasie jego pobytu w Anglii. Fragment ten stanowić może stosowne zakończenie tej opowieści o pewnej bitwie z odległej przeszłości:

*Pokój to skarb, którego nie sposób przecenić.  
Nienawidzę wojny. Tej cenić nie należy nigdy.  
Przez tak długi czas, słusznie czy też nie, nie dawała mi  
Ujrzeć mej Francji, którą ukochałem całym sercem.*

---

\* Biblia Tysiąclecia, wyd. IV.

\* Oz 2, 6-7.